

# CZOCHRAŁEM ANTARKTYCZNEGO SŁONIA



**MIKOŁAJ  
GOLACHOWSKI**

MARGINESY



**CZOCHRAŁEM  
ANTARKTYCZNEGO  
SŁONIA**

i inne opowieści  
o zwierzołkach

**MIKOŁAJ  
GOLACHOWSKI**

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Wstęp

Dedykacja

## **I. MIŁE POCZĄTKI**

1. Domowy inwentarz
2. Era kotów
3. Dzicy

## **II. KOSTKA LODU**

4. Szczyt wszystkiego
5. Archipelag pod wąsem
6. Gwiazda Północy
7. Wyspa lodu i wyspa zieleni. Albo odwrotnie
- 8 . Kraina jednorożców

## **III. RAJ DO GÓRY NOGAMI**

9. Pod sutkiem Matki Ziemi
10. Poddani Królowej Śniegu
11. Trzeba żeglować

Epilog

Podziękowania

Źródła ilustracji

Bibliografia

Redaktor prowadzący, redakcja: ADAM PLUSZKA  
Korekta: GRAŻYNA MASTALERZ, JAN JAROSZUK  
Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne: ANNA POL  
Łamanie: | manufaktu-ar.com  
Zdjęcia na okładce: © Mikołaj Golachowski

Copyright © by Mikołaj Golachowski  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2016

Warszawa 2016  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65282-53-8

Wydawnictwo Marginesy  
ul. Forteczna 1a,  
01-540 Warszawa  
tel./faks: 48 22 839 91 27, 48 696 451 127  
e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Ludzie są malutcy. A to jest nasza planeta...

(Hania, lat 2 i 10 miesięcy,  
rozkładając szeroko ręce przed łąką otoczoną lasami)

## Wstęp

Był piękny lutowy dzień, lato w pełni. Otaczające nas lodowce jarzyły się w słońcu, którego blask prześwieślał niedalekie góry lodowe tym najbardziej niewiarygodnym odcieniem niebieskości, widocznym tylko w tysiącletnim lodzie. Równie intensywny błękit nieba pocztówkowo kontrastował z czernią skał wystających spod dziewiczego śniegu. Najślabszy wiaterek nie mącił tej sielanki, a piękno świata wokół nas bardzo utrudniało skupienie się na robocie. Jakby tego było mało, w oddali dostrzegliśmy charakterystyczne fontanny oddychających humbaków i czarne połyskliwe grzbiety tych żerujących tuż pod powierzchnią gigantów.

Ale byliśmy w pracy. Wypłynęliśmy „Słoniem Morskim” – rybackim kutrem, który na Arctowskim służy za jednostkę naukowo-transportową – na środek Zatoki Admiralicji, aby zbierać z morskiego dna próby okrzemków. Właśnie wciągaliśmy na pokład pięciusetmetrową stalową linkę z pełnym cennego błota próbnikiem, kiedy któryś z wielorybów zaproponował drugiemu, żeby sprawdził tę śmieszoną skorupkę kołyszącą się nieopodal, popierdującą cicho i najwyraźniej zapasożyconą. Przystały żerować i ruszyły w naszą stronę. Z lekkim niepokojem obserwowaliśmy szybko zbliżające się kolosy. Każdy z nich mierzył osiemnaście metrów. Było to moje pierwsze tak bliskie spotkanie z wielorybami. Czytałem, że nie ma się czegoś bać, i próbowałem przekonać naszego bosmana Dzidziusia, że ani nas nie jedzą, ani nie uważają za zagrożenie, ale chyba nie bardzo mi się udało. Kilkaset metrów linki wciąż było za burtą i nie mogliśmy się ruszyć. Tymczasem humbaki podpływały i zaczęły krążyć wokół naszego stateczku w odległości około dwóch metrów. To niesamowite uczucie – być na łasce tych wspaniałych zwierząt. Każdy z nich był ponad dwa razy dłuższy od „Słonia” i wiele razy cięższy. A jednak żaden nawet nas nie musnął. Wystawiały głowy i przyglądały się dziwnym stworzeniom kłębiącym się na grzbiecie tej niewydarzonej góry lodowej. Zapomniałem o robieniu zdjęć. Przyglądałem się w zachwycie pełnym gracji manewrom królów oceanu, a serce waliło mi jak nigdy wcześniej ani nigdy potem. Gdybym należał do ludzi religijnych, byłaby to moja komunia. Połączenie z Wszechświatem, spotkanie z istotami, które choć mogły z łatwością nas skrzywdzić, nie miały takiego zamiaru, były zwyczajnie ciekawe. Kilka razy spojrzeliśmy sobie w oczy i miałem wrażenie, jakbym spoglądał w głąb myślącego kosmosu.



Zachodzące słońce żegna się z górą lodową uwięzioną w Pleneau Bay

Poczułem, że wszystko we mnie wskakuje na swoje miejsce, z charakterystycznym cichym klikaniem. Słyszałem ten dźwięk już wcześniej, zawsze stojąc twarzą w twarz z przyrodą, na ogół sam: nad zamrożonym jeziorem Śniardwy, w dzikich ostępach Białowieży i na Syberii w obliczu majestatycznego Jeniseju. W takich chwilach czuję się całością, wtedy jestem sobą. Później miałem się do tego dźwięku przyzwyczaić: na polarnych krańcach świata słyszę to klikanie regularnie.

Wieloryby mają oczywiście dużo lepszą wyobraźnię przestrzenną niż my. Żyją w prawdziwie trójwymiarowym świecie, podczas gdy my możemy iść tylko do przodu i do tyłu – albo w bok. Dla nich to normalne, że można się znaleźć nad lub pod czymś. Dlatego choć trzyipółmetrowe płetwy piersiowe humbaków (zwanych bardziej poprawnie długopłetwcami) są najdłuższymi ramionami w świecie zwierząt, żadne z nich nie dotknęło burty. Odwracały się na grzbiety, machały płetwami w powietrzu, odpływały od nas i wracały jak pies zapraszający swojego człowieka do pogoni. Całe to misterium trwało jakieś pół godziny, a potem, najwyraźniej znudzone brakiem reakcji (nie chcieliśmy się ganiać), machnęły ogonami i zniknęły w głębinie, by się wynurzyć kilkadziesiąt metrów dalej. Audiencja dobiegła końca. Musieliśmy podnieść z pokładu opadłe szczęki i wrócić do rzeczywistości. Nigdy wcześniej nie czułem się tak szczęśliwy.

Od tego czasu takie spotkania zdarzały mi się całkiem często, na znacznie mniejszych, gumowych łodziach. Ale tamtego nie zapomnę nigdy. To była moja pierwsza wyprawa polarna, mieszkałem na stacji od niecałych trzech miesięcy. Miałem trzydzieści jeden lat i wrażenie, że wreszcie jestem u siebie.

Zwierzętami interesowałem się od zawsze. Wedle rodzinnej legendy moje pierwsze zdanie dotyczyło kury przerzucanej na drugą stronę płotu przez jakiegoś bliżej nieokreślonego mężczyznę („Pam koko bam”), później zaś tych zwierzołków w moim życiu nieustannie przybywało. Podglądałem je w lesie, opiekowałem się nimi w domu, aż w końcu zacząłem je studiować i badać zawodowo.

Drugą moją fascynacją był chłód. Odkąd pamiętam, zawsze lubiłem dotyk chłodnych dłoni i ścian, pieszczotę wiatru i smak zimnej wody. Zima należała do moich ulubionych pór roku, w lecie czuję się zupełnie nie na miejscu. Dlatego mam wrażenie, że całe moje życie przygotowywało mnie do tego, co robię teraz – do pracy w Antarktyce. Całe życie prowadziło mnie do tego spotkania z wielorybami, do lodowców, do pingwinów i słońi morskich. Moje ukochane książki z dzieciństwa to powieści Jacka Londona i Jamesa Curwooda, w których losy zwierząt i ludzi nierozzerwalnie łączyły się z surowym krajobrazem Arktyki. Marzyłem, by to wszystko samemu kiedyś zobaczyć, poczuć przenikliwe zimno wichru, zobaczyć, jak ślina zamarza w powietrzu, i śledzić tropy niedźwiedzi polarnych wśród pokrytych śniegiem pustkowi. Bez komarów, miejskiego zgiełku i lejącego się z nieba żaru. Gdy jest zimno, zawsze można się ubrać trochę cieplej. W upalne dni mam ochotę zdjąć z siebie skórę, choć wiem, że nawet to by nie pomogło.



Humbaki

Do wspaniałych miejsc z moich dzieciennych snów droga była bardzo daleka. Kiedy miałem dziesięć lat, Kora śpiewała o boskim Buenos. Zapewniała, że podróżować jest bosko. Ale Ameryka Południowa – choć zawsze chciałem ją przemierzyć i poznać, i byłem nawet gotów znieść upały – wydawała mi się wtedy czystą abstrakcją. Były lata osiemdziesiąte XX



wieku, stan wojenny dopiero się skończył, ale kryzys i komunizm miały się dobrze, a jedyne realne dla mnie szlaki prowadziły najwyżej do Czechosłowacji lub NRD. Nie mogłem przypuszczać, że trzydzieści lat później połowę mojego paszportu będą zajmować argentyńskie pieczętki. Ani tego, że w Buenos Aires spędzę więcej czasu niż w Krakowie, bo tamtędy po prostu jeżdżę do pracy. Do pracy na najdłuższym kontynencie świata, jedynym wielkim obszarze, którego wciąż nie udało nam się zepsuć. W jedynym miejscu na świecie, gdzie nie ma stałych ludzkich mieszkańców, gdzie to zwierzęta są gospodarzami, a my musimy zachowywać się z szacunkiem, jak pokorni goście. W jedynym tak wielkim rejonie pozbawionym lądowych drapieżników, w którym zwierzęta po prostu nie wiedzą, że po wyjściu z wody powinny się czegoś obawiać. Więc się nie obawiają. Kiedy widzą człowieka, podchodzą z zaciekawione. Dla pingwinów pewnie to my jesteśmy jakimiś dziwnymi pingwinami. Wyglądamy na zagubionych – może miejscowi podchodzą, by pokazać nam drogę? Dla młodych słoni morskich jesteśmy po prostu obcymi ssakami, z którymi na pewno warto się zaprzyjaźnić. Dlatego podpełzają, żeby się przytulić, kładą głowy na kolanach i spoglądają najpiękniejszymi maślanymi oczami, jakie można sobie wyobrazić. Jeśli się nie ruszamy, czasem kładą na nas całe swoje dwieście kilogramów szczenięcej miłości i ufnie zapadają w drzemkę. Antarktyda jest dla mnie rajem – to tak powinien ten świat wyglądać. Zapraszam do swojego rajku...

*Książkę tę dedykuję mojemu ojcu, który jako pierwszy zaprowadził mnie do lasu. Hani, którą sam do lasu prowadzę. A także Asi, która całe to prowadzenie cierpliwie znosi. Ta opowieść jest hołdem dla wszystkich wspaniałych istot, które spotkałem na swojej drodze.*

## **I. Miłe początki**



Rosomak

## 1. Domowy inwentarz

Na początku był Kuba, kulawy wróbel z orlim charakterem. Spotkaliśmy się, kiedy obaj byliśmy jeszcze świeżo wypierzonymi pisklakami. Miałem dwanaście lat, a on około trzech tygodni. W tym wieku wróble opuszczają gniazda, ale rodzice ciągle się nimi zajmują, póki nie nauczą się porządnie latać i same o siebie dbać. Dlatego w czerwcu wszędzie można spotkać wróble podlotki. Kryją się wśród krzaków i udają myszy. Niestety, wiele osób chwytą je wtedy w tak samo szlachetnej, jak nieprzemyślanej intencji ratowania im życia.

Tak też było z Kubą. Dorwała go grupa dzieciaków, a przyspieszony kurs latania, który mu zafundowali, doprowadził do tego, że kiedy zjawilem się ja, pierzasty młodzieniec miał złamaną nogę i wyglądał na dość sponiewieranego. Byłem starszy, więc bezceremonialnie uratowałem go z niewoli i zaniosłem do domu.

Pojony pipetą, karmiony przeżutym chlebem i ziarnami szybko doszedł do siebie. Założyliśmy mu na nogę łubki z igielitowej rurki i po kilku tygodniach złamanie się zrosło, choć noga nigdy nie odzyskała pierwotnej sprawności. Ale nie przeszkadzało mu to kicać po całym mieszkaniu i siadać domownikom na ramionach, głowach i brzuchach, jeśli ktoś się akurat położył.

Początkowo myślałem, że go odchowam i wypuszczę. Szybko się jednak okazało, że jest zbyt nieustraszony, by mógł się nacieszyć życiem na wolności. Już podczas pierwszego wspólnego spaceru poleciał przed siebie i usiadł tuż przed nosem psa mojej koleżanki z klasy. Dobięłem tam prawie jednocześnie i zabrałem go w momencie, gdy owczarek otrząsnął się z osłupienia i kłapał szczęką w miejscu, gdzie chwilę wcześniej siedział nieoczekiwany przybysz. A zatem nie, Kuba nie został dzikim wróblem. Bałem się też, że wypuszczony na dwór zgubi się wśród pełnych identycznych okien ursynowskich bloków, więc pozostałe siedem lat życia spędził, latając po naszym mieszkaniu i towarzysząc nam na każdym kroku.

Zawsze spał w moim pokoju, na szafie z książkami. Szybko się przyzwyczailiśmy do zostawianych przez niego białych pamiątek – wróble niestety nie mają pojęcia o istnieniu kuwet. Rano budził mnie do szkoły, siadając na poduszce i ćwierkając. Niestety nie miał również podstawowej wiedzy o kalendarzu i nawet w niedziele nie dało się go zignorować. Jeśli ćwierkanie nie wystarczało, zaczynał mnie dziobać i zawsze wybierał najbardziej wrażliwe miejsca – jak nie w ucho, to w wargi albo wewnętrzną część nosa. Przy śniadaniu przylatywał do kuchni, siadał komuś na głowie i dziobał delikatnie, domagając się udziału w porannych kanapkach. Oczywiście miał swoje jedzenie i dostęp do wody. Najbardziej lubił proso i świeże muchy i pasikoniki. Wodę lubił pić z wypełnionej po brzegi butelki po mleku stojącej na parapecie. Całymi dniami przesiadywał na jej krawędzi. Kąpał się regularnie i kontrolował, czy wszystko na świecie jest w porządku. Wracających do domu domowników witał gniewnym ćwierkotem i dziobał w ugodowo wyciągnięty palec. Stawał się przy tym tak zajadły, że można było cofnąć rękę, a on dalej wisiął na palcu, uczepiony niczym pitbul. Uspokajał się dopiero, kiedy się go postawiło z powrotem na butelce i podrapało po głowie. Zamykał wtedy oczy w rozkoszy i chyba nam wybaczał, bo chwilę później znowu przemierzał

swój świat na ramieniu któregoś z członków rodziny.

Szczególnie upodobał sobie mojego ojca. Pewnie dlatego, że on oficjalnie nigdy nie lubił zwierząt. Od tego czasu właściwie wszyscy nieludscy domownicy lgnęli do niego jak opętani czułością szaleńcy. Moje koty do tej pory walczą o jego kolana, choć kotów ponoć nie cierpi szczególnie. Ale wróćmy do Kuby i jego nieopanowanej fascynacji. Siadał ojcu na ramieniu, kiedy ten snuł się rano po domu w ulubionym swetrze. Później, gdy musiał się przebrać przed wyjściem do pracy, zrećnie po nim kicał. Nawet kiedy ojciec go zdjął, wciąż na nim siedział, aż do chwili, kiedy ojciec zwinął go w wełnianą kulę, gotową do odłożenia. Wtedy podskakiwał energicznie, siadał na odsłoniętym ramieniu świeżej koszuli i natychmiast tryumfalnie dodawał do niej swoje połyskujące białą pagony. Oczywiście im bardziej ktoś się spieszył, tym skrzętniej nasz wróbel dbał, żebyśmy przypadkiem nie wyszli z domu nienaznaczeni ptasim błogosławieństwem. Nie dało się go nie lubić.

Kuba nie był jedynym pierzastym członkiem naszej rodziny. Niedługo po nastaniu jego panowania zagościły u nas zeberki, małe amadyny rodem z Australii. Pierwszy pojawił się samczyk. Przyleciał na balkon mojej wrocławskiej ciotki i poprosił o azyl. Dokupiliśmy mu małżonkę i z wakacji wracałem do Warszawy z dwoma drobnymi ptaszkami w klatce. Ale ich stadło było z góry skazane na klęskę. Spragniony towarzystwa Kuba całymi dniami przesiadywał na ich domostwie, a zauroczona nim samiczka całkowicie ignorowała swojego prawowitego partnera, który wszak od naszego wróbla był dwa razy mniejszy. Dzielnie znosiła mu jaja w pieczołowicie przygotowanej przeze mnie budce, ale w ogóle nie chciało jej się ich wysiadywać. Woląa spędzać czas na najwyższej żerdce, tuż pod Kubą, wdzięcząc się do niego bezwstydnie. Jej smutny mąż siedział w drugim kącie, nastroszony i sfrustrowany. Jajeczka wciąż się pojawiały, ale wszystkie marzły bez opieki, aż wreszcie wykończona patową sytuacją samiczka umarła dyskretnie przy kolejnym z nich. Opuszczony w ten sposób samczyk postanowił zmienić strategię i zostać wróblem. Wylatywał czasem z klatki i we wszystkim naśladował starszego kolegę. Nie oswoił się tak jak on, ale bardzo się starał, choć Kuba ignorował go na całej linii. Amadyn coraz więcej czasu spędzał przy Kubowym poidle, ale bycie wróblem wyraźnie go przerastało. Jak właściwie dało się przewidzieć, podczas którejś z kolejnych prób prawdziwie wróblej kąpieli biedny imigrant wpadł do zbyt szerokiego dłań otworu butelki i utonął, gdy nikogo z ludzi nie było w pobliżu. Jeszcze jedna tragiczna historia z nieosiągalną miłością, rozpaczą i flaszką w tle...

Jako nastolatek oczywiście nie miałem wielkiego pojęcia o opiece nad delikatnymi zwierzętami. Dziś historia naszych zeberek pewnie potoczyłaby się inaczej. Od początku przyjęłaby inny obrót. Przede wszystkim na pewno nie brałaby w niej udziału klatka – wtedy wydawało mi się, że mieszkając w niej, ptaki będą bezpieczniejsze. Dziś myślę, że takie ograniczanie wolności mieszkańców przestworzy jest barbarzyństwem. Dom nie jest dobrym miejscem dla ptaków, ale te, które do mnie trafiły – podobnie jak ssaki – zawsze były ratowane z opresji i przygarniane. Nie wierzę w kupowanie rasowych zwierząt i zgadzam się z przekonaniem, że póki w schroniskach żyje choć jeden pies lub kot, nie mamy moralnego prawa rozmnażać ani kupować sobie towarzyszy. Zawsze gdzieś jest ktoś, kto potrzebuje naszej pomocy.

Po trwającym nieco ponad rok epizodzie australijskim Kuba został na włościach sam. Aż do pewnego wiosennego dnia, gdy dostał od nas szczeniaka. Bo przecież tak to wyglądało –

Kuba od trzech lat mieszkał u siebie, a Bilbo, choć już w wieku sześciu tygodni przerastał go wielokrotnie swoją puchowatością, od początku znalazł się na podporządkowanej pozycji, o czym nasz dzielny wróbel nie omieszczał go bardzo dotkliwie poinformować w ciągu pierwszych paru minut szczenięcej obecności w domu. Myślę, że nos naszego psa na długo zapamiętał, czym się kończy radosne obwąchiwanie pewnego siebie łuszcza. Przez resztę ich wspólnego życia Kuba przypominał mu o tym regularnie. Ta hierarchia utrzymała się właściwie do końca życia suwerena. Choć dla dorosłego Bilba Kuba był stworzeniem mniejszym od psiego ucha, to wróbel zawsze miał dostęp do psiej miski jako pierwszy. Buzujący wilczym apetytem Bilbo codziennie musiał cierpliwie czekać, aż beczelne ptaszysko skończy się opychać jego kaszą. Gdy Bilbo dostawał kość (przy okazji – wciąż mówimy o latach osiemdziesiątych XX wieku, na kilka dekad przed ekranizacją tolkienowskiej sagi, w zamierzonych czasach, przed wymyślnymi psimi karmami, internetem, aparatami cyfrowymi, zachodnimi batonami czekoladowymi, McDonaldem i telefonami komórkowymi. Mówimy o zgrzebnych czasach późnego PRL-u, gdy stan wojenny już się wprawdzie skończył, ale kryzys ekonomiczny miał się dobrze, gdy rodzice wciąż puszczały swoje dzieci na ulicę z kluczem od domu na szyi, ze szkoły pod dom można było wracać nawet cztery godziny i nikt się nie niepokoił, najlepsze wakacje polegały na tym, że się jechało pod namiot gdzieś w dzikie Podlasie, w Bieszczady lub na Mazury, a przed każdą taką wyprawą należało kupić stertę ciężkich puszek z konserwami, bo wiadomo, że na miejscu niczego się kupić nie da. O takich mówimy czasach). A zatem: gdy Bilbo dostawał kość, nasz nieustraszony wróbel siadał mu na siekaczach dolnej szczęki niczym któryś z afrykańskich czyścicieli w paszczy krokodyla i sam ową kość ochoczo obdziobywał, prosto z psiej gardzieli. Do dziś żałuję, że nie miałem wtedy aparatu. Mina mojego ogromnego psa, w którego pysku rządził się wróbel, jest tym obrazkiem mojego dzieciństwa, który chciałbym zachować na zawsze.

Bilbo wyrósł na wspaniałego psa. Z artystyczną swobodą radośnie łączył cechy wszystkich możliwych ras, jakie miały w nim swój udział, ale kwadratową sylwetką najbardziej przypominał rosłego malamuta, tyle że ubarwionego jak podpalany wilczur. Do tej pory uważam, że tak wygląda pies idealny. Wielki, bardzo kudłaty i niesłychanie wrażliwy, towarzyszył mi wszędzie, a jego dumnie zakręcony ogon był sztandarem najfajniejszych przygód mojego dzieciństwa i bolesnej nastoletniości. Jeśli chodzi o charakter, to prezentował raczej typ refleksyjnego amanta z upodobaniem do starszych pań (jego największą życiową miłością pozostała niewiarygodnie antyczna i bardzo oryginalnie urodziwa suczka z trzeciego piętra) niż wojownika. Złośliwi mogliby nawet twierdzić, że był dość tchórzliwy, ale ja wolę o nim myśleć jako o urodzonym pacyfście. Faktycznie, walk unikał, a większość dużych psów obchodził szerokim łukiem albo wręcz odmawiał obchodzenia całkowicie: stawał w miejscu i nagle stwierdzał, że właściwie zamierzał iść w przeciwną stronę. I to bardzo szybko. Ale jak przyszło co do czego, pokazywał, że tak naprawdę radzi sobie świetnie. Musiał tylko mieć motywację. Myślę, że jego łagodność mogła wynikać z tego, że wzrastał w przekonaniu, że jest słabszy od wróbla, bo przez pierwszych kilka lat życia wciąż musiał ustępować pierzastej złośliwości. Kuba był bezlitosny. Często z czystej nudy podlatywał do ufnie śpiącego na plecach psa tylko po to, by dziobnąć go w nos albo w mosznę (zawsze przejawiał talent do wyszukiwania czułych punktów). Gdy obudzony gwałtownym bólem Bilbo stawał nagle na nogi, Kuba już na niego czekał, nastroszony i wściekle ćwierkający, gotów do rozróby. A nasz pies mimo wszystko go uwielbiał, choć na ogół wróbel odwzajem-

niał miłość bardzo niesprawiedliwie: Bilbo kochał Kubę, a Kuba kochał go prześladować. Z czterech lat ich współistnienia pamiętam tylko jedną sytuację, gdy wredne ptaszysko zbliżyło się do swojego wielkiego przyjaciela w ewidentnie przyjaznych zamiarach, a i ta sytuacja okazała się symptomatycznie nacechowana bezczelnym wykorzystaniem.

Którejś zimy, jak to się wtedy zdarzało, znowu wysiadło nam centralne ogrzewanie. W domu było zimno, wszyscy chodzili w swetrach, a Bilbo (zawsze zimnolubny) w pełni korzystał z dobrodziejstw swojego grubego futra. Jak się okazało, nie tylko on. Idąc przez przedpokój, zauważyłem, że mój pies leży wprawdzie na swoim stałym miejscu przy drzwiach, ale odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak. Leżał sztywny jak sfinks, z wybałuszonymi z przejścia ślepiami. Obejrzałem go dokładniej. Dopiero po chwili dostrzegłem ruch przy lewej tylnej nodze – z psiej pachwiny wystawała bezwstydnie uśmiechnięta ptasia główka. Kuba najwidoczniej potrzebował przytulnego schronienia, a gdzie może być cieplej i wygodniej niż w zgięciu psiej nogi, przy samym atlasowym brzuchu? Bilbo jeszcze przez godzinę nie śmiał się ruszyć. W końcu zadowolony z siebie wróbel się wygrzał i poleciał coś zjeść.

Kuba przeżył siedem lat, po czym zapadł na przeziębienie. Kaszłał przez tydzień, a potem umarł. Bilbo znalazł go rano. Zaczął delikatnie podnosić ptasie truchelko i podrzucać w nadziei, że ukochany prześladowca jeszcze poleci. A potem wpadł w kilkudniową depresję.

Lata wyuczonyj delikatności wobec małych zwierzątek sprawiły, że nasz pies w zasadzie chciał się opiekować każdym, a zęby pokazywał tylko wtedy, gdy czuł, że któryś z jego podopiecznych jest zagrożony. Spośród wszystkich psich ras składających się na tę wspaniałą miksturę najsilniejszy wpływ na jego charakter miała znacząca domieszka owczarka. Co ciekawe, musiał to być owczarek do wypasania manatów albo innych wodnych stworzeń, bo odpowiednie instynkty ujawniały się dopiero po dodaniu do nich wody. Uwielbiał pływać, ale żył w przekonaniu, że poza nim nikt tego nie potrafi. Dlatego pierwsza i ostatnia próba wspólnej z nim kąpieli o mało nie skończyła się dla mnie tragicznie – kiedy do mnie podpłynął, złapał mnie mocno za bark i zaczął wyciągać z wody. O mało się nie utopiłem, a ramię przestało drętwieć po trzech dniach. Jakoś udało mi się wyrwać, ale mój wierny obrońca stał między mną a brzegiem. Musiałem go wywabić na głębszą wodę, a potem opłynąć pod spodem i pędem wrócić na ląd. No i zapomnieć o dalszych zabawach. W płytkiej wodzie nie było lepiej. Kiedyś wybraliśmy się z grupą przyjaciół na spacer Narwią. Szliśmy wzdłuż jej płytkiego nurtu. Bilbo najpierw szczekał zaniepokojony, potem zaganiał maruderów do środka grupy i podgryzał tych, którzy chcieli kawałek podpłynąć, aż w końcu zaczął krążyć wokół naszej ciasnej już gromadki. Odprowadził nas na miejsce niczym stado potulnych rzecznych owiec. Czuliśmy się nadzwyczajnie zaopiekowani.

Tylko raz widziałem go walczącego. Wtedy też chodziło o zagrożenie, w jakim się znalazł jego mniejszy kolega. Miałem szesnaście lat i jakoś tak się składało, że za każdym razem, gdy z nim wychodziłem i zaczynałem na niego gwizdać, zupełnym przypadkiem zjawiała się jakaś koleżanka ze swoim pupilem. Żeby nam zapewnić miłe towarzystwo, musiałem więc tylko wybrać odpowiedni blok. Oznaczało to, że Bilbo miał dwóch psich kolegów: cocker spaniela i pudła. Z każdym z nich się dosyć lubił, ale każdego czasem strofował. Któregoś dnia mój pies odbiegł dosyć daleko, a na „jego” spaniela rzuciły się dwa duże psy. Wilczur stał nad nim i okładał go kagańcem, a wyżeł podgryzał wszystko, co wystawało spod wilczurra. Wyglądało to fatalnie. Koleżanka we łzach, ja w panice szykowałem się do bohaterskiej



i samobójczej interwencji, gdy nagle usłyszałem tętent szarzy ciężkiej kawalerii – Bilbo z rozpędu najpierw dosłownie zmiotł z ziemi wyźła, potem zatoczył koło i to samo zrobił z owczarkiem. Na koniec zatoczył kolejne koło i sam zaczął tarosić biednego spaniela – widać nie lubił się dzielić zabawkami. To był jego kolega do gryzienia.

Sympatia do małych stworzeń wyćwiczona na Kubie bardzo nam pomogła, gdy w rodzinie pojawił się Zygmunt, introwertyczny zółw stepowy. Zygmunt zresztą przeżył swoich kompanów. Ma się dobrze od dwudziestu pięciu lat. Jest wprawdzie trochę zamknięty w sobie, ale to prawdziwy twardziel. Nawet teraz, gdy piszę, głośno i lubieżnie konsumuje swój wieloletni romans z towarzyszącą mu w terrarium doniczką.

Wszyscy wiemy, że zółwie nie zawsze są powolne. Ale wychodzenie z nimi na spacer nie należy do najbardziej ekscytujących przygód. Dlatego najlepiej sprawdzało się siadanie na trawie z Zygmuntem w pobliżu i książką w rękę. Tyle że potem zawsze był problem ze znalezieniem pancernego towarzysza. Postanowiłem więc zaprząć do roboty owczarka. Oczywiście nie obyło się bez nieporozumień – gdy spytałem po raz pierwszy, gdzie jest Zygmunt, Bilbo ochoczo go zaaportował. To nie było najlepsze rozwiązanie, zwłaszcza z punktu widzenia Zygmunta. Po kilku słowach korekty (Bilbo był bardzo mądry i szybko się uczył) przeszliśmy do radosnego walenia łapą w zaginioną skorupę. To też pozostawiało wiele do życzenia. Po moim następnym komentarzu ustaliliśmy, że znalezionego zółwia wystarczy obszczekać (jemu to nie przeszkadzało, zółwie nie słyszą takich dźwięków) i od tego czasu stosunki psio-gadzie układały się wzorowo, choć Bilbo chyba do końca życia nie wyszedł ze zdumienia, że ma w domu chodzącą i gryzącą w nos kość.

Jedną z wielu cech tego cudownego psa, które tak przyjaźnie mnie do niego nastrajały, był jego entuzjazm wobec upałów. Miał go tyle samo co ja. Ujawnił się już w czasie naszych pierwszych szczenięcych spacerów. Od początku dziwił nas jego sposób spacerowania – galop do przodu, czekanie na resztę rodziny, coraz większa rozpacz, gdy go mijaliśmy, i znów bieg. Dopiero po chwili zauważyliśmy, że biegnie od cienia do cienia, żeby jak najkrócej przebywać na słońcu. I tak mu już zostało. Latem najchętniej całe dni spędzał zanurzony po szyję w jeziorze, a na spacerzy lubił wychodzić dopiero po zmroku. Za to w zimie mógł cały dzień buszować w śniegu. Zdecydowanie było to jego naturalne środowisko.

W sześć lat po nastaniu Bilba nadeszło wyjątkowo gorące lato. Któregoś dnia nie było mnie wieczorem w domu. Moi rodzice postanowili wyjść z nim na wieczorny spacer: wokół górki pod naszym blokiem. Bilbo, zawsze skory do zabawy i pełen energii, radośnie wbiegł na górkę, ale kiedy kilka minut później rodzice ją obeszlili, leżał już martwy po drugiej stronie. Jego serce nie wytrzymało lipcowego gorąca.

Śmierć Bilba, towarzysza wszystkich moich przygód i stałego kompana czasów dorastania, była bolesnym i symbolicznym końcem mojego dzieciństwa. Dla mnie to była pierwsza śmierć kogoś tak bliskiego. To, że niespodziewana, wiązało się oczywiście z ciężkim szokiem tych, którzy pozostali. Pocięszam się tylko, że mój przyjaciel nie cierpiał i że do ostatniej chwili żył pełnią życia. To najważniejsze. Żywi sobie poradzą.

Po Bilbie zostały mi wspaniałe wspomnienia i kilka pozrywanych karabinków alpinistycznych, na których naiwnie próbowałem go przytrzymać (zwykle gięły się jak plastelina). Uwielbiam psy, ale jak dotąd żaden inny nie pojawił się w moim stadzie, i dopóki nie mam domu z ogrodem i dopóki często wyjeżdżam, żaden się nie pojawi. Mam nadzieję, że Bilbo nie miałby mi za złe, że wszyscy jego następcy dużo częściej miauczą, niż szczekają.



## 2. Era kotów

Choć od zawsze podziwiałem koty, jakoś tak się składało, że bardzo długo z żadnym z nich za dobrze się nie znałem. Spotykałem koty na wakacjach i u znajomych, były to jednak tylko przelotne romanse. Utwierdzały mnie w przekonaniu, że to jedno z najbardziej udanych zwierząt na świecie. Do tej pory uważam, że stwarzając koty, Darwin był w najlepszej formie. Tak doskonałe połączenie idealnej gracji z bezkompromisową skutecznością zabójcy wymagało najwyższej inspiracji. O tym, jak świetną konstrukcją ewolucyjną są koty, świadczy chociażby ich sukces – żyją praktycznie we wszystkich lądowych ekosystemach, wszędzie są szczytowymi drapieżnikami i niezależnie od wielkości wszystkie właściwie wyglądają tak samo. Może jedynym wyjątkiem jest gepard, który pod niektórymi względami jest trochę bardziej psem niż kotem (nie umie chować pazurów i ma je lepiej przystosowane do bieganina, mniej zaś do wspinania się na cokolwiek i łapania ofiar). Ale jeśli przyjmiemy, że gepard to kot, który postanowił zostać psem i polować jak psy, to *chapeau bas!* Bo jako wybitny sprinter w byciu psem jest lepszy od innych psów. Znowu koty górą!

Być może spod profesjonalnego obiektywizmu delikatnie przebija tu moje absolutne uwielbienie dla kotowatych, ale nic na to nie poradzę. Kocham je i już.

A jednak zanim w moim domu pojawił się pierwszy z nich, minęło sporo czasu. Jak to ponoć zwykle z kotami bywa, nie tyle ja zdecydowałem się w końcu na kota, ile Kot (od razu wielką literą) postanowił zamieszkać ze mną. Badałem wtedy norki na Mazurach. To był wyjątkowo zimny listopad – z temperaturami dochodzącymi do minus dwudziestu stopni. Mieszkałem w stacji terenowej Uniwersytetu Warszawskiego w Urwitałcie i właśnie przyjechała kolejna grupa studentów, żeby mnie wspierać w terenie. Dla nich to były aktywne ferie w pięknym miejscu, dla mnie konkretna pomoc w badaniach. Urwitałt leży z dala od cywilizacji, od najbliższego miasteczka (Mikołajek). Żeby się do nas dostać, należało drałować jeszcze sześć kilometrów. Tego wieczoru, gdy przyszli studenci, za nimi, nieprzesadnie dyskretnie, przybiegł Kot, którego spotkali na pobliskim moście. Kotów w okolicy zawsze było sporo. Na wiejskich terenach dziczyły koty są jednymi z najliczniejszych drapieżników. Jeśli chodzi o nie, walczą we mnie bezgraniczna sympatia ze świadomością, że dzika przyroda to nie jest miejsce dla nich i że ich nienaturalnie duża liczebność (koty zawsze dostają trochę jedzenia w okolicznych gospodarstwach, więc jest ich na ogół więcej, niż pozwala ekologiczna pojemność środowiska) prowadzi do niewspółmiernie dużych strat w populacjach ofiar. Nie będę ukrywał, że na stacji przywitałem go dość oziębło. Dostał wprawdzie trochę ryby przeznaczonej do zachęcania norek, by wchodziły do pułapek żywołownych, ale do budynku nie miał wstępu. Przynajmniej w teorii. Cóż jednak może zdziałać chłód zawodowego naukowca w zderzeniu ze spontaniczną litością młodych studentów i studentek? Kiedy dzień później Kot dalej kręcił się po okolicy, jedna z moich pomocniczek pozwoliła mu wejść do środka. Natychmiast rozsiadł się na fotelu przed telewizorem, czym mocno podważył moją pierwotną hipotezę o swojej dzikości i udowodnił, że doskonale wie, co kot w domu robić powinien. Jego zaufanie do obcych było o tyle dziwne, że bliższe oględziny wykazały po-

przypalane wąsy i przegryziony język, prawdopodobnie od uderzenia w pyszczek. Nie miał z ludźmi dobrych doświadczeń.

To niesamowite, jak uratowane zwierzęta dają nam drugą szansę. Kot najwyraźniej uznał, że nam może zaufać. Mój opór też już zdecydowanie osłabł. Dostawał już regularnie posiłki i miał wstęp do domu, ale pojawił się nowy problem. Wobec coraz bardziej oczywistej domowej proweniencji naszego lokatora perspektywa opuszczenia przez nas tydzień później stacji nasunęła nam pytanie: co dalej z Kotem? Ewidentnie nie było to dzikie zwierzę, a mrozy wciąż trzymały. Zatem Kot wraca ze mną. Ponieważ nie mam i nie umiem prowadzić samochodu, obiecał nas wziąć kolega.

Nasłuchałem się w życiu o podróżach z kotami, o tym jakie to dla wszystkich traumatyczne doświadczenie. No, ale trudno, co zrobić. Postarałem się o solidne pudełko, zważyłem tam Kota, włączyłem alarm w budynku, zamknąłem stację. Jedziemy! Cóż mogę powiedzieć? Było strasznie. Kot walczył jak tygrys albo inna pantera. Ledwo udawało mi się domykać raptownie rozpadającą się w strzępy pokrywkę pudełka. Oczywiście teoretycznie istniała możliwość wypuszczenia go z tymczasowego więzienia, ale wizja kociej furii skaczącej po całym samochodzie na ruchliwej trasie skutecznie nas zniechęcała.

Pudełko dotrwało jakoś tak do Myszyńca, czyli przetrwało jakieś siedemdziesiąt kilometrów, może jedną czwartą trasy. Przez rozdarty karton wysunęła się pazurzasta łapa, po chwili druga, potem wściekle najeżony zębami pysk. Koci Armagedon wydawał się nieunikniony, szykowaliśmy się na najgorsze. W końcu nic już nie mogło go powstrzymać. Rozjuszony kocur wyskoczył z pudełka i... położył się na półce pod tylnym oknem, po czym spokojnie zasnął, by się zbudzić dopiero w Warszawie. To nie był ostatni raz, ale z pewnością pierwszy, gdy kocie dostojeństwo sprawiło, że poczułem się jak idiota.

Jak wiemy z filmowej klasyki, osiedlenie się w prawdziwie własnym domu to moment, w którym kot powinien zyskać imię. Nie jestem wprawdzie Holly Golightly, ale ja też stanąłem przed tym wyzwaniem. I wtedy właśnie sobie uświadomiłem, że mój (przy zachowaniu wszelkich proporcji, czyli zakładając karkołomnie, że kot w ogóle może być czyjś) Kot imię już ma. Każdy kot ma zdecydowanie zbyt wysokie stężenie osobowości, żeby mu próbować imię nadawać. Nazywanie kota, czyli formalne zawłaszczenie go, wydawało mi się afrontem, nieomal bluźnierstwem. Stwierdziłem, że nie mam prawa tego robić. Kot doskonale zniósł przeprowadzkę do stolicy. W moim mieszkaniu żyło wtedy troje ludzi i Zygmunt, a także czarny szczur imieniem Karol. Ten jako jedyny z nowego towarzystwa wyraźnie się nie ucieszył (bez wzajemności, Kot był wręcz zachwycony!) i dosyć szybko poprosił o azyl u rodziny swojej właścicielki (znowu w bardzo umownym sensie tego słowa), gdzie dożył szczęśliwej starości. Z pozostałymi domownikami Kot natychmiast bardzo się zaprzyjaźnił.

Był absolutnie fantastyczny. Okazało się na przykład, że za pierwszym razem to pudełko go wkurzało, ale w ogóle podróżować bardzo lubi, zarówno metrem, jak i dalekobieżnym pociągami, autobusem czy samochodem. Zabierałem go ze sobą, gdzie tylko mogłem. Na kilka lat stał się wiernym towarzyszem moich badań terenowych. Okolice zwiedzał na ogół na własną łapę, ale zawsze dokładnie wiedział, kiedy przychodziła pora na powrót i nigdy nie musiałem go szukać. Stał się żywym dowodem na to, że mit o kocim przywiązaniu do miejsca, a nie do człowieka, to kompletna bzdura. Z punktu widzenia Kota jego terytorium rozciągało się tam, gdzie akurat byłem ja. Oczywiście zdarzało się, że przez swoją nonszalancję pakował się w kłopoty. W tamtym czasie moi rodzice bardzo słusznie uznali, że nie bardzo

im się chce urządzać grudniowe święta w domu i że lepiej ten czas spędzić w rodzinnym gronie, ale bez stresów i kulinarnych wysiłków. Dlatego w zimie jeździliśmy do Pułtuska. Przez kilka lat wynajmowaliśmy tam mały domek nad wodą. Kot, rzecz jasna, jeździł ze mną. Pierwszy raz, kiedy jeszcze za dobrze się nie znaliśmy. Mieszkał ze mną niecały miesiąc i to był nasz pierwszy wspólny wyjazd, więc nie wiedziałem, czego się spodziewać, tym bardziej że wedle ocen weterynarzy Kot nie miał jeszcze roku. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się niepokoiłem. Chwilę po rozpakowaniu bagaży i obejrzeniu domku grzecznie poprosił o wypuszczenie na dwór. Chciał pozwiedzać okolicę.

Co jakiś czas wychodziłem na zewnątrz – w końcu było dość zimno, okolica obca, Kot do domku jeszcze nie przywykł. Za którymś razem nagle moją uwagę przykuł przenikliwy koci wrzask. Kilkadziesiąt metrów dalej zobaczyłem Kota w pełnym galopie, mknącego w stronę otwartych drzwi domku. Biegł, wzburzając śnieg i kłęby wyrwanych kłaków, a tuż za nim pędził miejscowy kocur, ogromny i wściekły rudzielec. Po chwili drzwi rozdzieliły oburzonego rezydenta i bardzo skruszonego gościa, który do końca naszego tam pobytu owszem, wychodził, ale bardzo ostrożnie i na krótko. Dostał nauczkę i wyciągnął wnioski. Jak się okazało – na długo.

Rok później znaleźliśmy się w tym samym miejscu. Kot w międzyczasie urósł i zmężniał. Znaliśmy się już świetnie i mieliśmy za sobą niejedną wyprawę. Nie wiedziałem, czy pozna miejsce swojej sromotnej klęski. Poznał, choć nie od razu. Po chwili oznajmił, że ma do załatwienia na dworze coś bardzo ważnego. Wypuściłem go, zastanawiając się, co zrobi. Odszedł spiesznie, wyraźnie czegoś szukając. Nagle moją uwagę zwrócił przenikliwy koci wrzask. Kilkadziesiąt metrów dalej zobaczyłem Kota w pełnym galopie. Biegł, wzburzając śnieg i kłęby wyrwanych kłaków, a tuż przed nim pędził miejscowy kocur, ogromny i wściekły rudzielec! Aha, taką miał sprawę. Dokonawszy zemsty, wrócił do domu, wyraźnie z siebie zadowolony. Do końca spędzał na dworze mnóstwo czasu, a obrzydliwy uśmiech nie schodził mu z pyszczka. Czuliśmy się nawet trochę głupio.

Kot był absolutnie wspaniały. Kot w wersji eksportowej. Kiedy wyjeżdżałem sam, nie mogłem go podrzucać dwa razy tej samej osobie, bo później nikt nie chciał go oddać, a ja miałem wrażenie, że jestem jak gestapowiec przychodzący nad ranem po członka rodziny. Nawet ludzie deklarujący nienawiść dla kotów po kilkudniowym obcowaniu z moim przyjacielem natychmiast jakieś koty przygarniali. Miał wspaniały charakter, nikogo się nie bał, ze wszystkimi szybko się zaprzyjaźniał. A jakby tego było mało, miał jeszcze włącznik, którego demonstracja roztapiała ostatnie lodowe ściany w ludzkich sercach. Wystarczyło go podrapać po grzbiecie u nasady ogona, a nagle sztywniał cały z maksymalnie wyciągniętą szyją, by po chwili, z zachowaniem sztywności, rytmicznie zacząć bujać głową to w lewo, to w prawo. Nikt nie mógł mu się oprzeć.

Niedługo po powrocie ze świątecznej batalii Kot miał wypadek. Mieszkam na poddaszu. W nocy padało, ale było ciepło, więc zostawiliśmy dachowe okna uchylone. Musiał zobaczyć na zewnątrz coś kuszącego i ześliznął się po mokrym blaszanym dachu, bo rano znaleźliśmy go miauczącego żałośnie pod krzakiem – cztery piętra niżej. Miał rozbite poduszki obu przednich łap, wybite siekacze i złamaną prawą przednią łapę. Rehabilitacja trwała długo, z całą procedurą zdejmowania sobie kolejnych gipsów, gdy tylko ktoś mu je założył. Skończyło się na platynowym implancie. Przez ponad miesiąc Kot kuśtykał z łapą wyciągniętą w geście zamawiającego pięć piw narodowca, a kiedy miauczał, seplenił. Już do końca życia.

Niestety jego ruchliwość siłą rzeczy została ograniczona: nabranej wtedy dodatkowej masy już nigdy nie zdołał się pozbyć.

Kot doszedł do siebie, a w składzie naszej kilkugatunkowej watahy niespodzianie zaszły zmiany. Pracowałem wtedy jako wolontariusz w jednym z podwarszawskich schronisk dla zwierząt. Co tydzień jeździłem ze znajomymi wyprowadzać tamtejsze psiaki. Polecam to każdemu – trochę ruchu na świeżym powietrzu i ogromna wdzięczność zwierząt desperacko wypatrujących wszelkiej życzliwości. Tego się nie da przecenić. Oczywiście jak w każdym schronisku była tam też kociarnia. Któregoś razu postanowiłem ją odwiedzić. Jak mi później wyznali moi podstępni przyjaciele, wiedzieli, że nie wyjdę sam. Mieli rację. W różnorodnym tłumie kotów w różnym wieku, na samym środku Sali, siedziała młoda dziewczyna. Głaskała coś, co miała na kolanach. Już właściwie w drzwiach zacząłem się łamać, a kiedy spojrzała na mnie, podnosząc to coś w dłoniach, i zapytała: – Może tego? – już było po balu. Trzymała najbrzydsze małe zwierzątko na świecie, kocurka. Okazało się, że jest tak słaby, chory i śmierdzący, że nikt go nie chce. Schronisko wbrew zasadom oddało mi go za darmo, „bo i tak pewnie długo nie pociągnie”. Od razu pojechaliśmy do weterynarza. Okazało się, że kocurek w rzeczywistości jest kotką, w dodatku chorą na wszystkie możliwe kocie choroby, ale niezwykle ufną i bardzo spragnioną miłości. Mała, bo automatycznie tak została nazwana, dostała mnóstwo zastrzyków, witamin i innych medykamentów, po czym wróciliśmy do domu z zaleceniem ścisłej kwarantanny. Przez następny tydzień mieszkała w dużym pokoju i powoli dochodząc do siebie, obwąchiwała się z Kotem przez szparę pod zamkniętymi drzwiami. Była tak wdzięczna, że gdy chodziłem do niej popracować, siadała mi na przedramieniu i owijała się wokół nadgarstka jak ciepła śmierdząca mufka. Nie puszczała mnie ani na chwilę, a kiedy wychodziłem z pokoju i zamykałem drzwi, wpadała w czarną rozpacz.

Mimo że zostały rozdzielone, po tygodniu Kot zachorował. Jego zdrowy mazurski organizm nigdy nie miał kontaktu z miejskimi chorobami. Trzymał się dzielnie, ale w końcu cały spuchł i padł, a ja zacząłem codziennie chodzić do weterynarza z dwoma kotami. Musiał minąć tydzień, nim Kot poczuł się nieco lepiej. A Mała w tym czasie bardzo się ożywiła. Biegała po całym mieszkaniu i próbowała go wciągnąć do zabawy. Jemu jednak zabawy były w głowie. Jak tylko odzyskał pełnię sił, poszedł na Małą zapolować. Mimo jej głośnych protestów złapał ją za łeb i przez pół godziny lizał do czysta, od nosa po czubek ogona. Dopiero wtedy, gdy według niego nowa koleżanka zaczęła się do czegoś nadawać, jego wujowska miłość rozkwitła. Tworzyli parę absolutnie nierozłączną. Małą zachwyciła ta adopcja, a Kot odnalazł w sobie instynkty rodzicielskie, o których sam pewnie nie miał pojęcia.

Zmieniło się coś jeszcze. Do tej pory, kiedy ktokolwiek z trojga ludzkich domowników wracał do domu, już z parteru dało się słyszeć głośne miauczenie. Kot rzucał się na nas w drzwiach i nie odstępował na krok, na wszystkie sposoby okazując zachwyty, że znów ma towarzystwo. Kiedy nastawała Mała, oba koty, owszem, uprzejmie nas witały, ale po chwili wracały do swoich zajęć. Wtedy sobie uświadomiłem, że już nigdy nie będę trzymał w domu jednego kota. To zwyczajne okrucieństwo. Z dwoma jest tyle samo roboty i ta sama odpowiedzialność. Schodzi tylko trochę więcej karmy i żwirku, ale te inteligentne zwierzęta są dużo szczęśliwsze w towarzystwie przyjaciół. Nie ma codziennej wielogodzinnej nudy samotności. Kot nie witał nas wcześniej tak dramatycznie dlatego, że kochał nas bardziej. Zwyczajnie sam czuł się bardzo źle i cieszył się za każdym razem, kiedy te męki się kończyły. Dopiero dwa koty nasze wyjścia z domu mogą znosić bez problemu, a wracającym do-

mownikom okazywać autentyczną i bezinteresowną miłość.

Mała wyrosła na najpiękniejsze stworzenie, jakie w życiu widziałem. Podobnie jak Kot miała pręgi, tylko u niego tło było bure, a u niej szare. Gibka i elegancka, zawsze skora do zabaw. Po żalonym stworzeniu, które tak niedawno poznałem, nie został nawet ślad. Może poza wdzięczną miłością – kiedy tylko mogła, spędzała czas na mnie lub obok mnie.

Kończyłem właśnie pisać doktorat na Uniwersytecie Warszawskim. Wcześniej pracowałem tam jako asystent, więc teoretycznie po obronie czekał na mnie etat. Nie miałem nic przeciwko zostaniu na uczelni. Owszem, w polskiej nauce panowały wtedy feudalne stosunki. Pewnie wciąż niewiele się zmieniło. Pełno było porośniętych mchem profesorów, którzy całą Mądrość Świata posiadli w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i już ją mieli, nie musieli przyjmować do wiadomości nowych faktów i odkryć. Najwyraźniej ujawniało się to po każdym z moich powrotów z zagranicznych stypendiów. Pełen zapału i z przeświadczeniem, że to, co robię, ma sens, z energią i rozpędem wpadałem nie tyle na mur, ile w grząski beton, który stopniowo mnie unieruchamiał. Nie wszyscy, rzecz jasna, byli tacy. Często też winy nie dało się przypisać profesorom – raczej biurokratycznej inercji. Spotkałem na UW mnóstwo inspirujących, mądrych ludzi, ale zderzałem się też z frustratami, którzy znaleźli się tam zapewne dlatego, że nigdzie indziej nie mieli szans. Nie zapomnę na przykład kolegi z wydziału, który wrócił kiedyś po kolokwium i przechwalał się, że znowu wygrał, bo postawił same dwójki. Nie rozumiem, jak można się przechwalać tym, że jest się beznadziejnym nauczycielem.

Wszelkie tego typu frustracje rekompensowali mi z nawiązką studenci. Zawsze uważałem, że nie są ani trochę ode mnie głupszy. Po prostu urodzili się później i to dlatego ja jestem po tej stronie katedry, a oni po tamtej. A dzięki ich pytaniom – „naiwnym” w najlepszym znaczeniu tego słowa – które mnie by do obciążonej fachową wiedzą głowy nie przyszły, mogłem spojrzeć na różne rzeczy pod nowym kątem, weryfikować je w nowym świetle. Dlatego z własnych wykładów korzystałem w tym samym stopniu co oni. To studenci nie pozwalali mi przestać się rozwijać. Chciałem dalej z nimi pracować. Ale w wyniku restrukturyzacji naszego zakładu okrojono liczbę etatów. W tym samym czasie doktorat kończył mój starszy kolega. Promotor wezwał mnie na rozmowę i oznajmił z rozbijającą szczerością, że jestem młody, znam języki obce i na pewno sobie poradzę, więc on zatrudni moją koleżkę, bo „kto inny go zechce?”. Musiałem szukać innej pracy.

Kilku moich starszych kolegów było już na Antarktydzie. Ja też marzyłem o tym, żeby kiedyś tam trafić. Zgłosiłem się więc na XXVII Polską Wyprawę Antarktyczną. Miałem przez dwanaście miesięcy pracować jako biolog i studiować słońce morskie. Porażka na uczelni okazała się najlepszym kopem w zadek, najszcześniejszym impulsem, jaki mógł mi się zdarzyć. Choć wciąż z sarkazmem podchodzę do metod rekrutowania pracowników naukowych wiodącej polskiej uczelni, jestem mojemu promotorowi wdzięczny.

Ale o tym później. Na razie zbliżała się wyprawa, a ja miałem w domu dwa koty. Inni ludzie już z nami nie mieszkali i coś musiałem z nimi zrobić. Koty trafiły do mojej przyjaciółki, która szczęśliwie zgodziła się przygarnąć towarzystwo dla swojego pięknego rosyjskiego kota o wdzięcznym imieniu Myszkina.

W połowie wyprawy Kot zapadł na kamicę nerkową – dopadła go czarna chmura zawsze wisząca nad kocimi kastratami. Po miesiącu leczenia, kilku operacjach i strasznych cierpieniach – umarł. Ja byłem ponad czternaście tysięcy kilometrów dalej i nie mogłem mu w tym

towarzyszyć, ale zawsze będę wspominał tego, który koty w moje życie wprowadził. To dzięki niemu wiem, że już zawsze ze mną będą.

Rok później nie od razu mogłem wrócić do swojego mieszkania. Tak się złożyło, że musiałem wrócić z wyprawy nieco wcześniej i nadal mieszkali w nim lokatorzy. W tym czasie przyjaciółka wypowiedziała Małej kwaterę. Inna wzięła ją na kilka tygodni. Wróciwszy w końcu do domu, stwierdziłem, że moja kotka przez większość swojego życia mnie nie widziała. Chciałem jej oszczędzić kolejnych rozstań, tym bardziej że dziewczyny bardzo sobie przypadły do gustu. Mała żyje do tej pory ze swoją chwilową opiekunką – już ponad dziesięć lat – w wielkim szczęściu i wzajemnej miłości.

Po powrocie z pierwszej wyprawy wiedziałem, że prędzej czy później koty znowu ze mną zamieszkają. Dużo się wtedy w moim życiu działo, dużo zmieniało, ale ta myśl delikatnie rozrastała mi się gdzieś pod skórą. Właściwie potrzebowałem tylko pretekstu. A ten nie kazał na siebie czekać zbyt długo. Któregoś wiosennego dnia zadzwoniła do mnie koleżanka ze studiów, żeby mi powiedzieć, że w piwnicy w bloku jej rodziców urodziła się cała kocia rodzina, ale zwyrodniały sąsiad otrął już matkę i większość młodych. Zostały tylko dwa czarne kociaki. Chwilowo zajmowali się nimi jej rodzice, ale nie mogli ich trzymać dłużej, bo mieli dwa własne (bardzo niezadowolone) koty, podobnie zresztą jak koleżanka. Zapytała, czy nie chciałbym samiczki, bo kocurka już sobie ktoś zamówił. Odbierze go za kilka dni, więc może wziąłbym na trochę oba? Trudno o wyraźniejszy znak. Oto w strasznych tarapatach znalazły się dwa maluchy, a ja od dzieciństwa marzyłem: jeśli kot, to najchętniej czarny. Zapytałem tylko koleżankę, czy zdaje sobie sprawę, że nie istnieje cień szansy, bym raz przechwyconego kocura oddał, skoro może i powinien żyć z siostrą. Odpowiedziała, że się tego spodziewała i dla tamtego kogoś ma już na oku kogoś innego.

I tak w moim życiu pojawiły się dwa wspaniałe demony. Ponieważ każdego kota trzeba moim zdaniem wysterylizować, ich zdolności rozrodcze zostały we wczesnej młodości skreślone przez mojego kuzyna weterynarza – na moim kuchennym stole. Po niemal ośmiu latach wciąż się budzę w ich majestatycznym towarzystwie – czuwają nade mną, bym na pewno nie trafił do nieba. Moja bogata wyobraźnia skonfrontowana z weterynaryjnymi dokumentami kazała mi w odpowiednich rubrykach wpisać Chłopak i Dziewczyna, ale nikt tych imion nie używa.

Oboje mieli wzloty i upadki. Miesiącami trwały między nimi wojny, lecz na ogół, tak jak teraz, ich krewniacza miłość kwitnie bez zakłóceń. Są identyczne, choć Chłopak jest odrobinę większy, ale kiedy widzę tylko jedno z nich, nie jestem pewien, z kim mam do czynienia. Dziewczyna jest wrażliwa, niemal neurotyczna, zawsze spragniona pieszczot, ale na ręce brać się nie pozwala. Jej brat jest zrobiony z gumy nasączonej bezgranicznym zaufaniem. Można z nim zrobić wszystko. Nawet gdy znajoma stanęła mu kiedyś na ogonie i tego nie zauważyła, spokojnie czekał, aż z ogona mu zejdzie, wydając jedynie ciche miauknięcia. Nie przyszło mu do głowy, że ktokolwiek mógłby chcieć go skrzywdzić.

Ale żeby nie było: to bardzo dzielny kocur. Gdy w naszym domu pojawiła się na krótko młoda amstafka, którą ktoś znalazł porzuconą w wielkim mieście i dwa dni musiała czekać na swojego nowego człowieka, bardzo szybko dał jej do zrozumienia, kto rządzi. Wyciągnął się beczelnie na plecach tuż przed jej nosem, w pewnym momencie wstał, strzelił ją w pysk i położył się z powrotem.



Dziewczyna zużyła przynajmniej jedno ze swoich żyć, gdy parę lat temu zdiagnozowano u niej straszną, w stu procentach śmiertelną chorobę znaną pod skrótową nazwą FIP, czyli kocią białaczkę. Po dwóch miesiącach codziennych kroplówek, zastrzyków i ogólnego wyglądania jak osowiały szkielet zaczęła dochodzić do siebie, udowadniając, że należy do tych siedmiu procent kotów, u których identyczne objawy wynikają z innego schorzenia. Później stresy i alergia pokarmowa powodowały, że miesiącami wydrapywała sobie na grzbiecie zięjące rany, ale teraz i to minęło. Na karku została jej tylko mała łysa plamka.

Długo mógłbym opowiadać o ich perypetiach, więc żeby nie pisać oczywistości ani nie przynudzać, dodam tylko, że osiem lat zażyłości z moimi chowańcami to wspaniały okres. Gdy piszę te słowa, Chłopak wchodzi mi na klawiaturę, a Dziewczyna ociera o nogi. Myślę, że ich trwający od roku rozejm zawdzięczam wspólnemu frontowi niedowierzania i przerażenia, który stworzyły wraz z pojawieniem się w domu mojej córki, Hani. Żadne z nich jej nie krzywdzi, ale oboje raczej jej unikają. Prawdopodobnie źle znoszą wysokość tonu i natężenie jej miauczenia. A ja nie mogę się oprzeć myśli, że z jej punktu widzenia – jeśli wziąć pod uwagę niewielką różnicę masy ciała – dorastanie z dwoma czarnymi panterami to najlepsze, co można sobie wyobrazić.

Jedną z rzeczy, które w kotach uwielbiam, jest ich niesamowita odporność, również (albo zwłaszcza) na sugestie. To urodzeni anarchiści. Dla nich pojęcie posłuszeństwa jest zwyczajnie niezrozumiałe. Nie mają pojęcia, czego chcemy, wydając im polecenia. Można to łatwo pojąć, gdy porównamy ewolucję psów i kotów.

Koty mają swoją strukturę społeczną, jasne, ale polega ona na tym, że trzeba się orientować, kto jest silniejszy, czyli komu należy ustępować, a kto słabszy – i kogo można pogonić. Ale do złapania myszy wystarczy jeden kot, więc żadna współpraca nie jest do niczego potrzebna. U psów jest inaczej. Ponieważ do łowów na jelenia potrzebna jest współpraca całej wilczej watahy, posłuszeństwo i dyscyplina są dla psów czymś naturalnym: cieszą się, gdy znają swoje miejsce w szeregu. Uwielbiam psy i zawsze będę to podkreślał, ale to koty budzą mój najwyższy podziw. I nie potrafię zrozumieć, jak to jest, że zachodnia nauka dopiero od niedawna oficjalnie przyznaje zwierzętom osobowość, uczucia i potrzeby duchowe, stwierdzając z oporami, że nie są tylko napędzanymi instynktami automatami. Czy naukowcy nigdy nie mieli psów ani kotów? Moje cztery koty to cztery diametralnie różne charaktery, a mój pies był inny od wszystkich innych psów, z którymi miałem zaszczyc się zetknąć.

Dzikich zwierząt spotkałem w życiu bez liku, ale oczywiście nikogo nie poznałem tak dobrze jak moich domowników. A jednak pisząc dalej, opowiadając o wspaniałych stworzeniach zamieszkujących coraz odleglejsze i dziksze krainy, staram się pamiętać, że każdy napotkany ryś, jenot, wilk czy niedźwiedź, każda z badanych przeze mnie norek, wreszcie każda z milionów spotkanych uchatek czy fok to osobny byt, niezależny charakter, unikalna i niepowtarzalna osobowość. Łatwo o tym zapomnieć, ale nasi własni podopieczni, członkowie naszych rodzin, nam to uświadamiają na każdym kroku.

### 3. Dzicy

Tym, co zawsze bardzo ceniłem w moich rodzicach, to ich szacunek dla mojej pasji, którą od moich najwcześniejszych lat były zwierzęta. Odkąd zacząłem mówić, mówiłem, że gdy dorosnę, zostanę przyrodnikiem, jakkolwiek enigmatycznie mogło to brzmieć. Zawody moich rodziców nie miały nic wspólnego z przyrodą, ale dość wcześnie pogodzili się z tym, że nigdy nie będzie ze mnie porządny urzędnik ani bankier z dobrą pracą i perspektywami. Zamiast mi cokolwiek narzucać, umiejętnie podsycali moje zainteresowania. Za to jestem im wdzięczny najbardziej.

Nic zatem dziwnego, że najwcześniejsze zwierzęce wzruszenia mojego życia ściśle wiążą się z nimi: autorami pierwszych czytanych mi przez ojca książek byli Jack London i James Curwood, a bohaterami mojego dzieciństwa stali się niedźwiedź Tyr, mały Muskwa, Bari i Biały Kieł. *Lato leśnych ludzi* nauczyło mnie, że najwspanialszym zwierzęciem chodzącym po świecie jest rosomak. Wciąż zresztą tak uważam. Pamiętam też historie o koniach i bardziej cywilizowanych psach, które czytała mi mama, ale udomowione stworzenia nigdy nie zdobyły mojego dziecięcego serca tak jak mieszkańcy niedostępnych arktycznych pustkowi. To oni niepodzielnie zawładnęli moją wyobraźnią. Wzrastałem w przekonaniu, że nie da się ciekawie żyć tam, gdzie wypluta ślina nie zamarza, nim spadnie na ziemię. Wniosek stąd taki, że rejony polarne były mi po prostu przeznaczone.

Ale musiałem na to trochę poczekać. Najpierw były wieczorne spacerowanie „na jelenie” w trakcie corocznych wakacji z ojcem na Warmii. Wychodziliśmy z domu koło dziewiątej wieczorem, by na skraju lasu czaić się i w późnym czerwcowym półmroku obserwować jelenie i sarny wychodzące na kolację na trawie. Któregoś wieczoru zamiast jeleni spotkaliśmy dziko wrzeszczącego faceta. Kiedy w końcu nas dopadł, aż kipiał ze złości.

– To wy nie wiecie, że tu się teraz poluje!?! Nie wolno tu chodzić! Jestem funkcjonariuszem ORMO i zabraniam wam po zmierzchu wchodzić do lasu. Mogłem was ustrzelić!

Nie pamiętam, co odpowiedział ojciec, ale pamiętam wściekłą wąsatą twarz pewnego siebie grubasa, któremu ktoś przepłoszył ofiary. Był rok 1982, ormowcy zapewne czuli się panami świata. My na oglądanie jeleni chodziliśmy oczywiście dalej, ale mój stosunek do myśliwych od tego czasu się utrwalił. Już wtedy nie potrafiłem zrozumieć, jak można czerpać przyjemność z zabijania tych wspaniałych stworzeń. I do tej pory w każdym myśliwym widzę tę nadętą gębę gminnego sobiepana. Taki uraz.

Jednym z najbardziej emocjonujących wspomnień z tego okresu było nocne spotkanie ze stadem dzików. Wciąż mam przed oczami ich niewyraźne cienie wśród srebrzystych pni bukowego lasu, niepokój kilkorga dorosłych przewodzących naszej stojącej niepewnie pośrodku przecinki grupie i to, że byłem absolutnie zafascynowany. Miałem siedem lat i szliśmy palić kupałowe ognisko. Udało nam się minąć watahę. Nie doszło do konfliktu. Dziki, zajęte wyszukiwaniem buczynowych orzeszków, właściwie nie zwróciły na nas uwagi. Poszły w swoją stronę. A mnie w sercu długo jeszcze grała ta ekscytująca mieszanka lęku (głównie

wynikającego ze zdenerwowania dorosłych) i absolutnego zachwytu. Właściwie do dziś gra, choć zachwytu jest zdecydowanie więcej.

Poza wakacyjnymi i weekendowymi spotkaniami z lisami, dzikami, sarnami i jeleniami, czyli poza sytuacjami, gdy to ja odwiedzałem dzikich mieszkańców lasu, zdarzało się, że to oni przychodzili do nas. Któregoś dnia zapukał do naszych drzwi podekscytowany sąsiad, oznajmiając, że pod blokiem łążą dwa łosie! Wymieniliśmy z tatą pełne politowania spojrzenia wytrawnych przyrodników. Jakie łosie? Pewnie sarny, często je przecież widzimy w Lesie Kabackim. Ale ubraliśmy się i wyszliśmy na dwór, a tam... łosie! A dokładniej kłępa z podrośniętym łoszakiem. Maszerowały dostojnie wśród nieco przestraszonych i mocno podekscytowanych gapiów, w samym środku warszawskiego Ursynowa. Najwyraźniej wyszły z lasu i kierowały się wprost ku widocznym w oddali drzewom za torem służewieckich wyścigów konnych. Uznały, że tam znajdą schronienie, i zupełnie nie zwracały uwagi na ludzi, którzy próbowali je zawrócić tam, skąd przyszły. Miałem jakieś dwanaście lat i trochę się bałem wielkiej, idącej prosto na mnie kłępy. Podziwiałem (i właściwie dalej podziwiam) tych kilka osób, które w miarę spokojnie stawały jej na drodze, odcinając od ruchliwych ulic. Ludzi nie było wielu i odnosiłem wrażenie, że niepokoją się o ich los. Spojrzałem kłepie w oczy. Zobaczyłem strach, ale i ogromną determinację matki, która chce swoje dziecko zaprowadzić w bezpieczne miejsce. Mimo lęku czułem się bardziej związany z nią niż z wszystkimi dookoła.

Ostatecznie musiała interweniować milicja. Tym, co w byciu przyrodnikiem zawsze mnie pociągało, jest niezależność biologicznego świata od systemów politycznych. A jednak nawet na te łosie polityka miała wpływ. Był rok 1983, całkiem niedawno zawieszono stan wojenny i nikt z zebranych nie chciał dzwonić po milicjantów, żeby nie wyjść na konfidenta. W końcu gremialnie uznano, że sprawa jest wyjątkowa. Zjawiała się milicja i po długich deliberacjach udało się podjąć decyzję o uspieniu łosi i przewiezieniu ich w bezpieczne miejsce. I tak się zakończyła ursynowska epopeja przestraszonej matki i kompletnie oszołomionego dzieciaka.

Jeśli pominąć sporadyczne wejrzenia w świat dzikich zwierząt, jeszcze trochę potrwało, nim mogłem z nimi spędzać więcej czasu. W liceum właściwie wiedziałem, że chcę pracować ze zwierzętami. Musiałem tylko zdecydować, co konkretnie chciałbym robić. Choć ciągnęło mnie i do polonistyki, i do anglistyki, a nawet do archeologii, z którą miałem wtedy kilka owocnych wakacyjnych spotkań, spośród poważnych kandydatów na przyszłe studia rozważałem głównie weterynarię (bo chciałem pomagać zwierzętom) i leśnictwo (bo lubię las). W końcu uznałem, że zamiast zajmować się naukami pochodnymi, lepiej się skupić na tym, co leży u ich podstaw – na biologii. Jak chyba każdy młody człowiek chciałem poznać sens życia, a wszak to biologia tłumaczy się na nasz język jako życioznawstwo. Poza tym w Polsce właśnie dogorywał komunizm, szykowały się zmiany, a mnie jakoś żaden z systemów za bardzo nie pociągał. Wręcz przeciwnie – podobała mi się myśl, że niezależnie od tego, kto rządzi światem, pantofelek zawsze rozmnaża się przez podział. Piękno nauk ścisłych polega na tym, że ich domeną jest rzeczywistość obiektywna, niezależna od ludzkich nadbudówek. Chemia mnie fascynowała, ale nie czułem się z nią komfortowo. Fizyka, zwłaszcza na wysokim poziomie abstrakcji, tam, gdzie niezauważenie przechodzi w poezję, fascynuje mnie do dziś. Jest tam na przykład horyzont zdarzeń, cienka na jeden atom sfera otaczająca czarną dziurę, na której równoważy się jej przyciąganie z przyciąganiem reszty

kosmosu. Cokolwiek tam trafi, tkwi zawieszona w nieznannej wieczności, pozbawionej określonego przeznaczenia. Jeśli kiedyś otworzę knajpę, nazwę ją Horyzont Zdarzeń. Ale przyroda nieożywiona, choć piękna i ekscytująca, nie grała na strunach mojego serca tak jak jelenie wychodzące na wieczorny żer czy wilki chyłkiem podążające ich tropem. Dlatego konsekwentnie, już studiując biologię, wybierałem coraz wyższe poziomy złożoności – nie świat kwarków i atomów, nie magia związków chemicznych ani tajemniczy język genów czy zdumiewające zawiłości fizjologii, ale etologia i ekologia stały się moją pasją. Tłumaczyłem to sobie tak: jeśli płynę statkiem, to bardziej od skomplikowanych mechanizmów i szczegółów technicznych popychających go do przodu interesuje mnie to, dokąd płynie i po co. Chciałem poznawać zachowania zwierząt i kierujące nimi motywacje, a także złożoną sieć powiązań między nimi a środowiskiem, w którym żyją, zwłaszcza zaś z ożywionymi elementami tego środowiska, czyli innymi organizmami.

I poznawałem. Szybko wyszło na to, że właściwie najmiłym sposobem spędzania czasu jest praca w terenie. Mam co robić, zadaję się ze zwierzołkami, a wokoło nic tylko piękne okoliczności przyrody. Pierwszy poważniejszy kontakt z dziką naturą miałem, kiedy w dwanaście osób wybraliśmy się na Syberię pod pretekstem zaliczenia obowiązkowych praktyk studenckich. Było lato 1992 roku. Wjeżdżaliśmy do resztek Związku Radzieckiego, a wracaliśmy z Rosji. Zamiast jednak ten czas spędzić na obserwowaniu burzliwych przemian, trafiliśmy do maleńkiej „zamkniętej” wsi nad Jenisejem – Mirnoje, gdzie mieści się stacja terenowa Rosyjskiej Akademii Nauk. Już sama podróż okazała się ciekawa i obfitowała w przyrodnicze obserwacje. Po dobie spędzonej w pociągu na zwiedzanie Moskwy musieliśmy wychodzić w małych grupach, bo większość z nas musiała aktywnie bronić bagażu. Kolejne trzy dni przesiedzieliśmy w pociągu Kolei Transsyberyjskiej. Samolot nie daje pojęcia, jak wielki jest nasz świat. Dopiero kiedy konduktor zapytany o najbliższą stację odpowiada, że będzie dopiero jutro o siedemnastej, zaczyna się doceniać ogrom Rosji. I pole, które wokół linii kolejowej ciągnie się w każdą stronę po horyzont, i to przez bite trzy dni z rzędu. W końcu dotarliśmy do Krasnojarska. Tam wystarczyło, by tylko dwoje z nas zerkało na stertę plecaków i skrzyń. Reszta mogła spokojnie chodzić po dopiero co otwartym dla podróżujących mieście.

Krasnojarsk został założony przez Kozaków w 1628 roku i pełnił funkcję ufortyfikowanego przyczółku (inaczej ostróg) służącego do obrony przed okolicznymi Tatarami. Rozwijał się szybko i dość wcześnie zaczął pełnić rolę miejsca zsyłki, więc zesłańcy i ich potomkowie mieli czas, żeby stworzyć dobrze prosperującą, ale kierującą się własnymi zasadami i niechętną obcym społeczność. Jedną z miejskich historii opowiada o bogatym przedsiębiorcy z Petersburga, który w XIX wieku przyjechał tam w interesach. Miał pieniądze, chciał inwestować, ale okazało się, że mało kto chce z nim pracować. Mieszkał jakiś czas nad Jenisejem i wiedział, co powinien zrobić. Wrócił do Petersburga i dokonał włamania. Standardowo dawano za to dwa lata zesłania. Odsiedziawszy wyrok, wrócił do Krasnojarska. Przyjęto go jak swego i interesy rozkwitły.

Po powstaniu ZSRR komuniści kultywowali carską tradycję na coraz większą skalę. Do tej pory o przybyszach mówi się w tym rejonie „chemicy”, ponieważ w latach sześćdziesiątych XX wieku zesłano tam mnóstwo kryminalistów, ale też zwykłych, niewygodnych dla systemu ludzi, do pracy przy budowie wielkich kombinatów chemicznych. Jak to ładnie ujął pewien człowiek, którego spotkaliśmy w pociągu: „To wy z Polski? Polacy byli tu zawsze,

ale wy jesteście pierwszą grupą, która przyjeżdża z własnej woli!”. Przekonałem się, że mówił prawdę, gdy na ulicy zaczepiłem przechodnia. Pocąc się i sapiąc, bo mój rosyjski bardzo wówczas kulał, choć uczono mnie go w szkole wiele lat, wydukałem: „Izwienitie, kotoryj czas?”. A on się uśmiechnął i piękną polszczyzną odpowiedział, że siedemnasta trzydzieści, po czym się oddalił, dając mi czas na zamknięcie rozdziawionych ust.

W Krasnojarsku wsiedliśmy na statek. Od Mirnoje dzieliły nas jeszcze dwa dni podróży (wraca się trzy, bo pod prąd). I tam skryształizowała się moja opinia na temat bezpieczeństwa – idąc na obiad, mogliśmy spokojnie zostawiać aparaty i lornetki na górnym pokładzie. Najwyżej kiedy wracaliśmy, ktoś patrzył przez którąś na brzeg. Choć wielu miejscowych to dawni kryminaliści, w tajdze nie ma miejsca na nieuczciwość. Tam wszyscy po prostu muszą na sobie polegać. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby nas okraść. Wręcz przeciwnie – na każdym kroku spotykaliśmy się z bezinteresowną życzliwością. Częstoowano nas hojnie wódką i suszonymi rybami, dostawaliśmy prezenty i wszyscy chcieli z nami rozmawiać. Moim ulubieńcem został Nikołaj, drobny mężczyzna po pięćdziesiątce, jakby wyjęty z powieści Londona i Curwooda. Od dwudziestu lat żył w tajdze. Zimy spędzał na liniach pułapek, by wiosną zawieźć zwierzęce skóry do miasta i trochę odetchnąć wśród uroków cywilizacji. Kiedy się spotkaliśmy, wracał, wyraźnie zmęczony tym odpoczynkiem. Z fascynacją obserwowałem, jak z każdym kilometrem zbliżającym nas do jego prawdziwego domu odzyskiwał dobry humor i formę. Podpytywałem go o mieszkańców lasu. Opowiadał, że tak, niedźwiedzi bywa sporo, ale na ogół nikogo nie zaczepiają. Jedynie stare osobniki, którym polowanie przychodzi coraz trudniej, skuszają się czasem na łatwą zdobycz, jaką jest człowiek. Czyli generalnie trzeba uważać. Zapytany o rosomaka, zamilkł na chwilę i z wyraźnym szacunkiem pokiwał głową. Powiedział, że to prawdziwy, nieuchwytny duch tajgi. W ciągu dwudziestu lat udało mu się go zobaczyć tylko dwa razy, a raz usłyszał przejmujący wrzask. Nie złapał go nigdy. Rosomak był dla niego najwspanialszym ze wszystkich zwierząt. Pewnie dlatego tak go polubiłem.

Wędrując po lesie, wielokrotnie przekonywaliśmy się o głębokiej, pełnej zaufania więzi łączącej tamtejszych ludzi. Przy brodzie przez którąś z leśnych rzek wisiał przywiązany kubek. Każdy mógł z niego skorzystać. Pamiętam swoją smutną refleksję: zastanawiałem się, jak długo taki kubek powisałby w Polsce. Jednej z moich koleżanek wpadł wtedy do wody aparat. W tamtych czasach porządny aparat ważył naprawdę sporo. Nasz przewodnik, Pasza, poradził jej, żeby go powiesiła na gałęzi, obok kubka. Czekaliśmy trzydzieści kilometrów marszu z ciężkimi plecakami, a kilka dni później mieliśmy tamtędy wracać. Kalina w zdrowym odruchu racjonalnie myślącego Europejczyka wyraźnie się zawahała. Pasza, któremu do głowy nie przyszedł prawdziwy powód jej obaw, powiedział: „No tak, masz rację, nie pomyślałem. Powieś wyżej, żeby go jakiś niedźwiedź nie uszkodził...”. Ale jeszcze większe wrażenie zrobiła na mnie przygoda, którą przeżyliśmy podczas następnej kilkudniowej wędrówki. W tajdze nie ma dróg, ale za to pełno jest rzek i strumieni. Dlatego większość transportu odbywa się po wodzie. Popłynęliśmy motorówką w górę Bachtu, dopływu Jeniseju. Jakoś tak się stało, że walcząc z prądem, zużyliśmy więcej benzyny, niż planowaliśmy, i na miejsce dopłynęliśmy z prawie pustym bakiem. Pasza nie bardzo się przejął. Nagryzmoilił coś na kartce, położył ją na łódce i przygniótł kamieniem. Kiedy pięć dni później wróciliśmy z lasu, kartka zniknęła, a nasz bak był pełny. Po prostu – ktoś przepływał, przeczytał wiadomość i uzupełnił nam paliwo. Syberyjski standard. Wiadomo, że od takich drobiazgów może

zależec̄ życie.

Swoją drogą te zamknięte wsie to ciekawa historia. Jeden z pasażerów statku wyjaśnił mi, że Nikita Chruszczow postanowił obywateli scentralizować. Pozamykał więc dwie trzecie wsi w rejonie. Myślał, że wszyscy przeniosą się do tych, które się ostały. Nie wyrzucał na siłę. Na syberyjskiej wsi wystarczy zlikwidować szkołę, sklep, ośrodek zdrowia i wszystkie inne przydatne instytucje, i jakoś tak się dzieje, że ludzie sami wkrótce się wynoszą. Na „naszym” odcinku Jeniseju stały dwie bogate i dobrze prosperujące duże wsie: Mirnoje i kawałek dalej na północ, po drugiej stronie rzeki – Lebieď’. Była tam też trzecia miejscowość, mała rybacka osada Bachta, według mojego informatora pełna „złodziei, pijaków i nieudaczników”. Zamykanie wsi nie odbywało się wedle jakiegoś logicznego porządku. Ot, zwykła wyliczanka: na kogo wypadnie, na tego bęc. No i tak wypadło, że do zamknięcia przeznaczono Mirnoje i Lebieď’, a do uchwiania – Bachtę. Większość mieszkańców dwu pierwszych stwierdziła, że do Bachtę za nic się nie przeniesie. Rozproszyli się po sowieckim imperium, umknęli do Krasnojarska albo postanowili dożyć reszty swoich dni tam, gdzie mieszkali dotąd. Zagrody Mirnoje pełniły więc rolę kwater dla naukowców i studentów, terenowych laboratoriów i magazynów. Wszystkie poza jedną – będącą letnią rezydencją Akademika, zasłużonego moskiewskiego profesora. Co roku wywieszał przed domem wielką flagę, tyle że nie czerwoną, z sierpem i młotem, tylko biało-niebiesko-czerwony symbol nowego państwa. Ostała się tam jeszcze tylko jedna chatynka z parą pamiętających lepsze czasy zasuszonych staruszków. I właściwie tyle. Lebieď’ przeistoczyła się w siedzibę władz parku narodowego, a Bachta jak była dziurą, tak dziurą pozostała. My jednak traktowaliśmy ją wtedy jak metropolię: to tam dało się, przepłynąwszy około dwudziestu kilometrów łodzią, kupić chleb i inne niezbędne rzeczy.

Bachtę zobaczyłem zresztą ponownie dwadzieścia lat później – dzięki Wernerowi Herzogowi. To o niej i jej mieszkańcach opowiadał jeden z jego ostatnich filmów – *Szczęśliwi ludzie: rok w tajdze*. Pojawia się w nim teza, że jej mieszkańcy są zbyt daleko od świata, by mogło im cokolwiek zagrozić. Jeśli nas pochłonie nuklearna katastrofa, oni przeżyją, bo od zawsze są zdani na siebie. Bachtę pokazano jako symbol najbardziej zapadłej, niedostępnej wioski – a dla mnie miała urok centrum cywilizacji. W filmie zobaczyłem twarze, które pamiętałem sprzed lat, te same miejsca. Muszę zresztą przyznać, że Herzog, którego zawsze bardzo ceniłem, od dłuższego czasu chyba specjalnie dla mnie robi swoje filmy. Od *Grizzly Mana* przez *Spotkania na krańcach świata* (oczywiście!) i *Szczęśliwych ludzi po Jaskinię zapomnianych snów* konsekwentnie dokumentuje każdą z moich nawet zupełnie nieoficjalnych pasji.

Sam Jenisej też fascynuje. Choć nie należy ani do najdłuższych, ani najszerszych rzek świata, dzierży palmę światowego pierwszeństwa w kategorii przepływu wody. Jest wartki, szeroki i głęboki. W ciągu godziny przepływa nim więcej wody niż jakąkolwiek inną rzeką na naszej planecie. Na wysokości Mirnoje ma prawie dwa kilometry szerokości, przy ujściu już trzy. Jest tak wielki, że na drugim brzegu rozciąga się inna kraina geograficzna. My byliśmy na Nizinie Zachodniosyberyjskiej, a po drugiej stronie rozciągała się Wyżyna Środkowosyberyjska. Prąd okazywał się wartki do tego stopnia, że gdy chodziliśmy się kąpać, musieliśmy decydować, w którą stronę płynąć. Jeśli z prądem, ktoś musiał iść brzegiem i nieść ubrania, żeby potem dało się spokojnie wrócić tych kilka kilometrów, które w ciągu kilkunastu minut pokonywaliśmy. Można też było płynąć pod prąd, ale wtedy robiło się nudnawo,

bo nawet z największym wysiłkiem ledwo nam się udawało trwać w jednym miejscu. A przy tym cała ta masa wody była na tyle czysta, że żeby zrobić wódkę Jenisejówkę, po prostu dopełniało się nią butelkę ze spirytusem. Po kilku dniach przegryzania efekt był bardzo smaczny i bardzo skuteczny.

Ale wróćmy do zwierząt. Przybyliśmy do Mirnoje na początku sierpnia i od razu spotkaliśmy ich masę. Już płynąc rzeką, widzieliśmy dziwne czarne chmury unoszące się nad wioską. Gdy wylądowaliśmy, szybko się okazało, że chmury też nas zauważyły i z entuzjazmem ruszyły nam na spotkanie. Komarów i meszek było tyle, że ich nieustanne bzyczenie uniemożliwiało nam rozmowę z witającymi nas Rosjanami. W sierpniu w tajdze nie słychać nic poza komarami. Rosjanie pocieszyli nas, że lipce są gorsze: wtedy również nic nie widać, tak jest gęsto. Ja w każdym razie nie narzekałem na ich brak. Nasz przyjazd wyglądał jak spotkanie z obcą cywilizacją. Syberia kojarzy się z krańcowym chłodem, ale to przecież klimat kontynentalny, więc w lecie panują upały. I nagle w tym upale znaleźliśmy się my, zasłonięci ubraniami od stóp do głów, w grubych rękawicach i pszczelarskich kapeluszach. A przed nami tarzający się ze śmiechu Rosjanie w samych slipkach. Nie był to dla nas moment chwwały.

Ta czy siak do komarów można przywyknąć. Od zawsze po ich posiłkach (a należę do absolutnych ulubieńców wszelkich krwiopijców i z wyjazdów przywożę co najmniej tyle samo ukąszeń co cała reszta grupy razem wzięta, niezależnie od tego, ile osób liczy) zostawały mi na ciele duże, czerwone, opuchnięte i bardzo swędzące placki. Tym razem – jeszcze w Moskwie – Rosjanie poradzili nam, żebyśmy swoje offy i autany wywalili, bo syberyjskie komary mogą na ich widok najwyżej umrzeć ze śmiechu. Wręczyli nam spore białe buteleczki pełne złowieszczu rozwarstwowanego płynu. Przed użyciem należało go gwałtownie wstrząsnąć. I rzeczywiście – przez kilka godzin działał dość skutecznie. Ale i tak robiliśmy zawody, ile komarów można ubić jednym pacnięciem w kolano. Najlepsi trafiali kilkanaście. Ja zrezygnowałem ze współzawodnictwa, kiedy siedząc w krzakach, w których rozstawiłem sieci ornitologiczne, w ciągu minuty zabiłem trzeciego komara tym samym okiem. Okiem – komar siada na powiece, zamyka się ją i już. W dodatku rosyjski zajzajer rozpuścił mi zegarek (no dobrze, to był plastikowy swatch). Stwierdziłem, że chyba jednak wolę komary. Po kilku tygodniach w tajdze otrzymałem taką dawkę komarzych i meszkowych toksyn, że moje ciało też się poddało. Teraz, dwadzieścia lat później, komary nadal mnie lubią, ale od czasów Syberii już nigdy nie reagowałem na nie tak mocno. Ot, poswędzi chwilę i tyle. Moje poddanie się woli bzyczącego złośliwie tłumu przyniosło mi też chwilę satysfakcji, gdy trzy tygodnie po nas przybyła do Mirnoje grupa Niemców. Tym razem to oni występowali w strojach kosmitów, a ja machałem do nich radośnie, rąbiąc drewno na opał w samych kąpielówkach. Warto było.

Nad Jenisejem spędziliśmy nieco ponad miesiąc. Braliśmy udział w rozmaitych pracach rosyjskich naukowców. Łapaliśmy ptaki do obrączkowania, znakowaliśmy myszy i ryjówki, a wokół nas tajga stopniowo pokrywała się czerwono-żółtymi barwami jesieni. Pod koniec sierpnia popijaliśmy wieczorami leśną jałowcówkę, oglądaliśmy wciąż jeszcze bladą zorzę polarną, rano budziliśmy się w pokrytym szronem namiocie i nabieraliśmy wody z zasłoniętej cieniutką skorupą lodu rzeczki, a po południu w tej samej rzece się kąpaliśmy, bo temperatura znowu dochodziła do dwudziestu siedmiu stopni Celsjusza. Podczas kilkudniowych wędrówek zdarzało się, że towarzysząca nam suka (absolutnie wspaniała Szelma, kundel

o urodzie husky) szczekała głośno w nocy, a rano odkrywaliśmy w pobliżu namiotu świeże ślady niedźwiedzia. Żadnego jednak nie spotkaliśmy osobiście. I całe szczęście. Wracając z Mirnoje, pojechaliśmy na kilka dni w Stołby, pobliskie góry o płaskich czubkach. Był tam mały przytułek dla dzikich zwierząt, którym różne koleje losu uniemożliwiły życie na wolności. A w przytułku mieszkał niedźwiedź brunatny. Szczupły i muskularny, wielkości małego fiata, z pazurami długimi na pięć centymetrów, złowieszczą inteligencją w głodnych ślepiach i wyszczerzonymi kłami, w niczym nieprzypominający pluszowego misia. Zdecydowanie wzbudzał respekt. No dobra: spojrzenie jego oczu i zgrzyt nieprzyzwoicie wielkich pazurów wzbudzały najczystsza, pierwotną grozę. Taką, która sprawia, że żołądek podchodzi do gardła, z twarzy odpływa krew, i człowiek cały nagle czuje gwałtowną i nieodpartą potrzebę znalezienia się zupełnie gdzie indziej, najchętniej w domu, pod kocem i z książką. Taką o kwiatkach albo innych szczeniaczkach. Ten niedźwiedź był najbardziej przerażającym zwierzęciem, jakie w życiu spotkałem. Wszyscy instynktownie oddaliliśmy się od ogrodzenia, po czym zgodziliśmy się w milczeniu, że właściwie mamy już dość zwiedzania. Dobrze, że go spotkaliśmy po powrocie z tajgi, a nie zanim tam pojechaliśmy. Nie bardzo sobie wyobrażam swobodne spacerowanie po lesie, gdybyśmy mieli okazję przyjrzeć mu się wcześniej.





Orzechówka

Choć nie zaatakował nas niedźwiedź, jeden z nas o mały włos nie pożegnał się z życiem. W wyniku zatrucia orzechówką. Nie, nie chodzi o nalewkę. Orzechówka to prawdopodobnie najmniej znany spośród żyjących w Polsce ptaków z rodziny krukowatych. Gatunek ten występuje również na Syberii, ale tam znaleźć można także inne podgatunki. Nasze orzechówki określa się jako krótkodziobe. Dzioby rzeczywiście mają niezbyt długie, za to solidne i przystosowane do łupania twardych owoców. Orzechówki żyjące nad Jenisejem wyglądają podobnie, ale dzioby mają dłuższe i smuklejsze, świetnie dostosowane do wydłubywania z szyszek orzeszków cedrowych, czyli nasion sosny syberyjskiej, ich ulubionego pokarmu. I właśnie taka długodzioba wersja orzechówki wpadła któregoś dnia w nasze ornitologiczne sieci. Wyplątując ją, a następnie oznaczając i obrączkując, zauważyliśmy, że jest wyczerpana. Kiedy ją wypuściliśmy, przeleciała ciężko kilkadziesiąt metrów i wpadła do rzeki. Zaczęły nad

nią krążyć kanie czarne, duże drapieżniki z rodziny jastrzębiowatych. W rejonie Mirnoje było ich bardzo dużo. Zbiegłem ze skarpy i popłynąłem w jej stronę. Udało mi się ją uratować, ale przeniesiona z powrotem do laboratorium mimo naszych starań wkrótce umarła. Wpadliśmy więc na pomysł, żeby ją wypchać, żeby móc pokazać polskim studentom różnice między podgatunkami. Podjął się tego Paweł, jeden z najlepszych znawców ptaków, jakich miałem przyjemność poznać. Zgodnie ze wskazówkami Rosjan zdjął z truchelka skórę i zakonserwował ją arsenikiem. Kilka dni później wypchał skórkę watą i zabrał się za zszywanie bałwanka (tak się określa preparaty ptaków i ssaków używane do oznaczeń). I tu zdarzyła mu się najgłupsza, a zarazem najbardziej groźna pomyłka, o jakiej można pomyśleć. Kończąc, musiał jeszcze raz nawlec igłę. Odruchowo polizał nasączoną arsenikiem nitkę. Niedługo potem padł na trzy dni. W końcu doszedł do siebie. Cudem uniknął znalezienia się na słynnej liście laureatów nagrody Darwina. Znalazłby się tam jako naukowiec, który zginął prawdziwie ornitologiczną śmiercią.

W czasie tej wyprawy po raz pierwszy mogłem osobiście poznawać przyrodę w niezmienniej postaci. Już sama tajga mnie zaskoczyła. Spodziewałem się gęstej, nieprzebytej puszczy, pełnej ogromnych drzew. Tymczasem syberyjskie drzewa rosną rzadko i są dosyć cienkie. Zimy bywają tam tak ostre, że wszystko rośnie powoli. Nawet dwustuletnie sosny czy modrzewie mają grubość jakichś trzydziestu centymetrów. Co więcej, w głębi lasu podszytu – czyli krzewów – nie ma wiele, dzięki czemu cały las jest zaskakująco jasny i wiele w nim widać. Drugie zaskoczenie: wcale nie było tam masy zwierząt (oczywiście poza owadami). Rozpuścił mnie ścisły rezerwat w Puszczy Białowieskiej, w którym właściwie co chwila biegają gdzieś jak nie jelenie, to dziki. A tam – prawie nikogo. Mimo wszystko przez ten miesiąc z kawałkiem na kilku fascynujących mieszkańców tajgi udało nam się wpaść. Co chwila spotykaliśmy burunduki, drobne pasiaste wiewiórki, bardzo podobne do bohaterów amerykańskich kreskówek o Chipie i Dale'u. Okazały się niezwykle ciekawskie. Podchodziły na tyle blisko, że czuliśmy się tak, jakbyśmy nie tylko my oglądali przyrodę, ale jakby przyroda z taką samą fascynacją obserwowała nas. Ptaki miawały bardziej konkretne zainteresowania: – kiedy coś jedliśmy, siadały po prostu na drugim brzegu miski i wcinały część, którą uznały za swoją. Widzieliśmy kilka soboli, stado sów jarzębatych i białozora, największego z sokołów. Pewnego dnia niemal spod moich stóp zerwał się do lotu głuszcak, a ja podziwiałem, jak cały las szumi od potężnych machnięć jego skrzydeł. Poznaliśmy też krogulca: usadowił się na gałęzi nad naszym obozem ornitologicznym i bez wysiłku chwycił świeżo zaobrączkowane zdezorientowane ptaki. Nie ma tu miejsca na epitety, którymi tego pięknego łowcę obrzucali Rosjanie. Rzeź trwała ponad tydzień. Ale nosił krogulec razy kilka, ponieśli i krogulca – upolowała go jego własna siostra. Do dziś mam gdzieś zasuszoną krogulczą łapkę, jedną z dwóch, które po nim zostały. Ale chyba najwięcej emocji dostarczyło nam obserwowanie, jak Szelma poluje na młodego zająca. Akurat zrobiliśmy sobie odpoczynek w trakcie jednej z kilkudniowych wędrówek po lesie. Siedliśmy na brzegu wyjątkowo malowniczej rzeczki, kiedy nagle z krzaków po przeciwnej stronie wypadł zając, a za nim pies. Zając uciekał po plaży, ile sił w nogach, ale Szelma z każdym krokiem go doganiała. Nie dało się jej w żaden sposób zatrzymać. Nagle zając stanął jak wryty pod kępą trawy. Szelma z rozpędem przemknęła nad nim, i zanim się zorientowała, że już nikogo nie goni, jej niedoszła ofiara wystrzeliła gwałtownie w przeciwnym kierunku i zniknęła w zaroślach! Muszę przyznać, że

bardzo mi ten zajęć zaimponował. Zamiast uciekać na oślep, ocenił sytuację, podjął ryzyko i uniknął śmierci, choć nie dawaliśmy mu żadnych szans.

Tajga to niezwykle produktywny ekosystem. Ten, kto miał dyżur w kuchni, szedł do lasu i wracał po półgodzinie z dwoma wiadrami grzybów. Leśne owoce rosły w gęstych krzakach na skraju lasu i nad każdym strumieniem. A we wszystkich rzekach i strumieniach dosłownie roiło się od ryb.

Nie jestem wędkarzem i nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak dorosły przedstawiciel było nie było *Homo sapiens* może się podniecać tym, że przechytrzył rybę. Ale rozumiem, że ryby się łowi po to, by je jeść. Dlatego zupełną perwersją wydaje mi się zyskujące na popularności „wędkarstwo sportowe” – polegające na łowieniu ryb, odczepianiu ich i wypuszczeniu z powrotem do wody. Co się nacierpi, to jej, a wszystko po to, żeby jakiś palant dowolnej płci miał z tego przyjemność. To tak, jakby strzelać do sarny, a potem wieźć ją na sygnale do szpitala.

Na Syberii ryby stanowiły znaczną część naszej diety. Tylko że tam wędkowanie nie było sposobem na spędzanie czasu. Byliśmy głodni i zjadaliśmy to, co było dostępne. Niemal w każdym oczku wodnym, w każdym zakolu każdego strumienia pływały lipienie, piękne, uwielbiające czystą wodę ryby, których samce szczyłą się wspaniałą płetwą grzbietową. Wystarczyło takiego lipienia wypatrzeć, zdjąć z siebie gza, który na pewno gdzieś siedział, nadzieć go na haczyk przywiązany do kawałka żyłki, podstawić to rybie pod nos i wyciągnąć ją z wody. Nieco więcej wysiłku kosztowało nas łowienie jesiotrów, szczupaków i tajmieni, największych ze wszystkich łososiowatych. Zwłaszcza ten ostatni przysporzył nam silnych emocji. Przyjechała z nami idealnie zgrana para, razem od siedmiu lat. Niestety on był zapalonym wędkarzem. No i zdarzyło się, że złapał tajmienia na haczyk, a potem zaczął go powoli ściągać na brzeg. Jego partnerka popełniła jednak jakiś błąd: zamiast wyrzucić rybę na plażę, próbowała ją złapać rękami. Tajmień zyskał oparcie i się zerwał – a kolega zerwał z koleżanką. Ta przygoda nie napełniła mnie większym szacunkiem dla wędkarskich pasji.

W tajdze jedliśmy nie tylko grzyby, owoce i ryby. W czasie wędrówki Pasza nosił ze sobą strzelbę – trochę dla obrony przed niedźwiedziami, trochę po to, żeby polować. I jak nie lubię myśliwych, tak zabite przez niego dwa jarząbki, które stały się naszym jedynym treściwym i ciepłym posiłkiem w czasie pięciodniowej wędrówki, jakoś nie przyprawiły mnie o wyrzuty sumienia. W tamtych okolicznościach wydawało się to naturalne, staliśmy się po prostu częścią przyrody.

Spotkania z mieszkańcami tajgi były dla mnie bardzo ważne. Ale ważniejsza okazała się sama wyprawa. Wróciłem z poczuciem, że oto odwiedziłem najpiękniejsze miejsce na ziemi. Wrześniowe kolory tajgi rzeczywiście trudno przebić. Choć stacjonowaliśmy niewiele dalej na północ, niż leży Gdańsk, utwierdziłem się w przekonaniu, że to kierunek dla mnie. Miła jest też świadomość, że siedem tysięcy kilometrów od domu znam nieźle kilka leśnych ścieżek. To właśnie podczas tej wyprawy zrozumiałem, że każdy dzień, którego się nie spędza w podróży, jest dniem straconym.

I wcześniej, i później praktycznie wszystkie moje wyjazdy polegały na tym, że pomagałem komuś w badaniach terenowych. Zimą tropiłem wilki i rysie w Puszczy Białowieskiej, latem łapałem nietoperze, zajmowałem się telemetrią kun albo zakładałem rezerwy dla żółwi błotnych. W końcu przyszedł moment, gdy sam zacząłem prowadzić badania. Mój zakład na Wydziale Biologii UW, obok niezbyt pociągającej mnie ekotoksykologii, specjalizował

się w badaniu gryzoni. Gryzonie są fantastyczne, można też dzięki nim prześledzić mnóstwo ekologicznych zjawisk i procesów. Ale nie podobała mi się metodologia. Powszechną metodą oznaczania tych ssaków w długoletnich projektach jest obcinanie im palców. Istnieje specjalny kod pozwalający zapisać na zwierzątku cyfry od jednego do tysiąca, obcinając im palce – nigdy więcej niż dwa u jednej łapki. Choć przez lata wpajano mi, że im to w ogóle nie przeszkadza i że świetnie sobie z takimi okaleczonymi łapkami radzą, jakoś ciężko mi było w to uwierzyć. Tym bardziej że sami nasi specjaliści od gryzoni niespecjalnie mi imponowali zawodową etyką.

Gdy zacząłem pracować na uczelni, długo musiałem ich przekonywać, żebyśmy przynajmniej w krótszych projektach strzygli myszom i nornicom futerko albo zaznaczali je markerem. To też robi się według odpowiednich kodów. Nauczyłem się ich w trakcie rocznych studiów w Wielkiej Brytanii. Zmiany na futerku niestety z czasem zanikają, ale w wielu projektach – a na pewno podczas ćwiczeń ze studentami – w zupełności wystarczają i nikogo nie krzywdzą. Tę zmianę udało mi się przeprowadzić dzięki wsparciu koleżanki, która również pisała wtedy pracę magisterską, a później została na studiach doktoranckich.

Gorzej było z ryjówkami. Te małe owadożerne ssaki mają tak szybki metabolizm, że jeśli przez kilka godzin czegoś nie zjedzą, giną z głodu. Dlatego kiedy łapią się w pułapki żywołowne dla gryzoni, w których do jedzenia wysypano ziarno, zwykle umierają. By temu zapobiec, rosyjscy naukowcy na Syberii wrzucali do pułapek kawałki padłych myszy. Może to obrzydliwe, ale skuteczne – tam wszystkie ryjówki czekały na nas w pułapkach tłuste i uśmiechnięte. W Wielkiej Brytanii zanosiliśmy im poczwarki much. Dosypywaliśmy je do ziarna i efekt był ten sam. A w Polsce uczono mnie, że tak to już jest: ryjówki w pułapkach umierają i nic się na to nie poradzi. Nasza pani docent, zajmująca się gryzoniami od stu lat, za każdym razem mówiła: „Ojej, biedna ryjówka, co za szkoda, one są takie słodkie...” – i wyrzucała truchelko w krzaki. Nie podobała mi się ta funkcjonalna fiksacja.

Badania prowadziliśmy w naszej stacji na Mazurach. Trafiłem w Mikołajkach na sklep wędkarski, którego właściciel był zachwycony, że może nam oddawać za darmo musze poczwarki, dla niego bezużyteczne (wędkarze najbardziej lubią nadziewać na haczyk to, co jeszcze się wije). Znalazłem źródło łatwego do podania pokarmu dla ryjówek. Wystarczyło go tylko odbierać podczas wizyt w mieście, które w sezonie zdarzały nam się niemal codziennie, nosić ze sobą w teren i dosypywać do pułapek. Niestety okazało się, że nawet tak prosta zmiana przekracza możliwości dostosowawcze moich starszych kolegów i koleżanek. Od lat mieli swoją metodę i żaden młokos nie mógł ich pouczyć. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z czymś, co mnie zaskakuje do tej pory, choć widywałem to później nie raz, zarówno na Uniwersytecie Warszawskim, jak i w Polskiej Akademii Nauk. Naukowcy często uważają, że są ponad prawem, że nie dotyczą ich zasady obowiązujące „zwyczajnych ludzi”: oni przecież prowadzą Badania. Przymykano więc w zakładzie oko na trzymanie w niewoli schwytych w lesie chronionych gatunków płazów i gadów, a ryjówki musiały dalej ginąć, bo tak było zawsze. Jeden z moich kolegów z uśmiechem pozwalał grupce radosnych licealistek z zielonej szkoły zrywać całe naręcza konwalii, choć one też są pod ochroną. Nie potrafię tego zrozumieć. Zawsze mi się wydawało, że podstawową motywacją, żeby zostać biologiem, jest to, że się gdzieś tam, w głębi duszy, po prostu bardzo lubi te zwierzołki. Najwyraźniej się myliłem. Z drugiej strony przy całym ich uroku małe ssaki niespecjalnie mnie ekscytowały i trudno mi je było traktować po partnersku. Dlatego od gryzoni i ich prześla-

dowców wolałem się trzymać z daleka.

Ponieważ lubię drapieżniki, wybór zwierząt do badań miałem ograniczony – podobnie zresztą jak wybór metodologii. Stało się oczywiste, że moja praca magisterska będzie – dosłownie – głównianą robotą. Jeśli bowiem człowiek chce się dowiedzieć, jaką rolę odgrywają w ekosystemie drapieżniki, musi się dowiedzieć, co jedzą. A bez wątplenia najlepszym na to sposobem, nieinwazyjnym i pozwalającym uzyskać wiele prób z tego samego zwierzęcia, jest analizowanie ich kup. Zajmowałem się tym już wcześniej w Anglii. Później zbierałem wilcze i kunie balaski dla naukowców z Zakładu Badania Ssaków PAN w Białowieży. Zbieranie zwierzęcych odchodów wydawało mi się więc czymś naturalnym. Ostatni rok studiów spędziłem zatem, włóczęc się po mazurskich lasach, kolekcjonując kupy lisów, kun, jenotów i borsuków. Później musiałem je wysuszyć, a kiedy nadszedł czas analiz, zalać wrzącą wodą i odstawić na dwanaście godzin. Przyzwyczałem się do specyficznej woni „herbatek” stojących w moim gabinecie. Tylko znajomi przestali mnie odwiedzać w pracy. Po rozmoczeniu kupy należało przepłukać, przetrzeć przez specjalne sito pod bieżącą wodą i znów wysuszyć. A później zaczynało się coś, co przypominało prawdziwe poszukiwanie skarbów.

Kupy jesienne, zarówno lisów, jak i kun – bo na tych dwóch (właściwie trzech, ale wówczas nie istniała metoda odróżniania odchodów kuny domowej i leśnej) gatunkach się, nomen omen, skupiłem – obfitowały w owoce, bo oba te drapieżniki właściwie przechodzą wtedy na wegetarianizm. W pozostałych porach roku znajdowałem w nich futerko gryzoni, ich piękne czaszki i kości żab. Gatunki rozpoznawało się po mikroskopowej strukturze włosów lub po ułożeniu szkliwa na trzonowcach. Dla mnie to było naprawdę fascynujące. Najciekawszym znaleziskiem okazał się kawałek papieru z zakładów mięsnych na Żeraniu, sznurek i... pięć długich włosów blond, niewątpliwie ludzkich. Mogły należeć do nieuważnej pani z masarni, ale dużo ciekawsza wydawała mi się wersja z obciętą głową owiniętą w papier i wywiezioną na Mazury. Ludzkiej czaszki w tym konkretnym gówieńku nie było.

W każdym razie uważałem te swoje śledztwa nie tylko za coś całkowicie normalnego: naprawdę mnie interesowały i zapewniały sporo doznań estetycznych – sierść i zęby pod lupą są piękne, a szczecinki dżdżownic wyglądają wręcz jak mikroskopijne klejnoty. Ale przekonałem się, że chyba nie wszyscy podzielają mój entuzjazm. Któregoś dnia spotkałem się z zaprzyjaźnioną studentką italianistyki, młodszą siostrą kolegi z roku. Ja właśnie kończyłem pisać pracę, ona powoli przymierzała się do wyboru tematu. I jakoś tak zaczęliśmy rozmawiać o najdziwniejszych tematach prac magisterskich, o jakich słyszeliśmy. Po kilku naprawdę absurdalnych przykładach koleżanka postanowiła wytoczyć najcięższe działo:

– To jeszcze nic! Mikołaj, ja słyszałam, że u was na wydziale jeden koleś łązi po lesie i zbiera lisie gówna!

Kiedy skończyłem się babrać w lisich odchodach, zostanie na uczelni wydawało mi się najbardziej oczywistym krokiem. Od roku pracowałem na stanowisku technicznym i w końcu przeszedłem na asystenturę. Myślę, że najzdrowszą motywacją do robienia doktoratu jest znalezienie czegoś, co nam sprawia frajdę, i chęć zgłębienia tematu. (Oczywiście można też użyć innych argumentów. Moja studentka, kiedy ją zapytałem, co będzie robić po obronie, powiedziała: „Wiesz, Mikołaj, jakoś nie mam pomysłu na życie, chyba zrobię doktorat”, po czym wyjechała do Szwajcarii i po kilku latach obroniła jeden z najlepszych biologicznych projektów w Europie). Ale mnie drapieżniki wciągnęły na dobre. Nie bardzo sobie wyobrażałem, że mógłbym robić coś innego.

Nadszedł rok 1996. Do ekologii zaczęły wkraczać techniki molekularne. Postanowiłem się tym zająć. Zawsze lubiłem genetykę i podobało mi się stosowanie nowych narzędzi. Zaproponowałem współpracę znajomym genetykom i chyba obie strony były zadowolone. Ja miałem świeże, seksowne techniki poszukiwania odpowiedzi na czysto ekologiczne pytania, oni zyskali poczucie, że to, co robią, wreszcie ma odbicie w namacalnym świecie przyrody. Pomagałem wtedy koledze, który badał na Mazurach norki amerykańskie. Metodologię mieliśmy dopracowaną, norki były fajne i jako gatunek inwazyjny wymagały zbadania. Dlatego właśnie one stały się tematem mojego doktoratu.

Norki amerykańskie – inaczej zwane wizonami – to przepiękne zwierzęta, podobnie jak właściwie wszystkie ssaki z rodziny łasicowatych. Tak jak koty łączą niebanalną urodę z gracją i szybkością zawodowego zabójcy. Znalazły się w Polsce dlatego, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Rosjanie wypuszczali je na terenie dzisiejszych państw bałtyckich, żeby później chwycić je na futra. Sporo uciekło z ferm. Zwierzęta oczywiście nie uznają granic państw, więc po kilkunastu latach osiedliły się również u nas. Z badań kolegi wiedzieliśmy już, ile ich jest, co jedzą i jak sobie u nas radzą. Najciekawsze było to, że udało nam się złapać ewolucję na gorącym uczynku. Sporą część ofiar norek stanowią ptaki wodne, głównie łyski i perkozy. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu gnieździły się pojedynczo wzdłuż brzegów jezior. Teraz tworzą ogromne kolonie. Trudno to udowodnić, ale taka korelacja wydaje się odpowiedzią na pojawienie się w środowisku nowego wroga. Ponieważ norki są terytorialne, każda z nich patroluje jakiś odcinek linii brzegowej i przepędza inne norki tej samej płci. Terytoria samców i samic na siebie nachodzą, ale ptaki i tak na tym korzystają: gdy się gnieźdzą w jednym miejscu, poluje na nie niewiele osobników. Kiedy kolonia jest duża, norki mogą się do nieprzytomności opychać ich jajami i pisklętami, mogą zjadać dorosłe osobniki, ale nie są w stanie zabić ich tyle, ile by zabijały, gdyby były rozproszone na większym obszarze, na terytoriach wielu drapieżników.

Postanowiłem się dowiedzieć, czy ich populacja się u nas ustabilizowała, a także skąd pochodzą mazurskie osobniki i jaki jest wśród nich udział uciekinierów z ferm futrzarskich. Bo tacy szczęściarze z pewnością również wśród nich są. Swoją drogą obecność norek w naszym kraju i wszystkie związane z tym problemy zawdzięczamy durnemu i okrutnemu przeświadczeniu niektórych ludzi, że zwierzęce futro lepiej wygląda na nich niż na prawowitych właścicielach. Moim zdaniem to odrażające. Tak czy siak mamy w kraju norki. Wytepić ich się nie da. Chciałem sprawdzić, co właściwie u nas robią.

Techniki molekularne pozwalały mi ustalać intrygującą sieć pokrewieństwa między nimi. Pobierałem próby DNA od łapanych w pułapki żywołowne osobników. Wyglądało to tak, że zimą rozstawiałem całe rzędy drewnianych skrzynek z rybami (latem norki nie wyrażały nimi zainteresowania, zbyt wiele pyszności biegało wszędzie wokół), i codziennie sprawdzałem, czy ktoś się w nie nie złapał. Innymi słowy znowu spędzałem czas wśród pięknych mazurskich krajobrazów, łąząc po lesie i robiąc to, co lubię najbardziej. Złapaną norkę należało wyjąć z pułapki i włożyć do jutowego worka, po czym, starając się nie dać się ugryźć, podać jej zastrzyk z ketaminy, żeby później spokojnie ją zważyć, oznaczyć wiek, płeć, a także oznakować nacięciami na uszach. Tak, musiałem trochę te swoje zwierzęta okaleczać, choć uszy norek to właściwie cienkie płatki skóry, często porozdzierane o ostre krzaki i w trakcie walk. Wycięte fragmenty (kółeczka o średnicy około dwóch milimetrów) służyły mi później do analiz genetycznych. Niektórym norkom zakładałem nadajniki telemetryczne, dzięki któ-

rym mogłem je śledzić w terenie.

Te cztery lata, które spędziłem z norkami, były wspaniałe. W sumie złapałem ich ponad osiemdziesiąt. Moja fascynacja tymi zwierzętami rosła z każdym kolejnym osobnikiem. Niektóre okazywały się naprawdę silnymi osobowościami. Na pograniczu jezior Mikołajskiego i Beldan żył na przykład wyjątkowo duży (prawie dwukilogramowy) samiec, który się ketaminie nie kłaniał. Złapałem go z moim magistrantem Pawłem. Zwykle norki po jednym zastrzyku padały na dwadzieścia minut, ale Iwan, bo tak go w uznaniu dla jego niezwyklej odporności ochrzciliśmy, po trzech zastrzykach wciąż wściekle się rzucał i próbował zagryźć nasze dłonie. Udało nam się go w końcu uspić na chwilę i oznaczyć, ale pod koniec tych pospiesznych zabiegów zaczął dochodzić do siebie. Możliwe, że unieruchomienie ważącego około kilograma zwierzątka nie wydaje się trudnym zadaniem. Ale norki naprawdę są niezwykle szybkie, a ich drobne ciała muskulaturą przypominają ciała węży. Szyja Iwana – a właściwie karczycho – była grubości mojego przedramienia i twarda jak stal. Próby okiełznania takiej kłapiącej centymetrowymi zębami bestyjki zawsze podnosiły nam poziom adrenaliny. O niewiarygodnej szybkości nerek mogłem się przekonać już wcześniej, gdy przeprowadzaliśmy doświadczenie, które miało nam pozwolić wyznaczyć dla nich tak zwane współczynniki strawialności. Współczynniki te pozwalają na podstawie masy znalezionych w odchodach resztek ustalić, jaką biomasę miała ofiara drapieżcy. Jest to o tyle ważne, że niektóre ofiary (na przykład chrząszcze) trawione są bardzo słabo, podczas gdy z innych (z żab czy piskląt) zostaje niewiele. Takie same ilości tych składników w porcji kupy nie odzwierciedlają więc zjadanej rzeczywistości. Co więcej, poszczególne gatunki drapieżników trawia różne pokarmy z różną wydajnością, zatem dla każdego współczynniki trzeba wyznaczać osobno. Dla nerek ich jeszcze nie było, więc postanowiliśmy je obliczyć. Żeby to zrobić, trzeba karmić drapieżnika określoną masą jakiegoś pokarmu, a następnie dokładnie analizować to, co się wydostanie drugim końcem. Nie jest to trudne, ale przez jakiś czas trzeba trzymać dzikie zwierzęta w niewoli.



Norka amerykańska

Norki dość szybko przyzwyczały się do terrariów, w których zamieszkały. Przestały zwracać na nas uwagę. Spały albo się bawiły, a nasze wizyty szybko zaczęły im się kojarzyć z dostawą posiłków. Karmiliśmy je różnymi stworzeniami, aż w końcu przyszła pora na my-



szy. Pora na osobiste wyznanie: pracowałem z bardzo wieloma naprawdę dużymi zwierzętami – i nic, ale są takie myszy, których się boję. Może nie panicznie, ale na pewno gdy staram się je utrzymać w dłoni, czuję ogromny respekt. Zwłaszcza jeśli jest to mysz wielkooka leśna, pospolity mieszkaniec naszych zadrzewień. To piękne zwierzę – gibkie, silne i niezwykle zwinne – ze wszystkich ssaków wytoczyło mi najwięcej krwi. Myszy leśne są spore, mogą ważyć nawet pięćdziesiąt gramów, mają ostre zęby i potrafią skakać na ponad metr w górę. Wspinają się po drzewach, szybko biegają i zdecydowanie nie należą do potulnych.

Kiedy przyniosłem taką właśnie mysz, nasza norka smacznie spała, zwinięta w kłębek w najdalszym rogu terrarium. Była to szklana skrzynia długa na jakiś metr, wysoka i szeroka na sześćdziesiąt centymetrów – innymi słowy całkiem spora. Delikatnie uniosłem pokrywkę. Norka wciąż spała tyłem do mnie, nawet nie poruszyła uchem. Przeniosłem mysz i wypuściłem po drugiej stronie terrarium, z dala od głęboko śpiącego łowcy... I wtedy stało się coś absolutnie niesamowitego. Mysz nie doleciała nawet do ściółki. Pozornie śpiąca norka wyskoczyła i zabiła ją w powietrzu, zanim obie spadły na ziemię. W życiu nie widziałem, żeby jakiegokolwiek zwierzę poruszało się tak szybko, chociaż drapieżniki z tej rodziny są z tego znane.

Kilkakrotnie zdarzyło mi się obserwować drobniejszą kuzynkę norki, łasicę, biegającą po lesie. Raz wspięła mi się nawet na nogę, aż do pasa – zapewne wzięła mnie za drzewo i chciała się rozejrzeć. Myślę, że dla tych zwierząt jesteśmy po prostu za duzi, żeby mogły nas traktować jak ssaki. One nas zwyczajnie nie przyjmują do wiadomości. Patrolująca swój teren łasica porusza się tak szybko, że właściwie nie tyle się przesuwa z miejsca na miejsce, ile dokonuje translokacji: jest tu, a potem nagle tam, po drodze zaś nie ma jej w ogóle. Podobną sztuczkę opanowały ważki.

Badając norki, zwiedziłem kajakiem i pieszo wszystkie przybrzeżne gęstwiny pobliskich jezior. Wraz z Pawłem szukałem nor: od młodych zwierząt pobieraliśmy próby DNA, żeby się dowiedzieć, od ilu ojców pochodzą. Już pierwsza z nich dostarczyła nam dużo radości. Znałem ją wcześniej, była wykopana w piaszczystej skarpie nad Śniardwami. Zeszliśmy nad wodę. Wskazałem Pawłowi wejście do norki z charakterystycznymi odchodami i odwróciłem się do niego. W połowie wyvodu spojrzałem w stronę jamy, którą opisywałem, i aż podskoczyłem: niecałe pół metra od mojej twarzy siedziała jej gospodyni, przyglądając mi się z ciekawością. Okazało się, że jest tam prawie od początku – jak tylko zacząłem opisywać jej dom, wyszła posłuchać. Mój student wpadł w zachwyt: ja opowiadałem, jak wygląda nora norki i czego szukamy, a obiekt naszych badań posłusznie wyszedł nam na spotkanie. Natychmiast zostałem norkowym guru. Trochę trwało, zanim go przekonałem, że to był przypadek.

Chwywanie młodych nam się nie udało, ale samo chodzenie po zaroślach okazało się wystarczająco ciekawe. Któregoś dnia natknęliśmy się na łoszaka: stał niepewnie na trzęsących się nogach. Miał czekoladowe umaszczenie i ogromnymi ślepiami ze zdziwieniem rozglądał się po świecie. Nie mógł być na nim dłużej niż od kilku godzin. Trudno o słodsze stworzenie. Aksamitne chrapy wyciągały się do nas z ciekawością. Z zachwyconego stuporu wyrwała nas myśl, że gdzieś w pobliżu musi chodzić jego mama, zapewne niezbyt zachwycona naszym wtargnięciem.

Najbardziej chyba absurdalne spotkanie zdarzyło się nam na jednym z pierwszych spacerów. Przedzieraaliśmy się przez olsy nad Śniardwami, z dala od wszelkich ludzkich osad, gdy

nagle natknęliśmy się na świeżo powalone drzewo. Paweł wykrzyknął z entuzjazmem: „Boby!”, i nagle z pobliskich trzciny, z pomostu, o którego istnieniu nie mieliśmy pojęcia, podniosła się młoda kobieta w stroju topless (zapewne, bo widzieliśmy tylko jej górną połowę, ale i tak było fajnie) i z pawłowską uprzejmością odpowiedziała: „Dobry!”, po czym położyła się z powrotem, pozostawiając nas w radosnym osłupieniu. Tak, praca na Mazurach nigdy mi się nie znudziła.

Miałam to szczęście, że na swoich leśnych ścieżkach spotkałem prawie wszystkich dzikich mieszkańców naszego kraju. Ale ci, których najbardziej ukochałem, w dalszym ciągu mi się wymykają. Pozostają tuż poza granicą spojrzenia, co zapewne jeszcze zwiększa moją fascynację. Inne słowo nie przychodzi mi do głowy, gdy o nich myślę. Wilki, bo o nich mówię, odkąd pamiętam panują w mojej wyobraźni.

Już pierwszy kontakt z tymi mistycznymi drapieżnikami wywarł na mnie ogromne wrażenie. Była zima. Przedzierałem się samotnie przez śnieg pokrywający jedną z dróg w ścisłym rezerwacie Białowieskiego Parku Narodowego. W promieniu wielu kilometrów otaczała mnie najpiękniejsza puszcza na świecie. Żadnych ludzi, tylko ja. Nagle natknąłem się na odciski łap wilka, bardzo świeże. Z krawędzi każdego tropu obsypywał się śnieg. Drapieżnik musiał tamtędy przejść kilka minut wcześniej. Nie widziałem go, ale miałem absolutną pewność, że on doskonale zdaje sobie sprawę, że ja tam jestem. Czułem się jak na audyencji u Władcy Lasu, ogromnie wyróżniony i przejęty. Nie bałem się. Wilki są za mądre, żeby nas zaczepiać, ale serce waliło mi mocno. Nigdy wcześniej nie byłem aż tak przejęty. Nie wiedziałem wtedy, że następnym razem podobnie poczuję się wśród lodów Antarktydy.

Na wycie wilków musiałem jednak jeszcze poczekać. Pierwszy raz usłyszałem je w górach na Syberii. Dochodziło wprawdzie z zamkniętego rezerwatu, w którym niedługo potem spotkaliśmy niedźwiedzia, ale i tak robiło wrażenie. Niosło się po okolicznych szczytach. Już wtedy przyjemne ciarki zjeżyły mi skórę na karku.

Ale to było dopiero preludium. Prawdziwe spotkanie z wilczym wyciem nastąpiło parę lat później na „wilczych” warsztatach w Puszczy Białowieskiej. Któregoś wieczoru ruszyliśmy do lasu, by wyc w nadziei, że któryś nam odpowie. Wilki są na tyle uprzejme, że nie tylko reagują na taką prowokację (żeby uniknąć przypadkowego spotkania watah, zaznaczyć swoje terytorium i podać lokalizację), ale również włączają się do wyjącego kanonu po kolei, dzięki czemu można je zarówno zlokalizować, jak i policzyć. Przed wyjściem w teren zostaliśmy przeszkoleni przez profesora Jędrzejewskiego, któremu wiele razy wcześniej pomagałem w badaniach nad zespołem puszczańskich drapieżników. Nauczyliśmy się wyc (mężczyźni dowiedzieli się, że nie należy wyc zbyt głęboko, żeby nie wystraszyć obiektów badań, które mogłyby nas uznać za wyjątkowo potężne samce), wyznaczyliśmy punkty prowadzenia symulacji i zsynchronizowaliśmy zegarki, by przez pomyłkę nie policzyć innych uczestników warsztatów. Całkiem nieźle znałem ścisły rezerwat, więc ten teren przydzielono mnie. Ruszyliśmy o zmierzchu. Każde z nas miało wyc trzykrotnie co dziesięć minut, oddaleni od siebie o nieco ponad kilometr (puszcza jest pocięta przecinkami na kwadraty o boku długości jednej wiorsty – my wyliśmy na skrzyżowaniach tych przecinek). Ponieważ przez rezerwat ścisły biegnie droga, ruszyłem do lasu na rowerze.

Już początek był ciekawy. Mknąłem przez las w zupełnych ciemnościach, prowadzony jedynie przez cienki pas nieba widoczny nad drogą, gdy nagle poczułem silne uderzenie i pełen oburzenia kwik! Wpadłem na dzika. Oczywiście nic mu nie zrobiłem i nie wiem, który

z nas przestraszył się bardziej. W dalszą drogę ruszyłem, śpiewając na całe gardło sprośne kupleciki, tak na wszelki wypadek. Dziki same zwykle hałasują na tyle głośno, że często nie słyszą naszych kroków. Kiedy jednak w końcu się zorientują, że nie są same, uciekają przed siebie – wtedy może się zdarzyć, że ruszą na nas, jeśli akurat taki kierunek wyznaczał im zajęty jedzeniem ryj. I w dobrze pojętym odruchu samoobrony mogą zaatakować. Dlatego lepiej zawczasu się z nimi witać. Wtedy niespiesznie się odsuwają. Kupleciki spełniły swoje zadanie, bo na nikogo więcej nie wpadłem, choć słyszałem wśród drzew odgłosy buchtowania.

W końcu dotarłem na miejsce swojego pierwszego wycia: w pobliżu mostku nad rzeką Hwoźną. Odstawiłem rower, spojrzałem na zegarek i zacząłem wyc najpiękniej, jak umiałem. Ale widać nie byłem zbyt przekonujący, bo w tym momencie z pobliskich krzaków wyszedł jenot. Spojrzał na mnie z pogardą, obwąchał mój rower, obsikał go dokładnie i zniknął w zaroślach. Zdruzgotała mnie tak jednoznaczna krytyka. Kolejne wycie, po drugiej stronie rzeczki, poszło mi już chyba lepiej, ale dopiero trzecie przyniosło efekty. Ledwo skończyłem, gdy trzysta metrów ode mnie rozległ się niski, złowieszczy dźwięk. Po chwili do basiora dołączyły kolejno dwa dorosłe wilki, a na koniec do chorału spróbowały coś od siebie dodać cztery szczeniaki. Stałem jak wryty, ze wzruszenia wstrzymując oddech. Oto najwspanialszy mieszkańcy puszczy odpowiedzieli na mój zew! To niesamowite, kiedy dzikie zwierzę nawiązuje z nami tak bezpośredni kontakt... Ktoś mnie usłyszał, docenił i uznał za stosowne odpowiedzieć. Wracałem jak na skrzydłach. Czułem się częścią dzikiego świata, a to bardzo dobre uczucie.

Usłyszałem w głowie tamto ciche klikanie. Byłem w pełni sobą. I byłem w domu.

## II. Kostka lodu

Ten region zna jedynie dwie pory roku: zimę i sierpień.

Jeanette Mirsky, *To the Arctic*



## 4. Szczyt wszystkiego

Daremnie próbuję sobie wytłumaczyć, że biegun to tylko skuta mrozem pustka – przed oczyma mej wyobraźni zawsze roztacza się jako okolica pełna rozkosznej piękności. Tam nigdy nie zachodzi słońce, Małgorzato: szeroki jego dysk muska jedynie skraj widnokregu, rozsiewając przepyszny, niegasnący blask.

Mary Shelley, *Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz*

Do Arktyki trafiłem po raz pierwszy w 2007 roku, ale od razu konkretnie: na sam biegun północny, i to dwukrotnie, uczestnicząc w dwóch kolejnych rejsach legendarnego lodołamacza atomowego „Jamał”. Miałem ten zaszczyt i ogromną przyjemność, że później gościłem tam jeszcze cztery razy. Co prawda by tam dotrzeć, ani razu nie musiałem – jak to się zdarzało w dawnych latach – przedzierać się przez lodowe zatory, wydostawać z powstających nagle szczelin, odmrażać różnych części ciała ani zjadać swoich towarzyszy, ale byłem, widziałem. I jestem zachwycony. Mimo że zaprowadziła mnie tam moja praca, praca przewodnika, wciąż uważam się za wyróżnionego. Nie przypisuję sobie z tego tytułu żadnej zasługi, choć wiem, jak niewiele osób miało podobne szczęście. Zresztą gdyby przywiązywać wagę do samej liczby odwiedzin, absolutną rekordzistką jest moja znajoma Irina Michajłowa, rosyjska stewardesa pracująca na atomowym lodołamaczu „50 Let Pobiedy” (czyli „50 lat zwycięstwa”), jedynym statku, który regularnie na biegun od paru lat dopływa. Irina pracuje na lodołamaczach już ponad dwadzieścia lat, w tym czasie była na biegunie... siedemdziesiąt trzy razy! Nikt inny na świecie nie może się tym pochwalić: żaden marynarz, oficer ani sławny zdobywca. Gdy jednak zapytałem ją, czy czuje się dzięki temu wyjątkowo, uśmiechnęła się tylko i stwierdziła, że... no cóż, praca jak praca. W historii ludzkości drugie miejsce pod względem liczby wizyt na biegunie północnym zajmuje Walentina Gonczarowa, szefowa sprzątaczy i sprzątaczek na tym samym statku. Walentina była tam tylko sześćdziesiąt dziewięć razy – cztery wycieczki opuściła, kiedy urodziła córkę.



„50 Let Pobedy” w pobliżu bieguna północnego

Czym jednak w ogóle jest Arktyka? Co takiego jest w tej zimnej krainie, że od ponad dwóch tysięcy lat działa na ludzką wyobraźnię i nieustannie przyciąga podróżników, gotowych na ogromne wyrzeczenia, często na śmierć, byle tylko odkryć jej zamrożone sekrety? Większości z nas to miejsce kojarzy się z bezkresną białą pustynią, po której misie ścigają sympatyczne pingwiny ku uciechu okutanych w skóry, skośnookich i rozchichotanych Eskimosów. A to zupełnie nie tak.

Już starożytni Grecy zauważyli, że gwiazdy mają centralny punkt obrotu, czyli biegun niebieski, który znajduje się w pobliżu Gwiazdy Polarnej w gwiazdozbiórze Małej Niedźwiedzicy. Dostrzegli też, że jedne gwiazdy widać zawsze, a inne zależnie od pory roku. Linia oddzielająca te dwie grupy przebiega przez gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy. Równoległą do niej linię na powierzchni Ziemi nazwali kręgiem arktycznym (od słowa *arctos*, oznaczającego niedźwiedzia). Stąd nazwa całej krainy.

Spośród przedstawicieli „naszej” cywilizacji pierwszy odwiedził ją Pyteasz z Massalii, antycznej greckiej kolonii znanej obecnie jako Marsylia. Nie wiadomo o nim niestety zbyt wiele. Znakomita większość jego pism przepadła i znamy je z relacji Polibiusza, żyjącego nieco później greckiego historyka i geografę. Ten zresztą, podobnie jak większość mu współczesnych, nie wierzył w rewelacje przywiezione przez podróżnika, takie jak słoneczny dzień trwający nawet dziewiętnaście godzin czy morze skute lodem. Wiemy jednak, że to Pyteasz udoskonalił przybory nawigacyjne i że to on zwrócił uwagę na związek oceanicznych pływów z położeniem Księżycy. Wiadomo też, że był prawdopodobnie pierwszym odkrywcą,

który dla samej żądy poznania zapuścił się na tak daleką północ, a jego relacje na wieki stały się jedynym źródłem informacji o tych terenach. Wyruszył tam około 310 roku przed naszą erą w poszukiwaniu cyny i bursztynu. Podróż zawiodła go do Wielkiej Brytanii, prawdopodobnie również nad Bałtyk, a także tam, gdzie „nie ma już różnicy między lądem a morzem i powietrzem, a substancji łączącej wszystko nie sposób przebyć pieszo ani statkiem”, czyli na zamrożone morza u przedśionka Arktyki. Fridtjof Nansen, norweski oceanograf, uznał, że ten opis w obrazowy sposób przedstawia gęstą lodową kaszę i mgły charakterystyczne dla arktycznych mórz. Pyteasz nazwał najdalszy z lądów, które odwiedził, Ultima Thule (Ostatni świat), choć nie wiadomo, czy dotarł do północnych wybrzeży Norwegii, do Szetlandów, czy może na Islandię. Tak czy siak odkryty przez niego mroźny świat na zawsze zawładnął wyobraźnią ludzkości, a Ultima Thule do dziś pozostaje synonimem końca świata.

A zatem krainę położoną najdalej na północ nazwano po prostu Krainą Niedźwiedzia. Z pozoru łatwo więc Arktykę zlokalizować. To tam, gdzie jest biegun północny, otoczony pokrytym lodem Oceanem Arktycznym i północnymi krańcami Europy, Azji i Ameryki Północnej i wyspami leżącym u ich wybrzeży – wraz z największą, Grenlandią.

Kłopot w tym, że nikt nie potrafi dokładnie określić, gdzie na południu kończy się Arktyka, a zaczyna strefa umiarkowana. Można by na przykład przyjąć arbitralnie, że Arktyką nazwiemy wszystko to, co leży za północnym kręgiem polarnym, wyznaczającym granicę polarnego dnia i polarnej nocy (czyli strefę, w której przynajmniej przez jedną dobę w roku słońce w ogóle nie zachodzi i przynajmniej przez jedną w ogóle nie wstaje). Kręgi polarne, zwane też kołami podbiegunowymi, mamy dwa: północny i południowy (analogicznie na południe od tego drugiego również występują dzień polarny i noc polarna) położone na równoleżnikach 66°33'39'', odpowiednio N (północnym) i S (południowym) – mniej więcej, gdyż nasza ulubiona planeta chybotrze się lekko w trakcie obrotów i kręgi polarne odrobinę się przesuwają. Gdyby jednak za granicę Arktyki uznać krąg polarny, znajdą się w niej obszary o bardzo różnych klimatach i warunkach przyrodniczych, ponieważ dzięki Gólsztromowi Europa jest znacznie cieplejsza od Ameryki Północnej i nasze strefy umiarkowane sięgają dalej na północ. Z punktu widzenia biologii wytyczenie takiej granicy nie miałoby więc większego sensu. Dlatego częściej za granicę Arktyki uznaje się albo izotermę +10°C (określającą średnie temperatury lata; na południe od tej linii jest cieplej, na północ – zimniej), albo granicę występowania zwartych obszarów leśnych. Oczywiście są to granice dość płynne: drzewa nie znikają nagle, ustępując miejsca arktycznej tundrze, tylko stopniowo karleją. Zależnie od kontynentu, ale i od ukształtowania terenu (w osłoniętych dolinach drzewa występują dużo dalej na północ) granica ta wiję się szerokim zygzakiem, ale przynajmniej ma jakiś biologiczny sens. W samej Arktyce drzewa też jednak występują. Żyjące w prawdziwej tundrze wierzby i brzozy płożą się po ziemi i wystają na wysokość kilku centymetrów, a osiągnięcie grubości ludzkiego palca może im zająć kilkaset lat. Ale są. Jak to kiedyś określił mój kolega Tomasz Janecki, w Arktyce, tak jak u nas, rosną grzyby i drzewa. Tyle tylko że u nas to grzyby rosną pod drzewami, a w Arktyce – odwrotnie.

Arktyka otacza północny biegun naszej planety i obejmuje wszystkie długości geograficzne. Podczas swoich podróży odwiedziłem mniej więcej połowę jej obszaru, od Ziemi Franciszka Józefa na wschodzie po Arktykę Kanadyjską na zachodzie. Alaska i rosyjski Daleki Wschód wciąż pozostają w sferze moich marzeń. W kolejnych rozdziałach opiszę arktyczne archipelagi i krainy, które miałem szczęście odwiedzić. Zacznę jednak od bieguna, bo to on



jest zwieńczeniem naszej planety, przynajmniej w tradycyjnych odwzorowaniach kartografów z naszej półkuli.



Murmańsk jest pięknie otoczony, ale samo miasto nie zawsze zachwyca

Rejsy turystyczne ruszają na biegun z Murmańska, rosyjskiego portu nad Zatoką Kolską, będącą częścią Morza Barentsa. To największe miasto za kręgiem polarnym powstało całkiem niedawno, 6 lipca 1916 roku. Swoje istnienie zawdzięcza temu, że jego port nie zamraża przez cały rok. Jak na niecałe sto lat Murmańsk ma bardzo burzliwą historię. Powstał jako ostatnie miasto carskiej Rosji, po to, by umożliwić jej sojusznikom dowożenie dostaw wspierających imperium w wysiłkach pierwszej wojny światowej. Jego nazwa pochodzi od słowa *Murman*, wywodzącego się od Normanów, czyli ludzi północy, jak dawniej określano Skandynawów. Na samym początku nazywało się Romanow na Murmanie, ale nie trwało to długo. Po radzieckiej rewolucji wychwalanie Romanowów wyszło z mody. W kwietniu 1917 roku miasto przyjęło obecną nazwę. W okresie wojny domowej w mieście stacjonowała Biała Armia i siły zachodnie (walczyły tam też oddziały Polaków), a od 1926 roku miasto rozwijało się już jako porządny komunistyczny port. I to niestety widać. Zawsze uważałem, że moje rodzinne miasto, Warszawa, zawdzięcza swoją oryginalną urodę (przynajmniej po zachodniej stronie Wisły) dwóm poważnym tragediom architektonicznym, które je dotknęły w XX wieku. Jedna to zniszczenie stolicy przez nazistów, druga – odbudowanie jej przez komunistów. Trudno powiedzieć, która z punktu widzenia estetyki była gorsza. Potem swoje dołożył szal młodego kapitalizmu lat dziewięćdziesiątych. Bardzo lubię swoje miasto, ale to dość trudna miłość. Jednak w Murmańsku można się wyzbyć wszelkich kompleksów. Zachodzą tu i nadal zachodzą te same procesy, ale z większym rozmachem – i konsekwencje

są bardziej ponure. Trafiłem tu kilkakrotnie i za każdym razem czułem się jak na wycieczce w szarą i posepną przeszłość. Nad miastem dominuje ogromny hotel Arktika (odkąd pamiętam w remoncie), najwyższy na świecie budynek położony za kręgiem polarnym. Reszta jest zabudowana przynębiającymi „chruszczowkami” – cztero- lub pięciopiętrowymi blokami, którymi usiane są wszystkie miasta byłego ZSRR.

Ale wróćmy do historii. Podczas drugiej wojny światowej z portu w Murmańsku początkowo korzystali Niemcy. Walczyli na północy z alianckimi okrętami. Później, w 1941 roku, po wybuchu wojny między ZSRR a Trzecią Rzeszą, siły niemieckie zaatakowały miasto z ogromną zajadłością, ale bohaterski opór mieszkańców połączony ze skrajnie trudnymi warunkami atmosferycznymi sprawił, że udało się je obronić i do końca wojny docierały tam konwoje z aliancką pomocą, rozwożoną następnie koleją po całym kraju. Miasto zostało jednak zniszczone tak bardzo jak Leningrad i Stalingrad, a wojenne cierpienia sprawiły, że w 1985 roku Murmańskowi przyznano status Miasta Bohatera. W ZSRR wyróżniono w ten sposób także jedenaście innych miast i jedną twierdzę. Co to oznaczało w praktyce? Miasta Bohaterowie dostawały po medalu Złotej Gwiazdy, Orderze Lenina i dyplomie uznania od Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, a potem jakieś malownicze miejsce psuto odpowiednim obeliskiem upamiętniającym to doniosłe wyróżnienie. Lata osiemdziesiąte to zresztą szczyt rozwoju miasta. Mieszkało tam wówczas prawie pół miliona ludzi: przyciągnęły ich lepsze płace, dodatki za warunki arktyczne, dłuższe urlopy i wcześniejsze emerytury. Od upadku Związku Radzieckiego jego populacja stopniowo się kurczy. Obecnie ma około trzystu tysięcy mieszkańców. Klimat oczywiście nie należy do specjalnie sprzyjających, no i panująca od listopada do lutego ciemność sprawia, że powszechne są tam arktyczne problemy, takie jak depresja, samobójstwa i alkoholizm. Jednak w lecie miasto ożywa, a te rzadkie dni, kiedy słońce przebija się przez deszczowe chmury, bywają naprawdę ciepłe. Popularny jest tam dowcip o mężczyznach, którzy spotkali się w ruskiej bani i z pewnym zdziwieniem przyglądają się jednemu w swoim gronie człowiekowi o skórze jasnej jak papier. Pytają go:

- A skąd ty jesteś?
- Z Murmańska – odpowiada błądy entuzjasta pary wodnej.
- A to u was nie ma lata?
- Ależ jest, jest, oczywiście, że jest! Tylko akurat tego dnia byłem w robocie...

Pierwszy raz wylądowałem w Murmańsku pod koniec lipca 2007 i faktycznie nie było za gorąco. Temperatura sięgała raptem kilkunastu stopni, a całe niebo zasnuwały chmury. Było za to tyle komarów, że mimo letnich strojów nikt nie marzył. Nieustanne wymachiwanie rękami wraz z nerwowymi podskokami wymusza odpowiednią cyrkulację i zapewnia rozgrzewkę. Droga z lotniska wije się wśród rozległej lasotundry, porośniętej gęstymi i dość niskimi drzewami. Wokoło rozciągają się łagodne wzgórza, jeziorka i rzeki, jakby przyroda chciała wówczas – i to z nawiązką – wynagrodzić przynębiające wrażenie, które robi miasto.

W końcu jednak z okien autobusu widać szare przedmieścia i zaczyna się Murmańsk. Trzeba przejechać przez cały, żeby dotrzeć do portu, więc można naprawdę nasycić oczy jego postkomunistyczną brzydota. Jedziemy główną ulicą (Prospektem Lenina, jakże by inaczej), po czym skręcamy w stronę pierwszej z obowiązkowych atrakcji – śnieżnobiałej cerkwi Zbawiciela na Wodzie, zbudowanej w 2001 roku dla murmańskich marynarzy. Ta część

miasta (w pobliżu znajduje się park ze sztucznym jeziorem) i sama cerkiew są zdecydowanie ładniejsze od murmańskiej średniej.

Kolejnym punktem programu jest wizyta u Aloszy, miejscowego olbrzyma. Alosza ma ponad trzydzieści pięć metrów wzrostu i stoi na siedmiometrowym cokole, całość zaś wtargano na jedno z okalających miasto wzgórz. Alosza powstał w roku 1974 i upamiętnia radzieckich żołnierzy walczących w drugiej wojnie światowej. Od tego czasu spogląda zamyślony na zatokę, a w jego dumnych i szlachetnych rysach kryje się troska o losy sowieckiej ojczyzny. Trzeba przyznać, że mógł trafić gorzej – ze wzgórza roztacza się wspaniała panorama, a z takiej odległości nawet spływający łagodnie ku morzu Murmańsk wygląda niezłe.

Ostatnia atrakcja wprowadza nas w atmosferę wyprawy. Odwiedzamy sławny lodołamacz „Lenin”. Jest najstarszy z rodziny radzieckich lodołamaczy atomowych. Już od dawna nie wychodzi w morze. Cumuje u murmańskiego nadbrzeża i mieści się w nim muzeum. Ale kiedy powstawał, w 1957 roku, był pierwszym na świecie statkiem o napędzie atomowym, który pływał po powierzchni (wcześniej taki napęd stosowano tylko w łodziach podwodnych), a zarazem pierwszym przeznaczonym do działań cywilnych. Przez trzydzieści lat towarzyszył drodze konwojom pływającym wzdłuż północnych wybrzeży ZSRR, aż wreszcie w 1989 roku, po dwóch poważnych wypadkach, wyszedł z użycia i został udostępniony zwiedzającym. Zasadniczo do tego służą muzea, ale wizyta na „Leninie” to kolejna podróż w przeszłość – w czasy dumy i świetności sowieckiego imperium. Choć potężny i imponujący, nie jest w stanie przygotować nikogo na spotkanie ze swoimi następcami.

W końcu jedziemy do portu rosyjskiej floty atomowej, nazwanego z typową dla poprzedniego systemu kreatywnością: Rosatomflot. Droga wiedzie wzdłuż nadbrzeża i już z daleka widać wielki czarno-czerwony kadłub naszego nowego domu. „Jamał” rzeczywiście robi wrażenie. Nie dość że jest najpotężniejszym statkiem świata (a dokładniej – jednym z czterech równie potężnych używanych obecnie przez Rosję; pozostałe lodołamacze atomowe też zresztą należą do tego kraju), to jeszcze pomalowano go w tradycyjne anarchistyczne barwy, zastosowane zresztą na wszystkich statkach tej floty – choć zapewne gloryfikacja anarchizmu nie była celem pomysłodawców takiego ubarwienia. Ale „Jamał”, niczym wielki środkowy palec pokazany reszcie świata, ma na dziobie jeszcze coś: ogromną szczękę rekina. Trudno się oprzeć wrażeniu, że malując ją, twórcy statku chcieli powiedzieć: „Mamy najpotężniejszy statek na świecie i co nam zrobicie?”. Zarówno „Jamał”, jak i pozostałe jednostki należące do klasy Arktika mają około stu pięćdziesięciu metrów długości. Dwa reaktory podgrzewają wodę, a para (technicznie rzecz biorąc, lodołamacze te są parowcami) napędza trzy ogromne śruby z siłą siedemdziesięciu pięciu tysięcy koni mechanicznych. Po otwartym morzu „Jamał” płynie z prędkością do dwudziestu węzłów (węzeł to mila morska na godzinę, a zatem mówimy o niecałych czterdziestu kilometrach na godzinę). Przez lód o grubości do około trzech metrów sunie nieco wolniej, robiąc tylko dwanaście węzłów – tyle samo co zwykle statki na pełnym morzu. Kiedy lód okazuje się grubszy, lodołamacz nie płynie prosto, tylko się cofa i taranuje, łamiąc go stopniowo swym ciężarem. Kapitan Stanisław Rumiancew opowiadał, że nie ma takiego lodu, przez który jego statek nie dałby rady przejść. Jestem przekonany, że gdyby się na mostku zagadali i nie zauważyli jakiejś wyspy, też by się przez nią przebili.

Nigdy nie miałem technicznych zainteresowań, ale muszę przyznać, że wizyta w maszynowni „Jamału” była naprawdę fascynująca. Poszedłem tam z grupą naszych turystów. Naj-

pierw obejrzelismy reaktory (przez szybę – nie wolno wchodzić, choć rozwieszone wszędzie liczniki Geigera nie wykazują promieniowania), później kolosalne silniki i monstrialne osie śrub, a potem spotkalismy się z głównym mechanikiem, który z prawdziwą miłością opowiadał nam o tym, do czego jego statek jest zdolny. Pokazywał nam fragment poszycia – bryłkę wzmacnianej tytanem stali wielkości pudełka zapalek. Mimochodem dodał, że tyle paliwa zużywamy w trakcie dwutygodniowej wycieczki. Lodołamacze atomowe tankuje się teoretycznie co dwa lata, ręcznie – paliwo na ten okres to bryła wielkości cegły. Ale nasz mechanik nie miał jeszcze okazji tego robić, bo „Jamał” od czterech lat pływał na tym, co dostał w fabryce. No właśnie. W tym cały problem z atomem – teoretycznie to najczystsze i najbardziej wydajne źródło energii. Reaktory na lodołamaczach są bardzo bezpieczne, nie da się ani zrobić z nich bomby, ani skazić nimi środowiska. Przynajmniej tak twierdzą ci, którzy tam pracują. Wszystko wygląda fajnie, póki coś się nie zepsuje, na ogół z winy człowieka, bo ludzie popełniali, popełniają i będą popełniać błędy, będą niedbali, będą popadać w rutynę, ktoś gdzieś o czymś zapomni. Jak wiemy, już się to zdarzało – najbardziej znane katastrofy to Czarnobyl i Fukushima. Dlatego choć przyznaję, że ta energia jest cenna i wspaniała, trochę się jej boję. Nie tyle jej, ile ludzi dookoła niej. Ale fakt pozostaje faktem: jak dotąd nie wymyślono nic innego, co by nam pozwoliło dotrzeć na biegun tak sprawnie. To jedno z tych pytań, na które nie znalazłem odpowiedzi.

Oczy inżyniera lśnią, kiedy opowiada o różnych wynalazkach ułatwiających życie na „Jamał”. Mają tu na przykład system zwany pieszczotliwie jacuzzi, czyli płaszcz z bąbelków powietrza wypuszczanych przy dnie statku: to swego rodzaju smar zmniejszający tarcie o lód. Woda na całym statku jest zdatna do picia i statek sam ją sobie wytwarza, a główny mechanik dobiera jej skład wedle własnych upodobań. Nasz mechanik pochodził z gór, więc woda smakowała jak górski strumień. Ale „Jamał” nie należy do najnowocześniejszych lodołamaczy atomowych. Pod koniec wycieczki gospodarz przypomniał, że w Murmańsku mijaliśmy „50 Let Pobjedy” (w 2007 roku jeszcze nie był ukończony). Powiedział, że tamten statek będzie jeszcze trochę większy i silniejszy, a w dodatku nieco lepiej dostosowany do przewożenia turystów. Żaden z atomowych lodołamaczy nie został jednak statkiem turystycznym. Wszystkie przez cały rok prowadzą konwoje, a latem jeden z nich jest wynajmowany operatorom wycieczek, takim jak moja firma. W tym momencie ktoś z sali poprosił o przetłumaczenie nazwy, a starszy mechanik ochoczo spełnił jego prośbę. I wtedy zapadła niezręczna cisza. Rozejrzałem się i musiałem się w duchu uśmiechnąć. Tak się złożyło, że byli tam tylko japońscy i niemieccy turyści. Spojrzeli po sobie ze skrywanym niesmakiem: „Jakiego zwycięstwa?”.



W drodze na biegun północny

Bohaterska czy nie, podróż na północny kraniec naszej planety robi wrażenie. Przez pierwsze dwa dni płyniemy przez Morze Barentsa i w końcu widzimy pierwsze kry. Jest ich coraz więcej, aż wreszcie gęstniejący pak (czyli dryfujący lód) przechodzi w solidną skorupę. Nieustanny grzmot pękających brył sprawia, że życie na takim statku to nieustanna seria trzęsień ziemi. Kadłub drży, a każde zderzenie z lodowym torosem jest jak mała eksplozja, przynosząca wstrząs przez trzewia całego statku. Ale kiedy już się do tego przywyknie, można podziwiać rozciągający się wokół niezwyklej krajobraz. Jak okiem sięgnąć, nie ma nic – lód po horyzont. Kiedy już się wydaje, że gdzieś tam coś widać, na ogół okazuje się, że to tylko jeszcze więcej lodu. Nie jest to jednak gładka, biała płaszczyzna, jak na przykład zamrożone jezioro. Lód arktycznego oceanu ciągle się przemieszcza, ogromne kry zderzają się ze sobą, ich brzegi wypiętrzają się i tworzą torosy, między nimi pojawiają się szczeliny, a na środku słońce wytapia szmaragdowobłękitne kałuże... Trzeba też dodać, że wyprawy na biegun na ogół odbywają się latem, kiedy słońce świeci bez przerwy, nieznacznie tylko zmieniając pozycję nad ludzkimi głowami. W takich warunkach traci się poczucie czasu. Ba, sama rzeczywistość staje się sprawą dość wątpliwą, a podróż w tak surrealistycznych warunkach kojarzy się raczej z narkotykowym tripem niż z faktycznym pokonywaniem przestrzeni. Trudno spać, a po przebudzeniu nie wiadomo, czy się spało godzinę i jest siedemnasta, czy trzynaście i nastał poranek. Dziwność tego miejsca najlepiej oddaje historia mojej znajomej, niemieckiej dziennikarki Birgit, która też płynęła tam wtedy po raz pierwszy. Codziennie o dziesiątej rano musiała wysłać krótki raport do swojej redakcji. Wieczorne spotkania w barze ciągnęły się do późna, więc co rano w panice kończyła teksty. Któregoś dnia była w wy-

jątkowo dobrym humorze. Nie omieszkalem o to zapytać.

– Nie uwierzysz, Mikołaj, ale moje zapętlenie osiągnęło taką fazę, że wczoraj o dziesiątej wieczorem myślałam, że jest dziesiąta rano, więc wczoraj wysłałam dwa teksty i dziś jestem wolnym człowiekiem!

Dlaczego miałbym nie uwierzyć?

Najbardziej mnie fascynuje to, że na tym lodowym pustkowiu czasem coś się dzieje. Na przykład widać ślady niedźwiedzia, rzadziej pieśca, ale i same niedźwiedzie. Wtedy statek się zatrzymuje, a one, zaciekawione, podchodzą – królowie tej krainy naprawdę niczego się nie boją, nawet ogromnego lodołamacza. Można wtedy z bliska spojrzeć w ich rozumne oczy, gdy na chłodno zastanawiają się, jak nas – bezpiecznych na pokładzie – dorwać.

Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z królem Arktyki. Wiemy, że niedźwiedzie tu są, więc od chwili kiedy wpływamy w lód, cały czas się rozglądamy. Sprawdzamy, czy wśród białych brył nie pojawi się żółtawa plama futra. I nagle, po południu pierwszego dnia w lodowym paku – jest!

Pierwszego niedźwiedzia nie sposób zapomnieć. Mój był ogromnym samcem. Właściwie nie bardzo się nami przejął. Zerknął tylko przez ramię na dziwną hałaśliwą wyspę kruszącą lód i ruszył dalej na swoich ogromnych łapach, niespiesznym, nieco chybotliwym krokiem, którym potrafi w ciągu doby pokonać dziesiątki kilometrów. Czasem się zatrzymywał, żeby obwąchać jakiś stary ślad (a węch mają niedźwiedzie fantastyczny, fokę potrafią wywąchać nawet z dziesięciu kilometrów), i ruszał dalej. Mniejsze kałuże przeskakiwał, do głębszych opuszczał się powoli lub skakał na główkę, by po chwili wygramolić się na lód po drugiej stronie. Mój pierwszy niedźwiedź w końcu zniknął, a my ruszyliśmy dalej, ale mam wrażenie, że on wciąż gdzieś tu po moim sercu drepcze. Potem miałem jeszcze wiele takich spotkań. Czasem widywaliśmy też matki z małymi misiami, a raz zdarzyło mi się oglądać, jak jedna karmi swoje dzieci tłustym mlekiem. Wyglądała niezwykle ludzko: usiadła oparta o lodową bryłę i obiema przednimi łapami przytuliła do siebie głodne maluchy. W czasie tej samej podróży (jak zwykle – szczęście początkującego; nigdy później mi się to nie zdarzyło) dotarliśmy gdzieś, gdzie było trzynaście niedźwiedzi, pojedynczo lub w zestawach po dwa i trzy. Na lodzie leżały dwie upolowane niedawno foki, a najedzone misie brykały lub odpoczywały. Jakby tego było mało, cała scena skąpana była w złotym świetle odchodzącego słońca (już wracaliśmy i byliśmy kilkaset kilometrów od bieguna, słońce wprawdzie nie miało zamiaru zachodzić, ale udawało, że bardzo chce), więc efekt okazał się – no cóż – magiczny.

Arktyka opływa w charyzmatyczne zwierzęta. Ale to niedźwiedź polarny jest najbardziej ikonicznym z jej mieszkańców. Wbrew obiegowym opiniom (na które, przyznaję, mam szczególną alergię) nie zjada pingwinów.



Z foki niewiele już zostało, ale mewy modrodziobe cierpliwie czekają na resztki

Jeśli jest jedna rzecz, którą chciałbym, żeby ludzie zapamiętali z moich polarnych opowieści, to jest nią właśnie to: pingwiny mieszkają na południowym krańcu Ziemi, na Antarktydzie i w jej okolicach. Niedźwiedzie zaś – na dalekiej północy, w Arktyce. To znaczy, że jeszcze nigdy żaden niedźwiedź polarny nie zjadł żadnego pingwina, chyba że w wyniku rażących zaniedbań w jakimś ogrodzie zoologicznym albo w wyniku jakichś wyjątkowo głupich eksperymentów. Nie zjadł, bo nie miał okazji, bo dzieli ich cały świat.

Ale za to zjada inne zwierzęta. Menu niedźwiedzia polarnego wygląda doprawdy imponująco. Podstawowy jego pokarm to foki, ale żywi się wszystkim: od ptaków morskich po walenie. Niedźwiedź polarny jest ze wszystkich niedźwiedzi gatunkiem najbardziej drapieżnym. Każdy miś, łącznie z jego najbliższym krewnym, niedźwiedziem brunatnym, jest wszystkożerny i w pewnych okresach roku opycha się głównie jagodami. Niedźwiedź polarny to niemal stuprocentowy mięsożerca (tam, gdzie żyje, roślin zresztą nie ma). Osiąga wagę nawet do tysiąca kilogramów, więc jest największym lądowym drapieżnikiem świata.

Tyle tylko że właściwie nie jest to ssak w pełni lądowy. Jego nazwa łacińska, *Ursus maritimus*, oznacza: niedźwiedź morski. Świetnie pływa, a jego prawdziwym naturalnym środowiskiem jest morski lód.

Na lodzie niedźwiedzie nie mają sobie równych. Mimo ogromnej masy poruszają się po nim z niebywałą gracją, a ich ogromne łapy i specyficzny chód sprawiają, że mogą wchodzić na lód cieńszy, niż byłby bezpieczny dla nas. Potrafią wywęszyć fokę z wielu kilometrów, znaleźć ukryte pod lodem szczenię i uderzeniem przednich łap rozbić jego kryjówkę.



Ciężko być królem. Svalbard

Niedźwiedź polarny jest absolutnym władcą swojej domeny. Wszystko, co się rusza, łącznie z nami, uznaje za potencjalny obiad. Kiedy podpływam w pobliże niedźwiedzia zodiaciem (pontonem z silnikiem) pełnym turystów i widzę jego zaciekawione spojrzenie, mam wrażenie, że patrzy na nas jak na pizzę z dodatkami. Kilkakrotnie zdarzyło mi się znaleźć bardzo blisko niedźwiedzi i zawsze fascynował mnie absolutny spokój, z jakim wychodziły nam na spotkanie. To nie jest agresja. Agresywny może być pies, kiedy się na nas rzuca. Niedźwiedź z przerażającym chłodem zastanawia się, jak nas dopaść. W jego oczach widać wręcz życzliwe zainteresowanie – tak jak my, kiedy się przyglądamy pachnącej, soczystej truskawce, autentycznie cieszymy się na jej widok i całkiem szczerze ją lubimy... Niesamowite wrażenie.

Niemniej to pod każdym względem wspaniałe i silne zwierzę może przez nas wyginąć. W całej Arktyce wyróżnia się około dwudziestu odrębnych populacji tego gatunku, choć nie są one w pełni izolowane, bo zwierzęta te migrują na ogromne odległości. Część z tych populacji wydaje się obecnie stabilna, a część nawet zdaje się rosnąć. O innych nic nie wiemy – albo wiemy, że się kurczą. Wiadomo jednak, że dalsze ocieplanie się klimatu i redukcja pokrywy lodowej to dla wielu z nich zagrożenie. Naukowcy oceniają, że w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat liczebność niedźwiedzi spadnie nawet o jedną trzecią, choć przyznają także, że w tej chwili główną przyczyną zmniejszania się ich populacji są polowania. Polują na nich zarówno tak zwani sportowcy (czyli żałośni, zakompleksieni frustraci zabijający zwierzęta dla przyjemności), jak i rdzenna ludność robiąca to w imię tradycji. Ale jak wiele innych sytuacji nawet te rzekomo tradycyjne polowania trudno ocenić całkowicie jednoznacz-



nie. Po pierwsze, niedźwiedzie polarne prawie nigdzie nie były podstawą utrzymania dla tradycyjnych mieszkańców Arktyki. Po drugie, zwłaszcza w Kanadzie, która chroni niedźwiedzie najslabiej ze wszystkich krajów, w których występują, tradycyjne społeczności odsprzedają swoje prawa do odstrzału niedźwiedzi łowcom trofeów. Bardzo niechlubnie wyróżnia się organizacja WWF, która od lat przeciwstawia się podniesieniu statusu ochronnego niedźwiedzi polarnych, tak by polowania na nie stały się nielegalne. Z jednej strony jej przedstawiciele przyznają, że jest to gatunek zagrożony, a z drugiej twierdzą, że jedynym zagrożeniem są dla nich zmiany klimatyczne i polowania nie mają znaczenia. Prawda jest jednak taka, że niedźwiedzie polarne przeżyły już kilka okresów ocieplenia, więc i ten miałyby szansę przetrwać, gdyby nie to, że wciąż są zabijane przez myśliwych.

Ale za kilka lat sytuacja może się zmienić. Już teraz w ich tkankach stwierdza się coraz więcej toksyn, które prowadzą do różnego rodzaju zaburzeń, łącznie z hermafrodytyzmem. Ponadto ocieplenie klimatu sprawia, że coraz trudniej im dotrzeć na naturalne łowiska, bo coraz mniej jest lodu, na którym mogłyby polować, i coraz dalej muszą doń płynąć (i coraz dłużej czekać wiosną, aż się uformuje).

Może się więc zdarzyć, że za jakiś czas naprawdę zaczną zniknąć. Trudno to sobie wyobrazić. Na szczęście są na świecie ludzie, którym zależy na tym, by zarówno Arktyka, jak i niedźwiedzie przetrwały w jak najbardziej naturalnym stanie. Zainicjowana przez Greenpeace międzynarodowa kampania na rzecz ochrony Arktyki (pod łatwą do zapamiętania nazwą „Save the Arctic”) zdobyła ponad trzy miliony zwolenników. Jeden z komentujących tę wiadomość internautów złośliwie zapytał, jak głęboko obrońcy polarnych ekosystemów sięgną w głąb kieszeni podatników, żeby ratować tę „kostkę lodu”. Nie wiem, czy to świadome (i kłamliwe) uproszczenie, czy świadectwo skrajnej głupoty, ale nie da się ukryć, że wzruszyła mnie ta uwaga. Arktyka to rejon o niebo bogatszy, pełniejszy życia, a przez to cenniejszy niż zwykła, nawet bardzo duża kostka lodu. Pojawiła się międzynarodowa inicjatywa, aby ją ratować. W jej ramach przedstawiono już w ONZ ideę utworzenia wokół bieguna ogromnego rezerwatu przyrody – na wzór obszaru chronionego wokół Antarktydy. Trzymam za ten pomysł kciuki. Jeśli taki rezerwat powstanie, nie będzie tam można ani łowić ryb (a to właściwie ostatni ocean świata, którego jeszcze nie przełowiono), ani robić odwiertów, które są obecnie chyba najbardziej bezpośrednim zagrożeniem. Wszyscy (mam nadzieję) pamiętamy tragedię, którą na początku 2010 roku spowodował wybuch studni wydobywczej koncernu BP w Zatoce Meksykańskiej. Tysiące ton ropy trafiło do morza, miliony morskich zwierząt straciło życie, a zanim ekosystem wróci do naturalnego stanu – o ile to kiedykolwiek nastąpi – minie wiele lat. Ekosystem Arktyki wcale nie jest uboższy, a na pewno bardziej unikalny i delikatniejszy. Gdyby podobna katastrofa zdarzyła się tutaj, zniszczenia byłyby praktycznie nieodwracalne, choćby dlatego, że usuwanie bezpośrednich skutków wypadku jest w warunkach arktycznych niemożliwe, co zresztą przyznają same koncerny. Nie udałoby się zebrać ropy ze wzburzonego arktycznego morza przy silnym wietrze, który tu na ogół wieje, spośród natłoku lodowych kier. Niska temperatura spowalniałaby parowanie i rozkład organicznych zanieczyszczeń, więc zostałyby one w ekosystemie na zawsze.

Organizmy żyjące w Arktyce są bardzo odporne. Trzeba być odpornym, żeby żyć w tak trudnych warunkach. Ale ta ich odporność jest specyficzna. Mogą znieść niemal nieustanne zimno, długotrwałą ciemność (i równie długotrwałe, ciągłe światło) i długie okresy postu, przerywane kilkoma miesiącami obfitości pokarmu. Aby się dostosować do takiego środowia-

ska, trzeba się ściśle wyspecjalizować. Ale kiedy jakiś gatunek zaadaptuje się do ciężkich warunków panujących na dalekiej północy, ma do dyspozycji ogromne zasoby pokarmu i praktycznie nie ma konkurencji. Dlatego typową cechą ekosystemów polarnych (zarówno arktycznego na północy, jak i antarktycznego na południu) jest wielka liczebność osobników przy jednocześnie niewielkiej liczbie gatunków. W odróżnieniu od lasu tropikalnego czy rafy koralowej, gdzie w krótkim czasie dość łatwo można znaleźć sto organizmów należących do różnych gatunków (ale żeby znaleźć sto identycznych, nieźle trzeba by się natrudzić), na mroźnych końcach świata dużo prościej znaleźć stu przedstawicieli tego samego gatunku.

Dostosowanie do ekstremalnych warunków ma jednak swoją cenę. Oznacza to zdolność do doskonałego wykorzystania danych warunków przy jednoczesnej utracie elastyczności niezbędnej przy obcowaniu z częstymi nieprzewidywanymi zmianami. Środowisko polarne jest oczywiście trudne, ale też w miarę przewidywalne. Określone zjawiska występują regularnie. Dzień polarny, migracje reniferów, wylęg ptaków czy masowe rodzenie się młodych fok zdarzają się co roku o tej samej porze i w tym samym miejscu. Ktoś, kto się nauczy to wykorzystywać i jakoś sobie radzić, może tu żyć. Ale każda nagła zmiana (jak choćby skażenie środowiska przez wyciek ropy) może te rytmy zaburzyć i na zawsze zniszczyć delikatny balans procesów przyrodniczych.

Teraz jednak lepiej widać zmiany związane z ocieplaniem się klimatu. W 2007 roku padł pierwszy rekord – pokrywa lodowa na Oceanie Arktycznym skurczyła się do niespotykanych wcześniej rozmiarów. Później ten rekord został jeszcze kilkakrotnie pobity. To powinno niepokoić, bo zmiany grubości pokrywy lodowej wpłyną na cały nasz świat. Łudzimy się, jeśli myślimy, że będzie inaczej – jeśli zastanawiamy się, w jaki sposób topienie się lodów miałyby nas dotyczyć. Przecież Arktyka leży bardzo daleko, a lód morski nie jest zbyt głęboki i kiedy zniknie, poziom wody specjalnie się nie podniesie. Więc w czym problem?

Jeśli nawet pominąć to, że lód to nieodłączny element arktycznego świata, który umożliwia przetrwanie licznym organizmom, z niedźwiedziami polarnymi włącznie, jest on dla klimatu naszej planety bardzo wydajnym systemem chłodzącym. Jak wiemy, biały kolor odbija światło. Ta zdolność nazywana jest albedo. Dzięki niej lód odbija większość promieniowania słonecznego. W odróżnieniu od lodu woda ma albedo znacznie mniejsze, przez co absorbuje promieniowanie i doprowadza do dalszego podgrzewania się systemu. Więc zniknięcie lodu to nie tylko zmiana ilościowa. Świat bez lodu to nowa jakość, obciążona bardzo poważnymi konsekwencjami dla nas wszystkich.

Powstał taki futurystyczny film – *Wiek głupoty*. Konkluzja podsumowująca upadek ludzkości na skutek klęsk klimatycznych brzmi: „Mogliśmy się uratować. Ale tego nie zrobiliśmy”. Powiem wprost: wiek głupoty to nasz wiek. Bo wygląda to tak, jakby cały świat schował głowę pod poduszkę w nadziei, że koszmar nas ominie. Nie ominie i ucieczka w zaprzeczenia nic nam nie da.

Na razie jednak brniemy przez lód i powoli zbliżamy się do bieguna. Nie mam pojęcia, jak ludzie wyobrażają sobie Ocean Arktyczny. Na dobrą sprawę nie wiem, jak sam go sobie wyobrażałem, nim się przekonałem, jak wygląda naprawdę.

Przed wszystkim: nie jest to czapa stałego lodu pokrywająca górskie szczyty. Na oceanie lód powstaje ze słonej wody, zamarza stopniowo, więc – zwłaszcza świeży – ma zupełnie inną strukturę niż lód na jeziorach i rzekach – nie jest kruchy. Jest zaskakująco elastyczny.

Z czasem, gdy w wyniku różnych procesów fizycznych jego zasolenie maleje, robi się coraz bardziej twardy i kruchy. W końcu zaczyna przypominać ten, który znamy z wód słodkich. To dlatego trzy- czy czteroletni lód jest poważną przeszkodą dla statków – nie dość że jest grubszy, to jeszcze bardziej zwarty i twardy.

Lodowa pokrywa otaczająca biegun północny nie ma wyraźnej granicy. Nie zaczyna się nagle w otwartym morzu, jak gigantyczna kra. Na odcinku kilkuset mil mijamy coraz gęstsze bryły lodu i kry, aż w końcu zaczynamy się przebijać przez zwarte pole lodowe. Ale nawet w pobliżu bieguna, zwłaszcza ostatnimi laty, znajdziemy w nim kałuże roztopionej wody, długie, ułatwiające żeglugę kanały, przetainy (pionowe otwory w miejscach, gdzie kałuże roztopiły całą grubość lodu) i większe niezamarznięte obszary otwartej wody zwane połyniami.



Abstrakcyjne piękno morskiego lodu w pobliżu bieguna

Przedzieranie się przez ten poszatkowany teren jest wyjątkowo trudne. Droę potrafią zagrozić także wysokie wały lodowe powstające na stykach ogromnych kier w wyniku wypiętrzania się krawędzi lodowych olbrzymów. To między innymi dlatego – choć warunki pogodowe nie są aż tak ekstremalne jak na południu i w zasadzie wszyscy mieli tam bliżej – biegun północny opierał się dużo dłużej zdobywcom niż serce Antarktydy. Drugim problemem utrudniającym poruszanie się po arktycznym lodzie jest jego nieustanny ruch.

Wielokrotnie miałem zaszczyt pracować z kanadyjskim podróżnikiem Lauriem Dexterem. Opowiadał mi, że podczas wyprawy (w 1988 roku należał do radziecko-kanadyjskiej ekspedycji Polar Bridge, która jako pierwsza w historii przeszła na nartach przez biegun z Rosji do

Kanady) najbardziej frustrujące były te dni, kiedy w wyniku dryfu po wielu godzinach forsownego marszu wieczorem mieli do celu dalej niż o świcie, gdy ruszali w trasę. W wielu źródłach wciąż można przeczytać, że na biegun jako pierwszy dotarł albo Frederick Cook w roku 1908, albo Robert Peary w 1909. Konflikt między nimi to chyba najszlachetniejsza awantura w historii odkryć geograficznych. Obaj byli doświadczonymi polarnikami, kiedyś nawet podróżowali razem i na początku łączyła ich szczerza przyjaźń. Każdy z nich z szacunkiem wyrażał się o przyszłym rywalu. Po wspólnej wyprawie na Grenlandię w 1891 roku Frederick Cook ruszył na południe. W latach 1897–1899 jako lekarz międzynarodowej wyprawy podróżującej statkiem „Belgica” znalazł się wśród pierwszych ludzi zimujących w Antarktyce. Pod wieloma względami wyprawa okazała się bardzo ważna i ciekawa. Dość powiedzieć, że członkiem załogi byli też Roald Amundsen, a także dwóch Polaków – Henryk Arctowski i Antoni Dobrowolski. Ale o tym później. Po powrocie Cook nadal podróżował. W 1906 roku ogłosił, że jako pierwszy zdobył McKinleya na Alasce, najwyższy szczyt Ameryki Północnej. Wreszcie w lipcu 1907 roku wyruszył na biegun północny, by wrócić w kwietniu 1909 i obwieścić, że 21 kwietnia 1908 roku dotarł do celu.

W odróżnieniu od niego Robert Peary od początku skupił się na Arktyce. Przez ponad dwadzieścia lat albo właśnie tam był, albo przygotowywał się do kolejnej wyprawy. Z czasem opracował i opanował do perfekcji własną metodę podróżowania po Arktyce. Angażował całą armię ludzi i psów i zostawiał zapasy wzdłuż całej trasy, żeby grupa wyruszająca w ostatnią część mogła wędrować możliwie łatwo. Fundusze niezbędne do realizacji swoich przedsięwzięć pozyskiwał od prywatnych sponsorów, którym w zamian obiecywał utrwalenie ich nazwisk w odkrywanej geografii. Cieszył się też poparciem National Geographic Society. Ponadto, będąc oficerem marynarki wojennej, ją również miał po swojej stronie. Poświęcił temu lata i mnóstwo pieniędzy, odmroził sobie różne części ciała. Był też człowiekiem bardzo aroganckim. Wszystko to sprawiło, że zdobycie bieguna północnego zaczął uważać za swoje i tylko swoje zadanie. Uznał, że na całym świecie tylko on zasługuje na ten zaszczyt, by stanąć tam jako pierwszy. W sierpniu 1908 roku – z pięćdziesięcioma ludźmi (w tym inuickimi rodzinami) i dwustu czterdziestoma sześcioma psami – wyruszył w czwartą podróż na biegun. Zdawał sobie sprawę, że jeśli tym razem się nie uda, kolejnej szansy raczej już nie będzie. Możemy sobie więc wyobrazić, jaki był wściekły, gdy rok później wrócił i tryumfalnie oznajmił, że 6 kwietnia 1909 roku dopiął swego – i dowiedział się, że Cook go wyprzedził. Rozpętało się medialne piekło – przynajmniej wedle standardów i technicznych możliwości sprzed stu lat. Cookowi nie pomogło to, że tymczasem zakwestionowano zdobycie przezeń McKinleya.

Peary celowo uniemożliwił przywiezienie z Arktyki sprzętu Cooka – był niezbędny, żeby dało się potwierdzić jego roszczenia – i dzięki wsparciu swoich możnych popleczników zdołał go zdyskredytować. Choć w tamtym czasie również to, że on zdobył biegun, zostało zakwestionowane – cztery głosy za, trzy przeciw – Podkomisja do spraw Marynarki Wojennej Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych uznała, że to zrobił. Ale dokładniejsze analizy jego dzienników, wcześniej nikomu nieudostępnianych, wraz z zawartymi w nich obliczeniami sprawiły, że pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku większość zajmujących się tą sprawą historyków doszła do wniosku, że tam nie doszedł, choć zapewne był całkiem blisko: do celu zabrakło mu około stu kilometrów.

Jak rzecz się miała naprawdę, nigdy się nie dowiemy. Cook zmarł, okryty niesławą, Peary

po latach również niechętnie mówił o swojej wyprawie. Co ciekawe – mimo że dowody na bezpodstawność (zamierzoną lub nie) roszczeń Cooka są dla większości badaczy przekonujące – możliwe, że mówił prawdę. Wiadomo, że warunki panujące na biegunie opisał bardzo rzetelnie. Potwierdzali to później ci, którzy docierali tam samolotami, łodziami podwodnymi, lodołamaczami, a w końcu również drogą lądową. Pierwszym człowiekiem, który bez żadnych wątpliwości dotarł na biegun w starym ekspedycyjnym stylu, czyli z psimi zaprzęgami, był Wally Herbert. Stało się to dopiero w 1969 roku. Ale kiedy Herbert wrócił do domu (jego wyprawa szła z Alaski aż na Spitsbergen), Neil Armstrong wykonał na Księżycu swój wielki skok dla ludzkości. To wydarzenie skutecznie przyćmiło sukces Herberta i jego ludzi. A szkoda.

Cała ta historia mówi tyle samo o surowości Arktyki, co o ludzkich ambicjach, małostkach i zwykłej zawiści. Ale jakkolwiek na nią spojrzeć, jest bardzo pouczająca.

Nie da się ukryć, że łatwo i przyjemnie snuć rozważania o dawnych zdobywcach, kiedy ciepła kajuta sama przesuwa się w kierunku punktu, do którego inni dochodzili (albo chociaż próbowali dojść) tak wielkim kosztem.

Na takim snuciu, przerywanym zwykłymi statkowymi zajęciami, mijają mi kolejne dni. Opowiadam turystom o niedźwiedziach polarnych, fokach, morsach, wielorybach i arktycznych ptakach, a kiedy nie mam prezentacji, organizujemy lodoznawcze wycieczki helikoptrem, barbecue i inne rozrywki. No i nieustannie zbliżamy się do celu. Wreszcie, pod koniec piątego dnia, nasze GPS-y pokazują 89°N. Już niedaleko, jutro będziemy na biegunie! Ranniem następnego dnia zaczynają się przygotowania. W końcu z mostku ogłaszają, że zostało jeszcze piętnaście minut. Ludzie zbierają się na pokładzie dziobowym, im bardziej z przodu, tym lepiej – każdy chce dotrzeć na biegun kilka sekund wcześniej niż inni. Na szczęście pogoda dopisuje. Temperatura w okolicach zera, nie ma wiatru, chmur też niewiele. Otaczają nas dokładnie takie same widoki jak te, które widzieliśmy przez kilka poprzednich dni. Wokół tylko płaskie kry i kilkumetrowe torosy, kałuż mało, otwartej wody nie widać wcale. Tak przynajmniej było w 2007 roku, kiedy trafiłem tu pierwszy raz.

W roku 2013, w trakcie szóstej wizyty, przy samym biegunie wody widzieliśmy całkiem sporo. Zastanawiałem się, czy nie zostanie przypadkiem pierwszym człowiekiem, który popływa po biegunie zodiakiem. Kawałek dalej na szczęście było jej dużo mniej, ale dokładnie na 90°N zobaczyłem żerującą mewę trójpalczastą, a to znaczyło, że doleciała aż tutaj właśnie dzięki łańcuchowi wodnych zbiorników umożliwiających znalezienie pokarmu. Taka jednostkowa oczywiście obserwacja o niczym nie świadczy, niemniej w obliczu zmian klimatycznych kojarzy się fatalnie.



Stąd można iść tylko na południe

Wróćmy jednak do pierwszej z moich biegunowych wypraw. Nastrój zmienia się z każdą chwilą. Każdy dostaje kieliszek szampana, a szczęśliwi posiadacze odbiorników GPS nie spuszczają wzroku z powoli zmieniających się cyferek i głośno anonsują każdą kolejną minutę. I wreszcie: 90°! Komunikat z mostka potwierdza – naprawdę tu dotarliśmy! Tak oto znalazłem się na samym szczycie świata. Tu czas właściwie nie istnieje, podobnie jak kierunki geograficzne – w każdą stronę jest tylko południe. Na biegunie nie ma oczywiście żadnego znaku. Arktyczny lód dryfuje dość szybko, więc nawet lodołamacz nie może tutaj zostać dłużej. Ale przez chwilę rzeczywiście tu jesteśmy. Szef ekspedycji wygłasza przemówienie: mówi o tym, że ludzie na całym świecie kochają się, jedzą, śpią i pracują, że niektórzy głodują, inni mają wszystkiego za wiele, jeszcze inni zabijają się w bezsensownych wojnach, a my, ludzie z tylu różnych krajów, jesteśmy teraz razem na szczycie świata, w przyjaźni. I tak powinno być. Wznosimy toast za pokój na świecie. Na pewno bardzo to ludzkości pomoże. Przy całym swoim sceptycyzmie muszę przyznać, że chwila jest podniosła. Jeszcze pamiątkowe zdjęcia, gwar wesołych rozmów, wywijanie przywiezionymi flagami. Zerkam na GPS. Przestał wskazywać 90°, co oznacza, że zaczęliśmy się zsuwać z wierzchołka planety. Próbuje odnaleźć swój biegun. Chodzę po pokładzie i śledzę cyferki – i jest, tuż za kioskiem maszynowym. Jeden krok i współrzędne znowu się zmieniają. Zataczając niewielkie kółko, można tu przejść przez wszystkie południki. Skwapliwie pieszo okrążam świat. Zajmuje mi to niecałą minutę. To na pewno rekord. Kiedy kończę, znowu staram się odnaleźć 90°N i widzę, że nieuchronnie zbliża się moment, gdy nasz statek znajdzie się poza nim. Było fajnie.

Oczywiście północny biegun geograficzny to tylko jeden z arktycznych biegunów, ale na pewno to on najbardziej działa na wyobraźnię. Gdyby nasza planeta była wielką kulą z cukrowej waty, właśnie tamtędy wychodziłby podtrzymujący ją patyk. Ale mamy jeszcze biegun magnetyczny, na którym linie pola magnetycznego naszej planety trafiają pionowo w jej powierzchnię. To tam kieruje się igła kompasu. Tam wskazywałaby prosto w dół. Biegun ten znajduje się u północnych wybrzeży Kanady, ale przesuwa się dość szybko – o trochę ponad pięćdziesiąt kilometrów rocznie – w kierunku Rosji. Nieco trudniej jest sobie wyobrazić biegun geomagnetyczny. Gdyby Ziemia była idealnym dipolem, jej oś geomagnetyczna dokładnie tamtędy przechodziłaby przez jej powierzchnię. Dlatego bieguny geomagnetyczne, południowy i północny (z punktu widzenia fizyki północny leży zresztą w Antarktyce, a południowy – na północy, ale w nazewnictwie, żeby było wygodniej, stosuje się kryterium geograficzne) leżą dokładnie naprzeciwko siebie. A ponieważ Ziemia nie jest idealnym dipolem (płyny w jej wnętrzu są w ciągłym ruchu), bieguny magnetyczne leżą trochę z boku i nie znajdują się na przeciwległych punktach powierzchni planety. Mamy wreszcie bieguny niedostępności, czyli miejsca, do których zewsząd jest najdalej. W Arktyce to punkt, z którego jest najdalej do lądu, w Antarktyce zaś – do morza. Są jeszcze oczywiście bieguny zimna, bieguny wiatrów i tym podobne, ale to coraz bardziej wydumane koncepcje.

My jesteśmy na biegunie geograficznym. Teraz musimy znaleźć odpowiednie miejsce na okolicznościową imprezę: krę na tyle dużą, by można było na nią bezpiecznie wsiąść. Na szczęście udaje nam się już po pół godziny, więc biegunowe celebracje odbędą się w prawie właściwym miejscu. „Jamał” wbija się w upatrzoną krę i zastyga. Pierwszy raz od prawie tygodnia nic się nie trzęsie, nie słychać nieustannego huk. Dziwne uczucie. Wokoło płaska śnieżna równina, najbliższe torosy i szczeliny są kilkaset metrów dalej. Chłopaki i dziewczyny z departamentu hotelowego (czyli ta część załogi, która odpowiada za kuchnię, restaurację, bar i kajuty) rozstawiają na lodzie stoły i ławy, my, *expedition team*, pomagamy im zgodnie z instrukcjami. Targamy też na lód ciężki znak z napisem „North 90°N Pole” i układamy wokół niego linę. Po jakimś czasie wszyscy pasażerowie są na lodzie. Ustawiamy się na lodowym kręgu, łapiemy za ręce i rytualnie obchodzimy świat dookoła. Jeszcze jedno przemówienie, tym razem kapitańskie, pamiątkowe fotki, śpiewamy *Auld Lang Syne* i zaczyna się barbecue. Może brzmi to sztucznie i absurdalnie, ale tu każdy trochę opuszcza gardę cynizmu. Godzimy się na te dziwaczne symboliczne działania i nasze przyklejone do twarzy uśmiechy są naprawdę szczere. Magia bieguna działa na każdego. Przy długich stołach wydaje się gorące jedzenie, leje grzane wino, gra muzyka. Jesteśmy jedynymi ludźmi w promieniu kilkuset kilometrów, na samym środku arktycznego pustkowia. Świeci słońce, wcale nie jest za zimno (mimo to wszyscy mają na sobie ciepłe kurtki, a kelnerzy i kelnerki wydający potrawy muszą ciągle podskakiwać i dyskretnie popijają rozgrzewający trunek). Jednocześnie trwają przygotowania do tradycyjnego biegunowego szaleństwa – kąpieli w przerebli. W pobliżu nie ma otwartej wody – poza śladem wyciętym przez nasz statek. Kapitan rozpycha trochę krę, marynarze mocują na niej metalowe schodki i szykują pasy bezpieczeństwa. Ustawia się kolejka rozochoconych wariatów w ciepłych butach i białych szlafrokach. Kąpiel na samym biegunie to coś wyjątkowego. Zwykle decyduje się na nią mniej więcej jedna trzecia podróżnych, z załogą włącznie. Kiedy nadchodzi pora, szlafroki opadają, a drżące ciała opasuje się grubymi brezentowymi uprężkami. Wskakuje się do wody samemu, ale wycho-

dzącym się pomaga. Niektórzy dzielnie przepływają kilka metrów, parę osób dopływa nawet do burty statku, ale kiedy wychodzą, ten jeden jedyny raz coś porusza się przeciw grawitacji szybciej niż w zgodzie z nią. Większość naszych pasażerów to ludzie starsi, wielu obawia się o swoje serce, ale w pobliżu zawsze stoi lekarz z defibrylatorem. Widziałem w życiu dużo podobnych skoków: zwykle ludzie są przerażeni i wpadając do wody albo milkną oszołomieni, albo wykrzykują głośno niezbyt cenzuralne słowa. Ale nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by żałował tej niepoważnej decyzji. Nigdy też nie byłem świadkiem jakichkolwiek problemów. Wychodzący z wody dostają na rozgrzewkę kieliszek wódki (to najczęściej moje zadanie, widać jako jedyny Polak w okolicy jestem uważany za fachowca), po czym większość pospiesznie się ubiera i pędzi pod gorący prysznic. Niektórzy jednak zostają, a nieliczni skaczą jeszcze raz! Czego to człowiek nie zrobi za darmowy kieliszek...



Potężny dziób atomowego lodolamacza na samym biegunie północnym

Czas na osobiste wyznanie. Tak się jakoś złożyło, że ani razu jeszcze do tej wody nie wskoczyłem, zresztą w Antarktyce również (choć tam kąpałem się kilka razy na stacji). Albo w zamieszaniu zapominam włożyć kąpielówki, a później nie chce mi się biec na statek i przebierać (dużo ubrań – no i ważna funkcja podawacza wódki), albo uznaję, że przecież będzie jeszcze okazja, albo postanawiam nie psuć estetyki dziewiczego krajobrazu swym półnagim cielskiem. Jeśli jednak kiedyś znów trafię na biegun północny, zrobię to na pewno. Chociaż ta woda jest rzeczywiście zimna (to słone morze, więc jej temperatura jest niższa od zera). Ponieważ pracuję w rejonach polarnych od jedenastu lat, nikomu z moich kolegów i koleżanek nawet nie przyjdzie do głowy, że nigdy tego nie zrobiłem. Nie odczuwam więc presji i dyskretnie milczę. Ale kiedyś będzie trzeba.



Nie każdy ma opory podobne do moich. Mój kolega z kajuty, rosyjski biolog Nikołaj Formozow, opowiadał mi, że rok wcześniej cały lodołamacz wynajęła sekta religijna z głębi Syberii. Wszyscy byli dość dojrzały, również postury mieli raczej stateczne. Na biegunie większość postanowiła się wykąpać, i to nago. No i ustawił się przy przeręblu ogonek okrągłutkich, zażywnych i wesołych staruszków obu płci, a twardy rosyjski marynarz, zdobywca oceanów i lodowych przestrzeni, musiał podnosić różne opadające fałdy ich ciał, żeby im założyć pasy ochronne. Niestety wrażenia okazały się zbyt mocne nawet dla tak doświadczonego wilka morskiego – przy dziewiętej osobie zemdleł i ktoś musiał go zastąpić. No właśnie – ja po prostu nie chcę narażać kolegów, więc się nie kąpię. To bardzo dobry powód. Doskonały.

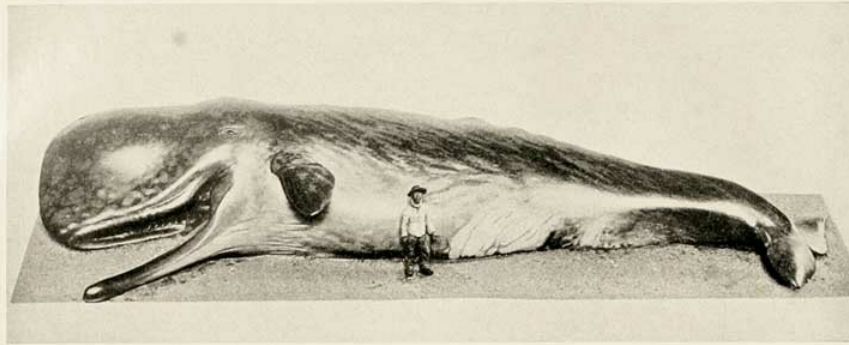
Sześć moich wizyt na biegunie wyglądało podobnie, choć płynąłem tu na dwóch różnych lodołamaczach i pracowałem dla dwóch różnych firm. Od kilku lat moja obecna firma dodaje następną atrakcję. Pływają teraz z nami Kiff Saunders i Viktor Myazov, australijscy piloci balonowi. Biorą ze sobą swój balon na gorące powietrze. Jeśli to tylko możliwe (byliśmy razem na czterech rejsach i udało się tylko raz, potrzebne są bowiem idealne warunki: nie może wiać i musi być dobra widoczność), organizujemy krótki lot balonem. Pasażerowie mogą oglądać świat znad jego wierzchołka. Przeżycie jest niesamowite. Ponieważ, jak głosi nasze zawodowe porzekadło, *staff is dispensable* (przewodnicy są zbędni, można ich spisać na straty), miałem to niewysłowione szczęście znaleźć się w gondoli w czasie lotu próbnego, zanim zaproponowaliśmy to turystom. Technicznie rzecz biorąc, jestem jednym z pierwszych czterech ludzi w historii, którzy latali balonem na samym biegunie.

Barbecue powoli dobiega końca, kilkoro podochoconych gości tańczy na lodzie, również przy dostarczonych przeze mnie polskich piosenkach. Ciekawe, czy Strachy na Lachy i Formacja Nieżywych Schabuff miałyby coś przeciwko temu. Mimo że *Lato wszędzie*, pora się powoli zwijać. Dźwig podnosi poskładane stoły, ławy i naczynia, uprzątamy dokładnie teren i sprawdzamy, czy nie zostały po nas jakieś śmieci. W turystyce polarnej (zresztą w każdej powinno tak być) obowiązuje zasada: nie bierz niczego poza zdjęciami, nie zostawiaj niczego poza odciskami stóp. Chwilę później po kilkugodzinnej imprezie dla ponad stu osób zostaje tylko ubity śnieg. „Jamał” rusza na południe. Pierwszego dnia płyniemy własnym śladem, więc przesuwamy się szybko. Choć w wyniku dryfu nie prowadzi on już dokładnie w tym kierunku, w którym byśmy chcieli, korzystanie z gotowej trasy z nawiązką wynagradza to drobne odchylenie. Pod wieczór jednak, gdy wracamy do przecinania cieńszej kry i rozbijania zatorów, znowu wszystko zaczyna się trząść. Znowu spotykamy kilka niedźwiedzi. Za każdym razem zatrzymujemy się, żeby chwilę poobcować z władcą tej lodowej domeny. Ale największa niespodzianka jeszcze przed nami.

Zbliżamy się do końca zwartego paku. Kry są coraz luźniejsze, a połączone otwartej wody zauważalnie rosną. Nagle widzimy charakterystyczną rozdwojoną fontannę, a po chwili ogromny czarny grzbiet znikający pod wodą – wieloryb grenlandzki! Biegnę na mostek, bo musimy się zatrzymać. Ten typowy mieszkaniec Arktyki to jeden z najrzadszych wielorybów na świecie. Spośród wszystkich waleni to on jest dostosowany do życia wśród lodów najlepiej. Ma pod skórą rekordowo grubą warstwę tłuszczu – nawet sześćdziesiąt centymetrów. Jego potężna głowa – u dorosłych osobników stanowiąc jedną trzecią jego długości ciała – jest tak solidna, że może nią przebić grubą warstwę lodu. Mając długość około dwudziestu metrów, wieloryby grenlandzkie ważą ponad dziewięćdziesiąt ton. Podobnej długości sejwa-

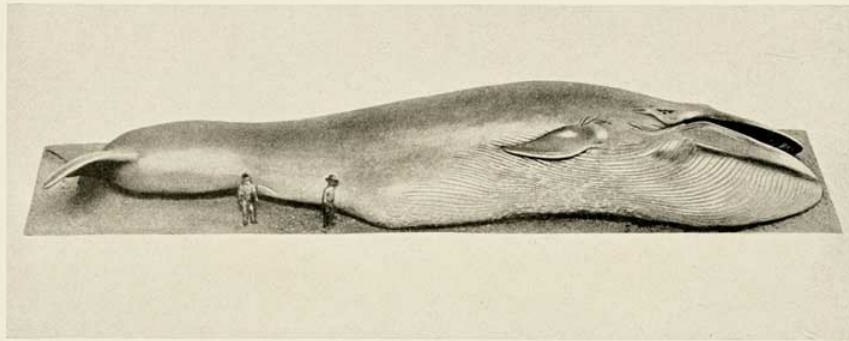
le i humbaki ważą o połowę mniej, co pokazuje, jak bardzo są krępe. Cięższe od nich są tylko płetwale błękitne i finwale.

Wieloryb grenlandzki jest blisko spokrewniony z dwoma (lub, zdaniem niektórych naukowców, trzema) gatunkami tak zwanych wali biskajskich, nazywanych po angielsku *right whales* (wielorybami właściwymi). Nazwa ta ma ponurą genezę. Wieloryby pływają dość powoli i mają bardzo dużo tłuszczu, dzięki czemu nie tylko łatwo je dogonić, ale też zabite nie toną, tylko unoszą się na powierzchni. Dlatego były „właściwymi wielorybami do zabijania”. I rzeczywiście, zabijano je masowo. Wieloryby grenlandzkie zostały wytrzebione przez wielorybników do tego stopnia, że zostało około dziesięciu tysięcy osobników i z pięciu znanych populacji jedynie ta zamieszkująca okolice Cieśniny Beringa nie jest uznawana za zagrożoną. Mimo to rdzenna ludność Arktyki wciąż na nie poluje, choć musi przestrzegać ściśle określonych kwot połowów. W ciele wieloryba grenlandzkiego upolowanego w 2007 roku na Alasce znaleziono głowicę wybuchowej lancy używanej do polowań w latach osiemdziesiątych XIX wieku! Wyobraźmy sobie, co to znaczy: ten wieloryb doskonale pamiętał prześladowania, których ofiarą był w młodości. Ciekawe, czy opowiadał o tym swoim bliskim. Czy im powiedział, że od ludzi trzeba się trzymać z daleka. Czy może uznał to za nieprzyjemny incydent z dawnych czasów i więcej nie zaprzętał sobie nami głowy? Wiemy na pewno, że zwierzęta te mogą żyć dobrze ponad sto lat, a wyniki badań składu aminokwasów w gałkach ocznych dorosłych osobników sugerują, że mogą dożywać i dwustu. Jest to zatem najbardziej długowieczny ssak na świecie. Ale też potrzebuje wielu lat, by w swoim mroźnym świecie dorosnąć i wydać potomstwo. Jego metabolizm jest powolny, powoli się też rozmnaża. Dlatego skrajnie przetrzebiona populacja odbudowuje się tak wolno.



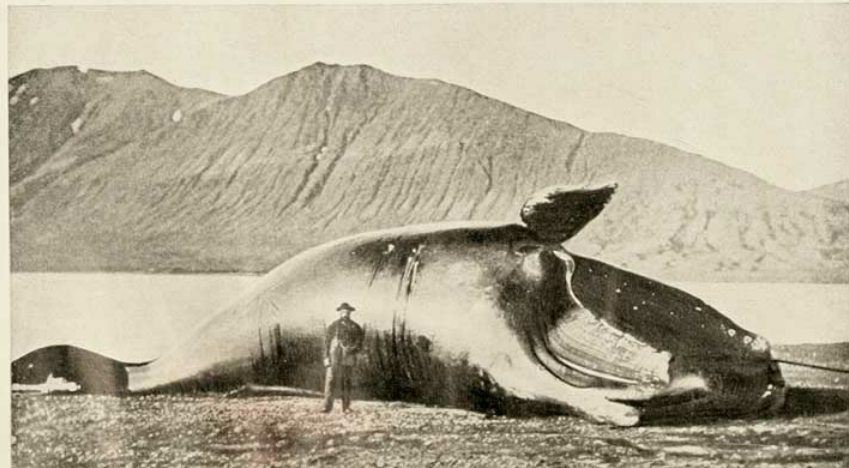
5. Pottwal, *Physeter catodon* L.

$\frac{1}{200}$  nat. Gr., s. S. 481. — Nach A. Jacobi, „Modelle von Walthieren usw.“, Leipzig 1914, in „Abh. Ber. K. Zool. Anthr. Ethn. Mus. Dresden“, XIV, 4.



6. Blauwal, *Balaenoptera musculus* L.

$\frac{1}{200}$  nat. Gr., s. S. 501. — Nach A. Jacobi, „Modelle von Walthieren usw.“, Leipzig 1914, in „Abh. Ber. K. Zool. Anthr. Ethn. Mus. Dresden“, XIV, 4.



7. Nordkeper, *Balaena glacialis* Bonnat.

$\frac{1}{150}$  nat. Gr., s. S. 518. — Nach G. Guldberg, „Zur Kenntnis des Nordkapers“ in „Zool. Jahrbücher“, Jena 1894.

Od góry: kaszalot spermacetowy, płetwal błękitny i waleń biskajski

Spotkanie z tym wspaniałym zwierzęciem to prawdziwy zaszczyt. Miałem tę przyjemność raptem trzy razy w życiu. I za każdym razem ich majestat mnie powalał.

Nasz wieloryb nie został z nami długo. Jeszcze dwa razy pokazał swoją potężną głowę z bardzo wystającą osłoną umieszczonych na jej czubku nozdrzy. Płynący tuż pod powierzchnią wieloryb grenlandzki wygląda jak dwie niewielkie wyspy dostojnie przecinające wodę – widać właśnie nozdrza i ogromny, pozbawiony płetwy grzbiet. W końcu nasz prastary gospodarz zniknął w swoim mrocznym królestwie, a my odpłynęliśmy, by nie zakłócać mu spokoju. Podnieceni turyści zeszli z zewnętrznego pokładu i zaczęli porównywać zdjęcia. Ja nawet nie podniosłem aparatu do oczu, wolałem je sycić widokiem.

„Jamał” rozpychał coraz rzadsze kry. To było prawdziwe spotkanie na szczycie – spotkanie dwóch kolosów płynących z łatwością gdzieś, gdzie nikt inny nie dałby rady.

Wkrótce jednak wyrwaliśmy się z lodowych oków i wypłynęliśmy na otwarte morze. Tego samego dnia wieczorem dostrzegliśmy na horyzoncie spowite mgłą białe grzbiety wysp Ziemi Franciszka Józefa. Ale ten archipelag zasługuje na odrębną opowieść.

## 5. Archipelag pod wężem

Ziemia ta od tysięcy lat leżała ukryta przed ludzką świadomością, a teraz jej odkrycie przypadło małej grupce ludzi, którzy sami byli dla świata niemal straceni.

Julius von Payer, *New Lands within the Arctic Circle*

– Człowiek za burtą! Człowiek za burtą!

Przechodzę korytarzem, gdy z kajuty obok wypada poruszony starszy pan. Tłumaczy mi po rosyjsku, że wyglądał przez okno, kiedy nagle ktoś przeleciał mu tuż przed nosem. Natychmiast zawiadamiam mostek i szefa ekspedycji. „Jamał” powoli zwalnia, a my gorączkowo próbujemy ustalić, kogo na pokładzie brakuje. To dopiero drugi dzień mojej pierwszej wyprawy na biegun. Nie znam jeszcze statku, nie znam zdecydowanej większości pasażerów, oni też się nie znają. Przez głośniki słychać prośbę z mostka, aby wszyscy wrócili do kajut. Pukamy do wszystkich drzwi i staramy się zlokalizować te, zza których nikt nie odpowie. „Jamał” zdążył się już zatrzymać, tyle że wcześniej mknęliśmy z prędkością szesnastu węzłów, więc droga hamowania miała długość około dwóch kilometrów. Zaczynamy zawracać. Każda minuta manewrów gasi nadzieję na uratowanie temu komuś życia. Jesteśmy na Morzu Barentsa, wokół nas unosi się dużo brył lodu, a temperatura wody nie przekracza dwóch stopni Celsjusza. Ktokolwiek to był – jeżeli nie zginął, uderzając o powierzchnię lub nie został wciągnięty przez potężne śruby – może w takich warunkach przeżyć maksymalnie kilkanaście minut. W końcu podchodzi do nas grupka ludzi. Mówią, że podczas kolacji jedna z pasażerek zachowywała się dziwnie. Proszą, żebyśmy poszli sprawdzić. Faktycznie, to jedna z kilku kajut, z których nikt nie odpowiada na nasze pukanie. Otwieramy zapasowym kluczem, wchodzimy – okno otwarte, nie ma nikogo.

Zatrzymujemy się w miejscu, gdzie to się musiało stać. Minęło dwadzieścia minut. Rozglądamy się uważnie, ale wśród lodowych brył trudno cokolwiek wypatrzeć. W końcu ktoś widzi w oddali coś, co mniej przypomina bryłę lodu. Spuszczamy szalupę ratunkową. Szybko płynie w stronę unoszącego się na wodzie ciała odzianego w białą koszulę. W końcu udaje nam się je wydobyć. Szalupa wraca na statek, a statkowy lekarz schodzi po trapie, żeby zbadać kobietę. Schodzi bardzo powoli. Właśnie ten jego spokojny, powolny chód najbardziej zapadł mi w pamięć. Nasz lekarz, Władimir, jest specjalistą od medycyny katastrof. Za każdym razem gdy dzieje się coś złego – kiedy wybucha bomba w moskiewskim metrze albo terroryści zajmują szkołę w Biesłanie – Rosja wzywa Władimira. Jest mądry, niezwykle opatowany, i ma ogromne doświadczenie. Wiedział doskonale, że nie miała najmniejszych szans na przeżycie.

Pasażerka okazała się Austriaczką. Analiza zostawionego przez nią pamiętnika potwierdziła, że to było samobójstwo. Dlaczego ktoś wykupuje wycieczkę na biegun za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a później odbiera sobie życie w dwa dni po wyjściu z portu – na za-

wsze pozostanie dla mnie zagadką. Mijaliśmy akurat Ziemię Franciszka Józefa, więc ciało dostarczyliśmy do bazy lotniczej Nagurskoje na Ziemi Aleksandry, jednej z największych wysp archipelagu. Dzięki temu mogliśmy kontynuować podróż, ale cień tragedii towarzyszył nam do końca.

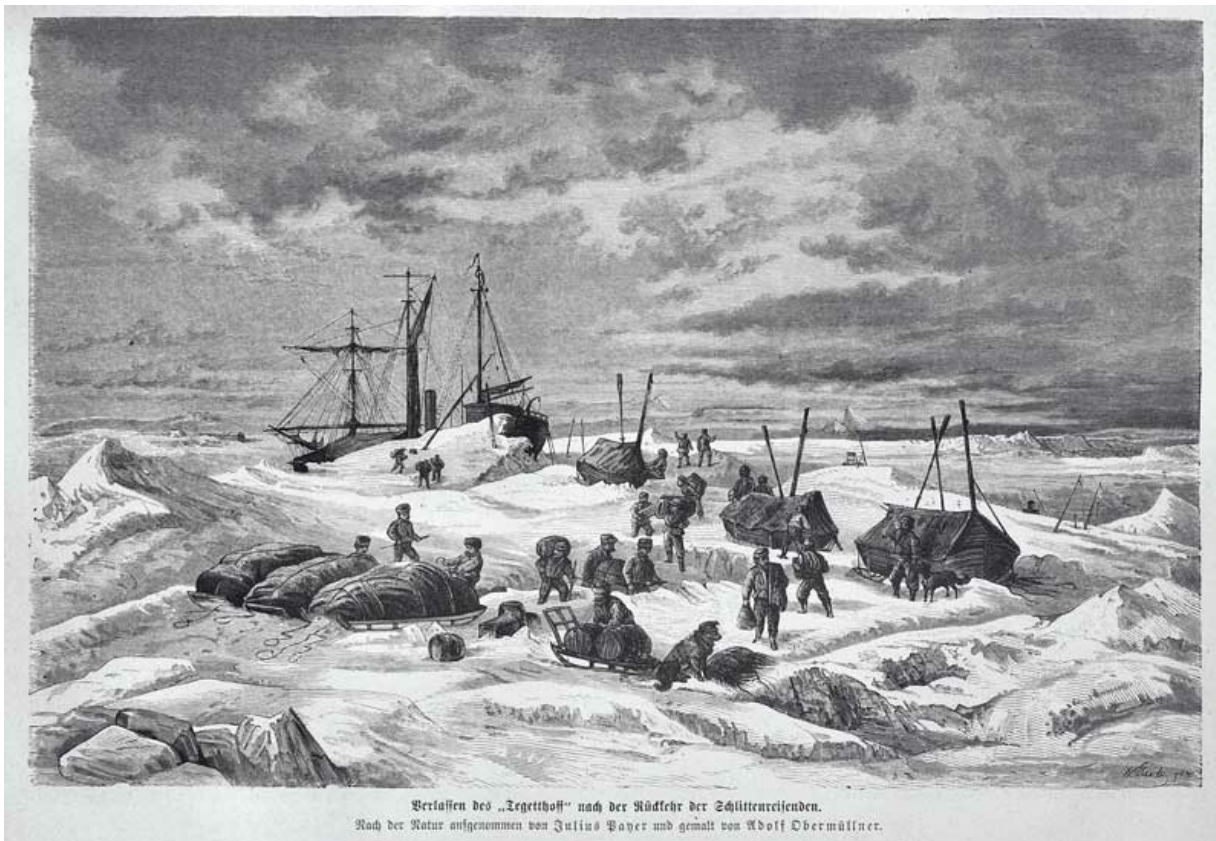
Choć mój pierwszy kontakt z archipelagiem okazał się tak smutny, a wspomnienie o tej tragedii towarzyszy mi tu zawsze, Ziemię Franciszka Józefa na przestrzeni dziejów zwykle witano z ogromną ulgą: jako obietnicę ocalenia. Nawet odkryto ją szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Był koniec sierpnia 1873 roku. Załoga austriackiej barkentyny „Admiral Tegetthoff” od ponad roku tkwiła w lodzie. W sierpniu 1872 roku główny sponsor wyprawy, hrabia Hans Wilczek, pożegnał ją u wybrzeży Nowej Ziemi, gdzie wspólnie złożyli depozyt węgla i żywności na ewentualny powrót. Wilczek popłynął do domu na szkunerze „Isbjörn”, którym rok wcześniej wszyscy razem odwiedzili Svalbard. A potem zaplanowali wyprawę na specjalnie w tym celu zbudowanym „Tegetthoffie”. Wyruszyli nim w swoją wielką podróż (statek wiozł zaopatrzenie na prawie trzy lata): w poszukiwaniu albo Przejścia Północno-Wschodniego, albo szlaku na biegun północny. Pożegnali się, wypłynęli i... jeszcze tego samego dnia beznadziejnie utknęli w lodzie, z którego mieli się już nigdy nie wydostać. Julius von Payer, szef ekspedycji, tak o tym pisał w dzienniku:

Dookoła jak okiem sięgnąć lód. Mieliśmy już nigdy nie zobaczyć naszego statku kołyszącego się na wodzie... Staliśmy się nie odkrywcami, tylko pasażerami lodu wbrew własnej woli. Nieustannie tliła się w nas nadzieja na wybawienie! Na początku spodziewaliśmy się go co godzinę, potem co dzień, następnie co tydzień, później z nadejściem kolejnych pór roku i zmianami pogody, wreszcie z początkiem nowego roku. Lecz ono nigdy nie nadeszło!

Możemy sobie tylko wyobrażać, o czym myślą ludzie tkwiący w okowach lodu, gdy ten z każdą chwilą grozi zmiążdżeniem ich statku. Przy burtach „Tegetthoffa” pak spiętrzał się nawet do trzynastu metrów. Parcie bywało tak silne, że wszyscy szykowali się do ewakuacji. Stali na pokładzie z całym swoim dobytkiem zapakowanym w mały tobołek. Ale za każdym razem lód w końcu odpuszczał i choć statku nie uwalniał, odsuwał egzekucję na potem. Załozdże nie chodziły już po głowach żadne odkrycia. Beznadziejne, całkowicie bierne oczekiwanie na cud pozbawiało ich inicjatywy. Wedle słów Payera czuli się jak „owady, które żyją na liściu drzewa i nie interesuje ich poznawanie jego krawędzi”. Niesamowite, co rok oczekiwania na śmierć lub oswobodzenie może zrobić z żądzą wiedzy i przygód. Payer wspominał: „Nie było wśród nas nikogo, kto by wierzył w to, że cokolwiek odkryjemy, choć odkrycia przekraczające nasze najśmielsze marzenia leżały tuż przed nami”. Wreszcie – 30 sierpnia 1873 roku – stał się cud. Gdy podniosły się poranne mgły, załoga ze zdumieniem dostrzegła ląd! Nikt nie miał pojęcia, że są tam jakieś wyspy. Odkryli je, jak przyznaje sam Payer, „nie dzięki temu, co zrobiliśmy, ale dzięki szczęśliwemu kaprynowi lodowej kry. I zdobyliśmy je jak we śnie”. Pokryty imponującymi skałami wyniosły przylądek nazwali Tegetthoff, a cały archipelag na cześć austriackiego cesarza otrzymał nazwę Ziemi Franciszka Józefa. Uwierzyli, że ocaleją, ale od lądu dzieliło ich jeszcze czterdzieści sześć kilometrów spiętrzonego i porozdzieranego szczelinami lodu, kapryśny zaś dryf znowu ich od wyspy oddalił. Później widzieli ją jeszcze kilka razy, ale wciąż nie mogli się do niej dostać.

W pewnym momencie zniosło ich tak daleko, że zrodziła się w nich obawa: owszem, może nawet dotrą na biegun, ale raczej nie za życia. Wreszcie pod koniec października dodryfowali w pobliże lądu i jako pierwsi ludzie stanęli na jednej z największych wysp archipelagu. Nazwali ją na cześć swojego głównego fundatora Ziemią Wilczka.



Verlassen des „Tegetthoff“ nach der Rückkehr der Schlittenreisenden.  
Nach der Natur aufgenommen von Julius Payer und gemalt von Adolf Obermüller.

Uwięziony w lodzie „Tegetthoff”

I tak się zaczęła ludzka historia Ziemi Franciszka Józefa. Wprawdzie ludzie Payera i Karla Weyprehta (kapitana statku) prawdopodobnie nie byli pierwszymi, którzy zobaczyli archipelag, bo w 1865 roku norweski łowca fok Nils Fredrik Rønnbeck dostrzegł ląd na północny wschód od Svalbardu, ale to oni tam wylądowali i stworzyli pierwsze mapy. Spędzili tam prawie rok, eksplorując różne wyspy. Dotarli nawet do najdalej na północ wysuniętego punktu, do przylądka Fligely na Wyspie Rudolfa. Oczywiście nie obyło się bez groźnych przygód: wpadania do szczelin, bohaterskich misji ratunkowych i innych atrakcji typowych dla arktycznych wypraw. Kiedy czytam o którejś z minionych wypraw, odnajduję mnóstwo historii wartych opowiedzenia. Ale tutaj dodam tylko, że 20 maja 1874 roku Payer, Weyprecht i ich załoga postanowili wyruszyć w drogę powrotną na Nową Ziemię. Ciągnąc przez lód łodzie z dobytkiem, walczyli z zimnem, głodem i szkorbutem, prawdziwą zmorą wszystkich dawnych ekspedycji. Piętnastego lipca ich nadzieje legły w gruzach: w oddali zobaczyli swój statek – pomimo ośmiotygodniowych zmaganiań w wyniku północnego dryfu lodu znaleźli się czternaście kilometrów od punktu wyjścia! W końcu jednak, w sierpniu, dotarli do otwartej wody. W sumie przeszli ponad pięćset pięćdziesiąt kilometrów, ale od statku oddalili się zaledwie o dwieście czterdzieści. Ten sam dryf, który rok wcześniej przyniósł im ocalenie

i wielkie odkrycie, zagrał z nimi dużo okrutniej. Wreszcie udało im się dopłynąć łodziami do Nowej Ziemi. Nie zdołali wprawdzie odnaleźć zapasów, które tam zostawili, ale w końcu zostali dostrzeżeni i uratowani przez rosyjski statek „Nikołaj”.

Ziemia Franciszka Józefa była areną wielu dramatycznych wydarzeń. Dla mnie jednak pozostaje jednym z najbardziej fascynujących i mimo wszystko szczęśliwych miejsc.

Zwykle docieram tu od północy, w drodze powrotnej z bieguna. Główny cel podróży mamy już za sobą i możemy się trochę odprężyć. Wszyscy się cieszą na spotkanie z lądem. Wreszcie można spuścić na wodę zodiaki i poznać nieco żywszą Arktykę. A jest co poznać. Z daleka Ziemia Franciszka Józefa wydaje się nie do pomylenia z żadnym innym lądem. Jej wyspy są bardzo charakterystyczne: pionowe zbocza i płaskie wierzchołki. A to dlatego, że przez większość geologicznej historii cały archipelag przygniatał ogromny lodowiec. Teraz powoli się wznosi (takie podnoszenie się terenu po zdjęciu obciążenia w postaci lodowca nazywa się ruchami izostatycznymi; wygląda to trochę tak, jakby gigantyczna gąbka wracała do poprzedniej wysokości, po tym jak ktoś nagle przestał popychać ją w dół), co widać w wielu miejscach – wały z kamieni pokazują, gdzie jeszcze kilka tysięcy lat temu była granica plaży. Słynni podróżnicy, tacy jak Nansen i Ałbanow, porównywali wyspy archipelagu do wyniosłych zamków, więc ja nie muszę. Faktem jest, że właściwie z niczym innym sensownie porównać się ich nie da.

Dopływamy tu drugiego dnia po wyjściu z lodów wokół bieguna. Wokoło pływa sporo lodowych brył, ale nie jest to już ten zwarty pak, przez który się przedzieraliśmy wcześniej. Pierwsze lądowanie planujemy na przylądku Norwegia na Wyspie Jacksona, ale lodu jest za dużo i zodiaki nie miałyby jak dotrzeć do brzegu. A zatem helikopter. Najpierw ruszamy na rekonesans, żeby sprawdzić, czy nie ma w pobliżu niedźwiedzi. Gdyby w zasięgu wzroku był jakiś, lądowanie byłoby niemożliwe. Podobnie rzecz się ma z częstą w Arktyce mgłą – jeśli jest mgła, także odwołujemy operację. Nie możemy ryzykować, że jakiś niedźwiedź podejdzie do nas niezauważenie. W końcu małymi grupkami lądujemy w małej osłoniętej zatoczce. Jest wilgotno i widać niewiele, ale to miejsce należy do najważniejszych, jakie zamierzamy odwiedzić. Tutaj Fridtjof Nansen i Hjalmar Johansen spędzili zimę 1895/1896 roku, gdy wracali ze swojej słynnej wyprawy na biegun. Jeszcze o nich opowiem. Podziwiamy mizerne resztki ich kwatery – sami nazywali ją pieszczotliwie dziurą. Faktycznie, jest w ziemi niewielkie zagłębienie, wokoło kilka kamieni i pozostałości słupa, na którym rozciągały skóry morsów, żeby mieć dach nad głową. Nie do pozazdroszczenia.

Wizyta na Wyspie Jacksona nie trwa długo, wracamy na statek. Następnego dnia zamierzamy znaleźć się po drugiej stronie archipelagu, na Ziemi Wilczka. To moja trzecia wizyta na archipelagu i tym razem szefem ekspedycji jest człowiek, który jest legendą polarnych wypraw – Laurie Dexter. Zresztą mam szczęście odwiedzać to miejsce z charyzmatycznymi przewodnikami. Poprzednio był to Wiktor Bojarski, sławny rosyjski polarnik i uczestnik międzynarodowej wyprawy antarktycznej, która w latach 1989–1990 jako pierwsza przeszła z psami cały kontynent. Z Lauriem znamy się od wielu lat i właśnie tacy ludzie jak on są wspaniałą przyprawą moich przygód. Podróże po Arktyce i Antarktyce same w sobie są ekscytujące, ale ludzie, których tu spotykam, dodają im smaku. Laurie ma sześćdziesiąt siedem lat. Jest drobny, żylasty i nie do zdarcia. Skończył studia turystyczne i teologię – przez dwanaście lat pracował jako pastor w arktycznej Kanadzie. Zawiadywał jedną z największych i na pewno najdalej na północ wysuniętą parafią na świecie. Dlatego biegle włada inuktitut –



językiem Inuitów. Może nie jest to najbardziej przydatny język w życiu, ale jego znajomość daje czasem niespodziewane korzyści. Opowiadał mi kiedyś, że oglądał film fabularny, którego twórcy zatrudnili mieszkańców dalekiej północy posługujących się tym językiem. Inni widzowie byli pod ogromnym wrażeniem, ale on podczas projekcji głośno się śmiał. Powiedział mi, że nie potrafił się skupić na poważnej fabule, ponieważ w tle ciągle słyszał teksty zarezerwowane zwykle dla... filmów pornograficznych! Tak oto statyści zakpili sobie z twórców z wielkiego świata. Potem przeszedł na nartach z Rosji do Kanady przez biegun północny, a teraz prowadzi mniej lub bardziej ekstremalne wyprawy w obu polarnych rejonach. Zapytałem go raz, co robi, kiedy nie ciągnie sań przez lodowe pustkowia albo nie pływa statkiem. Odpowiedział, że lubi biegać. Chciałem wiedzieć więcej, więc dodał, że raczej na dłuższe dystanse.

– Maratony? – zapytałem z ironicznym uśmiechem.

– Nieee... maratony są nudne, ledwo się człowiek rozbuja, trzeba kończyć. Jeśli biegam maratony, to podwójne. A pojedyncze tylko na imprezach, na których jest dziesięć maratonów w dziesięć dni. Ale najbardziej lubię bieg dwudziestoczwierogodzinny. Zaczyna się o ósmej rano, kończy o ósmej następnego dnia, a potem się sprawdza, kto ile przebiegł. Mój osobisty rekord to dwieście siedem kilometrów, kilka lat temu...

Miał wtedy sześćdziesiąt trzy lata i w ciągu doby przebiegł więcej niż ja przez całe życie. Drań. Nie muszę dodawać, że praca z nim to nie tylko zaszczyt, ale też czysta przyjemność.

Kiedy nie jest szefem ekspedycji, wykłada na statkach historię wypraw polarnych. I pewnie właśnie dlatego kolejne miejsce, które wybiera jako cel naszych odwiedzin, również przesycone jest historią. Zbliżamy się do Przylądka Hellera. Na miejscu okazuje się, że znowu jest za dużo lodu, żeby lądować zodiakami, a przewożenie wszystkich helikopterami byłoby zbyt ryzykowne, bo stoimy daleko od brzegu, a wokół przylądka snują się mgły. Gdyby go zasłoniły, szybka ewakuacja pasażerów stałaby się niemożliwa. Tuż po publicznym ogłoszeniu zmiany planów Laurie wzywa mnie przez radio do swojej kajuty. Szybko robię w myślach rachunek sumienia – w końcu, choć od dawna zaprzyjaźniony, wzywa mnie szef. Kiedy wchodzę, akurat się przebiera. Nie odwracając się, pyta, czy mam ochotę polecieć na rekonesans, bo jeśli tak, to helikopter rusza za pięć minut. Oczywiście nie zastanawiam się ani chwili. W biegu zakładam bieliznę termiczną i wodoodporne warstwy zewnętrzne, chwytam aparat i pędzę na lądowisko. Lecimy we trójkę – Laurie, Alex (jego młody zastępca i namaszczony następca) i ja. Po kilkuminutowym locie śmigłowiec siada na podmokłym gruncie. Otacza nas typowy arktyczny krajobraz – płaska szara przestrzeń kamiennego pustkowia otoczona lodowcami. Mamy kwadrans, więc szybko idziemy w stronę widocznych w oddali stert głazów. Laurie opowiada fascynującą historię tego miejsca. Zimą 1898/1899 spędziło tu dwóch Norwegów: Paul Bjørvig i Bernt Bentsen. Byli członkami wyprawy zorganizowanej przez Waltera Wellmana, amerykańskiego dziennikarza, który postanowił dotrzeć tamtędy na biegun północny. Jesienią na Przylądku Hellera zbudowali kamienną chatę i zdeponowali zapasy potrzebne na planowaną w następnym roku główną część ekspedycji. Norwegowie zostali na miejscu, żeby przez całą zimę pilnować dobytku, a reszta wróciła na wyspę Hall, do zimowych kwater na przylądku Tegetthoff. Plan był dobry, bo oszczędzali siły i czas. Strażnicy mieli pod dostatkiem pożywienia i tytoniu, więc ich zadanie mogło być monotonne, ale nie niebezpieczne. Obaj cieszyli się nawet na te długie zimowe wakacje. Uważali je za spełnienie marzeń. Niestety już w listopadzie Bentsen zachorował, więc wszystkie obo-

wiązki, a także opieka nad chorym, spadły na Bjørviga. Na początku stycznia, po trwającej osiem tygodni gorączce i licznych halucynacjach, Bentsen zmarł. I tu zaczyna się jedna z tych opowieści, które robią na mnie największe wrażenie. Śmierć była częstym i normalnym towarzyszem wszystkich zdobywców. W zasadzie można o niej myśleć jak o dodatkowym członku każdej wyprawy. Ale tamto zimowanie Paula Bjørviga to trudny do wyobrażenia koszmar. Jego umierający kolega miał jedno pragnienie: by jego ciało nie trafiło w łapy niedźwiedzi. Paul nie mógł wykopać grobu. Wszystko skuł lód i przykryła gruba warstwa śniegu. Spędził więc zimę w pomieszczeniu, które właściwie było śnieżną jamą, w którym temperatura nigdy nie dochodziła do zera, w zupełnych ciemnościach, śpiąc w jednym śpiworze, podczas gdy tuż obok niego, w drugim śpiworze, leżały zamrożone zwłoki Bentsena! Kiedy Wellman i jego towarzysze pod koniec lutego dotarli do chaty, Wellman zapisał w dzienniku: „Zdumiało mnie, że Bjørvig wciąż jest przy zdrowych zmysłach”. Razem pochowali zmarłego i ruszyli na biegun. Już w marcu musieli zawrócić, ponieważ większość psów wraz z zapasami zniknęła pod lodem, a sam Wellman złamał nogę.

I właśnie do pozostałości tej chaty prowadzi nas Laurie. Niesamowite, jak jest niewielka. W całej Arktyce nie można wchodzić do pozostałości historycznych budynków ani ich dotykać, więc tylko obchodzimy wszystko dookoła, odwiedzamy grób Bentsena i w milczeniu wracamy na statek. Niezwykle miejsce.

Następne dorównuje mu niesamowitością. Kierujemy się bowiem na Wyspę Champa, znaną z zadziwiających głazów. Na całym świecie jest tylko kilka takich miejsc, w których kumulujące się w miękkim mule osady wytworzyły idealnie okrągłe kule. Są takie na Nowej Zelandii, w argentyńskiej Księżycowej Dolinie i właśnie na Wyspie Champa. Dopływamy po południu. Akurat w tym miejscu możemy rozstawić strażników z bronią dookoła obszaru, który odwiedzamy. Między nimi turyści mogą się swobodnie poruszać. Czasem ukształtowanie terenu sprawia, że ustanowienie bezpiecznego perymetru nie jest możliwe. Wtedy wszyscy chodzą w grupach z uzbrojonymi przewodnikami.

Wspinamy się po łagodnym wzniesieniu, a po drodze mijamy wielkie kamienne kule. Największa ma około trzech metrów średnicy. Jest wprawdzie nieco ukruszona, ale i tak robi wrażenie. Całkiem niedawno zdarzyło mi się trafić na polskiego bloga (miłosiernie pominę tytuł), którego autorka z pasją przekonuje, że kule te są pozostałością po prastarej, bardzo zaawansowanej cywilizacji. To oczywiście bzdura, ale pokazuje, jak twory natury działają na wyobraźnię. A także na instynkt zbieracza – Wyspa Champa jest tym miejscem, gdzie najtrudniej nam upilnować pasażerów, żeby nie zbierali pamiątek, można bowiem tam także znaleźć kamienne kulki wielkości ziarnka ciecioriki. Staramy się, choć czasem nie jest to możliwe. W 2007 roku, na wycieczce wcześniejszej niż ta, z którą ja tu trafiłem, przyszedł nagle z Moskwy nakaz zabrania największego i najokrągłego z głazów. I nie pomógł sprzeciw Lauriego, ówczesnego szefa wyprawy. Do kapitana zadzwonił ktoś „z samej wierzchołki” i nie było wyjścia – głaz został z Arktyki wykradzony. Jest teraz gdzieś w kontynentalnej Rosji. Na szczęście kilka jeszcze zostało.



Słynne okrągłe skały na wyspie Champ, Ziemia Franciszka Józefa

Następnego dnia płyniemy dalej. Choć Ziemia Franciszka Józefa to sto dziewięćdziesiąt jeden wysp, około osiemdziesięciu pięciu procent jej powierzchni stale pokrywa lód. Archipelag usytuowany jest na północny wschód od Svalbardu, a jego północny kraniec (przylądek Fligely na Wyspie Rudolfa) jest najdalej w tym kierunku wysuniętym kawałkiem Europy. Dzieli go od bieguna tylko ciut więcej niż dziewięćset kilometrów. Bliżej są tylko krańce Grenlandii i kanadyjska wyspa Ellesmere. Ponadto nie dociera tu już żadna odnoga Golfstromu, więc woda morska przez okrągły rok ma temperaturę w okolicach jednego stopnia Celsjusza. Oznacza to, że przez prawie cały rok, również w lecie, większość przestrzeni oddzielającej poszczególne wyspy pokrywa albo zwarty pak, albo gęsto usiane mniejsze i większe bryły lodu. Możliwości lądowania są zawsze bardzo ograniczone, dlatego odwiedza się właściwie tylko kilka miejsc. Ale właśnie dzięki temu niemal każde z możliwych lądowisk jest z różnych względów ciekawe i ma bogatą historię – dawni zdobywcy napotykali na dokładnie te same ograniczenia. Siłą rzeczy co chwila natykamy się na pamiątki po nich.

Jednym z miejsc odwiedzanych najczęściej jest Tichaja Buchta, czyli Cicha Zatoka na Wyspie Hoockera. Rzeczywiście, nawet jeśli całkiem niedaleko pogoda okazuje się niezbyt dobra, tu zwykle można się bezpiecznie schronić. Jeszcze się nie zdarzyło, żebyśmy nie mogli tu wylądować, choć lód czasem sprawiał, że było to trudne. Najbardziej ekscytująca okazała się dla mnie wyprawa z 2011 roku. Rosyjskie władze zakazały wtedy noszenia broni palnej na terenie rezerwatu, czyli na całym archipelagu, więc do obrony przed niedźwiedziami mieliśmy wyłącznie race.

Na brzegu stoi sporo budynków. To pozostałości po rosyjskiej stacji meteorologicznej,

która działała tu od 1929 do 1963 roku. Właściwie to nie tyle stacja, ile mała wioska. Latami żyły tu całe rodziny. Przed lądowaniem trzeba zajrzeć do każdego z nich: sprawdzić, czy przypadkiem nie postanowił się tam schować jakiś miś. Nie zazdroszczę marynarzom, którym przypada to zadanie. Raca wprawdzie odstrasza niedźwiedzie, przynajmniej teoretycznie, ale trzeba je odpalić i odpowiednio wycelować. Można sobie wyobrazić, jak zareaguje niedźwiedź, kiedy raca wyląduje za nim, a jedyna droga ucieczki wiedzie w naszą stronę. Co by się działo w budynku – o tym wolę nie myśleć. Na szczęście nie trafiamy na żadne zwierzę. W jednej chatce mieszka kilku pracowników rezerwatu. Zajmują się sprzątaniami terenu. A jest co sprzątać – stacja wygląda tak, jakby jej mieszkańcy po prostu wstali i wyjechali. Wokół walają się beczki po paliwie i stare narzędzia, na jednym z kamieni stoi nawet stary żeliwny czajnik, a w pobliskiej szopie wciąż czeka zapomniany traktor. Pracowników rezerwatu chwilowo nie ma w domu, a kartka na drzwiach przypomina, by dokładnie zamykać drzwi, bo już mieli kilka niedźwiedzich wizyt. Tak czy owak udało się, możemy działać dalej. Zaczynamy przywozić zodiakami pierwszych turystów. Budynki stacji stoją na płaskim terenie, u stóp wzgórza. Rozstawiamy wartowników. I nagle w śnieżnym zboczu odkrywamy wejście do gawry! To mnie przypada w udziale wszystko, co ma z misiami związek – moja praca polega między innymi na tym – więc idę z jednym z marynarzy ją sprawdzić. Oczywiście wiem, że niedźwiedzice opuszczają swoje nory na wiosnę i że pod koniec lipca nikogo nie powinno tu być. Tak, ja to wiem, ale czy miś też to wie? Wszak w śniegu widać ślady potężnych łap...

Podchodzimy powoli, z niepokojem zerkamy w górę. Jama jest ogromna, otwór ma prawie dwa metry średnicy. Niewątpliwie była w tym roku używana, a potem została rozkopana od wewnątrz. O tym, że niedźwiedzica wyszła (gawry budują tylko ciężarne samice, by urodzić w nich młode podczas zimowego snu, samce zaś są aktywne przez cały rok), świadczą także oddalające się od niej ślady matki i co najmniej dwojga młodych. Pytanie tylko, czy ona sama lub jakikolwiek inny niedźwiedź nie wybrał sobie teraz jamy na miejsce odpoczynku. Jesteśmy bardzo blisko. Ślady ewidentnie są stare. Rozglądamy się, ale świeżych nie widać. Do samej gawry nie da się zajrzeć – wyjście jest umieszczone tak, a nora tak głęboka, że właściwie zerknąć tam możemy, dopiero stając w jej progu. Ostatnie metry, ostrożny rzut oka... Uff, pusto. Ściany są poorane potężnymi pazurami. Gawra niedźwiedzia polarnego to nie jest zwykła dziura w śniegu. Budowanie jej to trudna sztuka i młode samice kiepsko sobie z nią radzą. Dopiero starsze, doświadczone matki potrafią tak dobrać nachylenie stoku, miejsce na zboczu i grubość śnieżnej pokrywy, żeby ich legowisko przez całą zimę mogło być ciepłe i bezpieczne, a jednocześnie odpowiednio napowietrzone. Nasza jama została rozkopana, nie widzimy więc sufitu, w którym często znajduje się komin wentylacyjny. Takie kominy konstruowane są pod odpowiednim kątem, by powietrze mogło do nory docierać, ale żeby nie sypał się tam śnieg ani nie hulał wiatr.

Możemy odetchnąć, więc przyglądamy się wszystkiemu dokładniej. Wchodzimy nawet do środka i robimy sobie pamiątkowe zdjęcia. Turyści wciąż przybywają, pierwsi zbliżają się do naszego stanowiska. Czas objąć wartę. Wspinamy się obaj nieco wyżej. Marynarz zatrzymuje się z racą na trochę bardziej płaskim, pokrytym trawą kawałku zbocza, ja wchodzę jeszcze wyżej. Widzę stamtąd lądowisko, stację i naszych gości. Na prawym skraju stoi jeden mój kolega, na lewym – drugi, każdy z nas ma przy sobie marynarza. Ale nie czuję się całkiem bezpiecznie. Od grzbietu zbocza dzieli mnie jakieś dwieście metrów i w każdej chwili może

się gdzieś pokazać wielki biały łeb. Mówiąc szczerze, czuję się jak przynęta: jeśli miś rzeczywiście się pokaże, do mnie będzie miał najbliżej. A wtedy cała nadzieja w tym, że nie będzie mu się chciało sprawdzać, kim jesteśmy. Mam sceptyczny stosunek do naszej racy, pocieszam się tylko tym, że marynarz jest blisko i że w jego własnym interesie będzie odpowiednio ją odpalić. To trochę tak jak z lataniem samolotem: nie boję się, bo wiem, że pilot jednak leci z nami, więc raczej będzie się starał. W razie czego uciekanie przed niedźwiedziem nie ma oczywiście wielkiego sensu. Potrafią biegać dużo szybciej od nas. Należy się zbić w ciasną gromadę, żeby go nie kusił żaden samotny cel, i zacząć spokojnie oddalać. Uciekające zwierzę jest dla drapieżnika prowokacją, której przepuścić nie sposób. Gdyby miś postanowił się zbliżyć, należy spróbować go odstraszyć, a dopiero kiedy nic nie zadziała, można do niego strzelać. Podczas innych arktycznych wypraw często chodziłem z bronią, ale odkąd dałem do zrozumienia, że jeśli będę miał dylemat: niedźwiedź czy turysta, to raczej nie niedźwiedzia zastrzelę, jakoś nie bardzo chcę mi ją dawać. Nie wiem dlaczego, w końcu to misie są u siebie i mają prawo tu być, a my przyjeżdżamy w gości. Zresztą ludzi i tak jest na świecie za dużo, a niedźwiedzie są zagrożone. Turystów trudno okiełznać. Zawsze chcą iść tam, gdzie ich nie widać, najlepiej samotnie. Od paru lat kończę swój wykład o misiach obserwacją, że w zasadzie nie boję się niedźwiedzi, bo szanse na to, że jestem najwolniejszym biegaczem w grupie, są niewielkie. Przecież nie muszę biegać szybciej od drapieżnika, wystarczy, że nie będę najwolniejszą z jego potencjalnych ofiar... Słuchacze zwykle patrzą po sobie i się oceniają, ale później zaczynają traktować zagrożenie poważniej i faktycznie trzymają się grupy. I o to chodzi.

Ale to tylko przyjemne teoretyczne rozważania kogoś, kto siedzi na bezpiecznym statku i przemawia do zasłuchanych pasażerów. Stojąc na zboczach i nerwowo skanując przez lornetkę jego grzbiet, nie czuję się tak komfortowo.

Kilka lat później poznałem legendarnego badacza niedźwiedzi polarnych Nikitę Ovsyanikova. Znałem go ze słyszenia od lat. Jest jednym z dwóch, może trzech najlepszych znawców niedźwiedzi polarnych na świecie. Pracuje z nimi od dwudziestu pięciu lat i nigdy nie nosi broni. Ma tylko patyk i gaz pieprzowy, którego prawie nigdy nie używa. Obserwuje niedźwiedzia ze świadomością, że przede wszystkim jest to inteligentne, ciekawskie zwierzę, które na pewno nie chce ryzykować zranienia, więc jest też ostrożne. Opowiadał mi, że bliższe spotkanie z misiem miał ponad dwa tysiące razy, a zaatakowany został tylko cztery, zawsze z własnej winy. Zawsze dlatego, że zrobił coś głupiego. Inne problemy rozwiązywał, przekonując misie, że nie warto z nim zadzierać. Ten dość drobny facet mówił, że najlepsze, co można zrobić, kiedy się stoi naprzeciw szarżującego niedźwiedzia, to wybiec mu naprzeciw. Może gdybym go już wtedy znał, czułbym się pewniej. Ale nie wiem, czy moje nerwy okazałyby się zrobione z równie mocnej stali.

Na szczęście mam bardzo pocieszne towarzystwo. Turyści i mój rosyjski anioł stróż są kilkanaście metrów dalej, za to tuż obok jest kolonia alczyków, moich ulubionych arktycznych ptaków. Alczyki, zwane też traczykami lodowymi, to bardzo małe alki, czyli takie arktyczne pingwiny, które nie utraciły zdolności latania. Oczywiście nie są to pingwiny w sensie dosłownym, nie są z nimi nawet blisko spokrewnione. Podobny tryb życia sprawił, że wyglądają dość podobnie, chociaż ewoluując w świecie pełnym drapieżników, nie mogły sobie pozwolić na całkowitą rezygnację z latania – jakoś muszą się dostawać na strome skały, na których większość z nich się gnieździ.

Żyły kiedyś alki olbrzymie. Były nietotami i gnieździły się na wybrzeżach północnego Atlantyku, i z racji tego, że były bezbronne, wytepiłszy je na początku XIX wieku. Co ciekawe, łacińska nazwa alki olbrzymiej to *Pinguinus impennis*: pierwszy człon pochodzi od walijskiego słowa *pingwen* i oznacza białą głowę. Dlatego pierwsi europejscy żeglarze, którzy na południowej półkuli zobaczyli dość podobne, również niepotrafiące latać ptaki, wzięli je za alki olbrzymie i nazwali *pingüinos*. W większości języków nazwa pingwin się przyjęła, mimo że nadano ją przez pomyłkę. Bardziej poprawna stara polska nazwa brzmi bezłotek, ale upieranie się przy niej byłoby dziś walką z wiatrakami.

Alczyki są najmniejszymi z europejskich kuzynów wymarłego nietota. To niemiłosiernie słodkie ptaki wielkości szpaka, ze stosunkowo dużą głową, krótkim dziobkiem i skrzydełkami, którymi w locie machają niezwykle szybko. W sumie wyglądają tak, jakby rozpaczliwie próbowały utrzymać się w powietrzu, choć walka ta wydaje się skazana na niepowodzenie. Patrząc na nie, spodziewamy się, że lada moment dojdzie do lotniczej katastrofy. Wbrew pozorom latają całkiem niezłe, a dystans ich wycieczek po pożywienie (czyli skorupiaki i drobne rybki) może sięgać dziesiątek kilometrów. Trzeba też im oddać sprawiedliwość: ich pozorna niezgrabność całkowicie znika w wodzie. Radzą sobie w niej doskonale, nurkując na głębokość nawet pięćdziesięciu metrów. Moja znajoma, Liliana Keslinka, bada alczyki od lat i zna je lepiej niż ktokolwiek. Przez cały ten czas nie straciła entuzjazmu. Mówiła mi kiedyś, że najbardziej imponuje jej ich pracowitość: „Ulubioną zdobyczą alczyków są planktoniczne widłonogi mierzące zaledwie pięć milimetrów. Oboje rodzice codziennie łowią ich tyle, że przynoszą młodym po osiem posiłków, z których każdy jest wielkości czubatej łyżeczki do herbaty!”. To faktycznie robi wrażenie. Jeśli do ich dość komicznego wyglądu dodamy uroczę popiskiwanie, a także radosne powitania powracających towarzyszy, muskanie się dziobkami i przytulanie na skałach, efekt jest porażający. Nie znam nikogo, kto by się nimi nie zachwycał.

Gnieźdzą się w szczelinach skał, a obok miejsca, w którym stoję, jest ich spora i bardzo hałaśliwa kolonia. Utrudniają mi co prawda skupianie się na wypatrywaniu niedźwiedzi, ale z całą pewnością podnoszą na duchu.

W pewnym momencie, właściwie znikąd, pojawia się mgła. Musimy przerwać operację i wrócić na plażę.

Schodzimy, zaganiając pasażerów z powrotem. Mijamy krzyż upamiętniający Georgija Siedowa, słynnego rosyjskiego polarnika, który zimował tu w latach 1913–1914, kiedy jego statek – „Święty Męczennik Foka” – wyczerpał zapas węgla i nie mógł popłynąć dalej. To on nadał temu miejscu nazwę Cicha Zatoka i to on, pomimo postępującego szkorbutu, rozpoczął systematyczne obserwacje meteorologiczne, które później zmotywowały Rosjan do wybudowania stacji. Wiosną 1914 roku wyruszył na podbój bieguna północnego, ale dotarł tylko do Wyspy Rudolfa. Umarł tu i został pochowany. Jego statek na resztkach węgla cofnął się do miejsca, które będzie naszym kolejnym celem, do przylądka Flora. Załoga porąbała tam wszystkie historyczne chaty i niektóre części statku na paliwo do kotłów parowych, by móc wrócić do domu. Ot, kolejna arktyczna historia.

Minąwszy krzyż, przechodzimy między budynkami dawnej stacji. W opustoszałych wnętrzach śnieg poukładał się w fantastyczne wydmy. Ostatni rzut oka na porzucone sprzęty, niewysoka skarpa i jesteśmy na plaży. Okazuje się, że nie tylko my tu przybyliśmy – przy zacamowanych na brzegu zodiakach pływa stado morsów! Na szczęście nie są agresywne,

choć z morskami nigdy nic nie wiadomo. Z zaciekawieniem podnoszą głowy i zwisają nad gumowymi burtami niczym złowrogie kasowniki. Każdy z nas słyszał o przypadkach ataków na zodiaki i inne niewielkie łodzie. Wprawdzie zodiaki są zasadniczo bezpieczne – jeśli dwie z ośmiu wypełnionych powietrzem komór zostaną przebite, nadal utrzymują się na wodzie – ale samą swoją masą mors jest w stanie człowieka zwyczajnie zmiażdżyć. Jak napisał w swojej kapitalnej książce Walerian Ałbanow (czytałem ją po angielsku: *In the Land of White Death*), „trudno uznać niedźwiedzie polarne za przyjazne stworzenia, ale jeśli je porównać z morskami, można je uważać za praktycznie niegroźne”. Morsy, nie dość że są większe od niedźwiedzi, to jeszcze działają w grupie. W wodzie nawet misie ich unikają, a na lądzie wyłącznie bardzo doświadczone i ogromne samce są w stanie na nie zapolować. Poza ludźmi i innymi niedźwiedziami są jedynymi zwierzętami, które regularnie zabijają te drapieżniki.



Stado morsów uważnie nam się przygląda, Ziemia Franciszka Józefa

Mors to jeden z najbardziej niezwykłych mieszkańców Arktyki. Jest tak unikalny, że nawet systematycy nadali mu status odrębnej rodziny. Razem z fokami i uchatkowatymi morsowate należą do ssaków płetwonogich, które są zaliczane do psokształtnej gałęzi ssaków drapieżnych, razem z łasicowatymi, psowatymi, niedźwiedziami, szopami, skunksami i pandami. Uogólniając: foki to te zwierzęta, które nie umieją łaźać, tylko pełzają po ziemi jak gąsienice, z ich głów nie wystają uszy, a od zimna izolują się grubą warstwą tłuszczu. Uchatkowate, czyli uchatki, otarie i kotiki potrafią podwinąć tylne łapy pod siebie (to do nich należą „foczki” występujące w cyrkach z piłkami; swoją drogą pokazywanie i oglądanie zwierząt w cyrku to czyste barbarzyństwo), dzięki czemu umieją chodzić. Z ich głów wystają maleń-

kie uszka, a ciała pokrywa grube nieprzemakalne futro. Morsy są prawie łyse. Przed zimną wodą chroni je tłuszcz, który mają pod skórą, małżowin usznych nie mają, ale potrafią chodzić. Co oznacza, że są jakby pośrodku. Największe samce mogą mieć prawie pięć metrów długości i ważyć więcej niż dwie tony, czyli ponad dwa razy więcej niż największe niedźwiedzie polarne. Zarówno samce, jak i samice mają charakterystyczne kły, choć u samców są one znacznie większe. Żyją w stadach i łączą je bardzo silne rodzinne więzi. Niestety kiedyś człowiek okrutnie to wykorzystywał. Wystarczyło schwytać młodego morsika i zacząć go dźgać laną, a rozpaczliwe okrzyki bólu i przerażenia ściągały na pomoc całe stado. Jeszcze dwieście lat temu łowcy morsów wabili je w ten sposób w miejsca trochę oddalone od brzegu, gdzie spokojnie mogli je wszystkie wymordować. W pewnych miejscach wciąż się na morsy poluje, ale po kilku stuleciach prześladowań ich populacje stopniowo się odbudowują. Ziemia Franciszka Józefa jest jednym z takich miejsc, które swoje zwierzęta „eksportują” na sąsiednie tereny – to dzięki nim populacja svalbardzka powoli dochodzi do siebie. Morsy nie nurkują zbyt głęboko. Zwykle żerują w mulistych osadach, poszukując różnych bezkręgowców za pomocą wrażliwych wąsów. Ale zdarza im się też polować na fok. Czas na chyba mój ulubiony fakt z życia morsów: jeśli znajdą zamkniętego małża, otaczają go mięsistymi wargami i wysysają. Podciśnienie, które potrafią wytworzyć w pysku, jest tak silne, że znane są też przypadki wysysania mózgu młodych fok przez ich delikatną czaszkę! Jeśli weźmiemy pod uwagę, że mors jest również dumnym posiadaczem największego bakulum (czyli kości prącia) w świecie zwierząt, nie będziemy mieć wątpliwości, z jakim twardzielem mamy do czynienia. Kość ta może mierzyć ponad sześćdziesiąt centymetrów (Piotr Wielki miał stołek, którego nogi zrobiono z kości morsich siusiaków), a u jednego z wymarłych gatunków morsa osiągała ponad metr! No i jeszcze skóra – tak gruba, że wikingowie robili sobie z niej tarcze. Nie lada oponent.





Morsy łączą bardzo silne więzi rodzinne, Ziemia Franciszka Józefa

Wiedząc to wszystko, spoglądamy na przepływające kolosy z niepokojem. One także łypią na nas przekrwionymi oczkami, ale nie atakują, choć obie strony doskonale wiedzą, kto tu się boi, a kto jest u siebie. Po dokładnej inspekcji odpływają, a my możemy załadować ludzi do zodiaków i rozpocząć ewakuację. Najwyższy czas, bo mgła gęstnieje z każdą chwilą.

Następne miejsce jest bardzo blisko – to wystająca z wody słynna pionowa skała Rubini, dom największej kolonii ptaków morskich na archipelagu. Choć dzieli nas od niej niewiele więcej niż mila morska, mgła skutecznie ją zasłania. Nasz statek, dieslowski lodołamacz „Kapitan Dranicyn”, sunie powoli po wyjątkowo (nawet jak na tę zatokę) spokojnej wodzie. Niesamowicie płynie się w takiej mgle. Morze stapia się z powietrzem, a my bezszelestnie przecinamy tę puchatą szarość. Nie widać nic, właściwie już dziób statku jest odrobinę niewyraźny, a kilkanaście metrów przed nim świat znika. A może to my zniknęliśmy ze świata, może wessała nas czarna dziura i ockniemy się gdzieś w równoległej rzeczywistości, na płańskiej ziemi podpieranej przez cztery słonie? Nic dziwnego, że jedno z angielskich słów określających mgłę – *mist* – to jednocześnie rdzeń słowa mistycyzm. Nie wiem jak innych, ale mnie zawsze w takich sytuacjach opada poczucie surrealizmu. Oczywiście fajnie jest tak sobie dumać na prowadzonym po znajomych wodach przez radar statku. Dawnych żeglarzy podobne warunki raczej przerażały. Jeśli nie wiedzieli, czy za chwilę nie roztrzaskają się o skały, byli dalecy od romantycznych uniesień. Z drugiej strony – przynajmniej szefowie wypraw nie mogli być całkowicie wolni od podobnych zachwyty. Z ich dzienników wiemy, że byli takimi samymi ludźmi jak my. Wszak mieli wpływ na to, co robili – w odróżnieniu od zwykłych marynarzy. Zresztą ja też inaczej odbieram mgłę, kiedy jestem na statku,

a inaczej kiedy muszę do niego wrócić tonącym w tumanie pełnym pasażerów zodiakiem i mogę tylko mieć nadzieję, że statek nie oddryfował zbyt daleko od miejsca, które zaznaczyłem na GPS-ie kilka godzin wcześniej, gdy od niego odbijałem (to jedna z podstawowych zasad bezpieczeństwa, zwłaszcza w rejonach polarnych: zawsze zaznaczać pozycję statku). Ale podoba mi się zawsze.

Płyniemy dalej w absolutnej ciszy, zakłócanej jedynie pomrukiwaniem silnika, nie widząc nic, zawieszeni między nieruchomym morzem a kosmosem. W pewnym momencie zaczynamy jednak coś słyszeć. Najpierw delikatny szum, później dźwięk rośnie z każdą chwilą, dają się rozpoznać pojedyncze piski i okrzyki. Szum się wzmacnia i z mgły zaczyna się wyłaniać coraz więcej ptaków. Przed dziobem niewyraźnie mającą jakieś kształty i narasta ogromny cień. Po chwili mgła rzednie, jesteśmy coraz bliżej i na wprost coraz wyraźniej widać zarys potężnej czarnej skały. Szum przechodzi w huk ptasich skrzydeł, a piski łączą się w zgiełk tysięcy gardeł. Nagle mgła wypluwa nas na odsłoniętą, gładką wodę, a kilkadziesiąt metrów przed nami pojawia się lśniąca powierzchnia pionowej skały – Rubini! To jedno z moich ulubionych miejsc. Skała jest ogromna, a regularne formy bazaltu tworzą na jej stromych ścianach wąskie półki, idealne dla ptaków. Z oczywistych względów zawsze należy mieć na głowie czapkę i nigdy, przenigdy nie należy patrzeć do góry z otwartymi z podziwu ustami. Ptaki latają nad naszymi głowami nieustannie, korzystając z dwudziestoczterogodzinnego polarnego dnia. Jedne właśnie ruszają na łowy, inne wracają do gniazd, jeszcze inne po prostu krążą, na pozór bez celu. Gnieździ się tu około siedmiu tysięcy par nurzyków polarnych (wielkość kolonii zwykle podaje się w parach ptaków, mamy więc siedem tysięcy samców, siedem tysięcy samic i ich pisklęta, nie licząc ptaków, które nie biorą udziału w rozmnażaniu), pięciu tysięcy par mew trójpalczastych, a na łagodniejszych, kamienistych stokach po bokach skały żyją jeszcze dwa tysiące par alczyków. Do tego trzeba dodać mniej liczne gatunki, takie jak nurniki zwyczajne, mewy blade i fulmary zwyczajne. Łącznie ponad trzydzieści tysięcy ptaków. Zgiełk przytłacza nas niemal fizycznie.



Powrót na statek, Grenlandia

Każdy ptak ma tu własną historię. Nurzyki wybierają wąskie półki na pionowych ścianach. Ich jaja mają stożkowaty kształt, dzięki czemu turlają się wokół własnego czubka i nie spadają w przepaść. Podobnie jak alczyki i nurniki, one też należą do alk, więc trochę przypominają latające pingwiny, również pod względem wielkości. Kiedy ich piskłeta trochę podrosną, ale nie są jeszcze w pełni upierzone, ojcowie wołają je do wody. Małe ptaszki rzucają się w przepaść i lądują w morzu jak okrągłe ruchliwe korki. Dlatego tak ważne jest, żeby skały były pionowe i stały tuż nad wodą. Przez następnych kilka tygodni pływają z ojcem, a on pracowicie je karmi i chroni.

Nurniki są podobne, ale nieco mniejsze. Mają wspaniałe krwistoczerwone łapy, lśniąco czarne ciała i wyraźne białe lusterka na skrzydłach. Są ciekawskie i często pływają w pobliżu zodiaków.

Mewy trójpalczaste to najliczniejsze mewy w tej części świata. Występują w całej Arktyce, dolatują nawet na sam biegun. One też gnieźdzą się na skalnych półkach, ale w przeciwieństwie do nurzyków i nurników przynajmniej budują jakieś gniazda. Roczne ptaki charakteryzują się przepięknym wzorem na plecach – ma kształt czarnej litery M rozciągniętej wzdłuż obu skrzydeł. Teraz znów jest ich dużo, ale w XIX wieku zostały niemal całkiem wybite: wśród eleganckich dam Europy i Ameryki nastała wtedy moda na skrzydła młodych mew przyczepione do kapelusza. Dziesiątki tysięcy rocznych ptaków w męczarniach straciły życie, bo łowcy nie zawracali sobie głowy ich zabijaniem, tylko ucinali im skrzydła i skazywali biedne kadłubki na powolne konanie w imię ludzkiej próżności. Na szczęście ta kosztowna moda minęła.

Ogromne mewy blade są tu wiodącymi drapieżnikami. Na gniazda wybierają nieco większe, pokryte trawą półki na obrzeżach kolonii. Porywają pisklęta innych ptaków jak z dwudziestoczterogodzinnych delikatesów. Dorosłe ptaki zresztą też chwytają.

No i jeszcze fulmarty, jedyne petrele w tej części świata. Są wielkości sporych mew, ale mają bardziej smukłe skrzydła i mniej kontrastowe ubarwienie. To doskonali lotnicy – potrafią żeglować na ogromnych dystansach, łapiąc wiatr odbijający się od fal. Prawie nie machają przy tym skrzydłami. Często towarzyszą statkom, wykorzystując tworzone przez nie prądy powietrza, i wtedy można z bliska podziwiać ich subtelne szare pióra, czarne ciekawskie oczy i dzioby z charakterystyczną rurką nozdrzy.

Tak, tutejsze ptaki są fascynujące. Muszę jednak przyznać, że choć jestem biologiem, najbardziej ciekawi mnie skała, na której mieszkają. Rubini jest jednym z najlepszych przykładów bazaltowych kolumn na świecie. Trudno uwierzyć, że regularne czarne słupy skryształizowanej lawy są dziełem natury. Wyglądają, jakby wyszły spod dłuta rzeźbiarza. Równoległe i powtarzające się wzory robią niesamowite wrażenie, zwłaszcza w miejscach, gdzie stygnąca lava skręcała się i wiła. A to wszystko pięknie porasta kontrastujące podłoże: jaszkrawożółte i czerwone porosty. Możemy się temu przyjrzeć bardzo dokładnie, bo nasz doświadczony kapitan, wykorzystując bezwietrzną pogodę i wodę spokojną jak rozlany ołów, podpływa coraz bliżej. Skała góruje nad nami i naprawdę trudno pamiętać, że zdecydowanie lepiej ust nie rozdziawiać, chyba że się chce, aby któryś z ptaków życzył nam szczęścia. Dzieli nas dosłownie parę metrów, a mimo to statek wciąż bardzo powoli zbliża się do lśniącej, pionowej ściany. Oczywiście jeśli coś tak ostro wystaje z wody, to na ogół równie ostro pod nią znika, więc przy samej skale wciąż jest bardzo głęboko. Choć to wiem, przyglądam się naszym manewrom z rosnącym podziwem i zdumieniem. Zostały jeszcze dwa metry, metr... W końcu stajemy, i to tak blisko, że zebrani na czubku dziobu turyści robią sobie pamiątkowe zdjęcia, dotykając czarnej powierzchni! To jeden z najbardziej precyzyjnych manewrów, jakie widziałem. Zebrany na dziobie tłum głośnym krzykiem wyraża podziw i wdzięczność.

Ptaki krzyczą, bazaltowe załomy zachwycają, ale pora ruszać dalej. Powoli zaczynamy odpływać i po kilkunastu minutach znowu zanurzamy się w mgłę. Ogromna czarna skała znika za nami, ptaki cichną, a ja nagle nie jestem pewien, czy to wszystko nie było jakimś przedziwnym snem. Ale nie – białe ptasie pamiątki na rękawach mojej kurtki dobitnie świadczą o tym, że naprawdę widzieliśmy to niesamowite miejsce.



Tundra na Grenlandii kąpie się w słońcu

Przed nami ostatnie z zaplanowanych miejsc, odwiedzane właściwie przez wszystkich, a zarazem chyba moje ulubione na Ziemi Franciszka Józefa – przylądek Flora na wyspie Nortbruk.

To miejsce dosłownie tętni życiem i historią. Nazwa przylądka to hołd dla wyjątkowej bujności tutejszej roślinności, a tę z kolei zawdzięczamy ptasiej kolonii na zboczu wzgórza, z której przez cały sezon spływają tony pożywnego guana. Trafiają na podmokłą równinę u stóp wzniesienia. To jedna z dwóch najżyźniejszych łąk archipelagu – druga znajduje się na przylądku Tegetthoff, ale tam nie bywam tak często.

Oczywiście w tundrze wysokiej Arktyki żyzna łąka wygląda inaczej niż na Mazowszu. Ale jest tu aż gęsto od intensywnie zielonych mchów, poprządkanych kolorowymi kępami żółciutkich jaskrów lodnikowych, nieco bledszych maczków arktycznych, ciemnoróżowej skalnicy i kwitnącej na biało warzuchy. Jest tu nawet jedno drzewo – malutka wierzba polar-na. A przez dywany bujnej wegetacji przeciskają się urokliwe strumyki. Przyznaję, że robią się trochę mniej urokliwe i odrobinę słabiej kuszą orzeźwiająca wodą, gdy sobie uświadomi-my, że to właśnie one niosą wszystkie te ptasie dary. Wyglądają za to pięknie i ani trochę nie śmierdzą.

Cumujemy po południu. Najpierw trzeba się wspiąć na niewysoką skarpe, aby już po chwili móc podziwiać arktyczną tundrę w jej najlepszej odsłonie. Nad nami góruje kolorowe i hałaśliwe o tej porze roku zbocze. Poniżej leży małe jezioro, kilka historycznych pozosta-łości i grupka ogromnych głazów. Podczas pierwszej wizyty przy jednym z nich znalazłem świeży odcisk niedźwiedziej łapy. Nigdy wcześniej nie obejrzałem śladu niedźwiedzia tak

dokładnie. Był ogromny. Nasze dłonie, a nawet stopy w solidnych kaloszach ginęły w nim jak w błotnistym kraterze, którego krawędź zaznaczały długie i ostre pazury. Co innego oglądać niedźwiedzia z pokładu statku lub zodiaka, a co innego przekonać się namacalnie, z jak wielkim drapieżnikiem ma się do czynienia. Ale jak to często bywa z pierwszymi razami, potem już nigdy nie miałem okazji oglądać aż tak przerażającego tropu. Kiedy obejrzałem ten, wyrobiłem sobie zdanie o niedźwiedziach raz na zawsze. Na zawsze nappełnił mnie nabożnym niemal szacunkiem.



Niedźwiedzie polarne mają naprawdę ogromne łapy, Ziemia Franciszka Józefa

Przyroda jest tu imponująca, ale mimo wszystko najciekawsza wydaje mi się historia tego miejsca. Dzięki połyni rozciągającej się u wybrzeży przylądka można tu dotrzeć właściwie o każdej porze roku. Poza tym jesteśmy w południowej części archipelagu, gdzie klimat jest najłagodniejszy. Na północnych krańcach, w okolicy Wyspy Rudolfa, temperatury dodatnie występują tylko przez jakieś czterdzieści dni w roku, tu zaś można się spodziewać aż sześćdziesięciu dni arktycznych upałów, kiedy od zera dzieli nas kilka stopni. Wbrew pozorom to ogromna różnica. Dlatego w historii odkrywania Ziemi Franciszka Józefa przylądek Flora odegrał niezwykle ważną rolę.

Jako pierwsi odwiedzili go w 1880 roku członkowie brytyjskiej ekspedycji pod wodzą Benjamina Leigh Smitha. Rok później zimowała tu załoga jachtu „Eira”, który został zgnieciony przez lód niedaleko przylądka. Członkowie wyprawy z uratowanych materiałów skonstruowali zimowe kwatery, ale bazę, Flora Cottage, postawili zbyt blisko brzegu i jej pozostałości osunęły się z czasem do morza. Najsolidniejsze schronienie, nazwane Elmwood, zbudowali członkowie wyprawy Jacksona i Harmswortha, którzy w latach 1894–1897 uczy-

nili to miejsce swoją główną bazą. W roku 1898 większość ich budynków zabrała ekspedycja Wellmana: skorzystali z nich na przylądku Tegetthoff. W późniejszych latach kolejne wyprawy albo zostawiały tu schronienia i zapasy, albo je wykorzystywały, i w końcu w roku 1914 dotarli tu Walerian Ałbanow i Aleksandr Konrad, jedyni ocalali z pokładu „Świętej Anny”. To jedna z najciekawszych historii z tej części Arktyki.

„Święta Anna” w 1912 roku wyruszyła na podbój Przejścia Północno-Wschodniego. Już w październiku utknęła w lodzie i rozpoczęła swój długi i dramatyczny dryf. Załoga przez prawie półtora roku walczyła o przetrwanie. W końcu część uznała, że jedyną ich szansą jest przejście po lodzie, że tylko w ten sposób mogą dotrzeć do lądu. Dwadzieścia osób pozostało na statku i nikt więcej o nich nie słyszał. Trzynastu marynarzy prowadzonych przez nawigatora Ałbanowa wyruszyło w morderczy marsz. Szli i umierali na lodzie i w mroźnym morzu. Po trzech miesiącach, po pokonaniu prawie czterystu pięćdziesięciu kilometrów, do celu doszło tylko dwóch. Gdy dotarli na przylądek Flora, znaleźli mnóstwo zapasów i wykorzystali pozostałości po poprzednich obozach, aby przetrwać zimę. Pod koniec lipca 1914 roku na resztkach paliwa dopłynął do nich statek „Siedow”. Marynarze porąbali ich schronienia na opał i zabrali ich szczęśliwie do domu.

Najsławniejszą historię związaną z tym miejscem zostawiam sobie na deser. Z przylądkiem Flora nierozzerwalnie wiąże się postać Fridtjöfa Nansena, którego powszechnie uważa się za ojca współczesnej eksploracji. Niemniej aby opowiedzieć o jego przygodzie na Ziemi Franciszka Józefa, musimy się trochę cofnąć w czasie.

Był jednym z pierwszych, którzy zamiast walczyć z polarną przyrodą, postanowili dostosować się do jej reguł i współpracować. Dzięki temu dokonał wielkich czynów i moim zdaniem stał się jednym z najwybitniejszych ludzi w historii. Jego życiorys mógłby z powodzeniem wypełnić kilka heroicznych biografii. Wystarczy wspomnieć o Pokojowej Nagrodzie Nobla, podwalinach neurobiologii i oceanografii, nansenowskim paszporcie dla emigrantów, do dziś używanym na świecie, czy nansenowskich saniach i palnikach, którymi wciąż się posługujemy w ekstremalnych warunkach. To on je wymyślił.

A wymyślił to wszystko, kiedy się przygotowywał do pierwszej ze swoich słynnych wypraw – do przejścia przez Grenlandię (oczywiście jako pierwszy człowiek) – w 1888 roku. W odróżnieniu od poprzedników nie ruszył z zachodniego, zamieszkanego brzegu największej wyspy świata (w obawie, że pokusa powrotu do cywilizacji będzie zbyt silnie przemawiać za odwrotem), tylko z prawie niedostępnego wschodu. Jedyną szansą na przeżycie było dotarcie na drugi brzeg. Świadomie postawił się w sytuacji, w której instynkt przeżycia musiał popchnąć go do przodu – i dopiął swego. To podejście zdefiniowało jego filozofię jako zdobywcy. Świetnie też ilustruje koncepcję wyprawy najważniejszej, czyli rozpoczętej w 1893 roku próby dotarcia na biegun północny na pokładzie statku „Fram”.

Przede wszystkim zdawał sobie sprawę z tego, że z lodem nie wygra, choćby miał najsilniejszą flotyllę. Postanowił więc lód wykorzystać. W 1884 roku poznał teorię Henrika Mohna, norweskiego meteorologa, który na podstawie nielicznych artefaktów znalezionych na wybrzeżu Grenlandii, pochodzących z zatopionego u wybrzeży Syberii statku „Jeannette”, stwierdził, że lód oceanu arktycznego krąży zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Nansen doszedł do wniosku, że wystarczy utknąć w lodzie gdzieś na dalekim wschodzie, a dryf sam zanieś statek na biegun. Zaprojektował więc swój statek tak, żeby uwięziony w lodzie nie opierał się jego miazdzącej sile (co żadnemu statkowi się nie udało), tylko dzięki okrągłemu

przekrojowi kadłuba pod wpływem ciśnienia był wypychany. Oba te pomysły zostały skrytykowane przez współczesnych. Uznano je za nierealistyczne, a całemu przedsięwzięciu wrócono spektakularną klęskę. W obu przypadkach Nansen miał rację, przynajmniej do pewnego stopnia. „Fram” doskonale zniósł trzyletnie okowy lodu, ale ocena trasy lodowego dryfu okazała się niedokładna i nazbyt optymistyczna. Kiedy więc stało się jasne, że w ten sposób w sam biegun nie trafią, Nansen wraz z kolegą, Hjalmarem Johansenem, w marcu 1895 roku opuścili statek. Postanowili przemierzyć lodowe pustkowie na nartach i kajakami. W zależności od podłoża albo wieźli kajaki na saniach, albo odwrotnie. Wiedzieli, że już nigdy nie odnajdą dryfującego statku, więc znów to wola życia stała się ich jedyną motywacją.

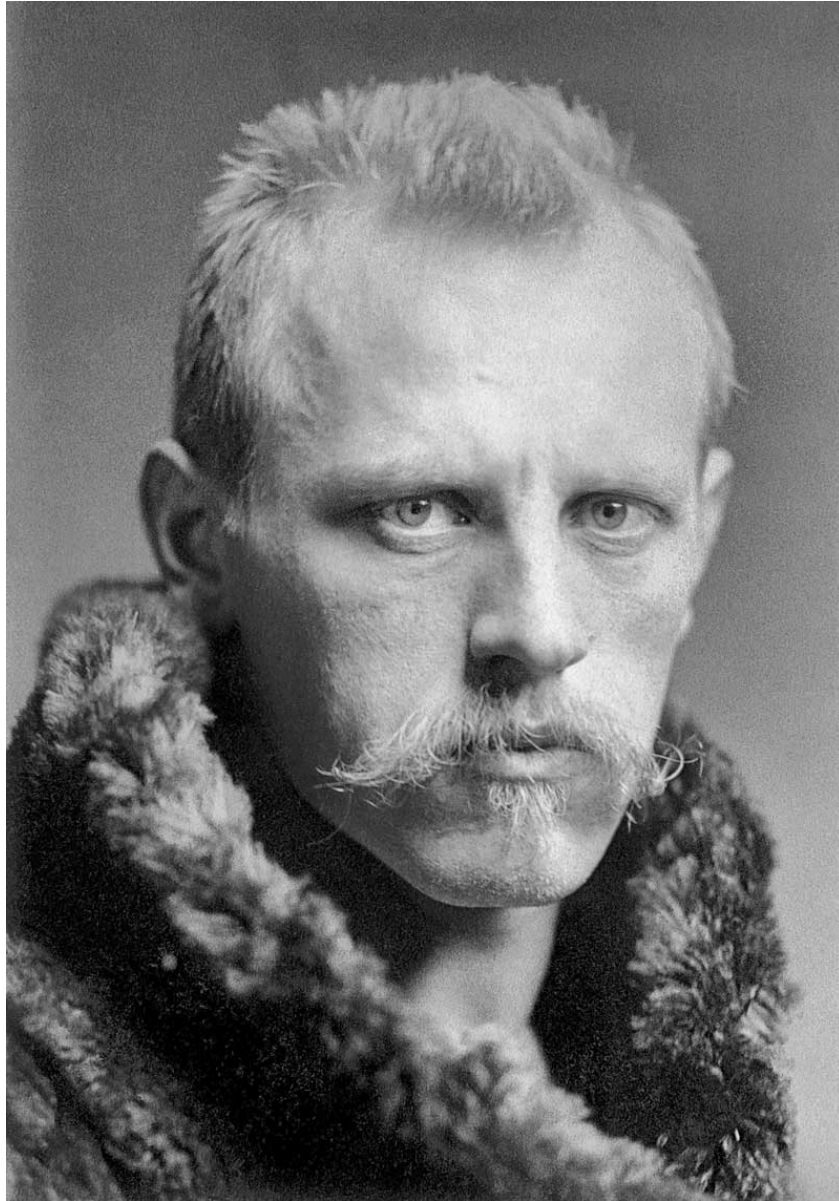


Spotkanie Nansena z Jacksonem

Epicka podróż dwóch śmiałków trwała do końca sierpnia – po ustanowieniu nowego rekordu północnego i odwróceniu, kiedy się okazało, że teren jest nie do przebycia, w końcu dotarli na stały ląd – na Ziemię Franciszka Józefa. Spędzili tu zimę i dopiero w maju następnego roku mogli ruszyć dalej. I tutaj ta historia robi się jeszcze bardziej niesamowita. Siedemnastego czerwca, gdy zatrzymali się w pobliżu przylądka Flora, by naprawić zniszczony przez morsa kajak, nagle usłyszeli psy. Chwilę później, ku zdumieniu obu stron, spotkali Fredericka Jacksona i jego towarzyszy. Przedziwnym zrzędzeniem losu wśród bezludnych wysp dalekiej Arktyki spotkali innego podróżnika, członka innej wyprawy! To spotkanie dużo ciekawsze i dużo dziwniejsze niż odnalezienie Livingstone’a przez Stanleya ćwierć wieku wcześniej. Nastąpiła tradycyjna wymiana uprzejmości, po czym Jackson zapytał:



„Czy nie jest pan Nansenem?”, a słynny Norweg potwierdził „Tak, to ja, Nansen”. Dwa miesiące później wrócili wreszcie do kraju: minęły trzy lata od ich wyjazdu i nikt nie spodziewał się ich znowu zobaczyć.



Fridtjof Nansen

Nansen natychmiast stał się żywą legendą. Nie tylko wykazał się hartem ducha i ciała, ale też wbrew autorytetom okazał się kimś, kto wierzył w siebie i zufał swoim przekonaniom. Jego statek wraz z resztą załogi wrócił do Norwegii tydzień po nim, dodryfowawszy wcześniej niemal równie daleko na północ, jak dotarł sam szef wyprawy. Jules Verne przesłał mu gratulacje, a Sigmund Freud zauważył z przekąsem, że wszystkie jego pacjentki marzą o norweskim zdobywcy. Sława nie uderzyła jednak żadnemu z podróżników do głowy. Ich godne naśladowania podejście najlepiej ilustrują słowa Johansena: stwierdził, że stawili czoło siłom Przyrody, by dowiedzieć się, że „ludzkość jest marnym insektem – a mimo to cudownie jest

być istotą ludzką!”. Dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy wszyscy potrafili myśleć w ten sposób.

Przylądek Flora to ostatni punkt naszej podróży przez Ziemię Franciszka Józefa. Przed wieczorem wracamy na statek i wypływamy na Morze Barentsa. Przed nami Murmańsk. Na zachodzie otwarty ocean ciągnie się aż do norweskiego archipelagu Svalbard, odległego o prawie trzysta kilometrów.



Mapa Abrahama Orteliusa z 1573 roku przedstawiająca północny Atlantyk

## 6. Gwiazda Północy

Wokół statku tak ciasno było od wielorybów, że część wpadała na nasze liny, inne na statek, a któryś znów uderzył w ster. Jeden zaległ pod naszym dziobem i spał tam dłuższą chwilę.

Jonas Poole, dziennik z wyprawy na Spitsbergen, 1612

Historia Svalbardu, archipelagu leżącego sześćset pięćdziesiąt kilometrów na północ od Norwegii, zaczyna się w pobliżu równika. I nie chodzi o pochodzenie skał, dryf kontynentalny, Gondwanę i tym podobne. Wprawdzie svalbardzki kawałek ziemskiej skorupy jeszcze na przełomie syluru i dewonu znajdował się blisko równika, by później stopniowo przesunąć się na północ (przeważnie nie tworzył wysp, tylko chował się pod powierzchnią oceanu), ale i bez tego archipelag ów nie byłby sobą, gdyby nie procesy zachodzące w tropikach współcześnie.

A konkretnie – w ciepłych obszarach Atlantyku. To tu, płynąc ze wschodu na zachód, spotykają się dwa wielkie prądy oceaniczne: południowo- i północnorównikowy. Każdy z nich napędzany jest potężnym wirami przenoszącym wody na swojej półkuli. O kierunkach ich ruchu decyduje siła Coriolisa, wynikająca z obrotu Ziemi wokół własnej osi. Na półkuli południowej wir zagarnia wody w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara: płyną na południe wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej, chłodzą się w pobliżu Antarktydy i ponownie ogrzewają w czasie wędrówki na północ, w okolicach Afryki, by wzdłuż równika wrócić na zachód. Część południowego prądu równikowego łączy się ze swoim północnym odpowiednikiem, dzięki czemu ogromna masa ciepłych wód wędruje na północ, wzdłuż wybrzeży obu Ameryk, jako część wiru północnego, który się kręci zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ciepłe wody wpadają do Zatoki Meksykańskiej, po czym uchodzą z niej, kierując się dalej na północ i wracając na wschód jako prąd, który nazywamy Gólfströmem.

To trochę uproszczony obraz. Chodzi po prostu o to, że ocean nie jest tylko wielką kałużą, w której woda zwyczajnie sobie jest. Prądy oceaniczne przemieszczają się w różne strony i na różnych głębokościach. Są miejsca, gdzie pod powierzchnią wody płyną w jedną stronę, a kilkaset metrów niżej – w przeciwną. Woda może być gęstsza lub rzadsza, a co za tym idzie – cięższa lub lżejsza, zależnie od stopnia zasolenia i temperatury. Różne jej warstwy i poszczególne prądy wcale niekoniecznie się ze sobą mieszają, co oznacza, że tak zwana kolumna wody nie jest jednolita, jak kranówka w szklance. Największą gęstość woda ma w temperaturze czterech stopni. Jest też wtedy najcięższa. Dlatego Gólfström prześlizguje się po powierzchni chłodniejszych wód, płynie niczym ogromna rzeka, szeroka na sto kilometrów, głęboka na kilometr – z prędkością ponad stu kilometrów na dobę. Gdy dociera do Nowej Fundlandii, styka się z arktycznymi wodami Morza Labradorskiego, a wtedy różnica temperatury wód na niewielkiej przestrzeni może sięgnąć nawet piętnastu stopni Celsjusza!

Dlatego granice prądu są na ogół otoczone powstającą nad wodą mgłą, w której znikają płynące z Grenlandii góry lodowe, by już nigdy się nie pojawić – w ciepłej wodzie topią się jak kostki lodu wrzucone do drinka. Płynąc wciąż na północny wschód, prąd przeciska się między Szkocją a Islandią i dociera do Norwegii. To dzięki niemu mamy w Europie klimat cieplejszy niż na tych samych szerokościach geograficznych na kontynencie amerykańskim (dlatego Arktyka zaczyna się tam dużo „niżej” niż u nas). Tu Golsztrom się rozdziela: jedno z odgałęzień omywa brzegi Półwyspu Skandynawskiego, drugie zaś kieruje się na otwarte morze, w stronę Svalbardu.

I tu dzieje się coś ciekawego. Ciepłe i słone wody z tropików stykają się z lodowym pakiem. Ochładzając się, stają się gęstsze i cięższe od wód arktycznych, i spływają pod nie. Ale choć masy wodne nie są jednolite, uproszczeniem byłoby również wyobrażać sobie, że przesuwały się obok siebie jak wielkie glisty. Gdy prądy się o siebie ocierają, gdy jeden pod drugim tonie, ich ruch, zwłaszcza w strefach styku, jest skomplikowany i chaotyczny i zawsze dochodzi do różnych zawirowań i częściowego mieszania. Svalbard leży na szelfie kontynentalnym, więc wody wokół niego są płytsze od głębin otwartego oceanu. Kiedy masy wody się ruszają, dochodzi do wzburzenia dennych osadów, które często docierają do powierzchni w procesie określanym jako upwelling, czyli pionowy ruch wody. Denne osady zawierają różnorodne minerały. Wiele z nich jest substancjami odżywczymi, niezbędnymi dla rozwoju planktonu. Dlatego w strefach takiego wznoszenia się mas wodnych życie biologiczne wybucha z niezwykłą siłą. Mnożą się planktoniczne rośliny, dzięki czemu planktoniczne zwierzęta mają co jeść. One z kolei są pokarmem dla licznych bezkręgowców i ryb, te zaś zjadane są przez ogromne rzesze ryb drapieżnych, fok, morsów, ptaków i wielorybów. Dlatego wody wokół Svalbardu należą do najżyźniejszych na świecie. I jeszcze całkiem niedawno dosłownie tętniły życiem.

A potem zjawiliśmy się my.

Nikt nie wie na pewno, kto z ludzi dotarł tu jako pierwszy. Kilku skandynawskich uczonych przekonuje, że wikingowie, ale brak na to jednoznacznych dowodów. Wprawdzie w XII wieku jeden z ich gnanych sztormem statków dotarł do lądu, który nazwali Svalbard (czyli zimne wybrzeże), ale prawdopodobnie były to wybrzeża Grenlandii lub wyspa Jan Mayen, leżąca czterysta kilometrów na północ od Islandii. Z kolei historycy radzieccy, a dzisiaj rosyjscy, twierdzą, że już w połowie XVI wieku docierali tu Pomorcy znad Morza Białego. Tego również nie da się potwierdzić. Pomorcy, owszem, silnie zaznaczyli na archipelagu swoją obecność, ale zaczęli się tu pojawiać raczej dopiero w wieku XVII. Pierwszymi niekwestionowanymi odkrywcami Svalbardu byli członkowie wyprawy Willema Barentsa, którzy – w poszukiwaniu morskiej drogi do Azji – dopłynęli tu w 1596 roku. Barents był pod wrażeniem pełnej dramatyzmu topografii i nazwał odkryty przez siebie ląd Spitsbergen („szpiczaste góry”). Ta nazwa funkcjonowała bardzo długo, a dziś odnosi się do największej wyspy w całej grupie.

Odkrywcy wkroczyli na wyspy jak na ziemię obiecaną. Zebrali tysiące ptasich jaj i gdy lód nie pozwolił im opłynąć Svalbardu od północy, wyruszyli w kierunku Nowej Ziemi. Także – jako pierwsi Europejczycy w Arktyce – zmuszeni byli przezimować. Czterech członków wyprawy umarło z zimna, na szkorbut (z Barentsem włącznie) bądź zostało rozszarpanych przez niedźwiedzie, ale dwunastu wróciło do Europy, przynosząc wieści o niezwykle bogactwie życia odkrytego archipelagu. I tak zaczęło się coś, co Robert McGhee w książce *The*

*Last Imaginary Place. A Human History of the Arctic World* [Ostatnie wyśnione miejsce. Ludzka historia arktycznego świata] nazywa gwałtem na Spitsbergenie.

Na pierwszy ogień poszły morsy. Dla Europejczyków, którzy ich nigdy wcześniej nie widzieli, zabijanie ich początkowo wcale nie było proste. Stephen Bennet, kapitan statku „Speed”, który jako pierwszy po Barentsie dotarł tu w roku 1604, wysłany przez angielską Kompanię Moskiewską (wówczas największą firmę handlową na świecie), tak opisuje pierwsze doświadczenia (za Robertem McGheem):

Wydało nam się bardzo dziwne zobaczyć tak wiele potworów morskich. Leżały w stertach – jak wieprze. W końcu zaczęliśmy do nich strzelać, nie wiedząc, czy przybiegną szybko do nas i się na nas rzucą, czy nie. Niektóre, zranione w mięśnie, podnosiły tylko głowy i kładły się z powrotem. Niektóre ginęły po pierwszym strzale, a niektóre po pięciu lub sześciu strzałach szły do morza. Taką mają niewiarygodną siłę. Kiedy zużyliśmy wszystkie kule i cały proch, zaczęliśmy przestrzeliwać im oczy małą śruciną. Potem zachodziliśmy je od ich ślepej strony i odrąbywaliśmy im łby siekierami. Pomimo starań z ponad tysiąca zabiliśmy jedynie piętnaście.

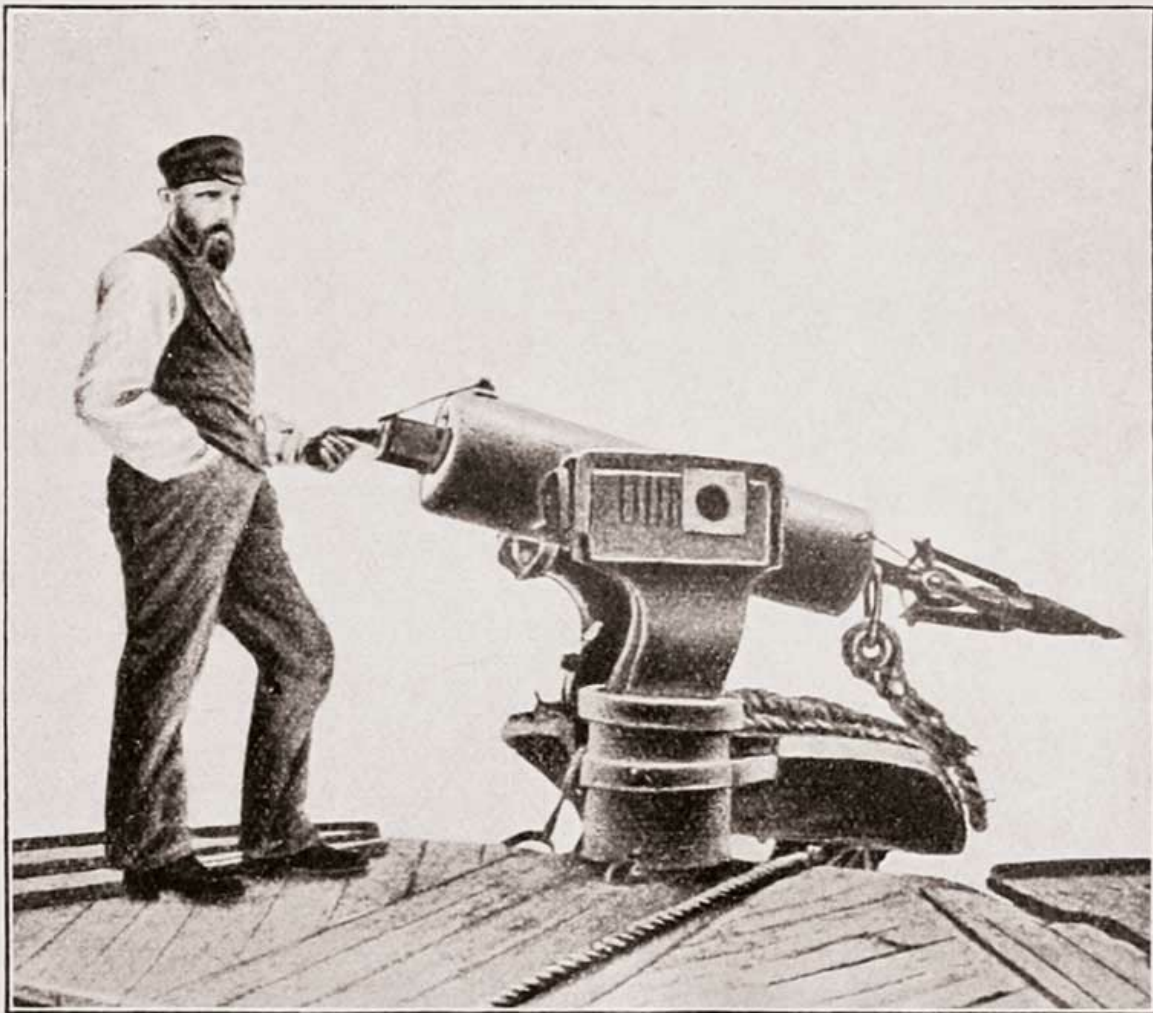
Niestety ludzie uczą się szybko. Rok później ludzie Benneta nauczyli się zabijać morsy lancami, a w 1606 doszli do takiej wprawy, że w ciągu sześciu godzin zabili ich prawie siedemset. Wytopili z nich dwadzieścia dwie tony oleju, a kłami napełnili trzy duże beczki.

W tamtych czasach to właśnie oleju najbardziej chciano od morskich ssaków. Ich przetopiony i oczyszczony tłuszcz, normalnie chroniący zwierzęta przed zimnem, służył do wyrobu mydła i leków, był stosowany przy produkcji ubrań i wyrobów skórzanych, oliwił drewniane maszyny i palił się w coraz liczniejszych lampach. Do niektórych z tych zastosowań używano wcześniej oliwy i tłuszczu zwierząt domowych, ale rozwijającej się cywilizacji te źródła przestały wystarczać. Dlatego na olej przetapiano wszystko, co dało się złapać. Na Svalbardzie najpierw były to morsy i niedźwiedzie. Ich rzeź trwała ponad trzysta lat. O skali, a jednocześnie marnotrawstwie tamtych polowań świadczy fragment książki sir Jamesa Lamonta z roku 1858, *Seasons with Sea Horses, or Sporting Adventures in the Northern Seas* [Lata z końmi morskimi, czyli sportowe przygody na północnych morzach]. Łowy na morsy, zwane czasem morskimi końmi, opisuje tak:

W sierpniu 1852 roku dwa małe słupy [rodzaj żaglowca z pojedynczym masztem – M.G.] zbliżyły się do wyspy i odkryły odpoczywające tam liczące wiele tysięcy osobników stado morsów. Załogi czterech łodzi (szesnastu ludzi) przystąpiły do ataku. Ogromna masa morsów leżała w piaszczystej zatoczce, z każdej strony otoczonej skałami, z małą, pokrytą mchem równiną u góry, do której dla tych niezgrabnych zwierząt zatoka była jedynym wygodnym dojściem. Łodzie wylądowały w niewielkiej odległości od celu i szesnastu ludzi, skradając się wzdłuż brzegu, znalazło się pomiędzy morzem a zatoką pełną morsów. Natychmiast zaczęli dźgać zwierzęta, które mieli najbliżej. Mors, choć tak aktywny i zaciekły w wodzie, jest bardzo nieporadny i bezbronny na lądzie. Te z przodu szybko padły pod ciosami lanc. Przejście do morza wkrótce zostało zablokowane przez martwe i umierające morsy. Prześiąknięci krwią i wyczerpani z wysiłku – ich lance od ciągłego używania zrobiły się tępe i bezużyteczne – wrócili na statek, zjedli obiad, naostrzyli lance i wrócili, żeby zabić dziewięćset morsów. Nie mogąc na swoich słupach zawieźć wszystkich z powrotem do Norwegii, pospiesznie odpłynęli do kraju z częścią łupu i wrócili pod koniec sezonu. Okazało się, że wyspę odciął lód i setki trupów byli zmuszeni zostawić.

Autor książki zachwyca się też potęgą więzi między morskimi matkami a ich młodymi. Opisuje, jak umierająca samica wciąż osłania swoje dziecko. To od niego dowiadujemy się, jak najłatwiej przywabić stado: zacząć dręczyć morsiątko. I choć pisze, że w wyniku polowań „liczebność morsów gwałtownie się zmniejsza”, nie przeszkadza mu to przykładać do tego ręki. Widać tu, niestety, jaki jest stosunek człowieka do przyrody: nawet jeśli teraz się zmienia, to bardzo powoli.

Łowcy fok i morsów wracali do domów z wieściami – jak zacytowany na początku Jonas Poole – o zamieszkujących wody Svalbardu ogromnych stadach wielorybów. A to właśnie wieloryby stanowiły najlepsze źródło cennego tłuszczu. Nic więc dziwnego, że bardzo szybko zjawily się w okolicy statki wielorybnicze. Kompania Moskiewska wysłała pierwszy z nich na rekonesans w 1611 roku. Choć statek pływał pod angielską banderą, wielorybnikami na jego pokładzie byli Baskowie. Jako jedyni mieli wtedy doświadczenie w polowaniu na morskie kolosy. Od późnego średniowiecza tłuszcz wielorybów był dla nich ważnym źródłem dochodu. Gdy na początku XVI wieku wytrzebili wieloryby zamieszkujące ich rodzimą Zatokę Biskajską, zaczęli szukać zdobyczy w okolicach Labradoru i Nowej Fundlandii. Okazali się tak sprawni, że już pod koniec stulecia również tamtejsze wody opustoszały, a oni ruszyli dalej. Choć do tej pory to oni byli największą wielorybniczą potęgą Europy, inne narody szybko nauczyły się od nich technik zabijania i przetwarzania wielkich ssaków. Metody polowania na wale baskijskie okazały się też bardzo efektywne podczas polowań na ich północnych kuzynów, wieloryby grenlandzkie. Szacuje się, że na początku XVII wieku w wodach Svalbardu pływało ponad czterdzieści tysięcy tych łagodnych olbrzymów.



Harpunkanone eines norwegischen Walfangdampfers. Nach R. Dittmer, „Das Nordpolarmeer“, Hannover 1901.

Norweski harpunnik i statek wielorybiczny

Szczegółowy opis polowania na wieloryby przedstawił kilkadziesiąt lat później Frederic Marten w książce *Observations Made in Greenland and Other Northern Countries. The 1671 Whaling Expedition of the Jonas in the Whale* [Obserwacje poczynione w Grenlandii i innych krajach północy. Wyprawa wielorybiczna na „Jonas in the Whale” z roku 1671]. Przedstawione w niej techniki właściwie nie zmieniły się aż do drugiej połowy XIX wieku, kiedy wynaleziono wybuchające harpuny i wprowadzono szybkie statki pościgowe, dzięki czemu mordercza skuteczność wielorybich prześladowców wkroczyła na zupełnie nowy poziom. W wieku XVII zabijanie wielorybów było jednak ciężkim i niebezpiecznym zajęciem, wymagającym doświadczenia, siły i precyzji. Kiedy ze statku lub z brzegu wypatrzone wieloryba, spuszczano na wodę łodzie. Załogę stanowiło sześciu lub siedmiu mężczyzn. Na początku wszyscy wiosłowali, żeby się znaleźć jak najbliżej ofiary. Gdy już znaleźli się blisko, na specjalnej platformie wzniesionej nieco nad dziobem stawał harpunnik, jeden z najbardziej

doświadczonych członków załogi. Czekali w skupieniu, aż wieloryb odetchnie, wypuszczając przez nozdrza chmurę wilgotnego powietrza. Ponieważ towarzyszy temu głośny dźwięk, mogli się zbliżyć na tyle, żeby ugodzić ofiarę. Najlepiej za nozdrzami, gdzie harpun mógł się wbić w grubą warstwę tłuszczu i w mięśnie. Harpun miał ostry, ciężki szpic ze strzałkowatymi wyrostkami. Ich drugi koniec był wydrążony, dzięki czemu zawsze spadały ostrzem do dołu, głęboko wnikały w ciało i dobrze się trzymały. Oszalałe z bólu zwierzę rzucało się do ucieczki, na ogół znikając pod wodą. Do harpuna doczepiano lekką i mocną linę z konopi. Do jej końca przywiązywano kolejną, leżącą w precyzyjnych zwojach na dnie łodzi. Zarówno przed akcją, jak i w jej trakcie lina musiała być ułożona bardzo dokładnie, żeby móc się swobodnie i szybko rozwijać. Nie mogła się splątać, bo groziłoby to zarówno myśliwym, jak i samej łodzi. Uciekający wieloryb zabierał swych prześladowców na karkołomną przejażdżkę, w późniejszych wiekach zwaną przez amerykańskich łowców saneczkową jazdą z Nantucket – dla upamiętnienia miasta będącego stolicą amerykańskiego wielorybnictwa. Lina wciąż się rozwijała, a łódź pędziła po wodzie ciągnięta przez walczącego olbrzyma. Drugim co do ważności i doświadczenia członkiem załogi był sternik. W szalonym pędzie musiał ustawiać łódź tak, żeby lina rozwijała się na dziobie. Gdyby opadała z burty, łódź mogłaby się przewrócić. Nasmołowana lina tarła o burtę dziobową tak szybko, że drewno czasem stawało w płomieniach. Dlatego kolejny członek załogi odpowiadał właśnie za liny. To on związał je na dnie, on wybierał linę, kiedy wieloryb przestawał ciągnąć, oceniał tempo wyciągania liny z łodzi i dowiazywał kolejne odcinki, a także nieustannie zwilżał specjalnym mopem miejsce tarcia, żeby zapobiec pożarowi. Na tym etapie pozostali członkowie załogi musieli tylko siedzieć i starać się nie wypaść za burtę. Po kilku minutach ranny i zmęczony ciągnięciem ciężkiej liny i łodzi wieloryb wynurzał się, żeby zaczerpnąć oddechu, i wtedy, jeśli udało im się dopłynąć w pobliże na czas, łowcy z kolejnej łodzi wbijali w niego drugi harpun. Historia się powtarzała, choć jazda stawała się coraz wolniejsza, a przerwy na oddech coraz częstsze. Zależnie od tego, w co trafili, od kondycji zwierzęcia i od tego, ile krwi straciło, walka mogła trwać nawet kilka godzin. Zdarzało się, że źle wbity harpun wysuwał się z ciała ofiary albo lina w coś się plątała i wieloryb dawał radę się uwolnić. Czasem też uciekające zwierzę wpływało w gęsty lodowy pak lub między skały i linę trzeba było przeciąć, żeby nie rozbić łodzi. Jeśli jednak wszystko szło po myśli wielorybników, umierający z bólu i wyczerpania wieloryb wynurzał się w końcu i zostawał na powierzchni. Posłuszni sternikowi wioślarze podpływali do ofiary, a harpunnik wielokrotnie dźgał ją długą lancą. Jeśli jedna wyrwała mu się z rąk, brał kolejną – na każdej łodzi było ich kilka. W dorzynaniu zdobyczy brały udział również załogi innych łodzi. Zdarzało się, że wszystkie lance ze wszystkich łodzi tkwiły w ciele wciąż konającego olbrzyma, wyrzucającego z nozdrzy krwawą plwocinę. Ten etap polowania również był niebezpieczny, ponieważ łodzie znajdowały się w bezpośredniej bliskości ogromnego zwierzęcia, które jednym ruchem ogona lub płetwy mogło łódź przewrócić lub rozbić. Bezpieczeństwo załogi zależało od siły i sprawności wioślarzy, a także trafności wydawanych przez sternika komend. Po śmierci duże i tłuste wieloryby grenlandzkie na ogół unosiły się na powierzchni. Chudsze osobniki czasem tonęły i zarówno życie tych wspaniałych zwierząt, jak i cały wysiłek jego zabójców szły na marne. Tylko część, kiedy kilka dni później procesy rozkładu napełniały ich ciała gazem, znów wypływała i była znajdowana przez inne załogi.

Ówczesna technologia nie pozwalała na obróbkę schwytanego wieloryba na pokładzie



statku. Zwłoki zwierzęcia holowano do brzegu. Tam w wielkich kotłach gotowano tłuszcz, a pozyskany olej wlewano do beczek. Na początku XVII wieku wykorzystywano wyłącznie tłuszcz i fiszbiny. Obdarte z nich trupy topiono w morzu.

Liczba statków wielorybnych w okolicach Svalbardu wzrastała lawinowo. W 1612 roku przypłynęły tu dwa brytyjskie okręty. Ich załogi zabiły łącznie siedemnaście wielorybów i wiele morsów, z których pozyskano sto osiemdziesiąt ton oleju. W lecie 1613 statków było już dwadzieścia sześć. W kolejnych latach polowanie na wieloryby stało się tak rentowne, że dla ochrony flot łowieckich zaczęto wysyłać z nimi okręty wojenne. Najostrzej konkurowały ze sobą Anglia i Holandia. Dochodziło nawet do regularnych potyczek. Rywalizowano nie tylko o łowiska, ale przede wszystkim o dogodne miejsca na przetwórnice, bo te musiały spełniać określone wymagania. Teren musiał być płaski, żeby się dało zbudować instalacje i domy. Konieczny był też dobry dostęp do morza i słodkiej wody, osłona przed wiatrem i falami i płytka plaża, żeby zabite zwierzęta dało się wyciągnąć na brzeg. Dobrze było, jeśli w pobliżu rosły szczawior alpejski i warzucha (zwana po angielsku *scurvy grass* – trawa szkorbutowa). Już wtedy dobrze znano ich przeciwskorbutowe właściwości, choć nie wiadano, że wynikają z dużej zawartości witaminy C. Przydawało się też łatwo dostępne wzniesienie, z którego można by wypatrywać wielorybów. W końcu ustalono, że Anglicy skupią się na południu Spitsbergenu, Holendrzy zaś zajmą północno-zachodni kraniec archipelagu. Tam też, na wyspie Amsterdam, w 1617 roku zaczęli budować najsłynniejszą z lądowych stacji wielorybnych, Smeerenburg (miasto tłuszczu). Stacje te funkcjonowały w lecie, choć w zimie 1633–1634 Holendrzy zostawili w Smeerenburgu na zimę siedmiu ludzi. Wszyscy przeżyli, więc rok później zostawiono kolejnych siedmiu. Ci jednak poumierali, prawdopodobnie na szkorbut (pierwszy statek, który dopłynął tam latem 1635 roku, znalazł siedem skulonych i zamrożonych ciał, bo szkorbut powoduje silne bóle brzucha). Po tej katastrofie Europejczycy na długo zrezygnowali z prób zimowania w Arktyce, choć zdarzało się, że załogom statków, które się rozbiły lub utknęły w lodzie, udawało się na Spitsbergenie przeżyć.

Według legendy Smeerenburg był małym miasteczkiem z wszelkimi wygodami – ze sklepami, warsztatami rzemieślniczymi, knajpami i domami publicznymi. Nawet Fridtjof Nansen pisał, że latem żyło tam aż dziesięć tysięcy ludzi, ale dokładne analizy danych historycznych i wykopaliska archeologiczne tego nie potwierdziły. Niemniej była to duża stacja. Ocenia się, że latem jej populacja sięgała dwustu osób. Wielu z nich dorobiło się fortuny, ale na pewno nie mieli łatwego życia. Wielu umierało wśród gryzących oparów dymu. Smagał ich wiatr, dręczyło zimno i choroby, ulegali też nierozłącznie związanym z ich pracą wypadkom. W samym Smeerenburgu znaleziono groby stu jeden mężczyzn.

Znacznie częściej od nich umierały jednak wieloryby. Utrzymywanie stacji nabrzeżnych było kosztowne. Co roku należało zabić co najmniej sto wielorybów, żeby do interesu nie dopłacać. W szczytowych sezonach lat trzydziestych XVII wieku w wodach Spitsbergenu operowało po dwieście pięćdziesiąt statków łapiących od dwustu pięćdziesięciu do siedmiuset pięćdziesięciu wielorybów rocznie – w rekordowych latach nawet ponad tysiąc. To nie mogło trwać długo. Wkrótce wytępiono wieloryby żyjące w svalbardzkich fiordach i cieśninach. W latach czterdziestych polowanie na nie ze stacji spuszcających łodzie z brzegu stało się praktycznie niemożliwe. Wielorybi tłuszcz coraz częściej wytapiano na pokładzie statku (można sobie wyobrazić, z czym się wiązało umieszczanie wielkich palenisk na drewnianym

pokładzie; długo trwało, nim tę sztukę opanowano) lub zabierano do Europy nieprzetworzonej. Smeerenburg został opuszczony około 1650 roku, ale flota operująca na otwartym morzu wokół Spitsbergenu rosła jeszcze przez pół wieku. Znamy dokładne dane z 1697 roku: porty Holandii i innych krajów hanzeatyckich opuściło 201 statków wielorybnych, zabito 1968 wielorybów, ich olejem napełniono 63 883 beczki. Wkrótce nawet w morzach wokół wysp zabrakło wielorybów. Łowcy przenieśli się dalej na zachód, do Cieśniny Davisa. W historii eksploatacji archipelagu otworzyła się nowa karta.

W tym samym 1697 roku przyplływają pierwsze statki rosyjskie. Ich załogi stanowili Pomorcy, żyjący głównie z rybołówstwa i myślistwa naród pochodzący z okolic Nowogrodu i Archangielska. Wieloryby za bardzo ich nie interesowały, stali się za to pierwszymi łowcami regularnie zimującymi na archipelagu. Zbudowali drewniane chaty. Ich głównym zajęciem było polowanie na lądzie, skąd przywozili bogate łupy w postaci futer niedźwiedzi, reniferów i lisów polarnych, a także kłów morsów, będących północnym odpowiednikiem kości słoniowej. Właściwie przez cały XVIII wiek mieli archipelag do dyspozycji. Ich stacje były małymi osadami, w których zimowało do dwudziestu ludzi. Do dyspozycji mieli chaty, saunę, kuźnię i magazyny. Ze wszystkich nacji to właśnie oni żyli i działali na Svalbardzie najdłużej. W ich dawnych chatach znajdowano szachownice i cegły, z których budowali piece i kominy. O ich przywiązaniu do rejonu świadczą słowa Martina Conwaya. Jego książka *No Man's Land* [Ziemia niczyja] z roku 1906 pozostaje najlepszym opracowaniem dotyczącym dawnej historii archipelagu. Píše tak:

Dla ludzi znad Morza Białego życie arktycznych myśliwych musiało się wiązać z dziwną fascynacją. Inaczej nie byłoby możliwe rekrutowanie ich rok po roku, pomimo niejednej tragedii, mimo odmrożeń i cudownych ocalań, które widzieli i których doświadczali. Pewnego roku wysłano tam osiemnastu ludzi. Dwunastu spośród nich umarło i tylko sześciu po okropnych doświadczeniach wróciło do domu, a jednak każdy z tych sześciu chciał tam przy pierwszej nadarzającej się okazji wrócić.

Najsławniejszym z nich był Iwan (wedle innych źródeł Ermil) Starostin, który spędził na Svalbardzie ponad trzydzieści zim. Przez ostatnie piętnaście lat – aż do śmierci w roku 1826 – nawet nie wracał do domu. Pomorcy bywali tu aż do połowy XIX wieku, kiedy ostatni z nich opuścili archipelag, czy to w wyniku przetrzebienia populacji morsów, czy przemian politycznych i ekonomicznych zachodzących w Rosji.

Na przełomie XVIII i XIX wieku zaczęli się pojawiać norwegscy myśliwi. Zintensyfikowali polowania. Choć kły morsów były dla nich główną zdobyczą, rozstawiali również pułapki na lisy i zabijali renifery i niedźwiedzie. Liczebność morsów, którym w wieku XVII w dużym stopniu dano spokój, skupiając się na wielorybach, zaczęła spadać. Gdy morsów zabrakło, Norwegowie zwiększyli skalę polowań na renifery. Eksportowali do kraju ich skóry i mięso. Z końcem XIX wieku również ich ogromne stada zniknęły. Svalbardzkie renifery niemal wyginęły. Myśliwi, którzy dotarli tu na początku XX wieku, zobaczyli kraj pozbawiony wielorybów, morsów i reniferów, ze znacznie zredukowaną liczbą lisów i niedźwiedzi. Musieli się więc zadowolić tym, co zostało: ostatnimi, najmniejszymi zwierzętami, których populacje można było zniszczyć dla zysku. Znaleźli kolejne obfite źródło dochodu – ptasie jaja. Latem 1921 roku Gordon Seton spotkał dwóch norweskich myśliwych. Powie-

dzieli mu, że zebrali już piętnaście tysięcy jaj edredonów (arktycznych kaczek, których puch do dzisiaj uważany jest za jeden z najlepszych izolatorów chroniących przed chłodem) i codziennie zbierali kilkaset kolejnych. Jaja wywożono do Norwegii w beczkach wypełnionych trocinami. Ptasi puch służył do wypychania pierzyn i poduszek. Seton pisał o krainie „jak z bajki, eterycznej, a jednak jak okiem sięgnąć całkowicie pozbawionej życia... I wszędzie panowała ta cisza, która nieprzerwanie otacza lądy prowadzące do bieguna”. W niecałe trzydzieści pięć lat od odkrycia ta niewiarygodnie produktywna oaza otuliła się ciszą. I to my byliśmy tego sprawcami.

Gwałt na Spitsbergenie, klasyczny przykład tego, co po angielsku określa się jako *tragedy of commons*, czyli tragedii wspólnego stołu, z którego każdy bierze, ile chce, zakończył się cztery lata później. Traktat spitsbergeński został podpisany w 1920 roku, wszedł w życie pięć lat później i od tego czasu archipelag stał się oficjalnie terytorium Norwegii. Zmieniono mu też nazwę na Svalbard, tak jakby te kilkaset lat nigdy nie istniało, a wyspy były norweskie od samego początku, od legendarnej podróży wikingów z 1194 roku.

Słowa Gordona Setona, choć robią wrażenie, nie do końca odpowiadają prawdzie. Trochę zwierząt jednak przeżyło. Również w XX wieku na Svalbardzie działali traperzy, tyle że już niemal wyłącznie norwescy. Co ciekawe, były wśród nich również kobiety, jak choćby Wanny Woldstad, która w latach trzydziestych spędziła wraz z dziećmi kilka zim w rejonie Hornsundu. Celem traperów były niedźwiedzie i lisy – chwytało je w pułapki rozstawione na znacznym obszarze. Te nastawiane na lisy zabijały ofiarę padającym kamieniem, dzięki czemu cenne zimowe futro nie ulegało uszkodzeniu. Przynajmniej umierały szybko – w tej części świata potrzaski chwytające zdobycz za łapę na szczęście nigdy się nie przyjęły. Pułapki na niedźwiedzie były bardziej skomplikowane. Sięgający po przynętę miś musiał ustawić głowę tak, że kiedy szarpał za odpowiednio umieszczony kawał mięsa, sam sobie strzelał między oczy z zamontowanej obok broni. Traperzy regularnie sprawdzali pułapki. Jeśli ofiarą była samica z młodymi, niedźwiadki na ogół zostawały przy zabitej matce. Jeśli jeszcze żyły, myśliwi wyłapywali je, żeby je sprzedać za dobrą cenę do ogrodu zoologicznego. Ten proceder trwał na Svalbardzie aż do 1973 roku, kiedy niedźwiedzie polarne zostały objęte ochroną. Na lisy poluje się do dziś, choć coraz więcej ludzi zdaje sobie sprawę, że zabijanie zwierząt dla futer jest niczym nieusprawiedliwionym draństwem.

Od początku XX wieku zaczął się na archipelagu rozwijać przemysł wydobywczy. Całe stulecie zdominowało górnictwo. I choć obecnie traci ono na znaczeniu, w kilku miejscach wciąż wydobywa się węgiel. Od równie dawna docierają do Svalbardu turyści – i to właśnie turystyka jest obecnie dziedziną rozwijającą się najprężniej. To dzięki turystyce znalazłem się tu również ja.

Nie miałem niestety okazji żyć na Svalbardzie dłużej, a moje wizyty zawsze wiązały się z pracą na pełnym turystów statku. Niemniej udało mi się kilka razy opłynąć cały archipelag i choć znam go powierzchownie, zrobił na mnie ogromne wrażenie. Jeśli ktoś chce zobaczyć Arktykę i wie, że będzie miał tylko jedną okazję, to właśnie Svalbard powinien stać się celem jego podróży.

Ostatni raz byłem tu w lecie 2014 roku, trochę niespodziewanie – na parę dni przed podróżą odebrałem telefon z Kanady: ktoś utknął gdzieś w lodach i nie zdąży na rejs, i może mógłbym go zastąpić. Zgodziłem się z radością. Wszystkie wycieczki na statkach są do pewnego

stopnia podobne, przynajmniej w zarysie, choć przyroda zapewnia, że każda będzie inna. Moja ostatnia wyprawa na Svalbard pokazuje, jak to ogólnie wygląda.



Wypełniony lodem fiord w Ilulissat

Jeśli mamy szczęście, wrażenia zaczynają się już w samolocie. Lot z Oslo trwa kilka godzin, na ogół z krótkim międzylądowaniem w Tromsø. Przez okno widać fajne krajobrazy, fiordy, góry, trochę drzew i kolorowych domków. Później pojawia się ocean, na ogół zresztą przesłonięty chmurami. Jeśli jednak pogoda dopisze, gdy po jakimś czasie wynurzamy się z chmur, nagle widzimy skrzące się bielą lodowce, strzeliste szczyty, głębokie fiordy i błękitne morza Svalbardu. Widok zapiera dech w piersi. Jest nierealnie czysto. Bajkowość ta uderza tym bardziej, że lata się tutaj na ogół w lecie. Kilka godzin wcześniej męczył mnie upał w Warszawie i w Oslo, a tu nagle śniegi i lody!

Łądujemy na małym lotnisku, wsiadamy do autobusów i jedziemy do Longyearbyen, stolicy archipelagu. I tu niestety czar pryska. Longyearbyen, choć leży nad fiordem i otaczają je malownicze góry, jest małym zapyziałym miasteczkiem. Wokół widać walące się szyby górnicze sprzed lat, charakterystycznie wbijające się poziomo w górskie zbocza. Droga do portu po obu stronach ozdobiona jest kolorowymi kontenerami i malowniczymi kupami złomu. Wszędzie jest szaro i w dodatku mży. No, bez rewelacji. W samym centrum (trzy ulice na krzyż) robi się trochę ładniej: jest kilka ciekawych sklepów, widać nowoczesny budynek muzeum i Norweskiego Instytutu Polarnego, na okolicznych zboczach stoją przycupnięte kolorowe domki. Przed każdym stoi skuter śnieżny, przypominając, że to szare lato to tylko chwilowa przerwa w zimie. Pozbawione śniegu miasteczko nie wygląda najlepiej. Longyearbyen ma niewiele ponad sto lat, powstało jako osada górnicza, liczy sobie około dwóch tysięcy

cy mieszkańców, latem nieco więcej. Mieszkająca tu od kilku lat Ilona Wiśniewska, autorka wydanej niedawno książki *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen*, mówi, że człowiek orientuje się, że już wrósł w tkankę miasta wtedy, kiedy z domu do pracy jedzie rowerem nie pięć minut, tylko pół godziny. Wszędzie bowiem spotyka się znajomych, z którymi trzeba zamienić kilka słów. A znajomi pochodzą z całego świata i niemal każdy zamieszkał tu z innego powodu.

W dniu naszego przylotu w zatoce widziano stado białuch, fantastycznych waleni, które potrafią naśladować ludzką mowę. Kiedy parę lat wcześniej nocowałem tu pierwszy raz, pod oknem mojego hotelu pasł się renifer. Czasem do domów zaglądały niedźwiedzie. Ale mój ulubiony przyrodniczy aspekt miasteczka to porastająca je obficie, zwłaszcza w wilgotnych miejscach, wełnianka. To takie białe, podobne do bawełny kulki na cienkich łądkach. W Polsce wełnianka rośnie na torfowiskach. Kiedy pierwszy raz próbowałem swoim anglojęzycznym towarzyszący wytłumaczyć, co dosłownie oznacza jej polska nazwa – wełnianka pochwowata, po łacinie *Eriophorum vaginatum* – było dużo radości. Dopiero później dowiedziałem się, że to, co rośnie w Longyearbyen, to jej krewniak, arktyczny gatunek *Eriophorum callitrix*. Ale sentyment pozostał: bardzo lubię wszystkie wełnianki.

Wieczorem do atrakcji Longyearbyen dołączają bary. Jest ich mało, ale za to są niesamowicie drogie, jak zresztą wszystko w Norwegii (piwo kosztuje około pięćdziesięciu złotych). Jeden z nich, niepozornie ulokowany w centrum handlowym, zapada jednak w serce każdego miłośnikowi whisky, a ja, niestety, do nich należę. Cała ściana za barem jest szczelnie wypełniona butelkami. Różnych rodzajów brandy, whisky i whiskey jest tu dobrze ponad tysiąc (sami nie wiedzą dokładnie), od dobrych do naprawdę bardzo dobrych. To największa taka oferta w północnej Europie. Może i dobrze, że jest tak drogo. Mógłbym następnego dnia nie zdążyć na statek.

Ale zdążyłem. Jako przewodnik muszę być na nadbrzeżu o ósmej rano. Spotykam trzy osoby, które będą ze mną w grupie przewodników. Dwie znam z poprzednich lat, jedna koleżanka jest nowa. Pirs w Longyearbyen jest tak krótki, że mieści się przy nim tylko jeden statek, a i to z trudem. Dlatego na ogół statek stoi na redzie, a turystów przewozi się na pokład zodiakami. Nasi koledzy i koleżanki, którzy właśnie zakończyli rejs, wożą gumowymi łodziami turystów i ich bagaże. W drodze powrotnej zabierają na pokład nas. Część z nich wraca do domu, część będzie pracować z nami. Po rozładunku mamy krótką odprawę. Potem wędrujemy do kajut i mamy wolne do piętnastej, bo pół godziny później zjawia się nasi pasażerowie. Miła niespodzianka – tym razem pirs będzie wolny. Właśnie coś od niego odpływa, więc za chwilę tam staniemy, dzięki czemu wszystko będzie przebiegać łatwiej. Nasz statek, MV „Sea Spirit”, przybija do portu, a ja schodzę po trapie i idę jeszcze na chwilę do miasta. Na redzie stoi kilka jednostek, między innymi „Esperanza”, największy ze statków Greenpeace. Są tu po to, żeby bronić Arktyki przed odwiertami naftowymi. Zastanawiam się, czy są na pokładzie jacyś moi znajomi. Pewnie tak. Robię kilka zdjęć i idę dalej, trzymając kciuki za tęczywoch wojowników i wojowniczkę. Po krótkiej wizycie w muzealnej księgarni wracam na pokład z torbą cięższą o kilka ciekawych książek i boleśnie odchudzoną kartą. No cóż, dobrze, że przez najbliższe dwa tygodnie będę jadł za darmo.

O trzeciej jestem z powrotem. Biorę szybki prysznic i zakładam służbowy strój. Po chwili zjawia się pierwszy autokar z turystami. Wszystkich witamy na pokładzie i kierujemy do recepcji. Zostawiają tam paszporty i dowiadują się, jak trafić do kajuty. W sumie popłynie z nami około setki ludzi. Na razie jedni rozpełzają się po statku, inni od razu idą do baru,

gdzie czekają zakąski i napoje, a także kilkoro spośród nas, czyli *expedition team*. Zagadujemy, odpowiadamy na pytania. A pytania są różne. Od całkiem konkretnych, typu: czy opłyniemy Spitsbergen (taki jest plan, ale wyjaśniamy, że nie wiadomo, bo nie znamy warunków lodowych na północ od wyspy, więc trudno powiedzieć, czy się uda) lub czy zobaczymy jakieś niedźwiedzie polarne (znowu trzeba odpowiedzieć trochę wymijająco, w końcu dzikie zwierzęta dlatego są nazywane dzikimi, że trudno przewidzieć, gdzie będą, ale szanse są duże), po moje ulubione (udzielenie na nie uprzejmej odpowiedzi jest naprawdę trudne): czy w dzisiejszych czasach wikingowie wywołują w Norwegii jakiegokolwiek problemy etniczne. Jak łatwo się domyślić, pytający pochodzi zza oceanu. Muszę się gryźć w język, żeby nie powiadać, że teraz jest już spokój, bo pozamykaliśmy ich w rezerwatach. Ale się gryzę. Choć w rejonach polarnych stykam się z lodowcami, szczelinami, sztormami i huraganami, nie wspominając o morsach i niedźwiedziach, czasem to turyści są największym wyznaniem. Z natury jestem jednak cierpliwy, ludzi generalnie lubię (to z ludzkością mam na pieńku) i jakoś daję radę. No i trzeba przyznać, że turyści wybierający polarne rejsy to na ogół bardzo fajni i ciekawi ludzie. W końcu zamiast leżeć dwa tygodnie na plaży w Hiszpanii postanowili przyjechać do nas.

Gdy już wszyscy znaleźli swoje kabiny, zaginione bagaże zostały zlokalizowane (niestety jedna walizka odnalazła się w Oslo i zaczeka grzecznie na swoją panią w magazynie), a niezidentyfikowane połączyły się z właścicielami przez system PA (*Public Announcement* – czyli system nagłośnienia pozwalający informować o czymś wszystkich na statku), ogłoszono, że za chwilę odbędzie się próbny alarm, więc pasażerowie muszą wrócić do kabin i czekać na sygnał. Po chwili rozlega się siedem dźwięków krótkich i jeden długi – trzeba zabrać kapoki i przejść do wyznaczonych miejsc zbiórki. Członkowie załogi odczytują nazwiska osób, które w każdym z miejsc powinny się znaleźć, i szukają maruderów. Udział w ćwiczeniach jest obowiązkowy. Trzeba je odbyć w ciągu doby od wyjścia z portu, w praktyce jednak odbywa się to jeszcze przed odbiciem od kei. Pomagamy pasażerom zakładać nieporęczne kapoki, pokazujemy, gdzie jest gwizdek, a gdzie światełko. Zwykle jest wesoło, ale taki trening jest bardzo ważny. Później, w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa, każdy powinien wiedzieć, co ma robić. Ostatecznie naprawdę jesteśmy w Arktyce i naprawdę płyniemy gdzieś, gdzie mogą się zdarzyć różne rzeczy. Później przechodzimy do wyznaczonych szalup. Któryś z marynarzy tłumaczy, jak się do nich wchodzi i jak wygląda ewakuacja. Potem, czując się dużo bezpieczniej, rozchodzimy się do kajut. Po chwili odbijamy od nabrzeża. Większość pasażerów zostaje na zewnętrznych pokładach. Właśnie zrywa się cienka nić łącząca nas z cywilizacją. Przez kolejnych dwanaście dni będziemy zdani tylko na siebie. Choć nie jestem w stanie zliczyć, ile razy już patrzyłem na port malejący za burtą, ta chwila zawsze jest intrygująca. Ja też nie wiem, co nam przyniesie ta podróż. Wszyscy dookoła są wyraźnie podekscytowani. Dla wielu z nich wyprawa do Arktyki to spełnienie marzeń. Nie wiedzą, czego dokładnie się spodziewać, ale wiedzą, że będzie to coś nadzwyczajnego. Cóż mogę powiedzieć? Mają rację.

Ostatnim punktem popołudniowego programu jest spotkanie w sali wykładowej. Hadleigh, szef ekspedycji, mój bezpośredni przełożony, oficjalnie wita wszystkich na pokładzie, przedstawia kierownika części hotelowej (na jego głowie są kabiny, restauracja i bar, a zatem ma pod sobą cały sztab ludzi zajmujących się czystością, jedzeniem i piciem), ten z kolei przedstawia swoich ludzi, szefów poszczególnych departamentów. Opowiadają o zasadach życia

na statku i obiecują, że będzie dobrze. Patrzą na naszą grupę i widzę, że chyba im wierzą.

Statkiem na ogół rządzi taki trójgłowy smok. Zapewne najważniejszą z głów jest kapitan. To on podejmuje decyzje i na nim spoczywa największa odpowiedzialność. Ludzie kapitana, czyli załoga, sprawiają, że statek w ogóle może pływać. Drugą głową jest szef ekspedycji. To on mówi kapitanowi, dokąd chce płynąć. Bez firmy, którą reprezentuje, kapitan nie miałby zatrudnienia. Szef ma pod sobą nas, wykładowców, oraz przewodników. Jako *expedition team* zajmujemy się pasażerami, dbamy o ich bezpieczeństwo i zapewniamy ciekawy program zarówno na statku, jak i poza nim. Szefa jednak z jednej strony ogranicza kapitan (mówi, czy i kiedy będziemy w stanie dotrzeć w określone miejsce), a z drugiej – trzecia głowa, kierownik hotelu, z którym trzeba ustalać wszelkie ewentualne zmiany w planie dnia: musi mieć gotowe na określoną godzinę posiłki dla ponad stu osób. Na wielu statkach te głowy się przyjaźnią – i to są najbardziej udane wycieczki. Ale bywałem i na takich, na których smok ewidentnie cierpiał na schizofrenię. Szef wyrwał włosy z osiwiącej nagle głowy i każda z głów co krok ziała ogniem na pozostałe. Wtedy nie było dobrze. Na szczęście na „Sea Spirit” i smok był szczęśliwy, i wycieczka cała. Albo odwrotnie.

Po załodze hotelowej przedstawiamy się my. Każdy mówi kilka słów o sobie: skąd jest i co będzie robił na statku. Słucham z zaciekawieniem, bo spośród dziesięciu osób pracowałem dotąd tylko z czterema. Wreszcie spotkanie się kończy. Teraz kolacja i odpoczynek. Kolejny dzień zapowiada się interesująco.

O wpół do ósmej Hadleigh budzi wszystkich i informuje, jaka jest temperatura powietrza i gdzie jesteśmy. Pod względem organizacyjnym każdy dzień będzie teraz wyglądał podobnie. Wczesna pobudka (chyba że coś się zmieni i będzie bardzo wczesna), śniadanie, koło dziewiątej zaczniemy coś robić, starając się wypełnić czas do lunchu. Tym razem nie jest to jednak lądowanie – to mamy zaplanowane na popołudnie. Statek płynie w kierunku Camp Millar w Vårsolbukta, a my spotykamy się w sali wykładowej na obowiązkowym szkoleniu z zasad lądowania w Arktyce, bezpieczeństwa podczas pływania zodiakami i zachowania w przypadku napotkania niedźwiedzia polarnego. Poznajemy też dokładniej plany na popołudniowe lądowanie, z zastrzeżeniem, że wszystko może się zmienić: ze względu na warunki pogodowe, lód albo niespodziewane spotkanie. Spotkanie z niedźwiedziem jest dla nas priorytetem, będziemy się więc starać misie znaleźć, choć gwarancji dać nie możemy. Ale szanse są spore. Po szkoleniu rozdajemy kalosze, najodpowiedniejsze obuwie w naszej sytuacji, i instruujemy pasażerów, żeby oczyścili każdą rzecz, którą biorą na ląd. Spodnie chroniące przed wodą, rękawiczki, kijki trekkingowe, torby fotograficzne – każda rzecz jest poddawana inspekcji i w razie potrzeby trafia pod kran lub ssawkę odkurzacza. To bardzo ważne, by w tym delikatnym środowisku nie zasiać żadnych roślin przywiezionych przypadkiem z domu.

O wpół do pierwszej jemy lunch, a o czternastej mamy po raz pierwszy zejść na ląd. I od razu przekonujemy się, co Hadleigh miał na myśli – wiatr jest zbyt silny, żeby dało się zejść ze statku. Kiedy już się siedzi w zodiaku, nawet duże fale i silny wiatr nie są wielkim zagrożeniem. Nasze gumowe łodzie są bardzo stabilne, a każde z nas, przewodników, jest dobrym kierowcą. Problemem jest wchodzenie na zodiak ze statku, kiedy obie jednostki podskakują na falach i niebezpiecznie się rozjeżdżają, no i samo lądowanie na plaży, kiedy fala przyboju może nas przewrócić. No więc nie – chat, które zostały w Camp Millar po poszukiwaczach złota z początku XX wieku tym razem nie zobaczymy. Przechodzimy do planu B. Na szczę-

ście, jak to często podkreślamy na statku, alfabet jest naprawdę długi. Lecz gdy ruszamy gdzie indziej, gdzieś, gdzie przy takim wietrze powinniśmy znaleźć schronienie, przez system PA rozlega się komunikat: zrealizujemy plan C. Niedźwiedź w polu widzenia! Wszyscy wylegają na zewnętrzny pokład, zewsząd słychać podniecone głosy i nieustający trzask migawek. Niedźwiedź jest wprawdzie dość daleko, w dodatku po chwili znika za grzbietem wzgórza, ale pierwszy miś i tak zawsze robi wrażenie. Patrzymy z kolegami po sobie. W tłumie widzę uśmiechniętą twarz Hadleigha. Myślimy o tym samym – niedźwiedź, i to już pierwszego dnia! Można odetchnąć z ulgą: przynajmniej tę atrakcję mamy z głowy. Po kilkunastu minutach rozlega się kolejny komunikat. Słychać go tylko w środku. Na zewnętrznych pokładach, kiedy w pobliżu są zwierzęta, niczego nie ogłaszamy. My dostajemy rozkazy przez radio i informujemy tych stojących na dworze, że za chwilę spuszczaamy łodzie na wodę. Muszą się przygotować. My, *expedition team*, zaczynamy pół godziny przed pasażerami, czyli za dziesięć minut. Biegnę do kabiny, wkładam termiczną bieliznę, dodatkowy polar, spodnie z goretexu i grubą kurtkę, która zastępuje jednocześnie kapok, bo unosi się na wodzie razem z zawartością. Ważne są też rękawiczki z windstopperem (mam także grube, narciarskie, z goretexu, ale nie lubię w nich prowadzić, bo trochę upośledzają precyzję ruchów), szalik i ciepła czapka. Choć tu, gdzie jesteśmy, nie wieje i świeci słońce, na wodzie po prostu zawsze jest zimno i tyle. Na półtoragodzinną wycieczkę zodiakiem trzeba być dobrze przygotowanym. Na koniec trzeba wysmarować usta pomadką, żeby nie pierzchły na wietrze, i całą twarz kremem z filtrem UV. Takich kremów używam wyłącznie w rejonach polarnych. Nawet w tropikach nie zwracałem sobie tym głowy. Tu jednak słońce jest wyjątkowo mocne, a odbicia od wody i śniegu jeszcze to potęgują. Przy złudnym poczuciu bezpieczeństwa, jakie daje chłód, łatwo o oparzenia, a w rejonach polarnych zdarzają się one często. Najbardziej oczywiście narażone są usta – regularnie pękają, jeśli w pośpiechu zaniedba się konieczne zabiegi kosmetyczne. W Arktyce zwyczajnie nie wychodzi się z domu bez makijażu. Oczy chronię okularami przeciwsłonecznymi z dobrym filtrem. Teraz należy w odpowiednich miejscach poprzyczepiać radio, GPS, zegarek i nóż ratowniczy, na szyję zarzucić lornetkę, a na ramiona wodoszczelny plecak z aparatem, zestawem pierwszej pomocy, dodatkową bluzą, zapasowymi rękawiczkami, czapką i goglami (gdyby nagle rozpętała się śnieżycą) – i jestem gotów! Wychodząc z kajuty, czuję się trochę jak bałwan przebrany za choinkę, wszystko to jest ciężkie i krępuje ruchy, obija się o mnie przy każdym kroku, ale tak trzeba.





Koniec operacji, wracamy na pokład

Na szczęście na „Sea Spirit” – w porównaniu z wieloma innymi statkami – zejście do zodiaków jest dość proste i szybkie. Dwa dźwigi opuszczają je tuż przy *marina deck*, czyli platformie na rufie, tuż nad powierzchnią morza. Musimy tylko wsiąść do łodzi, włączyć silnik i odpłynąć, żeby zrobić miejsce następnemu opuszczanemu zodiakowi. Tym razem nie planujemy lądowania. Chcemy jedynie popływać i lepiej się przyjrzeć misiowi. Dlatego spuszczaemy na wodę dziesięć pontonów. Każdy zabiera dziesięcioro pasażerów, dzięki czemu będziemy mogli wszystkich przewieźć jednocześnie. Kolejno podpływamy do rufy. Pomagam pasażerom wsiąść na pokład. Ponieważ to nasze pierwsze zejście ze statku, przed odpłynięciem robimy jeszcze krótkie szkolenie z zachowania na łódce i tłumaczymy, co robić, jeśli ktoś wypadnie. Jak zawsze, żeby przykuć ich uwagę, mówię, że ich kłopoty skończą się w ciągu kilku minut, bo to bardzo zimna woda, podczas gdy moje wtedy właśnie się zaczęły. Może nie aż kłopoty, bo wolno nam stracić do dziesięciu procent turystów z każdej wycieczki, więc w sumie mi nie zależy, ale będzie sporo papierkowej roboty, a tej nie cierpię. Proszę zatem z mojego zodiaka nie wypadać. Oni jak zwykle głośno się śmieją, ale widzę, że mocniej łapią za przymocowane do burt liny i pochylają się trochę do środka. Uśmiecham się pod nosem, bo o to mi chodziło. Kiedy już wszystko jest jasne, ruszamy na poszukiwanie niedźwiedzia. Widzieliśmy go na małej wysepce Eholmen, teraz musimy odnaleźć. Przedemną płynie kilka innych łodzi. Wkrótce kierowca jednej z nich oznajmia przez radio, że miś wędruje spokojnie samym grzbietem niewielkiego wzniesienia na środku wysepki. Podpływamy bliżej, zachowując taką odległość, żeby mu nie przeszkadzać, czyli sporo ponad sto metrów. Trochę chudy ten miś, niezbyt czysty i w mało bohaterskiej scenerii – ale jest. Co

chwilę staje i wcina coś z ziemi – najwyraźniej plądruje ptasie gniazda. W wodzie widać kilka edredonów – może to je okrada? Później kładzie się na kilkunastominutową drzemkę, a my zostawiamy go i opływamy wysepkę, szukając innych atrakcji.

Kiedy znów podejmuje poszukiwania, najwyraźniej jest zainteresowany innym gatunkiem i nagle wszystko nabiera tempa. Musiał znaleźć kolonię gniazd rybitwy popielatej, bo ni stąd, ni zowąd nad jego głową rozpętuje się prawdziwa nawałnica ptasiej furii, najeżona mocnymi dziobami i wściekle roztrajkotana. Z rybitwami nie ma żartów. Zarówno w Arktyce, jak i Antarktyce rybitwy (i wydryki, ale o nich później) to ptaki, które nie dają sobie w kaszę dmuchać. Gdy ktoś zbliży się do ich gniazda, natychmiast stanie się obiektem gwałtownych ataków, a jeśli się nie wycofa i dojdzie naprawdę blisko, na głowę spadnie mu grad bolesnych ciosów zadanych ostrym dziobem. A ze wszystkich rybitw świata właśnie rybitwy popielate mają jedną niesamowitą cechę: te małe ptaszki odbywają jedne z najdłuższych migracji w świecie zwierząt. Lato spędzają w Arktyce i tam się rozmnażają (po angielsku zresztą nazywają się właśnie *Arctic tern*), a jesienią rozpoczynają wędrówkę i lecą wzdłuż wybrzeży kontynentów aż do... Antarktyki! Tam spędzają południowe lato i opychają się bogactwem antarktycznych wód, jesienią zaś, czyli gdy na północnej półkuli zaczyna się wiosna, znowu lecą przez całą planetę, do Arktyki. W ciągu swojego ponaddwudziestoletniego życia rybitwa popielata może pokonać nawet milion kilometrów. Nic dziwnego, że przewodnicy polarnej tak je lubią – sami żyjemy trochę jak one, ścigając lato na najchłodniejszych krańcach Ziemi.

Miś zapewne nie znał tych szczegółów i nie wiedział, że każdy z jego małych prześladowców w ciągu roku podróżuje więcej niż on przez całe życie. Jedyne, co go chwilowo interesowało, to to, że dzioby tych terkoczących jasnych demonów dopodróżowały właśnie do jego uszu, nosa i czoła, a lada moment trafią w oczy. Król Arktyki oddalił się tak godnie, jak tylko zdołał, czyli nie za bardzo. I w dużym pośpiechu.

My też włączamy silniki zodiaków i ruszamy w stronę statku, przedstawienie się skończyło.

Kolacja jest wcześniej niż zwykle, o osiemnastej trzydzieści, ponieważ na wieczór planujemy kolejne atrakcje. Latem jest tu jasno przez całą dobę, więc właściwie wszystko jedno, o której działamy. Dlatego o wpół do dziewiątej znowu spuszczaemy zodiaki na wodę. Kierujemy się do Bourbonhamna i tym razem dowozimy naszych gości na ląd. Łądujemy na łagodnej plaży, która z daleka wygląda jak pozostałości kamieniołomu, bo cała jest pokryta hałdami białych brył. Cumuję zodiaka przy brzegu i idę obejrzeć to miejsce. Pierwsze, co widać, to dobrze zachowana chata z przełomu XIX i XX wieku. Zbielałe na słońcu drewno, zamknięte przed niedźwiedziami drzwi, jakieś urządzenia techniczne u progu... Dopiero po chwili widać, czym się zajmowali jej mieszkańcy. Widoczne z daleka hałdy okazują się... stertami wielorybich kości! Merel, nasza specjalistka od waleni, już stoi przy jednej ze stert i odpowiada na pytania. Kości nie są zbyt duże, ale ich ilość naprawdę robi wrażenie. Spośród licznych kręgów i żuchw oskarżycielsko łypią na nas czaszki. Wielkością przypominają końskie. To białuchy, jasno ubarwione walenie, blisko spokrewnione z narwałami. W przerażających szeregach leżą kopce pozostałości ponad pięciuset zwierząt. Białuchy regularnie wpływają na płytkie wody, by ocierając się o dno, pozbywać się starej skóry. Łowcy musieli je zaganiać łodziami bliżej brzegu, a jednocześnie sieciami odcinać im drogę ucieczki. Zaczynała się rzeź przypominająca osławiony *grind* na Wyspach Owczych, gdzie w podobny

sposób jeszcze dziś barbarzyńsko morduje się grindwale. Białuchy mają zaledwie około pięciu metrów długości i ważą jakąś tonę. Tłuszczu na nich niewiele, ale większe wieloryby zostały już w okolicach Svalbardu wytępione albo trudno je było złapać, więc pod koniec XIX wieku takie polowania stały się ich substytutem. Smutne to miejsce na wieczorną wycieczkę, choć bardzo piękne. Na statek wracam jednak przygnębiony i myślę, że nie ja jeden. Co innego wiedzieć, co się tu działo, a co innego samemu obejrzeć takie cmentarzysko. A jednocześnie wraca do mnie refleksja o tym, jak nam, przynajmniej w większości, zmienił się system wartości. Kto wie? Może gdybym się urodził sto pięćdziesiąt lat temu albo jeszcze dawniej, sam bym został wielorybnikiem? W końcu lubię pracować na morzu, lubię zimno i od zawsze fascynuje mnie dzika przyroda, zwłaszcza rejony polarne. Z jednej strony wstyd mi za ludzkość, że tyle przyrody naniszczyliśmy, ale z drugiej trudno mi jednoznacznie potępiać ludzi, dla których wtedy ta ciężka i niebezpieczna praca mogła być jedyną szansą.

Następnego dnia od rana eksplorujemy ogromny system fiordów Hornsundu. I to rzeczywiście od rana, bo pobudkę Hadleigh urządza nam o piątej dwadzieścia pięć. Jeszcze przed śniadaniem lądujemy w Gnålodden. Nad nami góruje malownicza pionowa skała, na niej zaś gnieźdzą się liczne mewy trójpalczaste, dzięki czemu po raz pierwszy mamy okazję spacerować po prawdziwej tundrze, zasilanej ptasim guanem. W tym miejscu stała kiedyś chata Pomorców, ale nie widać po niej śladu. Widać za to dobrze zachowaną chatę traperską z XX wieku, używaną aż do lat siedemdziesiątych.

Przewietrzeni wracamy na statek na śniadanie. Podczas przedpołudniowej wycieczki do Burgerbukta spotykamy drugiego niedźwiedzia. Idzie wzdłuż brzegu, a po chwili schodzi do wody, więc z daleka obserwujemy, jak płynie. Część turystów jest wprawdzie rozczarowana odległością (dobrze ponad trzysta metrów), ale chyba doceniają to, że nie żartowaliśmy, kiedy mówiliśmy o tym, że nie powinniśmy przeszkadzać zwierzętom. Mimo odległości sama świadomość, że nasz mały zodiak jest w tej samej wodzie, w której pływa najsłynniejszy drapieżnik Arktyki, robi duże wrażenie.

Po południu wpływamy do Brepollen. Znowu nie ma lądowania. Pływamy zodiakami i podziwiamy długie na wiele kilometrów koliste czoło lodowca ze wszystkich stron otaczające zatokę. Co ciekawe, jeszcze na początku XX wieku tej zatoki w ogóle nie było – lodowiec wypełniał ją całkowicie. Ale w miarę postępujących zmian klimatycznych lodowce zaczęły się cofać. Ze względu na ukształtowanie terenu proces ten ciągle przyspiesza – im głębsza zatoka, tym dłuższe czoło lodowca ją otacza, jednocześnie eksponując coraz większą powierzchnię do dalszej erozji. Tylko w latach 1983–1999 lodowiec cofnął się tu o pięć kilometrów! Miejsce to jest przedmiotem intensywnej badań usytuowanej w pobliżu polskiej stacji polarnej, ale niestety tym razem jej nie odwiedzimy. A szkoda, byłem tam raz, w 2010 roku, i bardzo mi się podobało. Choć zwykle nie zapraszają takich tłumów gości, wtedy udało mi się przez radio przekonać kierowniczkę, żeby nas przyjęła. Chyba pomogło to, że od razu przyznałem, że sam niedawno kierowałem polską stacją na Antarktydzie i rozumiem jej obawy. Tym razem nie spotkam naszych polarników, choć na miejscu jest kilkoro moich znajomych.

Po powrocie na statek podsumowujemy dzień i opowiadamy o tym, co będziemy robić jutro. Nazywa się to *re-cap session* i odbywa się na wszystkich statkach, jakie znam. Nam daje to okazję do omówienia co ciekawszych wydarzeń (ja opowiadam o wczorajszym i dzisiejszym misiu, o tym, co robiły, co się teraz dzieje w ich życiu i tak dalej) i obserwacji, turyści

mogą zadawać pytania.

Następny dzień ilustruje dość dobrze, gdzie możemy sobie schować plany. Poranne lądowanie w Dolerittneset on Edgeøya (dużo fascynującej historii, z pozostałościami po Pomorcach i norweskich traperach, z kośćmi morsów, i spektakularna geologia z imponującymi formacjami dolerytu) zostaje niestety odwołane, bo w gęstej mgle ledwie widać dziób statku, o starych chatkach i atrakcyjnych skałach nie wspominając. Moglibyśmy się potknąć o niedźwiedzia i dopiero wtedy go zauważyć. Zamiast tego mam pierwszy wykład – właśnie o niedźwiedziach. Dobrze wiedzieć, kogo się ogląda albo na kogo wpada we mgle.

Wykład okazuje się idealnie wpasowany w dalsze atrakcje dnia. Ledwo dopływamy do Barentsøya, z pokładu dostrzegamy nie jednego, ale od razu dwa, a po chwili nawet trzy niedźwiedzie. Dwa łażą po piargowym zboczu, trzeci śpi w najlepsze, ale co jakiś czas macha łapą, żebyśmy wiedzieli, że to nie biała skała. To pewnie samica z dwoma wyrosniętymi, ponaddwuletnimi młodymi. Nie są zbyt blisko i naprawdę trudno je odróżnić od jasnych głazów, których kilka leży na brzegu. Ale głazy zdecydowanie mniej się ruszają i na pewno nie chodzą pod górkę. Płyniemy dalej. Na popołudnie mamy zaplanowaną wizytę w Kittywake Canyon na tej samej wyspie: stromą dolinkę, w której gnieźdzą się tysiące mew trójpalczastych. To właściwie pewniak – lądowanie jest łatwe, ptaki są tu zawsze, można się trochę przejść i wrażenia są niesamowite, zwłaszcza że ściany kanionu odbijają wrzaski tych wszystkich mew.

Co z tego, kiedy przyroda znowu płata nam figla – gdy podpływamy na miejsce, spotykamy kolejnego misia. Uciął sobie drzemkę w samym wejściu do wąwozu. Tak to jest z tymi niedźwiedziami. Z jednej strony oczywiście ich szukamy, z drugiej często uniemożliwiają nam zrobienie tego, co zaplanowaliśmy. Ale to dobrze: przyroda pokazuje nam, kto rządzi, i tę lekcję warto zabrać do domu. Bardzo się cieszę, że są jeszcze na świecie miejsca, gdzie niedźwiedzi jest naprawdę dużo. Svalbard jest jednym z nich. Tam rzeczywiście traktują ochronę przyrody poważnie i misie na tym korzystają.

Zadowoleni z tego, że w ciągu trzech dni widzieliśmy sześć niedźwiedzi, ale mimo to trochę sfrustrowani, postanawiamy spróbować wylądować w Torellneset, gdzie zwykle można spotkać stado morsów. Aby się tam dostać, musimy przepłynąć spory kawałek, więc szybko ruszamy w drogę, a żeby wypełnić czas, Merel wygłasza wykład o wielorybach. Zwykle to moje zadanie, nie mam jednak zastrzeżeń. Ona pracuje na jednym z australijskich uniwersytetów, doktorat pisała o bardzo mało znanych, a fascynujących walach dziobogłowych i w dalszym ciągu je bada. Zresztą podczas tego rejsu mamy szczęście do specjalistów od wielorybów – asystentką Hadleigha jest Pamela, biologka z RPA, która jeśli nie pływa po świecie, to prowadzi w swoim kraju rejsy, podczas których turyści oglądają właśnie wieloryby. Przy takich koleżankach ja mogę się tylko uczyć. Z ciekawością idę na prezentację. Po raz kolejny okazuje się, że tematyka wykładu trafiła idealnie. Ledwo Merel kończy opowiadać, udaje mi się wypatrzeć całe stado humbaków. Podpływamy nieco bliżej i zatrzymujemy statek, a ciekawskie olbrzymy pływają wokół nas. Znowu podniecone głosy na pokładzie, znowu nieustanny trzask migawek – i znowu musimy zmienić plany. Dzięki wielorybom na pewno nie zdążymy dopłynąć do Torellneset przed kolacją. Niemniej decydujemy się lądować tam wieczorem.

Właściwie nie powinno nas dziwić, że kiedy dopływamy na miejsce, ze statku, który spotykamy, informują nas, że widzieli w pobliżu niedźwiedzia. Postanawiamy jednak spróbo-

wać. Część z nas ląduje na brzegu z bronią palną i sprawdza, czy jest bezpiecznie. Pozostali czekają na sygnał w zodiakach. Niedźwiedzia nigdzie nie widać, więc zaczynamy! Tym razem dzielimy naszych gości na dwie grupy, bo przy odpoczywających morsach musimy się wykazać szczególną ostrożnością. Nie chcemy im przeszkadzać, więc nie będzie swobodnego chodzenia po okolicy. Wszystko musi się odbyć pod ścisłą kontrolą. Lądujemy w płaskim, pustynnym krajobrazie. Właściwie nie rośnie tu nic. Faliste hałdy drobnych żółtych kamyczków ciągną się po daleki horyzont. Kilkoro moich kolegów i koleżanek zabezpiecza teren, stojąc na odległych wzniesieniach, a ja z Williamem, naszym geologiem, biorę pierwsze dwadzieścia osób na krótki spacer. Trzysta metrów dalej, blisko plaży z drugiej strony cypla, leży grupa około pięćdziesięciu morsów. Podchodzimy do niej powoli, w długiej, milczącej kolumnie, jedno za drugim (żeby nagle nie zobaczyły stada zbliżających się postaci). Najpierw stajemy jakieś trzydzieści metrów od nich, a po paru minutach, kiedy wciąż są spokojne, podchodzimy kilka kroków bliżej. Radia mamy wyłączone, nikt nic nie mówi, jedyne, co słychać, to, jak zwykle, spusty migawek i leniwe popierdywanie i beknięcia odpoczywających kolosów. Po kilku minutach wycofujemy się i spokojnie wracamy na lądowisko, a potem ten sam manewr powtarzamy z kolejnymi grupami. Wszyscy są bardzo przejęci, a my cieszymy się, że nawet przy ostatniej grupie morsy są wyraźnie rozluźnione. Oświetleni arktycznym słońcem o północy wracamy na statek. To był kolejny dobry dzień.

Jesteśmy coraz dalej na północy archipelagu. Wciąż nie wiadomo, czy uda nam się go okrążyć. Kolejny dzień to znowu niesamowite widoki. Cały poranek pływam zodiakiem wzdłuż najdłuższego frontu lodowcowego na półkuli północnej. Austfonna ma prawie sto dziewięćdziesiąt kilometrów długości. Oczywiście oglądamy tylko niewielki fragment wysokiej na dwadzieścia pięć metrów lodowej ściany, która niknie gdzieś na horyzoncie. Dawni podróżnicy mogli myśleć, co wcale nie dziwi, że takie bariery otaczają cały biegunowy świat – ogromny lodowy klif zdaje się rzeczywiście nie mieć końca. Podziwiamy spływające z niego lodospady, tyleż pięknie, co złowieszczo błyskające w pełnym słońcu ciepłego dnia. Wracając na statek, przepływamy przez labirynt gór lodowych i mniejszych brył. Sycimy oczy tą najbardziej niebieską niebieskością lodu. Nie wiem, ile razy pływałem w takim miejscu, ale nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek miało mi się to znudzić. Kiedy wpływamy w pole drobniejszego paku, zatrzymuję łódź, wyłączam silnik i proszę pasażerów o ciszę. Z zamkniętymi oczami wsłuchujemy się w jeden z moich ulubionych dźwięków, w coś, co ja nazywam szepem lodu: wysycony powietrzem lód rozpuszcza się w morskiej wodzie, wypuszczając z nieustannym cichym szelestem bąbelki. Słychać odległy krzyk ptaków, delikatny plusk wody... Arktyka przemawia do nas z pogodną czułością.



Przez tysiące lat wykorzystywane przez ptaki, skały Alkefjellet przestały być czarne

Kiedy zbliżamy się do „Sea Spirit”, dostrzegamy wokół oświetlającego go słońca piękne halo, z łukiem Parry’ego i dwoma słońcami pobocznymi (zdecydowanie wolę ich angielską nazwę – *sun dogs*, słoneczne psy), a zatem kombinację kilku rzadkich, ale charakterystycznych dla Arktyki zjawisk optycznych. Surrealne piękno tego świata zaczyna trącić absurdem. Jeśli to rzeczywiście sen, proszę mnie nie budzić.

Po południu czeka nas dramatyczna zmiana scenerii. Zmierzamy do Vibebukta, miejsca, które Hadleigh porównuje w briefingu do Tatooine, pustynnej planety z *Gwiezdnych wojen*. W każdą stronę rozciąga się polarna pustynia. Łąd skuty jest skorupą gęsto upakowanych kamyczków wygładzonych wiatrem. Poruszamy się jak w narkotycznym transie, nie bardzo dostrzegając granicę jawy. Jedyne roślinki, jakie tu występują, otaczają kilkusetletnie, zmurszałe kości wielorybów i morsów. Nie ma ich zbyt wiele i tylko one oferują martwej ziemi odrobinę substancji odżywczych. Dzisiejszy dzień nie był zdominowany przez zwierzęta, ale Arktyka i tak znów nas zachwyciła. Każda odsłona tej krainy będzie inna, ale każda zapadnie nam w serca.

Za to następny dzień pozwala nam to nadrobić z nawiązką. Rano płyniemy do Alkefjellet, Nurzykowego Klifu, jednego z najbardziej spektakularnych miejsc, jakie znam. Wysokie, dramatyczne klify z bazaltowych skał schodzą tu do morza ścianą długą na trzy kilometry. Nie dość że same skały, czarne i popękane w wyniosłe wieże i gotyckie zamczyska, już wyglądają niesamowicie (zwłaszcza otulone poranną mgłą, na którą mamy szczęście się załapać), to gnieździ się na nich ponad sześćdziesiąt tysięcy par nurzyków. To taka Rubini Rock z Ziemi Franciszka Józefa, tylko dużo, dużo dłuższa. Płyniemy wzdłuż niej bardzo powoli,

a wokół nas kłębią się stada ptaków. Czasem, walcząc ze sobą, spadają do wody tuż przy łodzi, czasem pikują nam nad głowami, a cały czas wielką, wrzeszczącą i bombardującą wszystko (kilka razy podkreślam, że jest naprawdę ważne, żeby mieć na głowie czapkę i nie otwierać z podziwu ust) chmurą krążą nam nad głowami, znikając we mgle i nagle się z niej wynurzając. Pogoda nie jest idealna, ale to akurat dodaje scenerii uroku. Manewruję właściwie przy samej skalnej ścianie, uważając, żeby fale mnie na nią nie cisnęły, kiedy nagle, pod koniec całej operacji, jeden z moich kolegów dostrzega niedźwiedzia polarnego wspinającego się po pionowych skałach! Jakie to szczęście, że uprzejmie pojawił się tak późno, inaczej skradłby całe przedstawienie, a tak stanowi jego idealną kulminację. Podpływamy bliżej. Rzeczywiście, kilkadziesiąt metrów nad naszymi podskakującymi na falach zodiakami ogromny biały drapieznik opuszcza się wąską rozpadliną, balansując na śliskich skałach ze zręcznością wprawnego alpinisty. Obserwujemy, jak kładzie się na brzuchu, próbując dosięgnąć protestujących na skalnej półce nurzyków. Ale nawet jego wielka łapa okazuje się za krótka. Buja się z wyciągniętymi pazurami nad głowami przerażonych ptaków niczym upiorne wahadło z opowiadania Edgara Allana Poe'go. Po chwili niedźwiedź przenosi się dalej, na małe wypłaszczenie, i mimo protestów rodziców jednym kłapnięciem chwytą podrośnięte pisklę ogromnej mewy bladej. Później długo pluje na wiatr puchatym pierzem. Pisklęta nie dość, że są małe, to jeszcze mają bardzo kłopotliwe opakowania. Później patrzymy zafascynowani, jak znowu próbuje zejść niżej. Jest kilkanaście metrów nad nami, nadal zbyt daleko, żeby do nas doskoczyć. Jesteśmy jednak na końcu klifowej ściany. Brzeg ucieka trochę w bok, a nas nic nie chroni przed otwartym morzem. Do tego fale są spore. Dlatego nie bardzo mogę się przyglądać niedźwiedziowi. Prawie całą moją uwagę pochłania manewrowanie zodiakiem tak, żebyśmy stali w miejscu, a jednocześnie ciągle stali dziobem do kilkumetrowej fali, bo gdyby trafiła w burtę, moglibyśmy się wywrócić, a to nigdy nie jest dobre. Przy misiu zaś – to samobójstwo. Wszyscy są zachwyceni. Ja też nie chcę odpływać, choć już czas, a pasażerowie są mokrzy od opryskującej nas lodowatej wody. Pocięszam ich, mówiąc, że wprawdzie na pewno nie poprawi im to humoru, bo żeby tak było, musieliby być wyjątkowo złymi ludźmi, a wiem przecież, że nie są, niemniej gdyby byli, to mieliby satysfakcję z tego, że kiedy stoję przy silniku, wszystkie te fale, które przelatują im nad głowami, lądują na mojej twarzy. Patrzę na nich i po uśmiechach widzę, że chyba jednak przynajmniej część z nich jest wyjątkowo podła... Pierwsze zodiaki wracają na statek, ale na szczęście mój ruszał jako jeden z ostatnich, więc na radiowe nawoływania też odpowiadam później niż reszta. Na raz i tak nie moglibyśmy dobić do rufy, a szczęście malujące się w oczach pasażerów jest warte narażenia się na nieprzyjemności. Zresztą okazuje się, że żadnych nieprzyjemności nie ma. Wchodzenie na pokład idzie sprawnie, a my cieszymy się, że zostaliśmy przy niedźwiedziu najdłużej.

Popołudnie dużo spokojniejsze. Tym razem odwiedzamy Faksevågen, zatokę na zachodnim brzegu Lomfjord. Spacerujemy po wznoszących się łagodnie, pokrytych bujną tundrą wzgórzach. Część turystów rusza z trójką przewodników na bardziej ambitny, szybki trekking do szczytu najdalszego wzgórza. Ja zostaję ze średnią grupą. Snujemy się wolniej, ale za to widzimy dużo więcej. Oglądamy charakterystyczne dla wiecznej zmarzliny foremne wielokątne pulchnej gleby obramowane wąskimi krawędziami schludnie usypanych kamyczków. Nie chce się wierzyć, że to nie człowiek tak to poukładał. Wygląda to jak ekscentryczny, ale zadbanej podmiejski ogródek. A jednak to wytwór wielu tysięcy cykli zamarzania

i odmarzania górnej warstwy gleby: powoli, ale konsekwentnie cały przemieszany materiał sortuje się w okruchy różnej wielkości. Svalbard w ogóle jest uznawany za raj dla geologów i geomorfologów. Nie dość że znaleźć tu można prawie wszystkie skały naszej planety, to jeszcze w nic nie ingerują ludzie, a to sprawia, że w wielu miejscach wciąż widać efekty eksperymentów, które przyroda przeprowadza na swoich doświadczalnych poligonach. Aż żałuję, że prawie wcale się na tym nie znam.

Ale po chwili uświadamiam sobie, że nie mogę narzekać na wybór naukowej specjalizacji. Podobnie jak geolog, który gdziekolwiek się ruszy, napotyka znajome struktury, ja też na każdym kroku wpadam na znajomych. Pamiętam tę myśl jeszcze ze studiów: fajnie jest być biologiem, bo gdzie nie pojedę, zawsze spotkam kogoś, kogo znam aż do najbardziej intymnych szczegółów jego rozmnażania. Biolog też nigdy nie jest osamotniony. Tym razem znajome stworzenia czekają na nas tuż za grzbietem wzniesienia. Dostrzegam je pierwszy, gdy w zasięgu wzroku pojawia się kolejna dolinka. Gestem uciszam i zatrzymuję swoich podopiecznych. Wszyscy powoli rozstawiamy się tuż pod szczytem i obserwujemy spokojnie pasące się nieopodal stadko reniferów. Jeden z nich podnosi głowę i chyba jest zainteresowany intruzami, bo powoli, skubiąc mizerne trawki, zbliża się do nas, żeby się lepiej przyjrzeć. Z odległości kilkunastu metrów zaglądamy w jego maślane ślepia, podziwiamy miękkie, gęste futro i grację ruchów, kiedy od niechcienia przeskakuje strumyk i lekko stąpa po śliskich kamieniach. Renifery to jedyni przedstawiciele jeleniowatych, u których poroże mają zarówno samce, jak i samice. U facetów wiadomo, do czego służy – do walk o dziewczyny. Dlaczego i one mają taką ozdobę? Popularna wersja głosi, że chodzi o odgrzebywanie spod śniegu porostów i smakowitych krzewinek, ale do tego służą im głównie racice. Wiadomo jednak, że zimą miejsca, gdzie w ogóle do czegoś można się dokopać, są cenne, zwłaszcza dla ciężarnych samic. Okazało się, że bronią one dogodnych żerowisk przed konkurentkami, i do tego przydaje im się poroże. Co ciekawe, w zimie samce poroża już nie mają, więc w hierarchii społecznej to samice stoją wtedy wyżej. Zapewniają sobie dzięki temu pierwsze miejsce przy stole.



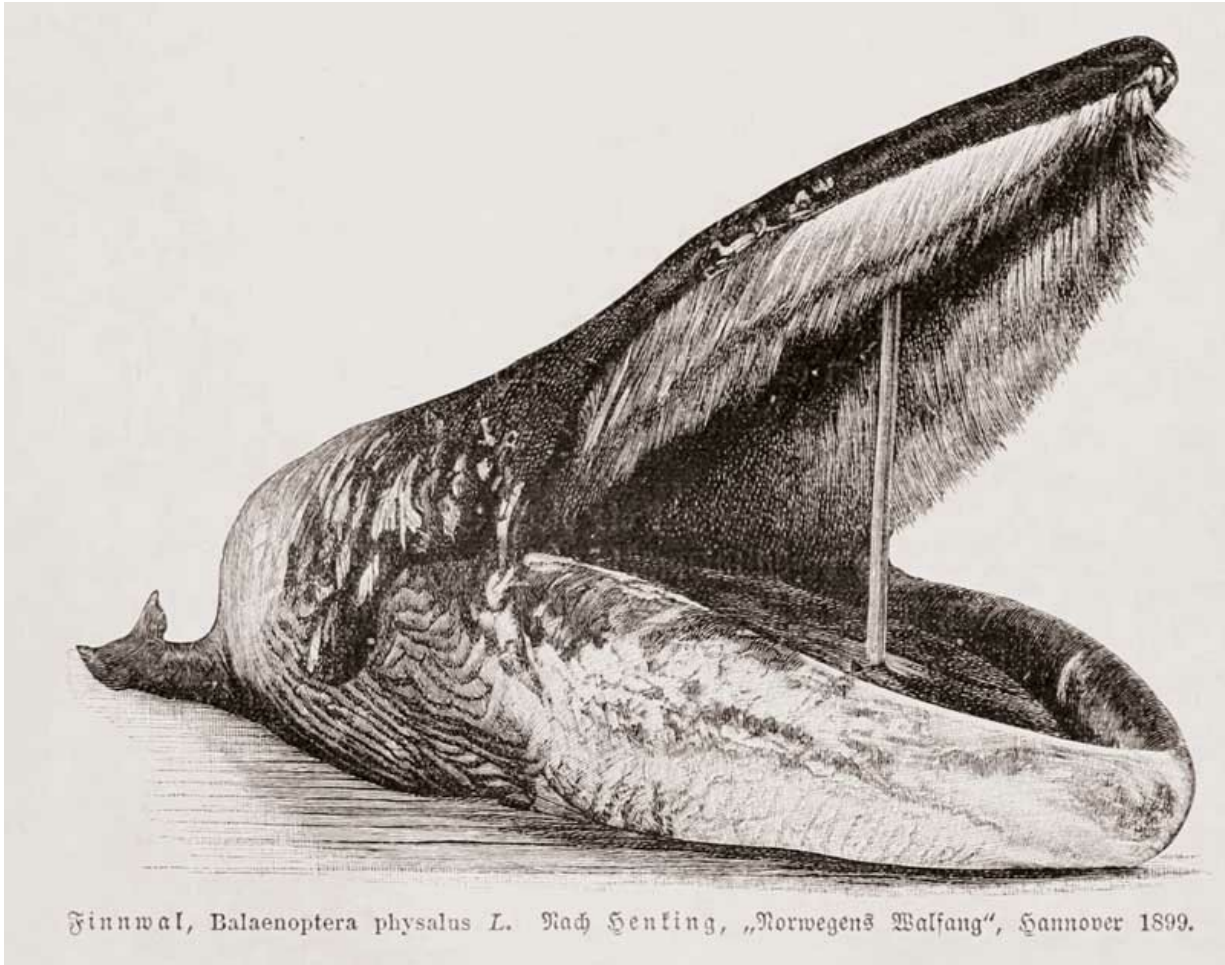


Renifer svalbardzki

Renifery zamieszkują prawie całą lądową Arktykę, okresowo zasiedlając nie tylko tereny kontynentalne, ale również pobliskie archipelagi. Dlatego żyły kiedyś na Ziemi Franciszka Józefa. Doszły tam po zamrożonym morzu, ale ich populacja nie utrzymała się tam zbyt długo. Co ciekawe, o ile od wschodnich krańców Azji aż po Finlandię praktycznie wszędzie zostały udomowione przez rdzenne ludy koczowniczo-pasterskie (fantastycznie opisuje to między innymi Magdalena Skopek w książce *Dobra krew. W krainie reniferów, bogów i ludzi*), o tyle ich północnoamerykańscy kuzyni, karibu (uznawane przez naukowców za ten sam gatunek), w bardzo podobnych środowiskach są jedynie obiektem tradycyjnych polowań. W XIX i XX wieku podejmowano nawet próby ich udomowienia, ale nigdy się na większą skalę nie powiodły. Svalbard to trochę inna historia, bo tu nigdy nie było żadnej rdzennej ludności. Renifery trafiły tu pod koniec ostatniego zlodowacenia i w ciągu tych kilkunastu tysięcy lat izolacji (choć możliwe, że kiedy zimy były wyjątkowo mroźne, sporadycznie kontaktowały się z populacją euroazjatycką, kiedy mogły migrować przez Ziemię Franciszka Józefa i Nową Ziemię) wyewoluowały w osobny podgatunek. Tubylcy są bardziej przysadziści od swoich kontynentalnych pobratymców – i odważniejsi, bo nie było w ich środowisku stale im zagrażających drapieżników. Temu zawdzięczamy tę inspekcję w wykonaniu młodego samca.

W nocy zbliżymy się do północnego skraju archipelagu i przekonamy, czy uda nam się go opłynąć. Będzie pewnie trochę bardziej bujało, bo oddalamy się od chroniących nas wysp i wpływamy w cieśninę Hinlopen. Poza tym widzieliśmy ostatnio tyle niedźwiedzi, że biorąc to wszystko pod uwagę, Hadleigh zarządza na wieczór białe przyjęcie: w barze będą poda-

wane białe drinki. Białe stroje mile widziane – im dziwniejsze, tym lepsze. Krzywię się trochę na tę myśl. Nie wiem, czy to polska cecha, czy to ja jestem taki nudny, ale nie znoszę bałków przebierańców. Lubię się bawić, ale zorganizowane zabawy zupełnie mnie nie interesują. Okazuje się jednak, że przyroda jest po mojej stronie. Po kolacji wychodzę na wieczornego papierosa. To smrodliwe przyzwyczajenie i nie jestem z niego dumny, palę też dużo mniej niż kilka lat temu, gdy zaczynałem; niemniej sprawdza się stara prawda, że – przynajmniej na statkach – palacze widzą więcej (no, może nie na parowcach). To właśnie w porach takich deserów na zewnętrznym pokładzie jako pierwszy zauważyłem wiele orek, niedźwiedzi polarnych i wielorybów. Tak jest również tym razem. Z przyzwyczajenia patrzę na horyzont i nagle coś przykuwa moją uwagę. Nie tylko ja tu puszczam dymki – kątem oka dostrzegam w oddali mały obłoczek. Przyglądam się badawczo i nagle pojawia się kolejny. Wcale nie taki mały – z wody wystrzeliwuje w górę coś, co z daleka wygląda jak pionowa chmura. Jest wysoka, kształtem przypomina kolumnę, długo się utrzymuje... Na pewno jest tu jakiś wieloryb – i najwyraźniej nie jest to humbak (ich oddechy wyglądają jak dość szerokie krzaczkę, stosunkowo szybko rozwiewające się w powietrzu). Po chwili widzę następny, potem kolejny... Wielorybów jest kilka, a tak potężne fontanny (to nie jest prawdziwa fontanna, z wielorybich nozdrzy wydobywa się pod dużym ciśnieniem zużyte powietrze, wzbogacone parą wodną i kroplami śluzu) mogą oznaczać wyłącznie finwale albo płetwale błękitne! Podniecony wzywam przez radio Hadleigha. Musimy ustalić, co dalej. Spotykamy się na mostku. Merel i Pamela już tam są. Wieloryby są na naszym kursie, więc wkrótce będą w pobliżu. Nie zważając na to, że kolacja jeszcze trwa (trzeba było jeść szybciej), ogłaszam przez PA, że spotkaliśmy stado morskich olbrzymów. Im jesteśmy bliżej, tym bardziej się przekonuję, wsparty konsultacjami z koleżankami, że płyną przed nami raczej finwale. To one często podróżują w grupach. No i spotkanie z nimi jest dużo bardziej prawdopodobne. Jestem odrobinę rozczarowany, bo finwale widziałem już wielokrotnie, a błękitnego olbrzymia – nigdy. Ale i tak się cieszę na to spotkanie. Zewnętrzne pokłady powoli zapełniają się podekscytowanymi turystami. Wieczne światło pięknie rozlewa się po otwartej wodzie, coraz bliższe grzbiety drugich co do wielkości zwierząt na naszej planecie połyskują czernią i złotem. Wokół statku jest ich już kilkanaście. Widać zagięte płetwy grzbietowe. Jeden przepływa tak blisko, że można zauważyć białą zuchwę z jego prawej strony. To znak szczególny, który pozwala bez cienia wątpliwości odróżnić finwala od podobnego, lecz trochę mniejszego i z nieco ostrzejszą płetwą sejwala, a także od płetwala błękitnego. Inaczej niż humbaki finwale na ogół nie przejawiają zainteresowania ludźmi ani statkiem. Ani się nas nie boją, ani nie starają uciec. Ale przedstawienie i tak jest wspaniałe. Statek stoi już w miejscu, a dwudziestometrowe cielska przepływają w pobliżu, zajmując się swoimi sprawami – sprawami wielkiej wagi. Czyli jedzeniem. Ponoć ta biała prawa zuchwa właśnie do tego się finwalom przydaje – żerując, płyną na boku. Mniej je wtedy widać na tle jasnego nieba. Wątpię jednak, żeby ryby mogły nie zauważyć, że są tuż pod wielorybem. Takie rzeczy się wie.



Paszczka finwala

Sejwale, humbaki, finwale i płetwale błękitne to z punktu widzenia wielorybników osobna liga. To już nie są powolne, tłuste wieloryby właściwe. Każdy należy do rodziny fałdownców, nazwanych tak ze względu na fałdy umożliwiające im ogromne rozwarście gęby i wyglądające trochę jak przeguby w autobusach i tramwajach. Ich ogromne ciała są smukłe, a żywią się, łykając gigantyczny haust wody i odcedzając na fiszbinach wszystko, co w niej było. Warstwa tłuszczu pod ich skórą nie jest aż tak gruba jak u wieloryba grenlandzkiego, ale przez samą swoją wielkość zapewniały łowcom obfity połów. Tyle tylko że pływają bardzo szybko (osiągający prędkość ponad pięćdziesięciu kilometrów na godzinę finwal zwany jest nawet morskim chartem) i uśmiercone toną, więc dla wielorybników stały się praktycznie niedostępne aż do czasu, gdy w 1870 roku norweski przedsiębiorca Svend Foyn wynalazł harpun wybuchający w ciele trafionego zwierzęcia, a działko, które go wystrzeliwało, zaczął montować na dziobie szybkich, specjalnie do tego celu skonstruowanych parowców. Rzeź fałdownców zaczęła się w okolicach Svalbardu w roku 1890, gdy Foyn w krótkim czasie upolował dziewięć płetwali błękitnych i trzy finwale. Po kilku latach skala przedsięwzięcia wzrosła i w 1905 roku piętnaście statków zabiło około ośmiuset wielorybów. Ta nowa krwawo-olejowa bonanza nie trwała jednak długo. Już rok później ofiar było mniej, a po roku 1912 większość statków przeniosła się gdzie indziej. Łącznie zabito około dwóch tysięcy wielorybów,

w większości należących do tych dwóch największych gatunków. Ponad sto lat później ich populacja wciąż się w pełni nie odbudowała, więc takie spotkanie jak to ciągle należy do rzadkości.

Finwalowa ekscytacja trochę opóźniła nasze białe przyjęcie, ale koło dwudziestej drugiej złowieszczy głos w PA dementuje plotki, jakoby miało się nie odbyć. Goście przychodzą do baru w różnie udrapowanych prześcieradłach. Nawet lubię patrzeć, jak się bawią. Jest coś wzruszającego w rozbawionych sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatkach podskakujących w rytm głośnych kawałków AC/DC. Prym na parkiecie (dużo powiedziane – to kilka metrów kwadratowych w przejściu, tam, gdzie nie ma stolików) wiodą jednak moi koledzy i koleżanki. Skąd oni mają tyle fantazji? Największe wrażenie robi nasz młody geolog z Australii, Will. Przyszedł w obcisłych niebieskich legginsach i ogromnym pudle obciążonym białym prześcieradłem. Przez dziury wystają mu ręce i głowa w śnieżnobiałej peruce. Jako nasz specjalista od lodu przebrał się za górę lodową. Ja, najnudniejszy członek teamu, sączę smętnie białego roszjanina, ubrany w białą służbową koszulę. Z jednej strony zazdroszczę im kreatywności, z drugiej utwierdzam się w przekonaniu, że to nie dla mnie, nic na to nie poradzę.

Dochodzi już północ i impreza powoli dobiega końca. Nagle z ponurych rozważań wyrывa mnie podekscytowany głos Pameli. Przeprasza przez PA, że budzi śpiących, i nawołuje do wyjścia:

– Znowu mamy kilka wielorybów, w tym prawdopodobnie płetwala błękitnego!

Nawet nie biorę aparatu. Biegnę prosto na mostek. Wiem, że jeśli to prawda, i tak bym nie pstrykał. Płetwal błękitny! Tyle lat pływam po mroźnych końcach świata, ale tego jeszcze nie widziałem! Całkiem sporo osób, nie licząc gości baru, zdecydowało się zwlec z łóżek. Ciągle jest jasno, świeci słońce. I faktycznie – widać kilka wielorybów, w różnych miejscach nad wodą wykwitają fontanny. Tu są dwa, tam jeden, tam kolejny... To najprawdopodobniej finwale. Nagle jakieś sto pięćdziesiąt metrów od nas wystrzeliwuje w niebo kolejna kolumna oddechu, ogromna, i długo pozostaje w powietrzu. Niestety nie jest tak jak z humbakami czy wielorybami grenlandzkimi, które na ogół można jednoznacznie zidentyfikować przy pierwszym spojrzeniu. Fontanna humbaka jest krzaczkowata, a zamiast płetwy grzbietowej ma on dziwny nieforemny wzgórek. Wieloryb grenlandzki wydmuchuje powietrze w dwie strony, więc fontanna przybiera kształt litery V, a na grzbiecie w ogóle nie ma płetwy. Jeśli jednak światło lub odległość nie pozwalają zobaczyć ubarwienia (płetwal błękitny jest w istocie szarawy, z charakterystycznymi plamami, podczas gdy finwale są ciemne, prawie czarne), rozróżnia się je po tym, że płetwal błękitny jest jakby pod każdym względem trochę „bardziej” – trochę bardziej duży, trochę bardziej wysoko wylatuje jego oddech, trochę bardziej daleko jest jego trochę bardziej zredukowana płetwa grzbietowa... Dlatego zarówno Merel, jak i Pamela (ja też, ale ja się nie odzywam, bo one znają się lepiej) nie są na sto procent pewne, choć wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście widzimy największego mieszkańca naszej planety. Bo istotnie – kolumna jest ogromna, a po niej bardzo długo przetacza się po powierzchni ogromny grzbiet, aż w końcu pokazuje się malutka, żałosna płetewka umieszczona tuż przed gigantycznym ogonem. Kiedy widać wydech płetwala błękitnego, można pójść do kajuty, zrobić sobie kawę, wrócić, a jego fontanna wciąż będzie wisieć w powietrzu, a grzbiet wciąż będzie widać. Są tak ogromne, że to właściwie nie zwierzęta, tylko elementy krajobrazu. Każde jego zbliżenie się do powierzchni zdaje się trwać wiecznie. Od razu przypominają się te durne porównania: serce tego wieloryba przewyższa wielkością volkswagena

garbusa, a jego arterie są tak szerokie, że mogłoby nimi przepłynąć jedenastoletnie dziecko. Już widzę, jak dzieci ruszają w taką krwistą eskapadę. Sam język tego kolosa waży prawie trzy tony. Nigdy (najprawdopodobniej – ostatnio odkryte dinozaury mogły być podobne, ale to nie zostało jeszcze potwierdzone) nie istniało na Ziemi zwierzę większe, a na pewno cięższe niż płetwal błękitny. Jego niski głos, kiedy się przesuwa w głębokich warstwach wody, inne płetwale słyszą z odległości kilku tysięcy kilometrów. Czyli mogą sobie pogadać przez cały Atlantyk, tak jak my rozmawiamy ze znajomym stojącym po drugiej stronie ulicy. Największy schwytany osobnik to samica (są zwykle dłuższe od samców), zabita w okolicach Georgii Południowej w 1912 roku. Mierzyła trzydzieści trzy metry i sześćdziesiąt centymetrów, a jej masę ocenia się na niemal dwieście ton.

No i właśnie na takiego wymykającego się wyobraźni kolosa patrzymy. Płetwal nie jest nami zainteresowany, więc nie pod pływa do statku. A my nie możemy mu przeszkadzać, więc bardziej się do niego nie zbliżamy. Pamela jest przekonana, że to rzeczywiście on, Merrel i ja mamy wątpliwości. Oczywiście wolałbym zobaczyć jego błękitnawy grzbiet, ale zwierzę, które co jakiś czas nam się pokazywało, faktycznie było ogromne. Pokaz nie trwa długo. Wieloryb odpływa w swoją stronę, my po chwili w swoją, ale zasypiam z przekonaniem, że oto zobaczyłem zwierzę, na które czekałem tyle lat. Jeszcze po południu byłem zwykłym śmiertelnikiem, ale teraz jestem nowym człowiekiem, bo spotkałem płetwala błękitnego.

W nocy wypływamy z cieśniny Hinlopen i już wiemy, że uda nam się zrealizować plan – opłyniemy Spitsbergen. Jesteśmy na jego północnych krańcach. Przed południem dostajemy sygnał z innego statku, że na małej wysepce z grupy Andøyane, czyli Wysp Kaczyc, odpoczywa samica niedźwiedzia polarnego z młodym. Spuszczamy zodiaki na wodę i ruszamy na poszukiwania. Tak, niedaleko brzegu leży zupełnie rozluźniona matka, a w nią wtula się mały miś! Nie chcemy im przeszkadzać, więc kolejno pod pływamy powoli, wyłączamy silniki i pozwalamy prądom nieść się wzdłuż plaży. W pewnym momencie malec podnosi ciekawsko głowę i zerka na nas, po czym znów ukrywa się między matczynymi łapami. Jakby tego było mało, na sąsiedniej wysepce dostrzegamy kolejnego niedźwiedzia! To duży samiec. Łazi po brzegu i szuka jedzenia. Na szczęście samica jest ponad kilometr od niego, na innej wyspie. To oczywiście dzika przyroda i gdyby postanowił malucha zjeść, nic byśmy na to nie poradzi. Co nie znaczy, że chcielibyśmy to oglądać. Opuszczamy matkę z dzieckiem i pod pływamy do wielkiego samca, ten jednak po chwili kładzie się i też ucina sobie drzemkę w porannym słońcu. Wracamy na statek.

Po południu kolejny lodowiec – Monacobreen, jeden z najslynniejszych lodowców Svalbardu, z długim na pięć kilometrów czołem rozdzielonym dawnym nunatakami, który jeszcze niedawno był z każdej strony otoczony lodem. Teraz jest nim otoczony już tylko na krawędzi, bo wszystko się cofa i rozpuszcza. Kiedy go oglądał książę Albert I z Monako, który w latach 1906–1907 prowadził ekspedycję mapującą, był zupełnie inny niż teraz. Niemniej wciąż jest imponujący. Jak zwykle podziwiamy skostniałe z zimna klify. Mamy nawet szczęście zobaczyć dwa spore cielenia, czyli odpadanie od czoła wielkich bloków: w ten sposób zaczynają życie góry lodowe. Lód jest fantastyczny, ale na mnie największe wrażenie robi stado kilku tysięcy mew trójpalczastych i rybitw popielatych, które widzimy z daleka. Wirują tuż przy biało-niebieskiej ścianie. Strumienie wypływającej z lodowca wody wzburzają denne osady, dzięki czemu woda jest żyzna i pełna planktonu, który przyciąga rzesze ptaków.

Nie możemy się zbliżyć do lodowca, więc ten niesamowity spektakl podziwiamy ze sporej odległości – ptaki wyglądają jak kolumna jętek wzbijających się do lotu godowego w letni wieczór.

Wieczorem odwiedzamy jeszcze rezerwat morsów na wyspie Moffen. Nie wolno tu lądować, ale można stanąć nieopodal i z pokładu podziwiać wylegające się na plaży tłuściochy. Nagle niewiarygodnie wprawne oczy Tony’ego Crockera – pięćdziesięciokilkuletniego bon vivanta z Nowej Zelandii, który jako ornitolog spędza praktycznie cały czas na wyprawach w najpiękniejsze części świata i jest jednym z najciekawszych, a zarazem najzabawniejszych ludzi, jakich znam – wypatrują na plaży szarą kropkę ze skrzydłami. Ponoć wygląda zupełnie inaczej od pozostałych szarych kropek – to mewa obrożna, jeden z najrzadszych i najładniej ubarwionych morskich ptaków. Faktycznie, kiedy wyteżam wzrok, widzę przez lornetkę charakterystyczne eleganckie wzorki na skrzydłach. Mam dobry wzrok, ale zawsze podziwiałem spostrzegawczość doświadczonych ornitologów.

Choć to morsy nas tu przywiodły, to mewa obrożna skradła im wieczór. Ale wkrótce i jednych, i drugą otula wieczorna mgła, a my płyniemy dalej, na północ, żeby poszukać lodu, który miał nas zablokować.

Kolejny dzień okazuje się jednym z najbardziej pamiętnych spotkań z Arktyką w moim życiu. I rano, i po szybkim lunchu pływamy zodiakami wzdłuż gęstego lodowego paku, wbijamy się weń i manewrujemy ostrożnie, żeby się nie narazić na szyderstwa kolegów i koleżanek, gdybyśmy utknęli wśród dryfujących kier. Cała bajkowa sceneria zalana jest pogodnym światłem. Hadleigh spuścił na wodę dodatkowego zodiaka i pływa w stroju Świętego Mikołaja, rozdając pitną czekoladę (kierowcom) lub czekoladę z likierem (pasażerom). Cała ta sztubacka atmosfera bierze się z tego, że nie pływamy sami. Razem z nami skraj lodowego paku penetrują... trzy płetwale błękitne! I jeden finwal, ale jakoś nikt nie poświęca mu należytnej uwagi. Trzy płetwale! Teraz już nawet najostrożniejsi sceptycy nie mają wątpliwości. Gigantyczne ciała są naprawdę blisko, a jasne słońce pozwala wyraźnie dostrzec ich szarobłękitne grzbiety z jasnymi plamami, proporcjonalnie malutkie płetewki grzbietowe i gigantyczne ogony – wielkości naszych łodzi. Trzy płetwale! Teraz czuję, że naprawdę mógłbym umrzeć. W bardziej sprzyjających okolicznościach tych kolosów spotkać się po prostu nie da. Jak zwykle nie zwracają na nas uwagi. Wynurzają się w różnych miejscach, zajęte swoimi sprawami. Czasem bliżej, czasem dalej. Najwięcej szczęścia mają nasi kajakarze, którzy poczuli falę wynurzającego się olbrzyma. Po całodziennym pływaniu wchodzę na statek zmęczony, ale najbardziej chyba bolą mnie policzki – od ciągłego uśmiechania.

Kolejny poranek witamy w Bruceneset. Jest chata traperska i relaksujący spacer po tundrze, widzimy dwie pardwy górskie, jedyne lądowe ptaki mieszkające tu przez cały rok. Wracając, zbieramy kawałki foliowych worków i sieci rybackich, które przyniosło morze. To smutne, ale po kilkuset metrach każdy z moich pasażerów ma ręce pełne śmieci. Niestety, to, co wywalamy w domu, nawet w Polsce, niesione morskimi prądami może dopłynąć aż tutaj. Po południu kolejna wycieczka zodiakami, tym razem w jednej z moich ulubionych zatok Svalbardu, w Hamiltonbukta. Są klify z gniazdującymi ptakami. Udaje nam się dostrzec buszującego pod nimi pieśca. Jest daleko, ale mam nadzieję, że któregoś dnia zobaczymy te liski z mniejszej odległości. Zasługują na to, bo to fascynujące zwierzęta. Wpływamy głębiej w płytką zatokę, ostrożnie manewrując wśród mielizn. Byłem tu cztery lata wcześniej i widzę, jak bardzo się cofnęły okoliczne lodowce. Zatokę zamyka Hamiltonbreen, i to on gotuje

dla nas największe emocje. Popołudnie, kiedy słońce rozgrzewa lodowce, to pora najintensywniejszego cielenia. I rzeczywiście, widzimy, jak od białej ściany odrywają się lodowe bryły, zostawiając po sobie wielkie, intensywnie niebieskie szramy. Dlatego nie podpływamy bliżej. Nasze zodiaki zostają ponad kilometr od lodowego klifu. Nagle widać, jak w pewnym miejscu odrywa się kolejna bryła, po chwili następna, jeszcze jedna... Ustawiam łódź dziobem do lodowca, bo czuję, że zaraz stanie się coś bardziej widowiskowego. I faktycznie, teraz już nieustannie osypują się lodowe okruchy (każdy z nich jest pewnie wielkości sporej lodówki), a po chwili wielki kawał ściany, długi na kilkadziesiąt metrów, osuwa się w dół! Widać potężne rozbryzgi wody. Dobrze, że nie jesteśmy bliżej, bo spadające bryły odbijają się od tych, które są już w wodzie, i wystrzeliwują na kilkaset metrów w różne strony. Parę lat temu taka mała bryłka zastrzeliła jednego z pasażerów łodzi w odległości ponad stu metrów od ściany. Leciała niczym kula karabinowa. Człowiek dostał w głowę i zginął na miejscu. Nam to nie grozi, ale szykujemy się na falę mroźnej wody. Tak wielkie cielenia powodują lokalne tsunami, które wywracają zodiaki i topią ludzi. Ogłuszający huk dociera do nas dopiero po chwili. Obserwujemy, jak woda wystrzeliwuje na otaczające zatokę skały, coraz bliżej nas. Jest płytko, a spiętrzenie okazuje się naprawdę wysokie. Kiedy wreszcie do nas dociera, fala ma ponad trzy metry wysokości, ale nasze zodiaki zgrabnie nad nią przeskakują. Podekscytowani pasażerowie krzyczą. Ja też jestem podekscytowany, bo czegoś takiego jeszcze nie przeżyłem. Potęga lodowca nikogo nie zostawia obojętnym i kiedy wracamy wśród świeżego lodowego gruzu, na zodiaku nie ma innych tematów. Furda z lisem i ptakami: bohaterem dnia jest lodowy olbrzym.

Wieczorem Hadleigh ogłasza kolejną atrakcję – Fuglesangen, czyli Ptasia Pieśń, mała wysępka z olbrzymią kolonią alczyków. Odwiedziłem ją już, więc tym razem nie schodzę na ląd, tylko przewożę tam i z powrotem kolejne grupy turystów, a w przerwach odpływam dalej od lądowiska, żeby zza węgła rozglądać się za niedźwiedziami, które lubią tu przyplwać na małą przekąskę. Wokół mnie, rozpaczliwie machając krótkimi skrzydełkami, latają moje ulubione arktyczne ptaszydełka. Powietrze jest przesycone ich nieustannym piskiem. Nie mogę się jednak w pełni rozluźnić. Choć morze jest spokojne i wiem, że moja łódź jest od misia szybsza, rozglądając się w słabym świetle po falach, czuję się trochę jak nerwowa foka na lodowej krze. To jakiś atawizm, pierwotny instynkt działający wbrew logice. Niedźwiedź nie zanurkuje przecież na kilkaset metrów wyłącznie po to, by do mnie niezauważenie podpłynąć, ale kto go tam wie? Chociaż rozglądam się naprawdę czujnie, nikogo nie widzę i koło północy, gdy wracamy na statek, wciąż jest nas tyle samo co rano.

Przedpołudnie nie okazuje się dla mnie pasmem sukcesów. Najpierw płyniemy w okolicach miejsca, w którym znajdował się Smeerenburg. Tym razem tam nie lądujemy. Przed kilku laty byłem na brzegu i wiem, jak niewiele zostało do oglądania po tej najszynniejszej stacji wielorybniczej na świecie. Kilka kawałków drewna, trochę kamieni i dużo błota. No i stada morsów na brzegu. Główną atrakcją okolicy jest leżąca po drugiej stronie wąskiej cieśniny Virgohamna. Mało komu pozwalają tam lądować, ale Hadleighowi jakoś się udało uzyskać od gubernatorki Svalbardu specjalną przepustkę. To niebezpieczne miejsce, otoczone wzgórzami i znane z częstych wizyt niedźwiedzi.

Właśnie tu w 1896 roku szwedzki inżynier Salomon August Andrée założył swoją bazę i stąd postanowił dotrzeć do bieguna północnego dzięki najnowszym zdobyciom technologii – dolecieć tam balonem wypełnionym wodorem. W pierwszym roku warunki pogodowe nie

pozwoili mu wyruszy, wrócił więc rok pózniej. Jedenastego lipca udało mu się wystartowaó wraz z dwoma towarzyszami, Knutem Fränklem i Nilsem Strindbergiem, kuzynem słynnego dramatopisarza. Juó na starcie stracili dwie liny sterownicze, a po chwili silne wiatry uniosły ich na pólnoc i juó nikt ich nigdy nie zobaczył. Zabrali ze sobą trzydzieóci szeó specjalnie wytrenowanych do warunków arktycznych gołóbi pocztowych, które mieli wysyłaó z meldunkami. Przez kilka dekad ich wyprawa była owiana tajemnicą, a i teraz nie wszystko o niej wiemy.

Balon o tradycyjnie niepretensjonalnej nazwie „Örnen” (czyli „Orzeł”) niósł ich dzielnie przez szeódziesiąt pió godzin, ale lód zamarzający na jego powierzchni uniemoóliwił im dalszy lot. „Orzeł” wylądował na lodowym paku po czterystu siedemdziesięciu pió kilometrach lotu. Załoga była dobrze wyposażona, mieli trzy par sani, łódó i prowiant na trzy miesiáce, a nawet pieniądze w walutach kaódego kraju, do którego mogli dolecieó. Po dwóch miesiácach wódrówki dotarli do samotnej wyspy Kvitøya, póložonej mióędzy Svalbardem a Ziemią Franciszka Józefa, rozbili namiot i... szybko poumierali, właóciwie nie wiadomo dlaczego. Wóród podejrzanych sá zatrucie pokarmowe, zatrucie tlenkiem wóglu, utoniócie, a nawet zabójstwa i samobójstwa. Pomimo intensywnych poszukiwań dopiero w 1930 roku na resztki ich obozu, włócznie z dziennikami i kamerą, natrafiła grupa norweskich podróóników. Znaleóli teó ciała. Skrupulatne notatki kończą się w kilka dni po dotarciu do lądu, ale negatywy udało się wywołaó i zdjécia z wyprawy naleóą do najsłynniejszych w historii wypraw polarnych. Po Andróem kolejne próby lotu balonem z tego samego miejsca podejmował w latach 1906–1909 Walter Wellman. Wócześniej nie udało mu się dotrzeó do bieguny z Ziemi Franciszka Józefa. Kiedy jednak Wellman usłyszał stwierdzenie Peary’ego, óe pólnocny kraniec naszej planety został juó zdobyty, zrezygnował z dalszych prób.

I właónie pozostaósci po ich obozach oglądają nasi goócie. Stoóą tam resztki wieóy, do której uwiózany był balon, ruiny budynków i mnóstwo innych ekscytujących ómieci.

Pozostali turyóci, czekając na swoóą kolej, pływają po okolicy w kilku zodiakach. Zerkamy z daleka na leóące na plaóy w Smeerenburgu morsy, badamy kilka malowniczych zatoczek i podglądamy wylatujące z kolonii alczyki. Zimno, ale fajnie, choó pod koniec nie możemy się juó doczekaó, kiedy przyjdzie nasza kolej na zwiedzanie starej bazy. Po godzinie dowoóę swoich na plaóę, zgarniam tych, co juó się nazwiedzali, i znowu ruszam w rejs. Morsy, plaóa, zatoczki, alczyki... Turyóci nie chcą juó pływaó. Naprawdę jest dosyó chłодно, szaro i buro. Odwoóę ich na statek i wtedy przez radio wzywają wolnych kierowców do pomocy przy kajakach. Kajakarze poszli zwiedzaó, a ich sprzęt pływa po okolicy, naleóy go więc zebraó i zawieóó na „Sea Spirit”. Trafiają mi się trzy dwójki, czyli długie i cióężkie kajaki dwuosobowe. Trzeba podpłynąć do kaódego, wcióznać na zodiaka, umieóció pod nimi taómy, na których dówig wniesie je na pokład, i jakoó znaleóó miejsce na nogi, po czym odpychając cióężary jedną ręką, nie daó się zrzució z łodzi i dopłynąć do rufy statku. Zaciózam swoje kajaki do cichej zatoczki, po kolei wciózam na pokład, a Tony patrzy ze zgroóą, jak fale coraz bardziej spychają mnie na brzeg. Na szczęócie mió nie przychodzi. W końcu kajaki leóą na burtach. Odpalam silnik i ostroónie opuszczam mieliznę. Do statku mam ponad kilometr i gdybym przyspieszył, podskakujący na falach ładunek zepchnąłby mnie do tyłu. A gdy wszystko przesuwa się w stronę rufy, ta robi się coraz cióęższa, zodiak bardziej się przechyla i kajaki zsuwają się szybciej. Płynę więc dosyó wolno. Potem czekam na swoóą kolej pod dówigiem – pasażerowie wracający po lądowaniu mają pierwszeństwo, a Tony z dwoma ka-



jakami dopłynął szybciej. Kiedy w końcu udaje mi się przyczepić zodiak do haka, a dźwig wciąga go na górny pokład, niemal wszyscy pasażerowie są już z powrotem. Na rufie stoimy w trójkę, z Tonym i Scottem. Wskakujemy więc do innej łodzi. Staję przy silniku i szybko płyniemy w stronę Virgohamna, żeby choć rzucić okiem. Niestety w połowie drogi słyszymy przez radio, że trzeba się zwijać. Nie chcę prosić Hadleigha, żeby na nas poczekali. W końcu oni też są już już nieźle przemarznięci. Rozczarowani, zawracamy. Kiedy zziębnięci wchodzimy po schodach, podnieceni turyści opowiadają, jakie fantastyczne były te pozostałości, ale foki były jeszcze lepsze! Noż psiakrew, jakie foki? Okazuje się, że w kolejnej zatoczce (tej, do której nie dopłynąłem podczas żadnej z wycieczek) kajakarze spotkali trzydzieści fok pospolitych wylegujących się na kamieniach, ćwiczących jogę i ogólnie bawiących się dobrze. Tuż przed ich, kajakarzy, nosami. I ponoć wołali przez radio i ktoś ich nawet usłyszał. Nawet się nie przyznaję, że choć widziałem w życiu mnóstwo fok w Antarktyce i całkiem sporo w Arktyce, to akurat pospolitych nigdy, mimo że występują nawet na polskim wybrzeżu. Nie, to zdecydowanie nie był mój dzień. Nawet wypić nic nie mogę na pociechę, bo po południu znowu będę pływał. No nic, mam motywację, żeby tu jeszcze wrócić...

Tym razem przesuujemy się tylko kawałek i płyniemy wśród zatok i wysepek Fuglefjordu. Jak sama nazwa wskazuje, mieszka tu dużo różnych ptaków, szukamy więc edredonów i maskonurów, ale tak naprawdę najintensywniej rozglądamy się za niedźwiedziem. Parę lat temu na dnie tuż pod powierzchnią leżał martwy wieloryb. Widziałem przy nim trzy misie jednocześnie. Samica uczyła swoje dziecko nurkować, samiec ich przepłaskał z miejsca na miejsce i dostał nawet od zdenerwowanej matki po mordzie. Potem pływał nam między łodziami, chodził po lodowcu i zjeżdżał na tyłku po ośnieżonym stoku, a na koniec zasnął z łapami rozkosznie wyciągniętymi w powietrzu. Słowem – niedźwiedzie eldorado. Tym razem jednak po wielorybie nie ma śladu, nie da się nawet pod wodą wypatrzeć kości.



Maskonury, Svalbard

Za to obok naszej łodzi pływa wyraźnie zaintrygowany maskonur! To kolejny ikoniczny gatunek Arktyki. Chyba nie ma na świecie człowieka, który by się nim nie zachwycił, czy to estetycznie, czy, niestety, kulinarnie. Kolorowy dziób naszego towarzysza bardzo poprawia nam humor. W drodze na statek widzimy jeszcze dwie rodziny bernikli białoliczych. Wyglądają jak przedszkolaki na spacerze. Dorosłe gęsi próbują jakoś ogarnąć stadka rozbiegających się pisklaków dzielnie maszerujących wśród kamiennych gruzowisk i komicznie ślizgających się po utwardzonym śniegu. Bernikle są ciekawe, ale ciekawsze są związane z nimi mity. Gęsi te gnieźdzą się w Arktyce, a pierwszymi Europejczykami, którzy widzieli ich jaja i młode, byli najprawdopodobniej uczestnicy wyprawy Barentsa, kiedy w 1596 roku odkryli Spitsbergen. Do tego czasu wierzono, że dorosłe ptaki wychodzą z morza, gdzie mieszkają na podwodnych drzewach. A wszystko dlatego, że ktoś dopatrzył się podobieństwa między gęsią szyją i głową a osiadłym skorupiakiem, który po polsku nazywa się, nieprzypadkowo, kaczenicą. Mamy kaczenice kaczkodajne i gęsiodajne. Mięsistymi (i całkiem smacznymi; kto był w Portugalii i jadł *percebes*, siusiakopodobne brązowawe rurki, ten wie) trzonkami przyczepiają się do różnych podwodnych obiektów. Ich skupiska istotnie wyglądają jak drzewka, a przy dużej dozie optymizmu można uznać, że pokryte wapiennymi płytkami ciało wygląda jak ptasi łebek z długą szyjką pod spodem. W średniowieczu wierzono, że gęsi rosną przyczepione dziobami do konarów, aż dojrzeją do lotu. Przekonanie to pokutowało bardzo długo i miało niezwykle interesujące implikacje. Po pierwsze – bardziej przyjemne, jako niepowstałe z mięsa, tylko z drewna, bernikle często były ozdobą piątkowych i wielkopostnych stołów (obok na przykład bobrów – przecież to też nie mięso: ma ogon pokryty łuskami

i żyje w wodzie, więc to na pewno kudłata ryba). Średniowieczni papieże dawali się przekonać do wielu bzdur, choć w tym przypadku na pewno smaczkowita gęsina pomogła im podjąć decyzję. Drugi z gęsiich przesądów miał wymiar dużo głębiej teologiczny. Otóż pod koniec XII wieku Giraldus Cambrensis (Gerald z Walii), którego zmienna kariera obejmowała zarówno stanowiska archidiakona i biskupa, jak i zwykłego mnicha, i którego pisma powszechnie czytano w Europie, nie tylko jako pierwszy zapisał z przekonaniem mit o berniklach, ale też wyciągnął z niego wniosek, że skoro głupie gęsi mogą spontanicznie powstawać w morzu, to niepokalane poczęcie Jezusa Chrystusa również z całą pewnością było możliwe. Wywód przywoływano podczas dyskusji z Żydami, co niewątpliwie przyczyniło się do trwałości legendy.



Stąd się biorą bernikle

Z właściwą temu językowi kreatywnością i precyzją po angielsku bernikłę nazywa się *barnacle goose*, kaczenicę zaś – *goose barnacle*. W średniowieczu znaleźli się jednak wredni sceptycy, którzy z obserwacji innych gęsi znoszących nudne jaja i wychowujących prozaiczne pisklęta wysnuli bezbożne wnioski. Był też na przykład znakomity król – intelektualista Fryderyk II Hohenstauf (to ten od eksperymentu deprywacyjnego: hodował dzieci bez dostępu do ludzkiej mowy, żeby się przekonać, jakim językiem posługiwali się Adam i Ewa), który wysyłał posłańców na północ, żeby mu przywieźli gęsie zalążki rosnące na gałęziach. Ni jak nie mógł się dopatrzyć podobieństwa do ptasich ciał, słusznie konkludując, że lęgną się one po prostu zbyt dla nas daleko. Ale to dopiero Gerrit de Veer, pierwszy oficer ze statku Barentsa, mógł napisać o legendzie: „teraz odkryliśmy, że jest niesłuszna, i nie ma nic dziwnego w tym, że żaden człowiek nie mógł stwierdzić, gdzie składają jaja, jako że żaden człowiek, którego znamy, nie był nigdy pod osiemdziesiątym stopniem”.

Zapewne nieświadome swojej imponującej kulturowej przeszłości bernikle drepczą chybotliwie w zaśnieżoną terażniejszość, my zaś wracamy na statek. Gęsi uratowały dla mnie ten dzień.

Rano odwiedzamy lodowiec 14 Lipca. Plaża jest mała, ale można się wspiać na skalne zbocze i stanąć tuż nad lodową połącią. Dla wielu to pierwsza okazja, żeby lodowiec obejrzeć z tak bliska, bo zwykle nie można do nich bezpiecznie podpłynąć. Ja nie idę. Prowadzę grupy w drugą stronę. Będziemy podglądać stada reniferów i podziwiać inną atrakcję – wiśzące ogrody. W pobliżu kilku niewielkich wodospadów na skraju równiny bujna, użyźniana guanem z otaczających nas gór tundra naprawdę poraża intensywnością zieleni. Niskie klify, z których spadają, otaczają całą zatokę malowniczym murem. Po spacerze wracam na plażę i widzę grupę nadciągającą znad lodowca. Widzę ich zachwycone twarze i uśmiecham się lekko – wiem, co czują. Te szare cielska ze szmaragdowymi pęknięciami szczelin nikogo nie mogą pozostawić obojętnym. Reszta porannej operacji upływa na wycieczce zodiakiem – płyniemy dalej wzdłuż nadmorskich klifów, które z ziemistych urwisk przechodzą w dramatyczne pionowe skały, poprzecinane grotami i szczelinami. Zamieszkują je kolonie maskonurów i nurzyków. Jest głęboko, więc płynę powoli przy samym brzegu, a setki ptaków latają nam tuż nad głowami. Klify wyprowadzają nas z zatoki na bardziej eksponowane wybrzeże, dzięki czemu mamy też trochę zabawy, gdy podskakujemy na mroźnych falach. W drodze na statek wszyscy trochę mokną, ale wyglądają na zadowolonych. Udaje mi się dobić do rozbujananej rufy i kolejno wyprowadzam pasażerów na pokład, a dwaj marynarze wyteżają się przy linach, próbując utrzymać zodiak na miejscu. I znowu się udało, nikt się nie przewrócił ani nie wpadł do wody – kolejna przyjemna wycieczka za nami.

Popołudnie spędzamy w zupełnie innej okolicy. Tym razem lądujemy w Ny-London, czyli w Nowym Londynie. Muszę przyznać, że podoba mi się tam znacznie bardziej niż w tym starym. To miejsce jest świadectwem kolejnej miejscowej gorączki złota. W 1906 roku odkryto złoża cennego kamienia, opisywane jako „nie mniej niż wyspa z czystego marmuru”. W roku 1911 Northern Exploration Company Ltd. założyła tu kamieniołom. Wkrótce potem pojawiły się krótka linia kolejowa, ciężkie maszyny, wagony, dźwigi, wyciągarki i potężne parowe silniki. Zbudowano też domy dla siedemdziesięciu ludzi, warsztaty i magazyny, przywieziono narzędzia i cały konieczny sprzęt. Łatwo uwierzyć, że liczone na ogromne zyski. Ale bloki marmuru, choć eksperci wychwalali jego jakość i urodę, pękały na mrozie. Klimat utrudniał również ich wydobycie. Okazało się niższe od zakładanego. W czasie pierwszej wojny światowej prace w kamieniołomie wstrzymano, a cała przygoda zakończyła się w roku 1920. Większość budynków rozebrano i przewieziono na drugą stronę fiordu. Zostały dwa i resztki kilku innych, dźwig smętnie zwisający nad morzem i fantastyczne industrialne potwory przycupnięte nad starymi torami – ogromne wyciągarki. Choć uwielbiam dziką przyrodę, muszę przyznać, że fascynują mnie takie apokaliptyczne krajobrazy. Stalowe monstra, pomniki ludzkiej chciwości i przedsiębiorczości, robią tu surrealistyczne wrażenie. Jak we śnie błądzimy wśród dziwnych śladów. Później idziemy w tundrę. Widzimy kolejne renifery, a na odległym stawiku niezawodny Tony wypatruje kilka nurów rdzawoszyich. Coś się dzieje – para tych pięknych ptaków odpędza właśnie intruzów, którzy chcieli usiąść na najwyraźniej niewłaściwej kałuży. Przyglądamy się zafascynowani. Czuję jednak, że zaczynam marznąć – na plaży było tak ciepło, że zdjąłem ciężką kurtkę i teraz, na wzniesieniu, trochę za nią tęsknię. Po minie Pameli widzę, że ona też. Oczywiście nie mogę ot, tak sobie

zrejtrować. Przewidziany jest dłuższy spacer. Dlatego ogłaszam, że kto chce już wracać, może iść z nami, a kto ma ochotę na dalszą wólczęę, może dołączyć do grupy Tony'ego i Ali. Udało się. Po chwili zabieram na zodiak pierwszą grupę.

Płynę w stronę statku i przyglądam się odległym budynkom na drugim brzegu. To Ny-Ålesund, oficjalnie najdalej na północ położona miejscowość na świecie (78°55'N). Tym razem tam nie dotrzemy, ale wcześniej kilkakrotnie udało mi się ją odwiedzić. To naprawdę małe miasteczko. Domów jest w nim raptem sześćdziesiąt, z czego trzydzieści to zabytki, bo jako jedyna osada na Spitsbergenie Ny-Ålesund nie zostało zniszczone w czasie drugiej wojny światowej. Jak wszystkie svalbardzkie miasteczka, to również powstało wokół kopalni węgla, która zaczęła działać w 1917 roku. Po 1945 wydobywano węgiel bardzo intensywnie, a miasteczko pręźnie się rozwijało. Miało około dwustu mieszkańców, własną szkołę i tak dalej. Niebezpieczne warunki prowadziły jednak do wielu wypadków – w latach 1946–1962 zginęło w katastrofach górniczych siedemdziesiąt sześć osób, z czego dwadzieścia jeden 5 listopada 1962 roku. Po tym wypadku kopalnię zamknięto. Mieszkańcy wynieśli się rok później, a premier Norwegii stracił urząd.

Ale historia Ny-Ålesund to nie tylko wydobywanie węgla. To stąd w 1925 roku na podbój bieguna wyruszył sam Roald Amundsen. Miał już za sobą pokonanie Przejścia Północno-Zachodniego i biegun południowy. Uznał, że czas zamknąć geograficzną klamrę. Jego wyprawa wyruszyła 21 maja na pokładach dwóch hydroplanów firmy Dornier-Wal, kreatywnie ochrzczonych „N-24” i „N-25”... i słuch po nich zaginął. Okazało się, że musieli lądować na morskim lodzie na pozycji 87°41'N. Zbudowali tam pas startowy i wszyscy razem wrócili jednym z samolotów, bardzo przeładowanym, który znowu (z braku paliwa) wodował awaryjnie w Brennevinsfjord na północnych krańcach archipelagu. Tak się złożyło, że przypadkiem był w pobliżu norweski żaglowiec. Przewiózł śmiałków z powrotem do Ny-Ålesund. Amundsen nie był jednak człowiekiem, który łatwo się poddawał. Wrócił rok później ze sterowcem „Norge”, skonstruowanym przez Włocha Umberta Nobilego. Kiedy szykowali się do lotu, zjawiał się w okolicach sławny amerykański pilot Richard Bird. Uprzedził ich. Wystartował na biegun 9 maja 1926 roku samolotem „Josephine Ford” firmy Fokker. Wrócił po piętnastu godzinach, twierdząc, że dotarł do bieguna, ale historycy są obecnie zgodni, że raczej nie było to możliwe. Oczywiście Amundsen o tym nie wiedział. Niezrażony, wyruszył sterowcem wraz z amerykańskim sponsorem Lincolnem Ellsworthem, Nobilem i jego włoską załogą. Opuścił Ny-Ålesund 11 maja. „Norge” przeleciał nad biegunem i bez przeszkód wylądował w Teller na Alasce. Tym samym Amundsen został tym, który jako pierwszy zobaczył oba bieguny. Nie obyło się niestety bez niesnasek – właśnie wtedy wybuchł jeden z najsłynniejszych sporów w polarnej historii: Amundsen i Nobile pokłócili się o to, czy honor przelecenia nad biegunem należy się młodemu narodowi Norwegii, czy faszystowskiemu Włochom. Benito Mussolini postanowił rozwiać wszelkie wątpliwości i w 1928 roku wsparł kolejną, teraz w całości włoską wyprawę Nobilego na sterowcu „Italia”. Po kilku udanych przelotach nad Syberią „Italia” wyruszyła na biegun i zawróciła w stronę Ny-Ålesund. Niestety sterowiec rozbił się na morskich lodach. Jeden członek załogi zginął. Inni oddryfowali wraz z resztkami statku powietrznego, sam Nobile zaś złamał nogę. Dziewięciu śmiałków zostało na lodzie w słynnym czerwonym namiocie. Ruszyły poszukiwania – na skalę niespotykaną od czasów poszukiwań zaginionej w XIX wieku wyprawy Franklina. Brało w nich udział ponad tysiąc czterysta osób (siedemnaście zginęło), dwadzieścia samolotów i czterna-

ście statków z sześciu państw. Również Amundsen szukał swojego dawnego wroga. Jego francuski hydroplan „Latham” wyruszył z Tromsø i rozbił się gdzieś w okolicy Bjørnøya. Ani wielkiego Norwega, ani nikogo z załogi nie odnaleziono. Można tylko spekulować, co się stało: czy przypadkiem nie podjął decyzji, żeby zostać w Arktyce na zawsze.

Radiowiec Nobilego w końcu zdołał wysłać w świat wiadomość SOS i podać położenie. Szwedzki pilot Ejnar Lundborg wylądował w pobliżu rozbitków, ale zabrał – jako najciężej rannego – tylko włoskiego szefa, po czym, kiedy próbował wrócić po resztę, rozbił samolot. W końcu uratował ich radziecki lodołamacz „Krasin”. W międzyczasie jednak dwaj Włosi wraz z zastępcą kierownika wyprawy Szwedem Malmgrenem wyruszyli na piechotę w stronę Spitsbergenu. „Krasin” popłynął za nimi, ale uratował tylko Włochów – ich szwedzki towarzysz zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Jego śmierć, a także fakt, że Nobilego ewakuowano jako pierwszego, postawiły włoskiego zdobywcę w bardzo złym świetle. Wraz z tymi wydarzeniami i śmiercią Amundsena skończyła się tak zwana heroiczna epoka polarnej eksploracji, ustępując miejsca systematycznym badaniom naukowym. Ny-Ålesund w pełni odnajduje się w tej sytuacji. W tym małym miasteczku, w którym jest właściwie jedna ulica wzdłuż i jedna w poprzek (na skrzyżowaniu stoi popiersie Amundsena), połowę terenu zajmują psie zagrody, a drugą połowę stacje naukowe kilkunastu krajów świata (z Chinami i Indiami włącznie), domy, jeden sklep z pamiątkami, supermarket, poczta i przychodnia. W pobliżu wciąż sterczy maszt, do którego przycumowano „Norge” i „Italię”, pod domami mają swoje nory pieśce. Całość wygląda jak Arktyka w pigułce. Szkoda, że tam nie płyniemy. Lubię to miejsce.

Kolejny dzień jest już ostatnim dniem naszej podróży. Zaczynamy od majestatycznego Alkhornet, czyli Rogu Alk, ogromnej szpiczastej skały górującej nad sporą równiną. Jak zwykle pionowa ściana pełna jest ptaków i jak zwykle dzięki nim tundra na równinie jest bardzo bujna. Również jak zwykle, zanim tam wylądujemy, uważnie przyglądamy się brzegowi w poszukiwaniu misiów. Widać kilka okrągłych białawych obiektów, ale po intensywnej dyskusji z lornetkami w dłoniach dochodzimy do wniosku, że to jednak głązy. Pamiętam to miejsce i pamiętam, że te same głązy zawsze wywołują tę samą dyskusję. A zatem – lądujemy.



Wydrzyk długosterny, Svalbard

Jedną z rzeczy, które lubię w dalekich podróżach, jest to, że w bardzo odległych miejscach świata znam nieźle kilka ścieżek. To samo dotyczy lądowisk – są takie miejsca w Arktyce i Antarktyce, gdzie dokładnie wiem, którędy płynąć, by uniknąć podwodnych skał. Tak jest i tutaj, więc płynąc do plaży, trzymam się tuż przy urwisku z prawej strony – cztery lata wcześniej udało mi się powiesić zodiaka na jednej z takich zanurzonych kilka metrów w lewo przeszkód, oczywiście ku ogromnej uciechu kolegów i koleżanek. Z takimi przyjaciółmi po co komu wrogowie? Kiedy pasażerowie są już na brzegu, rozdzielamy się na kilka grup i zaczynamy eksplorować okolicę. Tu chyba najlepiej można się przekonać, jak bogatym ekosystemem jest tundra, choć na Svalbardzie i tak nie spotkamy wszystkich jej mieszkańców. Cały teren gęsto porastają trawy, krzewinki, mchy i porosty. Wokół nas pasą się renifery. Nie tylko nie uciekają na nasz widok, ale wręcz podchodzą, żeby się nam lepiej przyjrzeć. Mimo że są łagodne i drobne, ich ogromne rozłożyste poroża budzą respekt. Jedna grupa nieostrożnie zbliżyła się do gniazda wydrzyka ostrosternego. Szybko się wycofuje, skuleni pod wściekłymi ciosami jego dzioba. Wydrzyki często same polują, ale jeszcze częściej nękają inne ptaki – tak długo, aż wypuszczą z dziobów lub zwymiotują zdobycz, którą niosą do gniazda. Dlatego prześladowanie gapowatych turystów to dla nich pestka, robią to zawodo.

Pośrodku zielonej równiny wyrastają wapienne skały. Kilka lat wcześniej obserwowałem tam małe pieńce. Nora może tu być od setek lat. Kiedy podchodzimy, okazuje się, że jeden z lisów leży w dokładnie takiej samej pozycji i dokładnie na tej samej skale (trzeba przyznać, że to lokum z pięknym widokiem), na której widziałem lisa cztery lata wcześniej. Mówię

swojej grupie, że to najdłuższa drzemka świata, i znowu przyglądam się z zachwytem, choć to niemal na pewno nie jest ten sam lis, a jego dorosłe dziecko lub wnuczątko.

Ten miejscowy cwaniak jest jednym z absolutnie najbardziej fascynujących mieszkańców Arktyki. Lis polarny, czyli piesiec. Drapieżnik ów jest świetnym przykładem na to, że wiele organizmów arktycznych to właściwie polarne wersje innych gatunków, żyjących nieco dalej na południe. Z krwi i kości to lis, tyle że dwukrotnie mniejszy od naszego lisa rudego, z nieco bardziej płaską mordką i dużo mniejszymi uszami. Spłaszczenie pyska i zmniejszenie uszu to adaptacje do zimnego klimatu – przez mniejszą powierzchnię traci się mniej ciepła. Z kolei niewielkie rozmiary raczej mu życie w zimnie utrudniają, bo powierzchnia jego ciała jest stosunkowo duża w porównaniu z objętością.

Powierzchnię mierzymy oczywiście w centymetrach lub metrach kwadratowych ( $x^2$ ), a objętość – w sześciennych ( $x^3$ ). To znaczy, że wraz ze zwiększaniem się dowolnego obiektu jego objętość wzrasta w stosunku sześciennym, a powierzchnia – kwadratowym. Innymi słowy, wraz ze wzrostem zwierzęcia jego objętość rośnie szybciej niż powierzchnia. Czyli ciała małych zwierząt mają stosunkowo dużą powierzchnię, a dużych – znacznie mniejszą. Jako zwierzęta endotermiczne ciepło tracimy przez powierzchnię, generujemy je zaś całym organizmem – objętością. To dlatego mniejszym zwierzętom trudniej utrzymać stałą temperaturę i co chwila muszą jeść (maleńka ryjówka aksamitna umiera z głodu po kilku godzinach), a większe mają nad nimi przewagę (nawet po śmierci: wnętrze ciała wieloryba jest ciepłe jeszcze przez trzy dni). Ale wróćmy do lisa. Mimo że jest najmniejszym ssakiem (zając bielak jest od niego cięższy) żyjącym aktywnie przez całą arktyczną zimę (lemingi są mniejsze, ale zimę spędzają w tunelach pod śniegiem, w dość łagodnych warunkach), radzi sobie tam świetnie, a jego adaptacje wywołują wciąż zdumienie naukowców. Można się rozpisywać o tym, jak specjalne ułożenie żył i tętnic pozwala mu zachowywać ciepło i nie tracić go przez łapy, ale chyba najbardziej interesującą z adaptacji jest jego futro, zgodnie uznawane za najdoskonalsze w zwierzęcym królestwie. Ten mały zwierzak jest w zimie otoczony nawet sześciocentymetrową warstwą gęstych włosów! W latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku, gdy niedawnych sojuszników zaczynała dzielić zimna wojna, amerykańscy naukowcy chcieli poznać mechanizmy pozwalające arktycznym ssakom żyć w tak ekstremalnych warunkach. Podczas dość brutalnego eksperymentu umieszczali kolejne zwierzęta w komorach chłodzących, żeby zobaczyć, kiedy wykażą objawy stresu termicznego, przy jakiej temperaturze ich metabolizm przyspieszy i kiedy zaczną dygotać z zimna. Różne ssaki radziły sobie różnie. Renifery marzły przy około stopniu powyżej zera, młode niedźwiedzie polarne – przy minus trzech, a piesiec po prostu się położył, zwinął w kłębek, nakrył nos futrzanym ogonem i zasnął. Komora pozwalała obniżyć temperaturę tylko do minus trzydziestu stopni Celsjusza, ale to dla liska nie wystarczyło. Musieli go przenieść do innego miasta, do innego instytutu, gdzie mogli stworzyć jeszcze chłodniejsze warunki, i tam okazało się, że pierwsze oznaki dyskomfortu widać u pieśca przy minus czterdziestu pięciu. Metabolizm przyspiesza przy minus pięćdziesięciu. Trząść zaczyna się przy minus siedemdziesięciu stopniach! Pieśce jedzą właściwie wszystko, od resztek zostawionych przez niedźwiedzie, przez skorupiaki wywalone na brzeg, po buty nieuważnych polarników. Są to też niezwykle śmiałe, ciekawskie i inteligentne zwierzęta, a historia arktycznych odkryć pełna jest kapitalnych historii o nich. No i nie sposób nie wspomnieć o tym, że jest to też chyba absolutnie najpięk-



niejszy zwierzołek, jakiego miałem okazję oglądać na wolności. Czy to w swoim wspaniałym, białym futrze zimowym, czy w znacznie delikatniejszym i bardziej zwiewnym letnim okryciu w kolorze ciepłego brązu, z całą pewnością jest jednym z powodów, które będą mnie do Arktyki ciągnąć.

Żegnamy śpiącego lisa. Nie raczył skwitować naszej obecności nawet poruszeniem uszu. Ten sprzed czterech lat przynajmniej spojrział na nas kilka razy, a nawet podniósł ogon, pokazując gdzie nas ma. Wiatr się wzmaga i powrót zodiakiem na dość odległy statek znowu jest interesujący. Po południu planujemy lądowanie w Poolepynten, na wąskiej wyspie Prins Karls Forland, leżącej równolegle do wschodniego wybrzeża Spitsbergenu. Ale nic z tego – wiatr jest zbyt silny. Płyniemy więc w stronę Longyearbyen. W fiordzie za zakrętem jest nieco spokojniej i na brzegu widzimy kolejnego niedźwiedzia. Spuszczamy wszystkie zodiaki na wodę. Ja płynę jako pierwszy. Mam znaleźć misia, który w międzyczasie zniknął nam z oczu. W końcu jest – kilometr dalej. Wynurzył się właśnie z wody tuż przed czołem lodowca i w gruzowisku lodowych odłamów skrada się do odpoczywających tam fok. Obserwujemy go przez chwilę z bardzo daleka, po czym się oddalamy. Przyroda sama to załatwi, ten spektakl nie potrzebuje widzów. Skoro nawet elektrony i kwarki zmieniają zachowanie pod wpływem obserwatora, niedźwiedzie i foki tym bardziej.

Podczas rejsu w stronę portu mijamy gdzieś tam, w głębi fiordu, Piramidę, słynne miasto duchów. Do niedawna działało prężnie jako wzorcowa osada górnicza ZSRR. Nigdy tam nie byłem, ale Ilona Wiśniewska dobrze je w swojej książce opisuje. Z górniczych osad w rosyjskich rękach pozostaje jeszcze Barentsburg, ale to miejsce też widziałem z daleka. Ponoć to prawdziwy skansen dawnego systemu. No cóż, jest po co wracać na Svalbard.

Na wieczornym re-capie przypominamy sobie całą tę niezwykłą podróż. Wyjaśniamy, co należy zrobić z bagażami, w zależności od tego, czy ktoś zostaje na kilka dni, czy zaraz odlatuje, a potem mamy uroczysty koktajl pożegnalny z kapitanem, kapitańską kolację i pożegnalną imprezę w barze. Nie biorę w niej udziału, bo zgłosiłem się do kopiowania pamiątkowych DVD z materiałami z wyprawy. Każdy dostanie w nocy taką pamiątkę. Zaglądam do baru tylko kilka razy i widzę, że przez te niecałe dwa tygodnie ludzie naprawdę się ze sobą żyli.

Pamiętam, jakie to kiedyś było trudne – poznawać ludzi coraz lepiej, aby ich później stracić, pewnie na zawsze. Wszyscy się wprawdzie wymieniają adresami mejlowymi, zapraszają do grona znajomych w popularnych mediach społecznościowych, ale tak naprawdę kontakty szybko ograniczą się do składania życzeń, gdy wszechwiedzący internet przypomni nam o czyichś urodzinach. Może to i dobrze. Przeżyliśmy coś niezwykłego i długo będziemy to wspominać.

W nocy wpływamy do portu i znowu udaje nam się znaleźć miejsce przy pirsie. Rano się żegnamy, a później każdy odjeżdża w swoją stronę. Wracam na chwilę do miasteczka, kupuję trochę pamiątek, odbijam się od baru, gdzie chciałem sobie wypić pożegnalne piwo (takie luksusy dopiero od południa, a dokładnie wtedy odjeżdża mój autobus na lotnisko) i jadę. Po godzinie z okna samolotu podziwiam góry tej wspaniałej arktycznej wyspy. Mam nadzieję, że jeszcze tu wrócę.

## 7. Wyspa lodu i wyspa zieleni. Albo odwrotnie

Suszone ryby to na Islandii podstawowy pokarm. Powinno się je rozdrabniać palcami i jeść z masłem. Ryby różnią się twardością. Te twardsze smakują jak paznokcie stóp, a te bardziej miękkie jak skóra z ich podeszew.

Louis MacNeice, W.H. Auden, *Letters from Iceland*

Tego samego lata Eryk wyruszył, aby zasiedlić ziemię, którą odkrył i nazwał Grenlandią. Uważał bowiem, że ludzie udadzą się tam chętniej, jeśli kraj będzie miał ładną nazwę.

*Saga o Eryku Rudym*

Dziwnie się czuję, stojąc na geologii o kilka lat ode mnie młodszej. Skała pod moimi stopami powstała w 1973 roku, podczas trwającej sto pięćdziesiąt pięć dni erupcji wulkanu Eldfell, który hojnie dorzucił 2,1 kilometra kwadratowego do terytorium wysepki Heimaey, największej w archipelagu Vestmanneyjar u wybrzeży Islandii. Archipelag ten nazywany jest też Westman Islands, a Heimaey po wulkanicznym prezencie mierzy teraz prawie trzysta i pół kilometra kwadratowego, czyli ciut więcej niż jedna czwarta powierzchni mojej dzielnicy, Ursynowa. Eldfell, dosłownie zalewając wysepkę podarkami, zniszczył szereg budynków i zmusił do miesięcznej ewakuacji jej mieszkańców. Zniszczeń zapewne byłoby więcej, gdyby nie heroizm i determinacja tubylców, którzy postanowili zachować żeglowność kanału prowadzącego do miejscowego portu i zatrzymali ciek lawy, wylewając na nią w sumie niemal siedem miliardów litrów chłodnej morskiej wody. W 1973 roku wysepka Heimaey była sławna na cały świat.

Teraz sławna już nie jest, pozostaje za to niesamowicie malownicza, a powstały w wyniku kompromisu między wysokimi klifami i ostatnią eksplozją wąski kanion, którym dwie godziny temu wpłynęliśmy do portu, jest jednym z najpiękniejszych, jakie widziałem. Z jednej burty magmowe poduchy porastają nieśmiałą zielenią ekologicznej sukcesji, z drugiej statek prawie ociera się o pionowe skały podziurawione grotami i gęsto usłaneorskimi ptakami. W pewnych miejscach minąć by się z nikim raczej nie dało. W dodatku na wprost portu, u ujścia kanału, leży wysepka z domem, w którym zamieszkałbym od razu. Dość płaska, wygięta jak siodło, wzniesiona wysoko na pionowych klifach, z samotnym białym domem pośrodku intensywnie zielonej łąki porastającej płaskowyż. A dookoła Atlantyki. Nie mam pojęcia, jak jego mieszkańcy się tam dostają, ale bardzo chciałbym sprawdzić.

Może innym razem. Miasteczko nie ma w sobie nic nadzwyczajnego, poza skansenem z niesamowitymi pokrytymi darnią chatami, które budowali tu wikingowie tysiąc lat temu.

Szkoda tylko, że darń pokryta jest puszkami i plastikowymi kubkami po dorocznym festiwalu rockowym, który przetoczył się przez wysepkę poprzedniej nocy. Większe wrażenie robią utrwalone w lawie domy i sprzęty z początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Zatrzymane w czasie, oldskulowe zasłonki, hipsterskie radyjka i tapety w stylu vintage dokumentują brutalne zetknięcie się świata cywilizacji ze światem przyrody. Tym razem, wyjątkowo, wygrała ta druga.

Dla mnie najciekawsza jest jednak wizyta w pobliskiej kolonii maskonurów. Pierwszy raz w życiu widzę ich tak wiele i z tak bliska, łącznie z ikonicznym obrazkiem kolorowego dziobu pełnego rybek przyczepionego do wytrzeszczonych z niepokojem oczek, dość rozpaczliwie trzepoczących skrzydełek i płetwiastych stóp rozczapierzonych z gasnącą nadzieją, że może tym razem uda się wyhamować i nie zaryć w ziemię: maskonur wraca z łupem do podziemnej norki, widok z przodu. Fantastyczne są te ptaki. Nawet bez nich byłbym podekscytowany: nareszcie trafiłem na Islandię! To jeszcze wprawdzie nie główna wyspa, ale marzyłem o tym miejscu od wielu lat.

Vestmanneyjar znaczy „wyspy ludzi z zachodu”. Odnosi się to do mieszkańców Irlandii, położonej niemal wprost na południe i odrobinę na wschód od Islandii. Ale to nie tak, że znanym z umiejętności nawigacyjnych wikingom coś się pomyliło – normańska nazwa *Vestmenn* oznaczała Irlandczyków w języku mieszkańców Skandynawii jeszcze przed ponownym odkryciem Islandii (pisał o niej już Pyteasz; to tu według wielu historyków znajdowało się Thule), kiedy miała dużo większy geograficzny sens. Wprawdzie to rzeczywiście irlandzcy, czy raczej ogólnie celtyccy, mnisi pustelnicy byli tu pierwszymi osadnikami, bo docierali na Islandię już około 800 roku, ale nazwa archipelagu nawiązuje do nieco późniejszych wydarzeń. W okolicach 875 roku Ingólfur Arnarson, pierwszy oficjalny osadnik normański na wyspie (w miejscu, gdzie się osiedlił, powstał później Reykjavik), wymordował tu zbiegłych irlandzkich niewolników, za to, że wcześniej zabili jego przyrodniego brata, Hjörleifura, który ponoć nie należał do zbyt łagodnych panów. Ingólfur ścigał ich po całej okolicy, aż wreszcie dorwał na Vestmanneyjar.

Ale my tego dnia po prostu wracamy ze Svalbardu i po krótkiej wizycie na Heimaey płyniemy do Reykjavíku. To typowy portowy dzień – rano ze statku schodzą nasi pasażerowie, koło szesnastej zaokrętuja się następní. Po zejściu gości jak zawsze mamy zebranie. Potem trzeba roznieść po kabinach kamizelki ratunkowe i kurtki. Kamizelki są oczywiście nasze, ale każdy gość musi taką założyć, gdy wsiada do łodzi. Kurtki dostają od naszej firmy w prezencie. To całkiem fajne ciepłe kurtki z kapitalnym polarem jako podpinką. (Nie wszystkie firmy są tak hojne. Ale za to jesteśmy ciut drożsi; z tą kurtką jest jak z batonikiem w Intercity. Jest drożej o dwadzieścia złotych, ale za to jest batonik za darmo). Po obowiązkach organizacyjnych mamy zwykle w porcie kilka godzin wolnego, choć nie dotyczy to osób, które szlachetnie zgodziły się wrócić na statek, żeby czekać na bagaże nowych pasażerów. Mam więc chwilę na połączenie z internetem (w Reykjavíku lata za darmo po ulicach) i na piwo w pobliskiej knajpie. Właściwie nie całkiem miałem na piwo ochotę, bo strasznie tam drogo, ale bar o wdzięcznej nazwie „Sodoma” skutecznie mnie skusił. Największym wyzwaniem dnia było umówienie jednej z turystek na wizytę u lekarza. Wraz z narzeczonym bawiła się tak dobrze, że jeszcze na statku wykupili kolejny rejs. Zostają więc i płyną z nami dalej, ale skończyły jej się pigułki antykoncepcyjne i musi dostać receptę. Zaangażował się nawet kapitan, bo znalezienie wolnego ginekologa w niedzielę i wystarczająco szybko nie było łatwe.

Ale się udało.

Koło szesnastej docierają nowi goście i odpływamy.

W.H. Auden nazwał Islandię krainą lodu i sag. Odkąd pamiętam, kraj ten kusił mnie z ogromną siłą. Tym razem ledwo otarłem się o powierzchnię i na pewno będę musiał tam wrócić, bo apetyt mam ogromny. Ale nie dziś. Teraz ruszamy na wyspę moich marzeń, do krainy ze snów i legend, chyba najbardziej wyczekiwanej ze wszystkich moich arktycznych destynacji – na Grenlandię! Islandia zostaje w tyle, już jutro będziemy w Ittoqqortoormiit. Już sama nazwa przyprawia mnie o gęsią skórkę.

Islandia i Grenlandia od ponad tysiąca lat są splątane dziejami Normanów, których często nazywamy wikingami. Wikingiem jednak się bywało w trakcie najazdów, a przodkowie współczesnych Skandynawów to właśnie Normanowie. Dla największej wyspy świata Islandia była jak starsza, nieco bardziej cywilizowana siostra, przynajmniej jeśli chodzi o obecność w kulturze europejskiej. Nawet nazwami, zdaniem wielu, wyspy te powinny się zamienić; tak byłoby lepiej, jeśli wziąć pod uwagę, że pokrywający Grenlandię lądolód jest mniejszy tylko od antarktycznego i zajmuje ponad 81 procent powierzchni wyspy. I coś chyba w tym jest, zwłaszcza że jedna z tych nazw to wynik krzywdzącego nieporozumienia, a druga – marketingowego oszustwa.

Jak na średniowieczne standardy społeczeństwo Islandii było bardzo nowoczesne. Zresztą chyba to im zostało. W końcu to oni po ostatnim kryzysie jako jedyni ukarali bankierów, a nie zwykłych obywateli, po czym na czele rządu postawili pierwszą oficjalnie homoseksualną głowę państwa we współczesnym świecie, Jóhannę Sigurðardóttir. Tysiąc lat temu też nieźle sobie radzili. Nie dość że przez kilkaset lat (930–1262) Islandia była w zasadzie demokratyczną republiką, w której najważniejsze decyzje podejmowano na zgromadzeniach, to jeszcze jej mieszkańcy w porównaniu z mieszkańcami innych krajów okazali się dobrze wykształceni, a jedną z ich rozrywek (coś wszak trzeba robić w długie zimowe noce) było pisanie i przepisywanie opowieści, z których wiele zachowało się do dziś. I wcale nie dotyczyło to tylko elity (o ile w tak egalitarnym społeczeństwie można o niej mówić) – prócz mieszkańców dworów i klasztorów przepisywaniem manuskryptów zajmowali się choćby rolnicy. Część utworów – Eddy – dotyczy normańskiej mitologii i do dziś czyta się je z przyjemnością. Mitologia chrześcijańska wypada blade nawet przy greckiej, ale to bogowie Normanów mieli chyba najciekawsze charaktery i przygody. Według Eddy młodszej, prozaicznej (w odróżnieniu od Eddy starszej, poetyckiej), napisanej w okolicach 1220 roku, czyli już po upowszechnieniu się w Islandii chrześcijaństwa, wszystkie te tradycje są ze sobą powiązane. Najpierw judaistyczno-chrześcijański Bóg stworzył świat, Adama i Ewę, by po jakimś czasie pozabijać wszystkich w potopie i uratować tylko pasażerów arki Noego. A potem przestał się wtrącać w losy Normanów i ich bogów. Część z nich pochodzi z... „Troi znajdującej się w krainie zwanej Turcją” i na przykład Thor był wnukiem Priama, a wychował się w Tracji. Według tego samego źródła poezja pochodzi ze zmieszanej z miodem krwi zamordowanego przez krasnoludy człowieka o imieniu Kvasir, zrodzonego ze śliny wyplutej przez uczestników spotkania, na którym bogowie z rodziny Odyna zawarli pokój z bogami z rodu Vanirów. Dla mnie to ma sens.

O ile jednak przygody i dokonania wszelkich bogów są trudne do zweryfikowania, o tyle historie opisane w islandzkich sagach i kodeksach są zdaniem historyków często dość dokładnymi opisami rzeczywistych wydarzeń. Stąd na przykład wiemy, że pierwszy Norman,

który zobaczył Islandię, to wiking Naddoddur. Około 850 roku – w trakcie rejsu z Norwegii na Wyspy Owczce, na których był jednym z pierwszych osadników – silne wiatry zepchnęły go na północ. Wyszedł na brzeg, wdrapał się na pobliskie wzniesienie i rozejrzał w poszukiwaniu dymów świadczących o obecności człowieka. Nie znalazłszy ich, wrócił na statek. Po drodze dopadła go śnieżycza, więc nazwał to miejsce Snæland, „krajem śniegu”. Następny był szwedzki wiking Garðar Svavarsson, który również niechcący zbiegł z kursu i opłynął cały ląd, udowadniając, że jest wyspą. Spędził zimę w okolicach Húsavík i skromnie nazwał całość Garðarshólmur, czyli Wyspa Garðara. Pierwszą normańską wyprawę celowo tam się udającą poprowadził około roku 860 słynny Norweg Flóki Vilgerðarson, zwany Hrafna-Flóki (Floki Kruk). Ponoć płynąc na północ, wypuścił po kolei trzy kruki: pierwszy wrócił na Wyspy Owczce, drugi na statek, a trzeci poleciał do przodu i to on doprowadził go do celu. Floki spędził na wyspie dwie zimy, które bardzo mu się dały we znaki (stracił wszystkie zwierzęta domowe, które ze sobą przywiózł). Gdy chłodną wiosną zobaczył wypełnione lodem fiordy, nazwał wyspę Island, „krajem lodu”, i tak już zostało. Gdy wrócił do Norwegii, opowiadał o nieprzyjaznej wyspie, ale to nie zniechęciło jego głodnych przygód pobratymców (surowe rządy Harald Pięknowłosego w Norwegii stały się dodatkową zachętą do emigracji) i niedługo potem zaczęła się w Islandii epoka normandzkiego osadnictwa.

Co ciekawe, późniejsze północne odkrycia Normanów to właściwie rodzinna impreza. Bratem Naddodura był norweski wódz Oxen-Thorir. Pięć pokoleń po nim, w pierwszej połowie X wieku, jego potomek Gunnbjörn Ulfsson zgodnie z rodzinną tradycją dał się zdmuchnąć z kursu i odkrył Grenlandię. Właściwie tylko ją zobaczył, ale to wystarczyło, by inny z potomków Oxen-Thorira, słynny Eryk Rudy, kilkanaście lat później mógł bardziej świadomie popłynąć w jej stronę. Przyczynę peregrynacji Eryka dość łatwo ustalić. Najpierw wraz z ojcem, Thorvaldem, musieli opuścić Norwegię „z powodu jakichś zabójstw”, jak to lakonicznie opisuje *Saga o Eryku Rudym*. Osiedlili się na Islandii, ale ognisty temperament Eryka znowu dał o sobie znać. W Haukadale, żyznym rejonie, w którym osiadł, doszło do kolejnych kilku zabójstw i Eryk, decyzją thingu (czyli islandzkiego wiecu), zmuszony był wyemigrować w niezbyt gościnne okolice pobliskiego Breidafjordu. Tam, zapewne ku zaskoczeniu wszystkich, znowu wdał się w krwawy spór (poszło o tronowe słupki, które pożyczył sąsiadowi, a ten nie chciał ich oddać) i został wypędzony z Islandii na trzy lata. Jak na tak porywczego człowieka niewątpliwie nie był głupcem. Postanowił wykorzystać swoje zesłanie w sensowny sposób. Przed nim, około roku 978, dotrzeć do Grenlandii próbował Snæbjörn Galti. Nie zdołał się tam osiedlić, bo zabił go kolega ze statku. Jego wyprawa potwierdziła jednak wieści o istnieniu lądu na zachód od Islandii, więc Eryk wyruszał z dużą dozą zaufania, że coś tam na niego czeka. Przyplłynął, wylądował i wyspa wydała mu się obiecująca, ale stwierdził, że musi jakoś przekonać ludzi, żeby popłynęli z nim. Dlatego nazwał odkryte ziemie Grenlandią, czyli „zieloną krainą”, i wróciwszy, opowiadał wszystkim, jak tam fajnie, jak dużo przestrzeni i bujnych pastwisk. Musiał być bardzo przekonujący, bo w lecie 986 roku ruszył z powrotem, stojąc na czele dwudziestu pięciu statków pełnych kolonistów. Niestety do celu dotarło tylko czternaście z nich. Resztę obciążonych ludźmi, zwierzętami domowymi i nieożywionym dobytkiem jednostek pochłonął burzliwy Atlantyk.

Thorcerus, vel Thoraldus taurinus. Thorcer filium  
Sabuit Ulf, cuius gnatus fuit Aswaldus, gignens Thorwal-  
dum Erici Raudei patrem.  
Thorwaldus cum filio Erico ob perpetratum homicidium



Effigies Erici Raudei ad delineatio-  
nem Einarki Eiolfroni adumbrata.

è Norragia in Islandiam aufugit, ubi in promontorio eju-  
dem Infula caurum versis villam vocatam Drangar ad  
vite

Eryk Rudy

Ci, którzy przeżyli, założyli na południowo-zachodnim brzegu wyspy osadę. Jej resztki nazywamy obecnie Osiedlem Wschodnim, w odróżnieniu od założonego wkrótce potem i położonego około pięciuset kilometrów dalej na północny zachód Osiedla Zachodniego. Na

miejscu okazało się, że propagandowy zabieg Eryka nie cały opierał się na kłamstwie. Około 1000 roku klimat Grenlandii był łagodniejszy niż dziś. Wokół osiedli rozciągały się bujne pastwiska, w okolicy żyło mnóstwo reniferów, a wyprawy na północ gwarantowały obfite zdobycze w postaci wołów pizmowych, niedźwiedzi polarnych, morsów i narwali. W miejscach, gdzie założono osiedla, rosło nawet trochę drzew – małych, ale zapewniających opał. Przybysze byli przyzwyczajeni do surowego klimatu, a że Islandia została skolonizowana już sto lat wcześniej, można śmiało przyjąć, że większość z nich nie zostawiła za sobą najlepszych terenów rodzinnej wyspy. Osiedla szybko się rozrastały. Szacuje się, że w szczytowym okresie w Osiedlu Wschodnim znajdowało się kilkaset farm i żyło do czterech tysięcy ludzi, w zachodnim jakieś cztery razy mniej. Czego Grenlandia nie mogła im zapewnić, mogli uzyskać z Europy w zamian za bogactwa północy.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Eryk ruszył z osadnikami na Grenlandię, wyprawił się na Islandię kolejny wiking, Bjarni Herjolfsson. Gdy tam dotarł, dowiedział się jednak, że jego rodzice, których chciał odwiedzić, wyruszyli razem z Erykiem, i postanowił popłynąć za nimi. Po drodze starym normańskim zwyczajem również on dał się zdmuchnąć z kursu i odkrył Amerykę. Ale na spotkaniu z rodziną zależało mu tak bardzo, że mimo błagań załogi postanowił nie eksplorować dostrzeżonego w oddali lądu. Wrócił na kurs i w końcu do Grenlandii dotarł, przynosząc wieści o porośniętym drzewami lądzie jeszcze dalej na zachód. Eryka i jego ludzi podekscytowały te nowinki. Nie szczędzili Bjarniemu kąśliwych uwag na temat braku awanturczego ducha, którym się wykazał, nie badając nowej krainy. Sam Bjarni osiedlił się na Grenlandii, a po śmierci ojca wrócił do Norwegii. Miał dwadzieścia trzy lata.

Dla mieszkańców Grenlandii informacje o kolejnych lądach, które można by zdobyć, a zwłaszcza o porastających je lasach zapewniających budulec, były bardzo kuszące. Choć więc osiedla grenlandzkie rozwijały się prężnie, a łagodny klimat i bujne pastwiska zapewniały im całkiem dostatnie życie, wkrótce postanowili się wyprawić w tamtą stronę. W 999 roku syn Eryka, Leif Eriksson, kupiwszy statek Bjarniego, zabrał trzydziestu pięciu ludzi i ruszył na zachód. Pierwszą krainę, którą odkryli, pokrywały płaskie głazy. Wyglądała na niezbyt gościnną, więc nazwali ją Helluland (Krainą Płaskich Głazów) i popłynęli dalej. Obecnie uważa się, że było to gdzieś na kanadyjskiej Ziemi Baffina. Kolejny odkryty przez nich skrawek lądu okazał się „płaski i zalesiony, z łagodnymi zboczami schodzącymi do morza. Natknęli się na liczne plaże białego piasku. Wtedy Leif przemówił: «Te ziemie zyskają miano według tego, co oferują, i nazwiemy je Markland [Kraina Lasów]»”. I odpłynęli. Dotarli wreszcie tam, gdzie postanowili się osiedlić i spędzić zimę. Odkrywając z czasem dzikie zboża i winorośle, nazwali nowe ziemie Vinland, co najprawdopodobniej oznacza właśnie Krainę Wina, ale interpretacje nie są jednoznaczne. Najprawdopodobniej była to Nowa Fundlandia, gdzie zresztą w L’Anse aux Meadows odkryto pozostałości wikingów. Wracając z wyprawy, Leif uratował z samotnego szkieletu grupę rozbitków pod wodzą Norwega Thorira i jego żony Gudrid, dzięki czemu zyskał przydomek Leif Szcęściarz.



W wielu miejscach na Grenlandii można spotkać częste obozowiska myśliwych

Po Leifie do Marklandu i Vinlandu wyprawiali się obaj jego bracia, Thorvald i Thorstein (ten w międzyczasie ożenił się z owdowiałą Gudrid). Ale zarówno ich wyprawy, jak i podjęta parę lat później przez sławnego kupca Thorfinna Karlsfeniego (wraz z ponownie owdowiałą Gudrid, z którą i on się ożenił) najpoważniejsza próba kolonizacji Vinlandu rozбивały się o kolejny nieprzewidziany problem: o miejscowych. Nawiasem mówiąc, można uznać, że jedną z najważniejszych uczestniczek normańskich ekspedycji do Ameryki była właśnie Gudrid, ponieważ brała udział w prawie wszystkich amerykańskich perypetiach i jako pierwsza Europejka urodziła tam syna, Snorriego.

Kolonizując Islandię i Grenlandię, Normanowie właściwie zdobywali tereny dziewicze. Wprawdzie na Islandii żyło kilku celtyckich pustelników, a na Grenlandii rdzenna ludność inuicka, ale tych pierwszych łatwo dało się wchłonąć, a drugich na początku nawet nie spotkali, bo ci trzymali się północnych części wyspy (na południu było na ich gust za ciepło). Ale amerykańscy Indianie od początku dali się poznać jako nie tylko liczni, ale również bitni gospodarze, i nie bardzo im się podobały te próby osiedlania się. Mimo że istniała między Normanami a rdzennymi Amerykanami wymiana handlowa, każda z wypraw Grenlandczyków kończyła się coraz bardziej uciążliwymi potyczkami ze Skrælingami, jak określali zarówno inuickich, jak i indiańskich autochtonów (językoznawcy sądzą, że ten czuły termin oznaczał łachmaniarzy, co zresztą nie dziwi. W końcu Skandynawowie rdzenną ludność swojego półwyspu nazywali Lapami, szmaciarzami, choć sami mówili o sobie Saami, czyli ludzie). Dlatego po kilku zimach spędzonych przez różne wyprawy w różnych punktach Vinlandu i po zbadaniu zaledwie ułamka amerykańskiego wybrzeża kilka lat po 1000 roku w za-



sadzie zaniechano – pomimo bogactwa nowych ziem, które zamieszkiwało „tak wiele ptaków, że ledwo udawało im się tam chodzić, nie depcząc jaj” – prób trwałej kolonizacji (choć pewne źródła sugerują, że mała i odizolowana kolonia Normanów mogła istnieć w Ameryce jeszcze w XII wieku, a papież Aleksander III rozważał, czy ze względu na ich odosobnienie nie złagodzić nieco ścisłych kościelnych reguł dotyczących kazirodztwa – na tyle było ich mało i tak daleko byli od innych Europejczyków, że właściwie wszyscy byli spokrewnieni). Nieliczne dowody wskazują na to, że kontakty handlowe z Inuitami z północy kontynentu i wyprawy do Marklandu po drewno podejmowano jeszcze w XIV, a może nawet w XV wieku.

Muszę przyznać, że uwielbiam islandzkie sagi. O dokonaniach Grenlandczyków najwięcej mówią nam *Sagi winlandzkie*, czyli *Saga o Grenlandczykach* i *Saga o Eryku Rudym*. Choć różnią się nieco szczegółami (spisano je niezależnie od siebie około dwustu lat po wydarzeniach, o których opowiadają), stanowią całkiem rzetelne źródło informacji, w dodatku zapisanych w sposób zaskakująco nowoczesny, dzięki czemu czyta się je jak dobre historie z domieszką fantasy. I tak na przykład możemy się dowiedzieć, że Eryk, osiadłszy na Grenlandii, naprawdę nie miał ochoty już nigdzie się stamtąd ruszać (albo fatalnie jeździł konno), bo w obu sagach – gdy z trudem udało się go namówić na wyprawę – przed wyjazdem spada z końskiego grzbietu i musi zostać, aby leczyć połamane kawałki. Ale poznamy też charakterystyki mniej prominentnych postaci, jak choćby Thorhalla, zwanego Łowcą, który zawsze „stał się ze wszystkich sił wywoływać awantury”. Najbardziej jednak w sagach lubię lakoniczność zawartych w niej obrazów i cierpkie poczucie humoru normandzkich bohaterów. Niech zaświadczy o tym opis śmierci innego syna Eryka, Thorvalda. Wedle *Sagi o Grenlandczykach* jego ludzie zostali zaatakowani przez Skrælingów, a gdy ich odparli, Thorvald zapytał towarzyszy, jakie odnieśli rany. Dowiedziawszy się, że nikt nie ucierpiał, oznajmił:

Zostałem zraniony pod ramieniem [...]. Strzała przeleciała pomiędzy burtą statku a tarczą, trafiając w moją pachę. Oto ta strzała, a rana ta spowoduje moją śmierć. Radzę wam teraz jak najszybciej przygotować się do powrotnej podróży, ale zabierzcie mnie na ten przylądek, który wydawał mi się tak dobrym miejscem na farmę. [...] Pogrzebicie mnie tam i zaznaczycie mój grób krzyżami u głowy i u stóp, po czym nazwiecie to miejsce Krossanes (Przylądek krzyża).

W *Sadze o Eryku Rudym* przemówienie jest krótsze, ale za to zabawniejsze, a w dodatku Thorvalda nie postrzelili ludzie, tylko tajemniczy Uniped, z niesamowitą prędkością biegający po okolicy (z jedną nogą i łukiem). Syn Eryka, wyciągając ze swych trzewi strzałę zabójcy, stwierdził: „Mam niezłą warstwę tłuszczu na swoim bandziochu! Zdobyliśmy wspaniały kraj, ale okazuje się, że krótko będziemy nim się cieszyć”.

I umarł.

Normanowie również do kwestii śmierci, bogów i zaświatów odnosili się z chłodnym pragmatyzmem. Chrześcijaństwo przyjmowali z rozsądnym oporem, łaskawie włączając nowych bogów w poczet tych starszych. Każdy miał też osobisty ranking potęgi każdego i każdej z nich – zależnie od sytuacji. Sagi wspominają o tym, że do Boga chrześcijańskiego zdobywcy Ameryki modlili się dopiero wtedy, kiedy nie pomógł Thor. Z drugiej strony – i to jest mój ulubiony przykład religijnej praktyczności – sławny norweski król Olaf Triggvasson, jeden z najsłynniejszych wodzów wikingów w historii, ten, który właściwie wyczuwając po-

lityczny klimat średniowiecznej Europy, wprowadził chrześcijaństwo w swoim kraju i uczynił Leifa Erikssona osobiście odpowiedzialnym za wprowadzenie nowej religii na Grenlandii, zawsze powtarzał, że do Walhalli trafiają wszyscy polegli w boju wojownicy, ale niektórzy trafiają tam jako nieco równiejsi od innych. Gdy około 1000 roku wracał z wyprawy i wpadł w zasadzkę królów Szwecji i Danii, zorientował się, że nie ma szans z przeważającymi siłami wroga. Jego statek został staranowany. Wskoczył wtedy za burtę w pełnej zbroi i ze skrzynią pełną skarbów pod pachą – wiedział, że bogowie w Walhalli lubią tych, którzy im przynoszą hojne dary i sadzają ich na lepszych miejscach przy stole. Lepiej więc było się zabezpieczyć.

Praktyczne podejście do życia w jakiś sposób przekładało się też na normańską egalitarność. Sama republika islandzka istniała dość długo, ale pozbawioną bezpośredniego władcy społeczność Normanów na Grenlandii można uznać za najdłużej istniejącą demokrację w historii świata. Od samego początku aż do jej końca, przez niemal pięćset lat, króla tam nie było, a decyzje podejmowano na wspólnych wiecach zwanych thingami. O takim równościowym podejściu świadczy nie tylko szacunek, jakim mogły się cieszyć kobiety takie jak Gudrid, ale też epizod kończący *Sagę o Eryku Rudym*. Bjarni Grimolfsson, jeden z przywódców wyprawy Karlsfeniego, wracał właśnie na Grenlandię, gdy ich statek wpłynął na Morze Robaków. Robaki poprzewierały się przez drewniane burty, co groziło zatopieniem. Smołą z foczego tłuszczu udało im się zabezpieczyć jedną z łodzi tak, że stała się bezpieczniejsza, ale mogła do niej wsiąść zaledwie połowa wojowników. Wtedy Bjarni stwierdził, że nie pozycja będzie decydowała o tym, kto się uratuje, tylko losy. Poszczyściło mu się, ale jeden z pozostawionych na statku młodych Islandczyków wypomnił mu, że obiecał się nim zajmować, gdy go namówił na wyprawę, i zaproponował, żeby się zamienili. Bjarni odrzekł z przekąsem: „Niech tak będzie [...], widzę bowiem, że cenisz sobie życie i bardzo się przejmujesz tym, że możesz umrzeć”, i wkrótce zmarł razem z innymi pozostałymi na statku.

Kiedy i dlaczego przestały istnieć normandzkie kolonie na Grenlandii, nie wiadomo, ale stało się to prawdopodobnie na początku XV wieku. Gospodarka Normanów opierała się głównie na hodowli bydła i wyprawach łowieckich na północ, które zapewniały napływ artykułów wymienianych później w Norwegii na wszystko, czego ich wyspa nie mogła zaoferować. A także na wymianie handlowej z Inuitami, o czym świadczą normańskie artefakty w archeologicznych stanowiskach rdzennej ludności Arktyki i inuickie – w normańskich. O tym, jak daleko Normanowie zapuszczali się na północ, świadczy odkryty w 1824 roku stos kamieni. Na jednym z nich znaleziono runiczne inskrypcje z połowy XIII wieku. Stos znajdował się na wyspie Kingittorsuaq ( 72°57'N, czyli niecałe dwa tysiące kilometrów od bieguna), a napis był w zasadzie średniowiecznym graffiti z cyklu „tu byłem” – były to nazwiska trzech podróżników, którzy dotarli tam w sobotę przed tak zwanym dniem krzyżowym (błagalnym), 25 kwietnia.

Przyczyn upadku ich początkowo bardzo dobrze prosperującej społeczności można wymienić kilka. W najlepszym dla siebie okresie grenlandzcy Normanowie mieli na wyspie ponad czterysta farm (tyle znaleziono pozostałości), które zamieszkiwało zapewne do pięciu tysięcy ludzi. Na początku XII wieku osadnicy byli już na tyle zorganizowani i bogaci, że uznali za potrzebne, by ktoś ważny nadzorował funkcjonowanie szczątkowych struktur miejscowego Kościoła katolickiego. Wysłali więc Einara Sokkasona, jednego ze swoich przywódców, do norweskiego króla, z prośbą o przysłanie im biskupa. Einar nieodparcie kojarzy

mi się z księciem Konradem Mazowieckim, który sto lat później wyciął nam dość podobny numer, tyle że nie został do tego oddelegowany przez większość zainteresowanych. Najbardziej północne biskupstwo świata objął niejaki Arnald, choć zastrzegał się, że „niezbyt dobrze sobie radzi z trudnymi ludźmi” (widać sława pobratymców Eryka poszła w świat). Mimo to dotarł na wyspę. Miejscowi obdarowali go wspaniałą farmą w miejscu o nazwie Gardar. Wybudowano mu katedrę pod wezwaniem patrona żeglarzy, św. Mikołaja, oborę na sto sztuk bydła i specjalne szopy na dziesięcinę, pobożnie zbieraną przez księży na potrzeby Rzymu. Te skromne początki, dzięki cierpliwym staraniom katolickich kapłanów i naiwności pobożnych parafian, doprowadziły do tego, że już w połowie XIV wieku Kościół stał się największym posiadaczem ziemskim na Grenlandii, a jego włości obejmowały dwie trzecie miejscowych farm. Pozostali Grenlandczycy musieli płacić wcale niezmnijające się dziesięciny (finansując choćby wyprawy krzyżowe na drugim końcu świata, a nawet walkę z heretykami we Włoszech) i podatki dla króla Norwegii, który ich otaczał łaskawą opieką. Ponadto w miarę jak Związek Hanzeatycki umacniał swoją dominację na szlakach handlowych północnego Atlantyku, osłabiając tym samym pozycję Norwegii, statki kupieckie coraz rzadziej docierały ze Skandynawii na Grenlandię, pozbawiając osadników wielu koniecznych do życia i pracy towarów, jak choćby żelaza do wyrobu narzędzi. Dla samej Hanzy tak dalekie podróże były nieopłacalne, zwłaszcza odkąd coraz łatwiej dostępna kość słoniowa z Afryki zmniejszyła popyt na morsowe kły.

Niezależnie od Kościoła, polityki i prawideł rynku, Normanowie samym swoim sukcesem przyczynili się do nadciągającej klęski. Hodowane przez nich bydło, kozy i owce pożerały, deptały i ścierały glebę zbyt szybko, by delikatny ekosystem grenlandzkiej tundry nadążał się odtwarzać. Karczowanie karłowatych drzew – potrzebnych na opał do domostw i do przetapiania metali – jeszcze przyspieszało erozję. Do tego doszły zmiany klimatyczne. Po okresie średniowiecznego optimum klimatycznego, którego szczyt nastąpił właśnie w czasie kolonizacji Islandii i Grenlandii, klimat stopniowo się ochładzał, co w końcu doprowadziło do małej epoki lodowcowej. Jej skutki zaczynały być odczuwalne już w XIII–XIV wieku. Oznaczało to krótsze okresy wegetacyjne, czyli nie dość że rośliny miały mniej czasu na odtworzenie biomasy, a zwierzęta na swobodne pasienie się, to jeszcze wydłużał się okres, gdy musiały przebywać w zamknięciu, czyli rosło jeszcze zapotrzebowanie na siano i opał. Ponadto wraz z ochłodzeniem coraz więcej Inuitów przemieszczało się na południe, więc nasilała się konkurencja o zwierzynę łowną i nieuniknione konflikty. Ostatecznym ciosem mogły się też okazać najazdy brytyjskich lub baskijskich wielorybników czy piratów, o których wspominają pewne źródła historyczne i inuickie przekazy ustne (choć nie ma na to dowodów archeologicznych), a także epidemia dżumy, która w 1402 roku pochłonęła dwie trzecie populacji Islandii, a wcześniej dotknęła Norwegię. Nie ma wprawdzie na Grenlandii zbiorowych grobów, co świadczy o tym, że zaraza raczej tam nie dotarła, ale gwałtowne opustoszenie krajów położonych dalej na północ mogło zachęcić Grenlandczyków do emigracji.

Mimo tych wszystkich nieszczęść Grenlandia nadal nadawała się do życia, o czym świadczy stała obecność rdzennej ludności inuickiej. Dlatego najbardziej prawdopodobną i najpowszechniej obecnie przyjmowaną teorią wyjaśniającą zniknięcie grenlandzkich Normanów jest ta, którą zaproponował amerykański antropolog i zooarcheolog Thomas McGovern. Stwierdził on, że o klęsce potomków wikingów zadecydowała kombinacja wymienionych wyżej czynników i samobójcze przywiązanie ludzi północy do europejskiej tradycji, wynika-

jące ze zbyt konserwatywnej i hierarchicznej struktury Kościoła i społeczności. Wniosek z tego, że Normanowie tak mocno pragnęli pozostać Europejczykami, że stracili zdolność adaptowania do zmieniającego się świata. Dlatego ignorowali umożliwiające przeżycie wynalazki Inuitów, poczynając od ich ubrań (w mogiłach z Osiedla Wschodniego znaleziono odzież wełnianą, podobną do modnej wówczas w średniowiecznej Francji i Holandii), a kończąc na narzędziach takich jak specjalny harpun z przetyczką (którego grot w ciele zwierzęcia ustawia się pod kątem prostym i nie może się wyśliznąć z rany), pozwalający na polowanie na foki w przeręblach, czy nawet zwykły... haczyk na ryby!

Ostatni z grenlandzkich Normanów, o którym wiemy, został znaleziony koło 1540 roku przez islandzkich żeglarzy. Oni także, jak wielu przed nimi, zostali zdmuchnięci z kursu do domu. Leżał twarzą w dół, tam, gdzie umarł, na plaży w jednym z fiordów, odziany w kaptur, wełniane tkaniny i focze skóry, a obok niego leżał „pogięty, bardzo zużyty i pordzewiały” nóż. Znalazcy wzięli go na pamiątkę. Nie wiadomo, od jak dawna ten człowiek tam leżał. Porusza mnie (trochę) obraz ostatniego z wiernych tradycji, który wolał umrzeć niż opuścić ojczyznę lub przystosować się do nowych warunków. I trudno mi się oprzeć myśli, że podobnie jak jego pobratymcy w dużej mierze sam był sobie winien.

\*\*\*

Ittoqqortoormiit. Po raz pierwszy stoję na największej wyspie świata. Jest olśniewająco jasno. Małe domki zdają się błyskać wszystkimi kolorami tęczy, choć chyba najwięcej jest niebieskich i czerwonych. Później przekonam się, że kolorowe domki są charakterystyczne dla całej Grenlandii. Po wysadzeniu pasażerów na brzeg nie mam zbyt wiele czasu, ale też dużo go nie trzeba. Cała miejscowość – zwana wcześniej Scoresbysund, na cześć Williama Scoresby, wielorybnika, który pierwszy zmapował ten rejon w 1822 roku – liczy około czterystu pięćdziesięciu mieszkańców. Metropolia to to nie jest. Ale za to bardzo malowniczo rozlewa się po skalistym brzegu i wcina w Atlantyk niewielkim cyplem. Z zachwytem i fascynacją chodzę po szutrowych uliczkach, póki się nie natknę na schnącą w słońcu skórę niedźwiedzia polarnego rozpiętą na drewnianej ramie. Grenlandia jest autonomicznym terytorium królestwa Danii. Z niecałych pięćdziesięciu sześciu tysięcy mieszkańców osiemdziesiąt dziewięć procent to Inuici. Prawo chroni ich obyczaje, również te, które niekoniecznie mi się podobają. Polowanie na niedźwiedzie polarne i na wieloryby to właśnie część tej chronionej tradycji.

Mięso finwali i wali karłowatych w miejscowym sklepie niezbyt mi się podoba, ale za to psy mają naprawdę fantastyczne! Zawsze uważałem psy w typie husky albo malamuta za najfajniejsze ze wszystkich, a tu na ulicy każdy tak wygląda. Po krótkiej wizycie w muzeum (kajaki, stare ubrania i dużo karabinów, bardzo podobne stoją na sklepowych półkach) znajduję chwilę na odwiedzenie miejscowego poganiacza psich zaprzęgów. Nazywa się Gary Rolfe. Jedynym Brytyjczykiem, który w polarnych warunkach pokonał więcej kilometrów po ziemi, był Wally Herbert. Gary ze swoimi psami przeszedł, przebiegł i przejechał ponad trzydzieści pięć tysięcy kilometrów, czyli dużo więcej niż Scott czy Shackleton. Na Grenlandię przeniósł się wiele lat temu – uznał, że poganianie psów to najlepsza rzecz, jaką można robić. To jedyna dyscyplina sportowa wykorzystująca zwierzęta, co do której nie mam etycznych zastrzeżeń: tym psom ganiecie z saniami sprawia autentyczną radość. Dobrze jest porozmawiać z kimś, kto odnalazł swoją pasję i zrobił z niej swoją pracę. W sumie ja też tak

mam. Trafiłem akurat na porę karmienia psów, więc ich wesoła ekscytacja wypełniła nam uszy radosnym poszczekiwaniami. Niemniej psy Gary'ego to nie są kudłaci przytulacze – za ledwie kilka pozwala mi się łaskawie pogłaskać. To potężne, imponujące i półdzikie zwierzęta, które w zagrodzie nudzą się, śniąc o pędzie przez grenlandzkie pustkowia.

Opuszczamy Ittoqqortoormiit i ze statku podziwiamy fiordy półwyspu Liverpool Land, a po południu lądujemy w Hurry Inlet. Jak to zwykle bywa w Arktyce, najpierw długo przyglądamy się okolicy przez lornetki, a później kilkoro z nas schodzi na brzeg z bronią palną i wyznacza teren, po którym mogą chodzić turyści. Wędrujemy po dość ubogiej tundrze otoczonej łagodnymi brązowymi wzgórzami. Krajobraz jest inny niż na Spitsbergenie, jakiś taki bardziej przedpotopowy. Nie ma aż tak strzelistych, lśniących lodowcami gór, wszystko rozwija się jakby wolniej, ale za to bardziej monumentalnie. I co chwila łapię się na tym, że spodziewam się zobaczyć, jak z którejś z tych gór dostojnym krokiem schodzi sobie dinozaur. Natykamy się na regularne poligony glebowe, charakterystyczne dla wiecznej zmarzliny. Wielokątne i niezwykle równe poduchy ziemi otoczone są wypełnionymi kamieniami bruzdami. Całość wygląda jak przedziwny bruk i trudno uwierzyć, że nie poukładał tego człowiek, tylko odwieczne cykle zamarzania i odmarzania wierzchniej warstwy gleby. Ciągną się prawie po horyzont, miejscami porośnięte wełnianką i karłowatymi drzewami. Spacer po tundrze zawsze mają dla mnie surrealistyczny wymiar i tego dnia nie jest wcale inaczej.

Wieczorem czeka nas ciąg dalszy bajkowych wrażeń: słońce zachodzi niesamowicie długo i świat przybiera złoto-różowe barwy. Na tym tle intensywnie niebieskie góry lodowe aż przytłaczają swoim pięknem. To, co robią na granatowym morzu, określa się chyba jako majestatyczne sunięcie – dla mnie są jak klejnoty rzucone na bezcenną osnowę Wszechświata. Przegięcie z tą urodą świata. Muszę się napić.

Nasz statek nazywa się „Akademik Joffe”. To świetnie przystosowany do tych rejonów rosyjski statek badawczy. Za barem pracuje Diane, robiąca doktorat z politologii specjalistka od prawa międzynarodowego dotyczącego ochrony rejonów polarnych. Sama uznała, że nie warto nam robić małych drinków – członkom wyprawowego teamu gin z tonikiem podaje w szklankach do piwa (*expedition size*), żebyśmy jej zbyt często nie zawracali głowy.

Następny dzień to kolejne polarne zachwyty. Tym razem pływamy zodiakami w okolicach Sydkapu. Wciąż jesteśmy w systemie Scoresbysund, największego fiordu na świecie, na terenie Parku Narodowego Północnowschodniej Grenlandii. Pogoda dopisuje, góry lodowe lśnią nieskazitelną bielą i absurdalnym błękitem, foki grenlandzkie wylegają się na krach, a morze jest spokojne i niebieskie, zupełnie jak niebo. Jedna z gór gwałtownie się topi – w przygrzewającym mocno słońcu woda spływa z niej strumieniami i wszyscy starają się uchwycić ikoniczny symbol globalnego ocieplenia: lód tryskający wodospadem do morza.

Po wycieczce na chwilę schodzimy na ląd, żeby się przejść po kolejnej dolinie wśród brązowych gór. Wszędzie widać pozostałości po lodowcach i ślady świadczące o tym, jak daleko jeszcze nie tak dawno sięgały. Smutne to refleksje, ale popołudniowe barbecue na pokładzie odpędza ponure myśli. Rosyjska muzyka dance, dobre jedzenie i grzane wino wśród obłądnych krajobrazów Øfjordu sprawiają, że podobnie jak reszta ludzkości radośnie przestajemy myśleć o zagrożeniach ekologicznych i beztrudnie tańczymy w ich obliczu. Póki można, jest dobrze.

Ostatni dzień w północnowschodniej Grenlandii to konglomerat Røde Ø (czyli Wyspy Czerwonej; widać Duńczycy nie uznali, żeby słowo wyspa zasługiwało na więcej liter),

krwistych piaskowców, które geologicznie łączą się z Górami Kaledońskimi w Szkocji. A to oznacza, że są bardzo stare. I znowu góry lodowe, malownicze skały z tak zwanymi dajkami, czyli żyłami niezgodnymi – wąskimi, magmowymi strumieniami skał wciskającymi się pomiędzy starsze osady. Regularne bryły bazaltu nieodmiennie zachwycają. Niebieskie niebo i morze, biały lód, czerwone skały i my zawieszeni w trójbarwnym krajobrazie.



Zachód słońca w okolicach Ilulissat

Pożegnanie z tą stroną wyspy to kolejna wycieczka zodiakami i deser – Graham, nasz szef, zarządził zwiad, czyli wycieczkę samego teamu na Danmark Ø, małą wysepkę, na której znajdujemy pozostałości obozu traperów, pewnie sprzed stu lat. Zardzewiałe puszkę, ślady po namiotach i zaśnieżone ramki drucianych okularów. Przewyciężam pokusę, żeby je zabrać na pamiątkę (mam to już głęboko wpojone). Atmosfera jak na szkolnej wycieczce – wreszcie możemy się poczuć swobodnie, przez chwilę nie jesteśmy w pracy, tylko radośnie eksploatujemy fantastyczne znaleziska i zachwycamy się całym systemem wysepek i kanałów, w którego sercu jesteśmy. Od bardzo dawna zaglądają tu tylko żeglarze i rybacy. Zack – prowadzi na statku program kajakarski i jest specjalistą od kajakarstwa górskiego; udało mu się przepłynąć kajakiem kilka rzek, których nikt wcześniej nie pokonał – ku naszej radości ćwiczy eskimoskie przewrotki, czyli gwałtownie zanurza się po jednej stronie kajaka, po czym z gracją wynurza się po drugiej. W morskim kajaku przestrzeń wokół wiosłarza uszczelniona jest neoprenową spódnicą, więc nawet przy takich ewolucjach woda nie nalewa się do środka. To bardzo ważna umiejętność, bo kajaki czasem się wywracają, ale ćwiczenia wyglądają bardzo zabawnie. W sztubackich nastrojach snujemy marzenia, jak by to było fajnie, gdyby nasza firma zorganizowała kiedyś taką integracyjną wycieczkę dla samych przewodników. Nie

chodzi o to, że nie lubimy swoich turystów. Ja zawsze myślę o tym, że już samo to, że wybrali się na wyprawę w te dzikie i piękne rejony, zamiast na dwutygodniowe wczasy na zatłoczonej hiszpańskiej plaży (moja osobista wizja piekła) sprawia, że w pracy spotykamy na ogół bardzo fajnych ludzi. Z częścią z nich jeszcze po latach utrzymuję znajomość. I nie tylko ja. Ale dobrze czasem poczuć się beztrosko, nie odpowiadać za nikogo i cieszyć się własną kompanią. Ludzie, którzy wybierają taką pracę, zawsze mają ze sobą wiele wspólnego. Bardzo dobrze się z nimi dogaduję, choć każde z nas jest z innego końca świata. Wzmocnieni tą chwilą wytchnienia wracamy na statek. W swoim zodiaku wiozę kapitana statku, który postanowił do nas dołączyć, więc poczucie odpowiedzialności wraca mi trochę prędzej niż pozostałym. Przed nami podróż na zachód Grenlandii, gdzie ludzi i zwierząt jest więcej, historia jest bogatsza, a miejscowości bardziej ludne.

Najpierw odwiedzamy Tasiilaq, siódme co do wielkości miasteczko Grenlandii, wciąż na wschodnim wybrzeżu, ale dalej na południe. I znowu kolorowe domki przetrzą malownicze zbocze góry, znów muzeum ze strojami i sprzętem inuickich łowców fok i z pięknymi odświętnymi ubraniami. W pobliskim sklepie można kupić mnóstwo pamiątek, łącznie z kurtkami i czapkami z foczej skóry i miękkimi figurkami małych słodkich foczek zrobionych ze... skóry małych słodkich foczek. Obrzydliwość. Ponure refleksje wracają, gdy w porcie odkrywam upolowaną rozdętą fokę grenlandzką, przyczepioną do plastikowego baniaka pełniącego rolę bojki. Ja wiem, tradycyjny sposób życia powinniśmy szanować, ale dziwnie kontrastuje on z nowoczesnym w zasadzie miasteczkiem. Humoru nie poprawia ogromne wysypisko śmieci, które wielobarwnym korowodem beztrosko spływa sobie z miasteczka prawie do samego morza. Gdy odpływamy, niedaleko dostrzegamy dwa humbaki, chyba na pocieszenie. Podobnie jednak jak północne fokki, nie pozwalają się za bardzo do siebie zbliżyć. Tutejsze zwierzęta znają człowieka dużo lepiej niż ich pobratymcy z Antarktyki. Dobrze, że w ogóle można je zobaczyć.

To właśnie w moich oczach odróżnia Grenlandię od Ziemi Franciszka Józefa czy Svalbardu: choć z jednej strony oferuje fantastyczne surowe krajobrazy, lodowce, góry lodowe i dziką przyrodę, to z drugiej zapewnia spotkanie z bogatą historią cywilizacji, z trwającą kilka tysięcy lat obecnością ludzi, w dodatku reprezentujących bardzo różne kultury. Myślę o tym dzień po wizycie w Tasiilaqu i patrząc na liczące około tysiąca lat pozostałości po kamiennej chacie i pułapkach na lisy, ustawione tu przez ludzi z kultury Dorset, poprzedników Inuitów. Dużo o nich nie wiemy, ale jedno mogę powiedzieć na pewno: potrafili wybrać miejsce z ładnym widokiem! Ślady ich siedziby widać na ogromnej płaskiej skale pośrodku zbocza góry, kilkaset metrów nad wodą. W każdą stronę (i to oczywiście decydowało o tym, czy polowanie będzie bezpieczne, a także skuteczne) rozciąga się oszałamiająca panorama fiordu Skoldungen. Nawet nie mam odwagi próbować tego opisać...

Kolejny dzień, kolejne ślady człowieka. Rano lądujemy w Herjolfsnæs, blisko normańskiego Osiedla Wschodniego, i oglądamy pozostałości po XIII-wiecznym kościele. Przypomina mi się historia z początkowego okresu chrystianizacji Grenlandii. Eryk Rudy nie chciał porzucić wiary przodków, ale jego żona Thjodhild szybko nawróciła się na nową religię. Eryk jako dobry mąż pogodził się z fanaberiami ukochanej i zbudował jej kościół, ale niezbyt duży i dość daleko od farmy, żeby sobie nawzajem nie przeszkadzali. Thjodhild modliła się wraz z rosnącą rzeszą nawróconych i odmówiła sypiania z mężem, jak to formułuje saga „ku jego ogromnemu niezadowoleniu”. Ciekawe dlaczego...

Później, ale wciąż rano, odwiedzamy Nanortalik, niewielkie miasteczko z bardzo prężnie działającą spółdzielnią Inuitów (prowadzą nawet supermarket), nowoczesnym centrum kulturalno-edukacyjnym i absolutnie fantastycznym muzeum kajakarstwa. W centrum jest kilka pouczających wystaw i oglądamy „pokaz kulturalny” – miejscowi prezentują między innymi tradycyjne dyscypliny sportowe, w których się konkuruje podczas arktycznej olimpiady. Moje ulubione to kopanie na siedząco wiszącej całkiem wysoko piłki (w oryginalnym wydaniu zamiast piłki kopano upolowaną fokę) i zawody w ciągnięciu się za policzki. Dwóch przeciwników siada obok siebie, wkłada palec wskazujący do ust konkurenta i ciągnie z całej siły, od środka. Wygrywa ten, kto wytrzyma dłużej. Trudno się oprzeć wrażeniu, że polarne noce muszą być dość nudne. Ale to muzeum najbardziej zapada mi w pamięć, a zwłaszcza stare zdjęcia inuickich dzieciaków, które właśnie dostały pierwszy w życiu kajak, albo z braku kajaka trenują wiosłowanie w balii. Ledwo co umiejące chodzić maluchy z dumą i przejęciem prezentują swoje maluteńkie łódki, bo wiosłowanie jest dla nich pewnie nawet od chodzenia ważniejsze. W słynnym filmie *Nanuk z Północy*, nakręconym w 1922 roku przez Roberta J. Flaherty’ego, jest nieco przesadzona, ale pamiętna scena: Nanuk wysiada z kajaka, zdejmując podróżujące „na masce” dziecko, po czym wywołuje z trzewi wciąż tej samej łodzi żonę, kolejnych dwoje dzieci i psa. Samo słowo kajak (obok mniej znanego słowa anorak) świat zawdzięcza właśnie Inuitom.

Prawie cały kolejny dzień spędzamy na statku, z krótkim lądowaniem w Fiskenfjordzie. Cała załoga łowi wtedy ryby z rufy statku, a my znowu mamy okazję podziwiać rosnące pod grzybami drzewa. Ale szybko ruszamy dalej – przed nami stolica wyspy, Nuuk. To największe miasto Grenlandii – ponad szesnaście tysięcy mieszkańców – jest jedną z najmniejszych stolic świata, ale jej kosmopolityczny charakter robi wrażenie. Są muzea (ze sławną kolekcją inuickich mumii z XV wieku), centra handlowe i szkoły, a historia i tradycja całkiem bezboleśnie splatają się z nowoczesnością. Choć jest środek lata, dzieci wciąż chodzą do szkół w śniegowych kombinezonach (w tym sezonie najwyraźniej modne są groszki). Budynki są nowoczesne, ale na okolicznych skałach widnieją płaskorzeźby przedstawiające wieloryby, foki i ptaki. Nawiązują do charakterystycznej tradycyjnej stylistyki. Choć surowe polarne krajobrazy lubię najbardziej, Nuuk wygląda niezłe i przyjemnie jest spędzić dzień w nieco bardziej znajomym otoczeniu. Ale równie przyjemnie jest później z miasta odpłynąć.

Całe zachodnie wybrzeże Grenlandii naznaczone jest ludzką obecnością. Kolejny dzień witamy w fiordzie Amerdlok. Łądujemy w pobliżu dawnej chaty traperskiej. Wśród licznych artefaktów znajdujemy nawet starą, zardzewiałą strzelbę. Gdy wszystkie nasze zodiaki – jest ich dziesięć – wracają w szyku na statek, w mojej łodzi wywiązuje się ciekawa rozmowa. Zawsze byłem fanem angielskich rzeczowników zbiorowych opisujących stada bardzo różnych zwierząt. Niektóre z nich są bardzo poetyckie (*lamentation of swans* – lamentacja łabędzi, choć moim absolutnie ulubionym jest *murder of crows* – morderstwo wron). Nie wiem kto i z jak silnym chemicznym wspomaganie wymyślił, żeby tak nazwać stada ptaków, ale efekt bardzo mi się podoba. Dlatego rzucam pytanie: jakim słowem pasażerowie określiliby flotyllę napompowanych zodiaków. Po chwili pada bardzo sprytna sugestia, że coś takiego powinno się nazywać *inflation of Zodiacs*. Postaram się to wprowadzić do naszego słownictwa.

Na jednej z wysp fiordu odnajdujemy stado psów. Na Grenlandii często wywozi się je z miasta, żeby spędziły lato gdzieś w dziczy. Właściciel odwiedza je z karmą kilka razy w ty-



godniu. Widać, że psiaki są spragnione towarzystwa, bo na nasz widok podbiegają do brzegu. Ale my nie wysiadamy. To naprawdę dzikie zwierzęta.

Po południu odwiedzamy Sisimiut. Choć to drugie co do wielkości miasto na Grenlandii, jakoś mu się udaje zachować charakter rybackiej wioski. Dociera tu dość ciepły morski prąd grenlandzki, dzięki czemu miasteczko jest najdalej na północ wysuniętym portem na wyspie, który może być używany przez cały rok. Na obrzeżach Sisimiut znowu natykamy się na psy spędzające lato na uwięzi – niektóre niemal na miejskim wysypisku. Już chyba te na wyspie mają lepiej. Udaje mi się odwiedzić centrum artystyczne, w którym kilka osób założyło manufakturę tradycyjnych dzieł sztuki i mniej tradycyjnych pamiątek.



Grenlandzkie psy na letnich wakacjach

Potem przychodzi czas na miejscowe piwo. Szukam więc jak najbardziej obskurnego, taniego baru, takiego, w którym piją miejscowi. Dużo ciekawsze wydają mi się rozmowy z tubylcami. Przecież z naszymi gośćmi będę jeszcze miał sporo okazji na statku. Piwo nie rzuca na kolana, ale jest miejscowe, a to zawsze lubię.

Po krótkiej przerwie wychodzę na ulicę. Chcę odwiedzić dom Knuda Rasmussena i muzeum poświęcone temu pierwszemu badaczowi Inuitów. Jego ojcem był duński misjonarz, a mamą Inuitka. Urodził się w Sisimiut w 1889 roku i zmarł w 1933, ale przeżył to krótkie życie bardzo intensywnie, badając arktyczną geografii i tradycyjną kulturę. Jako pierwszy Europejczyk (mimo że identyfikował się z miejscową kulturą) pokonał psim zaprzęgiem Przejście Północno-Zachodnie. Dla mnie jednak najciekawsze są jego badania etnograficzne, a zwłaszcza inuickie legendy, których był wytrwałym zbieraczem. Wiele z nich przetrwało

tylko dzięki niemu. Muzeum jak muzeum, ładny czerwony domek z pamiątkami, ale inuickie legendy i wypełniające je postaci zwalają z nóg. Jak słusznie zauważył inny ich kolekcjoner, Gitz-Johansen, który w 1949 roku wydał pięknie ilustrowany katalog postaci z grenlandzkiej mitologii, „postęp na Grenlandii – czyli postęp techniczny – nadchodzi bardzo szybko, w efekcie [...] stara, oryginalna kultura zostaje zniszczona i zapomniana. Ludność Grenlandii nie miała tej szansy, którą przez stulecia mieliśmy my, by dzięki stopniowej ewolucji zachować stare, jednocześnie zdobywając nowe. Jeśli zapytać młodego mieszkańca Grenlandii Zachodniej, czym jest Tupilak, nie będzie wiedział”. Kto jak kto, ale Tupilak moim zdaniem zasługuje na sławę. Pozwolę sobie więc zacytować za Gitz-Johansenem jego opis:

Tupilak jest złym duchem i stworzyć go mogą czarownicy lub wiedźmy.

Kości zwierząt lub [sic!] ptaków układa się na stosie i chowa w odosobnionym miejscu. Gdy czarownik ma na to ochotę, odwiedza któregoś pięknego dnia swoją stertę kości i składa je w kształt fantastycznego stworzenia, ale może go dotykać tylko kciukiem i małym palcem, w przeciwnym razie Tupilak straci moc. Gdy czarownik recytuje nad nim magiczne słowa, Tupilak pożywia się z jego organów płciowych. Kiedy osiągnie wymaganą wielkość, twórca wysyła go do morza. Któregoś dnia, kiedy go potrzebuje, wzywa go i każe mu zabić swojego wroga. Ten zwykle umiera na sam widok potwornego kształtu Tupilaka.

Prawda, że piękna historia? Ilustracje w książce są co najmniej równie dobre.

Tę sielankową wizytę zakłócają mi tym razem zakotwiczone tuż pod manufakturą statki wielorybiczne. Nie widziałem wcześniej statków wciąż uprawiających ten proceder i zamontowane na dziobach działka harpunniczne robią na mnie bardzo ponure wrażenie. Łaskawa przyroda (choć właściwie nie wiadomo skąd u niej ta uprzejmość) znowu zaciera nieprzyjemne wrażenia: zaczyna się nieprawdopodobny zachód słońca. Niebo zalewa różowe złoto, oprawiając w ramki ciemnobłękitne obłoki i dodając aureolki nadzwyczajnie niebieskim górcom lodowym. Straszny to kicz, ale myślę, że przyroda ma na kicz licencję.

Kiedy się wpływa do portu w miejscowości Ilulissat, zwraca uwagę mała przekrzywiona tabliczka z tajemniczym napisem „3 knobs”, nieodmiennie wywołująca wesołość u moich anglojęzycznych przyjaciół. To tylko ograniczenie prędkości do trzech węzłów. Ale to, co dla Duńczyków brzmi zupełnie niewinnie, dla użytkowników angielskiego oznacza gałkę, taką jak w drzwiach, albo, w przypadku Brytyjczyków, jest kolejnym slangowym określeniem na – jakżeby inaczej? – penisa. Wejście do portu jest rzeczywiście dość wąskie, a przynajmniej ta część, w której my przybijamy do brzegu, wymaga zrobienia kilku zakrętów, więc ograniczenie prędkości jak najbardziej ma sens. Zresztą w każdym porcie ma.

Ten dzień spędzimy w kolejnym grenlandzkim mieście, tym najczęściej odwiedzanym przez turystów. Samo Ilulissat jest rzeczywiście całkiem przyjemne i ładne, jak zwykle pełne kolorowych domków i psów (na cztery i pół tysiąca ludzi przypada ich tu trochę więcej). Ale to, co najbardziej chcę zobaczyć, to słynny lodowy fiord Ilulissat. Trzeba minąć miasteczko i pójść jeszcze kawałek dalej. Mamy sporo czasu, turyści rozpierzchni się po sklepach i kafejkach. W końcu dochodzę do drewnianej kładki prowadzącej przez podmokłą arktyczną łąkę. Jej koniec znika we mgle, która akurat postanowiła wszystko otulić gęstą pierzyną. Drepczę pod górę po śliskim drewnie, aż docieram do skał. Lubię mgłę. Dzięki niej mam wrażenie, że

jestem jedynym człowiekiem na całej planecie. Tylko ja i krajobraz (no dobrze, niezbyt wiele tego krajobrazu widać, ale za to jest cudownie i mistycznie). Trochę się jednak niepokoję, czy cokolwiek zobaczę.

Wreszcie skały kończą się wyniosłym urwiskiem. Wyglądam i... muszę gwałtownie zaczerpnąć powietrza. Żadne przygotowanie teoretyczne nie jest w stanie osłabić tego wrażenia. Mgła wisi tym razem dość wysoko i przede mną rozpościera się niesamowity widok. Cały fiord – mierzący łącznie czterdzieści kilometrów – wypełniony jest lodem (zapewne stąd nazwa), produkowanym nieustannie przez wieńczący go lodowiec Jakobshavn Isbræ, spływający z głębi wyspy w tempie blisko trzydziestu metrów dziennie i zrzucający do morza rocznie około dwudziestu miliardów ton lodu. To najintensywniej cielący się lodowiec półkuli północnej. To właśnie on jest jednym z głównych bohaterów świetnego filmu *Ścigając arktyczny lód*, który powstał w roku 2012 i dokumentuje projekt słynnego fotografa Jamesa Baloga, dotyczący znikania lodowców w wyniku zmian klimatycznych. Jeśli go nie widzieliście, to bardzo polecam. Jeśli widzieliście, to zapewne pamiętacie animację z londyńskimi autobusami i Manhattanem. To właśnie tu. Niektóre z powstających gór lodowych mają nawet kilometr wysokości i nie mogą wypłynąć dalej. Tkwią w płytszych częściach fiordu, blokując przepływ mniejszych brył. Gdy się w końcu uwolnią, największe z nich docierają na południe aż na wysokość Nowego Jorku. Nic dziwnego, że w 2004 roku fiord lodowy Ilulissat znalazł się na liście światowego dziedzictwa UNESCO.



Fiord lodowy w Ilulissat otoczony bujną zielenią tundry

Mgła po chwili opada. Zza gęstej kotary wyłaniają się ogromne bryły lodu. W rozproszonym wilgotną zasłoną świetle wyglądają jak wykute ze srebra. To jedna z tych chwil, gdy

opuszczam aparat, poddaję się. Wolę tym widokiem nasycić oczy.

Pora wracać na statek. Po drodze z radością odkrywam miejscową spelunkę. Mieści się na tyłach bardziej eleganckiego baru, w którym wcześniej skorzystałem z internetu. Teraz mam już bardzo mało czasu, ale nie mogę sobie darować wizyty w takim miejscu. Wchodzę i jestem jedynym Europejczykiem. Z głośników dobiega grenlandzkojęzyczny cover *Honky tonk women* Stonesów, a pomiędzy stolikami tańczy kilkoro podchmielonych Inuitów w średnim wieku. Wszyscy witają się ze mną z entuzjazmem. Zamawiam piwo, ale barmanka jest tak przejęta, że wciąż wylewa to, co nalała, do zlewu, bo piana nie jest idealna. Udaje mi się ocalić chyba dopiero czwartą szklanę. Płacę i wypijam ją prawie duszkiem. W międzyczasie rozlega się *Satisfaction*, a potem *Paint It Black*, również po grenlandzku. Muszę gdzieś zdobyć tę płytę. Szybko wybiegam na ulicę. Nie mogę się spóźnić.

Przed portem oprócz „Akademika Joffe” stoi „Fram”, ogromny i bardzo nowoczesny statek należący do firmy, w której dawniej pracowałem. Udaje mi się z nimi nawiązać kontakt radiowy i okazuje się, że w teamie jest kilkoro moich znajomych. Po chwili spotykam na ulicy Steffena, niemieckiego geologa, który właśnie wraca z odległego hotelu. Na „Framie” załogę i przewodników obowiązuje całkowity zakaz picia alkoholu, wyrwał się więc na piwo. Lubię tę społeczność polarnych przewodników. Na świecie jest ich pewnie nie więcej niż pięciuset. Taką turystyką zajmuje się kilkanaście firm, a każde z nas pracowało dla wielu z nich. Więc albo się znamy, albo mamy wspólnych znajomych – a wspólne zainteresowania na pewno. Ze Steffenem nigdy nie pracowałem, ale wpadaliśmy na siebie w różnych zakątkach świata na tyle często, że całkiem się lubimy. Ale w związku z tym, że pora wracać, mamy czas tylko na szybką kawę. Za to po wizycie w mieście w drodze powrotnej z pasażerami dostaję zaproszenie na „Frama”. Graham się zgadza, więc kolega zawozi mnie na chwilę, żebym mógł się przywitać z członkami załogi, których znam.

Wieczorem pozostajemy w okolicy i po kolacji urządzam sobie jeszcze zodiakową wycieczkę. Znowu jest mgła, tym razem ze złota, bo właśnie niespiesznie zachodzi słońce. Z gęstego tumanu wyłaniają się gigantyczne góry lodowe. Piękno w czystej postaci. Potem w tej mgle muszę szukać statku. Nie widać go nawet z dwustu metrów. W końcu wyłania się dokładnie tam, gdzie mój GPS go zapamiętał. Zawsze to ulga. No i widok jest monumentalny – wyniosły dziób naszego białego pływającego domu, z dźwigami uniesionymi jak ramiona modliszki nad lśniąącym kadłubem. A za nim oczywiście zachodzące słońce. Właśnie za takie chwile uwielbiam swoją pracę.

Ostatni dzień spędzamy przy kolejnym aktywnym lodowcu Equip Sermia, w wieńczącej lodowy fiord Ilulissat zatoce Disko. Krótka wycieczka na ląd i ostatni spacer po grenlandzkiej tundrze. Jutro przez Cieśninę Davisa popłyniemy do Kanady. Grenlandię żegnamy tradycyjnym szaleństwem polarnej kąpieli i wspólną imprezą na pokładzie. Wrócimy za dwa tygodnie.

\*\*\*

Początek września i koniec sezonu. Wczoraj znowu byliśmy w Ilulissat, a dziś „Akademik Joffe” podpłynął do Kangerlussuaq, małej osady (pięciuset mieszkańców) z największym portem lotniczym Grenlandii, odziedziczonym po czasach zimnej wojny, gdy mieściła

się tu amerykańska baza lotnicza. Rano wydajemy pasażerom paszporty i zodiakami dowozimy ich na brzeg. Gdy odlecą, będziemy mieli cały dzień dla siebie, bo lecimy dopiero jutro. Tyle że tu, gdzie jesteśmy, praktycznie nie ma co robić.

Kiedy przyplływamy do pomostu, z lekkim niesmakiem odnajdujemy przycumowaną łódź ozdobioną ogromnym i krwawym łbem wołu pizmowego. Niestety jest na świecie mnóstwo ludzi, którzy muszą sobie udowadniać jacy są dzielni, strzelając do pięknych stworzeń w różnych częściach naszej planety. Polowania dla trofeów są na Grenlandii powszechne. Miejscowy przewodnik wyjaśnia nam, że przyjechało kilku bogatych gnojzków ze Stanów Zjednoczonych i że to właśnie pamiątka po ich wizycie. Brawo.

Na tym samym pomoście spotykam Anję. Znam ją od dawna. To szefowa ekspedycji z „Frama”. Oni również właśnie odsyłają pasażerów, ale po południu wypływają z nowymi, więc na piwo nie ma szans.

Nagle przychodzi wiadomość, że firma, która czarterowała od nas ostatnią wycieczkę, źle policzyła swoich klientów i samolot, który po nich leci, może zabrać najwyżej połowę! Nasi podnajemcy dali nam się trochę we znaki, więc wywołuje to ogólną wesołość, choć oczywiście zamierzamy im pomóc. Dla połowy gości udaje nam się znaleźć nocleg w miejscowym hotelu o dumnej nazwie Tuttu (Gospoda pod Reniferem). To oddalony od lotniska o prawie dwa kilometry barak po dawnych koszarach amerykańskich pilotów. Niefortunnemu organizatorowi udaje się w końcu ustalić – część zgłasza się na ochotnika, część przegrywa losowanie – kto polecą, a kto spędzi noc w Tuttu.

Ale mnie to już nie dotyczy. Po południu odwiedzam ich na chwilę, po czym wracam do hotelu w budynku lotniska. Właśnie zakończyliśmy długi i męczący, choć bardzo ciekawy sezon. Spędziłem na statku dwa miesiące. Lubimy się i nareszcie możemy się odprężyć. Zabierając ze statku rzeczy naszej firmy, Diane skitrała z baru więcej alkoholu, niż będziemy w stanie wypić. Impreza zaczyna się w pokojach, ale wracając z Tuttu, zauważyłem, że na niebie pojawia się zorza polarna (o tej porze roku w końcu nastaje ciemność), więc po kilku drinkach zostawiam kolegów i koleżanki i kładę się z piwem na hotelowej werandzie, sam na sam z rozświetlanym na zielono gigantycznym niebem. Widziałem wcześniej zorzę na Syberii, ale tam były to tylko odległe, białe smugi światła. Na Antarktydzie, na której spędziłem dużo czasu, nie widziałem jej nigdy, bo występowanie zorzy związane jest z magnetycznymi biegunami Ziemi, a ten południowy znajduje się na drugim końcu kontynentu. Tam jeszcze nie dotarłem.

Dobrze jest tak leżeć pod tym zielonym blaskiem. Długo kontempluję, a potem dopijam piwo, gaszę papierosa i idę spać. Jutro wracam do domu.

## 8. Kraina jednorożców

Tutejsze piękno to piękno, które czuje się mięsem. Czujesz to fizycznie i dlatego czasem zbliżasz się do niego z przerażeniem. Inne piękno porywa tylko serce albo umysł.

Barry Lopez, *Arctic Dreams*

Mój pierwszy kontakt z Inuitami okazał się niezbyt obiecujący. Wiele lat temu, w Danii, kompletnie narąbany grenlandzki Eskimos rozniósł mnie na strzępy przy stole bilardowym. Nie gram źle, ale to, co on wyprawiał, było niesamowite. Widać, że do licznych problemów rdzennych mieszkańców Arktyki brak czasu nie należy. Później było już tylko lepiej, ale zdecydowanie mniej wesoło.

– *Where are you from, where are you from?* – krzyczą umorusane inuickie dzieciaki witające nas na plaży, gdy lądujemy w Pangnirtungu, osadzie na Ziemi Baffina, największej wyspie kanadyjskiego Archipelagu Arktycznego.

Odpowiadamy, że z Australii, Polski, Nowej Zelandii, USA – i to wszystko prawda. Potem się dowiedziałem, że kiedy dzieciaki słyszą „Germany”, wyciągają zabawkowe pistolety i walą w gości żółtymi plastikowymi kulkami. Chyba nie słyszały, że wojna się skończyła, ale filmy oglądają na pewno. Od kilku lat niemieckie statki z jakichś powodów w ogóle tu nie zawijają...

Z tych kilku inuickich osiedli, które odwiedziłem w Kanadzie, akurat Pangnirtung robi najlepsze wrażenie. Tutejsi artyści są znani na całym świecie. Ich grafiki i rzeźby można znaleźć w wielu północnoamerykańskich galeriach, a pewnie nie tylko tam. Trudno się zresztą dziwić, są niesamowite. Przedstawiają głównie zwierzęta i motywy tradycyjne, ale ich stylu nie da się pomylić z niczym innym. Zresztą rzeźby też są bardzo charakterystyczne. Żałuję, że nie znam się na sztuce lepiej, ale ta mieszanka realizmu z abstrakcyjną symboliką bardzo mi odpowiada.



W prawie każdej grenlandzkiej miejscowości jest muzeum

Niestety w innych osadach rzeczywistość prezentuje dużo bardziej odrażającą gębę, zwłaszcza w porównaniu z Grenlandią. Tam mamy kolorowe domki i ogromne terytorium zarządzane przez Inuitów, pozostających pod niezbyt narzucającą się opieką Danii. Kanadyjska prowincja Nunavut też jest ogromnym terytorium i nią też zarządzają Inuici, ale tutejsze

miasteczka przypominają raczej smętne pegeery bez przyszłości. Kanadyjscy Inuici mają jeden z najwyższych na świecie współczynników samobójstw, trzynastokrotnie wyższy od kanadyjskiej średniej. W dodatku mają przerażającą miejscową specjalność – życie odbierają sobie nawet pięcioletnie dzieci. W najwyższym stopniu problem ten dotyczy jednak młodych mężczyzn (wśród mężczyzn powyżej siedemdziesiątego czwartego roku życia w tej smutnej statystyce przoduje Rosja, ale wśród mężczyzn w ogóle, a zwłaszcza wśród młodych, to mieszkańcy Nunavutu wiodą prym). W latach 2000–2007 samobójczą śmiercią ginęło nawet 16–30 procent Inuitów płci męskiej (13–25 przypadków rocznie). Rekordowy rok 2013 przyniósł tych przypadków czterdzieści pięć. A jeszcze w latach pięćdziesiątych targnięcie się na swoje życie było tam czymś rzadkim, zaś w poprzednim stuleciu, mimo teoretycznie dużo cięższych warunków – jeszcze rzadszym. Robili to głównie najstarsi członkowie rodzin, pragnący zwiększyć szanse bliskich na przeżycie w czasach głodu.

Ponurą ironią zalatuje historia, którą usłyszałem w jednej z osad. W latach dziewięćdziesiątych minionego wieku zaalarmowane kanadyjskie władze rozdały (w większości będącym na zasiłku) inuickim rodzinom telewizory, żeby im się nie nudziło. Gdy jednak Inuici zobaczyli, że życie może wyglądać inaczej, samobójstw nagle przybyło. Co ich zabija? Głównie brak perspektyw i poczucie wykorzenia. A przecież nie zawsze tak było.

Arktyka nie jest rejonem historycznie pozbawionym ludzkiej działalności. Od tysięcy lat arktyczne krańce Eurazji i Ameryki Północnej są zamieszkiwane przez przeróżne plemiona. Było i jest ich rzeczywiście sporo, ale skupię się na największej i najbardziej znanej grupie, czyli Eskimosach. A może Inuitach? No właśnie.

Edytor tekstu podkreśla mi słowo Inuici, co najlepiej świadczy o tym, że wciąż jest mało znane. A jednak coraz częściej to nim się posługujemy, z szacunku dla nich. Co znaczą te dwa określenia? Otóż bardziej znane słowo Eskimos pochodzi najprawdopodobniej z języków ich południowych sąsiadów, czyli amerykańskich Indian (z plemienia Algonkinów), którzy tradycyjnie byli ich zajadłymi wrogami. Badacze spierają się o znaczenie i brzmienie oryginalnego terminu, a tłumaczenia są najróżniejsze: od „tych, którzy wiążą rakiety śnieżne”, przez „tych, którzy mówią innym językiem”, po „tych, którzy jedzą surowe mięso”. Zwłaszcza ze względu na ostatnią z teorii określenie Eskimos jest więc często uważane za pejoratywne. Na pewno – pochodząc z języka wrogów – nie jest terminem przyjaznym, ale moim zdaniem nie jest też obraźliwe, podobnie jak nie uznaję za obraźliwe słów Murzyn, Cygan czy Niemiec (to ostatnie, występujące w każdym słowiańskim języku, oznacza przecież „tego, który nie mówi” – możemy sobie wyobrazić, że nasi przodkowie z innymi, pokrewnymi plemionami jakoś potrafili się porozumieć, ale ci z zachodu wydawali tylko jakieś dziwne powarkiwania, więc dogadać się z nimi nie szło, trzeba było walczyć). Zresztą Słowianin też mógł oznaczać niewolnika. Z drugiej strony eskimoskie słowo Inuk (Inuit to liczba mnoga tego słowa) oznacza, podobnie jak jego odpowiednik wśród wielu różnych narodów, po prostu człowieka. W języku romani słowo Rom oznacza dokładnie to samo. Skoro jednak sami zainteresowani tak się wolą określać, to należy uznać, że oni wiedzą najlepiej, jak to powinno być. Drugą, chwilowo mniej dla nas istotną różnicą jest to, że Eskimosami nazywa się nie tylko Inuitów, ale również ludność aleucką i ludy Yupik.

Tyle o etymologii. Żeby sprawę uprościć: w 1977 roku Inuit Circumpolar Conference (wokółbiegunowa konferencja Inuitów) przyjęła, że Inuita będzie oficjalnym określeniem wszystkich rdzennych plemion Arktyki, niezależnie od tego, jak sami o sobie mówią. Nie-



mniej w podstawowym, węższym znaczeniu, słowo to oznacza ludność aborygeńską zamieszkującą Grenlandię oraz północną Kanadę i Alaskę. Aby zakończyć wątek językowy, warto wspomnieć, że kilka słów inuickich na stałe weszło do kultury świata. Wspominałem już o anorakach i kajakach, ale wszyscy słyszeliśmy też o igloo, choć tu doszło do pewnego przekłamania: dla nas oznacza to specyficzną konstrukcję ze śniegu i lodu, a w oryginale *igloo* to po prostu dom. Według Inuitów (a kto ma wiedzieć, jak nie oni?) igloo może równie dobrze można zrobić z kamieni, drewna, płótna czy skór.

No więc żyli sobie ludzie w arktycznym świecie od kilku tysięcy lat. Najpierw były to ludy zwane Paleoeskimosami. Kulminacyjnym punktem ich historii stała się bogata kultura Dorset, rozkwitająca w centralnej i wschodniej Arktyce amerykańskiej od około 500 roku p.n.e. do około 500 roku n.e. Później, po kolejnej fali migracji, w okolicach 1000 roku n.e., czyli wtedy, gdy kształtowało się również nasze państwo, kultura Dorset ustąpiła miejsca kulturze Thule, reprezentowanej już przez ludy określane jako Inuici. Tych kultur było oczywiście mnóstwo. Każda z większych kategorii dzieliła się na podkategorie (jak pre-Dorset, central-Dorset i late-Dorset), z fascynującymi nazwami, takimi jak tradycja małych narzędzi, charakteryzująca właśnie wczesnych Paleoeskimosów. Warto się w to wczytać. Mnie jednak najbardziej interesuje to, że ci ludzie nie tylko potrafili przeżyć w surowych warunkach, ale też radzili sobie na tyle dobrze, że pozostawili mnóstwo artefaktów i przedmiotów o czysto estetycznym znaczeniu, a także cały skomplikowany i bogaty system legend i wierzeń. Oni nie walczyli o przetrwanie – oni w Arktyce zwyczajnie mieszkali. Charakterystyczną cechą tego środowiska jest, owszem, jego surowość, ale też duża przewidywalność (przynajmniej w skali sezonu, bo z dnia na dzień zmiany pogody bywają bardzo gwałtowne) i ogromne bogactwo zasobów. Jeśli człowiek – czy jakiegokolwiek inne zwierzę – nauczy się obowiązujących reguł, może sobie zapewnić całkiem komfortowe życie. Sekret przetrwania w Arktyce nie jest bowiem próba pokonania jej (to jest niemożliwe), lecz mądre dostosowanie się do narzucanych przez nią zasad.

Inuici kojarzą się z odzianymi w skóry łowcami fok i niedźwiedzi. Ich dzieci, istotnie, uczyły się pływać kajakiem i chodzić niemal jednocześnie, ale zdarzało się tak tylko na najgłębszej zaludnionych terenach nadmorskich. W głębiej położonych rejonach podstawą ich utrzymania były inne zwierzęta, przede wszystkim karibu, czyli amerykańskie renifery, których regularne migracje – podejmowane kilka razy w roku na tych samych trasach i o tej samej porze – zapewniały przewidywalne i obfite źródło pokarmu, skór i tak dalej, wystarczających później na chudsze miesiące. Na ogół docierały do nas tylko strzępy bogatej kultury różnorodnych inuickich plemion. Ta popantropologia utrwaliła pewien obraz: całują się nosami, a strudzonych wędrowców częstują żonami. Nie wiem, jak to jest z tymi nosami. Łatwo sobie wyobrazić, że na dworze niewiele więcej im spod futer wystawało, więc jak chcieli się czymś zetknąć, nos był jedyną opcją. Co do osławionego częstowania żonami, zwyczaj, który z oczywistych względów zrobił wielkie wrażenie na wyposzczonych żeglarzach, sprawa nie jest aż tak prosta. Myśliwi inuicycy wyprawiali się czasem w tundrę na bardzo długo. Wiedzieli, gdzie są przyjazne osady, więc się w trakcie tych wypraw odwiedzali, zwłaszcza jeśli łączyło ich rzeczywiste albo rytualne pokrewieństwo (po odprawieniu ceremonii ustalającej więź „kuzynów pieśni”). Kiedy strudzony i przemarznięty wędrowiec docierał do przyjaznego igloo, jadł i spał ze wszystkimi członkami rodziny – tradycyjnie, czyli nago, na wspólnym legowisku okrytym skórami. Jeśli (i tylko wtedy!) któraś z żon gospodarza posta-

nowiła okazać mu swą przyjaźń w bardziej intymny sposób, jej mąż nie tylko na ogół nie miał nic przeciwko, ale czasem ją nawet zachęcał, mając świadomość, że sam może liczyć (ale nie wymagać!) na podobną gościnność. Zawsze odbywało się to za pełną zgodą i ochotą zainteresowanych. Jeśli kobieta nie chciała, nikt jej nie zmuszał. Ten dość swobodny system rodzinny (zdarzały się pary monogamiczne, ale i poligynia, poliandria i promiskuityzm) sprawiał, że nikt nigdy nie miał pewności, które dzieci są czyje, dzięki czemu dziećmi opiekowali się wszyscy. Te dorastające w domu danego łowcy i jego rodziny automatycznie uznawano za jego i nikt się nie zastanawiał, do kogo są podobne. Dziecko było – i jest – dla Inuitów wartością najwyższą (dobrze ilustruje to fakt, że w czasach głodu starzy ludzie pełniali rytualne samobójstwa, najczęściej po prostu wychodząc w tundrę, żeby nie zabierać młodym skąpego przydziału jedzenia). Nie stosowano właściwie żadnych kar, tylko zachęty i nagrody. W relacjach podróżników co chwilę wraca ten sam opis: wszyscy członkowie plemienia są uśmiechnięci. Biali, gościnnie przyjęci przez życzliwych gospodarzy i gospodynie, jak nakazywał obyczaj, wykorzystali sytuację, i oczywiście nie mieli zamiaru się odwzajemnić.

Wbrew dość powszechnemu przekonaniu wcale nie żyli w izolacji. Po pierwsze, między poszczególnymi plemionami Inuitów, Aleutów i Yupik istniała wymiana handlowa (na przykład ryby i foki z wybrzeży za pochodzące z głębi lądu renifery) i towarzyska (poprzez mieszane małżeństwa). Po drugie, stykali się z Indianami zamieszkującymi lasy rozciągające się na południe od ich terenów. Na ogół były to wprawdzie kontakty wrogie, ale były. Po trzecie wreszcie, Inuici mieli świadomość, że istnieją ludy dużo bardziej odległe (choć wedle ich wierzeń wszyscy pochodzimy od psów). Z najnowszych odkryć wynika, że mieszkańcy Alaski już tysiąc lat temu handlowali z Chinami, Koreą i Jakucją. Z kolei mieszkańcy obecnej Kanady również od dawna wiedzieli o istnieniu Europejczyków: najpierw dzięki wikingom od XI do XV wieku zasiedlającym Grenlandię i okazjonalnie kolonizującym wybrzeża Ameryki Północnej, a później dzięki ich „odkryciu” przez wyprawę Martina Frobishera w 1576 roku. Przez cały ten czas trwała wymiana towarowa, kulturalna i genetyczna, choć prawdopodobnie to przedstawiciele „naszej cywilizacji” okazali się większym beneficjentem. Ale Inuici też na tym korzystali (choćby uzyskując niezbędne, a rzadkie u nich żelazo), przynajmniej do początku XX wieku, kiedy wszystko się zmieniło.

Farley Mowat w przejmującej książce *People of the Deer* (w Polsce wydano fragmenty tej i kolejnej, *The Desperate People*, jako *Ginące plemię*) opisuje losy ludu Ihalmiut. Pod koniec XIX wieku żyło ich w Kanadzie około siedmiu tysięcy. Mieszkali w głębi lądu wśród arktycznych pustkowi określanymi jako *the Barrens* (jałowe ziemie). Przez większą część roku o pożywienie rzeczywiście jest tu trudno, ale za to co kilka miesięcy pojawiają się wielomilionowe stada karibu, podróżujących w różne strony od wiosny do jesieni. Trasy i pory ich migracji dawały się przewidzieć, więc ihalmiutcy myśliwi mogli w krótkim czasie zabić tyle zwierząt, że na resztę roku spokojnie wystarczyło im jedzenia. I świetnie to działało, póki nie nadszedł pierwszy cios: biali zaczęli zaopatrywać żyjących dalej na południe Indian w strzelby. Do tej pory oba ludy korzystały z tego samego zasobu – zależnie od pory roku (karibu spędzały zimy w północnych lasach, a lata w tundrze). Odkąd Indianie mogli polować efektywniej, zaczęli zabijać znacznie więcej zwierząt. Niektóre rzeki wręcz zatamowały ich ciała. Owszem, łatwiej było je zabijać z większej odległości, ale do wielu nie dało się dotrzeć. Strzelano więc do kolejnych. Dla Ihalmiutów oznaczało to, że nagle mniej reniferów dociera-

ło tam, gdzie ludzie bardziej od nich zależeli. Na początku XX wieku dotarli też na północ biali handlarze. Szybko przekonali miejscowych, że łatwiejsze i bardziej opłacalne jest polowanie na lisy polarne, których skóry na całym świecie zyskiwały wysokie ceny. Handlarze kupowali od myśliwych skóry, płacąc na ogół amunicją i zupełnie nieodpowiednim w polarnych warunkach jedzeniem, głównie mąką i cukrem. Było tak aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. Wtedy cywilizowani ludzie zajęli się mordowaniem siebie nawzajem, a popyt na futra gwałtownie spadł. Oczywiście arktyczni myśliwi nic o tym nie wiedzieli, więc gdy jak co roku zjawili się w rozlokowanych w tundrze stacjach z zapasami lisich skór, handlarzy po prostu nie zastali. A lisich skór jeść się nie da. Przyszedł głód i zdziesiątkował Ihalmiutów po raz pierwszy. Na szczęście było wśród nich wielu takich, którzy pamiętali, jak się żyło dawniej, i na początku lat dwudziestych głód minął, a łowcy znowu zaczęli polować na karibu. Było ich mniej, ale liczba myśliwych też się dramatycznie skurczyła (w 1934 roku całe plemię liczyło zaledwie osiemdziesiąt osób). Potem jednak handlarze wrócili – w Europie i Ameryce Północnej znów była koniunktura na luksusowe futra. Historia się powtórzyła. Łowcy zarabiali w miarę dobrze, porzucili więc renifery dla lisów i wszystko wyglądało obiecująco – aż do początku drugiej wojny światowej. Ale kiedy handlarze nie pojawili się znowu, mało kto pamiętał, jak bez nich przeżyć.

Farley Mowat dotarł do Arktyki w 1946 roku. Z plemienia pozostało wtedy jakieś czterdzieści bardzo głodnych osób.

Od lat dwudziestych podejmowano próby ich relokacji, ale na wiele się to nie zdało. Śródłądowych Inuitów wciąż dziesiątkował głód. Doszły do tego samobójstwa zdesperowanych, wyrwanych z ojczyzny ludzi. Jeszcze w latach pięćdziesiątych rząd Kanady oficjalnie odmawiał przyznania, że to plemię w ogóle istniało! Ich tragiczny los dopełnił się pod koniec XX wieku wraz ze śmiercią ostatnich przedstawicieli tego licznego niegdyś ludu. Dla mnie to jedna z najbardziej dramatycznych historii zetknięcia się rdzennej ludności z zachodnią cywilizacją. Trudno nie przypomnieć sobie słów Gandhiego, który, zapytany, co sądzi o zachodniej cywilizacji, odpowiedział w zadumie: „Tak, myślę, że byłby to dobry pomysł”...

Relokować próbowano również inne inuickie plemiona. Melanie McGrath pisze o tym w książce pod wiele mówiącym tytułem *The Long Exile. A Tale of Inuit Betrayal and Survival in the High Arctic* [Długie wygnanie. Opowieść o tym, jak zdradzono Inuitów i jak przeżyli w północnej Arktyce]. Kanada, chcąc uzasadnić swoje terytorialne roszczenia do Arktyki (jeśli gdzieś mieszkają Kanadyjczycy, to w Kanadzie), groźbą i oszustwem, a czasem po prostu siłą zasiedlała pozbawione wcześniej ludzi tereny na dalekiej północy. Głównym bohaterem książki jest Josephie Flaherty, syn twórcy filmu *Nanuk z Północy* i Inuitki. Josephie nigdy nie został przez ojca uznany i wraz z innymi Inuitami żył w miarę szczęśliwie w łagodnym klimacie osady Inukjuak na wybrzeżu Zatoki Hudsona. Ale w roku 1953 przedstawiciele władz groźbą i oszustwem (obiecując, że po roku będą mogli powrócić, a na miejscu znajdą wsparcie) przesiedlili osiemdziesięciu siedmiu Inuitów jakieś tysiąc dwieście kilometrów na północ, do Grise Fiord na wyspie Ellesmere i do Resolute Bay na sąsiedniej wyspie Cornwallis. Na pocieszenie – wykazując się cynizmem i rasistowską arogancją – dołączono do nich kilka rodzin z położonego na północ od Inukjuak Pond Inlet, żeby „ich nauczyla, jak sobie radzić na tak dalekiej północy”. Efekty okazały się straszne. Tam nigdy nie mieszkali ludzie. Rzeczywiście jest jałowo, właściwie gołe skały i bardzo dużo lodu. Co kilkadziesiąt lat zapuszczali się tam łowcy z północnej Grenlandii, ale wbrew temu, co się wydawało wła-

dzom w stosunkowo ciepłej Ottawie, Arktyka jest zróżnicowana i to, że ktoś nieźle sobie radzi na jej południu, nie znaczy, że będzie mógł znaleźć środki do życia na północy. Oczywiście wbrew obietnicom nie mogli wrócić po roku. Od przybyszów z Pond Inlet dzieliła ich bariera językowa, więc nawet gdyby im ufali nie odnosili się do nich wrogo, o żadnej nauce nie mogło być mowy. Większość osadników zmarła z głodu lub zginęła w wypadkach. Ale osady w Grise Fiord i Resolute Bay wciąż istnieją. Później zasilają je fale lepiej zorganizowanych migracji, wspierane zasiłkami rządowymi i doświadczeniem osadników, którzy w końcu nauczyli się wykorzystywać miejscowe zasoby, zupełnie inne od tych, które znali z domu. Za ten akt rasistowskiego wyzysku kanadyjski rząd oficjalnie przeprosił dopiero w 2010 roku...

Gdy po raz pierwszy odwiedziłem te rejony, trafiłem do miejscowości Qikiqtarjuaq. Te trudne dla nas nazwy pojawiły się całkiem niedawno, wraz z utworzeniem w 1999 roku terytorium Nunavut. Wcześniej ta licząca około pięciuset osób osada nazywała się tak jak wyspa, na której leży: Broughton Island. Wszystko okazało się dość podobne do tego, co wcześniej widziałem na Grenlandii i później w inuickich osadach w Kanadzie. Najpierw pokaz w lokalnym centrum kulturalnym, czyli znowu kopanie wiszącej fokki i policzkowe zapasy (dużo radości), a potem... koncert miejscowego zespołu hip-hopowego! Kilkoro odzianych obwisłe nastolatków całkiem sprawnie rapowało, choć nie mam pojęcia o czym, bo cały występ odbył się w języku inuktitut. Gdybym ja tak spróbował, trzeba by po mnie ścierać podłogę mopem. Inuktitut to jeden z eskimoskich języków z oryginalnym i niesamowitym systemem zapisu. Jego odmiany różnią się od siebie dość znacznie, zależnie od miejsca. Podróżował wtedy z nami Miki Jacobsen, fenomenalny inuicki artysta z Grenlandii. Mówił mi potem, że właściwie jest się w stanie z miejscowymi dogadać, ale z ogromnym trudem. W zachodniej Grenlandii miejscowi mówili mi z kolei, że łatwiej im się dogadać z mieszkańcami wschodniej Kanady niż z ludźmi ze wschodniej części ich własnej wyspy. Po egzotycznym hip-hopie nastąpiło coś, od czego poczułem ciarki na plecach: pokaz inuickiego śpiewu gardłowego. To zupełnie inny śpiew niż ten (równie fantastyczny), który można usłyszeć w Tuwie czy w Mongolii. Tutaj śpiewają kobiety: stoją naprzeciwko siebie, ściśnięte, i wydają takie dźwięki, że nie da się ich opisać. Można to dziś usłyszeć na płytach różnych artystek, spośród których chyba najpopularniejsza jest Tanya Tagaq. Ale nic nie zastąpi wrażenia, jakie robi zobaczenie tego na żywo. Skąd w tych drobnych dziewczynach biorą się dźwięki brzmiące jak pochrapywanie antycznych bestii, a może nawet samej Matki Ziemi? Jest w tym śpiewie coś pradawnego (to oczywiste), nieludzkiego niemal i zarazem bardzo zmysłowego. Mam dreszcze, kiedy to wspominam.

Po pokazie poszedłem zwiedzać osadę. Dołączyła do mnie Karen, jedna z gardłowych śpiewaczek. Obiecała, że mi pokaże skalny monument kawałeczek za miastem, jeśli mam ochotę na piętnastominutowy spacer. Bardzo miałem. Po drodze opowiadała mi o śpiewie, o tym, jak uczyła ją śpiewać babcia. Samo śpiewanie zdefiniowała jako „przyjazną rywalizację między dwiema kobietami”: śpiewaczki oplatają się ramionami, by wyczuwać wibracje swoich ciał i móc na nie reagować dźwiękiem. Później mówiła, że ma osiemnaście lat i nieślubnego syna, do którego jego ojciec nie chce się przyznać. Dała mu na imię John, po swoim starszym bracie, który się powiesił, gdy miał piętnaście lat. Jej rodzice nie żyli: mama umarła z przepicia, a ojciec przepadł. Opowiadała też o tym, że tylko jej syn ratuje ją przed pijaństwem i że przez cały rok czeka na rozpoczęcie sezonu polowania na fokki spod lodu, bo

to jedyna ekscytująca rzecz w jej życiu. Na narwale też poluje, ale mało ich ostatnio. Gdy zapytałem, co robią z upolowanymi zwierzętami, spojrzała na mnie zdziwiona: „Zjadamy je oczywiście!”. No tak.

Po krótkim marszu dotarliśmy na wzgórze z ładnym widokiem na okolicę. Pomnik trochę mnie rozczarował – zwykła sterta kamieni. Liczyłem na to, że zobaczę klasycznego Inuksuka, czyli charakterystyczną ludzką postać ułożoną z kamieni. Sama nazwa oznacza „coś, co działa dla lub pełni rolę osoby”. Inuksuki stawiano w widocznych z daleka miejscach, ułatwiając samotnym myśliwym orientację w tundrze a także... zapewniając im towarzystwo. Ten w Qikiqtarjuaqu nie był chyba zbyt pracowity.

Na szczycie wzgórza Karen nagle posmutniała i pokazała mi leżący dwa kilometry dalej cmentarz. Powiedziała, że leży tam jedyna osoba, którą naprawdę kochała i która kochała ją – jej zmarła przed dwoma laty babcia. Na wzgórze dotarli też niektórzy z naszych turystów, każdy z mnóstwem pytań, więc moja rozmówczyni oddryfowała w ich stronę, a ja zostałem z całym jej smutkiem. Ponure refleksje przerwał mi dopiero widok „Bremen”, niemieckiego statku turystycznego, który przepływał nieopodal. Nie wiedzieć czemu nie zatrzymali się przy osadzie.

\*\*\*

Barry Lopez w bardzo mądrej i pięknej książce *Arctic Dreams* [Arktyczne sny] pisał tak:

Fundamentalna różnica między naszą kulturą a kulturą Eskimosów, którą nawet dziś można w pewnych sytuacjach odczuć, polega na tym, że my nieodwracalnie odseparowaliśmy się od świata zajmowanego przez zwierzęta. Zwierzęta i inne części naturalnego świata zamieniliśmy w przedmioty. Manipulujemy nimi, by służyły skomplikowanym celom naszego przeznaczenia. Eskimosi z trudem mogą zrozumieć tę separację. Mają problem z wyobrazeniem sobie siebie samych jako całkowicie usuniętych ze świata zwierząt. Dla wielu z nich takie oddzielenie byłoby jak odcięcie się od światła lub wody. Trudno to sobie wyobrazić.

Druga różnica polega na tym, że ponieważ uprzedmiotowiliśmy zwierzęta, potrafimy je traktować bezosobowo. Dotyczy to nie tylko zwierząt żyjących wokół nas, ale również zwierząt żyjących w odległych krainach. Dla Eskimosów większość związków ze zwierzętami to związki lokalne i osobiste. Zwierzęta, które spotykamy, są częścią społeczności i mamy wobec nich zobowiązania. Dla Eskimosów najtrudniejszym do zrozumienia aspektem zachodniej kultury jest depersonalizacja naszych związków z ludzkimi i zwierzęcymi członkami społeczności. I zamiast się upraszczać, problem ten tylko się komplikuje, gdy próbują się nauczyć, jak zwierzęta uprzedmiotawiać.

W innym miejscu dodał: „Dla niektórych ludzi to, czym są, nie kończy się na skórze: ciągnie się wraz ze zmysłami sięgającymi dalej w łąd”.

To wszystko na pewno prawda. Barry Lopez spędził w Arktyce dużo czasu, poznał dobrze wielu Inuitów i rozumie ich kulturę. A jednocześnie z tego tekstu wyziera dawno już zdyskredytowany mit szlachetnego dzikusa. To prawda, mieszkańców Arktyki łączyła i nadal łączy z otaczającym ich światem bardzo silna więź. Ona, jak to ujął, nie kończy się na skórze. Nikt tego świata nie rozumiał tak jak oni, i najlepsi polarni zdobywcy przeżywali tylko dzięki temu, że potrafili się od Inuitów uczyć. Gdybyśmy wszakże wysnuwali z tego wniosek, że z podobnej więzi płynie naturalna potrzeba dbania o środowisko i chronienia rzadkich zwie-

rząt, skręcilibyśmy niebezpiecznie w kierunku czegoś, co nazwałbym dobrodusznym rasizmem. Inuici, podobnie jak inni rdzenni mieszkańcy dzikich okolic, są przecież tacy jak my. A to znaczy, że wielu z nich jest głupich, inni są chciwi, jeszcze innym daleko do szlachetnego dbania o świat, zupełnie tak jak nam.

Wyrządzono im wiele krzywd i nie ma wątpliwości, że należy chronić to, co pozostało z ich kultury. Znanych jest jednak wiele przykładów, gdy – przynajmniej w dziedzinie polowań na arktyczne zwierzęta – Inuici nadużywali argumentu o tradycji. Nie wszystko, co tradycyjne, jest dobre (pomyślmy choćby o korridzie). Mój kolega był kiedyś świadkiem, jak stado narwali, rzadkich waleni, do których jeszcze wrócę, utknęło w małej połyńi. Pływały tylko w górę i w dół, żeby zaczerpnąć powietrza. Nie potrafiły się uwolnić, bo zwarty lód z każdej strony okazał się zbyt rozległy, żeby mogły pod nim przepłynąć. Gdy zastanawiano się, jak można im pomóc, na śnieżnych skuterach przyjechała grupa uzbrojonych w półautomatyczne karabiny Inuitów i zaczęła się rzeź. Strzelali jak leci. Zabili kilkanaście waleni, po czym wyciągnęli trzy i zabrali ze sobą.

Wspominałem już o tym, jak w XIX wieku amerykańscy Indianie, gdy nagle uzyskali dostęp do broni palnej, przyczynili się do przetrzebienia migrujących stad karibu. Żyli w trudnych warunkach i doświadczenie nauczyło ich, że dobrą strategią jest zabijanie wszystkiego, co się zabić da, bo gdy nadejdą ciężkie czasy, trzeba mieć zapas. Ten sam instynkt każe lisowi zabić wszystkie kury w kurniku, z którego nie mogą uciec. Kiedy następują zmiany cywilizacyjne i pojawiają się nowe możliwości, sprawdzone strategie się wynaturzają. Arktyka jest pełna takich przykładów.

To trudne kwestie. Narwale od zawsze stanowią cenny składnik diety mieszkańców Północy. Z jednej strony przyznaję, że należy respektować odrębne kultury i z ich dawnego sposobu życia chronić to, czego jeszcze nie zniszczyliśmy. Z drugiej zaś mamy do czynienia z zagrożonymi gatunkami zwierząt, które często giną bezsensownie – w imię wypaczonej tradycji. Dużo łatwiej ocenić ewidentne nadużycia, do których moim zdaniem należy choćby sprzedawanie części kwot łowieckich myśliwym polującym dla trofeów. Kiedyś jeden taki podszedł do mnie na statku i powiedział: „Mikołaj, nie spodoba ci się to, ale kiedyś zastrzeliłem niedźwiedzia polarnego”. Jasne, że mi się nie spodobało, więc zapytałem, jak do tego doszło. Otóż według mojego rozmówcy niedźwiedź był już stary i miejscowi przewodnicy powiedzieli bohaterkiemu myśliwemu, że pewnie się już nie rozmnaża, więc nie ma znaczenia dla populacji. Zapytałem więc tego pana, ile ma lat i czy jeszcze się rozmnaża, na co oburzony emeryt poczerwieniał na twarzy i odszedł bez słowa.

Najlepiej ilustruje tę kwestię opowieść mojej znajomej badającej genetykę wilków. Powiedziała mi kiedyś, że większość jej północnoamerykańskich prób pochodzi od jednego myśliwego, który jeździ na skuterze śnieżnym z karabinem i zabija nawet dwieście wilków rocznie. A może to robić, bo jest Indianinem, ma zatem prawo do „tradycyjnego polowania”. Jeśli tak ta tradycja wygląda, to musiała nam chyba umknąć ważna kwestia.

Tym, co w inuickiej kulturze fascynuje mnie najbardziej – obok pomysłowych sposobów na przetrwanie i głębokiego zrozumienia środowiska – są wierzenia i mity. Zwłaszcza jeden z nich, ten, który w tej lub innej formie obecny jest w tradycji niemal wszystkich ludów Arktyki: od Czukotki przez Alaskę, Kanadę i Grenlandię aż po północne krańce Europy. To historia Sedny, bogini morza. Jej wersje różnią się szczegółami, ale najbardziej znana jest ta pochodząca z Kanady.

Sedna, młoda dziewczyna, żyła szczęśliwie wraz z rodzicami i bratem daleko na Północy. Była mądra i piękna, więc wielu starało się o jej względy, ale jej było w domu tak dobrze, że odrzucała wszystkich konkurentów. Według kilku wersji, ponieważ nie mogła znaleźć godnego partnera wśród ludzi, wyszła w końcu za psa, ale w większości w końcu zjawiał się nieznamy, który ją zauroczył urodą i obietnicami. Kiedy została jego żoną, okazało się, że jej wybranek nie jest człowiekiem, tylko... ptasim duchem przybierającym ludzką postać, a w rzeczywistości żyjącym jako kruk, fulmar lub petrel (zależnie od wariantu). Okazało się, że wbrew przechwałkom nie jest wcale tak dobrym myśliwym i właściwie umie tylko łowić ryby. Sedna czuła się oszukana i rozczarowana. Pewnego dnia odwiedził ją ojciec. Widząc, jaka jest nieszczęśliwa, wykradł ją pod nieobecność męża i zabrał do swojego kajaka. Gdy ptasi duch wrócił do domu, rzucił się w pogoń. Łatwo odnalazł kajak na pełnym morzu i wywołał gwałtowny sztorm. I tu następuje najlepsza część tej historii. Psychoanalicy i filozofowie mogą snuć niekończące się interpretacje. Zresztą cała opowieść aż kipi od alegorii, frustracji seksualnych, przemocy domowej, uprzedmiotowienia kobiet, zanieczyszczenia środowiska i niszczenia oceanów. Ojciec Sedny – przestraszony i walczący o życie – wyrzucił córkę za burtę! Chciała wrócić do kajaka, więc złapała za burtę, a troskliwy tato... chwycił toporek i odrąbał jej palce. Krew trysnęła wszędzie. Sedna próbowała schwytać kajak drugą dłonią, a tatuś znowu użył siekierki. Ranna dziewczyna osunęła się w głębiny. Sztorm ucichł, a jej odrąbane palce zmieniły się w ryby, foki, morsy i wieloryby. Od tej pory Sedna żyje na dnie morza, z nogami zamienionymi w rybi ogon (właśnie tak, kochane dzieci, powstają syrenki) i rządzi morskimi stworzeniami. Ale wciąż pamięta o zdradzie męża i ojca, trzeba więc ją błagać, by wypuściła zwierzęta, które z kolei łaskawie muszą pozwolić się zabić myśliwym. Kiedy ludzie zaniedbują oddawanie należnej jej czci lub robią coś złego, zabiera swoich poddanych. Gdy zatem polowania się nie udają, najpotężniejsi szamani – mający moc podróży do świata bogów i duchów (umieją latać nawet na Księżyc, i to od ponad tysiąca lat) – muszą zejść w głębiny, by ją udobruchać. A jest na to tylko jeden sposób. Ludzkie grzechy osiadają we włosach bogini jako ekskrementy, jest tam też pełno martwych zwierząt. Pozbawiona palców Sedna nie może ich rozczesać. Dlatego szaman schodzi do niej z grzebieniem, dokładnie czesze jej włosy i zaplata warkocze. To chwilowo poprawia jej humor, dzięki czemu wypuszcza zwierzęta, które znowu ofiarowują się ludziom do zjedzenia...

\*\*\*

Inuici to oczywiście tylko część mieszkańców Arktyki. Ja jeżdżę tam głównie po to, by spotykać się z pozostałymi.

Pierwszego misia spotkaliśmy już na Morzu Baffina, które wraz z położoną dalej na południe Cieśniną Davisa oddziela Grenlandię od Kanady. Był najwyraźniej w refleksyjnym nastroju, bo gdy go dostrzegliśmy, znudzony zerkał na swoje odbicie, a pojawienie się statku skwitował jedynie machnięciem ucha. Później już prawie codziennie, o ile nie odwiedzaliśmy miasteczek, widywaliśmy niedźwiedzie. A to samotne samce we mgle, jak na Monumental Island, a to wędrującą po skałach samicę z rocznym młodym, jak na Cape Mercy, gdzie odwiedzaliśmy stację radarową o krótkim zasięgu, stanowiącą część North Warning System (NWS). Ten system to ponad pięćdziesiąt stacji radarowych rozstawionych na prawie pięciu tysiącach kilometrów północnego wybrzeża Alaski i Kanady, mających ostrzegać państwa Ameryki Północnej przed ewentualnym atakiem. Jego prekursorem była powstała w la-

tach pięćdziesiątych XX wieku słynna linia DEW (Distant Early Warning), pełniąca podobną rolę w czasach zimnej wojny. Pętające się w pobliżu przyczajonych w wyczekiwaniu radarów niedźwiedzie, podobnie jak wszystkie inne misie o tej porze roku (druga połowa lata), głównie oszczędzają siły i czekają, aż zamrznie ocean, żeby wyruszyć na focze łowy. To jeden z licznych negatywnych skutków globalnych zmian klimatu, które dotyczą Arktykę: z roku na rok niedźwiedzie muszą czekać dłużej i coraz więcej nie dożywa jesiennych polowań.



Choć to wygląda na skrajnie niewyspanie, niedźwiedzie w ten sposób się chłodzą

Ano właśnie. To jak to jest z tym ociepleniem? Globalne ocieplenie, czy też, jak się obecnie mówi, globalna zmiana klimatu, jest czymś, o czym wszyscy słyszeli już setki razy, i to od wielu lat. Bardzo łatwo w takiej sytuacji zacząć sprawę bagatelizować, zwłaszcza kiedy na dworze mróz i śnieg. Przyzwyczailiśmy się już do sygnałów ostrzegawczych. Stały się dźwiękiem tła niczym zepsuty alarm samochodowy, który nas co najwyżej drażni. W dodatku rzesze ekonomistów i przedstawicieli wielkiego biznesu (zwłaszcza, dziwnym trafem, związanego z eksploatacją paliw kopalnych, czy to je wydobywającego, czy wykorzystującego w elektrowniach i środkach transportu), a także różni politycy i publicyści zapewniają nas, że nie ma się czym martwić, że to naturalne cykle naszej planety, że większość gazów cieplarnianych pochodzi z wulkanów, a w ogóle to lód w Antarktyce zajął ostatnio rekordową powierzchnię, więc całe to ocieplenie to bzdura, złośliwe plotki rozsiewane przez ekologów oszołomów, którzy w przerwach między przykuwaniem się do kolejnych drzew (aby wyłudzić okup od firm ciężko pracujących na nasz dobrobyt) wieszczą zgubę, bo na pewno mają w tym jakiś interes.



A jak jest naprawdę? Oddajmy głos faktom, mając niezwykłą umiejętność mówienia same za siebie. Analiza osadów dennych z oceanów pozwala nam badać zmiany klimatyczne zachodzące w ciągu ostatnich kilku milionów lat. Bardziej precyzyjne badania powietrza uwiecznionego w lodowych rdzeniach pozwalają nam dostrzec zmiany temperatury i składu atmosfery z ostatnich blisko siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy lat. Z tych i innych źródeł wyłania się pewna prawidłowość. W historii naszej planety – od co najmniej trzech milionów lat – występowały regularne cykle zlodowaceń i cieplejszych okresów, zwanych interglacjami. Uważa się, że zostały one wywołane przez zmiany ilości energii słonecznej docierającej do powierzchni ziemi (co z kolei wynika ze zmian pozycji Ziemi względem Słońca) i nazywa się je cyklami Milankowicia, od nazwiska serbskiego geofizyka, klimatologa, matematyka i w ogóle bardzo mądrego człowieka, który te zmiany około 1920 roku odkrył.

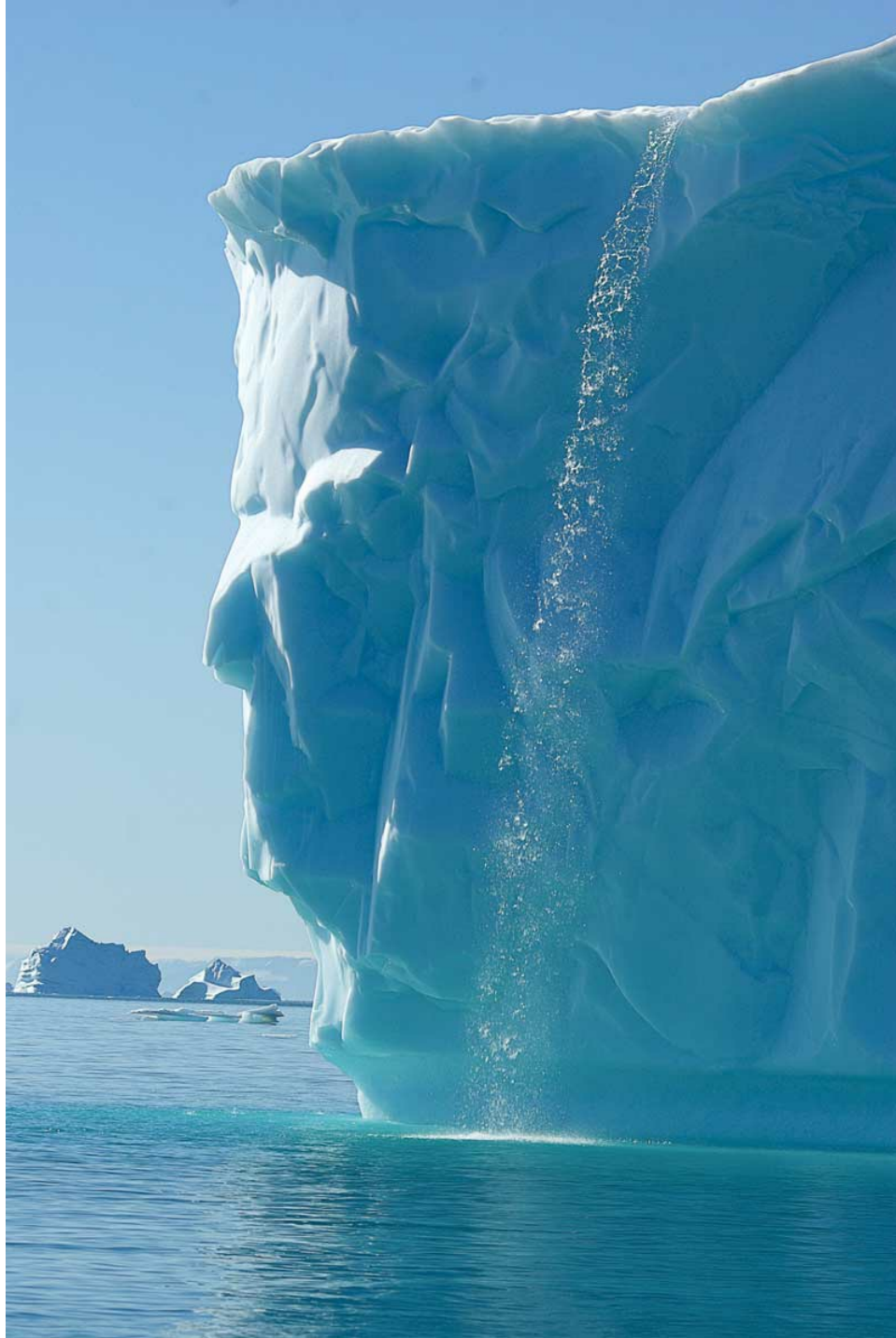
Zmiany stężenia dwutlenku węgla w atmosferze są ściśle związane ze zmianami temperatury. Co więcej, następują one po zmianach temperatury, czyli nie mogą ich wywoływać. Wydawałoby się, że to silny argument przeciwko tezie o naszej potencjalnej winie. Ale dwutlenek węgla jest silnie działającym gazem cieplarnianym. Dlatego Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (Intergovernmental Panel on Climate Change – IPCC) działający przy ONZ stwierdził, że z ponad dziewięćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem zmiany stężenia CO<sub>2</sub> nie powodowały zmian temperatury (te wynikały ze zmian w poborze energii słonecznej), ale je wzmacniały i przyspieszały, kiedy temperatura już się zmieniać zaczęła.

Teraz robi się naprawdę ciekawie. Badania rdzeni lodowych dowodzą, że w ciągu ostatnich siedmiuset tysięcy lat poziom CO<sub>2</sub> wahał się między 180 a 300 ppm (*parts per million* – części na milion: to standardowa jednostka stężenia oznaczająca jedną część danej substancji na milion części innej), zaś poziom innego silnego gazu cieplarnianego, metanu – między 320 a 790 ppb (*parts per billion*). W 2011 roku stężenie CO<sub>2</sub> wyniosło 390 ppm, zaś w 2005 metanu było 1775 ppb. Czyli znacznie powyżej dotychczasowych poziomów maksymalnych.

Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych sporo osób uważa, że wśród naukowców wciąż nie ma zgody co do tego, czy w ostatnich wiekach temperatura rzeczywiście wzrosła ponad normę i czy to nasza wina. Na szczęście opinie naukowców nie zależą od opinii publicznej, debat telewizyjnych czy artykułów w gazetach. Ba! Tak naprawdę trudno mówić o opiniach – to obiektywne oceny opierające się na twardych danych publikowanych na łamach czasopism naukowych, które przedstawiają konkretne wyniki badań, te zaś są szczegółowo krytykowane przez naukową społeczność, zgodnie z zasadą, że wszystko, co prawdziwie naukowe, musi zostać poddane falsyfikacji, czyli, mówiąc po ludzku: musi się dać sprawdzić. Całkiem niedawno doktor James Powell zadał sobie trud przeanalizowania całej naukowej literatury (od 1991 roku do listopada 2012) dotyczącej światowego ocieplenia. Wyniki są szokujące. Artykułów znalezionych na podstawie kluczowych słów *global warming* oraz *global climate change* było w sumie niemal czternaście tysięcy. Ich liczba w trakcie analizy rosła. Część autorów zgadzała się z tezą, że w wyniku wzrostu stężenia dwutlenku węgla klimat się zmienia ponad normę, część nie. Innymi słowy: jedni uznawali zjawisko *global warming* za fakt, inni jego istnienie odrzucali. Jeśli jednak przyjrzymy się danym, okaże się, że tylko dwadzieścia cztery artykuły spośród tych niemal czternastu tysięcy odrzucały tę teorię. Czy można mówić o braku zgody wśród naukowców? Nie sądzę. I bardzo zachęcam do przeczytania tekstu Powella.

A co z tym lodem? Jak to jest, że choć w Arktyce co roku mamy absolutne minimum, to

w Antarktyce niedługo później jest największy zasięg? Po pierwsze, porównujemy zimowy lód na morzu wokół Antarktyki z letnim roztopianiem się lodów Arktyki. Nie jest to uprawione porównanie. Po drugie, Arktyka to głównie lód oceaniczny, w Antarktyce zaś stanowi on jedynie obramowanie kontynentu. Owszem, jego zasięg minimalnie wzrasta, zresztą wraz ze wzrostem średniej temperatury, ponieważ wiatry są coraz silniejsze (w wyniku rosnącej różnicy temperatur nad wodą i lodowcami), a lodowaty wiatr ochładza powierzchnię wody i sprzyja zamarzaniu. Zresztą lody morskie Antarktyki przyrastają znacznie wolniej niż lody morskie Arktyki się kurczą. Ponadto – a to dużo ważniejsze – znakomita większość lodu Antarktyki to lód kontynentalny, ten zaś kurczy się niemiłosiernie.



W lecie lodowce i góry lodowe intensywnie się topią

Mnie to przekonuje. A nawet gdyby nie przekonywało, nie miałyby to znaczenia. Klimat nam się zmienia, temperatury rosną, lody się topią – i tak, to my jesteśmy za to odpowiedzialni. Im wcześniej zdamy sobie sprawę (bo naprawdę nie chodzi tu o wiarę) z tego, że alarm, który słyszymy, nie jest zepsuty, tym będzie lepiej. Czy zdążymy zrobić coś mądrego? Okaze się. Szczerze mówiąc, wątpię...

\*\*\*

Gdy po kilku dniach znowu odwiedzamy Monumental Island, mgła utrzymuje się nadal, ale samotny samiec niedźwiedzia gdzieś poszedł. Spotykamy za to kolejną samicę z rocznym młodym. Matka ma na karku świeżą ranę. Ciekawe, czy spotkała się z naszym znajomym sprzed tygodnia. Niedźwiedzice zajmują się młodymi przez nieco ponad dwa lata i dopiero gdy im się uda doprowadzić je bezpiecznie do samodzielności, mogą znowu przystąpić do rozrodu. To znaczy, że samice mogą się rozmnażać co trzy lata, czyli zawsze jest w populacji więcej gotowych do godów chłopaków niż dziewczyn. Jest zatem konkurencja. Samotne samce są też jedną z głównych przyczyn śmiertelności młodych – nie tylko dlatego, że je po prostu zjadają, ale i z tego powodu, że kiedy młode ginie, jego matka może do rozrodu przystąpić wcześniej. Matki oczywiście bronią swoich dzieci, są jednak mniejsze i słabsze od potencjalnych morderców. Mają za to silniejszą motywację. Możliwe więc, że matka, którą spotykamy, zdołała przepędzić samca zagrażającego życiu jej potomka.

Ten dzień przynosi nam kolejne zachwyty. Gdy wieczorem spuszczaemy na wodę zodiaki, by się zanurzyć w miodowym świetle zachodzącego słońca, ktoś stojący na mostku zauważył wieloryby. Podpływamy bliżej i z podnieceniem obserwujemy charakterystyczne podwójne fontanny, a pod nimi wystające z wody dwie ciemne bryły: nozdrza i grzbiet wieloryba grenlandzkiego! Wieczór spędzamy, podziwiając te legendarne bestie przebijające złotą wodę, z miedziano-złotymi górami w tle. W dodatku słońce, zachodzące dokładnie za jedną z gór, oplata ją promieniami, tak że przez chwilę widać obok siebie dwa zachody. Tym razem Arktyka naprawdę przesadziła...



Niedźwiedzica z młodymi

Kolejny dzień znowu jest przesycony historią. Zaczynamy od lądowania w Radstock Bay. Spacerujemy po rozległej równinie wyspy Devon, największej niezamieszkaney wyspy świata. Nie zawsze tak było, o czym świadczą dobrze zachowane pozostałości po osiedlu Paleoeskimosów. Sterty kamieni i wielorybich kości wciąż wyznaczają miejsca, gdzie kiedyś stały okrągłe domostwa. Są też nowsze akcenty – porzucone beczki po paliwie z czasów, gdy miejsce to wykorzystywano jako lotnisko. A wokoło niesamowite łyse klify otaczające praktycznie całą wyspę. Ale to tylko preludium. Po południu docieramy na pobliską wyspę Bechey z grobami trzech uczestników wyprawy Franklina, najsłynniejszej spośród wielu próbujących odnaleźć Przejście Północno-Zachodnie, czyli domniemany przesmyk łączący Atlantyk z Pacyfikiem poprzez cieśniny kanadyjskiej północy.

Jak pisze Sarah Moss w książce *The Frozen Ship. The Histories and Tales of Polar Exploration* [Zamarznięty statek. Historie i opowieści z wypraw polarnych], „poszukiwania Przejścia Północno-Wschodniego i Północno-Zachodniego były niezwykle tryumfem chciwości nad doświadczeniem, zabijały powoli i nieelegancko tysiące silnych i zdrowych młodych ludzi, nie dając w zamian nic bardziej opłacalnego niż lepsza kartografia”. Boom na wyprawy w poszukiwaniu drogi wodnej „nad” Ameryką zaczął się po zakończeniu wojen napoleońskich, gdy w Wielkiej Brytanii znalazło się mnóstwo statków i jeszcze więcej oficerów bez zatrudnienia. W obliczu rosyjskich dokonań na wschodzie największa morską potęgą świata stwierdziła, że przejście zachodnie muszą odnaleźć Brytyjczycy, dlatego to oni zdominowali ten region w XIX wieku. W swoim wymownie zatytułowanym podsumowaniu *The Man Who Ate His Boots. The Tragic History of the Search for the Northwest Passage* [Człowiek, który zjadł swoje buty. Tragiczna historia poszukiwania Przejścia Północno-Zachodniego] Anthony Brandt podaje, że między rokiem 1818 a 1880 wyruszyło tam łącznie dwadzieścia dziewięć wypraw na czterdziestu pięciu statkach i jedenaście wypraw lądowych. Historia mówi, że tytułowe buty nie były wcale najbardziej dramatyczną pozycją w menu części z nich.

Uczestnicy tych wypraw umierali z różnych powodów. Szkorbut, nadzwyczajnie malownicza choroba (czerniejące dziąsła, wrzody, wypadające zęby i tak dalej), wynikająca z braku witaminy C, od dawna wpisany był w dalekie podróże i w dziejach wielkich odkryć geograficznych uśmiercił dziesiątki tysięcy ludzi, niejednokrotnie wybijając członków wyprawy do nogi. O tym, że można mu zapobiec, jedząc warzywa i owoce albo pijąc sok z limonki (to właśnie on, *lime juice*, będący często, ale nie zawsze na wyposażeniu statków brytyjskiej marynarki wojennej, zaowocował pogardliwym przezwiskiem, które nadano Anglikom: *limeys*), o czym od zawsze wiedziały liczne rdzenne ludy całego świata, nasza cywilizacja przekonała się w 1753 roku dzięki eksperymentom szkockiego lekarza Jamesa Lind. Znany był również zbawienny wpływ surowego mięsa, które wprawdzie samej witaminy C zawiera niewiele, ale za to ma sporo jej metabolitów, a te też potrafią przeciwdziałać chorobie. Mimo to – będąc przykładem najbardziej morderczych oporów przed nowymi ideami w historii – skorbut zbierał swoje żniwo przez cały wiek XIX i część XX, aż do pierwszej wojny światowej. W XIX wieku wciąż uważano, że wywołuje go „lenistwo i brak higieny”, czego dowodem miała być większa przeżywalność kulturalnych oficerów niż prostych żeglarzy. To, że oficerowie lepiej się odżywiali, jakoś się nie liczyło. Dlatego co bardziej odpowiedzialni szefowie ekspedycji za wszelką cenę starali się wypełniać czas swoich ludzi różnymi zadaniami i rozrywkami, a znaczną część ich bagażu stanowiły często stroje teatralne, prasy drukarskie

i inne niezbędne akcesoria. Oczywiście miało to często pozytywny wpływ na morale zdobywców, ale niewiele wspólnego ze szkorbutem. Wybitni dowódcy, tacy jak James Cook czy James Clark Ross, starali się zapewnić swoim ludziom jak najbardziej zróżnicowaną dietę, z dużą ilością świeżego mięsa i ryb – i jakimś cudem podczas ich wypraw szkorbut trafiał się zdecydowanie rzadziej. Często oczywiście różnicowanie diety nie było możliwe. Mało tego: znalezienie czegokolwiek do jedzenia okazywało się wyzwaniem, zwłaszcza dla tych, którzy musieli zimować gdzieś w arktycznych lodach. Dochodziło do tego przenikliwe zimno, nieustanna ciemność i wilgoć wynikająca z kondensacji wody na zimnych burtach statku. Woda ta w nocy zamarzała. Ci, którym się poszczęściło, tonęli w mroźnych wodach lub ginęli zaatakowani przez niedźwiedzie, ale większość umierała powoli i spektakularnie. Jeśli o to chodzi, jedną z moich ulubionych wypraw jest ta, której przewodził Adolphus Greely. Nie szukał on wprawdzie przejścia pomiędzy Atlantykiem a Pacyfikiem, tylko próbował dotrzeć do bieguna północnego, ale cała historia rozegrała się w Kanadzie. W 1881 roku dwudziestu pięciu członków wyprawy dotarło statkiem „Proteus” do Zatoki Lady Franklin na wyspie Ellesmere. Statek odpłynął, a oni spędzili tam dwie zimy i obie przeżyli. Później jednak, kiedy się okazało, że żaden statek po nich nie wraca, postanowili wyruszyć na południe. Po wielu trudach w końcu udało im się dotrzeć do Cape Sabine na wyspie Pim, gdzie spędzili kolejną zimę. I tam zaczął się dramat. Już dwa lata wcześniej, na samym początku wyprawy, na Grenlandii, jeden z jej członków zrezygnował, ale nie dało się go odesłać, więc cały czas był z nimi, choć nie wykonywał żadnych obowiązków. Dwóm kolejnym skończył się kontrakt, więc postanowili nic już nie robić. Trochę niefortunnie jednym z nich okazał się lekarz wyprawy, doktor Pavy. Morale było niskie, zapasy pożywienia bardzo ograniczone, warunki ogólnie fatalne – i członkowie wyprawy zaczęli umierać. Jeden z nich został zastrzelony za kradzież racji żywnościowych, inny się utopił, ale większość umierała z głodu i z powodu odmrożeń. Co ciekawe, doktor Pavy, który czasem jednak pełnił swoje obowiązki, wykazywał niezwykle przypływ energii za każdym razem, gdy komuś coś amputował (bywało, że bez wiedzy śpiącego pacjenta) lub gdy któryś z jego podopiecznych umierał. Lubię myśleć, że to on zainspirował Rolanda Topora do napisania słynnego opowiadania o alpiniście, który podstępnie zjadał własną nogę, nie dzieląc się z kolegami. Również ci członkowie wyprawy, którzy mieli siłę wyruszać na „wyprawy łowieckie”, wracali zwykle wzmocnieni, choć nic nie udało im się złapać. Za to trumny ich towarzyszy, „pogrzebanych” na zewnątrz, były – według wybawców niedobitków wyprawy – „niezwykle lekkie”. Stwierdzono też brak kawałków ciał w nich umieszczonych. Kiedy w 1884 roku wyprawa Greely’ego została w końcu uratowana, przy życiu pozostało już tylko siedmiu ludzi. Jeden zmarł niedługo po wejściu na statek. Sam Greely żył jeszcze długo i odnosił sukcesy. Dostał nawet – jako drugi i ostatni w historii wyróżniony za działania niemające charakteru wojennego (obok Charlesa A. Lindbergha, odznaczonego za pierwszy samotny lot nad Atlantykiem) – Medal Honoru armii amerykańskiej, a zarzut kanibalizmu nigdy nie został mu postawiony.

Sir John Franklin nie był już młodym człowiekiem, ale jego śmierć niewątpliwie do szybkich i eleganckich nie należała. Miał już za sobą dwie lądowe wyprawy arktyczne, z których pierwsza, zorganizowana w latach 1819–1822, w wyniku fatalnego planowania i braku doświadczenia szefa skończyła się katastrofą, z głodem, odmrożeniami, zjedaniem butów i kolegów włącznie, ale druga (1825–1827) zaowocowała wieloma odkryciami. Jego kariera różnie się potem toczyła (w latach 1837–1843 był nawet gubernatorem Tasmanii), aż w końcu,

w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, za namową żony wrócił do polarnej eksploracji. W 1845 roku opuścił Wielką Brytanię, by dwoma wspaniałymi statkami (najbardziej podobają mi się ich nazwy: „Erebus” i „Terror”) poszukać słynnego przejścia. Dzieje tej wyprawy to fascynująca opowieść o ludzkiej buć i kompletnym braku szacunku zarówno dla potęgi przyrody, jak i dla tych, którzy nauczyli się ją rozumieć i żyć z nią w zgodzie – Inuitów. Oczywiście dumni zdobywcy uważali, że uczenie się czegokolwiek od „miejscowych dzikusów” jest poniżej ich godności, więc w ciągu dwóch lat wszyscy uczestnicy wyprawy, z Franklinem włącznie (sto dwadzieścia dziewięć osób), zginęli. Jej losy wciąż owiane są tajemnicą. Wiadomo, że pierwszą zimę spędzili właśnie na wyspie Beechey. Ze stopniowo odkrywanych śladów, ciał i z opowieści Inuitów wiadomo też, że ich statki później zatoneły, a ci, którzy przeżyli, podjęli desperacką próbę dojścia na południe, okazjonalnie prosząc miejscowych o pomoc. Rozproszeni mieszkańcy Arktyki nie mogli jej jednak na dłuższą metę udzielać kilkudziesięciu obcym, nie narażając na głód własnych rodzin. Rozbitkowie byli fatalnie przygotowani, a jednocześnie wytrwale odmawiali zrezygnowania z atrybutów swojej kultury i przyjęcia do wiadomości, że Inuici coś jednak mogą wiedzieć. Sam Franklin zmarł w sierpniu 1847 roku na wyspie King William, w pobliżu której oba jego statki utknęły w lodzie. Nie wiadomo dokładnie, jaka była przyczyna jego śmierci, ale odnalezione później notatki sugerują stopniową utratę sprawności intelektualnej, co wskazuje, że niemalą rolę w porażce całej wyprawy mogło odegrało zatrucie ołowiem (lub jadem kiełbasianym) ze słabo zabezpieczonych konserw. Jego zastępca, dowódca HMS „Terror”, kapitan Francis Crozier, próbował z resztą ludzi przedrzeć się na południe, ale wszyscy zmarli podczas marszu. Dość powiedzieć, że w jednej z szalup ciągniętych przez rozbitków odnaleziono później tak niezbędne przedmioty, jak srebrne widelce i noże oraz jedwabne chustki, za to bardzo niewiele broni.

Zaginienie wyprawy Franklina mocno się przyczyniło do poznania rejonu. W drugiej połowie XIX wieku ich odnalezienie stało się ambicją wielu nacji. W poszukiwaniu zaginionych, a później już tylko śladów pozwalających na ustalenie ich losów, wyruszyły w sumie dwadzieścia cztery wyprawy, z których część sponsorowała żona Franklina. Inne finansowały rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, a także firmy prywatne. Co jakiś czas znajdowano ich ślady, a epilog tych poszukiwań nastąpił we wrześniu 2014 roku, kiedy odkryto wrak „Erebusa” na dnie morza, u wybrzeży Kanady, w miejscu, o którym od lat mówili Inuici. W latach 1853–1854 zaginionej wyprawy poszukiwał John Rae, jeden z najbardziej doświadczonych znawców Arktyki, pracujący dla Kompanii Zatoki Hudsona. W odróżnieniu od wielu innych traktował opowieści miejscowych poważnie i dzięki nim odkrył prawdę, która okazała się jednak na tyle niewygodna, że przez lata jego raporty odrzucano. W relacjach Inuitów pojawiali się bowiem wygłodzeni biali podróżnicy, niosący... kończyny swoich pobratymców jako kanapki na drogę! Oczywiście dla elity wiktoriańskiej Anglii takie doniesienia były nie do przyjęcia, choć dowody w pełni je potwierdzały. To nie przypadek, że John Rae, jako jedyny z naprawdę wielkich i zasłużonych (jego wyprawy przyniosły też mnóstwo odkryć geograficznych) eksploratorów dalekiej Północy, nigdy nie został uhonorowany tytułem szlacheckim, a jego imię praktycznie zapomniano. Mnie ten człowiek fascynuje od dawna i choć nie ma tu miejsca na szczegółowe przedstawienie jego dokonań, z całym przekonaniem polecam zagłębienie się w jego historię (dobrym źródłem jest książka Kena McGoogana *Fatal Passage. The Story of John Rae, the Arctic Hero Time Forgot* [Fatalne

Przejście. Historia Johna Rae, arktycznego bohatera, o którym zapomniano]).

Trudno myśleć i pisać o Arktyce, zapominając o jej południowym odpowiedniku – Antarktyce. Ja przynajmniej tego nie potrafię, zwłaszcza że na dalekim południu spędziłem dużo więcej czasu niż na północy. Większość moich polarnych doświadczeń właśnie z Antarktyką się wiąże. Choć pod wieloma względami mroźne końce naszej planety bardzo się od siebie różnią, to podobieństw jest między nimi mnóstwo. Jednym z nich, tym zresztą, które do mnie przemawia najbardziej, jest niezwykła zdolność obu tych obszarów do uczenia nas szacunku dla sił natury. Czy to w Antarktyce, czy w Arktyce, sprawa jest dosyć jasna: to przyroda tam rządzi. Wszelkie przejawy arogancji, nadmiernej wiary w swoje umiejętności, doświadczenie, sprzęt i możliwości, karane są śmiercią. To takie proste. A mimo to oba te regiony obfitują w tragiczne historie ludzi, którzy tego pojąć nie potrafili.

Antarktyka miała swojego Franklina pół wieku później. W 2012 roku u wybrzeży Grenlandii odnaleziono wrak słynnego statku „Terra Nova”. To on zawiózł Roberta Falcona Scotta na jego ostatnią antarktyczną wyprawę – w 1910 roku wyruszył, by zdobyć dla Korony brytyjskiej biegun południowy. Niesamowite, że sam statek przeżył swojego najsławniejszego kapitana o ponad trzydzieści lat, po czym zatonął na drugim końcu świata, w Arktyce, w 1943 roku. Losy „Terra Novy” spinają klamrą te dwa regiony, nie one jedne zresztą.

Scott jest jednym z najlepszych przykładów odporności na wiedzę „prymitywnych dzikusów”. Butnego Anglika (coś było w tym kraju, że wielu jego synów, podobnie jak Franklin, czuło się superbohaterami, których nie dotyczą prawa i problemy zwykłych śmiertelników) wychowano w przeświadczeniu, że jako syn najpotężniejszego państwa na świecie podda wszystkim. Jego ostatnia wyprawa świetnie to demonstruje. Przez swoją arogancję i brak odpowiedniego planowania nie tylko nie osiągnął zamierzonego celu, ale przyczynił się też do śmierci towarzyszy. Nie chcę pisać o każdej jego skandalicznie głupiej decyzji, bo od lat sama myśl o tym człowieku po prostu mnie irytuje. Niech bezmiar jego nieodpowiedzialności zilustruje fakt, że na świecach, które ze sobą przywiózł na Antarktydę i które wciąż można znaleźć w jego chacie, wyraźnie jest napisane: „Tylko do użytku w tropikach”.

Najciekawsze, że cel Franklina i Scotta osiągnął w końcu jeden człowiek: Roald Amundsen. Ten jednak, zamiast wielkim statkiem, wybrał się w 1903 roku na północ małym żaglowcem „Gjoa” mającym na pokładzie zaledwie siedmiu ludzi. Pokonanie Przejścia Północno-Zachodniego zajęło im dwa lata, a zimując w Arktyce, Amundsen pilnie poznawał zwyczaje i techniki Inuitów, co w 1911 roku umożliwiło mu zdobycie bieguna południowego. Tym, co odróżniało Amundsena od poprzedników i rywali, była pokora, z jaką podchodził do środowiska, mądre planowanie, rozsądny wybór zespołu, odpowiedzialność za ludzi i rzetelne przygotowania.

No właśnie. Dotarliśmy akurat do grobów trzech uczestników wyprawy Franklina. Ich śmierć okazała się preludium do prawdziwej tragedii: jeden z nich, John Torrington, został nawet międzynarodową gwiazdą, gdy w 1984 roku zdjęcie jego zmumifikowanej twarzy odsłoniętej w trakcie sekcji obiegało światowe media. Prawie sto czterdzieści lat po śmierci stał się inspiracją dla poetów i wszystkich tych, którzy w jego młodości i delikatnej posturze dostrzegli symbol niewinności zniszczonej przez okrucieństwa epoki i bezwzględnej przyrody. Nawet bez grobów wyspa Beechey może uchodzić za ponure miejsce. Prawie żadnej roślinności, niezbyt duża plaża z pokruszonych kamieni, zerodowane wzgórza dookoła. Wygląda to tak, jakby kawałek dalej świat kończył się bezdennym urwiskiem. Trudno sobie wyobrazić



zimę w takim miejscu, a jednak zimę spędzili tam nie tylko ludzie Franklina.

Najpierw odwiedzamy pozostałości Northumberland House, zbudowanego w trakcie wyprawy sir Edwarda Belchera, który w latach 1852–1854 prowadził największą z ekspedycji poszukujących zaginionych. Dom postawiono i wyposażono w nadziei, że jeśli ktoś przeżył, może wróci na Beechey. Służył polarnikom jeszcze na początku XX wieku jako bezpieczne zimowe schronienie. Teraz to tylko ruiny, krzyż ułożony z zardzewiałych puszek i kilka pamiątkowych tablic poświęconych zdobywcom, których tu przygnało, i wielkim tego świata, którzy miejsce to odwiedzili. Kilkaset metrów dalej, na ponurej piargowej równinie, znajdują się pozostałości samego obozu Franklina oraz najbardziej samotne groby świata. Wspaniały zachód słońca zatarł może trochę przynębiające wrażenie, ale Beechey Island jest chyba najsmutniejszym miejscem, jakie odwiedziłem podczas swoich podróży.

Następnego dnia historia przemawia do nas znacznie cieplejszym tonem. W Crocker Bay natykamy się na stado wołów piżmowych! To fascynujące osobowości Arktyki.

Do krainy tej należą północne krańce trzech wielkich kontynentów: Ameryki Północnej, Europy i Azji. To jedna z cech charakterystycznych odróżniających ją od Antarktyki: okolice bieguna południowego to wielki kontynent, oddzielony od innych szerokim oceanem. Dlatego wszystko, co tam żyje, musiało tam dopłynąć lub przylecieć. Nie ma więc w Antarktyce lądowych ssaków. Zupełnie inaczej jest na północy. W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że organizmy arktyczne są polarnymi wersjami swoich bardziej południowych odpowiedników, bo ich przodkowie przybyli tam drogą lądową, po czym przystosowali się do panujących ekstremalnych warunków. Większość mieszkańców tych okolic wygląda więc dość znajomo, ale jest kilka wyjątków.



Wół piżmowy, zwany też piżmowołem, jest jednym z moich absolutnych ulubieńców. To przedziwne zwierzę, porośnięte długim skłębionym włosem, jest jak spokojny, pogrążony w zadumie hipis, który nie zauważył, że wszyscy jego kumple dawno już wymarli. Woły piżmowe kroczyły po naszej planecie razem z włochatymi nosorożcami, mamutami i tygrysami szablozębnymi, i jedynie surowy klimat Arktyki pozwolił im przetrwać do naszych czasów. Ciężko to zwierzę opisać lub do czegokolwiek porównać. Jego złożoną naturę najlepiej chyba oddaje łacińska nazwa rodzajowa *Ovibos*, znacząca tyle samo co rosyjska: owco-byk. Bo faktycznie, właśnie dlatego, że to tak stary gatunek, wykazuje wiele cech obu tych grup pustosrogich, a z wyglądu najbardziej przypomina zamieszkującego Himalaje jaka. Podobnie jak wielu innych mieszkańców Arktyki, piżmowoły świetnie sobie radzą w jej surowych warunkach, ale niezbyt dobrze reagują na zmiany. Ich słynna technika obronna, polegająca na ustawianiu się w kręgu z ogromnymi rogatymi łbami silnych samców na zewnątrz, a cielakami w środku, kapitalnie się sprawdzała podczas ataków wszelkich drapieżników – czy to plejstocenских niedźwiedzi krótkopyskich, czy współczesnych wilków. Niestety wobec inuickich łuków, a potem strzelb białych traperów taktyka ta działała dużo gorzej, więc w XIX wieku populacja tych dostojnych starców ewolucji gwałtownie zmalała. Najpoważniejsze zagrożenie pojawiło się jednak w pierwszej połowie XX wieku, kiedy ogrody zoologiczne zainteresowały się ich hodowlą. Oczywiście właściciele tych przedsiębiorstw byli zainteresowani jedynie pozyskiwaniem cieląt i szybko uznali, że najlepszym i najbardziej praktycznym sposobem jest wyrżnięcie wszystkich dorosłych ustawionych w obronnej formacji... Jeśli się weźmie pod uwagę, jak opiekuńcze są woły, trudno im nie przyznać racji. Ocenia się, że na każde schwyte cielę ginęło co najmniej pięć dorosłych.



W Kanadzie wciąż intensywnie poluje się na niedźwiedzie polarne

Na szczęście w latach trzydziestych, po zabiciu ponad dwóch tysięcy osobników, ogrody zoologiczne wycofały się z tej krwawej praktyki. Obecnie populacja tych niesamowitych zwierząt powoli się odbudowuje, a ich współczesny zasięg obejmuje części Alaski, Arktyki kanadyjskiej i wybrzeża Grenlandii. Muszę przyznać, że spotkania z piźmowołami naprawdę przywołują myśli o neolitycznych malowidłach. One rzeczywiście wyglądają tak, jakby dopiero co zeszyły ze ścian groty w Lascaux, by pobrykać po arktycznych pastwiskach. Dobrze, że dotrwały do naszych czasów. Uważam, że nie możemy dopuścić, by po setkach tysięcy lat właśnie teraz wyginęły. A mało brakowało.

Te, które widzimy z zodiaków, mają się dobrze. Po południu lądujemy – i spotykamy kolejne stado. Musimy zachować ostrożność, bo piźmowoły często uznają, że najlepszą obroną jest atak. To nie są wielkie zwierzęta, do żubra czy bizona im daleko, ale spotkanie z takim dwukrotnie przerośniętym baranem na sterydach mogłoby się skończyć tragicznie. Na szczęście woły idą w swoją stronę, my w swoją, i poza wzajemnymi ciekawskimi spojrzeniami do dalszych interakcji między naszymi grupami nie dochodzi.

Patrzę na te oddalające się skamieliny i myślę: jak to jest być wołem piźmowym? Jakob von Uexküll wymyślił w 1934 roku termin *umwelt*. Słowniki twierdzą, że znaczy to środowisko, otoczenie, ale to niedokładnie tak. Chodzi raczej o bardzo subiektywnie postrzegane „otoczenie ja”, o to, jak wyczulone są narządy zmysłów, co jest dla nich istotne i które elementy środowiska są dla różnych bytów ważne, a których nie są nawet w stanie zauważyć. To samo środowisko będzie różnym *umweltem* dla każdego z jego mieszkańców, każde zwierzę ma swój własny, nawet jeśli mieszkają w tym samym miejscu. Łatwo to sobie wy-

obrazić, jeśli pomyślimy, jak wyglądają nasze miasta z perspektywy mieszkających w nich szczurów, a jak nasz ogród z punktu widzenia pszczoły. Prywatny świat lisa polarnego, poruszającego się dużo bliżej ziemi, szukającego pokarmu i schronienia wśród jej licznych zakamarków, będzie zupełnie inny od świata piżmowołu, który po tych samych zakamarkach depta. Woły są od nas większe, ale mieścimy się raczej w ich skali niż w skali lisów czy lemingów. Odległe wzgórza, które dla lisa mogłyby równie dobrze nie istnieć, dla wołów oznaczają cel lub drogowskaz w trakcie corocznej wędrówki. Dla karibu skala jest jeszcze większa, bo ich świat obejmuje zarówno letnią tundrę, jak i zimową tajgę kilka tysięcy kilometrów dalej. A świat bociana obejmuje i Polskę, i Afrykę. Wiadomo, że dzisiejsze woły nie pamiętają czasów, kiedy wędrowały razem z mamutami, więc nie zastanawiają się, gdzie są wszyscy ich sąsiedzi. Ale już wieloryby grenlandzkie, żyjące po dwieście lat, pamiętają czasy przemysłowego wielorybnictwa i wszystkie te chwile, gdy ginęli ich bliscy, a im ledwo się udawało ująć z życiem. Co taki wieloryb myśli, widząc nasz statek? Czy odżywają stare wspomnienia, czy przekazuje je swym dzieciom? Trudno stwierdzić. Można jednak bezpiecznie założyć, że w prywatnym świecie wołów piżmowych, zupełnie jak w naszym,oczesne miejsce zajmuje życie ich cieląt, lęk przed drapieżnikami i przed głodem. Ale jak on to widzi? Dla mnie moja córka to jej uśmiechnięta lub zatroskana twarz, brzmienie jej dzieciennego głosu i mądrość obserwacji, a kiedy się przytula – ciepło jej ciała. A jak wół widzi swojego cielaka? Jako niewyraźny (jak wielu roślinożerców woły piżmowe są prawdopodobnie bardziej wyczułone na ruch niż na szczegóły obrazu) kłębek podskakującego futra o najśłodszym zapachu na świecie i ukochanej intonacji beczenia? Choć świat za życia tego gatunku zmienił się ogromnie, wciąż im się udaje ten prywatny świat własnych doświadczeń i zmysłów jakoś weń wpasować. Fascynujące stworzenia...

Powoli zbliża się koniec naszej arktycznej peregrynacji. Dobijamy do Coburga, odległej i niezamieszanej przez ludzi wyspy w archipelagu Królowej Elżbiety. Wyspa jest rezerwatem przyrody, ale to wody wokół niej przynoszą mi najbardziej pamiętne spotkanie przyrodnicze sezonu. Jestem w Arktyce od dwóch miesięcy. Zaczynałem w okolicach Svalbardu, potem była Islandia, Grenlandia i wreszcie Kanada. I cały czas rozglądałem się w poszukiwaniu dwóch typowo arktycznych gatunków waleni: białuch i narwali, wspólnie tworzących osobną rodzinę narwalowatych (*Monodontidae*). Widziałem już ich kości, ale zobaczyć żywych zwierząt ciągle mi się nie udało. I nagle dostrzegamy u wybrzeży ruch w wodzie. Nie ma wielkich fontann, ale widać kilka podejrzanie jasnych ciał kłębiących się przy powierzchni, na płyciźnie. Wyglądają trochę jak piana na wzburzonych falach, ale nigdzie indziej nie tworzą się białe grzywy. Białuchy! Przypominają trochę przerośnięte delfiny, ale nie mają płetwy grzbietowej. Ich niemal białe ciała tańczą blisko siebie, gdy ocierają się o dno, pozbywając się starego naskórka. To dla nich dość typowe zachowanie. Te piękne zwierzęta są przez to stosunkowo łatwym łupem przybrzeżnych łowców. Na szczęście nikt już nie robi z białuch ekskluzywnych foteli, niemniej wciąż są łapane jako atrakcje dla akwariów. Robią furorę dzięki temu, że jako jedne z niewielu waleni potrafią ruszać szyją i zdają się mieć mimikę, a poza tym są bardzo wokalne (nazywa się je nawet morskimi kanarkami). Czytałem kiedyś artykuł, z którego wynikało, że potrafią nawet naśladować dźwięki ludzkiej mowy! Dzieli nas od całej ich rodziny kilkaset metrów lodu, więc oglądamy je dłuższą chwilę, a potem płyniemy dalej. Cieszę się z tego spotkania, ale mam poczucie niedosytu. Chciałbym je kiedyś obejrzeć dokładniej.

Za zakrętem – znowu ruch w wodzie! Znowu nie ma fontanny, znowu coś się kłębi, ale tym razem zwierzęta nie są aż tak jasne. Nagle powierzchnię wody przecina długi czarny pręt... tym razem to właśnie narwale, mityczne jednorożce Arktyki! Są podobne do białuch, ale ciemniejsze, choć stare samce z czasem jaśnieją. Tylko u nich jeden z przednich zębów (na ogół lewy, bardzo rzadko dwa) rozwija się w ogromny charakterystyczny róg. Powstały różne teorie na temat jego zastosowania. Długo myślano, że to broń używana podczas polowań lub pojedynków o samice, kiedy jednak narwale krzyżują kły, nie wygląda to na potyczkę, a raczej na delikatne ocieranie się. Badania anatomiczne wykazały, że zęby narwali to nadzwyczajnie wrażliwe narządy zmysłu, reagujące na dotyk, ale potrafiące również wykrywać takie cechy wody, jak temperatura, zasolenie czy ruch. Obserwacje towarzyskich interakcji tych społecznych zwierząt wykazują, że to pocieranie to rodzaj pieszczoty. Znane są nawet przypadki, że gdy któryś z nich traci koniec swojego rogu, inne próbują zatkać bolesny otwór czubkiem własnego zęba.

Zwolenników teorii o spiskach wielkich firm farmaceutycznych ucieszyłaby zapewne wiadomość, że taki spisek rzeczywiście miał miejsce – w średniowieczu i w epoce wielkich odkryć geograficznych. Żeglarze przywozili do Europy kły narwali i sprzedawali je dyskretnie ówczesnym alchemikom i aptekarzom, którzy później mogli twierdzić, że to rogi jednorożców, i żądać za nie wysokiej ceny. Przez kilkaset lat ta zмова milczenia była korzystna dla każdej ze stron, oczywiście poza samymi narwalami i nabywcami. Wyobrażam sobie też, że wracający z wielomiesięcznej wyprawy wielorybnicy bardzo chcieli zaimponować napotykanym w portowych tawernach damom, więc opowieści o jednorożcach zawsze trafiały na podatny grunt.

Narwale widzimy na otwartej wodzie, więc spuszcza my zodiaki, żeby im się lepiej przyjrzeć. Nie możemy ich płoszyć, więc nie płyniemy wprost w kierunku powoli podróżujących ssaków, tylko w odległości kilkuset metrów. Staramy się płynąć równolegle do nich. Zanurzają się na parę minut, a później wynurzają prawie pół kilometra dalej. Chodzi o to, żeby się tam znaleźć przed nimi, żeby je znowu zobaczyć. Jestem zbyt przejęty, żeby robić zdjęcia. To mój pierwszy raz, więc nie mam wprawy i nie zawsze udaje mi się czekać na nie w odpowiednim miejscu. Tym razem tytuł zaklinacza wielorybów należy się Bobowi, potężnemu historykowi pracującemu dla firmy, która nasz statek wynajęła. Walenie za każdym razem wynurzają się niemal dokładnie na wysokości jego zodiaka, choć zawsze w bezpiecznej odległości dwustu metrów. Ta mistyczna gonitwa zajmuje nam całe popołudnie. Na statek wracamy całkowicie oczarowani. Później refleksyjnie pijemy w barze.

Kanada żegna nas wspaniale. Kolejny dzień to wizyta w Qaanaaq, dawnym Thule, na Grenlandii. Znowu jest bardziej kolorowo niż w osadach kanadyjskich, takich jak Pangnirtung czy Pond Inlet, który odwiedziliśmy parę dni wcześniej. Nie ma tego wrażenia, że to opuszczony przez historię PGR, co nie znaczy, że jest weselej. Znowu widzę narwala – tym razem jego schnący na plaży obok łodzi rybackiej obcięty ogon. W pobliżu leży jeszcze kilka zakrwawionych ciał fok, a na specjalnym rusztowaniu wysycha skóra polarnego niedźwiedzia. Arktyka to niewątpliwie również kraina ludzi.

Mieszkańcy Arktyki od dawna są przez nas wykorzystywani. Choć brzmi to niewiarygodnie, Inuici byli porywani przez podróżników już od czasów Martina Frobishera – zapoczątkował tę tradycję w 1576 roku. Zakaz ich sprowadzania na potrzeby obwoźnych wystaw przyjęły

różne państwa europejskie już w XVIII wieku, ale jeszcze w 1897 roku admirał Robert E. Peary przywiózł do Stanów Zjednoczonych pamiątkę z podróży w postaci inuickiej rodziny. Po kilku latach żył tylko jeden chłopiec, Minik. Jego walka o odzyskanie ciał najbliższych, bezceremonialnie wystawionych w muzeum, to smutny symbol naszego stosunku do rdzennych ludów, widocznego na całym świecie, od Tasmanii po Arktykę. Zresztą dla „swoich” wcale nie byliśmy lepsi. Jak pisał Barry Lopez, eksploracja Arktyki to często „ludzie z charakterem płynący po śmierć dla ludzi napędzanych chciwością”. Nawet dziś – choć Inuici są najbardziej odlegli od centrów przemysłowych – zawartość szkodliwych substancji w ich ciałach należy do najwyższych na świecie, ponieważ ich opierająca się na mięsie i tłuszczu tradycyjna dieta kumuluje w ich organizmach trucizny. Te same procesy odpowiadają za to, że zwłaszcza szczytowe drapieżniki mają w ciałach znacznie większe stężenia zanieczyszczeń niż samo środowisko. Z jednej strony w dość pokrętny sposób może z tego płynąć nadzieja – mięso wielorybów zawiera tyle metali ciężkich, że może państwa, które na nie polują, takie jak Japonia, Norwegia czy Islandia, przestaną to robić w trosce o zdrowie własnych obywateli, skoro argumenty o ochronie przyrody do nich nie docierają. Z drugiej strony coraz więcej niedźwiedzi polarnych wykazuje cechy hermafrodytyzmu: ze względu na stężenie chemikaliów w tkankach nie mogą się rozmnażać.



Arktyka kanadyjska

Firmy wydobywcze, takie jak Shell, Gazprom albo BP, coraz śmielej poczynają sobie w otwierającym się wraz ze znikaniem lodu oceanie arktycznym, nie przejmując się tym, że skutki nieuniknionej w tak trudnych warunkach awarii będą katastroficzne, a niskie temperatury i powolność procesów biologicznych sprawią, że zanieczyszczenia pozostaną w środo-

wisku właściwie na zawsze. Czy uda nam się tego uniknąć? To zależy od nas, ale nie jestem optymistą.

Chciałbym, aby dzikie piękno Arktyki przetrwało. By za sto lat można było napisać jak przywoływany już Barry Lopez, że „to nie tylko tak, że ta kraina jest po prostu piękna: jest też potężna. Jej siła wynika z napięcia między oczywistą urodą a zdolnością odbierania życia”. Arktyka nie tylko odbiera życie. Arktyka także życie daje, chociażby regulując klimat całej ziemi, ale i żywiąc nieprzebrane rzesze swych mieszkańców i tych, którzy, jak wieloryby, korzystają z jej bogactwa i roznoszą je na cały świat. Bardzo bym chciał, żeby tak zostało.

### III. Raj do góry nogami

CHMURA Istnieją już prawa, Iksionie, którym trzeba się poddać.

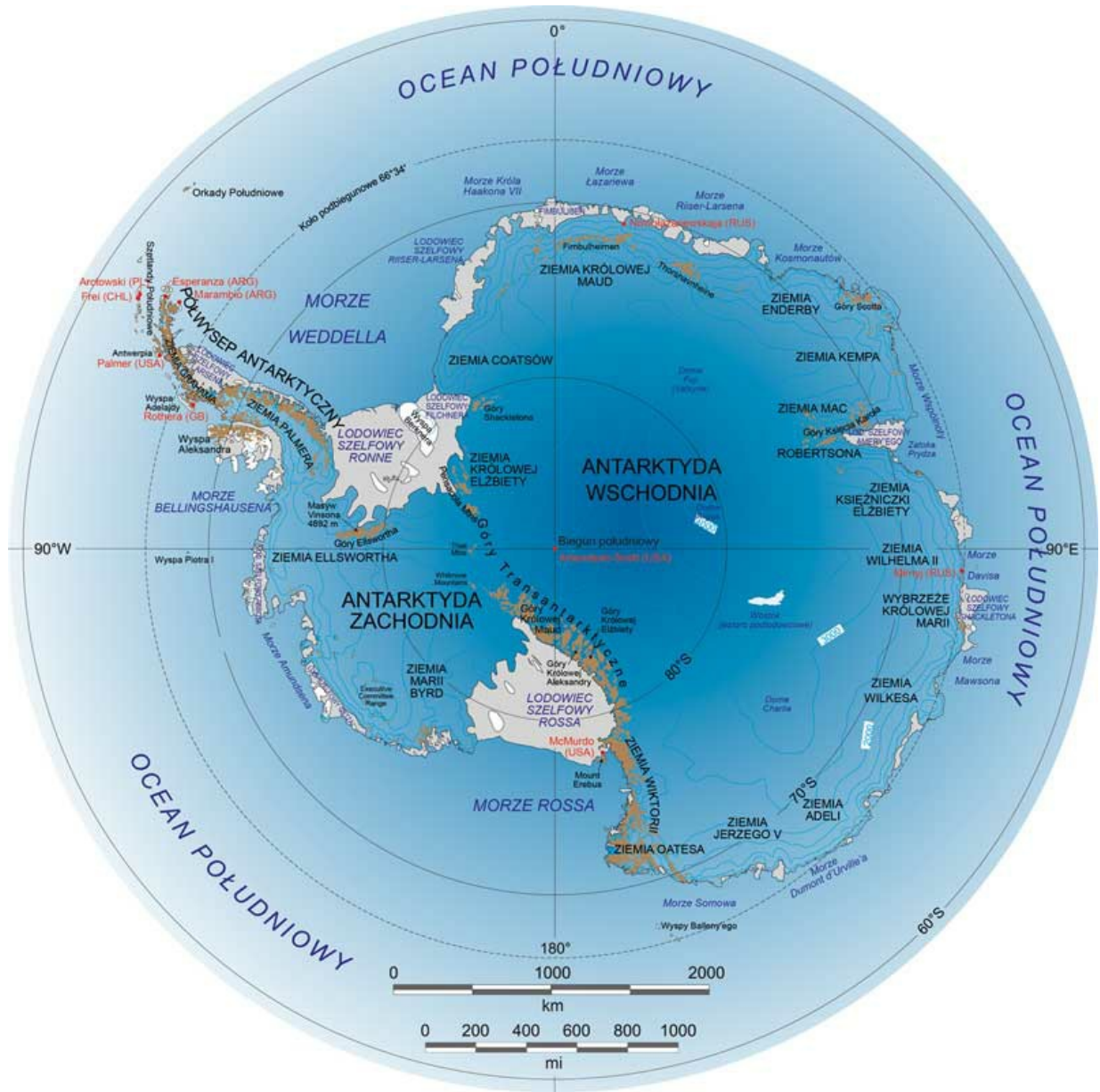
IKSION Tu, na górę, prawa nie docierają, Nefele. Tutaj prawem jest lodowiec, zamieć, ciemność. A kiedy się rozjaśnia, kiedy zdarza się dzień świetlisty i ty, lekka, wpływasz na skalną ścianę, jest zbyt pięknie, by myśleć o prawach.

CHMURA Istnieją prawa, Iksionie, których wcześniej nie było. Chmury już układa inna, silniejsza ręka.

IKSION Ta ręka nie sięga aż tutaj. Nawet ty teraz, kiedy się wypogodziło, śmiejesz się na myśl o niej. A kiedy niebo mrocznieje i huczy wiatr, jakież znaczenie ma taka ręka, która nas uderza jak spadające krople? Tutaj wydarzało się już to samo, kiedy jeszcze nie było władcy. Nad górami nic się nie zmieniło. Przywykliśmy już do wszystkiego.

Cesare Pavese, *Dialogi z Leukoteą*





## 9. Pod sutkiem Matki Ziemi

Pomiędzy scenami, jakie głęboko wryły się w pamięć moją, żadne nie przewyższają wspaniałością swoją lasów, ręką człowieka jeszcze nietkniętych, czy to lasów brazylijskich, gdzie siła życia jest panującą, czy to lasów Ziemi Ognistej, gdzie panuje śmierć i zniszczenie. Jedne i drugie są świątyniami, napełnionymi wspaniałymi twory Boga przyrody: – nikt nie może przyglądać się tym puszcjom i nie czuć przytem, że w człowieku znajduje się jeszcze coś więcej po nad proste tchnienie ciała.

Karol Darwin, *Podróż naturalisty*

W końcu wydają nasze cumy i „Polar Pioneer” odbija od gdyńskiego wybrzeża. Patrę na smutne twarze zgromadzonych rodzin, narzeczonych, jednego smętnego męża i kilku podchmielonych kolegów. Są też na brzegu jacyś oficjele, ale mało kto na nich patrzy, każdy z nas wyszukuje postaci z własnej codzienności, tak bliskich, a teraz powoli znikających z oczu. Jak dobrze pójdzie, zobaczymy się za rok. Płyniemy na Antarktydę!

To moja pierwsza morska podróż, jeśli nie liczyć promu do Szwecji sprzed dziesięciu lat. Nie wiem, jak zareaguję. Postanowiłem jednak nie brać nic na chorobę morską i przekonać się, czy jestem na nią podatny. Jak tylko statek odbija od brzegu i czuję falę, a grunt nagle przestaje być godny zaufania – zaczyna się! Mój mózg budzi się z ulubionego marazmu i krzyczy: „Jak to? Co się dzieje?!”. A potem nagle wszystko przechodzi. Nie robi mi się nawet niedobrze, jest po prostu tak, jakby coś tam się musiało poprzestawiać, i po dosłownie kilku sekundach, kiedy nowe dane zostały wprowadzone, moje ciało uznało najwyraźniej, że okej, teraz *eppur si muove* oraz *panta rhei* – i tyle. Już nigdy później nie miałem żadnych nieprzyjemnych doznań związanych z ruchem morza, a nawet to pierwsze trudno uznać za nieprzyjemne. Muszę przyznać, że odetchnąłem z ulgą.

Miałem i inne powody, żeby odczuć ulgę. Jakiś miesiąc wcześniej okazało się, że XXVII Polska Wyprawa Antarktyczna z Zakładu Biologii Antarktyki Polskiej Akademii Nauk rusza na Polską Stację Antarktyczną H. Arctowski wcześniej niż planowano. Mój doktorat był wtedy w prozku. Już niby zebrałem całość wyników i literaturę, wiedziałem, co chcę napisać, trzeba tylko było to zrobić! A co gorsza – dostać jeszcze recenzje i się obronić. Nienawidzę siebie za to, że najlepiej pracuję pod batem i skandalicznie blisko wszelkich przyzwoitych terminów, a czasem już po nich. Ale nawet to, że napisałem pracę w dziesięć dni, na nic by się zdało, gdyby nie uprzejmość recenzentów, którzy naprawdę się sprężyli. Moja wdzięczność nigdy nie przemienie, bo to dzięki nim udało mi się ruszyć na wyprawę, która zmieniła moje życie.

Ale to się okaże dopiero później. Teraz jest poniedziałek, stoję na pokładzie statku, który wyrusza na koniec świata. Obronę miałem w piątek, w sobotę ogromną imprezę pożegnalną,

w niedzielę obiad z najbliższymi... Nawet nie wiem, kiedy się spakowałem na roczną podróż. Samochód z bagażami odjechał w tydzień wcześniej, mnie i wszystko, co moje, przywiózł dziś Tomek, mój antarktyczny mentor. Nie dałem rady do końca posprzątać mieszkania po imprezie, więc koleżance, która miała się nim pod moją nieobecność opiekować, pozostawiałem w kilku miejscach notki z przeprosinami i butelki piwa (dopiero później się okazało, że ona alkoholu nie pija). Ale udało się. Nawet jeśli ktoś tam na brzegu mnie nienawidzi, jeśli ktoś jest wkurzony – trudno. Zaczynam swoją podróż na spód Ziemi i wrócę za ładnych kilka miesięcy.

Swoją drogą pakowanie się na tak długą wyprawę to ciekawe wyzwanie. Nie muszę się oczywiście martwić o jedzenie ani o dach nad głową. To mam zapewnione. Ale przez rok nie będę miał sklepu pod blokiem. Ile wziąć szamponu? Ile dezodorantów i płynów pod prysznic? Ile akcesoriów do golenia? Kobiety muszą też pomyśleć, ile potrzebują podpasek czy tamponów. Teraz te rzeczy są już na stacji dostępne, bo w ciągu ostatnich lat Polska Akademia Nauk przyznała, że zapasy pasty do zębów, papieru toaletowego i kostek mydła to nie wszystko. Ale kiedy płynąłem tam w 2002 roku, wszystkie te pytania jeszcze przede mną stały.

Oprócz rzeczy oczywistych, jak odpowiednia odzież terenowa (zawsze z zapasem), bieliźna, ubrania do noszenia w stacji, „coś eleganckiego” na „pierońskie okazje”, wyjątkowo duże ilości skarpetek (moczają się tam regularnie), książki i muzyka, musiałem na przykład zabrać (za radą Tomka) bardzo dużo... chusteczek higienicznych. Na Antarktydzie środowisko jest wprawdzie praktycznie sterylne i z zasady nikt się nie przeziębia, ale zimny wiatr i słońce regularnie sprawiają, że nosy łzawią. A co z alkoholem? Wiadomo, że piwo będzie służbowe, rozdawane w weekendy i podczas spotkań towarzyskich, kierownik ma też do dyspozycji trochę wódki i wina na specjalne okazje. No, ale jak tu zaplanować, ile powinno się wziąć butelek prywatnych? Musimy je zamówić przed wyjazdem, później trafią do służbowego magazynu, z którego kierownik, o ile uzna za stosowne, wyda je na żądanie właściciela, odejmując od zamówionej puli. Wiadomo, że będę miał urodziny. Imienin nie obchodzę, ale przypadają tego samego dnia, więc 6 grudnia jest dla mnie dużym świętem i na pewno jakieś flaszki postawię. A jak impreza się rozkręci, postawię następne. Czasem lubię sobie też wieczorem wypić trochę whisky, lubię też gin. No i będą w ciągu roku inne sytuacje, w których w wirze zabawy warto by było mieć butelkę, którą można by przywołać na stół. Trudne te wyliczenia, bo to przecież cały rok. Dobrze, że na stacji nie paliłem, bo o to też trzeba się zatroszczyć. Jarek, nasz szef techniczny, jeszcze przed wyprawą powiedział: „Jeśli planujecie rzucić na Arctowskim palenie, to super, świetny pomysł i trzymam kciuki. Ale weźcie ze sobą tyle papierosów, ile byście normalnie potrzebowali, bo potem będziecie palić słomę ze starych sienników i okradać innych. A tak zawsze się znajdzie ktoś, kto będzie je chciał”. Później na statkach pływających między Arctowskim a „cywilizacją” nie raz realizowałem zamówienia polarników w potrzebie. Sam też prosiłem o różnego rodzaju przysługi, jak choćby zawiezenie komputera do serwisu w Argentynie, z nadzieją, że go odbiorę po miesiącu.

No, ale teraz płynę i powoli oswajam się z życiem na statku. Przede mną czterdzieści dni na morzu, bo to naprawdę duża planeta, a Antarktyka jest na samym jej końcu, czternaście tysięcy kilometrów dalej. Płyniemy z prędkością dwunastu węzłów, czyli około dwudziestu kilometrów na godzinę. To tak, jakbym tam jechał na rowerze, tylko bez przerw na odpoczy-

nek i sen. Cieszę się na tę myśl, bo kiedy latamy samolotami, tracimy poczucie odległości: zasypia się nad jednym i budzi nad innym kontynentem. Trudno wtedy docenić potęgę Ziemi.

Urządzam się w kajucie, ustalając podział przestrzeni z Tomkiem, moim współlokatorem. To zupełnie inny Tomek niż ten, który mnie przywiózł do Gdyni. Tamten jest moim odwiecznym kolegą, jeszcze ze studiów, od paru lat pracuje w Zakładzie Biologii Antarktyki PAN i na Antarktydzie zimował już dwukrotnie, ale tym razem został na brzegu. Tomek z kajuty będzie naszym agregatowcem – technikiem odpowiedzialnym za pracę agregatów dieslowskich, które są sercem stacji. Bez nich nie byłoby prądu, ogrzewania, właściwie niczego. Całe życie spędził w maszynowniach różnych statków i czuje się odpowiedzialny za wprowadzenie mnie, żółtodzioba, w świat wilków morskich. Kombatanckie opowieści zaczęły się w chwili, kiedy wszedłem do kajuty, a skończyły, gdy z niej półtora miesiąca później wyszedłem.

Do większości swoich rzeczy nie mam dostępu, są przewożone w ładowni i zobaczę je dopiero na miejscu. Dlatego książki i ubrania na podróż mam ze sobą, podobnie jak komputer, zbiór płyt z muzyką i filmami oraz słuchawki (w 2002 roku laptopy miały wmontowane czytniki CD, co lepsze nawet DVD, a pamięć flash i łącza USB jeszcze nie wynaleziono). Więc będę słuchał muzyki i oglądał filmy, ale przede wszystkim – czytał i pisał! W końcu mam czterdzieści dni! W końcu poznam dzieła Dostojewskiego, których jeszcze nie znam, i w ogóle będzie cudownie oraz kulturalnie...

Jasne.

Zwykle jest tak, że statkiem płynie trzon wyprawy – zimownicy – którzy zostaną na stacji cały rok. Ponieważ latem na Arctowskim pracuje więcej osób, w Buenos Aires lub Mar del Plata dołączą do nas letnicy – oni dolecą samolotami. Płynie nas trzynaścioro, w tym tylko jedna kobieta, botaniczka Ania z Zakopanego, i Ruslan – lekarz z Ukrainy. Nasz dom na ponad miesiąc to „Polar Pioneer”, bardzo piękny i mocny statek zbudowany w Finlandii w roku 1982 dla Związku Radzieckiego, jako jednostka naukowa „Akademik Szulejkin”. Ma niecałe siedemdziesiąt dwa metry długości i pod obecną nazwą pływa od 2001 roku. Później płynąłem tą trasą jeszcze dwa razy i zawsze na tym statku. „Polar Pioneer” nie jest luksusowy, ale ma wszystko, czego trzeba, i jest doskonale przystosowany do pracy w warunkach polarnych. Ma wzmocniony kadłub i klasę lodową A-1, która – nie licząc A-1 Super – jest najwyższa dla zwykłych statków. Dalej już są lodołamacze. Od wielu lat to on najczęściej wiezie polskie wyprawy na Antarktydę. Rosjanie płyną w tamtą stronę z Petersburga jesienią, żeby zacząć pracę z turystami w listopadzie. A my potrzebujemy transportu. Dlatego są dla Polaków stosunkowo tani i właściwie każdemu się ten układ opłaca, bo bez nas płynęliby na pusto. Większość kajut wypełnia ekwipunek i choć miejsc dla turystów jest na „Pionierze” pięćdziesiąt cztery, wszyscy poza Anią i naszym kierownikiem Wojtkiem mieszkamy w dwuosobowych kajutach.

Po pierwszej dobie przechodzimy przez Cieśniny Duńskie, podziwiając farmy wiatrowe na morzu, długi most do Malmö i setki malowniczych szkierów, czyli małych wysepek, z których każda wygląda tak, że natychmiast chciałbym na niej zamieszkać. Na niektórych stoją domki albo szopy, fantastycznie wpisane w bajkowy krajobraz. Pierwszy postój to reda w Göteborgu. Pobieramy tam specjalne paliwo dostosowane do polarnych warunków. Będzie napędzało agregaty na Arctowskim. W Polsce albo nie można go dostać, albo nie jest takie

czyste, albo dużo droższe. Po kilku godzinach ruszamy dalej i w końcu wypływamy na Morze Północne! Wita nas godnie – najlepszym sztormem, jaki w życiu widziałem. Pewnie nie największym, bo później przeżyłem wiele sztormów w Cieśninie Drake’a, ale ten pamiętam najlepiej. Zresztą Morze Północne na swoją złą sławę zapracowało sumiennie.

Nie jest tu zbyt głęboko, a że wieje naprawdę mocno, fale nie mają tyle miejsca co na otwartym oceanie, są więc stosunkowo krótkie i strome. Dlatego nie tyle nami buja, ile rzuca wściekle na wszystkie strony. Na ponad dobę nasz statek zamienia się w pralkę automatyczną na nieustającym trybie wirowania. Natychmiast przekonuję się o prawdziwości powiedzonka, że na statku są tylko dwie grupy obiektów: te, które są na podłodze, i te, które na podłodze będą. Na szczęście Tomek już wcześniej pouczył mnie, że trzeba sztauować, czyli poumieszczać swoje rzeczy tak, żeby były sztormoodporne. Ale książki i tak spadają z półek, a turlające się w szufladzie baterie po wielu godzinach mogą doprowadzić do szaleństwa. Jeśli pominąć te niedogodności i ogólne zmęczenie ciągłym łapaniem różnych rzeczy, ludzi i ścian, jestem zachwycony tym nieustannym tangiem. Zwłaszcza na schodach jest fajnie, bo raz waży się pół tony, a raz zupełnie nic.

Raz robię coś głupiego: postanawiam wziąć prysznic. Jakoś udaje mi się rozebrać i namydlić, i wtedy pojawia się nieoczekiwany problem: prysznic przymocowano do sufitu i w robujanej kabinie nie mogę wleźć pod strumień wody. Zamiast we mnie, trafia w ściany! Zresztą ja też co chwilę trafiam w ściany. Sporo czasu spędzam goły i śliski, mam coraz więcej siniaków i obtłuczeń, śmieję się głośno i nieopanowanie. W końcu udaje mi się opłukać, wytrzeć i ubrać, ale pamiątki po tej przygodzie zostały mi na ciele na kilka dni. Nawet teraz, choć minęło trzynaście lat, gęba sama mi się śmieje. No, nie było to zbyt mądre.

Porażka pod prysznicem to jak dotąd jedyny sztormowy problem w moim życiu. Choroba morska bierze się stąd, że mózg otrzymuje sprzeczne sygnały. Z jednej strony patrzymy na to, co jest na statku, i względem tego się nie ruszamy, z drugiej – wszystkie receptory zmysłu równowagi krzyczą: „Jak to, k...a, nie?? Ruszamy się jak cholera!”. No i konfuzja. Dlatego dobrze jest wyglądać przez okno, bo wtedy ruchoma linia horyzontu pozwala nam się na nowo skalibrować. Jeszcze lepiej byłoby wyjść na zewnątrz, ale na ogół w czasie sztormu jest to niemożliwe ze względów bezpieczeństwa. Niemniej kiedy buja mniej, świeże powietrze bardzo pomaga. Tak mówią.

O podatności na chorobę morską decydują geny. Jak mnóstwo innych cech, ta również rozkłada się w populacji według przypominającej kształtem dzwon krzywej Gaussa, ilustrującej rozkład normalny. Z jednej strony mamy niewielką frakcję osób, które dostają gwałtownych torsji na widok zdjęcia statku w książce. Odrobinę przesadzam, ale niektórzy czują się chorzy na samą myśl o pływaniu. Dalej jest znakomita większość, czyli ci, którzy są w różnym stopniu wrażliwi – słabo im na początku, potem się przyzwyczajają, słabo im, gdy buja mocniej niż zwykle lub chorują tylko w czasie sztormu. W trakcie tamtego przejścia przez Morze Północne widziałem doświadczonych rosyjskich marynarzy, najtwardszych ludzi na tej planecie, rzygających jak koty. No i na końcu wykresu znów mała grupka ludzi, którzy po prostu nie są wrażliwi i już. Wygrałem los na loterii. Jedyne, co czuję w trakcie silnych sztormów, to senność, będąca łagodną formą choroby morskiej. Tyle że ja właściwie zawsze jestem senny, na spokojnym morzu i na lądzie też.



Choroba morska bierze się stąd

Lubię bujanie, choć kilkudniowy sztorm w końcu mnie męczy. Znam jednak ludzi, którzy zawsze chorują, a mimo to nie wyobrażają sobie życia bez pływania. Albo bez Antarktydy. Robert, nasz kucharz, którego poznałem podczas drugiego rejsu, zamknął się w kajucie w dniu, kiedy wypłynęliśmy, i praktycznie nie wychodził aż do chwili, kiedy dotarliśmy na miejsce. Podziwiam go. Nie kochałbym pływania tak bardzo, gdybym od tego chorował. Wśród kolegów i koleżanek pracujących ze mną na statkach też są tacy, którzy zawsze przy większych falach padają, ale znoszą to dzielnie. Morze i rejony polarne to silne uzależnienie.

Sztorm w końcu minął, a my wpłynęliśmy do kanału, który nazywamy La Manche (Brytyjczycy, rzecz jasna, mówią English Channel). I nagle podniecenie – między Calais i Dover odbieramy sygnał telefonii komórkowej! Przez kilka godzin dzwonię do domu i wymieniam się ze znajomymi setkami esemesów. Wydałem w tym czasie miesięczną pensję, ale przecież na Antarktydzie nie będę potrzebował pieniędzy, a kontakt z bliskimi jest piekielnie ważny. Teraz i tak jest łatwiej. Kiedyś załogi statków i stacji polarnych mogły się kontaktować ze światem tylko drogą radiową za pośrednictwem Radia Gdynia. Oczywiście sygnał nie zawsze i nie wszędzie był dostępny, a kiedy jakiemuś statkowi udawało się nawiązać kontakt z Radiem Gdynia, w Polsce mogła być dowolna pora dnia lub nocy. Operatorzy i tak dzwoniли wtedy do domu, oznajmiali, że będzie rozmowa, i łączyli z żoną, mężem czy kimkolwiek innym. Radiooperatorzy ze statku i z Gdyni słyszeli całą rozmowę, ale i tak gdy sygnał okazywał się dobry, do radia ustawiały się kolejki. Zaprzyjaźniony profesor, uczestnik jednej z pierwszych polskich wypraw na Arctowskiego, opowiadał mi, jak pod koniec lat siedemdziesiątych płynął na drobnicowcu MS „Antoni Garnuszewski”, który wówczas obsługiwał

polskich polarników. Gdy wreszcie przyszła jego kolej, w Polsce był środek nocy. Wtedy nie był jeszcze Bardzo Ważnym Profesorem, co nie ma znaczenia, wszyscy czekali po równo – tamtego dnia akurat koło pięciu godzin, bo po raz pierwszy od wyruszenia udało im się nawiązać kontakt i każdy chciał pogadać z rodziną. W końcu przyszła jego kolej. Podekscytowany czekał, aż z Gdyni zadzwonią do jego żony, do Warszawy. I wreszcie usłyszał jej upragniony głos, śpiący i niezbyt radosny. Operator powiedział: „Dzień dobry, «Garnuszewski» do Pani!”. A ona na to: „Nie znam!” – i rzuciła słuchawką. Kolejny raz w czasie tego rejsu już im się nie udało zadzwonić.

Statek to ogromny metalowy ekran, więc żeby odbierać sygnał, cały czas stoję na zewnątrz i podziwiam słynne białe klify po stronie brytyjskiej i ruchliwe porty Francji. Od statków jest aż gęsto. Nagle, tuż przy lewej burcie, widzę potężne, ciemnooliwkowe, pokryte cętkami ciało – długoszpar! To drugi co do wielkości rekin na świecie, zwany też rekinem olbrzymim. Robi to, czemu zawdzięcza swoją kolejną nazwę – rekin słoneczny: pływając tuż pod powierzchnią, wygrzewa się na słońcu. Do tej pory widywałem je tylko na filmach i nagle jest tak blisko, że prawie mógłbym go dotknąć. Moja oceaniczna podróż wreszcie przynosi spotkanie z legendą. Jest tak wielki, że trwa chwilę, zanim go minimy. Długoszpary dorastają do ponad dwunastu metrów. Podobnie jak jeszcze większy rekin wielorybi, a także rekin wielkogębowy, ten kolos żywi się planktonem, nie jest zatem dla ludzi groźny: to raczej my pracownicy przyczyniamy się do jego eksterminacji. Od dwudziestu milionów lat pływa sobie w oceanach niczym prototyp wieloryba i nikt nie wie dokładnie, ile jest osobników, ale wiadomo, że coraz mniej. Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody (IUCN) nadała mu status gatunku narażonego na wyginięcie. Winę ponoszą oczywiście ludzie: zatruwają środowisko, pustoszą oceany i aktywnie polują. Jak to często bywa, jednym z głównych winowajców jest tradycyjna chińska medycyna, zgodnie z którą kuśki lepiej stają po spożyciu produktów z tego wspaniałego zwierzęcia. Mam ogromny szacunek dla chińskiej tradycji i kultury, ćwiczę tai-chi, a moim ulubionym poetą jest Li Bai (choć głównie dzięki temu, jak umarł, bo według legendy utopił się po pijaku, próbując przytulić odbicie księżyca w rzece), ale tradycyjnej medycyny, nie tylko chińskiej, szczerze nie cierpię. A przynajmniej tej jej części, według której nic tak nie dodaje jurności jak specyfiki z tygrysów, rekinów czy nosorożców. Mnóstwo zwierząt jest zagrożonych, a niektóre wyginęły tylko dlatego, że bogatym bałwanom z całego świata coś się nie udaje i że uwierzyli w przesady. Mam szczęście, że widziałem tego rekina. Życzę mu jak najlepiej.

Potem wpływamy w Zatokę Biskajską. Teraz już ciągle jestem na zewnątrz. Wypatruję wielorybów. Gdybyśmy płynęli tędy pięćset lat temu, wszędzie widzielibyśmy wale baskijskie, kaszaloty i wielkie fałdowce. Niestety gorliwi Baskowie, a po nich inne wielorybnicze nacje, postarali się, żeby nikogo nie zobaczył.

Słońce praży coraz mocniej. Przypomina mi się, co mówił jeden z moich starszych kolegów: podczas którejś z wypraw ktoś narzekał, że to jakieś oszustwo. Bo jak to? Mieliliśmy płynąć na Antarktydę, a tu coraz cieplej.

Mamy przed sobą trochę zajęć. Korzystając z ładnej pogody, malujemy nową cysternę na paliwo. Musimy też przygotować część zapasów do zamrożenia. Dlatego sporo czasu spędzamy w kambuzie, myjąc i krojąc koperek albo tłukąc tysiące jaj, które trafią do woreczków i do chłodni. Tak było w trakcie pierwszego rejsu, bo każdy kucharz ma na jajka własną koncepcję. Zamrożone w woreczkach rzeczywiście trwają wiecznie, ale nadają się tylko na ja-

jecznicę. W trakcie pozostałych dwóch rejsów jajek się nie mroziło, tylko składowało w chłodni przy plus czterech stopniach Celsjusza i jedyne, co musieliśmy robić, to co tydzień odwracać pudła z nimi do góry nogami, żeby opadające żółtka nie przyklejały się do skorupki, bo wtedy jajka gniją. Parę lat później, kiedy zostałem kierownikiem wyprawy, jedną z moich funkcji było właśnie regularne odwracanie jaj. Nawet po roku większość z nich nadawała się do spożycia. Krojenie i przygotowywanie warzyw jest proste, ale żmudne. Malowanie cysterny, z wcześniejszym skrobaniem rdzy i gruntowaniem – a wszystko w rosnącym upale – proste, ale męczące i długotrwałe.

Pewnie mieliśmy i inne zadania, ale tego już nie pamiętam. Czterdzieści dni podróży przez ocean to nie jest czterdzieści dni harówki. Rosjanie traktowali nas jak załogę. Jedliśmy razem, przyjaźniliśmy się i imprezowali. Dostawaliśmy do jedzenia dokładnie to samo co oni – cztery sute posiłki w ciągu dnia (obfite śniadanie, a potem trzy obiady co cztery godziny). Bardzo smaczne i bardzo kaloryczne. Tyle że w odróżnieniu od nas oni naprawdę pracowali. A my z dnia na dzień puchliśmy. W trakcie każdej z moich trzech podróży z Gdyni na Arcotowskiego przybierałem na wadze jakieś sześć kilogramów, co później musiałem pracowicie tracić na stacyjnej siłowni. Nieustannie miałem podejrzenie, że nasi przyjaciele tuczą nas po to, by na końcu świata, z dała od świadków, rytualnie nas zamordować i zjeść.

Po tygodniu docieramy do Wysp Kanaryjskich. Musimy uzupełnić paliwo i wodę, kupić świeże owoce i warzywa... słowem: postoiśmy kilka godzin. I możemy zejść na ląd! Nie na długo co prawda, ale całą grupą idziemy zwiedzać Santa Cruz na Teneryfie. Docieramy też na plażę i chłopaki żartują (smętnie, bo to w zasadzie prawda), że to pewnie ostatnie spojrzenie na rozneglizowane kobiety na cały rok.

Za każdym razem w drodze na Antarktydę zatrzymujemy się na Wyspach Kanaryjskich. To ostatni ląd przed przekroczeniem Atlantyku. W trakcie mojej drugiej podróży przybiliśmy do Las Palmas na wyspie Gran Canaria. Ekipa była inna, ale kapitan ten sam, Jewgienij Lewakow: ponad dwa metry wzrostu i prawie tyle samo w barach. To człowiek ogromny, a jednocześnie serdeczny i wzorem najbardziej podziwianych kapitanów z historii prawdziwy szef, a nie tylko przełożony. Jako największy i najsilniejszy człowiek na statku często brał na siebie najcięższe zadania. Przy rozładunku i załadunku pracował ze wszystkimi. Jak łatwo zgadnąć, marynarze go uwielbiali. Ponieważ już się znaliśmy i ponieważ mówię po rosyjsku, pełniłem funkcję łącznika między nami a załogą, choć nie byłem kierownikiem wyprawy. Przed wizytą w porcie kapitan Lewakow wezwał mnie do siebie i surowo zakazał schodzenia ze statku. „Polar Pioneer” jest jednostką rosyjską i władze portu nie wyraziły zgody. Po czym pokazał mi najbliższą furtkę i drogę do centrum, i przypomniał, że będziemy tam co najmniej dwie godziny. Trochę głupio było zostawiać rosyjskich kolegów, ale jako obywatele Unii Europejskiej i tym razem skwapliwie skorzystaliśmy z możliwości rozprostowania nóg. Byle dyskretnie.

Jak później stwierdziłem, z trzech podróży ta pierwsza najbardziej zapadła mi w pamięć. Nie tylko dlatego, że pierwsza – ale też dlatego, że widziałem w jej trakcie więcej zwierząt niż podczas dwóch pozostałych razem wziętych. Na Kanarach też.

Gdy wychodzimy z Santa Cruz i podziwiamy szczyt wulkanu Teide (oddzielony chmurami od miasta, wygląda jakby wyrastał z nieba), moją uwagę przykuwa jakiś ruch w pobliżu dzioba. Delfiny! Słyszałem, że lubią się bawić w robionych przez statki falach. Ale widzę je po raz pierwszy w życiu. Z podnieceniem patrzę na ich białe boki i wertuję przewodnik. To



delfiny zwyczajne, tak się nazywają – ale dla mnie są absolutnie nadzwyczajne. Około dwudziestu bryka dookoła nas, wpływając co chwila w spienioną wodę tuż przy dziobie i surfując albo wyskakując z wody kilka metrów dalej. Próbuję robić im zdjęcia, ale slajdy wywołałam dopiero po powrocie, więc nie wiem, czy coś na nich będzie. Mam jednak w zanadru najnowszą zdobycz techniki: aparat cyfrowy! Dostałem go służbowo do portretowania słoni morskich, żebym mógł później rozpoznawać je w terenie i na zdjęciach robionych przy innych okazjach. Mój bezpośredni przełożony, profesor Polskiej Akademii Nauk, chciał mi nawet kupić do tego celu dwa komputery, żebym na ekranie każdego z nich miał otwarte zdjęcie i w ten sposób mógł patrzeć na oba jednocześnie... Wytłumaczyłem mu, że nie będzie to konieczne.

Przypominam: był rok 2002, epoka cyfrowa przechodziła właśnie z fazy łupanej w gładzoną. Niektóre aparaty cyfrowe zapisywały wtedy dane na dyskietkach, czyli takich kwadratach o boku dziewięciu centymetrów z oszałamiającą pojemnością 1,44 MB, którymi wtedy posługiwały się komputery. Mój Olympus był aparatem najnowszej generacji i używał już karty 32 MB. Kosztował krocie i o ile pamiętam, wyposażono go w matrycę o rozdzielczości około dwóch megapikseli. Oczywiście obsługiwanie takiej niewyobrażalnej ilości informacji wymaga czasu, więc aparaty cyfrowe miały kilkusekundowe opóźnienie między naciśnięciem spustu migawki a faktyczną rejestracją obrazu. W tamtych czasach owo opóźnienie było jednym z parametrów, które należało brać pod uwagę przy zakupie sprzętu. U mnie wynosiło zaledwie dwie sekundy (albo trzy, jeśli na zdjęciu znajdowało się więcej elementów), więc mogłem poszpanować. Korzystając z nieograniczonych możliwości, jakie daje cyfrowa fotografia (nie musiałem liczyć klatek, wszak moja gigantyczna karta mogła pomieścić ponad sześćdziesiąt obrazów!), pstrykałem każdego dostrzeżonego delfina... Ale one nie latają długo, wyskakują gwałtownie z wody w trudnym do przewidzenia miejscu, a dwa metry dalej zanurzają się z powrotem. Nie sfotografowałem żadnego, ale mam bardzo dużo sentymentalnych ujęć pluśnięć na powierzchni wody, oznaczających miejsce, w którym przed chwilą zniknął majestatyczny ssak...

Trochę zrezygnowany, opuszczam aparat i chłonę widok bez pomocy technologii. Tak jest najlepiej.

Wyspy Kanaryjskie zostają za nami, wraz z nimi pewnie ostatni sygnał GSM z Europy i ostatnie chaotyczne wymiany esemesów. Teraz to już pewnie zahaczam o pensję z następnego miesiąca.

Jest pewien smutny aspekt podróżowania statkiem. Gdy jesteśmy w pobliżu lądu, ptaki traktują nas jak zwykły budynek i siadają, żeby odpocząć. Czasem nie orientują się w porę i płyną z nami, bo nie potrafią dostrzec lądu. Opuszczając Europę, mieliśmy na pokładzie ziembę i dwa wróble. Podawałem im słodką wodę i ziarno, ale dwa z nich w pewnym momencie odleciały, a jeden umarł na pokładzie kilka dni później. Nie wiem, czy tamtym dwóm udało się dotrzeć do lądu. Więzienie ich na czas podróży do Ameryki Południowej nie byłoby dobre, bo nie należy transportować obcych gatunków. Zresztą i tak pewnie nie dałoby się ich złapać. W dzień po opuszczeniu Kanarów dostrzegam na jednej z anten sowę. To puszczyk pręgowany, dość pospolity mieszkaniec Afryki. Lądu nie widać, ptaka złapać nie ma jak, a sowa nie jest gatunkiem oceanicznym. Gdy po kilku dniach odlatuje, czarno widzę jej przyszłość. Może dotarła do Wysp Zielonego Przylądka, które akurat wtedy były kilkadziesiąt kilometrów dalej? Jeśli nie... ryby też muszą coś jeść.

Jakoś w okolicach Wysp Kanaryjskich jeden z naszych kolegów dowiaduje się, że jego żona jest w ciąży! Widać pożegnanie było bardzo owocne. Przez cały dzień tkwi przy stanowisku radiooperatora, dyskutując z żoną i resztą rodziny przez telefon satelitarny: czy powinien wracać z Ameryki Południowej, czy płynąć dalej. W końcu uznają, że powinien zostać, jego rodzice wspomogą samotną matkę. To niepojęte, że nie będzie go przy niej przez całą ciążę, nie będzie asystował przy narodzinach własnego dziecka i pozna je dopiero, jak będzie już miało prawie pół roku. Dociera do nas, co to znaczy: wyjechać na rok. To naprawdę kawał życia.

To historia z happy endem. Mniej szczęśliwy poczuł się jeden z naszych brazylijskich kolegów, który kilka miesięcy później, po półrocznym pobycie na stacji, też się dowiedział, że jego żona jest w ciąży. Od dwóch miesięcy.

Stopniowo zbliżamy się do równika. Słońce przypieka coraz mocniej, a cienie stają się krótsze. Któregoś dnia jeden z kolegów podbiega do mnie zdumiony: „Mikołaj, widziałem stado wróbli. Wyleciało z morza, przeleciało kawalek, a potem z powrotem do niego wpadło!”. Tak, ja też je widziałem. To ptaszory, czyli ryby latające. Kiedy ktoś je goni, rozpędzają się, wyskakują z wody i szybko machają rozrośniętymi płetwami piersiowymi. Potrafią przelecieć ponad sto metrów, często zmieniając kierunek, by zmylić prześladowcę. Są niezwykle sprawne. Raz widziałem, jak jedna taka ryba uciekła mewie. W powietrzu ryba prześcignęła ptaka... Chwilę później (tu Temida zapewne uśmiechnęła się ironicznie) ten sam ptak złapał tę samą (?) rybę. Ale już w wodzie.

Ptaszory wyglądają jak elfy. Nie te duże, mądre i poważne, jak u Tolkiena, tylko te z innych bajek, małe i fruujące nad kwiatkami. Albo jak świtezianki, filigranowe, niewiarygodnie turkusowe ważki, które w Polsce łatwo spotkać nad wodami. W tropikalnym słońcu, nad rozjarzonym oceanem, ich przezroczyste „skrzydła” połyskują zupełnie bajkowo. Zwłaszcza u małych rybek, tych mniej więcej siedmiocentymetrowych. Większe już nie są tak efemeryczne, choć oczywiście połyskują jeszcze bardziej, ale one zachwycają siłą i szybkością swych ciemnobłękitnych ciał.

Prawie co rano znajdujemy na pokładzie martwe ryby, które wprawdzie latały sprawnie, ale miały problemy z nawigacją. Jedną z nich rozpinam szpilkami na tekturze wyłożonej cynfolią i umieszczam w maszynowni. Po kilku dniach robi się z niej zasuszonej mumia. Potem ją lakieruję i mogę podziwiać. Mój okaz ma około dwudziestu centymetrów długości i tyle samo rozpiętości skrzydeł. Po zasuszeniu wygląda trochę jak beznogi smok z filmów fantasy. Ta metoda konserwacji, choć pewnie niezbyt profesjonalna, okazała się skuteczna – przez wiele lat ryba nie rozkładała się ani nie śmierdziała. Jedyne, na co okazała się mało odporna, to apetyt mojego kota, który ją bezceremonialnie zeżarł, pozbawiając mnie tym samym kłopotliwej ozdoby. Kot na szczęście nie odchorował tej ingerencji.

W dzień podziwiamy ptaszory i polujące na nie ptaki, w nocy chodzimy na siku na rufę – mroczne wody wzburzane śrubą i strumieniem moczu dzięki bioluminescencyjnym skorupiakom planktonowym rozświetlają się na zielono. Wygląda to niezmiernie, jeszcze z tym księżycem i niewiarygodną liczbą gwiazd... Ale pomysł, żeby sikać z burty, nie jest dobry. Kiedyś w ramach obowiązków musiałem przez miesiąc żeglować wzdłuż wybrzeży Portugalii i liczyć delfiny. To trudne zadanie, które polega między innymi na podziwianiu głuptaków, bo właśnie zgromadzenia tych fantastycznych nurków naprowadzały nas na miejsca żerowania waleni. Znajomy żeglarz, Andre, opowiadał mi, że spory odsetek topielców odnajdywa-

nych na morskim brzegu to faceci z siusiakami na wierzchu. Większość wprawdzie nie spała z dużych statków, tylko z rekreacyjnych żaglówek, na których dużo się imprezuje, ale rufa „Polar Pioneera” też nie jest zbyt dobrze zabezpieczona i spokojnie można by się ześliznąć – nawet na trzeźwo.

W końcu docieramy na równik. Ogromne niebo jest błękitne, ocean pod spodem też, słońce w południe pali i szklanka ginu z tonikiem, spełniona dla uczczenia tej okazji, postawiona na pokładzie, nie rzuca cienia. Słońce wlewa mi się prosto do drinka. Wszystko jest odrealnione.

Podczas drugiej mojej podróży na koniec świata kapitan Lewakow znowu wezwał mnie do siebie na poważną rozmowę. Oznajmił, że zatrzymaliśmy się dokładnie na równiku i że będziemy tu dwie godziny, bo trzeba przeprowadzić jakieś naprawy w maszynowni. Po czym dodał, że absolutnie nie wolno skakać z burty do oceanu – głębokość wynosi w tym miejscu ponad trzy tysiące metrów – za to z bakburty właśnie spuszczone do wody sznurową drabinę. I uśmiechnął się promiennie. Poszedłem powiedzieć chłopakom, założyliśmy kąpielówki i spotkaliśmy się na trzecim pokładzie, jakieś sześć metrów nad powierzchnią. Ponieważ nikt nie chciał się zdecydować, skoczyłem pierwszy. Przynajmniej w nic ani w nikogo nie mogłem uderzyć. I bardzo dobrze – kiedy dołączyli do mnie pozostali, a ja wspiałem się, żeby skoczyć jeszcze raz, ich głowy wydawały mi się niebezpiecznie małe i trochę miałem stracha.

No i w końcu – zabawa z dawna wyczekiwana: chrzest równikowy! Za pierwszym razem nie brałem oczywiście udziału w przygotowaniach, musiałem za to przejść przez cały szereg rytualnych upokorzeń. Były zimne kąpiele, były diabły i rusałki, były okropne rzeczy do jedzenia i okropniejsze, którymi nas wymazali. Na koniec hołd złożony Neptunowi, który dziwnie przypominał naszego chwilowo nieobecnego bosmana. Wieczorem impreza nabrała rumieńców. Były tańce na tylnym pokładzie i chwilowe zniesienie „suchego zakonu”, czyli zakazu picia alkoholu przez załogę. Następne dwa chrzty wyglądały podobnie, tylko tym razem byłem już jednym z diabłów i to ja kłujęm widłami tyłki moich kolegów i koleżanek. Pamiętam, jak podczas trzeciej podróży z rozrzewnieniem odnalazłem kostium, który zrobiłem sobie w trakcie drugiej. Czekał na mnie dwa lata. Ten statek to naprawdę mój pływający dom...

Od kilku nocy zauważam, że coś dziwnego dzieje się z księżycem. Niby ten sam, ale jakiś inny. Ale może tylko mi się wydaje? W kilka dni po przejściu równika rozmawiam o tym z kolegami. Oni też to zauważyli. W końcu któryś z nas pochyla się gwałtownie i patrzy na księżyc między własnymi nogami, z tyłkiem wypiętym ku jego bladej twarzy. Ha! Teraz, do góry nogami, wygląda znajomo! Głupio nam trochę, ale ja uwielbiam takie debilne odkrycia – gdybyśmy choć chwilę nad tym pomyśleli, przypomnielibyśmy sobie pewnie, że Ziemia jest okrągła, więc po drugiej stronie równika tak właśnie powinien wyglądać. Jesteśmy już na półkuli południowej, czyli do góry nogami (o ile przyjmujemy tradycyjny sposób ukazywania naszej planety, z północą u góry i południem u dołu).

Odwrócony księżyc to nie jedyna atrakcja południowego nieba. Pełno tu gwiazd, a każda obca. Odnajduję tylko Krzyż Południa, ale potem, po konsultacji z mapą, okazuje się, że to nie on. Prawdziwy Krzyż jest trochę mniej widoczny. Patrząc na te klejnoty, mam wrażenie, że kiedy Kopernik stwarzał północne niebo, to jeszcze mu się chciało układać je w gwiazdozbiory. Na południu po prostu chlusnął wszystkim, co mu zostało. Oczywiście jesteśmy na

środku oceanu, nic nie rozprasza światła gwiazd, ale ogrom tego nieba i jego rozświetlenie robią ogromne wrażenie. Tylko jeden gwiazdozbiór, Orion, widać z obu półkul. Od lat jest moim ulubionym, bo zawsze mi towarzyszył podczas zimowych wędrówek. Tutaj wisi, rzecz jasna, do góry nogami: trzy gwiazdy Pasa Oriona przebiegają ukośnie w drugą stronę. Pod nimi na północy zwisa miecz gwiazdnego łowcy, który po południowej stronie świata sterczy zadziornie do góry. Uśmiecham się do myśli, że to na pewno ma jakiś związek z legendarną jurnością południowców. A może za długo jestem na morzu, stąd te skojarzenia. W każdym razie Orion to stary druh. Po czteremastu latach, mimo że spędziłem pod południowym niebem sporo czasu, nie przestaje mnie zachwycać.

Określić szerokość geograficzną jest dość łatwo, gdy się ma na statku GPS. Jeszcze do niedawna nawigatorzy uznawali, że jeśli określią swoją lokalizację z dokładnością do dwustu mil morskich, to i tak są bardzo dokładni. Ale to długość geograficzna zawsze nastroczała żeglarzom problemów. Udało się je rozwiązać dopiero w osiemnastym wieku. Wcześniej proponowano wiele rozwiązań, od absurdalnych, jak rozmieszczenie na całym oceanie statków, które o ustalonych porach odpalałyby salwy armatnie słyszalne z odległości wielu mil (nie rozwiązałyby to problemu, bo skąd byłoby wiadomo, które akurat statki słyszać?), po odwołujące się do magii. Jedną z najdziwniejszych metod, a zarazem najokrutniejsza, ogłoszona w 1687 roku, zakładała wykorzystanie „magicznego pudru” i rannego psa. Magiczny puder – znachorski medykament wynaleziony we Francji przez Brytyjczyka, sir Kenelma Digby’ego – miał moc uzdrawiania na odległość, która uwalniała się w momencie gdy odrobinę proszku przyłożono do jakiegokolwiek przedmiotu należącego do chorej osoby. Jeśli się więc tym pudrem posypało zdjęte z rany bandaże albo nawet ostrze, które tę ranę zadało, uszkodzony miał szybciej wracać do zdrowia. Ale leczenie takie wiązało się z bólem i w chwili aplikowania specyfiku ranny się wydzierał, nawet jeśli znajdował się o wiele mil dalej. Praktyczne zastosowanie tego cudownego zjawiska było oczywiste. Wystarczyło zabrać na pokład rannego psa i zostawić w domu kogoś, kto dokładnie w południe zanurzy jego bandaże w roztworze proszku, aby po nagłym skowycie cierpiącego zwierzęcia zorientować się, która godzina jest teraz w macierzystym porcie, i dzięki temu obliczyć długość geograficzną. Podczas dalszych podróży należałoby rzecz jasna opóźnić gojenie się psich ran, a może nawet je odnawiać, żeby metoda mogła być dłużej stosowana. Na szczęście nie wiadomo, czy ktokolwiek testował tę makabryczną koncepcję.

Pośród bardziej racjonalnych propozycji dominowały dwie metody. Każda miała zagorzałych zwolenników, którzy zaciekle zwalczali konkurentów z drugiego obozu. Jedną z niezwykle ciekawych historii w dziejach poznawania świata jest właśnie spór między „astronomami”, wyznaczającymi południki dzięki precyzyjnym pomiarom nieba, zwłaszcza względnego położenia księżyców Jowisza, a „mechanikami”, próbującymi stworzyć chronometr na tyle dokładny, żeby nawet po wielu miesiącach na morzu potrafił wskazać aktualny czas w macierzystym porcie co do kilku sekund. Znając czas na przykład w Londynie i określając południe w miejscu, w którym znajdował się statek, można było wyznaczyć jego dokładną pozycję. Taki chronometr zbudował w końcu genialny brytyjski zegarmistrz John Harrison. Jego dzieło zostało zaprezentowane w 1735 roku pod nazwą H-1. W jego konstrukcji wykorzystano drewniane koła zębate i bardzo dużo mosiądzu. H-1 okazał się precyzyjny, ale jego masa i rozmiary (wazył trzydzieści pięć kilogramów i zajmował sześcienną skrzynię o boku długości stu dwudziestu centymetrów) sprawiały, że trudno go było używać. No i istniał tyl-

ko jeden egzemplarz. Harrison spędził całe życie na udoskonalaniu swojego wynalazku, aż w końcu wykonana przez innego zegarmistrza, Larcuma Kendalla, kopia kolejnej jego wersji (zwanej H-4 i powstałej w 1760 roku; kopia nazywała się K-1) wyruszyła w roku 1772 z kapitanem Cookiem w jego drugą podróż. Zegary Harrisona, a także ich kolejne kopie, pomyślnie przeszły wszystkie testy morskie, okazały się odporne na zmiany temperatury i wilgotności. Po wielu miesiącach wykazywały zaledwie kilkusekundowe niedokładności. Ale lobby astronomów było silne i ponad sto lat zajęło historii przyznanie racji „mechanikom”, a tablice z pozycjami księżyców Jowisza ostatecznie zniknęły z morskich almanachów na początku XX wieku. Fascynująco opisuje ten konflikt Dava Sobel w niepozornej książce *W poszukiwaniu długości geograficznej*.

Powoli zbliżamy się do Ameryki Południowej, jesteśmy gdzieś na wysokości Brazylii. Kontynentu jeszcze nie widać, ale czuje się jego obecność. Jest dużo więcej ptaków, co jakiś czas spotykamy też inne zwierzęta. Raz na kilka dni widzimy żółwie morskie, a pewnego dnia mijają nas dwa ogromne tuńczyki żółtopłetwe. Tuńczyki należą do najszybszych ryb w oceanie. Żółtopłetwe mogą mieć prawie dwa i pół metra długości! Robi wrażenie, kiedy takie dwie żywe torpedy mijają nas, jakbyśmy stali w miejscu.

Wody otwartego oceanu wbrew pozorom wcale nie kipią życiem. I to nie dlatego, że je przełowiliśmy – nawet bez naszej pomocy życia zawsze było tam niewiele. Życie w oceanie koncentruje się w miejscach, w których prądy morskie zapewniają dopływ substancji odżywczych z morskiego dna, a to na szelfach kontynentalnych znajduje się bliżej powierzchni. Dzięki nim namnaża się plankton, a wraz z nim cały kipiący aktywnością ekosystem. To dlatego kilka dni wcześniej mogliśmy skakać ze statku do wody, nie obawiając się rekinów. Szansa na spotkanie z nimi na środku Atlantyku jest niewielka.

Któregoś dnia ocean nagle ożywa wokół nas setkami czarnych muskularnych ciał – to grindwale! Przyglądam się im dokładnie, bo niespecjalnie się nas boją. Długopłetwe. Na świecie są jeszcze grindwale krótkopłetwe, ale to nie one. Grindwale należą do największych przedstawicieli rodziny delfinowatych. Dorosłe samce niemal dorównują rozmiarami dużym orkom, osiągając maksymalnie około ośmiu metrów długości. Są niezwykle inteligentne i towarzyskie, a w niektórych rejonach świata znane są z tego, że współpracują z rybakami. W innych, jak na niesławnych Wyspach Owczych, co roku są zarzynane tysiącami – w imię kolejnej chorej tradycji. Kiedyś stanowiły podstawę utrzymania wyspiarzy, ale teraz to już tylko krwawa zabawa, do niczego niepotrzebna. Spotkanie ze stadem trwa około godziny i fantastycznie poprawia nam nastrój.

Wieczorem podziwiamy niesamowity zachód słońca. Jak to w tropikach – pokaz nie trwa długo. Kiedy później podróżowałem po Brazylii, zawsze miałem wrażenie, że wieczorem ktoś po prostu gasi światło. W Polsce trwa to dłużej, a w rejonach polarnych godzinami. I nagle, gdy stoję na pokładzie, zachwycony rozświetlonym morzem (pomarańcz ładnie kontrastuje z czernią oceanu dalej od słońca), w złotej smudze wody między mną a znikającą tarczą słońca z wody wyskakują dwa delfiny! Na tym tle są czarne, więc nie umiem rozpoznać gatunku, widzę tylko, że mają długie dzioby. Eleganckim synchronicznym susem wyskakują w górę i ponownie nurkują, a ja wybucham głośnym śmiechem. Nawet gdybym zdażył im zrobić zdjęcie, nikt by mi nie uwierzył. Doskonały kicz rodem z plażowego ręcznika. No, ale przyrodzie wolno.

W dwadzieścia kilka dni od opuszczenia Gdyni zaczynamy dostrzegać wybrzeże Urugwa-

ju. Po otwartym oceanie horyzont porośnięty drzewami wygląda dziwnie. Zbliżamy się do La Platy, jednej z najdziwniejszych rzek świata, o ile tę deltę można nazwać rzeką: ma nieco ponad dwieście kilometrów długości i prawie tyle samo szerokości przy ujściu. Morska woda zmienia kolor.

Barwa wody zależy od wielu czynników, dlatego morska podróż nigdy mi się nie nudzi – ocean zawsze wygląda inaczej. Przede wszystkim kolor morza jest odbiciem koloru nieba. Jeśli to w górze jest niebieskie, to to na dole też. Ale kolejne czynniki – światło, chmury, temperatura, fale, zasolenie i osady – sprawiają, że jego barwa rozpina się od błękitów, przez granaty, różne odcienie zieleni, szarości i brązu aż po żywe złoto. La Plata niesie dużo osadów, więc z każdą milą robi się wokół nas coraz bardziej brązowo. I widać kępy unoszonej przez morze trawy. To na takich kępach zwierzęta takie jak węże, jaszczurki czy drobne ssaki zdobywają nowe wyspy, o ile uda im się przeżyć morską podróż. Widać też ciemne kępy, które, gdy się zbliżamy, nagle znikają pod wodą – to lwy morskie, a właściwie otarie. Lwy morskie, otarie, kotiki i uchatki należą do rodziny uchatkowatych, czyli ssaków płetwonogich, które od fok i morsów różnią się tym, że ich izolację termiczną stanowi gęste futro (u morsów i fok – tłuszcz), a w wodzie napędzają się przednimi płetwami (foki i morsy – tylnymi). Inne cechy, takie jak małe zewnętrzne uszy i umiejętność podwinienia pod siebie tylnych łap przekształconych w płetwy (dzięki czemu można biegać, a nie tylko snuć się po plaży niczym pełzający ślimak bez skorupy albo gąsienica, jak to robią foki) są wspólne dla uchatkowatych i morsów, choć uszy tych ostatnich to małe dziurki w głowie. Wszystkie płetwonogie należą z kolei do rzędu drapieźnych, do podrzędu psokształtnych, razem z niedźwiedziowatymi, psowatymi, łasicowatymi i jeszcze kilkoma innymi rodzinami. To znaczy, że patrząc na fokę lub uchatkę i chcąc zrozumieć, co jej siedzi w głowie, możemy pomyśleć o swoim psie, bo to całkiem bliscy krewniacy. Co do nomenklatury, po angielsku, jak to często bywa, jest prostsza i bardziej sensowna. Duże uchatkowane to *sea lions*, mniejsze, o trochę innym kształcie pyszczka – *fur seals*. Niby to ostatnie tłumaczy się na polski jako „uchatki”, ale my, choć żaden z tych ssaków na terenie Polski nie występuje, mamy nazw więcej niż Anglosasi i w dodatku czasem nie pokrywają się one z ich nazewnictwem. Dlatego South American sea lion to po polsku właśnie otaria lub uchatka patagońska. Ponieważ ta ostatnia nazwa już była zajęta, South American fur seal to u nas kotik południowoamerykański, ale należąca do tego samego rodzaju *Arctocephalus*, Antarctic fur seal, to już uchatka antarktyczna. Kompletny misz-masz.

Otarie występują licznie na całym wybrzeżu Argentyny. Te, które właśnie widzimy, drze mią sobie w wodzie na plecach, machając wyciągniętymi w górę łapami, i dlatego z daleka wyglądają jak kępy roślinności. To pierwsze płetwonogie w moim życiu, więc choć słabo je widać z daleka, przyglądam im się z fascynacją.

Wpływamy na całkiem już brązowe i mętne wody La Platy. Po prawej widać światła stolicy Urugwaju, Montevideo, a kilka godzin później po lewej pojawia się aura nocnego Buenos Aires. Jutro zejdziemy tam na ląd.

Buenos Aires... Kiedy byłem dzieckiem, było symbolem czegoś niemal nieistniejącego, egzotyki tak odległej i niedostępnej, że należącej raczej do domeny snów niż rzeczywistego świata. Teraz uświadamiam sobie z lekkim zażenowaniem, że odwiedziłem Buenos więcej razy niż na przykład Kraków. Trochę wstyd, a jednocześnie fajnie się to potoczyło.

Nie tylko Buenos Aires miało dla mnie status mityczny. W zasadzie nigdy nie pociągało

mnie odwiedzanie miast. Ale cała Ameryka Południowa od najmłodszych lat była moim wymarzonym kontynentem (o Antarktydzie w ogóle nie myślałem, nie osiągałem wtedy podobnych poziomów abstrakcji). Widziałem siebie jako przyrodnika, który niczym Humboldt lub Darwin przemierza dziewicze puszcze, odkrywając co chwila nowe gatunki i rozplątując zagadki wszechświata. Dorastałem w przekonaniu, że urodziłem się co najmniej o sto lat za późno.

I nagle tu jestem! Od strony rzeki miasto nie robi jeszcze takiego wrażenia, choć widać, że jest duże. Jego ogrom można docenić dopiero z samolotu, ale na taki widok musiałem zaczekać kilka lat. Port w Buenos leży w pobliżu największego dworca autobusowego i kolejowego, Retiro, a od ulicy Florida, czyli od ścisłego centrum miasta, dzieli go kilkunastominutowy spacer.

Przez te wszystkie lata, kiedy przez Amerykę Południową po prostu dojeżdżam do pracy, udało mi się jej trochę zobaczyć, bo kilkakrotnie prosiłem pracodawców o zmianę daty odlotu, żebym mógł się kilka tygodni powłóczyć. W ten sposób zwiedziłem większą część Argentyny, część Chile, Urugwaju i Brazylii, ale mnóstwo mi jeszcze zostało. Choć nie cierpię gorąca, ten kontynent fascynuje mnie tak, że kilka lat temu byłem całkiem szczerze przekonany, że każdy dzień niespędzony na podróżowaniu to dzień stracony. Teraz, kiedy mam córkę, trochę to osłabło i bardzo lubię „tracić” czas z nią. I choć ciągle marzę o tym, żeby zobaczyć więcej (żaden szanujący się biolog ewolucyjny nie powinien wszak umrzeć przed pielgrzymką na Galapagos), a najchętniej z Hanią – co się najeździłem, to moje.

Poznałem trzy ogromne miasta Ameryki Południowej. Pod względem usytuowania Rio de Janeiro bez wątpienia wygrywa z każdym z nich. Ta kombinacja morskich zatok i gór jest nie do przebiccia. Za to do przebiccia o mało nie okazałem się ja, kiedy na Copacabanie, po południu i przy setkach spacerowiczów, zaatakowało mnie trzech wyrostków z nożem. Wtedy ujawniła się zresztą moja kompletna naiwność. Nie dorastałem w najlepszych częściach Warszawy. Na grochowskim, a potem ursynowskim blokowisku należało się liczyć z tym, że się dostanie po głębie, zostanie okradzionym lub w najgorszym razie zgwałconym, ale nikt nie myślał o morderstwach. Dlatego kiedy zobaczyłem przed sobą dwumetrowego tubylca z nożem wycelowanym w moją pierś (dwóch pozostałych zaczęło się dobierać do mojego plecaka), pomyślałem, że jeśli mnie pobije i okradnie, to małe piwo, ale jeśli zrani lub zabije, będzie miał przesrane u policji. Zwłaszcza że on mnie nie dźgał, tylko straszył, głośno coś wrzeszcząc po portugalsku. Kiedy ktoś mówi w tym języku znacznie wolniej, sporo rozumiem, bo mam mnóstwo brazylijskich znajomych, więc osłuchiwałem się z wymową, a podobieństwo do hiszpańskiego jest wystarczające, by pojąć sens. Jego nie rozumiałem, ale uznałem, że choć macha nożem, tak naprawdę nie chce mnie zabić. Ja oczywiście też tego nie chciałem, więc w zasadzie byliśmy po tej samej stronie. Musieliśmy tylko dogadać szczegóły.

W tamtych czasach siedem–osiem razy w tygodniu ćwiczyłem aikido na przemian z tai-chi, a do tego chodziłem na seminaria z zastosowań bojowych. Nie jest to wprawdzie krav maga, ale i tak czułem się dość pewnie. Udało mi się przesunąć tych dwóch mniejszych zza pleców, tak że znaleźli się między mną a nożem. Oparłem się plecami o jedną z budek telefonicznych (właśnie dzwoniłem do naszych gospodarzy, żeby im powiedzieć, że przyjdziemy później). W międzyczasie zostałem trochę draśnięty w przedramię, ale całe to zamieszanie szybko zauważyła moja stojąca kilka metrów dalej towarzysząca. Zaczęła krzyczeć, a po

chwili dołączyli do niej przechodnie i napastnicy uciekli. Później, już w domu, mój kolega z brazylijskiej stacji, u którego mieszkaliśmy, opieprzył mnie z góry na dół. Powiedział, gdzie mogę sobie wsadzić swoje podwórkowe doświadczenia, i przypomniał, że koleś, który mnie napadł, miał pewnie ze dwadzieścia lat (jego kumple może po piętnaście) i że jeśli będzie miał szczęście, dożyje dwudziestu pięciu, ale pewnie wcześniej umrze z przedawkowania albo zabije go policja lub inni gangsterzy. Jako człowiek pozbawiony przyszłości nie ma skrupułów – komuś, kto się z nim przepycha, najprościej wbić nóż w brzuch. Przystanie się przepychać. Jeśli kobieta krzyczy, najprościej podciąć jej gardło – i już nie krzyczy. Jeśli więc zdołam napastnika w takiej sytuacji walnąć czymś naprawdę mocno, to w porządku, ale jeśli nie, powinienem paść na kolana i błagać o życie... Czyli jak zwykle miałem więcej szczęścia niż rozumu, a oni pewnie byli po prostu zaskoczeni. Została mi na pamiątkę blizna i świadomość własnej głupoty. Rio nie należy do moich ulubionych amerykańskich miast.

São Paulo, które odwiedziliśmy trochę wcześniej, jest gigantyczne, gorące i brzydkie. Brudne i betonowe. Ale opiekowała się tam nami moja przyjaciółka Emma, również z brazylijskiej stacji antarktycznej Ferraz. Nie mogliśmy mieszkać u niej, bo właśnie przyjechała do niej jej dziewczyna, ale ktoś inny udostępnił nam swój dom. Obie zabierały nas na najweselsze imprezy, jakie gejowska scena wielkiego brazylijskiego miasta ma do zaoferowania. Niewątpliwie São Paulo kojarzy mi się dość specyficznie, ale bardzo pozytywnie, niemniej ono też nie stało się moim ulubionym miastem.

Tylko w Buenos Aires czuję się jak w domu. Po pierwsze, mogę się dogadać z miejscowymi – dużo łatwiej niż w Brazylii. Po drugie, samo miasto jest zaplanowane tak, że właściwie nie można się tam zgubić. Niemal wszystkie ulice przecinają się pod kątem prostym, a sieć naprzemiennie ułożonych ulic jednokierunkowych ma spójną numerację w całej aglomeracji. Są więc małe uliczki z numerami typu 5674 i każda ulica w tej części miasta ma podobny numer. Jeśli więc na budynku, obok którego stoimy, wisi tabliczka z numerem 5000, od razu wiadomo, w jakiej części miasta jesteśmy. To trochę rozleniwia – mieszkańcy Buenos, czyli *porteños*, wpadli w panikę na wieść, że chcemy pojechać do pobliskiego La Plata, gdzie mieści się jedno z najwspanialszych muzeów historii naturalnej na świecie (zamiast betonowych lwów bronią tam wejścia dwie rzeźby tygrysów szablastozębnych). Ostrzegali, że łatwo się tam zgubić, bo tamtejsze ulice to prawdziwy labirynt. Na miejscu okazało się, że chodzi o... dwie ulice ukośnie przecinające miasto i spotykające się na głównym placu. Wszystkie pozostałe, przynajmniej w centrum, tworzą siatkę podobną jak w Buenos. Ale dla mieszkańców stolicy to już było wyzwanie.

Buenos Aires jest dobrze zaplanowane, ładne, pełne dobrych restauracji, historii i terenów zielonych. I koloru. Ale to mieszkańcy tworzą jego unikalny klimat. Mimo że miasto jest wielkie, na jego uliczkach czuję się tak, jakbym należał do małej wspólnoty. Choć to stolica pełna łatwowiernych turystów, nie spotkały mnie tam nigdy żadne nieprzyjemności; wręcz przeciwnie – nie tylko tam, ale w całej Argentynie mam wrażenie, że jej mieszkańcom udało się oprzeć wyrachowaniu i chciwości.

Jednym z pierwszych dobrych sygnałów była wizyta w *locutorio*, czyli specjalnej kafejce z budkami telefonicznymi, skąd można dość tanio obdzwonić cały świat. Dochodziła jedenaście rano, koleżanka chciała zadzwonić do domu, a ja, czekając na nią, zauważyłem, że w menu jest gin za trzy peso, czyli wedle ówczesnego kursu mniej więcej trzy złote. Poprosiłem o szklaneczkę, ale bez toniku, ot, trochę ginu z lodem. W końcu wakacje. Ku memu



zdziwieniu dostałem półlitrową szklankę wypełnioną lodem i drinkiem. No cóż, mój hiszpański nie jest idealny, a gin z tonikiem też lubię. Kolejny raz zdziwiłem się, gdy już spróbowałem orzeźwiającego napoju – okazało się, że pani zrozumiała dobrze i nie nalała mi toniku. Po prostu wlała do szklanki prawie pół litra ginu, którego butelka w sklepie kosztowała by dużo więcej. Widząc, że jestem skonfundowany, zapytała nawet, w czym rzecz, a ja odpowiedziałem, że jestem mile zaskoczony, bo zwykle kiedy zamawiam gin z lodem, ginu nalewają tylko trochę na dno. „Naprawdę? A skąd jesteś?” No i musiałem powiedzieć, że z Polski, ale pierwszy i jedyny raz prawie się tego wstydzilem.

Jak łatwo zgadnąć, niewiele pamiętam z pierwszego zwiedzania Buenos Aires, ale wrażenie, że Argentyńczycy są życzliwi i szczerzy, pozostało ze mną na długo.

To zresztą niejedyny przykład. Podróżując po Ameryce Południowej, na każdym kroku spotykałem się z bezinteresowną życzliwością obcych ludzi. Gdy w małym sklepiku w Colonia Carlos Pelegrini, na skraju drugich co do wielkości bagien na świecie, argentyńskich Esteros del Iberá, zapytałem o pieczywo, pani odpowiedziała, że owszem, ma, ale tam, za rogiem, w drugim sklepiku, mają świeższe i tańsze. To nie był pierwszy ani ostatni raz, gdy pomyślałem, że mógłbym tam zamieszkać.

Aby się dostać do Carlos Pelegrini, wedle przewodnika musieliśmy dojechać do miasteczka Mercedes, a potem to już tylko nieco ponad sto kilometrów i jesteśmy. Właściwie w całej Argentynie tak jest. Żeby zobaczyć absolutnie rewelacyjny Park Narodowy Talampaya i przylegający do niego Park Prowincjonalny Ischigualasto (w obu niesamowite formacje skalne, czerwone kaniony, kości dinozaurów, petroglify i inne ślady po preinkaskich Indianach), wystarczy się dostać do kolejnego miasteczka (San Augustin de Valle Fértil), a potem przejechać po około sto kilometrów do każdego z parków. W czym problem? Zachwyca mnie ta odmienna percepcja odległości u Argentyńczyków. Jest ich około czterdziestu milionów, czyli tyle co Polaków. Ale cała Polska jest wielkości jednej argentyńskiej prowincji, a tych jest dwadzieścia trzy. Poza tym z owych czterdziestu jeden milionów ponad trzysta mieszka w samym Buenos Aires. W Argentynie jest jeszcze kilka miast z około milionem mieszkańców, a to oznacza, że na wypełnienie całego ogromnego kraju zostaje około dwudziestu milionów ludzi. Są tam więc rozsmarowani bardzo cienko. W Polsce sto kilometrów to niezbyt daleko, ale po drodze minie się kilkadziesiąt wiosek czy miasteczek. W Argentynie sto kilometrów to rzut kamieniem, sąsiednie wioski leżą na ogół o wiele dalej. W Patagonii, zaludnionej nawet luźniej, pokonuje się pięćset kilometrów po to, by wpaść do sąsiada na kawę. A potem się wraca.

Także percepcję czasu mają inną. W San Ignacio, dokąd pojechaliśmy obejrzeć dobrze zachowane ruiny jezuickiej misji z XVII wieku, miejscowi z dumą opowiadali, że są niebywale antyczne! Ruiny, owszem, są piękne i dość stare, ale na Europejczykach aż takiego wrażenia ich „antyczność” nie robi. Dom mojej babci nie był dużo młodszy.

Zawsze staram się podróżować tym, czym miejscowi. Zwykle jest taniej i lepiej. W Mercedes dowiedzieliśmy się, że do Carlos Pelegrini jeździ jeden autobus. Kosztuje około trzydzieści peso, a jedzie się jakieś trzy godziny. Argentyńskie autokary są absolutnie najnowocześniejsze i najwygodniejsze. Budżet mieliśmy jednak ograniczony, no i autobus ruszał trochę zbyt wcześnie, więc zacząłem wypytywać, czy to na pewno jedyny. Okazało się, że „koło dwunastej” rusza „gdzieś spod sklepu naprzeciwko dworca” jeszcze jeden autobus, który codziennie dowozi zaopatrzenie do kolonii. I faktyczne, koło południa spotkaliśmy pod

sklepem grupkę ludzi z tobołkami. Postanowiliśmy więc poczekać z nimi. Już za kwadrans pierwsza podjechał stary i nad wyraz malowniczy busik, mercedes, ze stertą bagaży na dachu. Kierowca zaczął cały ten majdan ze swoim nastoletnim asystentem rozładowywać, więc zgłosiłem się do pomocy, a po mnie dołączyło jeszcze kilka osób. Zdjęliśmy z odrapanego dachu worki z mąką i innymi produktami dla sklepu, po czym wrzuciliśmy tam toboły ludzi z przystanku i swoje plecaki. Razem czekaliśmy i pracowaliśmy, i zdążyliśmy się pozaprzyjaźnić. Kierowca zapytał, skąd jesteśmy, i kazał nam usiąść na przednim siedzeniu, bo tam widoki najlepsze, a on będzie nam o wszystkim opowiadał. Piętnaście po pierwszej jego młody asystent zaczął sprzedawać bilety po dwanaście peso i po chwili ruszyliśmy, ale wcale nie w stronę mokradeł. Zagłębiliśmy się w sieć uliczek Mercedes. Zatrzymywaliśmy się co chwila, by kogoś zgarnąć. Kilka razy autobusik stawał pod czyimś domem, a kierowca trąbił (raz nawet musiał wysłać po kogoś swego pomagiera) i dopiero wtedy ktoś do nas niespiesznie wychodził. Przez dwie godziny jeździliśmy po ulicach miasteczka, a busik nam się stopniowo zapełniał. W końcu jednak opuściliśmy miasto i pomknęliśmy szutrową drogą przez pampę.

Lubię argentyńskie trasy. Pampa jest tak płaska i szeroka, że można przejechać sto kilometrów bez jednego zakrętu. Nie trzeba pytać o drogę – jeśli cel podróży leży na północny wschód od nas, to dokładnie w tym kierunku wiedzie odpowiednia trasa. Taką właśnie jedziemy: niknącą przed nami i za nami prostą kreską. I tylko co jakiś czas widać jakieś drzewko z obowiązkowym stosem krów: chowają się tam przed słońcem, jedna na drugiej. Argentyńskie krowy to w ogóle jedne z najpiękniejszych zwierząt, jakie znam. Muskularne i rozbrykane, każda w kolorze ochry, wyglądają, jakby właśnie zeskoczyły z naskalnego malowidła sprzed piętnastu tysięcy lat. A czasem przemknie gdzieś nandu, czyli miejscowy struś. Albo zobaczymy pasące się guanako. Albo kryjące się w przydrożnym rowie kapibary, największe gryzonie na świecie (takie świnki morskie wielkości dzika). Albo siedzące na co drugim słupku karakary czarnobrzuche, miejscowe krewniaki sokołów, szpanujące ogromnymi dziobami. Albo kosmitę najdziwniejszego ze wszystkich – pancernika.

Nasz autobusik w pewnym momencie zatrzymał się pośrodku niczego i ze zdziwieniem zauważyłem, że jakaś dziewczynka szykuje się do wyjścia. Obok był tylko bardzo długi płot i brama z tabliczką oznajmającą, że to teren jakiejś posady, czyli argentyńskiej farmy. Dopiero po chwili dostrzegliśmy jakiś ruch, dość zresztą daleko. Zaczekaliśmy, aż do bramy podjedzie malowniczy gaucho na koniu (oni naprawdę wyglądają jak na obrazkach) z drugim koniem na uwięzi. Dziewczynka się przywitała, wskoczyła i oboje pogalopowali w dal. Ot, codzienny powrót ze szkoły.

W końcu przejechaliśmy przez długą groblę i wjechaliśmy do wioski. Cała podróż trwała ponad siedem godzin, ale okazała się bardzo ciekawa. Kierowca kazał nam nie wysiadać i po rozwiezieniu reszty pasażerów zabrał nas na pole namiotowe. A potem porozmawiał z zarządcą, żeby się upewnić, że dostaniemy dobre miejsce. Pożegnaliśmy się serdecznie, a na koniec dał mi numer najlepszej miejscowej przewodniczki po bagnach. I tak na każdym kroku. Zawsze kiedy podróżowałem po Argentynie, otaczała mnie życzliwość obcych. Ale przyszła też chłodniejsza refleksja – czy byłoby równie miło, gdybyśmy nie byli Europejczykami? Teraz, w 2015 roku, to się zmienia, ale jeszcze całkiem niedawno po ulicach tego kraju nie chodził nikt o odcieniu skóry innym niż biały. Swoich Indian Argentyńczycy wymordowali w trakcie dziewiętnastowiecznych metodycznych kampanii. Afrykańczyków nigdzie nie

widziałem. Miałem ponure wrażenie, że to jakiś biały skansen, raj dla „obrońców rasy”. Nic dziwnego, że po wojnie znalazło tam schronienie tylu nazistów. To tylko domysły, ale jest silny kontrast między tym krajem a Brazylią, w której ludzie są we wszystkich możliwych odcieniach i jakoś im się udaje żyć bez konfliktów. Nawet prestiżowe stanowisko komendanta brazylijskiej stacji antarktycznej, Commandante Ferraz, odkąd tę stację znam, zajmowali ludzie o każdym możliwym pochodzeniu.

Dlatego wolę spotkania z przyrodą. A ta jest w Argentynie absolutnie oszałamiająca. Dzięki temu, że rozciąga się wzdłuż południków, znajdujemy tu prawie wszystkie strefy klimatyczne, od tropików po subpolarne. Fauna i flora też oczywiście odpowiada tym strefom.

Klimat Ameryki Południowej sprawił, że zdaniem Krzysztofa Kolumba to gdzieś tam miał się znajdować raj. Miał nawet wzruszającą teorię na temat kształtu naszej planety. Otóż, jak podaje Umberto Eco w *Historii krain i miejsc legendarnych*, Kolumb był przekonany, „że ziemia nie jest okrągła, jak ją opisują, ale raczej ma kształt gruszki doskonale okrągłej z wyjątkiem miejsca, gdzie jej ogonek tworzy pewne wydęcie; albo jakby to był kłębek doskonale okrągły, który w pewnym miejscu miałby coś w rodzaju brodawki kobiecej piersi. To miejsce właśnie jest najwyższe i najbliższe nieba. [...] Nie twierdzę, że Raj ziemski ma kształt stromej góry, jak opisują ci, którzy o tym mówią. Ale że znajduje się na szczycie tam, gdzie go sobie wyobrażam jako brodawkę piersiową na gruszce”. Cóż, podoba mi się ta wizja i trafia do mnie przekonanie, że raj może się znajdować właśnie na kobiecym sutku. Niestety, Ziemia aż tak eleganckiego kształtu nie ma i nie cała Ameryka Południowa jest tak ciepła, jak ją widział słynny podróżnik.

Akurat w Esteros del Iberá jest gorąco, ale kiedy pływam po bagnach czółnem, a dookoła wygrzewają się kajmany i kapibary, mogę znieść wiele. Albo gdy kapibary potykają mi się w nocy o linki namiotu. Albo kiedy wchodzę w las, a małpy robią dokładnie to, co według przewodnika powinny. Przed spacerem w lesie czytałem, że tutejsze wyjce czarne są dość nieśmiałe i jeśli nie uciekają, to siadają na gałęziach, tyłem do intruza, i zerkają na niego przez ramię. Zawsze twierdziłem, że główny problem (a jednocześnie największa frajda) w pracy z dzikimi zwierzętami polega na tym, że one bezczelnie nie czytają tych wszystkich mądrych rzeczy, które jako naukowcy o nich piszemy, i robią, co chcą, a nie to, co naszym zdaniem powinny. Ale te wyjce najwyraźniej czytały, bo jak tylko weszliśmy małą grupką do lasu, wszystkie jak na komendę odwróciły się do nas plecami i zaczęły zerkać na nas przez ramię. Nie chciałem im przeszkadzać. Na pobliskiej łące pasło się stado przyzwyczajonych do ludzi kapibar, których zaciekawione młode podchodziły do przycupniętych w trawie ludzi. Zostałem obwąchany i przyjaźnie stuknięty nosem.

Sama Colonia Carlos Pelegrini jest mała. Właściciel pola namiotowego powiedział, że pierwszy raz gości Polaków. Ponad rok później, gdy po trzydziestu latach niewidzenia się spotkałem się w Warszawie ze swoją mieszkającą w Kanadzie matką chrestną, zgadaliśmy się o tym miejscu. Okazało się, że dotarła tam ze swoim mężem parę miesięcy po nas. I usłyszała, że Polacy są tam dopiero drugi raz...

Przyroda Ameryki Południowej to największe bogactwo tego kontynentu. Nawet Simón Bolívar, legendarny wyzwoliciel wielu tamtejszych narodów, powiedział kiedyś, że „prawdziwym odkrywcą Ameryki Południowej był [Alexander von] Humboldt, ponieważ jego praca okazała się bardziej użyteczna dla naszych ludzi niż praca wszystkich zdobywców”. Dla spotkań z nią warto znosić niewygody podróży i nawet największe upały. Kiedy wiskacza

(taka trochę przerośnięta szynszyla mieszkająca z rodziną w norach na campingu w parku El Palmar) liże wycelowany w nią obiekt, a przepiękna ara hiacyntowa, największa z latających papug, siedząc na moim przedramieniu w rezerwacie pokazowym ptaków w pobliżu wodospadów Iguazú, odgryza sobie na pamiątkę kawałek aparatu (raczej nie dyskutuje się z dziobem o średnicy spodeczka, przeznaczonym do rozłupywania orzechów – mogłaby mi odgryźć palec i tego nie zauważyć), koliber zaś w brazylijskim parku narodowym Itatiaia zawisa mi przed twarzą, żeby sprawdzić, co to za dziwne mały rozbiły tu namiot, zapada to w pamięć na zawsze i sprawia, że chcę więcej. Choć spędziłem tam kilka miesięcy, zaledwie liźnąłem ten wspaniały kontynent.

Ale to wszystko będzie później. Na razie jestem po raz pierwszy w życiu w Buenos Aires i mam tylko jeden dzień. Do grupy, która przepłynęła właśnie ocean, dołączają letnicy. Uzupełniamy zapasy wody i paliwa, bierzemy też dużo żywności. Znowu mamy owoce i warzywa, ale też argentyńską wołowinę i wiele innych produktów. Wieczorem w poszerzonym składzie ruszamy w dalszą drogę. Zostało nam około dziesięciu dni podróży, a następny przystanek to Antarktyda!

Tylko w trakcie pierwszego z moich rejsów zawiniliśmy do Buenos Aires. Później podejmowaliśmy letników i zaopatrzenie w Mar del Plata, nieco dalej na południe i bezpośrednio nad oceanem. Na skraju tamtejszego portu żyje spora kolonia otarii, więc gdy tam przypląwam, zawsze chodzę je odwiedzić. Zwierzęta te są symbolem miasta i bliżej centrum stoi pomnik potężnego samca. Czasem zresztą nie musimy nigdzie chodzić, bo otarie odwiedzają nas. Wylegają się na różnych podestach i schodach i nieraz trzeba długo negocjować, zanim się dojdzie do statku czy jachtu. Imponuje mi to, jak wysoko te ciężkie ssaki potrafią wyskoczyć z wody: można się na nie natknąć na platformach znajdujących się naprawdę daleko od powierzchni oceanu. No i jest kogo omijać! Samce mogą osiągać prawie trzy metry długości i ważyć nawet trzysta pięćdziesiąt kilogramów. Samice są mniejsze, dorastają do dwóch metrów i ważą około stu pięćdziesięciu kilo, ale z nimi też trzeba się liczyć. Na szczęście te z Mar del Plata są tak przyzwyczajone do ludzi, że na nas nie reagują. Ale mimo to robią wrażenie. Zarówno samice, jak i samce mają duże głowy i nieco zadarte pyski; głowa samca jest znacznie większa, w dodatku otoczona wyraźną grzywą. W rzeczywistości jeśli jakiegokolwiek zwierzę zasługuje na miano lwa morskiego, to właśnie otaria! Żaden inny płetwonogi nie ma aż tak lwiej urody.

Za każdym razem gdy u jakiegoś gatunku widzimy duży dymorfizm płciowy (czyli dużą różnicę między samcem a samicą) pod względem wielkości ciała, możemy zgadywać, że samce będą między sobą konkurować, a zwycięzcy uzyskają dostęp do więcej niż jednej partnerki. Tak jest chociażby u naszych jeleni. I u wielu płetwonogich. Samiec otarii może mieć w haremie od trzech do prawie dwudziestu samic, co oczywiście oznacza, że jest sporo przegranych, którzy nie mają żadnej dziewczyny. A zatem sporo jest sfrustrowanych młodych samców, którzy są niebezpieczni, co widać także wśród ludzi. Dlatego nie na te największe trzeba uważać najbardziej. Władcy haremu znają swoją wartość, seksu na pewno im nie brakuje i atakowanie kogo popadnie byłoby poniżej ich godności. To te małe samce są najwredniejsze.

Mar del Plata to portowe miasto obfitujące w restauracje ze świetnymi owocami morza i w nocne kluby. O ile owoce morza lubię, o tyle nocne kluby z ich atrakcjami zupełnie mnie nie interesują. Pora to wyznać: mam ogromną słabość do tanich barów, w których piją miej-

scowi. Do takich chodziłem zawsze, kiedy jeszcze pełno ich było w Warszawie. Wspominam nieodżałowany Szlak Orlich Gniazd nad Wisłą, czyli Mewę, Rybitwę, Albatrosa i inne, rozmieszczone strategicznie wzdłuż rzeki. W latach dziewięćdziesiątych wyzwanie polegało na przejściu całego szlaku: w każdym z kilkunastu barów na odcinku kilkunastu kilometrów należało wypić kufel piwa. Nie znam nikogo, kto by podołał, ale to pewnie z braku czasu. Podróżując, szukam właśnie takich miejsc. Kto jak kto, ale miejscowi wiedzą, co dobre. W takich barach zawsze mam wrażenie, że prędzej mnie ktoś zabije, niż oszuka, a oszustów nie cierpię. Tak naprawdę w takich miejscach czuję się bardzo bezpiecznie. Zauważyłem też, że zawsze wypełniają je ci sami ludzie. Czy to na Ukrainie, w Chile, Brazylii, Argentynie, Rosji czy na Grenlandii lub w Portugalii, zawsze spotykałem dokładnie tych samych gości co w mojej ulubionej Rybitwie. Czasem mieli inny kolor skóry, nosili inne ubrania i pili niedokładnie to samo, ale typy były podobne. I na ogół przyjazne.

Już sam fakt, że zagląda tam ktoś obcy, najczęściej wzbudzał życzliwe zainteresowanie. W wypełnionym Indianami małym barze w chilijskim Puerto Natales, skąd wyrusza się do parku Torres del Paine, jeden bywalec zdefiniował to najlepiej: „Turyści nigdy tu nie zagląдают, bo się chyba boją. A my nie chodzimy do turystycznych knajp, bo jest tam dla nas za drogo”. To zainteresowanie się wzmacnia, gdy wchodzący na teren miejscowych obcy stara się mówić w ich języku. W ogóle uważam, że powinniśmy się uczyć przynajmniej podstaw języka kraju, do którego się wybieramy. W Ameryce Południowej z jednym językiem można przejechać cały kontynent, bo nawet w Brazylii można się dogadać. Nie dość że portugalski i hiszpański są dość podobne, to także w Brazylii, otoczonej przecież przez kraje hispanojęzyczne, funkcjonuje mieszanka określana jako *Portuñol*. Oczekiwanie, że specjalnie dla przyjezdnych nauczą się angielskiego, uważam za przejaw arogancji. Oczywiście w każdym z tych krajów wielu ludzi mówi po angielsku, ale nie cierpią, zwłaszcza Argentyńczycy, gdy turyści wchodzi do baru lub sklepu i z miejsca odzywają się po angielsku, a kiedy nikt nie reaguje – powtarzają po angielsku, tylko głośniej. Miejscowi, rzecz jasna, nie zakładają, że każdy nauczy się hiszpańskiego, i później chętnie przechodzą na angielski, jeśli go znają. Ale zacząć należałoby w ich języku. W końcu są u siebie, a my jesteśmy gośćmi, więc to my mamy się starać. Przecież nauczenie się pozdrowień i innych podstawowych słów nie jest zbyt wielkim wyzwaniem, a w ten sposób okazujemy im szacunek. Kiedy żeglowałem na „Selmie” po chilijskich fiordach, płynęła z nami Polka od wielu lat mieszkająca w Londynie. Akcent miała bardziej brytyjski od Brytyjczyków (choć czasem robiła błędy). Nawet na kompletnym odludziu, gdy natykaliśmy się na kuter z trzema rybakami, którzy pół roku spędzają z rodziną w małej wiosce, a kolejne pół łowią kraby, zagadywała do nich tym swoim przesadnie angielskim: *Hello, how are you?* Chamstwo i głupota. Ile wysiłku wymaga nauczenie się: *Hola, como estas?* Pamiętam kilka okazji, gdy do Rybitwy zawędrował jakiś cudzoziemiec i jego łamane „Dzheni dobły” zawsze wzbudzało życzliwość. Tak samo jest wszędzie.

W Mar del Plata wypatrzyłem taki bar i ściągnąłem tam część członków naszej wyprawy. Miejscowi najpierw zdziwili się naszą wizytą, a potem jakoś tak się stało, że zdołaliśmy zapłacić tylko za pierwszą kolejkę (dla nich też) i do późna w nocy to oni stawiali piwo. Impreza była przednia. Podobnie zdarzyło się w owym indiańskim barze w Puerto Natales: jedyne niebezpieczeństwo polegało na tym, że nie damy rady wyjść o własnych siłach, bo życzliwość miejscowych łała się strumieniami.

Powrót okazał się nieco kłopotliwy. W porcie ogłoszono trzeci poziom bezpieczeństwa, bo w Mar del Plata trwał właśnie jakiś szczyt ekonomiczny i jednym z gości był prezydent George W. Bush. Nigdy go nie lubiłem, a tym razem nie dość że przez niego pierwszą noc spędziliśmy na redzie, bo płetwonurkowie przeszukiwali nasz statek od strony wody, a pogranicznicy rewidowali kajuty, to jeszcze wieczornym pijakom trudniej było wrócić na statek. No i niektórym rekwirovano zakupiony w mieście alkohol. (Bush, jesteś mi winien pół butelki whisky!) Skoro wielka polityka dopadła mnie w drodze na Antarktydę, to tym bardziej trzeba z tego świata uciekać.

Po wizycie w ostatnim porcie płyniemy dalej. Stopniowo robi się chłodniej, a wschody i zachody słońca nabierają treści. Wreszcie trwają dłużej niż dziesięć minut. Lądu nie widać, ale gdzieś tam za prawą burtą rozciąga się mój ulubiony kawałek Ameryki Południowej: Patagonia. Właściwie nie wiadomo dokładnie, gdzie się zaczyna, bo różne są definicje, zależnie od geografii fizycznej i podziałów administracyjnych, ale wiadomo, że to ogromny obszar na południu Chile i Argentyny.

Patagonia jest wielka i pusta, a jej powierzchnia – około miliona kilometrów kwadratowych, nie licząc Andów i samej końcówki, czyli wysp wokół Kanału Beagle – to szara równina pokryta twardymi krzaczkami (z których część toczy się na wietrze jak w westernach) i niezwykle bohaterską trawą. Gęstość zaludnienia należy do najniższych na świecie i wynosi mniej niż dwie osoby na kilometr kwadratowy. Jest tam oczywiście trochę miast i miasteczek, ale poza nimi – przestronne odludzie. Z pewnością istnieje wiele źródeł fascynacji tą krainą. Wedle niektórych źródeł Darwin napisał tak: „Dlaczego zatem, a nie jest to tylko mój szczególny przypadek, ta pusta kraina zawładnęła moim umysłem? [...] Trudno mi to wyjaśnić... ale częściowo może to być dlatego, że rozszerza ona horyzont wyobraźni”. Nie da się ukryć, że naprawdę trudno o horyzont bardziej rozszerzony niż w Patagonii. Jest coś w wielkich płaskich przestrzeniach – czy są to palące pustynie Australii lub Afryki, czy olśniewające białą lodowce Antarktydy, skute lodem morze wokół bieguna północnego, czy wreszcie sam ocean – że nie można pozostać wobec nich obojętny. Jednych to przeraża, innych fascynuje. Kto wie, może to nasze ewolucyjne dziedzictwo krzyczy nam w głowach, że naprawdę nieźle wdepnęliśmy, bo gdzie nie spojrzeć, jaskini nie widać, bezpiecznego drzewka ni hu-hu i trzeba wysilić umysł, żeby znaleźć drogę do jakiegoś schronienia. Gotowość umysłu do rozważań ujawnia się w sytuacjach, gdy jesteśmy względnie bezpieczni, czy to na statku, czy z namiotem na plecach. To trochę jak z głodem. Pamiętam, że jako student zawsze chodziłem na egzaminy bez śniadania. Umysł miałem wtedy wyostrzony i tłumaczyłem to sobie w ten sposób, że ciało każe mu upolować mamuta albo choćby wygrzebać fajowy korzonek. Jeśli to wyostrenie potrafimy przekierować z żerowania na rozwiązywanie innych problemów, możemy to wykorzystać. U mnie działało właściwie zawsze, poza biochemią. Na nią żadne wyostrenie nie pomagało. Choćbym temperował umysł tygodniowym postem, wobec tej dziedziny nauki byłem tępy jak gałka na balasku schodowej balustradki.

W Patagonii jest o czym myśleć. Jak na tak odludną przestrzeń jej historia aż kipi od tak zwanych malowniczych charakterów. Wpisali się w nią wszelkiego rodzaju awanturnicy (mieszkali tu nawet słynni Butch Cassidy i Sundance Kid), waleczni Indianie, bezwzględni obszarnicy, okrutni wojskowi i najemnicy, natchnieni misjonarze, szlachetni społecznicy, więzieni anarchiści, wytrwali rozbitkowie i dzielni odkrywcy. Sama nazwa pochodzi od mitycznego plemienia Patagonów, gigantów opisanych przez Antoniego Pigafettę, utalentowa-

nego włoskiego szlachcica, który nie tylko wyruszył z Magellanem w 1519 roku w podróż dookoła świata, ale w odróżnieniu od szefa wyprawy i ponad dwustu pięćdziesięciu pozostałych jej członków był jednym z osiemnastu ludzi, którzy trzy lata później żywi ukończyli pierwszy rejs wokół ziemi w historii. I w dodatku wszystko barwnie i szczegółowo opisał, a jego *Relacja z wyprawy Magellana dookoła świata* jest nie tylko najlepszym źródłem informacji o słynnej podróży, ale też jednym z najlepszych tego typu dokumentów w historii. Od Pigafetty dowiadujemy się, że ludzie Magellana odkryli zamieszkujących Patagonię olbrzymów i że to właśnie sam Ferdynand Magellan jako pierwszy nazwał ich „Pathagoni”, który to przyjazny termin pochodził od obecnego w kilku językach romańskich określenia „pies z wielkimi łapami”. Pigafetta nie kryje podziwu do gigantów, a jednocześnie gładko zdaje relację z tego, jak postanowili zgodnie z tradycją dwóch z nich zabrać w kajdanach do Europy jako podróżne trofea. Charakterystyczny był też sposób, w jaki ich zakuto: jeden dostał do rąk mnóstwo noży, lusterek i błyskotek, dostał też kajdany, i martwił się, że nie może ich założyć. Nawet się ucieszył, gdy mu nimi opasano kostki – a potem, gdy wbito zamykające je bolce, było już za późno.



Choć badania archeologiczne nie potwierdzają olbrzymiej postury miejscowych, wygląda na to, że członkowie co najmniej kilku tutejszych plemion rzeczywiście przypominali wzrostem współczesnych mieszkańców Europy czy Ameryki Północnej, co dla odkrywców, niższych od nas średnio o kilkanaście centymetrów, musiało być imponujące. Mit Patagonów funkcjonował w Europie przez kilkaset lat i nawet nasz własny ksiądz Jan Krzysztof Kluk w swoim słynnym dziele *Zwierząt domowych i dzikich, osobliwie krajowych, potrzebnych*



*i pożytecznych, domowych, chowanie, rozmnożenie, chorób leczenie, dzikich łowienie, oswojenie, zażycie, szkodliwych zaś wygubienie w 1780 roku pisał tak:*

A zatym gatunek ludzi może być wzrostowy, skorny, i kształtowy, i te się okoliczności częstokroć tak uporczywie trzymają, że się i z mieszanych Rodziców, osobliwie po Oycu, na dzieciach wydaia. Wymienić wszystkie za wieleby było; dosyć będzie wspomnieć, że względem wzrostu Patagonowie są bardzo wysocy &c. Względem skory, Europejcykowie mają białą, Azyanie szarą, Affrykanie czarną, Amerykanie koloru miedzianego &c.

Swoją drogą to urocze, że notka o ludziach pojawia się w dziele poświęconym zoologii. Ponad dwieście lat temu autor (w dodatku duchowny!) nie miał problemu z tym, że należymy do królestwa zwierząt i że należy nas opisywać wraz z naszymi ssaczymi pobratymcami.

Rdzennych mieszkańców Patagonii aż do XIX wieku było całkiem sporo, ale świadoma polityka eksterminacyjna Argentyny doprowadziła do ich całkowitego zniknięcia. Skala i okrucieństwo wojen z południowoamerykańskimi Indianami dorównywały tym, które miały miejsce w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. O ile jednak chyba każdy słyszał o bitwie pod Little Big Horn z 1876 roku czy dokonanej w 1890 roku masakrze nad Wounded Knee, gdzie amerykańska armia wymordowała ponad dwustu Lakotów, głównie kobiet i dzieci, Argentyńska „Kampania Pustynna” i późniejsze dziewiętnastowieczne wojny są dużo mniej znane, choć i tutaj toczono krwawe bitwy, a waleczne plemiona pamp (głównie Mapucze, zwani też Araukanami) miały swoich wielkich wodzów – bohaterów, jak Calcufulra czy Alsina. Podobnie jak na północy, gdzie wedle znanego powiedzonka dobry Indianin to martwy Indianin, wyniszczenie rdzennej ludności było planowe i bezwzględne. Dobrze ilustrują to słowa Martína Rodrígueza, jednego z wodzów argentyńskiej armii: „Doświadczenie pokazuje nam, że istnieje tylko jeden sposób postępowania z tymi ludźmi. Jesteśmy przekonani, że ta wojna musi prowadzić do jednego, ostatecznego celu: ich całkowitej eksterminacji”. Kolejny przykład na to, że koncepcja „ostatecznego rozwiązania kwestii” narodu uznanego za szkodliwy jest w historii ludzkości trwała. No i udało się. Między posępnymi miasteczkami równinnej Patagonii hula teraz tylko wiatr, w którego wyciu nietrudno co wrażliwszym usłyszeć zawrodoenie duchów.

O Patagonii napisano masę książek. Opisywał ją Darwin, który dotarł tu w trakcie słynnej podróży na wojennym slupie HMS „Beagle” w 1832 roku (cała podróż trwała od 1831 do 1836 roku i zawiodła go też na wyspy Galapagos). Opisywał ją też Bruce Chatwin i wielu innych autorów z różnych krajów. Leżąca na końcu świata kraina mitycznych olbrzymów do dziś rozpala wyobraźnię podróżników. Jest w jej nazwie coś ostatecznego: odkąd pamiętam, Patagonia kojarzyła mi się bardziej odlegle niż nawet Antarktyda. Może dlatego, że ta pierwsza to koniec świata, podczas gdy ta druga zdaje się w ogóle do naszego świata nie należeć.

Teraz płyniemy właśnie poza koniec świata. Patagonia zostaje za horyzontem, po prawej burcie naszego statku. Gdzieś tam jest jedno z moich wymarzonych od dawna miejsc – półwysep Valdés. Do tego przyrodniczego rajy uda mi się dotrzeć dopiero osiem lat później na pokładzie „Selmy”. To tam rozgrywają się słynne sceny polowań orek na młode otarie i słonie morskie, w trakcie których te największe z delfinów rzucają się na plażę, by po schwytaniu ofiary węzowym ruchem wrócić do wody. To trudna i niebezpieczna metoda połowu i zanim młode odważą się ją zastosować, rodzice długo je tego uczą. Ale w okresach rozrod-

czych morskich lwów i słoni plaże wręcz roją się od tłustych i mało rozgarniętych szczeniaków, więc ryzyko musi się orkom opłacać.

Polowania nie udało mi się zobaczyć. Właściwie z ekscytujących mieszkańców Valdés spotkałem tylko pancernika, ale nie narzekam. To niesamowite, że coś takiego jak pancernik w ogóle żyje na ziemi. Czasem się zastanawiam, jakie narkotyki brał Darwin, kiedy stwarzał niektóre gatunki – w końcu szczerbaki Ameryki Południowej (czyli mrówkojady i leniwce – właściwie trudno powiedzieć która grupa obejmuje większych dziwaków) wyglądają, jakby ojciec ewolucji był w bardzo interesującym ciągu. Angielska nazwa pancernika, *armadillo*, pochodzi z hiszpańskiego określenia „małego człowieka w zbroi”. O tym, jak mocna jest to zbroja, przekonał się niedawno pewien mieszkaniec Stanów Zjednoczonych, który próbował pancernika zastrzelić – kula odbiła się od zwierzątka i trafiła go w twarz. Historia obiegła media społecznościowe i muszę przyznać, że zdecydowanie dominowały komentarze w stylu: dobrze mu tak. Nie zdarza mi się często zgadzać z ogromną większością, ale to był jeden z tych rzadkich momentów. Facet trafił do szpitala i przeżył, a ja mam tylko nadzieję, że i pancernik jakoś się wylizał.

Taki właśnie stalowy szczur pojawił się w pewnym momencie na parkingu, na którym zatrzymał się nasz busik, kiedy zwiedzałem półwysep. Zaaferowany zwierzełek niewiele sobie robił z naszej obecności. Pobiegał trochę pomiędzy ludźmi i samochodami, ustawił się do kilku fotek i znikł wśród niskich krzaków. Nasz pancernik to pancernik mały, zwany czasem piczi. Jest wszystkożerny, czyli spędza czas na wyszukiwaniu różnych pysznych bezkręgowców, ale nie pogardzi małym ssakiem czy jaszczurką i co jakiś czas przegryzie trawkę albo smakowity korzonek. W Ameryce Południowej i na południu Północnej oprócz niego żyje jeszcze dziewiętnaście innych gatunków, a jeden z nich, pancernik długoogonowy, robi nawet karierę naukową – stał się ulubionym gatunkiem embriologów, ponieważ zawsze rodzi genetycznie identyczne czworaczki.

Ten rejon słynie jednak przede wszystkim ze ssaków morskich. Sam półwysep Valdés wygląda jak ogromna romboidalna patelnia z rączką wystającą z jednego z narożników, drugim końcem wbitą w argentyńskie wybrzeże. Jest płaski i otoczony plażami, które zapewniają dogodny teren dla słoni i lwów morskich. Okalające go zatoki należą do ulubionych obszarów rozrodczych jednego z najciekawszych wielorybów świata – wala biskajskiego południowego.

Już sama ich nazwa jest ciekawa – prawdziwy koszmar tłumacza. Wale (albo wieloryby lub walenie) biskajskie, bliscy krewniacy wieloryba grenlandzkiego, po angielsku nazywają się *right whales*. Od nich zaczęło się przemysłowe wielorybnictwo i wybijanie kolejnych ich populacji popychało wielorybników do odkrywania coraz to nowych obszarów. Nic więc dziwnego, że na północy są w tej chwili skrajnie zagrożone. W Europie znane były głównie z rejonu Zatoki Biskajskiej i dlatego, całkiem logicznie, po polsku nazywają się wale biskajskie. Gorzej, że na południowej półkuli również odkryto podobne zwierzę, a żelazne prawidłowości pierwszeństwa nazw sprawiły, że nadaliśmy im nazwę wał biskajski południowy, choć z Biskajami nie mają nic wspólnego. Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, gdy w wyniku analiz genetycznych gatunek północny został podzielony na dwa kolejne, zamieszkujące Atlantyk i Pacyfik. Polskie nazewnictwo tym razem zostało jednak zrewidowane i coraz częściej walem biskajskim nazywamy tego z oceanu atlantyckiego, a jego pacyficznego kuzyna – walem japońskim. W odniesieniu do ich południowych pobratymców coraz częściej

używa się po prostu nazwy wal południowy.

Wszystkie te zwierzęta wyglądają podobnie. Tak jak wieloryby grenlandzkie nie mają płetwy grzbietowej, a ich umieszczone na czubku głowy – jak u pozostałych waleni – nozdrza wycelowane są w dwie strony, dzięki czemu wieloryby z tej grupy robią charakterystyczne i łatwo rozpoznawalne fontanny w kształcie litery V. Oczywiście wielorybie fontanny nie tryskają wodą – to głównie wyrzucane pod dużym ciśnieniem powietrze z płuc wraz z odrobiną smarków i wody z powierzchni skóry. Wale biskajskie mają ogromne głowy, zajmujące prawie jedną trzecią długości ich ciała. Ich skórę pokrywają zrogowacenia zasiedlone przez zawszele, czyli wszy wielorybie, drobne pasożytnicze skorupiaki z rzędu obunogów, żywiące się martwym naskórkiem. To dzięki nim zrogowacenia są białe lub jasnożółte i silnie kontrastują z czarną skórą wieloryba. Co ciekawe, ich rozmieszczenie na jego głowie jest podobne do rozmieszczenia zarostu na ludzkiej twarzy: osiedlają się nad górną i pod dolną wargą, za nozdrzami i nad oczami. Szczegółowy rozkład tych jasnych plam jest indywidualną cechą każdego osobnika, dzięki czemu naukowcy mogą dzięki zdjęciom rozpoznawać poszczególne zwierzęta. Cechę tę zauważył w 1969 roku Roger Payne właśnie u wali z okolic półwyspu Valdés. Prowadzi badania do dziś – to najdłużej kontynuowane badania konkretnych waleni na świecie. To dzięki nim, a także dzięki porównywaniu katalogu ze starymi zdjęciami wiemy, że wieloryby te mogą żyć co najmniej siedemdziesiąt lat.

Podobnie jak pozostałe walenie, czyli również płetwale, delfiny, kaszaloty, wale dziobogłowe i kilka innych grup, wale biskajskie pochodzą od ssaków lądowych z dość eklektycznej ewolucyjnie grupy zwanej kondylartrami, czyli prakopytnymi. Od prakopytnych pochodzą również współczesne kopytne i analizy genetyczne pokazują, że najbliższym krewnym walenia, który waleniem nie jest, jest hipopotam. Właściwie nietrudno go postrzegać jako prawie wieloryba, jeśli wziąć pod uwagę grację, z jaką się porusza w wodzie i – nieco mniej – na lądzie. Przodkowie waleni wrócili do morza około pięćdziesięciu milionów lat temu, razem z przodkami syren (czyli manatów, diugoni i krów morskich). Warto wspomnieć, że przodkowie innych ssaków morskich, czyli płetwonogich, wrócili do wody dopiero jakieś trzydzieści milionów lat temu i te dwadzieścia milionów lat różnicy pozwala nam zrozumieć, dlaczego walenie i syreny są zwierzętami w pełni wodnymi, podczas gdy fok, morsy i uchatki wciąż muszą wracać na ląd, żeby się rozmnażać. Po prostu nie miały tyle czasu. Właściwie nie do końca wiadomo, po co prawalenie wróciły do wody. Prawdopodobnie początkowo po to, aby unikać drapieżników, a później im się spodobało, bo mogły eksploatować nowe źródła pokarmu. Pierwsze w pełni morskie walenie osiągały całkiem spore rozmiary, na przykład bazylozaur. Jego łacińska nazwa, *Basilosaurus*, znaczy królewski jaszczur, bo początkowo odkrywcy uznali go za gada. Żył 40–34 miliony lat temu i mierzył około dwudziestu metrów. Szkielety pierwszych wielorybów podobnych do wali biskajskich pojawiają się już dwadzieścia milionów lat temu, z czego wniosek, że są to zwierzęta ewolucyjnie znacznie starsze od nas.

Wale biskajskie, choć nie osiągają takich rozmiarów jak płetwale błękitne czy finwale i rzadko mierzą dwadzieścia metrów, są tak korpulentne, że największe samice (one, jak to często u fiszbinowców bywa, są na ogół większe od samców) mogą ważyć nawet sto ton, czyli są w ścisłej czołówce największych zwierząt wszech czasów. W powszechnym przekonaniu wieloryby żywią się planktonem, ale to nie zawsze jest prawda, bo wiele z nich zjada głównie małe ryby i kryla, czyli stworzenia zdolne do samodzielnego poruszania się niezauważalnie.

leżnie od prądów wodnych, zaliczane w związku z tym do tak zwanego nektonu. Prawdziwy plankton to naprawdę maleńkie istotki, dość biernie unoszące się w toni. I właśnie nimi żywią się wale biskajskie. Zjadają głównie widłonogi, skorupiaki wielkości mniej więcej ziarenek ryżu, które zdaniem biologów morza są najliczniejszymi spośród wszystkich mieszkańców oceanów. W niektórych miejscach ich zagęszczenie wynosi ponad dwadzieścia milionów osobników na metr sześcienny wody! Oczywiście nie cały ocean jest ich aż tak pełen. Naukowcy nie są pewni, w jaki sposób wale biskajskie wyszukują skupiska swoich ulubionych ofiar, ponieważ fiszbinowce – w odróżnieniu od zębowców – nie posługują się zmysłem echolokacji. Możliwe, że używają zmysłu powonienia, którego ssaki morskie w wodzie wprawdzie nie wykorzystują, ale skupiska zooplanktonu grupujące się tuż pod powierzchnią wypełniają powietrze zapachem wyczuwalnym nawet dla nas. Ocenia się, że jeśli widłonogów jest mniej niż tysiąc na metr sześcienny, wale nie uważają, by warto było otwierać dla nich paszczę. A tylko tyle muszą zrobić. W odróżnieniu od fałdownców (czyli humbaków, płetwali błękitnych, finwali i tym podobnych), które chwytają zdobycz ogromnymi haustami, wale biskajskie wraz z wielorybami grenlandzkimi – zaliczanymi do wali gładkoskórych, czyli właściwych – po prostu uchylają paszczę i niespiesznie wpływają w coś pysznego. Wieloryby te mają gęste i długie (nawet do trzech metrów, a wieloryb grenlandzki nawet dłuższe) fiszbiny, zwisające z obu stron ich górnej szczęki. Filtry te są na tyle skuteczne, że pozwalają im odżywiać się morskim drobiazgiem, który na nich zostaje, podczas gdy woda spokojnie wypływa kącikami wielorybiej gęby.

Przy całej swej masie wale biskajskie są całkiem sprawnymi akrobatami, znanymi chociażby z wysoków całym ciałem nad powierzchnię. Takie skoki mogą mieć różne znaczenie. Niektórzy twierdzą, że dzięki nim wieloryby oczyszczają skórę z pasożytów, które mają odpadać, gdy wielkie cielsko z impetem uderza o taflę wody. Inni, że generowany przy okazji hałas służy do komunikowania się. Jeszcze inni, że to po prostu sygnał świadczący o tym, że dany osobnik jest zadowolony (lub zdenerwowany!) i w dobrej kondycji. Trudno to stwierdzić na pewno. A robią nie tylko to – przyłapano je również na żeglowaniu! Zdarza im się wystawiać nad wodę ogromne ogony (u dużych osobników płetwy ogonowe mogą osiągać nawet sześć metrów rozpiętości!), łapać w nie wiatr i płynąć tak wiele mil, najprawdopodobniej dla czystej zabawy. Niestety częste przebywanie tuż pod powierzchnią ma swoje minusy. Właśnie w okolicach półwyspu Valdés mewy dominikańskie nauczyły się niedawno ładować na grzbietach wielorybów i wyrywać im kawałki delikatnej skóry. Naraża to wieloryby na duży stres, zarówno psychiczny, jak i fizjologiczny. Jest to niepokojące zwłaszcza w przypadku młodych zwierząt i właściwie nie wiadomo, jak temu przeciwdziałać.

Wszystko to wiedziałem, kiedy pewnej październikowej nocy stałem za sterem „Selmy”, mijając od południa półwysep Valdés i prowadząc nasz jacht do Puerto Madrin. Kończył się właśnie sezon rozrodczy wali południowych i w świetle księżycy widziałem ich czarne cielska. Kiedy jednak już w zupełnych ciemnościach jeden z nich wynurzył się tuż przy naszej łodzi i ochlapał mnie śmierdzącym smarkiem wydechu, myślałem o kolejnej fascynującej stronie tych kolosów. Wale biskajskie to prawdziwi hipisi wielorybiego świata, poważnie traktujący zasadę *make love, not war*. Oczywiście sezon rozrodczy jest pod tym względem najbardziej pracowity, ale wieloryby z tej grupy uprawiają seks właściwie przez cały rok, i to w różnorodnych konfiguracjach. Samce nie tylko nie kłócą się o samice, ale czasem nawet wzajemnie sobie pomagają albo kopulują z nimi jednocześnie. W wodzie trudno jest im się

przytulać, ale penisy wielorybów, podobnie jak licznych kopytnych, są długie, giętke i ruchliwe, więc niczym potężne węże potrafią okrążyć ciało partnerki i końcówką dotrzeć do celu! Ale nawet ta imponująca umiejętność nie jest tym, co w ich przypadku robi największe wrażenie. Otóż wale południowe są właścicielami największych jąder w zwierzęcym królestwie. U dorodnego samca ich para może ważyć nawet tonę! Jasne, duże zwierzęta mają duże jądra, ale jądra większych od wali płetwali błękitnych ważą zaledwie dwadzieścia kilogramów. Dlaczego tak jest? Otóż gigantyczne jądra są sekretną bronią wali biskajskich, która ma im zapewnić sukces w konkurencji o partnerkę i zwiększyć szanse na przekazanie genów przyszłym pokoleniom, bo to przecież jest celem całego tego zamieszania u wszystkich gatunków. Samce wali nie muszą ze sobą konkurować o dostęp do samic. Mając wielkie jądra i produkując gigantyczne ilości spermy, liczą na to, że zwyciężą w konkurencji plemników odbywającej się już w ciele partnerki i w uproszczeniu polegającej na tym, że im więcej własnych plemników się tam dostarczy, tym większa szansa, że to któryś z nich dotrze do jaja.

No właśnie. I oto płynąłem piękną dwudziestometrową łodzią po romantycznym, rozświetlonym księżycem, spokojnym morzu u brzegów Ameryki Południowej, a gigantyczny napałony lowelas z jajami wielkości małych samochodów ocierał mi się o burtę. Myślę, że całkiem słusznie byłem zaniepokojony...

\*\*\*

Ale to miało dopiero nadejść. Teraz jestem na statku „Polar Pioneer”, a półwysep Valdés tkwi gdzieś za horyzontem, na północny zachód od nas. Moje myśli opuściły już Amerykę Południową. Z każdym dniem robi się chłodniej i towarzyszy nam więcej ptaków. Z każdym dniem zbliżamy się do krawędzi świata. Płyniemy na Antarktydę...

## 10. Poddani Królowej Śniegu

Najpierw zakochujesz się w Antarktyce, a potem ona łamie ci serce.

Kim Stanley Robinson, *Antarctica*

Tylko czekaj. Każdy ma jakąś Antarktykę.

Thomas Pynchon, *V.*

Tych pierwszych nie zapomina się nigdy, tak słyszałem. Czy to był facet, dziewczyna, pies, gitara czy samochód. Możliwe. Na pewno tak miałem z moją pierwszą górą lodową. Nie była ani zbyt wielka (właściwie teraz to pewnie nawet nie nazwałbym jej górą lodową), ani jakoś szczególnie urodziwa. Była za to niesamowicie niebieska i ten kolor szokująco odstawał od stalowoszarego tła oceanu, i na zawsze wypalił dziurę w moim sercu. No i była naprawdę moja, bo to ja ją wypatrzyłem z pokładu dziobowego, którego pod koniec rejsu właściwie już nie opuszczałem.

Gapiłem się na bryłę lodu wielkości niedużej ciężarówki, unoszącą się przy naszej lewej burcie, i myślałem: niech mnie ktoś uszczypnie. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że dotarłem do Antarktyki! Oczywiście nie miałem pojęcia, że tak mi już zostanie. Teraz, ponad trzynaście lat później, cały czas się na tym łapię. Pracuję na Antarktydzie już taki kawał czasu, a nadal czasem wydaje mi się, że to sen. Nie jest to zresztą aż tak dalekie od prawdy.

Istnienie Antarktydy przewidywano już ponad dwa tysiące lat temu. Kiedy pod koniec ubiegłego tysiąclecia studiowałem biologię, jeden z najlepszych wykładowców, jakich miałem zaszczyt znać, profesor Tomasz Umiński, powiedział, że właściwie wprowadzenie do każdej nauki ścisłej można by zacząć od słów: już Arystoteles... Z Antarktydą też tak jest. W traktacie *Meteorologia. O świecie*, wydanym około trzysta czterdzieści lat przed naszą erą, grecki mędrzec pisał: „musi istnieć taki obszar, który względem południowego bieguna ma się tak, jak zamieszкана przez nas Ziemia do naszego”. To wprawdzie tylko sugestia oparta na logicznym wnioskowaniu, że coś musi być na południu (uważał też, że na lądzie musi istnieć życie), aby nasza okrągła Ziemia trwała w równowadze, ale ziarno zostało zasiane. Cynceron w I wieku przed naszą erą użył terminu *cingulus australis*, czyli strefa południowa, której kontynent nazwał *terra australis*, koncepcję zaś Arystotelesa rozbudował Ptolemeusz w I wieku naszej ery. Wprawdzie już w II wieku naszej ery geograf Marinus z Tyru, twórca geografii matematycznej, który jako pierwszy posługiwał się pojęciami długości i szerokości geograficznej, ukuł termin Antarktyka – jako przeciwieństwo Arktyki, ale ta nazwa nie od razu się przyjęła. I właściwie od tej pory, przez całe średniowiecze, renesans i tak dalej, aż do początku XVIII wieku, idea *terra australis incognita*, czyli nieznannej ziemi południowej (przez bardziej optymistycznie nastawionych geografów nazywanej *terra australis*

*nondum cognita* – jeszcze niepoznany ląd na południu), przewijała się w opisach świata i na większości powstałych w tym czasie map można na południu znaleźć tak podpisaną bezkształtną plamę.



Woda po zachodniej stronie Półwyspu Antarktycznego jest często gładka jak lustro.

Pora chyba wyjaśnić terminy, którymi się posługujemy współcześnie. Antarktyda to piąty co do wielkości kontynent naszej planety. Antarktyka to nie tylko Antarktyda, ale też wszystko, co ją otacza, również wyspy i ocean. Granicą Antarktyki jest front polarny – inaczej linia konwergencji antarktycznej. Pierwszym lądem odkrytym w Antarktyce, czyli już za linią konwergencji, była Georgia Południowa. Odwiedził ją w 1675 roku brytyjski kupiec Anthony de la Roché. Południowy krąg polarny nie został najprawdopodobniej przekroczony aż do 17 stycznia 1773 roku, kiedy przepłynęły go dwa statki („Resolution” i „Adventure”), wiozące wyprawę pod dowództwem Jamesa Cooka. Ale sam kontynent, Antarktydę, jako pierwszy zobaczył dopiero rosyjski admirał Fabian Gottlieb von Bellingshausen 28 stycznia 1820 roku, a dwa dni później w innym miejscu dostrzegł go Edward Bransfield, kapitan marynarki brytyjskiej. Do końca zresztą nie wiadomo, który z nich był pierwszy, bo Rosjanie używali wówczas innego kalendarza i notatki odkrywców nie są jednoznaczne. Do tego Amerykanie mają swojego kandydata – Nathaniela Palmiera, łowcę fok. Ten jednak dostrzegł północne krańce Półwyspu Antarktycznego dopiero w listopadzie tego samego roku, kiedy świat nie wiedział jeszcze o styczniowych sukcesach konkurentów. Tak czy siak po ponad dwóch tysiącach lat istnienia w świecie marzeń niecałe dwieście lat temu Antarktyda wkroczyła w ludzką rzeczywistość. Lubię myśleć, że w odróżnieniu od El Dorado, Fontanny Młodości, Hy-Brasil i innych wyśnionych miejsc, których jak dotąd nie odnaleźliśmy, Antarktyda jest

mistyczną krainą, która została odkryta.

No i do tej właśnie mistycznej krainy dotarłem. Na kontynent miałem wprawdzie czekać jeszcze kilka lat, ale dopłynąłem do Zatoki Admiralicji na Wyspie Króla Jerzego, największej wyspie Szetlandów Południowych. Tu będę mieszkał przez najbliższy rok.



Budynki Arctowskiego, na pierwszym planie Meteo, dalej Samolot i hale przemysłowe, z prawej laboratorium biologiczne

Ale najpierw trzeba było zejść ze statku, a to okazało się chwilowo niemożliwe, bo wiał zbyt silny wiatr. Pierwszy wieczór w zatoce spędziłem na oglądaniu budynków stacji z pokładu, a Jarek tłumaczył mi, co gdzie jest.

Stację zbudowano wokół niewielkiej zatoczki na dużym płaskim terenie u podnóża miejscami stromych, lecz niezbyt wysokich wzgórz. Obok budynków rozciąga się jedna z największych w tej części Antarktyki podmokłych łąk, porośnięta głównie mchami i porostami. To obszar chroniony, jak wszystko, co w Antarktyce zielone i dzikie. Podobnie jak na stacjach innych krajów zabudowania Arctowskiego są pomalowane dość jaskrawo, zgodnie z polarną tradycją. Mają się rzucać w oczy – na wypadek zadymki. Teraz, gdy dysponujemy odbiornikami GPS, ma to pewnie mniejsze znaczenie, ale kiedyś ratowało ludziom życie. Naszym kolorem jest żółty, w odcieniu raczej klocków lego niż cytryny.

Poza halami przemysłowymi budynki są parterowe i zrobione z podniesionych na betonowych słupach modułów wielkości kontenera. W centrum stacji rzuca się w oczy długa frontowa ściana z licznymi oknami – to nasz główny budynek, zwyczajowo nazywany Samolo-



tem, bo z góry wygląda jak duża litera T. Daszek litery skierowany jest w stronę morza i tam są okna pokoiów mieszkalnych, pokoju komunikacyjnego i gabinetu lekarskiego. W nóżce mieszczą się świetlica, kuchnia, magazyny żywności, bund (zamknięty na klucz składzik alkoholu i słodczy) i sauna. Pozostałe budynki rozrzucone są w promieniu kilkuset metrów. Najbliższy od strony zatoki to laboratorium biologiczne, czyli moje miejsce pracy. Kawałek dalej, przy plaży, stoi laboratorium meteorologiczne. Potem Samolot. Za nim potężna hala agregatów: techniczne serce stacji. Oprócz trzech dieslowskich generatorów wytwarzających dla nas prąd, który ogrzewa również wszystkie budynki, jest tu duży warsztat mechaniczny, stolarnia, magazyny oraz sala sportowa z siłownią i pralnia. Za agregatami z prawej strony stoją dwie duże hale techniczne, w których trzymamy ciężki sprzęt, i kolejne magazyny, a także spalarnia odpadów. Na lewo od agregatów stoi mały budynek radiowy, a z tyłu, na samym końcu, mieści się kilka domków, w których mieszkają letnicy. Część pomieszczeń zajmują zwykle nasi amerykańscy sąsiedzi ze stacji Copacabana. Po prawej stronie Samolotu i trochę z tyłu mieści się szklarnia, za nią nasz zbiornik na wodę (sztuczny staw na to, co spływa z gór), a na samym końcu dawny budynek geofizyki, wówczas właściwie już nieużywany. I wreszcie daleko, daleko po prawej, na samym krańcu naszej zatoczki, w odległości ponad siedmuset metrów od innych budynków, znajduje się Jedyńka – wielki zbiornik paliwa i towarzyszący mu budynek. Na Jedyńce stoją też wyciągnięte na brzeg barki paliwowe, dwa wysłużone kutry holownicze „KH 200” i „Słoń Morski”, czyli nasz stateczek naukowy przerobiony z bałtyckiego kutra rybackiego. Takie rozproszenie budynków, a zwłaszcza spora odległość od zbiornika paliwa, to oczywiście zabezpieczenie przed rozprzestrzenianiem się ewentualnego pożaru. Wiele lat później przekonałem się, że mądrze to wymyślili budowniczości naszej stacji.

Uzgodniliśmy, że do końca rozładunku nowo przybyli będą spać na statku, bo Samolot zajmowali jeszcze dotychczasowi zimownicy. Uznaliśmy, że tak będzie prościej. Następnego dnia zaczął się rozładunek i udało mi się dotrzeć na ląd. Nie miałem zbyt wiele czasu dla siebie, ale pingwiny Adeli, nasi najbliżsi sąsiedzi, przyszły zobaczyć, kto nowy przyplłynął, gdy PTS, czyli amfibia używana do rozładunku, dobiła do brzegu, na plaży stał komitet składający się z kilku osobników. Odsunęły się trochę, żeby nam zrobić miejsce, ale nie uciekały. Patrzyłem i nie mogłem się powstrzymać od śmiechu: one naprawdę tak wyglądają! Naprawdę są małe, czarno-białe i ciekawskie, i naprawdę tak się poruszają! Czułem się tak, jakbym trafił do filmu przyrodniczego. Dopiero patrząc na ich sylwetki, uwierzyłem, że faktycznie tam dotarłem. Stały kilka metrów dalej i na bieżąco komentowały nasze działania – a to amfibię, a to przejeżdżający traktor, a to zdezorientowanych nowicjuszy. Jarek powiedział, że na Jedyńce słońca morska urodziła młode, więc w pierwszej wolnej chwili poszedłem zobaczyć, jak wyglądają obiekty moich badań. Istotnie, w pobliżu stojących na brzegu kutrów, blisko wody, leżała młoda samica w towarzystwie świeżo narodzonego, jeszcze pokrytego czarnym wełnistym futrem malca. Kiedy słoń morski się rodzi, waży około pięćdziesięciu kilogramów. Przez trzy tygodnie ssie bardzo tłuste mleko matki i zwiększa w tym czasie wagę trzykrotnie. Przez te trzy tygodnie samica może stracić nawet dwieście kilogramów, czyli mniej więcej jedną trzecią masy. Odwiedzałem potem tę parę codziennie i codziennie młody słoń robił się coraz większy, a ona coraz chudsza. Były to moje pierwsze słonie w życiu i nie zdawałem sobie nawet sprawy, jakie to nietypowe, że młode urodziło się tak daleko od kolonii. Dopiero kilkanaście lat później w artykułach naukowych pojawiły się doniesienia o tym, że

niewielki procent samic całkowicie ignoruje typowy dla gatunku system haremów, prawdopodobnie kopuluje gdzieś w morzu i rodzi samotnie.

Wtedy jednak najważniejszy był rozładunek. „Polar Pioneer” przywiózł wszystko, co miało nam być potrzebne przez najbliższy rok. Wyładunek statku i wstępne rozmieszczenie zapasów na stacji trwa zwykle trzy doby. W połowie listopada na Arctowskim jest jasno właściwie cały czas, więc jak tylko pogoda na to pozwalała, znosiliśmy po trapie kolejne skrzynki i pudła, układaliśmy je na PTS-ie i zapełnialiśmy magazyny. Część zapasów rozładowywał statkowy dźwig podnoszący pakunki w specjalnych siatkach lub w przeznaczonej do tego klatce, ale te delikatniejsze należało znosić. W trakcie rozładunku właściwie nie robi się nic innego. Nie prowadzi się żadnych badań poza codziennymi pomiarami – każdy pomaga, jak może, bo statek nie może tak zbyt długo stać. Oczywiście jeśli jest taka możliwość, odbywają się nieformalne imprezy powitalno-pożegnalno-integracyjne, przekazywane są obowiązki i sprawy związane z poszczególnymi stanowiskami i zasadniczo dużo się dzieje. Na ogół nowo przybyli pracują na statku, a odpływający po roku zimownicy – na stacji. Po dwóch dniach biegania po stromym trapie z ciężkimi skrzynkami jabłek, jajek, mleka i tym podobnych czułem, że bolą mnie mięśnie, o których istnieniu nie miałem nawet pojęcia. Ale byliśmy tak podekscytowani, że nikt nie zauważał zmęczenia.

Załadowanie wszystkiego na PTS-a to nie koniec. Żeby biegać po trapie i pływać amfibią, potrzeba ładnej pogody i słabego wiatru. Żeby PTS mógł dopłynąć do brzegu, nie może być zbyt dużo lodu. A listopad to wczesna wiosna, więc zatoka pełna jest nie tylko słodkowodnych brył lodu, czyli kawałków gór lodowych powstałych z lodowców, ale też pozostałości lodu morskiego, który jeszcze nie tak dawno pokrywał znaczną część akwenu. Dlatego przy każdym kursie na brzeg i z powrotem przed amfibią płynęło kilkoro z nas na zodiaku i torowało drogę. Gdy wiatr się wzmaczał lub przywiewało więcej lodu, musieliśmy przerywać pracę. Poza tym każdy kurs amfibii trochę trwał, pojazd należało na brzegu rozładować, więc nie pracowaliśmy bez przerwy. Trafiały się dwie godziny dużego wysiłku, później odpoczynek i przygotowywanie następnego transportu, po jakimś czasie kolejny wysiłek – tak minęły nam dwie doby. Gdy w końcu udało nam się znieść ze statku wszystko, „Polar Pioneer” zmienił pozycję i stanął naprzeciwko Jedyńki, w wejściu do Ezcurra Inlet, fiordu stanowiącego jedną z odnóg Zatoki Admiralicji. Tylko przy samej plaży jest tam płytko. Kilka metrów od brzegu dno gwałtownie ucieka stromym klifem. Starsi koledzy opowiadali, że podczas dawniejszych wypraw paliwo rozładowywano na ogół za pomocą barek pchanych przez kuty, ale kapitan „Pioneera” okazał się mistrzem. Poprowadził statek tak, że dziób niemal opierał się o ten klif, a z pokładu dało się rozmawiać z ludźmi na brzegu tylko lekko uniesionym głosem. Znaleźliśmy się tak blisko, że wystarczyło po prostu przeciągnąć węże łączące zbiorniki statku ze zbiornikiem stacji, podpiąć pompę i rozładunek paliwa poszedł całkiem sprawnie. Oczywiście nasz legendarny kapitan sam wsiadł do zodiaka i osobiście przeciągał ciężkie przewody między brzegiem a statkiem.

Przy tankowaniu robota jest tylko na początku i na końcu. Trzeba zacumować statek do brzegu, wzdłuż cum podwiesić węże, podłączyć pompy, dokręcić końcówki węży i tak dalej. Ale przy okazji przekonałem się, jak niebezpieczne mogą być liny. Gdy statek cumował, stałem na brzegu. Wszyscy się ostrzegali, gdy któraś z lin się napinała. Jeden z kolegów jednak albo nie usłyszał, albo zlekceważył ostrzeżenie i podszedł za blisko. Naprężająca się lina uderzyła go tak mocno, że przeleciał w powietrzu kilka metrów. Później się okazało, że zła-

mał trzy żebra. Szczęściarz. Gdyby lina trafiła go wyżej, mogłaby mu urwać głowę. Wiele lat później Moses, zaprzyjaźniony kapral brazylijskiej marynarki wojennej, opowiadał mi, że jego kolega został po prostu przecięty na pół zerwaną stalową liną. Lina, która pękła na skutek naprężenia, lata po okolicy jak ninja na koksie, tnąc wszystko. Lina, która jeszcze nie pękła, jest mniej niebezpieczna, ale też potrafi niezłe przyłożyć.

Kiedy paliwo zaczęło w końcu płynąć, mogliśmy odetchnąć i na spokojnie rozejrzeć się po okolicy, poznać poszczególne budynki i powoli przyzwyczajając się do myśli, że będziemy tam mieszkać. Ale najpierw poszliśmy coś zjeść – nie na statku, tylko w naszym nowym domu. Ci, którzy nie byli zajęci przepompowywaniem paliwa, ruszyli do Samolotu. Żółte metalowe baraki Arctowskiego wyglądały industrialnie, jakby zostały stworzone do ekstremalnych warunków: były solidne (a przynajmniej takie robiły wrażenie), ale trudno je było uznać za przytulne i przepełnione domową atmosferą. Weszliśmy po metalowych ażurowych schodkach (bardzo praktycznych: kratka zeskrobuje śnieg i błoto, czy w co tam się wdepnie), otworzyliśmy ciężkie metalowe drzwi i znaleźliśmy się w przedsionku: podłoga z praktycznego linoleum, dookoła wieszaki z okryciami wierzchnimi i pełno butów. Drugie metalowe drzwi – i nagle zrobiło się dużo bardziej domowo. To główny korytarz. Na ścianach boazeria i jeszcze więcej wieszaków. W obie strony rozchodziły się korytarze prowadzące do łazienek i poszczególnych pokoi. Widzieliśmy już świetlicę, a z krótkiego łącznika dało się wejść do kolejnej łazienki (tylko umywalki, bez ubikacji i pryszniców), naprzeciwko której mieściła się dawna ciemnia fotograficzna, obecnie pełniąca rolę kolejnego składziku. Świetlica wyglądała jak górskie schronisko. Po lewej stał bar, ściany obwieszono proporczykami i plakietkami statków i zaprzyjaźnionych stacji, i tabkami, czyli pamiątkowymi tablicami przygotowywanymi przez każdą z wypraw. Niektórzy mieli zdjęcia grupowe, inni indywidualne, niektóre tabla były prostokątne, inne o nieregularnych kształtach. Każda wyprawa chciała zostawić po sobie najładniejsze i najbardziej oryginalne tablo. Naprzeciwko wejścia do świetlicy wisiał portret Arctowskiego – mądra brodata twarz i odziana w futro postać. Po prawej długi stół jadalny, po lewej stoliki kawowe i fotele. Całość wyglądała komfortowo i przyjaźnie. Z czasem się przekonałem, że pod tym względem Arctowski to najfajniejsza stacja ze wszystkich, które udało mi się poznać. Jedynie Ukraińcy z Wiernadskiego potrafili stworzyć równie gościnną atmosferę. Nic dziwnego, że te dwie stacje turyści odwiedzają najchętniej.

Świetlica Arctowskiego to towarzyskie serce stacji. Tu je się wspólne posiłki, ogląda filmy, tu odbywają się oficjalne spotkania, święta i ceremonie, a także całkiem nieoficjalne balangi. Zaraz za nią znajduje się kuchnia, a potem podręczny magazyn żywności i bund. Kiedy dotarłem na Arctowskiego po raz pierwszy, mieliśmy jeszcze zawodowego kucharza na cały rok. Teraz wyprawy są mniejsze i zawodowcy gotują tylko w lecie. W zimie na zmianę bierze się kuchenne dyżury. Taki dzień nazywa się na wyspie – trochę seksistowsko – Maria day, przy czym dziewczęce imię należy wypowiedzieć z wyraźnym hiszpańskim akcentem. Dyżury biorą wszyscy – kierownicy stacji również. W lecie dyżurny pomaga kucharce lub kucharzowi (obiera warzywa, nakrywa do stołu, zbiera naczynia i zmywa), odkurza i myje podłogi w całym Samolocie. W zimie musi również przygotowywać śniadanie, obiad i kolację. Po kuchennym dyżurze na ogół idzie się na nockę do hali agregatów, gdzie w dość sfatygowanej kanciapie można pracować, oglądać filmy, ćwiczyć albo pracować na siłownio-pralni, byle co godzina sprawdzać liczniki i ogólnie upewniać się, że wszystko na stacji jest w porządku, nic się nie pali, wiatr niczego nie urywa i tak dalej. W niedzielę nie trzeba sprzątać

ani gotować, należy tylko przygotować coś, z czego każdy będzie mógł sobie zrobić coś do jedzenia. Dyżurny ma też zapewnioną tradycyjną dawkę sensacji dzięki Hitchcockowi. To codzienny rytuał, który podczas moich wypraw był jeszcze odprawiany, ale chyba został zarzucony jako niezgodny z zaleceniami Traktatu antarktycznego: polegał na wywalaniu resztek organicznych do strumienia płynącego ze zbiornika wodnego do zatoki. W lecie na widok dyżurnego z wiadrem zlatuje się kilkadziesiąt wydrzyków (głównie nieposiadającej terytoriów młodzieży, której cały gang zwykle przebywa w pobliżu) i mew dominikańskich. Tłuką się zawzięcie o resztki jedzenia, nim rwący strumień zmyje je do morza. W zimie, gdy wydrzyki odlatują, ich miejsce zajmują nieco podobne do gołębi pochwodzioby. Wydrzyki są silniejsze od mew (choć te są szybsze i często udaje im się przechytryć cięższych konkurentów), z kolei mewy są silniejsze od pochwodziobów, więc w zimie to one grają główną rolę w popołudniowych scenach klasycznego horroru.

Kiedy kilka lat później zimowałem tam po raz drugi – kiedy kierowałem XXXII Polską Wyprawą Antarktyczną – było nas ośmiu. Myślę, że to optymalna liczba zimowników, chociażby ze względu na dyżury. Kiedy ludzi jest mniej, dyżury wypadają raz na kilka dni, a ponieważ po nocy potrzeba co najmniej pół dnia na odespanie, zbyt często ma się dwa dni wyjęte z normalnego życia. Przy siedmiorgu dyżury albo wypadają zawsze w ten sam dzień (więc ktoś ma same niedziele, kiedy roboty jest mniej), albo trzeba się głowić, jak to zorganizować. A głowić się, jak wiadomo, ogólnie jest nieprzyjemnie.

Zwyczajowo przyszli zimownicy mają pierwszeństwo, więc to im przypadają miejsca w Samolocie. Ci, którzy z końcem lata wracają do Polski, w razie potrzeby rozlokowują się w innych budynkach. Ale nawet w grupie zimującej jest jakaś hierarchia. Jako pierwsi pokoje wybierają ci, którzy już spędzili rok na stacji. Jest w czym wybierać: część okien wychodzi na morze, a część na inne zabudowania stacji. Te ostatnie bardziej podobają się pracownikom technicznym, bo bez wychodzenia z budynku mogą zerkać, czy wszystko w porządku.

Mnie przypadł pokój po Aleksandrze, ukraińskim biologu z kończącej się właśnie wyprawą. Poszedłem go odwiedzić. Duży facet z wielką czarną brodą i przyjaźnie uśmiechniętymi ciemnymi oczami od razu wzbudził moją sympatię. Wypisz, wymaluj polarnik. Był już prawie spakowany, ale pokój miałem dostać dopiero następnego dnia. Zaprosił mnie do środka na pogawędkę. Bardzo się ucieszył, że też jestem biologiem i że będę badał słonie morskie, bo „najwyższy czas, żeby ktoś się nimi zajął, no i są niesamowicie słodkie, gdy młode wyginają grzbiet i patrząc do góry nogami na stojącego za nimi człowieka – widać tylko ich ogromne czarne oczy”. Skwapliwie potwierdziłem, choć nie miałem pojęcia, o czym mówi – jak dotąd widziałem tylko samicę z noworodkiem na Jedyńce, no i raczej z daleka. Rozejrzałem się po pokoju. Za oknem zatoka, całkiem niedaleko, kilkanaście metrów. W czasie silnych sztormów trudno spać – mówił – ale przekonałem się, że tego widoku na nic bym nie zamienił, nawet jeśli czasem w szyby uderzały strugi niesionej wiatrem morskiej wody.

Pokoje są małe, dwa i pół metra na trzy, ale sprytnie urządzone. Jest wygodne łóżko, a pod nim dwie wielkie szuflady. W nogach łóżka stoi sięgająca sufitu duża szafa wnękowa, a nad nim linia szafek. Przy przeciwległej ścianie biurko i krzesło. Przy drzwiach w ścianie tkwią kołki na ubrania, na drzwiach zresztą też.

Wyglądało na to, że wszystko z łatwością się pomieści. Pogadaliśmy chwilę, wypiliśmy po maluchu, a na koniec dostałem plastikową buteleczkę z zakonserwowanym kryłem. Buteleczka niby niepozorna, ale ja z nabożną czcią wpatrywałem się w blade, sflaczałe zwłoczki.

To w końcu najważniejsze z tutejszych zwierząt, podstawa całego ekosystemu morskiej Antarktyki. Aleksander zajmował się właśnie morskimi bezkręgowcami, a prezent od niego mam do dziś.

Później był wspólny posiłek przy długim stole i kilka symbolicznych drinków. Dotychczasowi zimownicy dalej wtajemniczali nas w sekrety życia na stacji i pewnie długo jeszcze byśmy gadali, ale przyszła pora wracać na ostatnią noc na statek. Paliwo wciąż się przetaczało, kiedy żegnaliśmy się na pokładzie z rosyjskimi marynarzami i stewardesami. Przeżyliśmy razem ponad czterdzieści dni i było co celebrować.

Następnego dnia wypadła 11 listopada, który wtedy nie został jeszcze zawłaszczony przez nacjonalistów i nie kojarzył się tak nieprzyjemnie jak teraz. Święto państwowe zbiegło nam się z oficjalnym przekazaniem stacji. Koło południa przyплыли Brazylijczycy ze stacji Commandante Ferraz, naszego najbliższego dużego sąsiada. Ferraz znajduje się jakieś dziesięć kilometrów dalej, po przeciwnej stronie zatoki. Nie tylko jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie Polska graniczy z Brazylią, ale Brazylia w Antarktyce jest dla Polski naturalnym partnerem i kontakty są bardzo ożywione. Oprócz tych dwóch stacji w Zatoce Admiralicji są jeszcze dwie sezonowe (teoretycznie trzy, ale Ekwadorczycy od wielu lat prawie tu nie zagląдают), czyli peruwiańskie Machu Picchu i najbliższa nam zarówno geograficznie, jak i towarzysko Copacabana – letnia stacja USA im Petera J. Leniego. Copa to mniej oficjalna nazwa tych kilku domków na plaży wśród pingwinów. Na ogół większość lub całość cztero-, pięcioosobowej załogi stacji to kobiety, więc kiedy Brazylijczycy dotarli tam po raz pierwszy, zobaczyli dziewczyny na plaży i natychmiast pomyśleli o Rio de Janeiro. Teraz nawet na oficjalnych czapeczkach naszych sąsiadów widnieje napis Copacabana i palemki. Oni też przyszli. To tylko kilka kilometrów i choć trzeba jakoś przejść (albo przepłynąć) Lodowiec Ekologii, szybko się przekonałem, że odwiedzają nas regularnie. Załogi Copy w zasadzie nie traktowaliśmy jak sąsiadów. Przez całe lato bywali u nas co sobotę, żeby zrobić pranie, wziąć prysznic i spędzić z nami wieczór. W jednym z letnich domków na Arctowskim wydzielono dla nich osobne miejsce. Kontakty były tak częste i ciepłe, że właściwie myśleliśmy o nich jako o swoich, tyle że po drugiej stronie lodowca. Przyleciał też helikopter pełen Chilijczyków z największej stacji na wyspie, oddalonej o prawie czterdzieści kilometrów. My, nowi, nie znaliśmy tych obcych, choć bardzo serdecznych ludzi, ale dotychczasowi zimownicy szybko pomogli nam przełamać lody. Nigdy wcześniej nie spotkałem tylu gości z innych stacji. Okazało, że tak to tam wygląda. Na Wyspie Króla Jerzego jest osiem stałych stacji (oprócz Polski, Brazylii i Chile są jeszcze Chiny, Rosja, Urugwaj, Korea Południowa i Argentyna). Kontaktowaliśmy się dość regularnie. Okazało się to jednym z najlepszych antarktycznych doświadczeń – spontaniczne i serdeczne przyjaźnie. Wszyscy byliśmy daleko od domu, wszyscy za kimś tęskniliśmy i wszyscy w razie czego polegać musieliśmy na sobie, więc wszystko to przychodziło szybko i naturalnie. Zdarza się, że kontakty robią się czasem jeszcze cieplejsze i wiem o co najmniej kilku międzynarodowych związkach, a nawet paru małżeństwach, które wykwitły z chłodnej antarktycznej ziemi. Jeden z nich nawet dosłownie – w pobliżu stacji, na zboczu pobliskiego wzgórza wciąż można dostrzec sporą literę M, pierwszą literę imienia wybranki pewnego botanika, który pracowicie nawoził ten kształt pingwinim guanem. Ich związek dawno się rozpadł, ale trawa na M jest wciąż bujniejsza niż obok.

Na naszym święcie pojawiło się całkiem międzynarodowe towarzystwo. Oprócz Polaków

byli dwaj Ukraińcy (Aleksander i nasz lekarz, Rusłan), Amerykanie wraz z Ladikiem, Czechem, który tego roku szefował Copie, byli Chilijczycy i Brazylijczycy i akurat przyплыła statek, na którym kierownikiem ekspedycji był zaprzyjaźniony Kanadyjczyk. Odkryto oficjalnie przekazanie klucza do stacji i odsłonięcie tabla odjeżdżających, a po paru godzinach dotychczasowi mieszkańcy Arctowskiego odплыli PTS-em na statek, nasza zaś wyprawa, XXVII Polska Wyprawa Antarktyczna, mogła się naprawdę rozpocząć.

Pierwsze dni takiej wyprawy zawsze upływają na wytężonej pracy. Reszta oczywiście też, ale na początku zawsze jest więcej zamieszania. Trzeba porządnie rozmieścić zapasy, które przy rozładunku ze statku często się mieszają, powoli wdrożyć się do obowiązków, poznać laboratoria i warsztaty, no i teren wokół stacji. Kiedy więc już wszyscy się rozpakowali, zacząłem rozmawiać z Waldkiem, naszym mechanikiem, o przyrządzie do czochrania słońi. Przywiozłem ze sobą dwadzieścia kilka drucianych szczotek do czesania kotów, miałem perhydrol do ich płukania ze śladów DNA (żeby próbki się nie zanieczyszczały). Brakowało mi tylko kijka, na którym łatwo i szybko dałoby się te szczotki montować, no i sprawnie wymieniać. Kijek był konieczny, bo niezbyt mi się uśmiechało przesadne zbliżanie się do moich foczek. Waldek szybko wymyślił, że wystarczy do kija od miotły zamocować na końcu rulon grubej gumy i tam wtykać rączki szczotek i dociskać obejmą z dospawanym do śruby motylkiem, żeby łatwiej było tym w terenie operować. Mogłem ruszać. Zależało mi na tym, żeby się znaleźć u słońi jak najszybciej. Ich sezon rozrodczy już się właściwie zakończył, ale miałem nadzieję, że może jeszcze spotkam jakieś wielkie samce.

Projekt badawczy zakładał analizę pokrewieństw w obrębie lokalnej populacji słońi morskich południowych. Na Wyspie Króla Jerzego rozmnaża się ich raptem kilkaset, może nieco więcej niż tysiąc, w kilku koloniach rozproszonych na południowych obrzeżach. To najdalej na południe wysunięte kolonie rozrodcze tego gatunku. Chciałem nie tylko sprawdzić kondycję samej populacji, ale też jej podobieństwo do populacji z innych części Antarktyki oraz stopień ich filopatryczności (przywiązania do „ojczyzny”, wyrażający się powracaniem na macierzyste plaże, żeby tam się rozmnażać) u samców i samic, czyli to wszystko, co można wyczytać z genów. Ale najbardziej interesowało mnie to, kto jest tatą młodych słoników z plaży.

Wtedy, w 2002 roku, nie mieliśmy jeszcze na stacji skuterów śnieżnych. Główna kolonia słońi, którą miałem w zasięgu, znajdowała się na płaskim, okrągłym cyplu zwanym Patelnią, tuż za wejściem do Zatoki Admiralicji, czyli już na brzegu Cieśniny Bransfielda, jakieś czternaście kilometrów od stacji. Trzeba tam było albo popłynąć zodiakiem – ale do tego potrzebny był kierowca plus jeszcze jedna osoba – albo pójść przez lodowce i góry – tylko wtedy dobrze było mieć kogoś do towarzystwa przynajmniej na pierwszy lodowiec. Z całą pewnością z pierwszym razem nie mogłem iść sam.

Okazja nadarzyła się po kilku dniach. Wśród wzgórz w pobliżu Patelni znajdowały się dwa niewielkie jeziora, a na stacji był z nami profesor Andrzej Tatur z doktorantem. Jako że ich projekt dotyczył analizy osadów dennych z antarktycznych jezior, zorganizowaliśmy jednodniową wycieczkę w stronę naszych wspólnych terenów badawczych. Po śniadaniu Waldek z Dzidziusem (gigantycznym chłopiskiem ze Śląska, z zawodu żołnierzem, a z rodzinnej tradycji rzeźnikiem, naszym kierowcą PTS-a) zawieźli nas zodiakiem do Paradise Cove, malutkiej zatoczki, w której od lat stała stara przyczepa campingowa z Niewiado-

wa, służąca jako terenowe refugium. Choć nazwa zatoczki, kiedy o niej usłyszałem, wydała mi się co najmniej pretensjonalna, stwierdziłem, że jest jak najbardziej uzasadniona. Z jednej strony ogranicza ją masywna ściana wzgórza Demey, z drugiej – wulkaniczne skały, odsłaniające się w trakcie odpływu i zanurzające niemal po same czubki, gdy morze wraca na miejsce. U jej szczytu ścielą się łagodne wzgórza, choć samo zejście z nich do zatoczki jest dość strome – ale to, wraz z całą rajsnością krajobrazu, doceniłem dopiero następnym razem, kiedy dotarłem tam na piechotę: nagle z góry otworzył się przede mną cały ten widok. Do tego czysta woda, fale – no i miejscowi. Wreszcie zobaczyłem słonie w nieco większej liczbie. Już z morza widać było wielkie kluchy zalegające wokół naszej białej przyczepy, która pasowała do tego krajobrazu jak pięść do nosa. Wokoło czysty śnieg, czarne skały, niebieskie niebo i tak zwana szmaragdowa toń, do tego trochę zielonej trawy i czerwonych porostów, w pobliżu szemrze mały wodospadzik, wyluzowane foki porykują leniwie, a ptaki wrzeszczą swoje trzy po trzy, pośrodku zaś wyrasta poobijana plastikowa buda, taka, z jakich kiedyś sprzedawano zapiekanki. Ale ten poznawczy dysonans szybko przestał mnie interesować. Byłem tam dla tych pełnych sadła podłużnych worów, popierających błogo zupełnie bez świadomości, że za chwilę wezmą udział w niezwykle naukowych badaniach.

Na plaży wylegiwały się młode samce, za małe, by konkurować z dorosłymi. Ale „małe” w odniesieniu do słoni morskich to pojęcie względne. Południowy słon morski jest największą foką na świecie. A ponieważ foki, uchatki i morsy należą do rzędu drapieżników, jest to jednocześnie największy przedstawiciel *Carnivora*. Największe niedźwiedzie ledwo osiągają jedną piątą jego masy. Dorosły samiec może mieć nawet sześć i pół metra długości i ważyć w okolicach pięciu ton! Są tak wielkie, że właściwie wymykają się zoologii i wchodzą w obszar zainteresowania geografii. Wtedy takich kolosów nie zobaczyłem, ale w ciągu następnych lat kilka razy zdarzyło mi się wejść na teren badań i kątem oka dostrzec pagórek, którego wcześniej nie zauważyłem. Uznawałem, że pewnie dotychczas leżał pod śniegiem, i dopiero kiedy się zbliżałem, pagórek podnosił łeb i patrzył na mnie wyzywająco.

Taką masę rosnące całe życie samce osiągają w wieku jedenastu, dwunastu lat. Te porozwalane dookoła naszej przyczepy miały od czterech do sześciu lat, więc każdy ważył zaledwie dwie tony, może mniej. Samice są mniejsze i osiągają masę około siedmiuset, ośmiuset kilogramów. Maleństwa ważą raptem tyle ile największe niedźwiedzie polarne. No, ciut więcej.

U słoni morskich dymorfizm płciowy jest największy, można więc zgadywać, że chłopaki będą ostro konkurować o partnerki, a ci, którzy odniosą w tej konkurencji sukces, zyskają dostęp do całego stada dziewczyn. Tak jest u wielu gatunków, choćby u naszych jeleni szlachetnych, u których dymorfizm wyraża się nie tylko różnicą w wielkości, ale też imponującym poróżeniem byków. U słoni morskich harem może liczyć nawet sto samic. Rzecz w tym, że jeśli jeden facet ma sto dziewczyn, to jest gdzieś dziewięćdziesięciu dziewięciu frustratów. W dodatku samice dojrzewają do rozrodu już w wieku dwóch do trzech lat, podczas gdy samce zaczynają myśleć o dziewczynach, kiedy mają lat pięć lub sześć. Wtedy zresztą i tak mogą sobie o nich jedynie pomyśleć, bo są zbyt mali, żeby o nie konkurować. Niemniej tych wyrosniętych jest wystarczająco dużo, żeby władca haremu w okresie rozrodczym miał pełne pletwy roboty. Nie dość że trzeba dbać o sto małżonek, to należy jeszcze walczyć z rywalami. Dlatego przez cały sezon rozrodczy, który trwa nieco ponad miesiąc, samce nic nie jedzą i prawie nie odpoczywają. Cały swój czas poświęcają na to, co w punk rocku określamy jako

*sex & violence*. Nic dziwnego, że często są później tak wyczerpane, że często umierają. Trudno się jednak oprzeć refleksji, że to piękna śmierć.

Wyczerpanie ma także inne brutalne konsekwencje. Nawet jeśli władca haremu nie umiera, zwykle nie jest w stanie odzyskać pełni sił, więc bardzo rzadko się zdarza, żeby ten sam samiec odnosił sukcesy w dwóch kolejnych sezonach. A to oznacza, że młode znajdujące się w danym momencie na plaży nie są jego potomstwem – tylko tego sprzed roku. Również dlatego walczące samce nie zwracają na nie uwagi. Jeśli słońnik znajdzie się na drodze szarżującego kolosa, łatwo może zginąć pod jego cielskiem. Kiedy w stadzie afrykańskich lwów pojawia się nowy przywódca, od razu stara się wymordować wszystkie młode. Tyle że lew ma z tego wymierne korzyści, bo dzięki dzieciobójstwu samice szybciej stają się płodne, a on może przystąpić do przekazywania własnych genów. U słońi morskich jest inaczej. Samice i tak są płodne, ale samce nie mają nic ani do stracenia, ani do zyskania, bo to nie ich DNA jest wgniatane w piasek. Samice oczywiście próbują się temu przeciwstawić, ale wobec tak znacznej różnicy wielkości rzadko odnoszą sukces. W efekcie nawet jedna czwarta młodych nie przeżywa pierwszego miesiąca, choć zgniecenie przez dorosłych nie jest jedyną przyczyną ich śmierci. W badanej przeze mnie kolonii, na terenie haremu liczącego około stu samic, co roku odnajdywałem około dwudziestu zasuszonych płaskich truchełek.

Zresztą nawet jeśli przeżyją pierwszy miesiąc, nadal są narażone na liczne niebezpieczeństwa. Wiele młodych ginie w pierwszym roku życia: zabijają je lwy morskie, lamparty morskie i orki, niektóre giną w wyniku interwencji przyrody nieożywionej. Znalazłem kiedyś młodego przygniecione go wielką bryłą lodu: położył się zbyt blisko czoła lodowca. W którymś roku moich badań w zimie spadło wyjątkowo dużo śniegu i młode pozostawiane samym sobie wtapiały się weń tak głęboko, że w końcu grzęzły w ponad metrowej głębokości studniach. W wyniku ciągłego przebywania w lodowatej wodzie z roztopów umierały z głodu i przechłodzenia. Sporo ich wtedy znalazłem: już martwych i takich, które umarłyby niedługo. Oczywiście Antarktyka to wielki rezerwat przyrody i w takich sytuacjach nie wolno nam zwierzętom pomagać (co innego gdy spotykam na przykład uchatkę zaplątaną w sieci – tu źródłem problemu jest człowiek – i jeśli tylko mogę, staram się takiego zwierzęcia złapać i uwolnić, choć nie jest to łatwe, bo biegają szybko, są bardzo silne i mają duże zęby, których nie wahają się użyć). Opad śniegu to przyczyna naturalna, więc wyciąganie umierających osesków nie wchodzi w grę, choć patrzą na ludzi tak żałośnie...

Pomagać nie można, ale nigdzie nie jest powiedziane, że nie możemy im się dokładnie przyjrzeć. Dlatego podchodziłem do takiego nieszczęśnika. Potem znowu, tym razem z aparatem. Potem przyprowadzałem kolegę, koleżankę, czy kto tam był pod ręką. Potem znowu z aparatem, bo pomyślałem o innym ujęciu... Po kilku takich wizytach nasze stopy tworzyły łagodną rampę, po której słońnik sam mógł się wydostać na wolność. Moje zawodowe sumienie naukowca było czyste, ale i prywatne miało satysfakcję. Miesiąc później rozmawiałem z koleżanką z Brazylii, Monicą, która badała słońie na Elephant Island. Miała ten sam problem i też nie pomagała słońnikom. Powiedziała tylko, że „po prostu chroniła swoje próbki”. Naukowiec też człowiek i myślę, że nie zostaje się przyrodnikiem, jeśli na początku zwyczajnie się tych zwierzołków nie lubi.





Słonik morski uwięziony w śnieżnej jamie

Ta haremowa wizja to jednak wciąż nieco uproszczony obraz rzeczywistości. Na naszej wyspie wszystko zaczyna się we wrześniu. Wtedy wielkie samce wychodzą z morza, gdzie przez całą zimę obzerały się kalmarami i rybami. Bardzo szybko zaczynają ze sobą walczyć o kontrolę nad jej skrawkami. Jak to często bywa u zwierząt zdolnych zadać sobie poważne obrażenia (znane powiedzonko, że kruk krukowi oka nie wykole, ma głęboki biologiczny sens), jeśli mogą rozstrzygnąć konflikt bez fizycznej konfrontacji, starają się to zrobić. Dlatego konkurenci donośnie na siebie ryczą, bo na podstawie siły i głębokości ryku są w stanie ocenić swoją siłę. Przydaje się wtedy ich charakterystyczna trąba, czyli duży kawał mięcha wyrastający dużym samcom jako przedłużenie nosa. Podobnie jak reszta słonia, trąba rośnie przez całe życie i działa jak pudło rezonansowe. Kiedy ryki nie wystarczą, żeby ustalić, kto rządzi, wielkie samce szarżują na siebie z zaskakującym impetem. Czasem to wystarcza, żeby odpędzić konkurenta, ale nie zawsze – i dochodzi do walki. A wtedy robi się strasznie. Gigantyczne ciała zderzają się z potworną siłą – to prawdziwe starcie tytanów. Nie tyle się gryzą, ile uderzają w siebie dziesięciocentymetrowymi kłami, jakby się okładały najeżonymi gwoździami deskami. Po kilku dniach takich walk bywa, że wyglądają jak sterty tatarskiego befsztyku. Mają wprawdzie bardzo grubą skórę, a pod nią nawet dziesięć centymetrów tłuszczu, więc rany zwykle nie są głębokie, ale krwawią i nadają im upiorny wygląd. W czasie walk przydają się też trąby. Ale o tym za chwilę – najpierw musimy się zająć innymi aspektami życia tych niezwykłych zwierząt.

To nie tylko najwięksi przedstawiciele rzędu drapieżnych, ale także (do niedawna) najlepsi nurkowie. Najgłębsze odnotowane nurkowanie słonia morskiego osiągnęło głębokość dwóch kilometrów, najdłuższe zaś trwało dwie godziny. Mówię „do niedawna”, bo w 2014 roku okazało się, że wal Cuviera – należący do tajemniczych wali dziobogłowych ssak znany również jako zyfia gęsiogłowa – potrafi się zanurzyć na niemal trzy kilometry, a jego najdłuższe nurkowanie trwało nieco ponad dwie godziny i piętnaście minut. Także kaszaloty prawdopodobnie potrafią zanurkować głębiej. Do tej pory oba rekordy należały do słońi morskich. Tak czy siak słonie zanurzają się podczas łowów bardzo głęboko. Wielkie oczy umożliwiają im wykrywanie minimalnej ilości światła. Wewnątrz gałki ocznej panuje wysokie ciśnienie, odpowiednie do znacznych głębokości. Niestety oznacza to również, że ich oczy są niezwykle delikatne i narażone na uszkodzenia. Niejednokrotnie zdarzało mi się widzieć przekrwienie z powodu pęknięcia naczynka lub słonie z krwawą jamą zamiast oka. Na powierzchni ich gałki oczne nawet po lekkim uderzeniu zwyczajnie eksplodują – właśnie przez to wysokie ciśnienie wewnątrzgałkowe. Moim zdaniem mięsisto-tłusta i pokryta grubą skórą trąba, która walczącemu samcowi dynda tuż przed delikatnymi oczami, służy też jako rodzaj tarczy.

Niedługo po samcach na plażach Antarktyki i subantarktycznych wysp zaczynają się pojawiać ciężarne samice. Szukają najdogodniejszych miejsc do urodzenia młodych z zeszłego sezonu. Ciąża trwa wprawdzie około dziewięciu miesięcy, ale implementacja jest opóźniona, co znaczy, że przez pierwsze trzy miesiące właściwie nic się nie dzieje i od zapłodnienia do porodu upływa dokładnie rok, żeby nie zaburzać synchronizacji z porami roku. Co dość istotne – to samice wybierają miejsce, a zatem i partnera. Staje się nim ten, który akurat to miejsce kontroluje: im większą samiec ma działkę, tym więcej samic się na niej zmieści. Dlatego zamiast mówić o władcach haremów, powinniśmy właściwie używać angielskiego, bardziej precyzyjnego terminu *beach master*, czyli władca plaży. W kilka dni po przybyciu samice rodzą wazące około pięćdziesięciu kilogramów pokryte czarnym wełnistym włosiem szczeniaki. Karmią je mlekiem o wyjątkowo wysokiej zawartości tłuszczu, po czym po trzech tygodniach odstawiają stu pięćdziesięciokilogramowe oseski od piersi. Natychmiast są gotowe do kopulacji i zajścia w kolejną ciążę. Niedługo potem wracają do morza, żeby uzupełnić zapasy sadła. Średnia długość życia samic wynosi około dwudziestu lat, samce żyją krócej, około dwunastu, trzynastu lat. Ci, którzy zdołają utrzymać harem, mogą w jednym sezonie spłodzić nawet setkę potomków. Ale to udaje się tylko nielicznym.

Co mają zrobić dorosłe młode samce, które wciąż są zbyt małe, by stawać w szranki i konkury? Są dojrzały płciowo, w ciałach buzuje im testosteron i głowy mają przepełnione romantycznymi marzeniami, a walczyć nie ma jak. Chcąc nie chcąc, wybierają pozycję samców satelitarnych – pozostają na obrzeżach haremów i wdrażają strategię zwaną po angielsku *sneaker*, zakradacz. Można się wprawdzie zetknąć również z bardziej precyzyjnym terminem *sneaky fucker* (skrytojebca?), ale w zdecydowanej większości naukowych opracowań raczej się go nie znajdzie. Występuje głównie w tym, co w bibliografii określa się jako *personal communication*, czyli informacja ustna. Strategia „sneakersów” polega na tym, żeby się podkraść do samicy i spróbować ją zdobyć (przeważnie siłą, one bowiem wolą tryumfujących gigantów), kiedy lokalny watażka jest akurat zajęty. Tym, co wydawało mi się najciekawsze, było zbadanie, jaki procent młodych w haremach ma geny dominujących samców, a jaki zakradaczy. Ci młodzieńcy oczywiście sporo ryzykują. Czy jednak im się to opłaca? Znalezienie odpowiedzi wymagało kilkuletnich badań populacyjnych, typowania samców przyjmują-

cych różne strategie i co najważniejsze, pobierania próbek DNA – zarówno od nich, jak i od matek z młodymi. Szykowała się masa pracy.



Trąba pojawia się u słoni morskich w okolicach dziesiątego roku życia

Tyle że muszę się do czegoś przyznać: miałem poważny dylemat. Wiedziałem, że słonie morskie słabo widzą na brzegu. Wiedziałem również, że kiedy słoń chce drugiego zaatakować (młodsze samce, kiedy akurat nie śpią, co chwila urządzają sparringi – muszą wiedzieć, co robić, gdy przyjdzie co do czego, muszą też poznać przyszłych konkurentów i wstępnie ustalić, kto jest silniejszy), podnosi po prostu głowę i naciera całym ciałem. Ponieważ to naprawdę ogromne zwierzęta, taka podniesiona głowa atakującego słonia znajduje się na wysokości około dwóch metrów. Więc jeśli będę podchodził wyprostowany, słoń może się pomylić i uznać mnie za szarżującego samca. Wtedy może zaatakować i są bardzo duże szanse, że wygra, bo nawet młodzieńcy ważą dwadzieścia razy więcej niż ja. Więc może lepiej się do nich podczołgiwać? Wtedy szansa, że uznają mnie za innego samca będzie znacznie mniejsza... No właśnie. A co jeśli uzna mnie za... samicę? To wydawało mi się jakoś jeszcze bardziej niebezpieczne. Tak właśnie wyglądała filozoficzna strona moich rozważań. Kiedy próbuję odpowiedzieć na odwieczne pytanie *make love or war?* zwykle nie wybieram wojny. W obliczu słoni morskich uznałem jednak, że zdecydowanie wolę zginąć zgnieciony od zewnątrz niż rozerwany od środka (wobec ogromu absztyfikanta żadne warstwy ubrań by mnie nie uratowały). Do wszystkich swoich słoni od początku podchodziłem wyprostowany jak struna...



Czasem ryk słonia można nawet zobaczyć

Na szczęście słonie na ogół spały. Zwykle śpią w zwartych grupach – po prostu jeden na drugim. Było już po okresie rozrodczym, zaczynała się pora linienia. W przypadku słoni morskich mówimy o linieniu katastroficznym: w ciągu trzech tygodni stara sierść wraz z pełnym DNA naskórkiem złazi z nich całymi płatami. W tym czasie nie mogą żerować i właściwie cały czas drzemią, oszczędzając energię. Zerwanie szczotką czy nawet ręką takiego płatka obłazącej skóry trwa chwilę. Słonie bardzo często nawet tego nie zauważały, zapewne przekonane, że dotyka ich kolega z barłogu. Jeśli jednak orientowały się, że podchodzę, na tyle, na ile mogłem, korzystałem z pomocy kolegów i koleżanek. Ściągali na siebie ich uwagę, żebym ja mógł pobrać próbkę. Po dość krótkim czasie doszedłem do wprawy i okazało się, że pobieranie prób wcale nie jest takie trudne ani niebezpieczne, jak mi się zdawało. Zdarzały się oczywiście przygody. Któregoś razu podszedłem na Patelni do grupy młodych samców leżących pod niewysoką, może trzymetrową pionową skałą. Pierwsze dwie próbki pobrałem bez problemów, ale w końcu jeden z nich mnie zauważył i postanowił zaatakować. Słonie morskie, jak wszystkie prawdziwe foki, nie umieją biegać. Pełzają tylko jak wielkie ślimaki bez skorupy. Ale pomagają sobie przy tym potężnymi przednimi płetwami i na krótkich dystansach okazują się zaskakująco szybkie. W końcu dla tak dużego zwierzęcia samo przełożenie głowy z jednego miejsca na drugie to już może być odległość nawet dwóch metrów. Zaszarżował wprost na mnie i nie dał się zniechęcić krzykami ani podniesionymi rękami. Zorientowałem się, że jak ostatni idiota wlałem między słonie a skałę. Drogę ucieczki miałem odciętą. Oczywiście duszy widziałem siebie jako mokrą plamę, malowniczo rozmazaną, jak gigantyczny komar na ścianie wakacyjnego domku. Do tej pory nie mam pojęcia, jak mi

się udało na tę skałę wdrapać, ale zrobiłem to bardzo szybko i dosłownie w ostatniej chwili. Siedziałem tam potem chwilę, uspokajając oddech i patrząc w ślepia najwyraźniej rozczarowanego młodzieniaszka. Taki wzrok widziałem kiedyś tylko u ursynowskich dresiarzy, gdy niespodziewanie zza węgła wyłoniła się policja. A już szykował się łomot...



Katastroficzne linienie

Zdarzały się też dużo miłsze sytuacje, gdy przychodziło mi pobierać próbki od młodych słońków. Często na początku były trochę zestresowane, bo nie wiedziały, co przy nich robi ten dziwny ssak. Kiedy jednak zaczynałem je drapać po plecach, mrużyły z zachwytu swoje oszłamiająco piękne ślepia, a nawet obracały się tak, żebym mógł je podrapać wszędzie. W końcu takie obłożenie ze skóry musi swędzieć jak diabli! Nie wiem, czy bywają w życiu naukowca chwile fajniejsze niż te, kiedy nauka wyraźnie sprawia obiektom naszych badań przyjemność.

Z pierwszego wypadu w teren wróciliśmy tego samego dnia. Profesor Tatur i jego doktorant pobrali swoje próbki, ja poznałem teren swoich badań i nauczyłem się czochrać słońce. To był bardzo owocny dzień.

Z upływem lata wychodziłem w teren mniej więcej co dziesięć dni, bo nie tylko drapałem słońce, ale też prowadziłem monitoring wszystkich płetwonogich na plażach zatoki. Demografia liniejących słoń zmienia się w ciągu sezonu. W styczniu zaczynają wracać na plaże pierwsze samice, a młode samce wracają do morza. Samice są niby mniejsze, ale też zwiniejsze i bardziej agresywne. W porównaniu z nimi ociężałe samce to kluchowate gamonie. Ale wtedy miałem już większą wprawę i jakoś sobie radziłem. Po samicach wracają najwięk-

sze samce, które doszły do siebie po okresie rozrodczym. W sumie przez niemal cały rok różne słońie wykorzystują brzeg do odpoczynku. Można je spotkać nawet zimą, ale wtedy jest ich bardzo mało.



Najprzyjemniejsza jest praca ze zwierzętami, którym nasze badania sprawiają wyraźną przyjemność

Czasem dopływałem na miejsce zodiakiem, czasem dochodziłem na piechotę (wtedy na ogół planowałem to tak, żeby jednego dnia przejść ze stacji do refugium w Paradise Cove, tam wszystko przygotować, następny dzień spędzić na pracy w terenie, a trzeciego dnia wrócić). Mógłbym to zapewne zrobić w jeden dzień, ale takie „wakacje” od stacyjnego życia zawsze dobrze mi robiły i często miałem miłe towarzystwo. Tak zaprzyjaźniłem się z Rusłanem, który chętnie mi pomagał, a w następnych latach przychodzili ze mną i inni. Do tej pory się znamy i lubimy. Przychodziłem też sam, z książką na wieczór. To niestety okazało się niebezpieczne, bo gdy zabrałem *Maga Fowlesa*, w ogóle nie udało mi się wyjść w teren – rano postanowiłem tylko zajrzeć do powieści, bo ponoć taka fajna. Zajrzałem i wsiąknąłem na dobre, a skończyłem już po północy, bo w czasie antarktycznego lata całkowita ciemność właściwie nie zapada. Prądu w refugium nie było. Była za to ogromna wilgoć, a sen często przerywały mi słońie traktujące stalowe liny przyczepy jako sparring partnerów. Wtedy cała ta mizerna konstrukcja trzęsła się jak statek podczas burzy. Spędziłem tam wiele nocy i mam do naszej brzydkiej skorupy ogromny sentyment. Ale gdy parę lat później wybudowaliśmy w Paradise Cove domek z prawdziwego zdarzenia, w którym dało się podłączyć generator,

a nawet zagrzać wodę i wziąć prysznic, spało się zaś nie na podłodze, tylko w wygodnym łóżku, pożegnałem starą przyczepę bez żalu i zacząłem spędzać w rajskiej zatoczce jeszcze więcej czasu. Zwłaszcza że wtedy jeździło się tam już skuterem śnieżnym.



Powitanie u pary Adelek

Za każdym razem gdy ostatni raz wychodziłem z refugium i wspinałem się po otaczających go zboczach, rzucałem mu pożegnalne spojrzenie, nim znikał za grzbietem. No ale nie samymi słoniami żyje człowiek. Kiedy wróciliśmy z pierwszej wycieczki w teren, życie na stacji nabierało tempa. Dookoła niej zresztą też. Antarktyczne lato trwa oczywiście krótko, więc kto może (z wyjątkiem naukowców i pracowników technicznych, którzy zajmują się wtedy pracą) rozmnaża się na potęgę. Najbliżej naszej stacji najintensywniej pracowały nad tym pingwiny białookie, czyli Adelki. Nawet ich nazwa ma romantyczne korzenie – jeden z dawnych odkrywców, Jules Dumont d’Urville, który w 1840 roku badał wybrzeża Antarktydy, nazwał je na cześć swojej ukochanej żony, Adeli d’Urville. Część wybrzeża, którą badał, też nazwał na jej cześć, dlatego mamy również Wybrzeże Adeli. Niestety wkrótce po powrocie do Francji, w 1842 roku, zginęli oboje – wraz z synem – w jednej z pierwszych katastrof kolejowych w historii.



Rozejm na krze – Adelki i ich śmiertelny wróg, lampart morski

Adelki to chyba moje ulubione pingwiny. Mają kapitalne czarne łebki i czarne oczy z białymi obwódkami. Dorosłemu człowiekowi sięgają mniej więcej do kolan i są bardzo zadziorne. Mówi się o nich, że to najlepsi komedianty przyrody. Zresztą po co mam je opisywać, skoro zrobił to już kapitalnie Antoni Bolesław Dobrowolski, który wraz z Henrykiem Arcetowskim brał udział w słynnej wyprawie na Antarktydę na statku „Belgica” w latach 1897–1899. Poświęcił im dłuższy fragment swojej książki *Życie w krainach lodu* i nie mogę nawet marzyć o tym, by zrobić to lepiej (choć kulinarna część opisu jest już nieaktualna):

Jegomość Pingwin, wzrostu 60 cm, ma kostjum stylowy, barwą wspaniale dostrojony do krajo-brazu lodów, mozaiki czerni i bieli: brzuch i pierś śnieżnobiałe, lśniące, jak pole lodowe w słońcu; grzbiet czarny, mieniący się szafirem, gdyby odległy wyskok nagiego granitu wybrzeża; na czarnej główce dwa białe kręgi powiek. W wyprawach antarktycznych ten pan bierze żywy udział, nie tylko materialny jako befsztyk, lecz również idealny jako pierwszorzędny komik, tem komiczniejszy, że mimowolny. Cała jego postać, wszystkie pozy i ruchy są tak pełne komizmu, że pobudzą do śmiechu najsmutniejszego człowieka. Różne są tej śmieszności powody. Przede wszystkim postawa pionowa i szczątkowe skrzydła, które przy długim stanie na króciutkich nóżkach czynią z bezłotka [...] karykaturę człowieka. Następnie, ruchy tego pływaka na lądzie nie wyglądają zanadto zgrabnie ani lekko, podobnie do ruchów człowieka, któryby utracił sprawność chodu. Wreszcie wiecznie uroczyta mina tych człowieczków, sztywna powaga i namaszczenie, z jaką wykonywają wszelki ruch, spełniają wszelką czynność – kiwają głowami, kuksają



się dziobem i kikutami – są szczytem komizmu. A że śmieszność, zręcznie przez kogoś przedrzeźniana, podkreśla się i uwielokrotnia, więc czasami naprawdę płakało się ze śmiechu, gdy nadworni aktorzy wyprawy, Dufour i Van Mirlo, zaczęli przedrzeźniać pingwiny.

Do wyprawy na statku „Belgica” jeszcze wrócę. I mimo rzeczywiście komicznego uroku Adelki nie są ani głupie, ani tchórzliwe. W czasie jednej z moich wypraw udało im się dopaść ich głównego prześladowcę – wydrzyka, zwanego też skuą. Ponieważ skuy żyją w monogamicznych, wieloletnich związkach, więzi, które łączą parę, są bardzo silne. To w połączeniu z ich inteligencją i siłą sprawia, że para wydrzyków to dobrze wytrenowany i piekielnie skuteczny zespół do okradania pingwinów z jaj i pisklaków. Strategie są różne, ale jedną z często stosowanych jest współpraca: jeden z ptaków ściąga pingwina za ogon z gniazda, a drugi kradnie to, co akurat jest wysiadywane. Skuy chętnie atakują też chore, ranne lub osłabione ptaki, ale czują respekt wobec dorosłych pingwinów – ich poruszane przez potężne mięśnie skrzydła są twarde jak deski. Takie zgranie w parze wydrzyków wiąże się też z odpowiedzialnością za partnera. Dlatego gdy pingwiny tłukły ściągniętego z nieba ptaka, jego partner czy partnerka przyleciał na ratunek, po czym on też został zabity! Dzięki temu, że skuy są ptakami terytorialnymi, trochę trwało, zanim inne drapieżniki zorientowały się, że para rezydentów kolonii zginęła, i pingwiny cieszyły się niemal dwutygodniowym okresem względnego spokoju. Jeszcze bardziej imponuje mi historia, którą mi opowiedział znajomy, Peter Carey. Obserwował kiedyś grupę Adelek wracających z morza. Nagle zmieniły trasę i poszły w bok. Zatłukły pisklę skuy, które tam siedziało, po czym wróciły na właściwy kurs. O ile pierwszy z opisanych incydentów można tłumaczyć szczęściem i odruchem, drugi świadczy o złożonym instynkcie i można by go nawet interpretować jako planowanie.



Tomek i Kazik zauważyli coś interesującego

Choć w życiu pingwinów skuy odgrywają rolę pozbawionej poczucia sprawiedliwości Nemezis i obserwacje ich ataków na małe słodkie pisklaczki wywołują często niechęć, jestem ich wielkim fanem. To bardzo inteligentne i odważne ptaki. W pobliżu naszej stacji przez wiele lat żyła para miejscowych wydrzyków, Kaśka i Kazik. Jego po raz pierwszy zaobserwowano w 1981 roku, ją pięć lat później. Słyszałem o nich od dawna, ale poznać ich miałem zaszczyt dopiero w roku 2002. Latem przynajmniej jedno z nich niemal stale przebywało w pobliżu drzwi do Samolotu. Żyjące na Szetlandach Południowych wydrzyki należą do dwóch gatunków (wydrzyków falklandzkich i antarktycznych). Są też mieszańce. Gatunki są do siebie podobne, przy czym antarktyczne są trochę mniejsze (ale za to widziano je na samym biegunie południowym). Kaśka i Kazik należały do tych większych.

Ptaki te wyglądają jak przysadziste i przerośnięte brązowe mewy, z którymi są zresztą blisko spokrewnione. Na lądzie łążą jak wielkie kwoki i sprawiają pocieszne wrażenie, ale ich ostry, zakrzywiony dziób i chrapliwy okrzyk terytorialny nie pozostawiają wątpliwości: skua potrafi przywalić. Każdy, kto się zbliży do ich gniazda, jest narażony na atak z powietrza, a cios potężnego dzioba niejednemu polarnikowi rozciął skórę na głowie. Poza tym skuy są mało płochliwe i bardzo ciekawskie, co dla takich oportunistów jest dość typowe. Nasze stacyjne wydrzyki tak się jednak do ludzi przyzwyczyliły, że przestały nas zaczepiać – o ile nie chciały się akurat bawić. Z biegiem lat przekonałem się, że potrafiły nas rozróżnić i zapa-

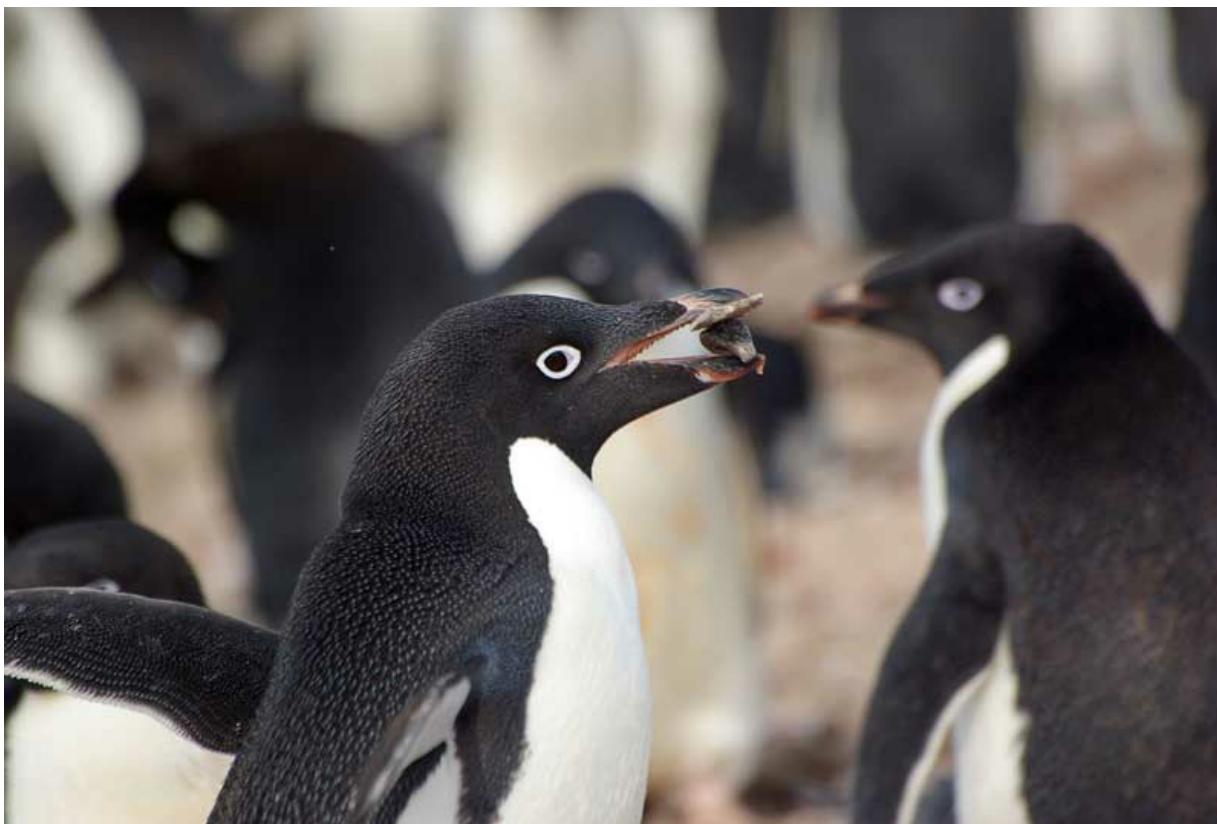
miętywały tych, których widywały od lat (wspominali mi o tym starsi koledzy). Inaczej traktowały starych znajomych, a inaczej nowo przybyłych. Gdy Kazik kogoś lubił (albo wręcz przeciwnie – choć wyglądało to na przyjazną zaczepkę), podlatywał od tyłu, delikatnie ściągał mu czapkę i lądował z nią kilka metrów przed nim. Kiedy już-już wydawało się, że można odzyskać swoją własność, wredne ptaszyczo zrywało się do lotu i deponowało zdobycz kilka metrów dalej. I tak na całej trasie od albo do Samolotu. W końcu lotr porzucał czapkę na ziemi i odlatywał, zadowolony z siebie.

Nasze skuy nieustannie czyhały na jedzenie. Kiedy dawniej mieszały na stacji grille na otwartym powietrzu, potrafiły podlecieć do gorącego rusztu, porwać kawałek mięsa i szybko uciec do najbliższej zasy, żeby go schłodzić w śniegu. To samo robiły z kawałkami kiełbasy pieczonymi na patykach w ognisku – kradły je niemal z płomieni. Gdy latem wietrzyliśmy stację, regularnie zdarzało się, że któreś z nich wchodziło jak kura głównymi drzwiami, bezczelnie dreptało aż do kuchni, kradło kawałek czegoś pysznego i wychodziło, paradując przed naszymi nosami.

Kaśkę ostatni raz widziałem w 2008 roku. Miała wtedy co najmniej trzydzieści lat i widać było, że starość daje jej się we znaki. Niby zachowywała się tak samo jak zawsze, niby znowu złożyła jajo i próbowała odchować pisklaka, ale za każdym razem gdy lądowała, wywracała się na dziób. Czy wróciła po kolejnej zimie? Nie wiem, później bywałem na stacji rzadko i tylko w przelocie. Przykro się patrzyło na starą znajomą w takim stanie, ale muszę przyznać, że do końca trzymała fason. Nie przesadzę, jeśli powiem, że spośród wszystkich latających mieszkańców Antarktyki skuy to moi ulubieńcy. I choć pewnie nie do końca jest to prawda, mam wrażenie, że gdy mamy kolonię kilkuset pingwinów i nękającą ją parę wydrzyków, łączne IQ w obu obozach jest mniej więcej takie samo.

Wróćmy jednak do Adelek. Wiosna to czas intensywnego budowania gniazd. Pingwiny oczywiście nie mogą, jak porządne ptaki, używać patyków, traw i liści, bo tego tam po prostu nie ma. Jest za to bardzo dużo kamieni – składają się z nich całe plaże. Kamienie może nie są zbyt przytulne, ale za to zapewniają odpowiedni drenaż, co w środowisku pełnym topniejącego śniegu i ptasich odchodów, w którym w dodatku, jak na Szetlandach Południowych, prawie codziennie pada, jest bardzo ważne. Dlatego pingwiny budują z kamieni niewielkie kopczyki i uważają, że jako gniazdo taka stertka obleci. Mało który inny ptak by się z nimi zgodził.

Ale nawet tak smętne biedagniazdo wymaga budulca. Choć kamieni jest wokoło pełno, pingwiny mają jakiś tajemny wzorec kamienia idealnego. Nie za duży, nie za mały, nie za okrągły, nie za płaski, nie za kanciasty. Obserwowałem je podczas wszystkich swoich wypraw, ale nadal nie mam pojęcia, dlaczego ptasi budowlaniec potrafi podnieść z plaży akurat ten konkretny kamyk i nieść go w dziobie nawet kilometr, mijając po drodze dziesiątki tysięcy identycznych. No cóż, pingwiny muszą widzieć rzeczy, których my nie widzimy. A może jest tak, że później mogłyby zapomnieć? Wracający z morza pingwin podnosi pierwszy fajny kamyk, a później musi go już tylko nieść – i nie ryzykuje, że dojdzie w pobliże gniazda i tam nagle albo kamyków już nie będzie, albo w ostatniej chwili zacznie się zastanawiać: „co to ja miałem załatwić?” – i tylko dostanie burę od partnerki lub partnera. W sumie mnie także się zdarza wychodzić do knajpy ze świadomością, że później muszę kupić pieczywo, więc kupuję je w drodze tam, w obawie, że wracając, nie będę pamiętał. Może łatwiej ponosić taką potrzebną rzecz dłużej, niż byłoby to konieczne, ale przynajmniej mieć pewność, że się ją ma?



Idealne kamienie znosi się czasem z bardzo daleka

Tak czy siak odpowiednie kamienie to towar pożądany. Nic więc dziwnego, że niektórym nie chce się ich znosić z daleka, skoro tuż obok, w sąsiednim gnieździe, już są, tyle że przyniesione przez kogoś innego. Odległości między pingwinimi gniazdami zwykle równe są sumie dwóch wyciągniętych wściekle dziobów. Stąd ich równomierne rozmieszczenie. Te słodkie ptaszki wcale nie są takie przyjazne i jeśli mogą do siebie dosięgnąć, żeby się dziobać, to się dziobią. Właśnie dlatego kolonia na pingwinisku koło Arctowskiego ma kształt pierścienia – nikt nie chce mieszkać w głębi, bo musiałby przechodzić przez zbyt szeroki pas sąsiadów. W końcu odległość między gniazdami, jak wspomniałem, równa jest sumie dwóch dziobów, a nie sumie dwóch dziobów i szerokości pingwina – kiedy pingwin przechodzi między dwoma gniazdami, często dostaje strzały z obu stron, chyba że ma szczęście i nikt go nie zauważy. Daje to dodatkowy komiczny efekt, bo pingwin biegnący z gniazda lub do gniazda stara się być jak najchudszy, więc pręży się niczym struna. Oznacza to również, że nie można ot tak sobie sięgnąć do sąsiedniego gniazda, żeby ukraść kamień. Trzeba wstać i kawałek podejść, a to z kolei oznacza, że odsłania się własne gniazdo. Ktoś inny może coś ukraść, ale żeby to zrobić, też musi wstać... Dlatego pora budowania gniazd to nieustanne podchody i awantury. Nie będę ukrywał: oglądając te dantejskie sceny, często wybuchiałem śmiechem. Znajomi naukowcy ze Stanów chcieli kiedyś przeprowadzić badania na temat krążenia kamieni w pingwiniej kolonii. Przygotowali sobie w pobliżu stosy kamieni pomalowanych na różne kolory, a następnego dnia planowali je metodycznie porozmieszczać w gniazdach, żeby później sprawdzić, dokąd dotarły. Niestety kiedy rano chcieli się zabrać do pracy, okazało się, że w nocy pingwiny same zdążyły się zbadać: stosiki zniknęły, a kolo-

rowe kamienie były już we wszystkich gniazdach.



Dekoracja wnętrza według pingwinów białobrewych

Gdy w końcu każdy ma już jakiś tam stosik, zaczyna się składanie jaj. Mniej więcej na ten moment trafiłem podczas pierwszej wyprawy. Samice składają zwykle po dwa jaja, a później oboje rodzice na zmianę je wysiadują. Każde z nich ma na brzuszku tak zwaną bruzdę lęgową – rodzaj rozstępu wśród gęstych piór. Kładąc się na jajach, rozsuwają szczelny pierzasty pancerz i otulają nim swoje skarby, które przylegają wtedy bezpośrednio do cienkiej i silnie ukrwionej, czyli ciepłej skóry brzucha, izolowane od warunków zewnętrznych gęstą pierzyną. Co jakiś czas rodzice muszą się oczywiście zmieniać i zawsze to z nich, które właśnie wróciło najedzone z morza, musi długo przekonywać to drugie, żeby oddało cenny ładunek. Instynkt wysiadywania jest tak silny, że widywałem młode pingwiny – które albo nie przystąpiły jeszcze do rozrodu, albo przez brak doświadczenia lub pecha jaja utraciły – z równą atencją wysiadujące okrągłe kamienie, a nawet wyrzucone na brzeg boje.

Na samej stacji też dużo się działo. Techniczni – ponoć co roku tak samo – załamywali ręce nad fuszerkami, których się dopuścili ich poprzednicy, i tłumaczyli nam, jak strasznie pilnie czekają ich naprawy. Faktycznie mieli ręce pełne roboty i nieszczerólnie się garnęli do pomagania naukowcom w badaniach – albo z braku czasu, albo ochoty. Dość szybko się przekonałem, że to normalne. Kiedy parę lat później zostałem kierownikiem stacji i rozmawiałem z kolegami ze stacji sąsiednich, dowiedziałem się, że u nich jest tak samo: niby jesteśmy razem, jesteśmy jedną ekipą, ale zawsze istnieje mniej lub bardziej żartobliwie nakreślona delikatna linia podziału między częściami zespołu. Moim zdaniem wynika ona z kompletnego nieporozumienia. Z jednej strony są naukowcy, przekonani, że wszystko powinno im

być podporządkowane. Już na Uniwersytecie Warszawskim zauważyłem, że naukowcy bywają aroganccy i uważają, że ich żadne reguły (jak choćby ochrona przyrody) nie dotyczą, bo oni pracują dla Nauki. Zapominają tylko, że zwłaszcza w miejscu takim jak stacja polarna bez ekipy technicznej nie mogliby nie tylko pracować, ale też zwyczajnie przeżyć. To techniczni trzymają wszystkich przy życiu i jeśli jest gdzieś jakaś wadliwa instalacja, jej naprawienie musi być priorytetem. Z drugiej strony pracownicy techniczni uważają za stratę czasu wypływanie na pół dnia w morze po próbki niewidocznych gołym okiem zwierzątek, gdy na stacji cieknie rura, są straty ciepła, gdzieś coś przebija w instalacji elektrycznej albo trzeba pogłębić rów przy zbiorniku wodnym, bo jak śniegi się roztopią, będzie powódź. Oni z kolei zapominają, że gdyby nie badania naukowe, stacja w ogóle nie miałaby racji bytu. Na ogół – mimo tarć – udaje się wypracować jakiś kompromis i wszyscy są zadowoleni. Dobrze było doświadczyć tego wcześniej, bo jako kierownik nieustannie zwracałem inną uwagę, że jesteśmy zespołem, że nasze życie zależy od każdego z jego członków. Antagonizmy są nieuniknione i w tak zamkniętym gronie trzeba zwyczajnie mieć więcej cierpliwości. Na stacji, kiedy się kogoś nie lubi, nie można wstać i się pożegnać – tego samego człowieka będzie się spotykać przez kolejnych kilkaset dni, trzeba z nim współpracować i bardzo blisko mieszkać. W zasadzie więc cierpliwość na stacji jest nie tyle ważna, ile niezbędna.

Podczas tej mojej pierwszej wyprawy odczuwało się tarcia, zwłaszcza że wśród technicznych byli nasi najbardziej doświadczeni polarnicy. Ale udawało się i wymieniać kable, i pobierać próby. Ja wychodziłem w teren, nasz kierownik, Wojtek, wypływał na morze, Ania liczyła roślinki i prowadziła eksperymenty w szklarni, a geolodzy hulali po okolicy, waląc z entuzjazmem młotkami w skały. Jednocześnie stacja wchodziła w coraz stabilniejszy rytm. W sobotę przyszedli Amerykanie. Wojtek wyciągnął z bundu butelkę wódki i odbyła się pierwsza nieśmiała impreza, bo znaleźliśmy się jeszcze słabo. Dostaliśmy także zaproszenie na Copę na Święto Dziękczynienia, które w Stanach obchodzi się w czwarty czwartek listopada. Jakoś na tydzień przed świętem ku zaskoczeniu wszystkich w okolicznych górach pojawiła się I Węgierska Wyprawa Antarktyczna, czyli siedmioro młodych ludzi z namiotami i sprzętem filmowym. Wojtek stwierdził, że ponieważ nic nie zostało wcześniej ustalone, nie może ich oficjalnie gościć na stacji, ale nieformalnie pozwolił im korzystać z niektórych budynków. Żyli jednak w swoich namiotach kilka kilometrów dalej i nawet jak do nas przychodzili, wieczorem wracali w góry.

Wreszcie przyszedł świąteczny czwartek. Nasi znajomkowie z Copy upiekli (choć trzeba przyznać, że raczej kompletnie spalili) dwa indyki i do wspólnej celebracji zaprosili nas wszystkich, Węgrów też. Nasza wyprawa trwała dopiero od nieco ponad dwóch tygodni. Węgrów widzieliśmy może raz, gospodarzy ze dwa razy. Z wieloma z nich nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy. Ale szybko zaczęła się nawiązywać dość zaskakująca nić porozumienia. Oprócz trzech dziewczyn z Copy i Wayne'a, szefa ich projektu, na miejscu byli Ladik, grupa z Arctowskiego z Rusłanem i nasi namiotowi górale. I tak oto Polacy, Ukrainiec, Czech i Węgrzy zaczęli snuć kombatanckie wspomnienia o chińskich piórnikach i gumkach do ścierania, klejach biurowych, Kreciku, Bolku i Lolku, a także o innych charakterystycznych atrybutach części świata i czasów, w których większość z nas dorastała. Ekscytacja rosła, kiedy co rusz się okazywało, jak wiele mamy wspólnych wspomnień. Amerykanki patrzyły na nas z coraz większym zaskoczeniem, które w końcu przeszło w zazdrość. Czują się wyłączone z tych rozmów, choć większość z nich odbywała się po angielsku, a tylko nieliczne po rosyj-

sku. Demoludy przejęły imprezę. Może nie było to zbyt miłe, ale sam z podnieceniem odkrywałem nasze wspólne korzenie. W końcu Stacey, jedna z naszych coraz bardziej wyalienowanych gospodyń, powiedziała mi na ucho, że zaczyna żałować, że nie dorastała w naszej części świata.

– *I wish I'd been a communist, it sounds like so much fun...*

Zrobiło mi się trochę głupio. W końcu udało się przełamać komunistyczny monopol, a po jakimś czasie zza gór wyłonili się Argentyńcy. Przejechali na skuterach przez lodowiec, żeby świętować ze swoimi północnoamerykańskimi przyjaciółkami. Na jakiś czas zrobiło się w pełni międzynarodowo. Po chwili dziewczyny gdzieś zniknęły, ale szybko wróciły, wesoło uśmiechnięte, a i Argentyńczyków zrobiło się znowu więcej. Impreza trwała w najlepsze, w końcu jednak przyszedł moment powrotu na stację. Pożegnaliśmy się i wróciliśmy do przywiązanego na brzegu zodiaka. Kierowca oczywiście nie pił, więc mogliśmy bezpiecznie popłynąć do domu. I tak było jasno, choć pewnie dochodziła pierwsza w nocy.

Parę lat później, w 2007 roku, impreza skończyła się bardziej dramatycznie. Tym razem wraz z kilkoma osobami zostałem na Copie na noc. Nagle, koło czwartej rano, z poimprezowego snu wybił mnie głos na kanale szesnastym: *Mayday! Mayday! This is the „Explorer”, we are sinking!* Jeden z najstarszych i najbardziej lubianych statków turystycznych uderzył w lód niedaleko naszej wyspy i szedł na dno. Nawet przy najlepszej woli nie mieliśmy jak im pomóc.

Na szczęście niedaleko były inne statki. „Explorer” tonął powoli i pogoda była dobra, bez wiatru i fal. Pasażerowie i członkowie załogi ewakuowali się do szalup ratunkowych. Kapitan zszedł ze statku ostatni. Po paru godzinach pływania w spokojnym Bransfieldzie wszyscy zostali podjęci przez MV „Nordnorge”, a „Ary Rongel” pozbiierał z wody szalupy. Nikt nie zginął, ale po tym wypadku dośrubowano normy bezpieczeństwa. Po latach poznałem i zaprzyjaźniłem się z paroma osobami, które były wtedy na pokładzie. Ich opowieści okazały się bardzo studzące: przypominały o potędze Antarktyki i potrzebie nieustannego zachowywania czujności.

Zaczęły się też pojawiać statki turystyczne. Na ogół wiedzieliśmy o tym z wyprzedzeniem. Wprawdzie wedle Traktatu antarktycznego statki mogą lądować we wszystkich miejscach, na które zgadza się IAATO (International Association of Antarctica Tour Operators – organizacja zrzeszająca firmy, które prowadzą odpowiedzialną turystykę w Antarktyce, wyznaczają standardy ochrony środowiska i jednocześnie gwarantują wysoką jakość usług), a rejon Arctowskiego takim miejscem jest, ale do dobrych obyczajów należy, żeby wizytę wcześniej ze stacją uzgodnić. W końcu zdecydowana większość turystów – oprócz samego pingwiniska i naszej słynnej plaży, będącej jednym z niewielu miejsc, gdzie w jednym kadrze można uchwycić trzy gatunki pingwinów – chciała odwiedzić również samą stację. Lądowanie około setki gości zawsze trochę zaburza funkcjonowanie Arctowskiego. Jako że poza linię Samolotu, czyli tam, gdzie zaczyna się bardziej techniczna część stacji, wstęp jest wzbroniony, niektórzy mogli się pochować w swoich warsztatach i laboratoriach, ale kilka osób musiało się turystami zająć. Lubię rozmawiać z ludźmi i jako biolog coś tam wiem o okolicznych zwierzołkach, więc zwykle byłem jedną z tych osób.

Zatem na ogół odbywało się to tak, że mieliśmy na stacji rozkład statkowych wizyt. Później, kiedy statek znajdował się już w zasięgu radia, odzywali się do nas na kanale wywoławczym (kanał szesnasty, na którym wszystkie statki i stacje prowadzą ciągły nasłuch), po

czym zmienialiśmy kanał i ustalaliśmy szczegóły wizyty. Kiedy podpływali przed stację, kilkoro z nas wychodziło się z nimi przywitać. Ktoś otwierał sklepik z pamiątkami, kierownik witał ich oficjalnie, ktoś zostawał na plaży jako przewodnik, a inni przygotowywali Samolot do wizyty gości, parząc herbatę i kawę, wynosząc na stół ciasteczka. Zostawali na miejscu, by regulować ruch i odpowiadać na pytania. Ja zazwyczaj zabierałem gości w okolice pingwiniska i opowiadałem o tym, jak się tam żyje i co słychać u „naszych” pingwinów i fok. Całe zamieszanie trwało parę godzin. Ponieważ statki pojawiały się co kilka dni i wracały do nas kilkakrotnie w trakcie sezonu, stopniowo poznawałem przewodników i nabierałem przekonania, że sam chciałbym kiedyś zostać jednym z nich. Poza tym że wyglądało to na ciekawą pracę, a sami przewodnicy na ogół okazywali się fajnymi ludźmi, muszę przyznać, że trochę im też zazdrościłem.

Na stacji żyło się fantastycznie. Spędziłem tam dwie zimy. W sumie, razem z dwoma letnimi ekspedycjami, spędziłem tam niemal trzy lata i nie zamieniłbym tego doświadczenia na żadne inne. To niesamowity przywilej – poznać jakąś część Antarktyki tak intymnie, obserwować zmiany pór roku, patrzeć, jak zwierzęta przybywają, rozmnażają się, umierają, linieją i wracają do morza. Tyle że wszystko to na jednej wyspie. Mogliśmy się poruszać w okolicach naszej zatoki, mogliśmy odwiedzać inne stacje, ale o wizycie na kontynencie mogliśmy tylko pomarzyć – nie wspominając o tylu innych miejscach, które znałem tylko z lektur. Turycy przyplądali na tydzień, czasem na dłużej, i choć nie zbliżali się do tej głębi kontaktu z tą fascynującą krainą, poznawali mnóstwo miejsc dla mnie zupełnie niedostępnych. Też tak chciałem.

Oczywiście nie wszystkie wizyty przebiegały tak samo. Bywało, że pytania gości okazywały się naprawdę intrygujące. Któregoś razu pewna turystka zapytała mnie – stała kilka metrów od liniejącego pingwina – co to w końcu jest: pingwin czy foka? Bardzo się starałem zachowywać uprzejmość, mimo że nie pracowałem jeszcze jako przewodnik i nie umiałem udzielać najważniejszych odpowiedzi. Tak było w przypadku innej pani z tego samego statku. Stała na brzegu, rozejrzała się – i nagle ze zdumienia aż otworzyła usta. Zapytała:

– A kto tu przywiózł te kamienie?

Spojrzałem – faktycznie, plaże w pobliżu naszej stacji, jak okiem sięgnąć, pokrywały okrągłaki o rozmiarach od piłki tenisowej po taką do gry w nogę. Trudno po tym chodzić, ale jej wyraźnie chodziło o coś innego. Na szczęście rozwinęła temat:

– Kiedy budowałam dom w Kalifornii, przywiezienie takich kamieni do naszego ogrodu wymagało dwóch ciężarówek i było niesamowicie drogie! Nie wiedziałam, że macie tyle pieniędzy...

W kamienną (nomen omen) twarzą odpowiedziałem, że udało się nam to dzięki trzem wielkim statkom i że faktycznie wyszło dość drogo, ale uznaliśmy, że tak będzie ładniej, a poza tym Polska Akademia Nauk to bogata instytucja i uznali, że warto. Nie mogła ukryć podziwu, a ja poczułem powiew narodowej dumy. A nie zdarza mi się to często.

Czasem jednak to nam zdarzały się wpadki, i to dużo bardziej zawstydzające. W trakcie tej samej, mojej pierwszej wyprawy, stałem na plaży i rozmawiałem z przewodniczką, Jessicą. Chwilowo jej praca polegała na tym, że miała ostrzegać nadchodzących ludzi przed słońcem morskim, który tak sprytnie ułożył się w rowie obok laboratorium biologicznego, że praktycznie nie było go widać. Niwelował cielskiem cały rów, a jego grzbiet znajdował się tuż



pod poziomem plaży. Czekałem na kilkoro kolegów i koleżanek, z którymi za chwilę mieliśmy popłynąć z wizytą na statek. Od strony Samolotu zbliżała się gwiazda polskiej geologii, dość młody i niezwykle z siebie zadowolony profesor o imieniu Krzysiek, którego z racji preferencji do nader obcisłych gatek nazywaliśmy Rajstopkiem. Jessica krzyknęła do niego po angielsku, że słoń i że trzeba go obejść. Co by nie mówić o Rajstopku, angielski zna znakomicie. Ale mimo kilkakrotnie powtózonego ostrzeżenia szedł dalej i błyskał swoim słynnym szerokim uśmiechem pełnym bardzo lśniących zębów. Wtedy zacząłem krzyczeć to samo po polsku. Dookoła kręciło się pełno turystów, zatrzymywali się zaciekawieni. Krzysiek dziarskim krokiem podszedł do rowu, po czym zgrabnie wskoczył na grzbiet słonia, poklepał go i z tym samym uśmiechem podszedł do nas. Turyści nie mogli uwierzyć własnym oczom. Reguły Traktatu antarktycznego są pod tym względem takie same jak IAATO: nie zbliżamy się do zwierząt na mniej niż pięć metrów, chyba że mamy specjalne zezwolenie związane z badaniami, które prowadzimy. Jessica o mało nie wybuchła z wściekłości. Widziałem, że chce go rozszarpać. Ja chciałem się spalić ze wstydu, a wiecznie zadowolony Rajstopek minął nas i rozsiadł się wygodnie w zodiaku, który po chwili popłynął na statek.

Parę lat później, kiedy byłem kierownikiem stacji, zdarzyło się coś równie żenującego. Przypłynął akurat jacht z polskimi żeglarzami. Zwykle prosimy gości – sami również się do tego stosujemy – żeby nie podchodzili do pingwiniska, gdy w pobliżu są turyści ze statków: żeby się nie dziwili, że ktoś chodzi w miejsca dla nich niedostępne. Znowu stałem na plaży z tłumem odwiedzających. Żeglarze wybrali się na spacer i zniknęli mi z pola widzenia. Pod koniec wizyty jeden z turystów, nie kryjąc oburzenia, powiedział, że widział grupkę ludzi spacerujących przy samej krawędzi kolonii. Jeden z nich wyrzucił na jej środek peta. Wieczorem skorzystałem ze swojej pozycji, zebrałem wszystkich i dość gniewnym tonem poprosiłem o wyjaśnienia. Zgłosił się jeden z naszych gości – jak się okazało, ówczesny komendant policji w jednym z największych polskich miast. Rzadko mi się zdarza dać komuś burę, ale wtedy głośno powiedziałem, co sędzę o łamaniu podstawowych zasad ochrony środowiska, narażaniu pingwinów na stres i zatrucie, a także o kompromitowaniu nas jako polarników i szarganiu dobrego imienia Polski. Muszę przyznać, że wziął to do siebie i nie próbował dyskutować, a ja do tej pory mam gdzieś pamiątkową plaketkę policji.

Zwłaszcza jedno ze statkowych nieporozumień, również z mojej ostatniej kierowniczej wyprawy, miało ciekawe i fajne konsekwencje. Któregoś ranka, jakoś na początku grudnia, obudził mnie telefon od naszego nocnego strażnika:

– Mikołaj, myślę, że powinieneś wyrzeć przez okno.

Mogła dochodzić siódma rano, wyjrzałem – a tam spokojnie stał sobie w naszej zatoce „Ocean Nova”, jeden z najdzielniejszych statków antarktycznej turystyki, wówczas pracujący dla Quark Expeditions. Po plaży łązili ludzie w charakterystycznych żółtych kurtkach, a do brzegu dobijały kolejne zodiaki. Oczywiście ani w rozkładzie jazdy, ani w radiowych wywołaniach nie pojawiła się żadna informacja o tej wizycie. Szybko się ubrałem i wypadłem ze stacji. Po chwili dorwałem najbliższego przewodnika. Jeszcze go wtedy nie znałem, ale był to Phil, świetny facet ze Stanów, który od lat pracował w zaopatrzeniu amerykańskich stacji na kontynencie. Rok później bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Choć stary wyga, ponoć się przestraszył mojej miny, gdy zapytałem, który to szef. Wskazał na... Lauriego Dextera, którego znałem wtedy od ośmiu lat i zawsze lubiłem. Podszedłem z chłodnym:

– Cześć, Laurie, a co wy tu, do cholery – no dobrze, było trochę mocniej; użyłem najpopu-

larniejszego w języku angielskim słowa – robicie?

On też się zdziwił.

– O, cześć, Mikołaj, a co ty tu robisz?

Są takie chwile, gdy to, co się mówi, jakoś tak przyjemnie przecieka przez zęby:

– Ja? Od miesiąca jestem kierownikiem tej stacji. Czemu do nas nie zadzwoniliście?

Laurie bardzo się stropił, a trzeba przyznać, że tropi się przeuroczo.

– Ale jak to? Kapitan Aleksiej was nie wywoływał?

No nie. Poza tym to nie sprawa kapitana, mimo że z Aleksiejem też się dobrze znaliśmy. Okazało się, że Laurie myślał, że da nam znać kapitan, kapitan pewnie nawet o tym nie pomyślał, bo takie rzeczy to obowiązek szefa, no i w końcu nikt nie zadzwonił. Powiedziałem mu, co o tym sędzę, ale szanowałem go i byliśmy przyjaciółmi, więc po chwili przeszliśmy do spokojniejszej pogawędki.

Laurie wypytywał mnie o plany, więc powiedziałem, że dotarliśmy niedawno i mamy przed sobą cały rok, ale potem chciałbym znaleźć pracę na którymś z „małych” (czyli wożących około stu pasażerów) statków. Miałem już wtedy za sobą sezon na większym statku i wiedziałem, że to robota dla mnie, ale statki im mniejsze, tym fajniejsze, bo w więcej miejsc są w stanie dotrzeć, klienci mają większą frajdę, a my mniej roboty. Niektóre miejsca w Antarktyce mogą przyjąć tylko sto osób dziennie, więc duże statki w ogóle tam nie lądują, a pozostałe mają ograniczenie do stu osób naraz. Na dużym statku wysadza się pierwszych stu pasażerów, a po godzinie zaczyna się ich partiami wymieniać, aż każdy zobaczy, co miał zobaczyć. W efekcie pasażerowie spędzają godzinę na brzegu, podczas gdy my wozimy ich przez cztery czy pięć. Mniejszy statek może wszystkich wysadzić jednocześnie, są na brzegu nawet trzy czy cztery godziny, a my mamy więcej luzu. Wizyta przebiegła fajnie, zaprosiłem Lauriego na symboliczną lufę na zgodę (albo dziesięć, już nie pamiętam), a niecały tydzień później dostałem mejla z Quark Expeditions: „jesteśmy bardzo podekscytowani, bo słyszeliśmy, że chciałbyś dla nas pracować. Jaki termin i statek ci odpowiadają?”. I tak to się dla mnie zaczęło. Poczucie winy to wspaniały motywator.

Mijał grudzień i moja pierwsza wiosna na stacji powoli przechodziła w lato. Pisząc te słowa, uświadomiłem sobie, jak naturalnie to grudniowe lato wychodzi mi spod palców. Wszyscy wiemy, że na południu poszczególne pory roku są kiedy indziej niż na naszej półkuli, ale trzeba się do tej myśli przyzwyczaić. Tę nie do końca intuicyjną prawdę najlepiej ilustruje pytanie zadane mi przez pewną pasażerkę: „Jeśli na biegunie północnym mamy styczeń, to jaki jest miesiąc na biegunie południowym?”. Miesiące są oczywiście te same (choć obawiam się, że na to pytanie z kamienną miną odpowiedziałem: lipiec naturalnie), ale lato na Antarktydzie to grudzień, styczeń i luty. I właśnie latem spod pingwinich brzuszków zaczęły wystawać małe, wiecznie głodne główki, i co jakiś czas, gdy dorosłe ptaki zmieniały pozycję, można było zobaczyć niewiarygodnie słodkie i nad wyraz pokraczne kłęбки puchu. Mały pingwin wygląda jak skrzyżowanie miniaturowego pterodaktyla z kręglem. Zaczyna się przy ziemi okrągłym brzuszkiem, nieco wyżej jest cherlawy tułówek z rachitycznymi skrzydełkami, a całość konstrukcji dopełnia mała popiskująca główka z wielkimi wyłupiastymi ślepiami. Jak to określiła któregoś dnia Stacey, jedna z mieszkanek Copy, o małym pingwinie można właściwie myśleć jako o sporym worku z małą dziurką u góry, w którą dorosli cały

czas tłoczą jedzenie. Ale mały pingwin nie ma wyglądać: mały pingwin ma jeść. Antarktyczne lato jest krótkie i trzeba zdążyć dorosnąć i się wypierzyć, zanim się skończy. Puch pokrywający pingwiniątka jest ciepły, ale nie wodoszczelny – co roku kilka nierozgarniętych pi-sklaków topi się podczas nieostrożnych zabaw na brzegu. Dopiero dorastając, zmieniają pióra na elegancki frak. A żeby dorosnąć, pingwin musi zjeść jak najęty, więc małe pingwiny właśnie to robią: żrą albo czekają na kolejne karmienie.

Lato w tej części Antarktyki nie jest może tropikalne, ale nie jest specjalnie zimno. Cała morska Antarktyka ma dużo łagodniejszy klimat niż głębia kontynentu. W ciepły letni dzień na naszej wyspie temperatura może sięgać nawet kilkunastu stopni Celsjusza, a kiedy nie ma wiatru ani chmur, słońce sprawia, że przybrzeżne skały wyraźnie parują, no i całkiem komfortowo chodzi się po dworze w samej koszulce. Ale to oczywiście wyjątki. Większość dni na Szetlandach Południowych jest spowita mgłą, często pada deszcz i zwykle wieje. A czasem wieje strasznie.

Nie wiem, jak silny był huragan, który nadciągnął ze trzy tygodnie po naszym pojawieniu się na stacji. Kilka lat później w podobny dzień zarejestrowaliśmy ponad sto porywów wiatru o prędkości ponad stu kilometrów na godzinę. Na takim wietrze można się dosłownie położyć niczym skoczek narciarski. Porywy trwają zwykle kilkanaście sekund i niemal równie często następuje między nimi podobna chwila wytchnienia. Nie da się wtedy chodzić i położenie się na ziemi jest całkiem dobrą strategią. Najsilniejszy z owych ponad stu porywów osiągnął dwieście osiemdziesiąt sześć kilometrów na godzinę. Dla porównania słynna Katrina, która zniszczyła Nowy Orlean, wiała z prędkością dwustu trzydziestu kilometrów na godzinę. Kiedy się zdarza taki wiatr, w zasadzie wszystko lata. Latają kamienie, latają zodiaki i ludzie, a jeśli ktoś pamięta ze szkoły, że pingwiny nie latają, to nie jest to do końca prawda. Widziałem latającego pingwina – tyle że śmigał bokiem i nie wyglądał na zadowolonego. Pingwiny są dość ciężkie i przysadziste, a gdy mocno wieje, kładą się i na ogół wychodzą z tego bez szwanku. Poza tym ich muskularne ciała z twardymi piórami są stworzone do obijania się o skały – w końcu dzieje się tak za każdym razem, gdy wyskakują z wody, zwłaszcza przy dużych falach. Silne wiatry są dużo bardziej niebezpieczne dla ptaków latających, takich jak wydryki i mewy dominikańskie. Bywa, że tracą kontrolę, i po takim huraganie często znajdujemy martwe ptaki roztrzaskane o skały.

Choć nie wiem, jak silny był mój pierwszy solidny wiatr, pamiętam go doskonale. Jeszcze przed przyjazdem na stację słyszałem opowieści kolegów o tym, jak przy takiej okazji sufit Samolotu podnosi się co chwila o dziesięć centymetrów i przez tę szparę wpadają do talerzy niesione wiatrem kawałki glonów. Myślałem, że zmyślają, ale na mojej wyprawie też tak to wyglądało. Jarek, stary polarnik i nasz szef techniczny – jak w jakimś tanim filmie – siedział przy stole, jadł zupę i mówił, że w takich chwilach od lat zastanawia się, podczas której wyprawy dach stacji w końcu nie wytrzyma naporu rozwścieczonego powietrza i odleci. Uśmiechnęliśmy się, wszak znajdowaliśmy się w budynku, który stał od dwudziestu pięciu lat i żadne siły przyrody się go nie miały. Na zewnątrz świat oszalał, ale my byliśmy przecież bezpieczni. A antarktyczne glony w zupie nie przeszkadzają, są jadalne i niektórzy robią z nich sałatki.

Dziesięć minut później rozległ się przerażający krzyk krzywdzonego drewna i gwałconych gwoździ, po czym jedna czwarta dachu naszej świetlicy uniosła się i znikła. Po Samolocie zaczął hulać wiatr. I tak oto w niecały miesiąc po przybyciu na stację mój nowy dom zaczął

się rozpadać na kawałki.



Portret Henryka Arctowskiego i kilka tabli, w lewym górnym rogu nasze z XXVII Wyprawy

Drzwi są na stacji na tyle ciężkie i solidne, że działają jak grodzie. Postanowiliśmy piorunem opróżnić wnętrze budynku – wszystko, co było w świetlicy, wynieśliśmy do przedsionka. Najpierw portret Arctowskiego, potem tabla, proporczyki i meble; opróżniliśmy nagle otwartą przestrzeń, zamknęliśmy drzwi i urządziliśmy w przedsionku naradę. Chyba po raz pierwszy dotarło do mnie, że Antarktyda to nie tylko pocieszne pingwiny i opasłe słonie morskie. To groźne środowisko, w którym my jesteśmy tylko gośćmi, obcymi, osobnikami nieprzystosowanymi. Byliśmy czternaście tysięcy kilometrów od domu i wyglądało na to, że nasza stacja – jedyne bezpieczne schronienie przed wściekłością potężnej przyrody – za chwilę przestanie istnieć. Omawialiśmy ewentualność odwołania wyprawy i ewakuacji, a ja czułem, że jestem coraz bardziej przerażony. Każdy poryw wiatru przypominał mi, jacy jesteśmy delikatni, że jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę żywiołów.

Wróciłem do swojego pokoju. Wyglądał jak zawsze, od huraganu oddzielały mnie podwójne drzwi, choć wiedziałem, że w środku nocy może się zdarzyć nagła wizyta zewnętrznego świata. Na szczęście huragany zwykle nie trwają zbyt długo, ponieważ ciśnienie mas powietrza przy tak silnym wietrze szybko się wyrównuje. Następnego dnia było zupełnie spokojnie. Antarktyka się wyszalała i odpoczywała, a my mogliśmy ocenić zniszczenia i zabrać się do roboty. Reszta dachu była na swoim miejscu, więc dość szybko wykluczyliśmy czarny scenariusz – opuszczanie stacji. Przy reperowaniu dachu pracowali wszyscy. Na nowo położyliśmy podwójne płyty i obiliśmy je blachą, a na koniec opasaliśmy cały Samolot stalowymi linami, które ściągnęliśmy ręcznymi wyciągarkami. Miały trzymać budynek

w jednym kawałku aż do następnej wyprawy, która dokona generalnego remontu. Po Samolocie przyszedł czas na dach hali agregatów. On też ucierpiał. Wielkie kawały blachy rozleciały się po okolicy. Następnego dnia także spędziliśmy z nitownicami w rękach.

Kilka lat później, kiedy szefowałem wyprawie, podobny wiatr zaczął przenosić z miejsca na miejsce nasze zodiaki i na nowo aranżować konstrukcję budynków. Należało wyjść i zobaczyć, co można jeszcze zabezpieczyć. Ruszyliśmy we trzech. Ja jako kierownik, Tomek jako zastępca kierownika Zakładu Biologii Antarktyki (w Warszawie mój przełożony, tam podwładny) i Michał, kierownik poprzedniej wyprawy, który został z nami na lato jako szef techniczny. Każdy z nas miał za sobą przynajmniej jedną antarktyczną zimę, znaliśmy się i przyjaźniliśmy od lat, więc mimo pomieszczenia zależności dogadywaliśmy się świetnie. Przy takiej pogodzie nasze normalne ubrania z Goreteksu w zasadzie nie zapewniały ochrony. Wiatr szalał, w powietrzu latały kamienie i lód z plaży, i jedynym ubraniem, które mogło nas osłonić, były pokrywające całe ciało jednoczęściowe kombinezony firmy Helly Hansen, rutynowo używane przez marynarzy pracujących w sztormowych warunkach. Unoszą człowieka na wodzie i zapewniają całkowitą wodoszczelność – odsłonięty jest tylko kawałek twarzy, szczelnie otulony gumową uszczelką kaptura. Założyłem kombinezon, zaciągnąłem ciężki suwak, a oczy osłoniłem narciarskimi goglami – jedyne, co wystawało, to czubek nosa. Tomek i Michał ubrali się tak samo. Spojrzeliśmy po sobie, z trudem otworzyliśmy drzwi i wyszliśmy na dwór. Trzej kosmonauci nieporadnie poruszający się wśród rozszalałych żywiołów.

Nic nie było widać. Zapadła już ciemność, śnieg i lód poziomo przecinały powietrze i nawet w tak dopiętych ubraniach wiatr wbijał się w nas tysiącem małych igiełek. Przy takiej wichurze krople wody uderzają w człowieka jak śrut. Szliśmy, trzymając się za ramiona, każdy poryw próbował nas przewrócić i co chwilę któremuś się udawało. Z trudem okrążyliśmy Samolot i ruszyliśmy w stronę hal przemysłowych, co chwilę pstrykając radiami (kiedy się naciśnie przycisk nadawania, pozostali słyszą charakterystyczny trzask), żeby w budynku wiedzieli, że jeszcze żyjemy. Nawet nie próbowaliśmy mówić – i tak by nas nie usłyszeli. Do siebie, choć staliśmy w odległości kilku centymetrów, musieliśmy krzyczeć. Sprawdziliśmy hale, upewniliśmy się, że ciężkie metalowe wrota są solidnie zamknięte, żaden traktor nigdzie nie leci i wszystkie sprzęty są bezpieczne. W końcu stanęliśmy przy hali agregatów, zastanawiając się, co dalej. I wtedy mnie olśniło.

Nie wiem dlaczego tak jest. Odkąd pamiętam, mam tak, że im jest gorzej, tym bardziej mnie to śmieszy. Nasza inspekcja trwała może ze dwadzieścia minut i na tym etapie czułem już, że kurczą mi się policzki. Z każdym porywem wiatru, za każdym razem, gdy wyjące powietrze wywracało mnie na ziemię, uśmiechałem się coraz szerzej. Świat szalał, żywioty postradały zmysły, a ja w swoim kombinezonie z każdą chwilą śmiałem się głośniej. I właśnie wtedy, kiedy zebraliśmy się w ciasnej grupce, żeby ustalić, czy jeszcze coś będziemy sprawdzać, czy już próbujemy wracać, zobaczyłem, że obaj moi koledzy też mają na twarzach najszersze z możliwych uśmiechów. Choć dostawaliśmy straszliwe ciągi, wszyscy byliśmy w euforii. Spojrzałem na Tomka i na Michała i uświadomiłem sobie, że coś jest z nami poważnie nie tak i że pewnie właśnie to coś sprawia, że wracamy tam raz za razem, nie bardzo sobie wyobrażając, że można żyć bez Antarktyki. I tak oto wśród szalejącej wichury, latających skał i fragmentów architektury narodziło się Towarzystwo Antarktycznych Pojebów (choć pewnie powinienem napisać – popaprańców, tyle że nie tak nazwaliśmy nasz mały

klub). Dobrze wiedzieć, że nie jest się jedynym wariatem w okolicy.

Na późniejszych wyprawach, o ile dopisywała pogoda i nie byłem w terenie, jak tylko mogłem, pomagałem naszym płetwonurkom badającym podwodne bezkręgowce. Najciekawsze wydawały mi się badania, które prowadziła Marta. Badała czaszołki, urocze ślimaki z rodziny czareczek. Są ulubionym pokarmem mew dominikańskich, ale też różnych podwodnych drapieżników, takich jak rozgwiazdy. Mają stożkowate muszelki i łążą po skałach w strefie pływów, zeskrobując glony swoimi tarkami, zaopatrzonymi w najtwardsze znane w przyrodzie zęby. Gdy woda odchodzi, przylegają szczelnie do powierzchni i czekają, aż wróci. Tym, co mnie u nich wzrusza najbardziej, jest gwałtowny taniec, w który ruszają, gdy próbuje je zjeść rozgwiazda – podnoszą się nieco i z całych sił trzęsą skorupką, żeby zrzucić drapieżnika.

Jeszcze na statku Marta się podśmiewała, że jadę na stację czochrać słońia. Ponoć słyszała już na to wiele różnych określeń, ale czochrania jeszcze nie. Kiedy odpowiedziałem, że nie ma w tym nic dziwnego, wszak ona płynie po to, żeby przez kilka miesięcy męczyć ślimaka, było dużo radości...

Podwodny świat Antarktyki jest może mniej znany, ale bardzo bogaty i fascynujący. Moja ulubiona historia nie została jednak odkryta na Arctowskim, tylko na drugim końcu kontynentu, na amerykańskiej stacji McMurdo. Opisał ją James McClintock w tyleż świetnej, co przygnębiającej książce *Lost Antarctica. Adventures in a Disappearing Land*. Któregoś dnia, przygotowując się do kolejnego nurkowania, McClintock zwrócił uwagę na małe czerwone kulki wesoło kłębiące się w przerębli, w której dyndał nogami. Były to morskie ślimaki z rzędu *Pteropoda*, czyli skrzydłonogich – w drodze ewolucji ich ślimacze nogi zmieniły się w małe skrzydełka, pomagające im poruszać się w wodzie. Występują w wodach całego świata – ja obserwowałem te urocze stworzonka w Arktyce. Takie małe czarne nazywane są *sea butterflies*, czyli morskie motylki, a zjadające je ślimaki, ciut większe i czerwone, to *sea angels*, czyli morskie anioły. Jest coś bardzo atrakcyjnego w tym, że anioły żywią się motylami.



Morski anioł

Ślimaki, na które patrzył McClintock, należały do rodzaju *Clione*. Potocznie określa się je obiema tymi nazwami. Faktycznie wyglądają jak małe półprzezroczyste aniołki z czerwony-

mi brzuskami i różkami. Ale uwagę płetwonurka zwróciło co innego. Uświadomił sobie, że jeśli coś jest jaskrawe i porusza się wolno, w języku przyrody zwykle oznacza to: nie jedz mnie, bo się otrujesz. Postanowił to sprawdzić.

Złapał kilka aniołków i zaniósł je do laboratorium kolegi, który badał antarktyczne ryby. Miał akwarium pełne *Pagothenia borchgrevinki*, niezbyt dużych ryb żyjących pod lodem i będących ulubionym pokarmem pingwinów cesarskich. Ryby te, nazywane przez badacza borkami, żywią się praktycznie wszystkimi drobnymi zwierzołkami z wodnej toni, najchętniej obunogami (takie małe skorupiaki) z gatunku *Hyperiella dilatata*, dorastającymi do niecałego centymetra. Kiedy borkom przedstawiono morskie aniołki, ochoczo przystąpiły do ich zjadania i zdawało się, że na tym eksperymencie się skończy. Po chwili jednak ku uciesze badacza ślimaczki były wypluwane i zadowolone z siebie odpływały, leniwie machając skrzydełkami! Ten sam scenariusz powtarzał się, kiedy w badaniu brały udział inne aniołki i inne borki, więc naukowcy doszli do wniosku, że rzeczywiście w tych uroczych maleństwach musi być coś zjadliwego. Późniejsze testy biochemiczne to potwierdziły.

Ale to nie koniec tej historii. Badacze amfipodów zauważyli, że część osobników *Hyperiella dilatata* nosi na grzbiecie dziwne czerwone kulki. Kiedy jedną z nich wyrwano z amfipodnich objęć (a trzymały mocno jedną parą odnóży), kulka rozwinęła się w morskiego aniołka *Clione*! Skorupiaki noszące na grzbiecie ślimaki praktycznie tej samej wielkości co one poruszały się wolniej o około czterdzieści procent, a mimo to trzymały je tam całymi tygodniami. Musiały coś z tego mieć. Przeprowadzono więc kolejne doświadczenie z borkami – i faktycznie. Amfipody zarówno bez więźnia, jak i z pasażerem, były zjadane natychmiast, ale te ostatnie były po chwili wypluwane! A to oznacza, że skorupiaki chwytają trujące ślimaki i noszą je ze sobą dla ochrony! Wydaje się, że biedny ślimak nic na tym nie zyskuje, ale też niewiele traci, bo w końcu odpływa całkiem zdrowy. Z tej fascynującej historii płynie jeszcze jeden wniosek: anioły stróże istnieją naprawdę, tyle tylko że w morskiej toni na końcu świata i jeśli chce ktoś być przez takiego chroniony, musi go złapać i uwięzić.

Nasz program nurkowy osiągnął w końcu skalę międzynarodową, ale trochę inaczej. Jednym z odwiedzających nas statków był ogromny „Discovery”. Jego bardzo sympatyczny kapitan zawsze schodził na ląd i chwalił się swoją znajomością polskiego. Powiedział, że miał kiedyś narzeczoną z naszego kraju i że nauczyła go zwrotu: „wielki miękki ch.j”. Tak też go nazywaliśmy. Wielki Miękki Ch. był zapalonym nurkiem i powiedział mi, że marzy o tym, żeby zanurkować w Antarktyce, nie tylko po to, żeby zobaczyć, co tam pod wodą żyje, ale też żeby wkurzyć swojego brata, też kapitana i nurka z polarnymi marzeniami. Działo się to podczas wyprawy, którą kierowałem, więc obiecałem, że przy następnej wizycie damy mu taką możliwość. I rzeczywiście, gdy „Discovery” przybył do nas znowu, Tomek i Marta zabrali Wielkiego pod wodę. Był zachwycony, a po wszystkim dałem mu honorowy certyfikat członkostwa naszego Towarzystwa – tego, o którym pisałem trochę wcześniej.

Grudzień oczywiście kończy się świętami. Nie jestem katolikiem, ale w przygotowania włączają się wszyscy i do głowy by mi nie przyszło się wyłamywać. Przecież jesteśmy jedną ekipą. Na dzień przed Wigilią odbywało się wielkie sprzątanie stacji, szorowanie podłóg i kibli, pranie obrusów, wykładzin i zasłon, słowem tradycyjnie polska przedświąteczna gorączka. Na szczęście daleko nam było do obrazu przemęczonej pani domu tkwiącej po uszy w krzywdzącym stereotypie tradycyjnej rodziny. Na powierzchni niedużo większej od spore-



go mieszkania było nas trzydzieścioro. Poza tym nie musieliśmy robić zakupów, bo jedzenie czekało... w chłodniach, a prezentów i tak nie byłoby gdzie kupić (smakołyków też). Ale gotować i piec należało.



Ołówkowa skała przy Lion's Rump

W końcu nadeszła Wigilia. Wszyscy wyjęli z szaf odświętne ubrania i usiedliśmy do stołu. Na pierwszą gwiazdkę i tak nie mieliśmy co czekać, pod koniec grudnia cały czas jest jasno. Czuliśmy się jak zastępcza rodzina, bo te prawdziwe wszyscy mieli równie daleko. Później różnie się działo. Gdy było weselej, co roku pojawiały się pomysły, żeby zaprosić Włodzimierza Puchalskiego, pochowanego na wzgórzu w pobliżu stacji. Na szczęście kończyło się na tym, że to my go odwiedzaliśmy i wznosiliśmy toast przy jego grobie.

Włodzimierz Puchalski wbrew zaleceniom lekarzy przyjechał na Arctowskiego w 1978 roku. Był już bardzo znanym i dość schorowanym osiemdziesięcioletnim fotografem. Ale dzięki powszechnemu szacunkowi, jaki go otaczał, i zasłużonej sławie udało mu się mimo słabego zdrowia dotrzeć i zrealizować ostatnie z życiowych marzeń: sfilmować pingwiny. I kiedy je realizował, umarł chyba najpiękniejszą śmiercią, jaką sobie można wyobrazić – według moich starszych kolegów 19 stycznia 1979 roku położył się z kamerą przy pingwiniej ścieżce i już nigdy nie wstał. Jego grób zdbi wykonany z brązu pomnik z okiem kamery, taśmą filmową i sylwetkami zwierząt na kolejnych klatkach.

O północy zainteresowani zwykle wychodzili „pod Maryjkę” – zbierali się przy drewnianej figurce przytwierdzonej do skały, na której stoi nasza latarnia morska, kilkaset metrów od stacji. Jak słusznie zauważył jeden z kolegów, trudno właściwie powiedzieć, kogo ta figu-

ra przedstawia, bo Maryja pewnie nie nosiła przy pasku różańca. Ale czytało się kilka ustępów Biblii, kto chciał, ten się modlił, po czym wszyscy zziębnięci wracali na dalszą część imprezy.

Moje pierwsze święta upłynęły na przygotowaniach. Drugiego dnia wyruszyliśmy na co najmniej dziesięć dni w teren, na Wyspę Pingwinów, gdzie Andrzej Tatur i jego doktorant, też Andrzej, mieli pobierać próby osadów z dna tamtejszych jezior. Ania i ja zgłosiliśmy się jako pomoc techniczna.

Wyspa Pingwinów nie jest wytworem wyobraźni Anatole'a France'a. To wulkan (chwilowo uśpiony, ostatnia eksplozja nastąpiła nieco ponad sto lat temu) u południowego wybrzeża Wyspy Króla Jerzego, na wschodnim krańcu Zatoki Króla Jerzego, na której brzegu zachodnim znajduje się nasze refugium terenowe, na Lion's Rump (czyli lwim zadku – ogromna skała na cyplu wygląda dokładnie jak tylny koniec gigantycznego sfinksa). Od Wyspy Króla Jerzego oddziela ją przesmyk szerokości około kilometra, a po drugiej stronie leży kipiący życiem chroniony obszar zwany Turret Point. Sama Wyspa Pingwinów jest dość okrągła. Ma kształt klasycznego, stożkowatego wulkanu wysokiego na kilkaset metrów. Obok głównego krateru znajduje się krater satelitarny, którego dno wypełnione jest jeziorkiem. Właśnie to jeziorko było naszym celem.



Jeden ze szczytów na Livingston Island, Szetlandy Południowe

Żeby tam dopłynąć, potrzeba stabilnej pogody. Ponieważ to sąsiednia zatoka, należy wypłynąć z naszej i skręcić na południowy wschód. Cała podróż „Słoniem Morskim” trwa około czterech godzin i trasa wiedzie w większości przez Cieśninę Bransfielda, czyli przez

otwarte morze. Bransfield to właściwie kawałek Cieśniny Drake'a, ale znajduje się na południe od Szetlandów Południowych i oddziela nas od Półwyspu Antarktycznego. To prawie sto mil otwartego oceanu. Wieje tam dokładnie to samo i tak samo jak w Drake'u, tyle że nasz stateczek z wielkimi falami radzi sobie słabo. Dlatego przygotowaliśmy zapasy, sprzęt naukowy, namioty i tak dalej, a później musieliśmy już tylko doczekać pomyślnej prognozy i gładkiego morza. Okno pogodowe musiało być na tyle duże, żebyśmy zdążyli nie tylko tam dopłynąć i rozładować „Słonia”, ale żeby ktoś miał jeszcze czas bezpiecznie wrócić na stację.



Pisklęta petreli olbrzymich potrafią skutecznie bronić się cuchnącym płynem wyrzucanym z żołądka

O ile pamiętam, szczęście nam dopisało i wyruszyliśmy w drugi dzień świąt. Nasz dzielny kuter, popierdując równomiernie, po jakichś dwóch godzinach dopłynął do ujścia Zatoki Admiralicji i wpłynął na otwarte wody. Fale były nieco większe, ale pogoda dopisywała i z radością odkrywaliśmy nowe dla nas krajobrazy. Wyspa Pingwinów była dla nas niewielkim ciemnoczerwonym stożkiem w oddali. Z lewej strony rozciągała się panorama majestatycznie górzystego wybrzeża Wyspy Króla Jerzego.



Petrele olbrzymie w pełnej krasie

Gdy po paru godzinach się dobujaliśmy, górujący nad wyspą stożek wulkanu wyglądał dużo bardziej imponująco i dużo bardziej czerwono. Całą wyspę pokrywa wulkaniczny tuf, czyli z reguły drobne kamyczki (choć zdarzają się też większe „wulkaniczne bomby”, jak określa się fachowo bryły wypluwane przez wulkan) przypominające pumeks. Większość jest ciemnoczerwona, stąd kolor wyspy, ale jest też dużo czarnych i ta anarchistyczna mieszanka barw – wraz z wystającymi spod żwiru ostrymi kawałkami skostniałej lawy i wygryzającymi się ze zbocza wulkanu gargulcopodobnymi dajkami twardszej skały – nadaje temu miejscu dość kosmiczny charakter. W tym marsjańskim krajobrazie rozstawiliśmy namioty i zaczęliśmy się przygotowywać do badań.

Od jeziora dzielił nas może kilometr. Kiedy się wspieiliśmy na krawędź bocznego krateru, z lekką konsternacją stwierdziliśmy, że jezioro wciąż jest zamrożone. Nie taki był plan. Przywieźliśmy ze sobą ponton i taczki, na których chcieliśmy go dowieźć do krateru, a potem spuścić po stromym trzydziestometrowym zboczu na wodę, i z niego pobierać próby. Zeszliśmy w głąb krateru, żeby ocenić grubość lodu. Mieliśmy połowę lata i tak jak podejrzewaliśmy, był cienki i niestabilny. Czyli ani po tym pływać, ani chodzić. Wróciliśmy do obozu na radę. Postanowiliśmy dać mu jeszcze chwilę, w nadziei, że może odsłoni więcej wody. Przez kilka następnych dni poznawaliśmy wyspę i realizowaliśmy kilka dodatkowych projektów. Liczyliśmy pingwiny i petrele olbrzymie (potężne, jurajskie z wyglądu ptaszyska, które w Antarktyce pełnią rolę sępów i często paradują umazane krwią martwych słoni lub uchatka, w których trzewia zanurzają całe głowy i szyje). Pobraliśmy też próby z innego, znacznie płytszego jeziora.

W końcu przyszedł czas na główne zadanie. Dowiezenie taczek z pontonem kosztowało nas sporo wysiłku – teren był bardzo nierówny i często podmokły. Sam transport zajął pół dnia i cała nasza czwórka dorobiła się zakwasów. Później wciągnęliśmy ponton na krawędź krateru i postanowiliśmy spuścić go na linie do coraz bardziej odsłaniającego się jeziora. Uznaliśmy, że gdzie się da, tam dopłyniemy, a na lodzie będziemy go używać jako bezpiecznej platformy. I wtedy drugi raz miałem okazję uratować komuś życie.

Pierwszy raz jeszcze w Polsce, gdy odprowadzaliśmy wypływającego na antarktyczną wyprawę kolegę. W alkoholowym uniesieniu ktoś z naszej grupki złapał za burtę odbijającego od kei statku i z głośnym „Sebastiaaaaan!!!” rozpiął się nad jesiennym Bałtykiem (marynarze z „Pioneera” do dziś to wspominają). Na szczęście zaczęła mnie wtedy łapać angina, więc odmówiłem wypicia wielu pożegnalnych kolejek i dlatego udało mi się go złapać za pasek, a drugą ręką ucześcić się Tomka i jakoś wciągnąć cyrkowca.

Nie mam pojęcia, kto zasugerował Ani, że to będzie świetny pomysł: wymyśliła, że wsiądzie do pontonu i zjedzie w nim jak na sankach po stromym i nierównym zboczku. Chyba myślała, że będziemy ją powoli opuszczać, ale wsiadła, zanim ktokolwiek złapał linę. Ponton zaczął zjeżdżać coraz szybciej ku leżącej trzydzieści metrów niżej mroźnej tafli. Widać było tylko znikającą linę. Wciąż nie wiem, jak to się stało, że zdążyłem się na nią rzucić, mocno złapać, zaprzeć się piętami o podłoże i podskakując na tyłku, zahamować tuż przed krawędzią, zanim sam runąłem w dół. Kiedy wszystko dzieje się tak błyskawicznie, czas wydaje się być z gumy i udaje się zrobić bardzo dużo. Doświadczyłem tego później jeszcze kilka razy.

W końcu ponton znalazł się na dole, my również. Przygotowaliśmy sprzęt i zaczęliśmy się trochę odpychać, a trochę wiosłować ku środkowi jeziora. Wykuliśmy w lodzie przerębel i opuściliśmy przyrząd do pobierania rdzeni z mułu. Metrowy odcinek szlamu reprezentuje kilkaset lat historii i daje, podobnie jak rdzenie lodowe, unikalną możliwość zerknięcia w przeszłość. Można przeanalizować dawną faunę, zmieniający się skład minerałów i poznać historię wulkanicznych erupcji. Nie był to więc tylko fantastyczny camping w Antarktyce; robiliśmy coś naprawdę ciekawego i cieszę się, że brałem w tym udział.

Ale piknik na końcu świata miał również fascynujące strony. Nie było jakoś strasznie zimno, może w okolicach zera. Gotowanie i ogólnie życie w takich warunkach łatwo sobie wyobrazić, bo nie odbiega zbyt od obozowej normy. Pamiętam, że jedliśmy dużo chińskich zupek zagęszczanych serem topionym. Pychotka.



Pochwodzioby w zimie wyglądają szczególnie uroczo

Jedną sprawą w pracy w terenie w Antarktyce szczególnie ociera się o superprzygodę: chodzenie na tak zwaną stronę. Oczywiście nie ma tam drzew, wyspa jest płaska i widać właściwie wszystko. Ustaliliśmy więc, że poważniejsze potrzeby załatwiać będziemy na drugim końcu naszej zatoczki, tam, gdzie lekko falisty teren zasłania przybrzeżne skały przed wzrokiem mieszkańców namiotów, choć oddaleni są raptem o pięćdziesiąt metrów. Trzeba znaleźć wygodną skałę w strefie przyływów, żeby to, co zrobimy, szybko zniknęło w morzu, zdjąć dolną część ubrania, kucnąć – i walczyć o przetrwanie. Po pierwsze, jest ślisko i łatwo można wylądować w morzu wśród własnych balasków. Po drugie, zawsze kręcą się w pobliżu pochwodzioby, nazwane tak z powodu błoniastej narośli pokrywającej ich dzioby. To wszystkożerne, dość prymitywne ewolucyjnie siewki, jedyne ptaki Antarktyki, które nie mają między palcami błon pławnych. Zwłaszcza zimą wyglądają bardzo słodko: śnieżne kulki z przyczepionym dziobkiem. Ale ich piękny śnieżnobiały puch skrywa mroczną tajemnicę. Latem ptaki te (zwane przez nas kurczakami) żywią się głównie tym, co im się uda znaleźć w koloniach pingwinów. Często są to jaja, czasem martwe pisklęta, ale na ogół wcinają po prostu pingwinie kupy. Dokładnie tak samo stołują się u słoni i uchatek, przy czym najchętniej szamają jeszcze ciepłe jedzonko prosto u źródła. Zjadają je tak szybko, jak się pojawia – dziobiąc wprost w słoniowy odbył. Swoją drogą, jak mi parę lat później powiedziała jedna z badaczek z brytyjskiej stacji Port Lockroy, dość słodkie z wyglądu pisklaki pochwodziobów są prawdopodobnie najbardziej nieszczęsnymi pisklakami świata. Jeśli wziąć pod

uwagę, co jedzą ich rodzice, a także regurgitację, czyli sposób karmienia młodych ptaków, wychodzi na to, że te cudne puchate kulki dorastają na diecie składającej się ze zwymiotowanego gówna. No i co tu dużo mówić – dla pochodziobów nie ma wielkiej różnicy, czy dostawcą pożywienia jest słoń, uchatka, pingwin czy... dzielny antarktyczny naukowiec. Trzeba zatem nie tylko nie wpaść do morza (które na koniec bardzo często czynnie podmywało mnie do czysta), ale też nieustannie bronić zadka, oganiając się od głodnego fanklubu. Jeśli nie próbowaliście zrobić kupy w Antarktyce, to co wiecie o sportach ekstremalnych?

Do tych wszystkich atrakcji udało mi się kiedyś niechcący dodać jeszcze jedną. Znalazłem sobie miejsce z pięknym widokiem na mojej ulubionej skale. Czułem się tam w miarę bezpiecznie. Opuściłem gacie i zacząłem podziwiać krajobraz, odruchowo odganiając się od natrętnych ptaszydeł. Było cudownie. Nagle z boku, jakieś sto metrów dalej, na przeciwnej krawędzi zatoczki zobaczyłem... grupkę turystów! Oni też mnie zobaczyli, bo wyraźnie skonsternowani stanęli jak wryci. Niestety, to nie była jedna z tych sytuacji, kiedy można ot tak wstać, podciągnąć spodnie i oszczędzić komuś wrażeń, więc kucąłem dalej, przyglądając im się z ciekawością. Biedacy. Przyjechali na koniec świata podziwiać ostatnią nieskażoną część naszej Ziemi, nawiązywać intymny kontakt z dziewiczą przyrodą i odkrywać krystaliczną biel śniegu i piękno lodowców. No i zapłacili za to mnóstwo pieniędzy. I nagle jedną z pierwszych rzeczy, które widzą po wylądowaniu, jest mój wielki biały zadek. Nie wiem, jak się otrząsnęli z tej traumy. W każdym razie bardzo szybko odwrócili się i poszli. Kiedy parę minut później wróciłem do obozu, moi towarzysze z ekscytacją opowiedzieli mi o dziwnych turystach: podeszli na jakieś dwadzieścia metrów do namiotów, zatrzymali się w pół kroku, a potem uciekli, chociaż zapraszano ich serdecznie, żeby się integrowali.

Czas upływał nam na różnych przygodach, aż w końcu nadszedł sylwester. Postanowiliśmy go spędzić w wulkanie. Trochę przed jedenastą zabraliśmy szampana i kilka innych butelek (miałem przeznaczoną specjalnie na tę okazję nalewkę – przed wyprawą podarował mi ją zaprzyjaźniony portier z uniwersytetu, i drugą – od mamy), na terenowy strój założyłem krawat i wyruszyliśmy. Do krawędzi głównego krateru prowadziła ścieżka wydeptana przez turystów, którzy co jakiś czas tam przyplływają. Statki na ogół kotwiczą przy drugim końcu wyspy, więc nie dostrzeżliśmy tego, który parę dni wcześniej przywiózł tych nieszczęśników. Sam wulkan ma około trzystu metrów wysokości, obwód krateru zaś nieco więcej niż kilometr. W środku zaje wypełniona wulkanicznymi skałami jama głębokości nieco ponad stu metrów, a trochę z boku wyrasta z niej dodatkowy stożek, pamiątka po ostatniej eksplozji. Zeszliśmy w głąb, po czym wdrapaliśmy się na ten stożek i ustawiliśmy butelki na skale wielkości stolika, zatykającej ten dodatkowy krater niczym solidny korek. O północy otworzyliśmy butelki, uściskaliśmy się, wypiliśmy zapasy i po jakiejś godzinie wróciliśmy do obozu. Przed Nowym Rokiem cały wulkan skąpany był w czerwonych promieniach zachodzącego słońca. Rozświetlało całą wschodnią ścianę krateru. Teraz, dwie godziny później, jego zachodnia krawędź kąpała się już w promieniach wschodu i znowu cały świat robił się czerwony. Zwłaszcza na Wyspie Króla Jerzego lodowce pokryły się bezwstydną różowością z zupełnie absurdalnymi odcieniami złota i pomarańcza. Ciemność nie zapadła nawet na chwilę. Do tej pory wspominam to jako jedną z najlepszych imprez sylwestrowych w życiu.

Nasze badania dobiegły końca i nadeszła pora powrotu na stację. Mieliśmy ze sobą dwa radia, które przed wyjazdem naładowaliśmy do pełna, i kilka zapasowych baterii. Codziennie któreś z nas wspinało się na wulkan, bo tylko z wysoka dało się połączyć z oddalonym

o trzydzieści kilometrów Arctowskim. Zameldowaliśmy, że skończyliśmy robotę i zadeklarowaliśmy chęć powrotu. Tyle że pogoda nie była rewelacyjna. Bransfield się rozhuśtał i codziennie okazywało się, że „Słoń” nie da rady po nas przy płynąć – może jutro. Jedzenia mieliśmy sporo i mnie się podobało. Dopiero później dowiedziałem się, że co najmniej jedno z nas czworga czuło, że wpada w panikę. Bo oto utknęliśmy na samotnej wysepce gdzieś w Antarktyce, bez możliwości powrotu. Ale wiedzieliśmy, że w pobliżu pływają statki i prędzej czy później ktoś nas zgarnie. Jedynym problemem były powoli kończące się baterie w naszych radiach. Któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że „Słoń” znowu próbował, ale musiał zawrócić, bo bujało za bardzo. I że mamy się nie martwić – za parę godzin w okolicy powinien się znaleźć „Suboficiel Castillio”, mały stateczek argentyńskiej marynarki, który patroluje te wody i zawsze oferuje pomoc logistyczną.

Na mocy Traktatu antarktycznego wszystkie roszczenia terytorialne są w Antarktyce zawieszane, ale do naszej części poczuwają się aż trzy państwa: Wielka Brytania, Chile i Argentyna. O ile Brytyjczycy podchodzą do tego dość luźno, oba południowoamerykańskie państwa traktują sprawę poważnie. Okolice Półwyspu Antarktycznego obsiane są kilkunastoma stacjami każdego z tych krajów, przy czym cyniczny obserwator mógłby się dopatrywać podobieństwa między stawianiem tyłu stacji a tym, co robi pies z uliczną latarnią. Część z nich to prawdziwe miasteczka: z dziećmi, kościołami, szkołami i sklepami, a także, trzeba przyznać, dość rozbudowaną działalnością naukową. Trudno się jednak oprzeć skojarzeniu z zaznaczaniem terytorium, zwłaszcza kiedy się pomyśli, że w roku 1978 Argentyńczycy przywieźli na jedną ze stacji kobietę w zaawansowanej ciąży, żeby później móc powiedzieć, że pierwszy człowiek urodzony na kontynencie to obywatel Argentyny. Chilijczycy zrobili później to samo, ale pewnie dalej plują sobie w brodę, że nie wpadli na to wcześniej. Na mocy Traktatu Antarktyka jest obszarem służącym wyłącznie nauce i pokojowi, wolnym od działalności militarnej, niemniej za techniczną obsługę wielu stacji odpowiada wojsko. No i często wygląda to tak: na jakiejś stacyjce siedzi dwunastu zawodowych żołnierzy albo ludzi z marynarki, a jedna studentka liczy pingwiny, co oczywiście już oznacza, że to stacja czysto naukowa.

Wynikiem tego obsikiwania terenu są patrolujące okolice stateczki. Co ciekawe, kiedy pływają Argentyńczycy, Chilijczycy są w domu. A później się zamieniają – Argentyńczycy płyną do Ushuaia, a w okolicach półwyspu pływają Chilijczycy. Żeby mogli sobie uważnie patrzeć na rękę, na statku chilijskim zawsze jest oficer z Argentyny – i odwrotnie.

No i taki właśnie argentyński stateczek miał się tego dnia pojawić na horyzoncie. Zabrałem najlepsze radio, ciepło się ubrałem, wziąłem trochę jedzenia, lornetkę i książkę, i usiadłem wysoko na zboczach wulkanu. Czekałem na statkowy autostop. Po kilku godzinach zerkania na horyzont zauważyłem małą szarą plamkę. Gdy po kolejnej godzinie zrobiła się nieco większa i przybrała kształt kanonierki, zacząłem ją wywoływać na kanale szesnastym przez nasze umierające radio. Było to dość emocjonujące, bo wiedziałem, że radio za chwilę padnie. Na szczęście po chwili mnie usłyszeli i swoim szczątkowym hiszpańskim wytłumaczyłem, że jesteśmy polskimi naukowcami unieruchomionymi na wyspie i fajnie by było, gdyby nas uratowali. Zgodzili się. Zbiegłem z wulkanu z dobrą nowiną i szybko zwinęliśmy obóz. Po jakimś czasie na brzegu pojawiły się czarne pontony pełne bardzo zadowolonych marynarzy – wreszcie mieli poczucie, że naprawdę się na coś przydadzą. Trochę się stropili, kiedy zobaczyli, ile mamy kłopotów, więc po krótkiej naradzie stwierdziliśmy, że część rze-



czy zabezpieczymy i zgarniemy za kilka tygodni.

„Castillio” to chyba najpiękniejszy mały okręt, jakim zdarzyło mi się płynąć. Jest stary – służył w amerykańskiej marynarce wojennej i przeżył bombardowanie Pearl Harbor. Potem walczył podczas wojny koreańskiej, aż w końcu lat sześćdziesiątych został sprzedany Argentynie. Jest stalowoszary, a wszystkie urządzenia na mostku zrobione są z wypolerowanego na połysk brązu i ciemnego drewna. Mało tego – okna na mostku to nie zwykłe okna, tylko bulaje. Całość jest wspaniale zakonserwowana. Z dużą radością spędziłem kilka godzin na pokładzie tego żywego muzeum. Z chłopakami z „Castillio” bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Później kilkakrotnie odwiedzali naszą stację, niezbyt rozsądnie mierząc się w picie z kilkoma z naszych najtwardszych techników. Na szczęście żaden z zaliczonych na tych imprezach zgonów nie okazał się permanentny.

Kiedy wróciliśmy na stację, okazało się, że ich sylwester był zupełnie inny. Jak zwykle dostali zaproszenie od naszych przyjaciół z Ferraza, ale jeden z kolegów uprzejmie stwierdził, że „z tymi czarnymi małpami bawić się nie będzie”. Pomijam ohydę rasistowskiej odzywki: takie deklaracje w tamtejszych realiach są nie tylko podłe, ale też niebezpieczne i zwyczajnie głupie, zważywszy że przy świetnie wyposażonym Ferrazie Arctowski wygląda jak zdezelowany obóz harcerski, w którym wszystko powiązane jest sznurkiem i posklejane na gęstą ślinę. Skończyło się więc na wielkiej popijawie w polskim ksenofobicznym bagienku. Nasza propozycja była zdecydowanie dużo lepsza.

W kolejnych latach jeszcze kilka razy zetknąłem się z tak żenującymi postawami. Szczególnie dobrze pamiętam imprezę z okazji święta brazylijskiej stacji. Oni jak zwykle się postawili, przygotowali górę jedzenia i morze alkoholu. Co chwilę wnoszono tace pełne smakołyków z grilla. Objadłem się i opilem po uszy, a po powrocie na stację okazało się, że jeden z kolegów jest wściekły, bo nic nie zjadł i „nigdy już do tych niegościnnych gnoi nie pojedzie”. Nie bardzo rozumiałem, więc mi wyjaśnił, że kiedy przechodzili ci z tacami, on – bo tak został wychowany – grzecznie odmawiał, więc w końcu przestali go nagabywać. Był przekonany, że w końcu na salę wjadą talerze ze schabowym i kartoflami, prawdziwym jedzeniem, ale że tak się nie stało, nie chce mieć więcej do czynienia z tymi niegościnnymi prymitywami. Ani wtedy, ani teraz nie mam ochoty tego komentować.

Inne imprezy sylwestrowe na stacji były już bardziej standardowe i bardziej towarzyskie. Jak zwykle dostawaliśmy (wraz z mieszkańcami Copy) zaproszenia na Ferraza, w związku z czym mój prywatny soundtrack antarktyczny to nie przejmujące dźwięki Vangelisa, tylko radosna samba. Wspaniale się wita nowy rok wśród potoków caipirhinii, a przy okazji wszyscy przygotowują się w ten sposób na kolejne tradycyjne szaleństwo: noworoczną polarną kąpiel. Jest zimno, ale gdy się biegnie w grupie, jest trochę łatwiej. Druga tradycyjna kąpiel przypada w urodziny. Kiedy się mieszka na stacji cały rok, urodziny prędzej czy później nadchodzą, a wtedy lepiej samemu wejść do wody: jeśli się tego nie zrobi, wrzucą nas do niej przyjaciele. Co nie znaczy, że w antarktycznym oceanie nie pływamy częściej. Pływamy, na przykład po wyjściu z sauny. Tak przynajmniej robi się w lecie – w zimie do wody jest za daleko i prościej jest z sykiem wskoczyć w zaspę śniegu przy Samolocie.

Styczeń – ciągła praca, wizyty statków, odwiedziny na innych stacjach i różne niespodziewane atrakcje – powoli przeszedł w luty. Musieliśmy ratować stację przed powodzią, odblokowując zapchany bryłami lodu odpływ zbiornika. Za każdym razem gdy udawało nam się

przepchnąć kolejną, jej miejsce zajmowały następne – zbiornik w końcu rozmarzł i cały ten lód przelewał się przez uszkodzony wał. Bryły lodu zachowują się dokładnie tak samo jak bezmyślni pasażerowie metra, którzy wchodzi do wagonu i stają w pobliżu drzwi, a następnii zatrzymują się tuż przy nich, przez co przy wejściu robi się tłok, choć środek wagonu jest pusty. Tyle że bryły lodu nie mają mózgow, im można to wybaczyć. Wszyscy na stacji pracowali cały dzień i udało nam się utrzymać drożność odpływu.

W styczniu pojawiły się też pierwsze uchatki. Uchatka antarktyczna wraz z lwami morskimi, kotikami i otariami należy do rodziny uchatkowatych, czyli fokopodobnych stworzeń pokrytych gęstym futrem, które potrafią dość sprawnie biegać, bo w odróżnieniu od fokowatych mogą podwinąć pod tułów tylne łapy. Tyle jeśli chodzi o systematykę. W kontakcie bezpośrednim to stukilogramowe, bardzo zębate skrzyżowanie diabła tasmańskiego z nadpobudliwym amstaffem na dziesięciu mocnych espresso i amfetaminie. Zwłaszcza młode samce (a to one odwiedzają późnym latem Szetlandy) tryskają energią i są nieustannie sfrustrowane brakiem seksu, bo nie mogą konkurować o samice z większymi samcami. Podobnie więc jak nastolatki każdego gatunku są nieprzewidywalne i często agresywne. Całkiem niedawno media obiegała wiadomość o uchatkach gwałcących pingwiny. To właśnie te młode samce.



Trzej muszkietierowice w wieku szczenięcym

Nas gwałcić nie próbowały, ale pogryźć chciały – ich wzrastająca z każdym dniem liczba sprawiała, że nie tylko poruszanie się w terenie, ale nawet chodzenie między budynkami stacji stawało się przygodą.

Któregoś dnia pogoda była na tyle dobra, że postanowiliśmy wrócić na Wyspę Pingwinów po rzeczy, które tam zostawiliśmy. Popłynęliśmy we czwórkę, z Waldkiem, Ruslanem i Wojtkiem, bo oni też chcieli zobaczyć wyspę. Zebraliśmy kłamoty i rozstawiliśmy namiot, cały czas uważając na bardzo nami zainteresowane uchatki, których stado kłębiło się na plaży. Uchatki są od ludzi silniejsze i lepiej uzbrojone: chodzi tylko o to, żeby się o tym nie dowiedziały. My jesteśmy wyżsi, więc kiedy dochodzi do konfrontacji, musimy je przekonać, że to my rządzymy. Pomaga klaskanie w dłonie i rzucanie głośnych wyzwisk, pomaga rozpięcie kurtki i unoszenie rąk nad głowę. Jest jeden kłopot: to wszystko słabo działa w ciemnościach, a pod koniec stycznia noce już są ciemne, więc wieczorne wyjścia na siku zawsze były bardzo emocjonujące. Nie miałem pojęcia, że za chwilę tych emocji będzie więcej.

Ponieważ lubię chłód, kiedy we czterech ułożyliśmy się w namiocie, zająłem jedną ze skrajnych pozycji. Już się położyliśmy, już słyszałem pochrapywanie współtowarzyszy i sam zasypiałem, gdy nagle poczułem, że ktoś się do mnie przytula! I nie był to żaden z osamotnionych i rozdartych polarnymi tęsknotami kolegów. Przytulało się coś z zewnątrz – i miało długość mojego ciała. Tak oto spędziłem noc z dużym samcem uchatki, który postanowił się schronić przy naszym namiocie i podzielić ze mną ciepłem. Rano, gdy wstałem, spojrzałem mu w oczy i obaj zdecydowaliśmy, że zachowamy ten incydent dla siebie. Nigdy więcej się nie spotkaliśmy i nie piszemy do siebie, ale do tej pory czasem go wspominam.

Współpraca międzynarodowa to bez wątpienia jedna z największych zalet Antarktyki. Cały świat powinien tak funkcjonować. Niezależnie od niechęci dzielącej rządy, tu, na dalekim południu, wszyscy pracują razem i sobie pomagają. Choć Związek Radziecki i Stany Zjednoczone przez większą część XX wieku oficjalnie były wrogami, radzieccy i amerykańscy naukowcy zawsze mogli na siebie liczyć. Wyspa Króla Jerzego jest chyba najbardziej jaskrawym przykładem. To tutaj jest najwięcej stacji różnych narodów. Dobrze to ilustruje obserwacja poczyniona przez jednego z polskich naukowców, który w latach osiemdziesiątych pracował na wówczas radzieckim Bellingshausenie. Stację tę od stacji chilijskiej oddziela tylko cienki strumień z małym mostkiem – długości może pięciu metrów. Wtedy Chile wciąż jeszcze znajdowało się we władzy Pinocheta i któregoś dnia nasz rodak stwierdził, że ten mostek jest „jedynym miejscem na świecie, gdzie jednym krokiem można przejść z komunizmu do faszyzmu”. Choć w tych dwóch krajach rządziły tak skrajnie różne reżimy, polarnicy i wspólnie imprezowali, i przyjaźnili się ze sobą.

Ja też korzystałem z tej międzynarodowej przyjaźni. Kilkakrotnie zdarzyło mi się spędzić parę dni u Brazylijczyków, Chilijczyków i Rosjan, ale jedyny prawdziwie służbowy pobyt na innej stacji wiązał się z moją współpracą z Argentynczykami ze stacji Jubany.

Za pierwszym razem wybrałem się tam z naszymi Węgrami, ciągnąc sanie i brnąc przez lodowiec w stylu dawnych polarnych odkrywców. Pokonanie czternastu kilometrów zajęło nam prawie cały dzień, ale w końcu i my, i sprzęt dotarliśmy do nunataka Yamana, skąd widać już Jubanego. W następnych latach, kiedy polska stacja wzbogaciła się o skutery śnieżne, ta podróż trwała około godziny i widywaliśmy się częściej. W grudniu 2005 roku, podczas mojej drugiej wyprawy, dowiedziałem się, że brazylijski statek „Ary Rongel”, zajmujący się logistyką Ferraza, płynie na Jubanego na jeden dzień i że mogę do nich dołączyć. To był dzień moich urodzin i pamiętam, jak się cieszyłem, gdy wszyscy oficerowie, wraz z kapita-

nem, odśpiewali mi po polsku uroczyste „Sto lat” – Marta, koleżanka z tamtej wyprawy, poddyktowała im cały tekst, a oni go sobie fonetycznie zapisali. W okolicach Jubanego spuścili mnie i jedną z Brazylijek (jej przyjaciel był członkiem słoniowej ekipy) na wodę i dowieźli nas do terenowego Refugio Elefante, gdzie poznałem Alejandra Carliniego, szefa całego teamu. Wizyta trwała kilka godzin, ale umówiliśmy się, że w styczniu wrócę na kilka dni, żeby pobrać próbki DNA od ich słoni. Pod koniec stycznia zebrałem swoje szczotki i próbkówki, wsiadłem na pokład „Castillia” i po paru godzinach byłem na Jubanym.

Alejandro wraz ze swoim asystentem o ksywie Negro wyruszyli akurat w teren. Mieli wrócić następnego dnia. Przydzielono mi kwaterę na podłodze w baraku płetwonurków, więc czas oczekiwania przyszło mi spędzić z ludźmi z marynarki wojennej. Początkowo zachowywali rezerwę, ale dzięki butelce żubrówki i dużym ilościom yerba mate szybko doszliśmy do porozumienia. To nie było moje pierwsze spotkanie z yerbą i umiałem już uniknąć frustracji sprzed paru lat. Wtedy wiedziałem tylko, że to popularny w Argentynie pobudzający napar, że pije się go z małej tykwy (*mate*) przez rurkę z filtrem zwaną *bombilla* (czyli pompka). Wiedziałem też, że go lubię, ale nie znałem kulturowego znaczenia tego złożonego rytuału. Pamiętam, jaki byłem podekscytowany, kiedy pierwszy raz mi to zaproponowano. Siedzieliśmy przy stole. Tykwę zaparzała zawsze ta sama osoba, a potem podawała kolejnym pijącym. Wszyscy sączyli spokojnie, aż osuszyli napar, po czym oddawali tykwę zaparzacowi, który zalewał ją ponownie i podawał następnej osobie. Kiedy przyszła moja kolej, czułem się tak, jakbym brał udział w ceremonii przejścia. Z nabożną czcią osuszyłem napar, po czym przepełniony wdzięcznością podziękowałem i oddałem mate prowadzącemu. Przy kolejnych okrażeniach każdy dostawał swoją porcję – każdy oprócz mnie. Gdy przychodziła moja kolej, napar dostawała następna osoba! Dopiero później ktoś życzliwy mi wytłumaczył, że przy yerbie nie mówi się dziękuję, bo pijący zadziękowaliby się w ten sposób na śmierć. Jeśli ktoś mówi dziękuję, to znaczy, że więcej nie chce i przy następnych kolejkach się go pomija. Zapamiętałem tę lekcję na zawsze, a yerbę uwielbiam do tej pory. Nie tylko jest zdrowsza od kawy, dzięki minerałom, antyutleniaczom i tak dalej, ale daje dużo mocniejszego, a jednocześnie łagodniejszego kopa. Działa wolniej i spokojniej, no i znacznie dłużej. To nią się ratuję, kiedy muszę się obudzić. Oczywiście aspekt towarzyski jest równie istotny. Sam fakt, że wszyscy korzystają z tej samej bombilli, jest deklaracją zaufania i przyjaźni. Argentynicy rzadko częstują cudzoziemców. Są przekonani, że uznamy to za niehigieniczne i obrzydliwe. Ale kto nie dzielił z przyjaciółmi butelki piwa?

Następnego dnia Alejandro i Negro rzeczywiście wrócili i oznajmili, że za dwa dni znowu ruszają w teren. Miałem więc dwa dni wolnego. Spędziłem je, pomagając (a pewnie czasem przeszkadzając) naukowcom z Argentyny i Niemiec w pobliskim laboratorium Dallmana. A raz wybrałem się w teren z Anją, młodą doktorantką pracującą w położonej blisko stacji kolonii nawałników Wilsona.

To niesamowite ptaki. Są mniej więcej wielkości gołębia, ale szczuplejsze, jak na Antarktykę bardzo małe. Kiedy pierwszy raz widziałem je latające po zmierzchu, musiałem sam siebie przekonywać, że to nie nietoperze. Nawałniki mają czarne ciała, białe plamki na skrzydłach i białe lusterka dookoła nasady ogona, a ich palce połączone są jaskrawożółtą błoną pławną, którą błyskają w oczy oszołomionych partnerek, zwierając i rozwierając palce. Miałem kiedyś ten przywilej, kiedy siedziałem wieczorem na zboczach krateru na Wyspie Pingwinów: jakiś chyba nieco rozkojarzony samiec zawisł mi przed oczami i zaczął do mnie

błyskać. Może to nie tylko popisy przed partnerkami, ale też odstraszenie potencjalnych wrogów. Po angielsku nazywają się Wilson's storm petrel i właśnie od nich wzięła się nazwa całej rodziny petreli. Nawałniki mają bowiem w zwyczaju unosić się tuż nad powierzchnią wody i mieszać ją łapkami, co ponoć zwabia drobne bezkręgowce, którymi się żywią. Takie polowanie wygląda jak taniec na wodzie lub spacer po jej powierzchni, a jak wiemy, takimi sztuczkami zajmował się biblijny święty Piotr. Piotr to po grecku *Petrus* – stąd nazwa całej grupy.

Nawałniki Wilsona gnieźdzą się głęboko w szczelinach skalnych gruzowisk. Anja sięgała w głąb zwałowiska i wyciągała małe puchate kulki. Potem je mierzyła, ważyła i ostrożnie odkładała z powrotem. Raz pozwoliła mi takiego pisklaka przez chwilę potrzymać. Pisklę nawałnika to właściwie dwie szare kulki, ciut mniejsze od piłeczki pingpongowej, pokryte gęstym miękkim puchem. Z jednej z kulek wystaje dziobek i po tym można poznać głowę, dalej cieniutki łącznik, czyli szyja, i druga kulka, z której wystają dwie małe łapki. Całość cicho popiskuje i jest niemożliwie słodka. A w dodatku bardzo ciepła. Kiedy z rozczuleniem osłaniałem pisklaka dłońmi przed antarktycznym wiatrem, Anja zwróciła mi uwagę, że temperatura jego ciała wynosi około czterdziestu jeden stopni Celsjusza, więc tak naprawdę go chłódzę! Niesamowite, że tak mały zwierze potrafi utrzymać w tych warunkach takie ciepło. Jego metabolizm musi być niezwykle wydajny.

Wieczory spędzałem z nurkującymi kolegami. Zwłaszcza jedna rozmowa głęboko zapadła mi w pamięć. Przepięknie ilustrowała absurdalność nacjonalistycznych uprzedzeń, a tak się składa, że w kręgach militarnych są one na ogół silniejsze niż u reszty społeczeństwa. Nie wiem, jak tego wieczoru zaczęliśmy rozmawiać o Chilijczykach, ale wiadomo, że ich stosunki z Argentyńczykami są, przynajmniej według stereotypów, umiarkowanie przyjazne. Moi gospodarze w pewnym momencie zaczęli narzekać, że „wszyscy Chilijczycy to psy”.

– Tak? A co powiesz o Alejo? – zapytałem.

Alejo to rezydent chilijskiej stacji. Mieszka tam od wielu lat i prowadzi własne turystyczne interesy jako Alfa Charlie. Wszyscy go znają i szanują, bo to właściwie miejscowa legenda, człowiek z gigantycznym doświadczeniem.

– No okej, Alejo jest w porządku, ale wszyscy inni to psy!

– Raul też? – zapytałem o szefa chilijskiej stacji, fajnego faceta.

– No doobra, Raul też jest spoko, ale reszta to psy! – zadeklarował mój rozmówca, trochę zirytowany.

Podąłem jeszcze kilka przykładów znanych i lubianych Chilijczyków z naszej wyspy, aż w końcu bardzo już zdenerwowany nurek wybuchnął. Powiedział, że nigdy tego nie zrozumie, bo to jest nienawiść trwająca od ponad dwustu lat!

– Hmm... dwustu? Ja od ponad tysiąca lat mieszkam między Niemcami a Rosją, chyba wiem, o czym mówisz...

Młodzieniec nieco się stropił, a jego oficer szepnął mu do ucha:

– Spokojnie, on jest z Europy, on to doskonale rozumie...

W końcu wyruszyliśmy do refugium. Dzień wcześniej nurkowie uprzedzali mnie, że bym uważał na naukowców. Dla porządných i męskich żołnierzy dwaj faceci znikający na kilka dni w terenie są automatycznie podejrzani. Dziwne, bo nie mieli problemu z tym, że sami stacjonowali w męskich koszarach. Uprzedzenia i refleksja raczej w parze nie chodzą.

Refugio Elefante leży nad otwartym oceanem, jakieś sześć kilometrów od stacji. Marsz przez góry zajmuje trochę ponad godzinę, a potem dochodzi się na brzeg i w oddali pojawia się mały czerwony domek na plaży.

Otworzyliśmy ciężkie zasuwę i weszliśmy do środka. Argentyńskie refugia powstawały w latach sześćdziesiątych i ich wnętrza mają surowy urok dawnych czasów. Drewniane pry-cze, okopcone drewniane ściany i półki zastawione puszkami. No i oczywiście yerba. Dużo yerby. Na początku trzeba uruchomić generator. Samotna żarówka wisząca pod sufitem roz-świetla wtedy niewielką przestrzeń ciepłym, niezbyt mocnym światłem. Dla mnie takie wną-trza to ucieleśnienie przytulności.

Grupa Alejandra od lat zajmowała się kolonią nieco większą od mojej, na oddalonej o ja-kieś dziesięć kilometrów Patelni, ale nigdy nie robili badań genetycznych i ucieszyli się, że będziemy mogli współpracować. Przełom stycznia i lutego to najlepszy moment na taki krót-ki wypad – młode samce powoli kończą linienie, a samice zaczynają się właśnie zjawiać, więc mogłem pobrać próby od przedstawicieli obu płci. Kiedy nie czochrałem okolicznych słoń, pomagałem argentyńskim kolegom w ich badaniach.



Rozkoszne fałdki u młodego samca słońa morskiego

Argentyńczycy nie tylko liczyli i znakowali słoń, ale je także wazyli. Zważenie kilkuset-kilogramowego zwierzęcia nie jest jednak takie proste. Najpierw trzeba słońa uśpić, a to spore wyzwanie. Kiedy zapytałem, jak mają zamiar to zrobić, Negro się uśmiechnął i wycią-gnął z plecaka przedziwne urządzenie skonstruowane z dwóch dużych połączonych strzyka-wek i złowrogiej, ponad dziesięciocentymetrowej, bardzo grubej igły z zatyczką. Słońe mają

grubą skórę, a pod nią dziesięciocentymetrową warstwę tłuszczu, więc żeby zastrzyk trafił w mięśnie, trzeba się przez to wszystko przebić. Wypełniliśmy strzykawkę z igłą ketaminą, a następnie, energicznie pompując tą drugą, zwiększyliśmy ciśnienie płynu. Teraz wystarczyło wybrać słonia i podać mu lekarstwo. Upatryliśmy sobie konkretną samicę, która spała niedaleko. Negro zaczął się do niej skradać. Trik polegał na tym, żeby z całej siły dźgnąć ją igłą i mieć nadzieję, że uda się sięgnąć odpowiednio głęboko. Gdyby ketamina dostała się do tłuszczu, efekty byłyby trudne do przewidzenia, bo uwalniałaby się zbyt wolno. Po podaniu zastrzyku należało jeszcze tylko ująć z życiem, bo tak brutalnie obudzony kolos nie bywa w najlepszym humorze. Tuż przy słonicy Negro wziął potężny zamach, wbił igłę aż po kraniec (przez co zatyczka przesunęła się do jej podstawy, a wysokie ciśnienie wstrzyknęło anestetyk), po czym umknął przed kłapiącą szczęką wściekłej samicy. Ten etap się udał. Mieliśmy przed sobą kolejny: zestresowane słonie zwykle uciekają do wody, a do tego nie mogliśmy dopuścić, bo kiedy ketamina zaczęłaby działać, zwierzę mogłoby się utopić. Zaczęła się korrida. Za każdym razem gdy słonica zwracała się w stronę wody, zastawialiśmy jej drogę, krzyczeliśmy i wywijaliśmy kurtkami. Nie lubię takich stresujących dla zwierząt badań, ale wiedziałem, że w gruncie rzeczy nie robimy jej krzywdy. Po dziesięciu minutach zaczęła się uspokajać, aż w końcu padła nieprzytomna. Zasłoniliśmy jej głowę dużą torbą, żeby wiatr i słońce nie uszkodziły jej oczu i żeby ograniczyć docierające do niej bodźce. Teraz trzeba było rozstawić nad pacjentką trójnog z ponad dwumetrowych aluminiowych rur, podwiesić pod nim ręczną wyciągarkę i wsunąć pod słonicę mocne pasy, na których później mieliśmy ją powoli podnieść. Zupełnym przypadkiem nasza łagodna bestia ważyła sześćset sześćdziesiąt sześć kilogramów. Pozostało jeszcze tylko pobrać jej krew. Tym razem operacja była dużo bardziej precyzyjna – Alejandro wkłuł się w jej przednią płetwę. Badając zawartość hormonów i innych wskaźników, miał ocenić jej ogólną kondycję. Niedługo potem słonica zaczęła się budzić. Zaczekaliśmy, aż w pełni odzyska przytomność, i daliśmy jej spokój.

Spędziliśmy w terenie trzy dni. Koncentrowałem się na pobieraniu prób od samców, które stopniowo znikają z plaży. Kiedy wróciłem do moich płetwonurków, z podejrzliwą niecierpliwością zaczęli mnie wypytywać, jak było. I wtedy przekonałem się po raz kolejny, że mowa ciała i gesty nie są uniwersalne. Z entuzjazmem powiedziałem, że było świetnie – i poziomo uniosłem prawe przedramię, z zaciśniętą pięścią, po czym potrząsnąłem nim na wysokości piersi w geście, który dla mnie (i dla fanów czeskiej bajki *Sąsiedzi*) oznacza tyle co klawo, żeby nie powiedzieć: zajebiście. Koledzy unieśli brwi i odsunęli się z mieszaniną niepokoju i delikatnego oburzenia. Mój hiszpański nie był wtedy zbyt dobry i nie zrozumiałem szybkiej wymiany zdań. Mówili przyciszonymi głosami. W końcu ich szef z pewną nieśmiałością zapytał, co konkretnie miałem na myśli, wykonując ten gest. Kiedy wyjaśniłem, uśmiechnął się z ulgą i powiedział, że w Argentynie też oznacza to coś fajnego, ale w nieco bardziej intymnym kontekście. Okazało się, że z entuzjazmem oznajmiłem moim gospodarzom, że spędziłem cudowne trzy dni na bzykaniu chłopaków...

Po kilku dniach znowu wybraliśmy się do refugium. Ponieważ przy samym domku płynie rwący i głęboki potok, przez który musieliśmy przejść za każdym razem gdy ruszaliśmy do roboty (i w efekcie prawie całymi dniami chodziliśmy w mokrych ciuchach), zapytałem, czy nie dałoby się zbudować jakiegoś mostka. Alejandro przypomniał sobie, że w pobliżu zbiornika, z którego Jubany czerpie wodę pitną, leżą odpowiednie deski. No i faktycznie – było tam kilka bardzo długich, szerokich i grubych, raczej spłaszczonych bali. Okazały się tak

ciężkie, że uznaliśmy, że jeden w zupełności wystarczy. Nieśliśmy go przez góry we trzech, a i tak dojście do schronienia zajęło nam parę godzin i wypompało z nas siły. Następnego dnia zdołaliśmy go oprzeć na dwóch brzegach strumienia i tak powstał pierwszy na świecie Most Przyjaźni Polsko-Argentyńskiej. Przejście przez strumień wymagało zachowania równowagi, ale przynajmniej byliśmy susi. Znowu kilka dni upłynęło mi na pobieraniu prób (tym razem od samic) i pomaganiu kolegom, a potem wróciliśmy do stacji, bo następnego dnia miał przypłynąć statek, którym chciałem wrócić na Arctowskiego.

Plany oczywiście wzięły w łeb. To jeden z bardzo wielu powodów, żeby lubić Argentynę. Nigdy nie można być niczego pewnym.

W końcu jednak statek przypłynął, ale nie od razu mogłem się zabrać. Najpierw odbyło się ustalanie nowego rekordu w pływaniu w antarktycznych wodach. Tym razem była to Argentynka bez nogi. Patrzyliśmy z okien stacji, jak płynie przez prawie dwadzieścia minut, bijąc rekord ustanowiony parę lat wcześniej przez Carolyn Cox. Tamten rekord padł w trakcie mojej pierwszej wyprawy na Arctowskiego. Carolyn była w wodzie jakieś dwanaście minut i towarzyszyła jej ekipa telewizyjna. Dopłynęła do naszej stacji i całkiem dziarsko doszła do mojego laboratorium, najbliższego budynku od tej strony stacji. Za nią telepalili się dwaj pływaczki z kamerami, którzy towarzyszyli jej na kilkuset ostatnich metrach. Kiedy pływaczka leżała na podłodze pracowni biologicznej, owinięta kocami i rozgrzewana ciałami dwóch roznegliżowanych asystentek, rozmawiałem z szefową ekspedycji. Miała już serdecznie dosyć ciągle stawiającej żądania ekipy. Bardzo się ubawiła, kiedy jej przetłumaczyłem cichy komentarz jednego z moich starszych kolegów: „Tak, tak... ale jak na naszej wyprawie doktor się kompletnie najebał, to pływał pół godziny i ledwo udało nam się go namówić do powrotu!”. Bicie rekordu na dopingiu i bez międzynarodowych komisji zapewne się nie liczy, bo oficjalnie to Carolyn Cox dzierżyła go przez kilka kolejnych lat, aż do tego dnia na Jubanym.

W końcu wsiadłem na statek i po paru godzinach wróciłem na naszą stację. Nieco ponad rok później Alejandro umarł w Buenos Aires na zawał serca, a stacja Jubany zmieniła potem nazwę na Carlini – w uznaniu dla jego wieloletniej pracy.

Wraz z lutym zjawiają się pierwsze gwieździste noce. Wcześniej nie bywa wystarczająco ciemno. Widać wprawdzie czasem na niebie różne światelka, ale większość z nich to planety, a całość nie przebija się przez letni półmrok. Dopiero w lutym można wyjść w nocy przed stację i podziwiać gwieźdzny przepych półkuli południowej, ze znajomym, choć odwróconym Orionem. Na plażach pojawia się coraz więcej samic słońi, z każdym dniem mamy też dookoła więcej uchatek.

Pisklaki pingwinów są już wyrosnięte i tłuste. Na tym etapie trzymają się razem, zwykle pod opieką jednego lub dwóch dorosłych, zarówno dla bezpieczeństwa, jak i dla towarzystwa. Choć są duże, nie umieją się jeszcze bronić przed atakami wydrzyków. Obserwujemy wtedy rozdzierające sceny powolnej i bolesnej śmierci pisklaków zadziobywanych i zjadanych żywcem przez wrogów. Ale jest też dużo radości. Czasem pingwiniątka są tak grube, że nie mają siły stać. Zwłaszcza pisklęta pingwinów białobrewych (Adelki, choć kiedy są dorosłe, są moimi ulubieńcami, w dzieciństwie wyglądają jak tłuste brudne kleszcze) sprawiają, że trudno nie parskać śmiechem. Mieszkańcy Copy muszą je łapać, żeby im założyć opaski na skrzydła, więc zawsze przychodzimy im pomóc ganiać i otaczać sieciami puchate grubasy



na krótkich nóżkach. To prawda – małe pingwiny są bardzo miękkie. Kiedy im nie przeszkadzamy, plaża przypomina krajobraz po ciężkiej imprezie – na każdym kamieniu leży malowniczo udrapowany tłuszczutki pisklak, zbyt gruby, żeby chodzić.



Pisklę pingwina białobrewego chłodzi się i demonstruje wyrostki na języku, dzięki którym łatwiej mu połykać zdobycz

Kiedy małe pingwiny zaczynają zmieniać puch na dorosłe upierzenie, Adelki znów przejmują moją sympatię. Trudno zachować powagę na widok zadziwiającego zróżnicowania ich fryzur, od irokezów po eleganckie sędziowskie peruki i plerezy rodem z NRD-owskiego boiska. W końcu, jakoś w połowie lutego, przychodzi dzień, kiedy Adelki nagle znikają. Jednego dnia kolonia huczy życiem, tysiące pingwinów biega, linieje, umiera, kłóci się i czesze pióra, a następnego cały obszar przypomina pole bitwy pokryte odchodami, martwymi i umierającymi ptakami, wydeptane, opustoszałe i trochę przerażające. Całe Adelki. Pingwiny białobrewe, zwane też pingwinami Papua albo Papuasami, znikają stopniowo i przez cały rok można spotkać małe grupki liniejących lub po prostu odpoczywających pingwinów tego gatunku. Trzeci z naszych pingwinów, pingwin maskowy, zwany często policjantem – ze względu na czarny pasek pod brodą, który nadaje mu wygląd butnego oficera w hełmie – znika podobnie jak Adelki, ale nie w aż tak zgranej fali emigracji.



W marcu wraca „Polar Pioneer” i ostatni letnicy opuszczają stację. W trakcie mojej ostatniej wyprawy na Arctowskiego z początkiem marca zjawiała się grupa pięciu nowych kolegów, którzy mieli spędzić z nami zimę. Zwykle zimownicy przyplývają na początku lata, ale nasza wyprawa pod wieloma względami okazała się wyjątkowa. Ich pobyt zaczął się dosyć dramatycznie. Już w pierwszej połowie marca usłyszeliśmy w radiu wołanie o pomoc. Jeden z naszych brazylijskich kolegów, sierżant Laercio z „Ary’ego Rongela”, zaginął na morzu. O siódmej rano był jeszcze na pokładzie, o dziewiątej już nie i nikt nie wiedział, co się stało. Przez pierwszych parę godzin łudziliśmy się, że żyje, ale następne dni cała wyspa spędziła na intensywnych poszukiwaniach jego ciała. Bez skutku. Trudno zapomnieć, jakie emocje towarzyszą wielogodzinnemu pływaniu zodiakiem i przeszukiwaniu wybrzeża – to amplituda napięcia: natknemy się na odziane w pomarańczowy kombinezon ciało czy nie.



Pingwiny maskowe

Śmierć jest w Antarktyce obecna na każdym kroku, czyha pod skórą codziennych zajęć. Podczas każdej z moich czterech wypraw na stację ktoś ginął. Raz była to brytyjska płetwonurka na stacji Rothera, która postanowiła wejść do wody tylko z maską i rurką, bez sprzętu, i została wciągnięta przez lamparta morskiego. Na jej ciele nie znaleziono poważnych obrażeń, więc fokka na pewno nie próbowała jej zjeść. Trudno ocenić, czy był to rzeczywiście atak, czy próba zastraszenia, czy brutalna zabawa, ale jej utonięcie stało się pierwszym potwierdzonym przypadkiem śmierci w wyniku bezpośredniego działania któregoś z antarktycznych zwierząt. Podczas innych wypraw ginęli Argentyńcy (dwóch wielokrotnych zi-

mowników wracało na skuterze ze stacji urugwajskiej i zamiast skorzystać z wyznaczonej trasy do szczytu lodowca i z powrotem, postanowiło zrobić sobie skrót i pojechać w poprzek; wpadli do zasypanej śniegiem szczeliny, której by nawet nie zauważyli, gdyby jechali ustaloną trasą), Koreańczycy (po zimowaniu przywozili następną ekipę zodiakiem, ale kiedy jechali na pusto, trochę przeszarżowali i wiatr odwrócił ich łódź), no i właśnie Laercio, wilk morski i płetwonurek. Wszystkie te śmierci miały jedną cechę wspólną: dotknęły doświadczonych polarników, którzy mogli się poczuć zbyt pewnie. Z Antarktyką nie da się wygrać. Kiedy ktoś zbyt mocno ufa swojemu doświadczeniu i sprzętowi, wykazuje się arogancją, a ta bywa karana śmiercią. Ten jeden raz, kiedy i ja otarłem się o śmierć, nastąpił na Lodowcu Ekologii, który przekraczałem w życiu kilkadziesiąt razy.

Opisałem już tę przygodę w swojej części *Pojechanych podróży*, ale pokrótce ją tutaj przypomnę. Wracałem z kilkudniowego pobytu w terenie. Był październik, a ja szefowałem stacji i pod koniec wyprawy miałem sporo organizacyjnej roboty. Poza tym było zimno, mokro i do domu niedaleko, więc chciałem się jak najszybciej znaleźć na stacji. Kiedy zwyczajowo wezwałem przez radio Arctowskiego, żeby ktoś po mnie przyszedł (musiałyby to być dwie osoby, bo z reguły nie chodzi się po lodowcach samotnie), dowiedziałem się, że wyjdzie nasz najmłodszy kolega, nazwijmy go Krzysiem. Niecałą godzinę później Krzyś mnie wezwał i powiedział, że brazylijscy goście, których ze sobą zabrał, są na lodowcu pierwszy raz i chcą już wracać, więc nie może po mnie przyjść i muszę tę noc spędzić na Copie – drzwi stacji, nawet opuszczonej, nie są zamykane na klucz, na wypadek gdyby ktoś potrzebował schronienia. Alternatywą byłoby wezwanie zodiaka, ale to oznaczałoby pracę dla kilku osób (samo opuszczenie łodzi na wodę wymaga użycia traktora i specjalnego slipu). Poza tym na wodzie bujało i nie chciałem nikomu zawracać głowy. Z bocznej moreny – górującej nad skurczoną obecnie sylwetką lodowca – dokładnie obejrzałem przez lornetkę trasę i stwierdziłem, że widać wolną od śniegu drogę. Śnieg jest niebezpieczny dlatego, że zasłania szczeliny. Zdecydowałem się więc iść blisko czoła lodowca, gdzie wprawdzie szczelin było więcej, ale wszystkie świetnie widoczne. Łatwo dało się przejść przez labirynt tych oszłamiająco błękitnych czeluści, albo je omijając, albo co mniejsze przeskakując. Dzięki rakom dobrze trzymałem się lodu i w dobrym nastroju dosyć szybko zbliżałem się do naszej strony. Lodowiec nie jest płaską taflą, jak zamrożone jezioro. Szedłem w poprzek i trasa wiodła najpierw pod górę, potem, w środkowej części, po płaskim, żeby w końcu spuścić się po stronie polskiej stacji. Wspiąłem się na środek lodowca, minąłem go i zacząłem już schodzić, kiedy natrafiłem na płachtę śniegu (akurat w miejscu, którego nie mogłem zobaczyć przez lornetkę) o średnicy może dwudziestu metrów. Z obu stron miałem szerokie szczeliny, więc nie mogłem obejść przeszkody. Zanim postawiłem kolejny krok, testowałem śnieg, mocno wbijając kijki. Udało mi się dojść do nieco ponad połowy śnieżnego pola, gdy nagle utknąłem. Stałem na solidnym lodzie, ale gdziekolwiek wbiłem kijki, zagłębiały się w przepaść. Nawet nie będę próbował opisać, co czułem – śnieg kończył się niecałe dziesięć metrów przede mną i widziałem solidną lodową ścieżkę łagodnie dochodzącą do podnóża lodowca. Nie miałem jednak wyjścia: musiałem wrócić po własnych śladach. Wkrótce doszedłem do szczeliny, przez którą przeskoczyłem dziesięć minut wcześniej. Tylko tym razem musiałem ją przeskoczyć pod górę, a to już było trudniejsze. Przerzuciłem plecak, a on się uprzejmie nie zsunął. Zebrałem siły, rozpędziłem się, skoczyłem... i zabrakło mi kilku centymetrów. Czubki raków były na drugim brzegu, ale reszta mnie nieuchronnie zmierzała w przepaść. Próbowałem

jeszcze rozpaczliwie złapać się śliskiej powierzchni, ale lód wyślizgiwał mi się spod palców. Z niedowierzaniem stwierdziłem, że za chwilę tak samo wyślizgnie się ze mnie życie. Miałem tylko nadzieję, że stanie się to szybko – perspektywa leżenia dwadzieścia parę metrów niżej z połamanymi kończynami zupełnie mi się nie uśmiechała. Co dziwne, do ostatniej chwili czułem, że to nie mnie się to przydarza. Zupełnie jakbym oglądał film. Nie zdążyłem się porządnie przestraszyć.

Nie leciałem długo, jakieś pięć metrów. Wylądowałem na śnieżnym zatorze, który jakimś cudem utrzymał impet mojego ciała i uderzenie ciężkich butów z rakami. Żyłem. Musiałem tylko wymyśleć, jak stamtąd wyjść. Po obu stronach, blisko siebie, wznosiły się pionowe lodowe ściany. Na szczęście mogłem do nich dosięgnąć rękami i nogami, więc rozpięty między nimi jak pajacyk zacząłem się powoli wspinać w górę, mocno wbijając raki i rozpychając się rękami. Po paru minutach doszedłem do powierzchni. Tylko co dalej? Widziałem świat i wisiałem dość bezpiecznie, choć ze świadomością, że mam tylko jedną szansę. Na śnieżny zator nie mogłem drugi raz liczyć.

Uznałem, że najlepiej będzie przenieść obie ręce na jedną stronę, a nogi wbić w drugą, wyższą ścianę. Wspiąłem się jak najwyżej i jak najmocniej zgiąłem nogi. Musiało to wyglądać zabawnie. Nagle z lodowca wychynął mój wypięty tyłek, a chwilę później ja sam wyfrunąłem spod lodu jak pingwin wyskakujący z wody. Jak łatwo zgadnąć, miałem sporą motywację, więc odepchnąłem się naprawdę mocno. Przeleciałem kawałek, po czym zacząłem się szybko ślizgać po łagodnym zboczu. Na tyle szybko, że coraz bardziej zbliżałem się do kolejnej szczeliny. Na tym etapie śmiałem się już głośno. Pewnie trochę dlatego, że byłem w euforii, cieszyłem się, że jednak żyję, ale głównie dlatego, że w wyobraźni widziałem, jak wpadam głową w dół w kolejną dziurę i ginę najdurniejszą śmiercią świata. Ze wszystkich sił hamowałem rękami i w końcu, gdy moja głowa minęła krawędź drugiego z moich potencjalnych grobów, udało mi się zatrzymać. Podniosłem się. Byłem na powierzchni, żyłem i pewnie stałem na nogach – tyle że po złej stronie szczeliny. Znowu musiałem przeskoczyć tę, z której przed chwilą wylazłem. I znowu pod górę. Nieco bardziej starannie wyszukałem trochę węższy punkt, wziąłem rozbieg, skoczyłem – i tym razem cały znalazłem się tam, gdzie chciałem. Podniosłem plecak i wróciłem na Copiańską stronę lodowca, i teraz już potulnie poprosiłem kolegów o wysłanie łodzi. O mały włos zbytnia pewność siebie wyprawiłaby mnie na tamten świat. Z Antarktyką nie da się wygrać, ale przy odpowiedniej dawce pokory i szacunku dla przyrody można z nią żyć, na jej prawach. To, że można się tam nauczyć pokory, jest jedną z tych cech, które w Antarktyce cenię najbardziej. Przyroda jest jedna – tutaj tylko bardziej potężna i bezwzględna. Dobrze o tym pamiętać również po powrocie do domu.

Któregoś lutowego dnia podczas mojej pierwszej wyprawy wypłynęliśmy „Słoniem Morskim” na zatokę, żeby pobrać próby z dna. Wojtek Majewski, nasz kierownik, badał okrzemki, więc spuszczaliśmy specjalne urządzenia na głębokość kilkuset metrów i zbieraliśmy próby osadów pełne ich pancerzyków. Wiązało się to z kilkugodzinnym postojem w jednym miejscu – spuszczenie i wciąganie urządzeń zajmuje sporo czasu. Wypływając na zatokę, widzieliśmy w oddali dwa wieloryby. Nie tyle nawet same wieloryby, ile chmury ich oddechów i czarne kształty pod spodem. Po kształcie fontanny można z dużym prawdopodobieństwem rozpoznać gatunek wieloryba, ponieważ ich nozdrza mają różne kształty i różnie są ustawio-

ne. To, co widzieliśmy w oddali, było dość okrągłe i krzaczaste, a to oznaczało, że mieliśmy do czynienia z humbakami.



Humbak wyskakuje z wody

Podobnie jak wiele innych gatunków humbaki co roku migrują zimą do cieplejszych wód, gdzie się rozmnażają, po czym latem wędrują w rejony polarne, żeby się objeść na zapas. Latem ich liczba stopniowo wzrasta i z przyjemnością stwierdzam, że w ciągu czternastu lat, które przepracowałem w Antarktyce, z roku na rok widzę ich coraz więcej. Powoli odbudowują populację, przetrzebioną przez wielorybników, którzy działali w okolicznych wodach aż do lat sześćdziesiątych XX wieku. Ze względu na wzorzec migracji, choć wieloryby te występują na całym świecie, populacje z półkuli północnej i południowej praktycznie się nie spotykają, choć znane są odosobnione przypadki przekraczania równika i dołączania do pobratymców pochodzących z drugiej strony. Każdy chyba zna niesamowite dźwięki humbaczych pieśni. Co ciekawe, wieloryby z danego rejonu zwykle śpiewają tę samą pieśń, składającą się z półgodzinnych, powtarzalnych fraz, które co roku są nieco inne. Można powiedzieć, że zwierzęta te mają przeboje sezonu, i gdyby istniała baza danych zawierająca wszystkie ich pieśni, dałoby się rozpoznać, kiedy i gdzie zostały nagrane. Nie wiemy dokładnie, o czym wieloryby rozmawiają, ale wiemy, że są inteligentne, towarzyskie i zdolne do przeprowadzania skoordynowanych działań. Te, które obserwowaliśmy, były zajęte żerowaniem przy zastosowaniu techniki bąbelkowych sieci: łowca pływa pod ławicą kryla lub małych ryb i wypuszcza bąbelki, które, dryfując ku powierzchni, tworzą rodzaj kurtyny, i okrążają zdobycz, zbijając ją w ciasną, łatwiejszą do połknięcia kulę. W Antarktyce zwykle biorą w tym udział dwa lub trzy osobniki. Znacznie bardziej zaawansowana wersja tej techniki

znana jest z Alaski, gdzie nawet siedem humbaków przeprowadza precyzyjnie zorganizowany atak – zamieniając się przy tym rolami. Każdy z uczestników wypuszcza bąble, innym razem emituje głośne dźwięki, które dodatkowo płoszą i koncentrują zdobycę w jednym miejscu, po czym zajmuje miejsce wśród oczekujących przy powierzchni biesiadników.

Kiedy opuszczaliśmy sprzęt, wieloryby były daleko. Po jakimś czasie zaczęły się zbliżać, żeby nas dokładniej obejrzeć. I tak się zaczęło spotkanie, które opisałem we wstępie do tej książki.

W marcu, kiedy „Polar Pioneer” przywozi trochę zapasów i zabiera letników, należy się przyzwyczaić do pracy w zredukowanej ekipie. Załoga Copacabany hucznie się pożegnała i odpłynęła do cieplejszych krajów. Podczas pierwszej wyprawy zostało nas, łącznie z kucharzem, trzynaścioro. Później już nie było takich luksusów i każdy musiał odbębnić w kuchni swoje. Na szczęście jedzenia na stacji jest dużo, a jedyne, czego brakuje, to świeże warzywa i owoce. Dawniej mieliśmy szklarnię, więc co jakiś czas na stół trafiały własnoręcznie wyhodowane ogórki i pomidory. Swoją drogą nie zapomnę smaku pierwszego od trzech miesięcy pomidora: nie miałem pojęcia, że tak je lubię. Ponieważ każdy z dyżurnych stara się zabylić, mejle wypełniają się gorączkowo wymienianymi przepisami z rodzinnych konsultacji.

Większość pingwinów wróciła do morza, słoni też było mniej, ale za to gdzie nie stanąć, tam uchatka. W wodach zatoki częściej widywaliśmy wieloryby. Zima powoli dawała o sobie znać. Zaczęły się coraz intensywniejsze i częstsze sztormy.

W marcu kończy się też sezon turystyczny na Antarktydzie, więc wpadają się pożegnać ostatnie statki. Zwyczajowo dostawaliśmy od nich pudła świeżych owoców. Od tej pory wszystko będzie już puszkowane lub mrożone. Dlatego gdy 1 kwietnia 2003 roku odezwał się przez radio polski jacht „Stary”, wszyscy myśleli, że to ja dla żartu nadaję z kibelka. Ale nie – parę godzin później pojawił się przed naszą stacją jacht pełen młodych żeglarzy ze Śląska, wraz ze słynną podróżniczką Moniką Witkowską, ówczesną szefową działu turystyki w „Gazecie Wyborczej”. Fajnie było na kilka dni przerwać narastającą monotonię i gościć ich na stacji. Sporośmy wypili i dużo przegadali, a z kilkoma spośród członków ekipy do tej pory utrzymuję kontakt. Wtedy, gdy do nas przypłynęli, byli najmłodszą załogą w historii Antarktyki, z najmłodszym kapitanem. Ale w końcu i oni musieli odpłynąć, żeby zdążyć przed szybko zbliżającą się zimą. Naprawdę zostaliśmy sami.



Młoda uchatka przyszła się przywitać

Wkrótce potem zatoka częściowo zamarzła. Najpierw woda zgęstniała i pojawiły się w niej małe igielki lodu, później w gęstej śryży zaczęły powstawać okrągłe placki z podwiniętymi brzegami (po angielsku zwane *pancake ice*, lód naleśnikowy), które w końcu zmieniły się w solidne kry. Zatoka Admiralicji rzadko zamarza na tyle, żeby dało się przejść po lodzie do Ferraza, ale pływać po niej też nie można, więc częstotliwość wizyt u naszych sąsiadów w zimie znacząco spada.

Wraz z rosnącą izolacją mogą się nasilać tarcia. To niesamowite, jakiego znaczenia nabierają drobne nieporozumienia czy różnice, do jakich rozmiarów mogą się rozdmuchać najmniejsze duperele. Kiedy w zwykłym życiu spotykamy kogoś, kto jest nieuprzejmy lub z kim zupełnie się nie zgadzamy, możemy go nigdy więcej nie spotkać. Na stacji żyje się w małej grupie i mimo ewentualnych konfliktów trzeba razem pracować, a czasem nawet powierzać sobie życie. Z jednej strony wszyscy rozumieją, że muszą być bardziej cierpliwi i wyrozumiali, a z drugiej presja i stres są znacznie większe i nie ma jak przed nimi uciec.

Dlatego takie drobiazgi jak to, że wspomniany Krzyś nie umiał rano mówić dzień dobry, dla niektórych nabierały niesamowitego znaczenia. Uważałem go za niewychowanego, zarozumiałego smarkacza i tyle – z wielu związanych z nim problemów bucowatość była najmniejszym. Ale niektórzy, zwłaszcza emerytowani wojskowi, z trudem znosili tak oczywiste uchybienia. Jeszcze gorszym przestępstwem okazało się coś, co w innych okolicznościach skwitowano by najwyżej wzruszeniem ramion i kąśliwą uwagą. Na stacji o mało nie skończyło się zawałem jednego ze starszych członków ekipy: w niedzielę, kiedy każdy dba tylko o siebie, Krzyś nie umył patelni i dwie godziny po zjedzeniu tego, co sobie upichcił, leżał na



kanapie, majtając nogami. Staszek, który całe życie spędził w mundurze, nie mógł tego znieść. Powiedział mu, że potrzebuje patelni, raz, powiedział drugi, i w końcu o mało nie pękł ze złości. W jego świecie nie było miejsca dla aroganckich gówniarzy. Kiedy zobaczyłem, co się dzieje, jako kierownik musiałem wydać polecenie służbowe. Krzyś zwlókł się z kanapy z miną świadczącą o tym, że straszną nam robi łaskę, i patelnię umył. Cała ta historia brzmi absurdalnie, ale wtedy o mało nie doszło do rękoczynów.

Krzyś jest dla mnie koronnym dowodem na to, że nie każdy się nadaje na wyprawę. Nie był ani specjalnie głupi, ani nadzwyczajnie leniwy (przynajmniej jeśli chodzi o jego obowiązki, nie te wynikające z działań wspólnych), ale podejście miał bardzo niedojrzałe. Kiedy wszyscy zbierali się wieczorem, żeby oglądać filmy, on się nie zjawiał, bo „oni nie są jak moi koledzy ze studiów i ile razy można słuchać kombatanckich opowieści emerytów”. Trudno sobie wyobrazić durniejszy komentarz. Przecież właśnie ta różnica sprawia, że ludzie stają się interesujący. Przecież inaczej nie mógłbym się zaprzyjaźnić z kucharzem ze Śląska albo z emerytowanym kierowcą czołgu. Poza tym bez nich ani ja, ani on nie moglibyśmy prowadzić badań.

Krzyś miał też inny problem. Kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, gdy w marcu dołączył do załogi, podszedł do mnie i oznajmił:

– Panie kierowniku, melduję, że mam ADHD i dwa miesiące temu miałem wstrząs mózgu, więc nie mogę ciężko pracować, bo boli mnie głowa.

Czułem, że to nie jest dobra wróżba. Myślałem o tym parę miesięcy później, gdy biegał w obwisłych gaciach po świetlicy w tę i z powrotem, skandując: „Zet Be A! To kurwy i pedały!”. I tak prawie dwie godziny. Gdy zapytałem uprzejmie, do której z grup pracowników ZBA (Zakładu Biologii Antarktyki PAN, naszego pracodawcy) siebie zalicza, nie umiał odpowiedzieć. Ale miny naszych starszych kolegów były, jak to się w mediach społecznościowych określa, bezcenne.

Problem z takimi Krzysiami polega na tym, że w pojedynkę potrafią zepsuć atmosferę w grupie. Z naszym wszystko się w śmierzący sposób skulminowało w pewną październikową sobotę, gdy późnym wieczorem, po dniu pełnym wzajemnych złośliwości, nasz młodzieniec dostał parę razy w twarz od jednego z mechaników. Fatalnie, bo wyprawa zbliżała się do końca i było już prawie pewne, że udało nam się tego uniknąć. Fatalne było również to, że Krzyś został na stacji na kolejne lato i obrobił nam tyłki tak, że po paru miesiącach dowiedziałem się, że pobiliśmy go zbiorowo, a życie uratował mu chilijski helikopter. Konfabulacje niestabilnego dzieciaka pokryły smrodem moje ostatnie wspomnienia ze stacji. Uważam za skandal, że uczestnictwo w wyprawie nie było w tamtych czasach uzależnione od psychiatrycznej ewaluacji. Teraz chyba wprowadzono odpowiednie testy. Inne narodowe programy od lat mają odpowiednie procedury weryfikacyjne. Ich koordynatorzy zdają sobie sprawę, że w Antarktyce dużo bardziej niebezpieczne rzeczy dzieją się czasem w ludzkich głowach niż wokół nich. Na przykład Koreańczycy co roku przed wyprawą wyjeżdżają na obóz szkoleniowy. Jeden z wieczorów spędzają na obowiązkowym pijaństwie. Nawet ktoś, kto nie pije, tego dnia upić się musi. Jeden z uczestników tylko udaje i odnotowuje zmiany zachodzące w zachowaniach pozostałych. Choć to ekstremalny przykład, wolą się zabezpieczyć, bo nigdy nie wiadomo, co może się na stacji wydarzyć.

Krzysia widuję na ulicy. Możliwe, że teraz, parę lat później, jest zrównoważonym, rozsądnym i fajnym człowiekiem. Ale wtedy, tuż po studiach, nie powinien był się znaleźć na sta-

cji. Mogło się skończyć dużo gorzej.

Oczywiście jednym ze stresujących elementów życia na stacji jest dla niektórych frustracja seksualna. Kiedyś pewien dość znany psycholog i szanowany profesor katolickiej uczelni, uczestnik jednej z wypraw z początku lat osiemdziesiątych, nieoficjalnie powiedział tak: „Był wśród nas taki młody żonkoś, tuż po ślubie. Biedny, mało nie umarł od wiecznej masturbacji. Normalnie cień człowieka z niego został, wykończony, z podkrążonymi oczami...”. Ten sam profesor opowiadał mi również o pewnej gumowej lali, która trafiła na stację i znajdowała się pod opieką kierownika wyprawy. Lala była w różnych celach wypożyczana kolegom, ale pierwszy musiał się zgłosić do lekarza z obrażeniami genitaliów – podczas użytkowania całkiem niespodzianie doznał urazu. Po inspekcji okazało się, że w głównym anatomicznym zagłębieniu dmuchanej atrakcji znajduje się sztywna wizytówka ówczesnego dyrektora ZBA z ręcznym dopiskiem: „I tak byłem tu pierwszy...”.

W trakcie czterech wypraw nie zauważyłem u nikogo, włącznie z sobą samym, aż tak ekstremalnych objawów, ale temat robienia sobie dobrze często się pojawiał w bardziej lub mniej żartobliwych kontekstach. Czasem dochodziło nawet do wymiany pomysłów i doświadczeń, choć nie wiem, czy ktokolwiek traktował to praktycznie. Ponoć argentyńscy marynarze mają swoją strategię: trzeba pomalować paznokcie jednej dłoni na czerwono i przełożyć ją pod prawym udem. Wtedy operatorowi wydaje się ponoć, że jest to dłoń pięknej i zmysłowej kobiety... Nie wiem, nie próbowałem. Podobnie jak nie próbowałem przepisu chłopaków ze „Starego”: opisali nam któregoś wieczoru metodę „na cudzaka”. Należy otóż siedzieć na swojej dłoni tak długo, aż zdrętwieje i straci czucie, dzięki czemu później, w trakcie samych manewrów, ma się wrażenie, że robi to ktoś inny...

Swoją drogą chyba nikt nie zajął się na poważnie zachowaniami homoseksualnymi na stacjach polarnych. Nie wydaje mi się, żebyśmy się kiedyś mieli dowiedzieć czegokolwiek o dawnych wyprawach – z heroicznej epoki odkryć. Nawet publikacja odkrytych w trakcie słynnej wyprawy Scotta w latach 1910–1913 szczegółów dotyczących życia seksualnego Adelek przeciągnęła się o dziewięćdziesiąt siedem lat. Dopiero w 2012 roku notatki doktora George’a Levicka, lekarza jego wyprawy, ujrzały światło dzienne. Wcześniej informacje o prostytutce za kamienie, gwałtach i zachowaniach homoseksualnych wydawały się brytyjskim wydawcom zbyt drastyczne nawet dla naukowców. Teraz wprawdzie wiemy, że homoseksualizmu nie stwierdzono tylko u tych gatunków, u których go nie szukano, ale nadal są tacy, którzy uznają podobne zachowania za nienaturalne i uwłaczające moralności. Sama sugestia, że bohaterowie publicznej wyobraźni, dzielni polarnicy sprzed stu lat mogli się czymś takim zajmować, nie może liczyć na publiczną akceptację. Tymczasem jestem przekonany, że coś musiało się tam dziać. W końcu nawet kodeks prawny brytyjskiej marynarki wojennej z XIX wieku – kiedy sodomia była przestępstwem – stanowił, że dla okrętów pozostających poza portem od ponad sześciu tygodni robi się pod tym względem wyjątek.

Zimowanie to nie tylko czas bicia się po mordach i onanizmu. To margines. Zima – ponieważ roboty jest mniej – staje się fantastyczną porą na odkrywanie samych siebie. Wreszcie można przeczytać wszystkie książki, na które nigdy nie starczało czasu. Wielu polarników odkrywa w sobie talenty, o których wcześniej nie mieli pojęcia. Trzeba uczciwie przyznać, że w wielu przypadkach lepiej by było, gdyby te talenty pozostały utajone – to niesamowite, ile na stacjach polarnych powstaje okropnej poezji i przerażająco kiepskich obrazów. Ale tu nie chodzi o to, żeby się popisywać, to nie są konkursy. Ważne, że tworzenie sprawia przy-

jemność twórcy, nikomu innemu nie musi. A moja zgryźliwość to zapewne przejaw zazdrości, bo chociaż spędziłem na stacji dwie zimy, żadnego talentu w sobie nie odkryłem.

Ponieważ polska stacja znajduje się przed antarktycznym kręgiem polarnym, nawet w środku zimy mamy kilka godzin słonecznego światła. Nie da się ukryć, że zimowe słońce wstaje o bardzo przyzwoitej porze – koło jedenastej rano. Można zatem spokojnie wstać, zjeść (zimą śniadania są na ogół o dziewiątej, nie o ósmej), ubrać się, zabrać aparat i jeszcze zdążyć na wschód słońca, który zresztą trwa całkiem długo. Na ogół świat robi się wtedy absurdalnie złotoróżowy, a po zamrożonej tafli zatoki biegają nasze puchate kurczaki – pochwodzioby. Ładnie jest. Właściwie, jeśli się dobrze zastanowię, Antarktyda jest jedynym miejscem na świecie, gdzie zdarzało mi się wstawać na wschód słońca. Hulanki do świtu to inna bajka.

Z niewysokich wzgórz wznoszących się wokół Arctowskiego rozciągają się kapitalne widoki na zatokę. Zwłaszcza gdy ktoś się wdrapie na górujący nad stacją Point Thomas i zerknie na sąsiedni fiord – Ezcurrę – z moją ulubioną wyspą Dufayel, wyglądającą jak gigantyczny czarny smok śpiący w morzu, któremu z wody wystaje tylko najeżony skalnymi kolcami grzbiet. Na Thomasie znajduje się nasza główna antena. Na początku każdej wyprawy należy ją sprawdzić. Choć wspinaczka jest w miarę stroma i zajmuje co najmniej dwadzieścia minut, na pierwsze wejście na Thomasa chętnych jest zwykle wielu. Niewykluczone, że ma to coś wspólnego z jedną ze stacyjnych tradycji. Otóż niedaleko od szczytu, blisko anteny, znajduje się mała skrzynka meteorologiczna, w której co bardziej świadome dobrych obyczajów wyprawy zostawiają dla następców flaszkę czegoś smacznego, czasem nawet z poręcznym zestawem kieliszków.

Zimą człowiek wspina się po to, żeby kontemplować okoliczne piękno. Od Thomasa w głąb Ezcurry rozciąga się Panorama Ridge, który nazwę zawdzięcza właśnie niesamowitym widokom. Od strony naszej stacji podejście jest w miarę łagodne, ale od strony fiordu grzbiet kończy się prawie dwustumetrowym pionowym urwiskiem. Któregoś letniego dnia postanowiliśmy z dwoma kolegami podejść na grzbiet od tej strony i po długiej wspinaczce po nieustannie osypujących się, silnie zerodowanych skałach trafiliśmy na kilkumetrowy nawis śnieżny. Pewnie dlatego nikt z tej strony nie wchodzi. Jakoś nam się udało przez to przekopać, ale bez przyjemności. Z dołu nawis było przynajmniej widać. Gdybyśmy na niego weszli od góry, mielibyśmy duże szanse na niespodziewany i niezbyt długi, ale zdecydowanie ostatni lot do zatoki. Właśnie takie niewidoczne nawisy są największym zagrożeniem w trakcie zimowych wędrówek po górach, dlatego – o ile nie zna się dokładnie topografii – lepiej nie podchodzić do krawędzi. W trakcie pierwszej z moich wypraw zdobyłem z Rusłanem wszystkie okoliczne szczyty. Wszystkie są dość niskie, a mimo to zapewniają rozrywkę: skały są mocno zerodowane, ściany często strome. Gdy po całodziennej wędrówce przez lodowiec i moreny i kilkugodzinnej wspinaczce dotarliśmy na najwyższy w pobliżu szczyt, The Tower (367 metrów n.p.m.), znaleźliśmy flaszkę zabunkrowaną tam parę lat wcześniej przez poprzednich zdobywców. Niestety było w niej tylko kilka kartek z datami wejść i nazwiskami. Dołożyliśmy swoją i wróciliśmy w doliny. Moim ulubieńcem jest jednak podwójny Jardine Peak (279 metrów n.p.m.), zamykający Panorama Ridge od południowego zachodu. Można do niego dojść granią od Thomasa albo od strony lądu i łagodniejszych wzniesień, ważne tylko, żeby po zdobyciu obu tworzących go skalnych wierzchołków zejść do przełączki między nimi. Ma ona jakieś siedemdziesiąt centymetrów długości, jest ostra i nie-

mal pionowa, od przodu i od tyłu ograniczona wznoszącymi się prosto w górę skałami. Jeśli się na niej ostrożnie siądzie, można każdą nogą majtać w innej przepaści. Fajnie jest, tylko skała wrzyna się w tyłek niczym krzesło czarownic.

Takie spacerzy, najlepiej samotne, zimą nabierają szczególnego znaczenia. Nie odchodzi się daleko, bo widno jest tylko jakieś cztery godziny, więc trzeba planować tak, żeby koło czternastej być z powrotem. Ale czas spędzony sam na sam z Antarktyką to okazja, żeby się pozachwycać okolicą i przypomnieć sobie, po co się tam przyjechało. Nabiera się sił i potem można się dalej kisić z kolegami u podnóża gór.

Oczywiście weekendowe wyjścia w góry w parę osób też są fajne i choć trudno mówić o kontemplacji, wędrująca balanga z winem lub wódką w plecakach w przepięknych okolicznościach przyrody to również radość. Tyle że nie można się zbyt oddalać od stacji. Wiadomo, że alkohol daje fałszywe poczucie ciepła i zachęca do durnych działań. Rozszerza naczynia krwionośne, więc czujemy ciepło, choć w rzeczywistości szybciej je tracimy. Picie na mrozie jest dla idiotów, więc szczególnie polecam je myśliwym: nie dość że mogą zamarznąć, to jeszcze jest nadzieja, że się wystrzelają. Na picie w terenie zgadzam się tylko wtedy, gdy wracamy i już widać bezpieczne, ciepłe schronienie. Na stacji każdy ma też obowiązek przed wyjściem lub wypłynięciem do pracy i przed wybraniem się gdzieś w celach rekreacyjnych na tablicy przy drzwiach wpisać, jaką przewiduje trasę i kiedy mniej więcej zamierza wrócić.

Po okolicy chodzi się albo na raketach, albo na nartach, bo nieustanne przebijanie się przez śnieżną skorupę i zapadanie w ponad metrowy puch jest męczące. Ale spacerzy to nie wszystko. W trakcie mojej pierwszej wyprawy wspinaliśmy się po pionowych lodowych ścianach przy granicy naszego lodowca. Wcześniej jednak poszliśmy z Rusłanem na lodowiec bardziej konwencjonalnie, żeby wkręcić śruby lodowe, zainstalować liny i przygotować sobie plac zabaw. Taki przynajmniej był plan – tyle że lód okazał się tak zmarznięty, a nasze stare śruby tak stępione, że kiedy je wkręciliśmy, lód się kruszył i śruby nie chciały w nim zostać. Było prawie dwadzieścia stopni poniżej zera i wyglądało na to, że zabawa spali na panewce. I wtedy pomyślałem, że jest pewien sposób. Rozwiązanie było dosłownie na wyciągnięcie... ręki, ukryte pod wieloma warstwami ubrań. Po kolei obsikaliśmy krnąbrne kotwy, wszystko w ciągu niecałej minuty zamarzło i śruby utknęły w lodzie tak, że później pomimo wielu prób nie dało się ich wykręcić. Polecam.

Tak mijiała zima. Z działań naukowych pozostały tylko zadania monitoringowe i trochę pracy w laboratoriach przy analizowaniu zebranych latem prób. Co dziesięć dni, o ile się dało, nadal ruszałem w teren, żeby liczyć pływonogie i pingwiny. Regularnie odbywały się też pomiary glaciologiczne i meteorologiczne. Poza tym wkładała się rutyna.

Dlatego to, co monotonię przerywa, staje się megaatrakcją. Celebrowanie wszelkich możliwych okazji ma długą polarną tradycję. Już podczas pierwszej z zimujących w Antarktyce wypraw (na statku „Belgica”, który zimą 1898/1899 spędził w lodach po zachodniej stronie Półwyspu Antarktycznego; to w tej wyprawie brali udział między innymi Adrien de Gerlache, Frederick Cook, Henryk Arctowski, Antoni Dobrowolski, a także młody Roald Amundsen, dla którego było to pierwsze antarktyczne doświadczenie) obchodzono, co się dało – nie tylko święta narodowe uczestników wyprawy, ale też każde inne święto, o którym ktoś pamiętał, a poza tym urodziny i imieniny członków ekspedycji oraz każdego króla, królowej, matki, żony, kochanki i tak dalej. Stacje polarne tradycję tę kontynuują z entuzjazmem.

Poza standardowymi świętami państwowo-kościelnymi pierwszą typowo antarktyczną okazją do zabawy jest Święto Stacji, przypadające 26 lutego i upamiętniające oficjalny początek jej działania w 1977 roku. Obchodzi się je dość hucznie, z wizytami przedstawicieli innych stacji, ale w lutym pełno tam ludzi. Dużo się dzieje i roboty jest po uszy, więc akurat z tych świąt niewiele pamiętam. W sumie lepiej pamiętam warszawskie obchody Święta Stacji – co roku ściągają do ZBA starzy i młodzi polarnicy na ekstrahowane wódką i winem kombatantkie wspomnienia przy miłej wyzerce. A przy tym to okazja, żeby spotkać kolegów i koleżanki rozsiane po całej Polsce.

Co innego zimą. Podczas obu moich całorocznych wypraw hucznie obchodziliśmy na przykład 1 Maja. Były pochody, przemówienia przedstawicieli wszystkich możliwych klas społecznych i gości z zaprzyjaźnionych republik (znowu Rusłan), i oczywiście dzień wolny od pracy, a także impreza. Podczas drugiej dodatkowo, w czynie społecznym, zasadziliśmy przed stacją drzewko. Innymi słowy – kompletnie odbiła nam palma. Dosłownie: palnę pięknie wykonał poza godzinami pracy nasz radiowiec Mania, który lubił spawać. My powycinaliśmy z solidnej blachy liście i pomalowaliśmy je na zielono. Nasza palma szybko zdobyła ogromną popularność. Zimą odwiedzali ją przedstawiciele innych stacji, na początku kolejnego lata uwielbiali się z nią fotografować turyści. Nam z kolei na całą zimę ociepliła trochę krajobraz, zwłaszcza kiedy później dołączyła do niej ławeczka z również przyspawanym rowerem. Niestety kierownictwo kolejnej wyprawy uznało, że palma nie licuje z powagą polskiego naukowca, więc wkrótce po naszym wyjeździe przestała istnieć.



Rzeczona palma

Podczas pierwszej wyprawy kolejna okazja do świętowania była dużo bardziej na serio.

Nadszedł 7 czerwca 2003 i w Polsce zaczęło się dwudniowe referendum dotyczące wstąpienia do Unii Europejskiej. Kilka miesięcy wcześniej Wojtek, nasz kierownik, zaproponował mi objęcie funkcji przewodniczącego komisji wyborczej. Skontaktowałem się z ówczesnym ambasadorem Polski w Chile, bo formalnie to on sprawował nad nami opiekę. Za jego pośrednictwem otrzymaliśmy numer komisji i karty do głosowania. Urna na stacji jest od dawna, bo wszelkie wybory na ogół odbywają się i u nas. W końcu w wyznaczonym dniu zasedliśmy w świetlicy za długim stołem pokrytym zielonym suknem. W komisji było nas troje, wraz z oficjalnym obserwatorem zagranicznym (był nim Rusłan, któżby inny). W owym czasie dawały się już zauważyć zimowe szajby i na przykład Tomek, mój dawny współlokator z kajuty na „Pioneerze”, w Samolocie się już właściwie nie pokazywał. Siedział w agregatach jak przyczajony tygrys, biorąc wszystkie dyżury i warcząc na intruzów, a do głównego budynku zakradał się w nocy po jedzeniu. Ot, zwykła antarktyczna historia. Tego dnia przyszła zamieć, ale uznaliśmy, że każdy musi mieć szansę, żeby oddać głos. Po referendum w Samolocie całą komisją (dla bezpieczeństwa: obawialiśmy się zarówno zamieci, jak i Tomka) ruszyliśmy przez ponadmetrowe zasy. Targaliśmy ze sobą urnę. Oczywiście wcześniej uprzedziliśmy Tomka przez radio. Pokonanie tych trzystu metrów zajęło nam pół godziny, ale udało się dojść do celu, a nawet – chwilę później – ująć z życiem. Kiedy zliczyliśmy tych dwanaście głosów (Rusłan nie głosował) i wysłaliśmy wiadomość do kraju, ponoć wspomnieli o nas nawet w „Wiadomościach”. Nie dość że oficjalne wyniki mieliśmy jako pierwsza z komisji, to nikt nie uzyskał równie dobrego wyniku: sto procent frekwencji i sto procent poparcia. Wyniki były oficjalne, referendum też, ale dopiero parę lat później dowiedziałem się, że członkowie komisji dostają diety. Nie mam pojęcia, kto zachachmęcił nasze, ale pozdrawiam serdecznie.

Kolejne święto przypada w czerwcu i obchodzą je wszystkie stacje antarktyczne: Święto Środka Zimy. Przypada w dniu zimowego przesilenia na tej półkuli, 21 czerwca. Choć w każdym języku używanym na dalekim południu określa się ten dzień jako środek zimy, w rzeczywistości jest to oczywiście pierwszy dzień astronomicznej zimy. To najkrótszy dzień w roku. Od tej pory wszyscy czują, że będzie już z górki. A przynajmniej tak sobie powtarzają. Nieważne. W Antarktyce obchodzi się to święto z przytupem. Wiele stacji bierze udział w Czterdziestoosmiodzinnym Festiwalu Filmowym Antarktycznej Zimy. Co roku produkcji filmów towarzyszą inne, ale ściśle określone wymagania, ustalane przez zwycięzców poprzedniej edycji. Na przykład w roku 2011 w filmie musiał się pojawić kreskówkowy marynarz Popeye, scena z kapiącym kranem, z czekoladą rozmazaną na koszuli i piła, no i w którymś momencie musiał paść zwrot: *which I imbibed rapaciously* („którą wypilem/am zachłannie”). Można go było zaprezentować w dowolny sposób i na przykład Francuzi ze stacji Port-aux-Français na Wyspach Kerguelena, którzy nie mieli pojęcia, co ów zwrot oznacza, użyli go jako jednego z głównych motywów – przez prawie cały film łazili po stacji, wypytując wszystkich, również pingwiny, o co chodzi. Film musiał powstać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i trafić na wspólny serwer. Zwycięzców wybierali wszyscy uczestnicy zabawy. Zwykle jest ich około dwudziestu na całym kontynencie i w okolicach (naszą wyspę reprezentował tylko Bellingshausen). Trzeba przyznać, że niektórzy bardzo się do tego przyłożyli i niektóre z konkursowych filmów świadczyły o sporej kreatywności i talencie twórców. Oraz o tym, że podczas produkcji wypito niemałą ilość alkoholu.

Nie wiem, jak jest teraz, ale kiedy byłem na Arctowskim, nawet o tym festiwalu nie sły-

szeliśmy. Może dlatego, że za moich czasów nie mieliśmy jeszcze łącza internetowego. Był za to telefon satelitarny, przez który mogliśmy odbierać i słać niezbyt ciężkie mejle.

Choć nieszczęśliwie mogliśmy się w tym dniu integrować z całą antarktyczną społecznością, nasze obchody też miały swój urok. Były różnego rodzaju konkursy, łącznie z zawodami strzeleckimi, na potrzeby których wyjęto z sejfu dwa stare kabekaesy. W pierwszych latach działania stacji, gdy na okoliczność prowadzonych wówczas badań zabijano foki i pingwiny, broni było więcej. Na szczęście te czasy minęły, ale karabinki sportowe i amunicja zostały. Oprócz tego ogłoszono zawody w rzucaniu kaloszem na odległość i w rzucaniu kaloszem w kierownika (na moje szczęście koledzy zgodzili się łaskawie użyć za cel kukły z moją podobizną przyklejoną do piłki). Rzucało się, stojąc tyłem, a zaangażowanie niektórych kolegów (zwłaszcza Krzysia) w demolowanie mojego gumowego alter ego wyglądało tyleż imponująco, co niepokojąco. Z bardziej pokojowych dyscyplin odbywały też zawody biegowe i pływackie w „hellyhansenach” (naszych ratowniczych kombinezonach) oraz kilka innych typowo antarktycznych konkurencji. Obchody trwały prawie cały dzień i zakończyły się tradycyjną lampką szampana. Jako kierownik ogłosiłem, że następnego dnia jest niedziela.

Choć to dopiero początek astronomicznej zimy, po święcie, w miarę jak dzień się wydłużał, robiło się coraz łatwiej. Wszyscy zaczęli się przyzwyczajać do zimowych procedur i coraz wyraźniej czuć, że połowa wyprawy minęła i dom jest coraz bliżej.

Jakoś w lipcu, gdy zimowałem na stacji po raz drugi, przez radio wywołali nas Chilijczycy: zapowiedzieli doroczną olimpiadę antarktyczną, która miała się odbyć u nich za miesiąc. Mogliśmy wybrać kilka dyscyplin i wystawić reprezentację sześciu Polaków do przyjaznej konkurencji. Tyle że na stacji było nas tylko ośmiu i wytypowanie sześciu nie wchodziło w grę. Stanęliśmy w pokorze przed sobą i wyszło nam, że w niewielu dyscyplinach brylujemy. Do większości zespołowych nie dalibyśmy rady zebrać pełnej drużyny. Wybraliśmy, co mogliśmy, ustaliliśmy, kto pojedzie (Adrian i Miłosz do ping-ponga, ja do bilardu i Staszek – jako zasłużony pracownik i zdolny kucharz – do obsługi polskiej prezentacji kulinarnej w naszym „pawilonie”), po czym przystąpiliśmy do intensywnych przygotowań. Nie da się ukryć, że polskie potrawy i prezentacja o naszym kraju wyglądały na naszą najmocniejszą stronę. Chłopaki od ping-ponga mogli przynajmniej potrenować, mieli stół. Adrian nigdy wcześniej nie trzymał w ręku paletki, ale jako zwolennik sportowego stylu życia i ubierania się szybko robił postępy. Ja o treningach z kijem mogłem tylko pomarzyć.

Kiedy przyszedł czas, spakowaliśmy bigos, suszone kiełbasy, ciasta i inne polskie specjały, zabraliśmy trochę wódki, swoje własne rzeczy i sportowe stroje, po czym wsiedliśmy do kursującego cały dzień tam i z powrotem chilijskiego helikoptera. Oprócz nas transportował znacznie liczniejszą grupę Brazylijczyków. Razem z nimi zostaliśmy zakwaterowani na Beltingshausenie.

Następnego dnia rozpoczęły się rozgrywki. Chilijska stacja Frey jest największa na wyspie. Jest tam szkoła, sklepik i szpital, jest również kościół i wielka sala sportowa, w której odbywała się większość zawodów. Tylko w bilard graliśmy w świetlicy. Dla mnie to środowisko dużo bardziej naturalne niż jakikolwiek obiekt sportowy. Baru tam wprawdzie nie ma, ale w budynku jest sklepik z winem, z którego skwapliwie korzystaliśmy. Pingpongiści, mimo dużego zaangażowania, odpadli w eliminacjach, zarówno w deblu, jak i w singlu.

Mnie udało się pokonać reprezentantów Rosji i Argentyny, ale w półfinałach musiałem stawić czoło kapitalnemu szefowi stacji południowokoreańskiej King Sejong. Zasady chilijskiego bilardu są nieco inne i bardziej skomplikowane od tych, do których jestem przyzwyczajony. Gra wyglądała trochę jak skrzyżowanie poola ze snookerem, bo kolejność wbijania bil miała znaczenie dla punktacji. Mój przeciwnik nosił okulary i podchodził do rozgrywki bardzo poważnie. Ja wybrałem dobrą zabawę wspomaganą łyżkami wina, co – muszę to przyznać z perspektywy czasu – nie wyglądało na najlepszą strategię, zważywszy, że im więcej meczów miałem za sobą, tym bardziej wzrastała stawka i poziom trudności, coraz bardziej rozmijając się z moim postępującym wyluzowaniem i intoksykacją. Oprócz okularów mój oponent miał nerwowy tik: rytmicznie i mocno mrużył oczy. Wraz z kibicującymi mi kolegami uznaliśmy, że korzysta z kosmicznej technologii: robi zdjęcia ustawienia bil na stole, wysyła dane do centralnego komputera, a ten podpowiada mu najlepsze rozwiązanie. Natychmiast podzieliłem się z nim tą myślą. Mocno się uśmieł. Tak czy siak do pewnego momentu siły były w miarę wyrównane, a raz ogłoszono nawet moje zwycięstwo, choć po protestach azjatyckiej reprezentacji (do których i ja się dołączyłem, bo coś mi się nie zgadzało) przeliczono punkty na nowo i okazało się, że tylko prowadzę, w dodatku niewiele. Na koniec precyzyjny walec dalekowschodniej technologii rozjechał awanturniczego ducha Somosierry i przegrałem kilkoma punktami, ale co się nagraliśmy, to nasze. Z moim rywalem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. W finale, choć miał za sobą cały entuzjazm polskiego dopingu, przegrał z reprezentantem Chile (który nie dość że znał tę grę dłużej niż każdy z nas, to jeszcze mógł całymi dniami trenować). Tak że lipa – w 2008 roku Polska żadnych medali olimpijskich w Antarktyce nie zdobyła.

Nasi rosyjscy gospodarze i brazylijscy współgoście radzili sobie różnie, ale zasadniczo lepiej. Brazylijczycy w niezwykle dramatycznym finale meczu piłki nożnej przegrali z Chilijczykami, którzy w sumie zdobyli najwięcej złotych medali. No, ale oni mieli na stacji do dyspozycji halę i ponad dwieście osób, a wśród nich dwóch zawodowych piłkarzy. Rosjanie w pięknym stylu zwyciężyli w siatkówkę, a my wraz z chłopakami z Ferraza (którzy odpadli etap wcześniej) dzielnie im sekundowaliśmy. Brazylijczycy nauczyli się nawet zagrzewających do boju okrzyków po rosyjsku i muszę przyznać, że dość specyficzne *Rasssija!!! Wypieriooooo!!!* tkwi w moim sercu do dziś. Przypomina mi się w bardzo różnych sytuacjach. Za to polska wystawa kulinarna zgodnie z przewidywaniami zrobiła furorę i całą tę olimpijską przygodę uważam za sukces. Spotkaliśmy ludzi ze wszystkich pozostałych stacji, sporo czasu spędziliśmy na rozmowach i zabawach. W samym środku antarktycznej zimy ocieplaliśmy stosunki w obrębie naszej rozszerzonej, międzynarodowej rodziny. Od komendanta Bellingshausena dowiedziałem się, że zostało im niewiele zapasów, więc wywołałem przez radio Arctowskiego i poprosiłem Krzysia, żeby przygotował kilka skrzyń jedzenia. Nie był zachwycony, bo bardzo chciał przyjechać z nami na olimpiadę. Został, bo jak tylko przyszło zaproszenie, dostał warunek: musi się w końcu wywiązać ze swojego zadania z zakresu robót publicznych. Oprócz obowiązków służbowych każdy z nas musiał wziąć na siebie któreś z zadań wyznaczonych przez ZBA. Krzyś miał zorganizować oskrobanie ze starej farby i odmalowanie budynku meteo, w którym zamieszkał, dążąc do minimalizacji kontaktów z resztą zespołu. Niestety, do dnia wylotu na chilijską stację nawet nie dotknął ścian swojego lokum (miesiąc później spędziliśmy nad tym całą sobotę, sami, bez Krzysia, który się wykręcił bólem głowy – to właśnie tego wieczoru doszło do przykrego incydentu, który już opisałem).



Muszę jednak przyznać, że tym razem, choć miał prawo być rozżalony, wypełnił zadanie wymienicie. Gdy lądowaliśmy na Arctowskim, czekało już kilkanaście skrzyń podarków dla Rosjan.

Na sto dni przed spodziewanym przybyciem „Polar Pioneera” na stacji zwykle pojawia się długi pasek papieru – podzielony, niczym centymetr krawiecki, na sto odcinków, z których jeden jest codziennie rytualnie odcinany. Obok na ogół znajduje się mapa, na której, jak tylko statek wyruszy z Polski, codziennie zaznacza się jego pozycję. Atmosfera zaczyna nieco przypominać tę panującą w więzieniu: skazańcy nie mogą się doczekać uwolnienia.

Mój kolega Tomek Janecki opowiadał, że podczas jego wyprawy (kilka lat przed moją) zimownicy dostali z Polski kasetę VHS z pierwszą serią popularnego wówczas programu „Big Brother”. Prowadzący podniecał się: „napięcie rośnie do granic możliwości, uczestnicy programu są już zamknięci razem prawie dziewięćdziesiąt dni...”. Chłopaki spojrzeli po sobie: gdy to oglądali, byli na stacji już ponad dwieście dni i nikt nie robił z tego sensacji. Ja pamiętam, że w trakcie mojej pierwszej wyprawy, 1 lutego 2003 roku, najstarszy z amerykańskich promów kosmicznych, „Columbia”, rozpadł się przy wchodzeniu w atmosferę ziemską. Dzięki poczcie elektronicznej cały świat mógł śledzić dramat siedmiorga członków załogi, którzy do ostatnich chwil wysyłali wiadomości do bliskich. W komentarzu do notki prasowej, z której się dowiedzieliśmy o tym wypadku, napisano, że kiedy coś się zepsuje na statku kosmicznym, najbliższy sklep z częściami zapasowymi znajduje się sześćdziesiąt kilometrów dalej, na powierzchni Ziemi. Uderzyły nas wtedy dwie rzeczy: Polska stacja nie miała dostępu do internetu. A najbliższy sklep z częściami znajdował się tysiąc kilometrów dalej, w Ushuaia. Na stacji antarktycznej naprawdę jest się dalej niż w Kosmosie.

To się zmieniło. W dziesięć dni po moim ostatnim pobycie na stacji zainstalowano tam szybkie łącze satelitarne i teraz nie dość że wszyscy mają Nielimitowany dostęp do sieci, to jeszcze wi-fi z Arctowskiego obejmuje całą okolicę – w promieniu niemal kilometra. Można sobie siedzieć z laptopem na pingwinisku i gaworzyć z rodziną. Albo podczas zbierania prób z morskiego dna, gdy się czeka, aż urządzenia zakończą pracę, sprawdzać mejle. W dodatku stacja ma warszawski numer telefoniczny i niemal na cały świat można dzwonić za darmo. Ja byłem chyba ostatnią osobą w historii Arctowskiego, której rachunek telefoniczny niemal dorównał rocznej pensji: za „moich czasów” mieliśmy przydział: dziewięć minut rozmów miesięcznie. Za wszystko ponad to płaciliśmy po półtora dolara za minutę. Przez telefon satelitarne dało się też sprawdzać mejle (ale tylko specjalny adres) i wysyłać esemesy – i tyle, za resztę trzeba było płacić, a ja gadać lubię.

W miarę jak czas płynie, a tęsknota za domem narasta, rośnie też przywiązanie do stacji. Każdy z moich kolegów miał tak samo: kiedy w końcu „Polar Pioneer” pojawiał się w listopadzie na horyzoncie, oprócz ulgi wszyscy czuli rodzaj rozżalenia, że to już. Fridtjof Nansen napisał w 1912 roku tak: „To dziwne. Wyjazdowi zawsze towarzyszy smutek. Tak jakby w ostateczności nie można było znieść myśli o porzuceniu tego ponurego pustkowia pełnego lodu, zimna i znoju...”.

Oczywiście pobyt na stacji na początku XXI wieku to zupełnie inne doświadczenie niż to, które było udziałem dawnych zdobywców. Niejednokrotnie uświadamialiśmy sobie, że żadni z nas twardziele – po prostu uciekaliśmy do świata, w którym wszystko jest jasne, o nic nie trzeba się martwić (poza tym, żeby nie zginać w głupi sposób), ma się zapewniony dach nad głową i wyżywienie. Może dlatego na nowo przybyłych patrzy się z odrobiną niechęci, jak

na obcych depczących uświęcone ścieżki.

\*\*\*

Dwanaście miesięcy na Antarktydzie to pomimo wszelkich uroków dziwne doświadczenie. W życiu polarnika mija rok, ale jest on tak abstrakcyjny, że gdy się wraca do domu, wraca się w to samo miejsce, podczas gdy wszyscy posunęli się do przodu – ci się urodzili, tamci umarli, ci się poženili, tamci rozwiedli... Kiedy to się stało?

Gdy po pierwszej wyprawie dotarłem do Chile i zobaczyłem pierwsze od roku samochody, miałem wrażenie, jakbym je widział wczoraj. Są jednak rzeczy, których brak odczuwa się wyraźniej. Podczas tego samego powrotu byłem jedynym europejskim i w ostatniej chwili dołączonym pasażerem wojskowego herculesa, którym dzięki uprzejmości Chilijczyków przyleciałem z naszej wyspy do Punta Arenas. Miejscowi urzędnicy postanowili mnie na granicy przesłuchać. Nic z tego jednak nie wyszło – cały czas gapiłem się przez okno na rachityczny badył sterczący z trawnika, moje pierwsze od roku drzewo. Drzew brakowało mi bardzo i gdy wyjaśniłem to zniecierpliwionemu pogranicznikowi, machnął na mnie ręką i wpuścił do kraju. Niedługo później, już w Polsce, przeżyłem skrajnie inne doświadczenie. Poznałem wtedy niezwykle miłą koleżankę i któregoś dnia zaprosiłem ją na kolację do restauracji. Miło spędziliśmy wieczór, przy dobrym jedzeniu i winie. Kiedy wyszliśmy, na schodach dogonił nas wściekły kelner: zapomniałem zapłacić. Tłumaczyłem się: „Proszę pana, właśnie spędziłem rok na Antarktydzie i zapomniałem, że w tym świecie używa się pieniędzy”. Chyba mi nie uwierzył. Podobnie byłem zawstydzony, gdy w sklepie i punkcie z kebabami przydarzyła mi się podobna historia. A jednocześnie gdzieś z tyłu głowy miałem błogą świadomość: co jest wolnością, jeśli nie to, że można zapomnieć o pieniądzach?

O rozmijaniu się czasu w Antarktyce i poza nią sam boleśnie się przekonałem. W trakcie mojej pierwszej wyprawy, kiedy pod koniec maja pojechałem na Ferraza pożegnać przyjaciół odlatujących z wyspy ostatnim samolotem, dostałem wiadomość, która rzuciła cień na całe moje polarne doświadczenie. Ironia losu: w piątek 23 maja 2003 roku z dumą skorzystałem z dostępnych dobrodziejstw cywilizacji i na brazylijskiej stacji w Antarktyce zamówiłem przez internet kwiaty. Zapłaciłem za nie kartą, żeby w poniedziałek dwudziestego szóstego, w Dzień Matki, moja mama dostała je rano w Warszawie. Niestety, nigdy ich nie zobaczyła. W piątek, kilka godzin później, dostałem od niej mejla: podczas badania USG wykryto coś niepokojącego w jej jamie brzusznej. Od kilku lat skarżyła się na ból w podbrzuszu i w końcu dała się namówić na badanie. W poniedziałek wylądowała na stole operacyjnym i usunięto jej z jajników nowotwór wielkości piłki futbolowej. Ostatni samolot przed zimą odleciał oczywiście dzień wcześniej. Pierwszy dzień mojej pełnej izolacji był jednocześnie pierwszym dniem świadomości, że najbliższa mi osoba właśnie umiera. Przez następne miesiące tylko przez telefon i faks mogłem śledzić postępy choroby i nieudane próby terapii.

W wrześniu dowiedziałem się od ojca, że jeśli wrócę zgodnie z planem w grudniu, już się z mamą nie spotkam. Udało mi się załatwić transport u Chilijczyków i 6 września doleciałem do Warszawy, dzięki czemu miałem szansę się z mamą pożegnać. Umarła trzy tygodnie później, a ja jeszcze długo nie mogłem w to uwierzyć – rok wcześniej żegnała mnie tryskająca zdrowiem i radością korpulentna kobieta w kwiecie wieku, a teraz umierała żałośnie chuda i żółtawa istota, która miała z nią bardzo niewiele wspólnego. Subiektywna pętla czasu bole-

śnie pokazała, jak wiele w zewnętrznym świecie się zmieniło.

Za każdym razem gdy wyjeżdżałem ze stacji, opuszczając Paradise Cove i inne bliskie mojemu sercu miejsca, zastanawiałem się, czy wrócę. Udawało mi się to cztery razy z rzędu i bardzo się z tego cieszę. Ale gdy ktoś mnie pyta, czy wróciłbym tam znowu na tak długo, odpowiadam, że chyba nie. Życie na Antarktydzie jest wspaniałe, ale zarazem coraz mniej, zwłaszcza teraz, gdy mam małą córkę, mogę sobie pozwolić na nie-życie tutaj. Arctowski to był wspaniały etap mojego życia, szczęśliwy czas, czas realizowania marzeń i niesamowitych przygód. To dzięki pracy na stacji odnalazłem swoje miejsce na ziemi.

## 11.Trzeba żeglować

Statek jest bezpieczny w porcie, ale to nie do tego służą statki.

William G.T. Shedd

Czy to ten sam księżyc, który widać u nas w Teksasie?

– pytanie zadane na statku w Antarktyce przez anonimową pasażerkę z anonimowego kraju

Stałem w kajucie i gapiłem się na ciężkie stalowe drzwi: wyglądały, jakby je ktoś rozstrzelał. Gruba blacha na całej powierzchni była podziurawiona i pocięta. To było pierwsze pięć minut mojego pierwszego rejsu antarktycznego jako przewodnika. Staliśmy w Punta Arenas. Dopiero co wsiadłem na statek MV „Nordnorge”. Ledwo wszedłem na pokład, Tomas Holik, szef wielu ekspedycji, które odwiedzały nas na Arctowskim, i dawny zimownik z naszej stacji, a obecnie mój nowy szef, podszedł do mnie i powiedział: „Muszę ci coś pokazać”. Zaprowadził mnie do kajuty na trzecim pokładzie i postawił przed rozharatanymi od wewnątrz drzwiami. „Nordnorge” to duży statek, trzeci pokład znajduje się prawie dziesięć metrów nad powierzchnią wody. Ale to nie seria z karabinu maszynowego rozorała twardej metal. W drzwiach wciąż tkwiły ostre bryły grubego szkła, z wielką siłą wciśniętego w stal. W drodze do Punta Arenas statek trafił na sztorm i jedna z fal wypchnęła solidne szyby w dwóch sąsiednich kajutach i wbiła ich kawałki w oddalone o cztery metry drzwi. Gdyby ktoś tam wtedy stał, zginąłby na miejscu. Tomas wyjaśnił mi, że mieszkanca kajuty była w środku, ale siedziała na koi i fala zniszczenia przeleciała tuż obok jej głowy. Ponoć gwałtownie osiwiła, ale pomocy innej niż psychologiczna nie potrzebowała. Wiele widziałem w życiu sztormów, ale te rozszarpane drzwi pozostaną dla mnie najsilniejszym symbolem potęgi oceanu.

Gdy następnego dnia wyruszyliśmy, wciąż jeszcze byłem wściekły i rozczarowany. Dzień wcześniej, gdy lądowałem w Santiago de Chile, mój aparat fotograficzny przestał działać: malownicze panoramy chilijskich Andów zarejestrowały się w atrakcyjnych odcieniach różu. I to nie dlatego, że akurat zachodziło słońce. Kiedy parę miesięcy później wróciłem do domu, okazało się, że cała seria aparatów Minolty miała wadliwą matrycę, i wymieniono mi ją bez żadnych pytań. Ale to było parę miesięcy później. Teraz ruszałem w swój pierwszy rejs, po raz pierwszy miałem zobaczyć wszystkie te ekscytujące miejsca, o których tyle czytałem i słyszałem, po raz pierwszy (a był koniec 2006 roku, w Antarktyce pracowałem już od czterech lat) miałem stanąć na Antarktydzie – i nie miałem aparatu, żeby to utrwalić! No, ale cóż. Ruszałem w ekscytującą podróż i starałem się skupić na tym.

Jak się okazało, ten pierwszy sezon na statku był pod każdym względem nietypowy. Wyściczki trwały po dwa tygodnie i przemieszczały się między dwoma państwami. Pierwsza ruszyła z Punta Arenas, by po dwóch dniach podróży wzdłuż wybrzeża, przez niezwykle ma-

lownicze chilijskie fiordy, dotrzeć do Puerto Natales, skąd później jechaliśmy na jednodniową wycieczkę do jednego z najpiękniejszych i najsłynniejszych parków narodowych Ameryki Południowej – Torres del Paine.

Oczywiście tych kilka godzin zdecydowanie nie wystarczy, żeby docenić ogromny i zróżnicowany park. To ładny spacer, ale dopiero parę lat później miałem okazję lepiej poznać to miejsce – gdy się wybrałem na jeden z kilkudniowych szlaków pieszych, popularne „W” (od kształtu trasy). Codziennie przechodzi się kilkanaście kilometrów i rozbija namiot w wyznaczonym miejscu. Całość zajmuje pięć dni. Wspaniałe krajobrazy i kontakt z przyrodą. Moje osobiste najjaśniejsze punkty są z natury dość gówniane: kondor, który narobił mi na namiot, i świeże, dymiące jeszcze odchody pumy, ale co tam: wokoło łąziło pełno niezwykle eleganckich guanako, biegały lisy, dały się ptaki, no i górskie szczyty w zachodzącym słońcu zachowywały się wręcz nieprzyzwoicie.

Samo Puerto Natales to bardzo miłe miasteczko, które przy okazji dostarczyło mi co najmniej dwóch znaczących wspomnień. Opowiadałem już o wizycie w indiańskiej knajpie, ale to było parę lat później. Kiedy byłem tam pierwszy raz, dużo się nauczyłem o naturze turystów.

Do Puerto Natales można wpłynąć tylko w trakcie przypływu, czyli wieczorem lub rano. Pogoda po drodze okazała się tak fajna, że udało nam się zawinąć do portu już wieczorem poprzedniego dnia, a rano mieliśmy ruszać do parku. Nad czym tu dywagować: idziemy do miasta! Na statku było prawie trzysta osób i staliśmy na redzie, więc obliczyliśmy, że operacja dostarczania pasażerów na brzeg potrwa kilka godzin. Po jakichś dwudziestu minutach wyszło jednak na to, że zsiadło nieco ponad sześćdziesiąt osób i nie ma więcej chętnych do zwiedzania. Zdziwiliśmy się, ale jak nie, to nie. Poszliśmy na miłą i pyszną kolację, a koło jedenastej w dobrych nastrojach wróciliśmy na statek. Zajrzałem jeszcze do baru i zacząłem rozmawiać z zaprzyjaźnionym barmanem, pochodzącym z Filipin Elmerem. Opowiadałem mu, jak fajnie było w miasteczku i jakie to dziwne, że tak mało ludzi chciało zejść na ląd. Przecież kisili się na statku bite dwa dni. Elmer spojrzał na mnie z politowaniem.

– Mikołaj, oni tu przyszli i mówili jedni drugim, że nie wysiadają, bo nigdy tu nie byli i nie wiedzieliby dokąd iść!

I roześmiał się na widok mojej miny. Osłupiałem. Zawsze mi się wydawało, że ruszamy się z domu dlatego, że gdzieś jeszcze nie byliśmy... I ci ludzie właśnie ruszyli na Antarktydę?

Wycieczkowicze z tego pierwszego rejsu nie przestawali mnie zaskakiwać. Dwa dni później stanęliśmy w jednym z najsłynniejszych i najpiękniejszych miejsc widokowych w chilijskiej Patagonii, w Fiordzie Garibaldi. Był ciepły, pogodny wieczór i cała okolica bezwstydnie kąpała się w złotym świetle. Grubo ciosany lodowiec spływał przepysznie z gór w absurdalnej ramce błękitnego nieba z morzem, z pionowymi czarnymi skałami i zielonymi drzewami po bokach. Słowem – bajka. Widziałem sporo lodowców, ale te otoczone drzewami niezmiennie robią na mnie wrażenie.

Do moich zadań na statku należało między innymi puszczenie wieczorem filmów. Tego wieczoru postanowiłem dać ludziom trochę więcej czasu, więc ogłosiłem, że film się opóźni o pół godziny, żeby każdy miał okazję nasycić się fantastycznym widokiem. Kiedy zszedłem do sali wykładowej, żeby podłączyć odtwarzacz DVD i projektor, opuścić ekran i tak dalej,

w jednym z tylnych rzędów siedziała drobna starsza pani. Kojarzyłem ją z widzenia i wiedziałem, że jest całkiem żwawa. Zagadałem do niej przyjaźnie: jaki to wspaniały wieczór, jak tu pięknie i tym podobne. Przyznała mi rację, po czym dodała:

– Ale ja nie wyszłam na zewnątrz.

– Jak to? – zapytałem. Byłem przekonany, że poszli wszyscy, bo pogoda świetna i widok niepowtarzalny.

– No nie, bo ja podróżuję z wnukiem, on ma aparat i kamerę, robi zdjęcia i filmuje, więc ja nie muszę wychodzić.

Jak wspomniałem, to nie był typowy rejs. Ze względu na obłądnie awanturnicze podejście do zwiedzania naszych gości w trakcie tej wycieczki mówiliśmy, że nasz statek zmienił się w *zombie ship*. Z czasem się przekonałem, że tak się zdarza. Na ogół mamy interesujący i za-interesowany sort turystów i bardzo często poznaję fascynujących, mądrych i ciekawych świata ludzi. Innym razem przypadkowa dynamika grupy, losowy dryf cech charakteru sprawia, że są po prostu nudni, choć w tej magmie zawsze trafiają się rodzynki.

W pierwszym sezonie nietypowa była również wielkość statku i jego trasa. Zaczęliśmy w Punta Arenas, spędziliśmy tydzień w chilijskich fiordach, po czym dotarliśmy do przylądka Horn. To jedna z najsłynniejszych skał na świecie. Jej nazwa nie pochodzi wcale od rogatego kształtu – przylądek został tak ochrzczony w styczniu 1616 roku przez holenderskich odkrywców na cześć miasta Hoorn, z którego pochodziły ich statki. Wyprawie przewodzili Jacob Le Maire i bracia Willem i Johan Schoutenowie. Statek Johana Schoutena też nazywał się „Hoorn” i rozbił się niedługo przed odkryciem przylądka, więc możliwe, że nazwa nie odnosi się do miasta bezpośrednio. Z czasem Kaap Hoorn zmutował w języku angielskim do Cape Horn i teraz rzeczywiście nazwa zdaje się nawiązywać do zdobijącej go strzelistej skały. Tak czy siak przylądek wyznacza południowy kraniec głównej masy lądowej Ameryki Południowej (oczywiście nie kontynentu, bo ten kończy się licznymi wyspami, z których największa to Tierra del Fuego, a sam przylądek znajduje się na niedużej Hornos, należącej do grupy wysp Hermite). Dalej na południe znajdują się jeszcze wyspy Diego Ramirez. One również należą do Chile, ale to Horn wyznacza początek sławetnej Cieśniny Drake’a, oddzielającej Amerykę Południową od Antarktydy i jednocześnie stanowiącej granicę między Oceanem Spokojnym a Atlantykiem.

Ruch obrotowy Ziemi sprawia, że na różnych szerokościach geograficznych dominują wiatry z określonych kierunków. W Cieśninie Drake’a wieje głównie z zachodu, a pierścień zachodnich wiatrów porusza się na tej szerokości dookoła całej planety – to jedyne miejsce na świecie, gdzie można wypłynąć na zachód i okrążywszy świat, wrócić w to samo miejsce, nie napotykając na trasie żadnego lądu. Brazylijski żeglarz i wynalazca Amyr Klink nazwał ocean poniżej 55° szerokości geograficznej południowej morzem bez końca. Tutaj właśnie wiatry swobodnie się rozpędzają. Ale to nie wszystko. Cieśnina Drake’a jest najwęższym miejscem (choć i tak ma osiemset kilometrów szerokości) pomiędzy Antarktyką a jakimkolwiek innym kontynentem. Na mapie widać, jak w wyniku dryfu kontynentalnego końcówka Ameryki Południowej, a także Półwysp Antarktyczny wraz z Szetlandami Południowymi wychylają się w kierunku wschodnim, tworząc podstawę grzbietu Scotia, czyli łukowatej granicy płyt tektonicznych. Można prześledzić ten łuk – od Hornu jego elementami są kolejno skały Shag Rocks, Georgia Południowa, Sandwich Południowy, Orkady Południowe i Szetlandy wraz z Półwyspem. Całość tworzy gigantyczny lejek, przez który zachodnie wia-

try skupiają się na mniejszej przestrzeni i gwałtownie tam przyspieszają. To dlatego w pobliżu Hornu prawie zawsze wieje i dlatego cała Cieśnina Drake'a to najbardziej burzliwy kawałek światowego oceanu.

Ponieważ zdecydowana większość europejskich żeglarzy przybywała od strony Atlantyku, czyli płynęli „w złą stronę”, silne wichry uderzały w nich od strony dziobu, więc zamiast przemknąć na skrzydłach sztormów ku bezpiecznym wodom, walczyli – nieraz całymi tygodniami – z przeciwnymi wiatrami i na przestrzeni wieków ginęli jak muchy. Przylądek Horn całkiem słusznie otoczony jest złą sławą: żadne inne miejsce na świecie nie pochłonęło tak wielu żeglarskich istnień.

Tym razem jednak wokół przylądka było spokojnie i udało nam się wylądować. Wylądowałem tam zresztą trzykrotnie (na cztery wizyty), więc jeśli o mnie chodzi, Horn to jedno z najspokojniejszych miejsc, jakie znam. Ostatni raz byłem tam na „Selmie” i towarzyszyła nam taka flauta, że przylądek opłynęliśmy na silniku. Od strony oceanu jest na wyspie mała zatoczka porośnięta wodorostami. Trzeba dopłynąć do małego pirsu, a potem wspiąć się po stromych i śliskich schodach na płaski szczyt. Kilkaset metrów dalej stoi niewielki budynek. Co roku mieszka w nim inna załoga. Jeden marynarz z garnizonu w Puerto Williams wraz z żoną i często dziećmi. Trzymają straż na swoim bardzo samotnym posterunku, prowadząc obserwacje meteorologiczne i niewielki sklepik z pamiątkami dla rzadko pojawiających się gości. Kiedy ktoś już do nich dotrze, zawsze są zadowoleni – i nie tylko dlatego, że przywozimy im świeże owoce i warzywa.

Do domku prowadzi długa, zbudowana na grząskim gruncie drewniana kładka, a jedno z jej odgałęzień wiedzie do stóp pomnika wzniesionego w 1992 roku na cześć żeglarzy, którzy zginęli na morzu. Pomnik przedstawia albatrosa, a właściwie jego brak – w dziesięciu solidnych metalowych płytach ustawionych równolegle jedna obok drugiej są nieregularne otwory, a to, co jest, jeśli się patrzy na pomnik na wprost, układa się w kształt tego, trudno użyć innego zwrotu, majestatycznego władcy przestworzy. Zależnie od pogody i pory dnia albatros może być błękitny, szaroburzowy lub złocisty od zachodzącego albo wschodzącego słońca. Niewykluczone, że to mój ulubiony pomnik. Tuż przed nim znajdują się dwie tablice. Na jednej zamieszczono opis historii pomnika, a na drugiej – wiersz chilijskiej poetki Sary Vial, który w moim nieudolnym tłumaczeniu wygląda tak:

To ja, albatros, który czeka na ciebie na końcu świata...  
To ja, zapomniana dusza zaginionych żeglarzy, którzy  
przekroczyli przylądek Horn ze wszystkich mórz tego świata.  
Lecz oni nie umarli  
wśród wściekłych fal,  
bo dziś aż po wieczność  
szybują na moich skrzydłach  
w ostatniej szczelinie  
antarktycznych wiatrów.

Hmm... Nie bardzo wiem, czym jest szczelina wiatrów i cały wiersz nawet w angielskim oryginale (może dlatego, że nie był to pierwszy język autorki?) brzmi dość pretensjonalnie i kiczowato, ale akurat w tym legendarnym miejscu moim zdaniem pasuje.

Opuściwszy przylądek, nie mamy wyjścia i wpływamy na Drake'a. Dwa dni zajmuje nam przepłynięcie cieśniny, a potem zaczyna się Antarktyka. Podczas pierwszego sezonu wyruszyłem z Punta Arenas, tydzień spędziłem na chilijskim wybrzeżu, a następny w Antarktyce, po czym wróciliśmy do Ushuaia. Następna wycieczka pokonywała tę trasę w drugą stronę. Ponieważ i tak pływaliśmy między Argentyną a Chile, w drodze do lub z Ushuaia zawsze zatrzymywaliśmy się w Puerto Williams, po chilijskiej stronie Kanału Beagle, na wyspie Navarino.

No i tu zahaczamy o dość delikatną kwestię. O prestiżowy tytuł najdalej na południe wysuniętego miasta świata konkurują co najmniej trzy miejscowości. Patrząc od północy, po raz pierwszy na ten postulat natkniemy się w Punta Arenas. Pojawiają się tam napisy, że to koniec świata i tak dalej, choć teza jest nie do obronienia. Zwykle więc twierdzą, że są najdalej na południe wysuniętym miastem Ameryki Południowej, a przyparciu do muru tłumaczą, że chodzi o sam kontynent, nie wyspy, no i o to, że są „miastem”, bo Ushuaia to zaledwie miasteczko. W Ushuaia już mniej się krygują. Napisy o końcu świata czy najdalszym mieście są wszędzie, ale i im – właśnie ze względu na Puerto Williams – niestety, trudno przyznać rację. Kiedyś padał argument, że Ushuaia to normalne miasteczko, podczas gdy chilijski port jest bazą wojskową. O ile na początku rzeczywiście tak było, o tyle teraz znaczną część jego mieszkańców stanowią cywile niezwiązani z obsługą bazy. Więc tytuł niewątpliwie im się należy.... o ile nie weźmiemy pod uwagę Puerto Toro, malutkiej osady rybackiej jeszcze kawalek dalej w dół mapy. Dużo tych pretendentów. Jedno wszak nie ulega wątpliwości: najdalej na południe wysuniętym borem świata (nie licząc tych na stacjach polarnych i statkach) jest obskurna speluna w Puerto Williams, udekorowana plastikiem i wyblakłymi łańcuchami z krepiny malowniczo zwisającymi nad ściennymi malowidłami przedstawiającymi dawno już wymarłych miejscowych Indian. Ten bezpretensjonalny lokal ma równie ujmującą prostotą nazwę: Bar. I znajduje się odrobinę dalej na południe niż znany wśród żeglarzy bar w Micalvi, miejscowej marinie. Co ciekawe, kiedy rozmawiałem o tym z właścicielką, trochę się zdziwiła i nie zdawała się przywiązywać do tego żadnej wagi. Ona prowadziła knajpę i tylko to się liczyło, a to, że wszystkie inne knajpy świata są na północ od niej, nie robiło na niej żadnego wrażenia. I jak zwykle w takich miejscach, było gościnnie i miło.

Ten gościnny przybytek miałem jednak poznać dopiero parę lat później, gdy pomiędzy rejsami na „Selmie” stacjonowaliśmy po parę dni w Micalvi. W pierwszym sezonie nie zapuszczałem się między domy i moim ulubionym lokalem stała się kawiarnia na placu, miejscowej atrapie rynku. Prowadziła ją niezwykle miła pani, autorka absolutnie najlepszych pisco sour, jakie kiedykolwiek piłem.

Pisco to narodowy napój Chilijczyków i Peruwiańczyków, przy czym oczywiście każda z tych nacji będzie twierdzić, że ci drudzy to uzurpatorzy. I choć kiedy się próbuje trunków z obu krajów, można zauważyć delikatną różnicę, zasadniczo chodzi o to samo: pisco to wódka destylowana z winogron. Nie tak jak włoska grappa, hiszpańskie orujo czy różne raki-je powstające z wyłoczyn i innych odpadów po produkcji wina. Pisco produkuje się z całych winogron specjalnie na ten cel hodowanych. Lubię grappę i jej europejskich pobratymców, ale pisco lubię jeszcze bardziej. Ma delikatniejszy, wyraźniejszy owocowy smak i silniejszy aromat, a jednocześnie daje całkiem niezłego kopa (niektóre rodzaje mają po pięćdziesiąt pięć procent alkoholu). Żeby zrobić dobre pisco sour, trzeba pisco zmieszać z sokiem z limonki, cukrem i pianą z białka kurzego jaja – dlatego dostępne w sklepach mikstury nigdy



nie będą tak dobre jak pisco sour robione na miejscu, bo piany nie da się zakonserwować. Pani z Puerto Williams robiła ten trunek idealnie.

Kiedy byłem tam drugi raz, dwa tygodnie później, pani mnie poznała, a za trzecim byliśmy już całkiem zaprzyjaźnieni. Jako odpowiedzialny przewodnik dbałem o jakość doświadczeń moich pasażerów, więc wszystkich (za każdym razem trzysta osób) namawiałem, żeby skosztowali najlepszego pisco sour na świecie – i wielu korzystało. Pani robiła hurtowe ilości trunku w dużym dzbanku, a po rozlaniu zamówionych drinków to, co zostało, dolewała mnie. I tak przez kilka godzin. Kiedy nasza wizyta w miasteczku dobiegła końca, podszedłem do lady, żeby zapłacić. Zbeształa mnie ze złością. Powiedziała, że ja nie muszę. Upierałem się, żeby przyjęła pieniądze przynajmniej za tę pierwszą zamówioną porcję, ale ona powiedziała: *next time!* Wyjaśniłem, że *next time* będzie w lutym (a był grudzień), na co ona odparła, że wobec tego zapłacę w lutym. Pożegnaliśmy się, życząc sobie, czego tam się życzy z okazji świąt i Nowego Roku. I nigdy się już nie zobaczyliśmy. W lutym 2007 roku wpadliśmy na skałę i musiano nas ewakuować, a kiedy cztery lata później wróciłem na „Selmie” do Puerto Williams, pani nie zdążyła otworzyć swojej kafejki, bo lato dopiero się zaczynało. Tak więc od dziesięciu lat mam dług na końcu świata, wciąż jestem jej winien sto pięćdziesiąt peso za drinka. Jeśli czytasz te słowa i kiedyś dotrzesz do Puerto Williams, przekaż, proszę, że nie zapomniałem...

Samo miasteczko rozlewa się u podnóży gór zwieńczonych słynnymi Dientes de Navarino (Zębami Navarino), porośniętych gęstym patagońskim lasem. Jak wszędzie w okolicach Kanału Beagle pełno tu historii i malowniczych krajobrazów.

Jeszcze dwieście lat temu zatoczki i przesmyki archipelagu zamieszkiwali Jaganie, zwani też Indianami Yamana i okreśłani jako „Indianie canoe”. Całe ich życie wiązało się z wodą, czego wyrazem był nawet kształt ich ciał: muskularne klaty i ramiona na cherlawych nóżkach. Faceci pływali w canoe, polując na lwy morskie, foki i ptaki i poszukując wyrzuconych na brzeg wielorybów, dziewczyny zaś nurkowały w poszukiwaniu mięczaków i skorupiaków (ponoć tylko one umiały pływać). Po Jaganach nie pozostało zbyt wiele artefaktów, ponieważ jako koczownicy nie zakładali stałych osad. Ale sam fakt, że miejsca ich obozowisk rozpoznaje się po stertach muszli (a nie kościach większych zwierząt), świadczy o tym, jak duży wpływ miała praca kobiet na ich codzienną dietę. Jednym spośród wielu fascynujących aspektów ich kultury był język, pełen słów przepelnionych znaczeniami (na przykład „patrzenie na bardzo tłustą kaczkę pojawiającą się przed człowiekiem w chwilę po tym, jak wypuścił ostatnią strzałę”) i absolutnie nieprzetłumaczalnych. Najsłynniejszym jest *mamihlapinapai*, co znaczy: „spojrzenie wymieniane między dwojgiem ludzi, z których każde chciałoby, żeby to drugie zainicjowało coś, czego pragną oboje, ale czego żadne z nich nie chce rozpocząć”. Myślę, że każde z nas miało niejedną *mamihlapinapai* i fajnie wiedzieć, że ktoś potrafił nazwać rzecz po imieniu.

Jaganie nigdy nie byli specjalnie liczni, ale doskonale dostosowali się do surowych warunków Ziemi Ognistej, która nawet nazwę im zawdzięcza, bo to ich ogniska widział w 1520 roku Ferdynand Magellan. Z typową dla Europejczyków megalomanią uznał zwykłe obozowe ogniska (a także te rozpalone na canoe, bo Jaganie zabierali ogień ze sobą) za znak, że miejscowi szykują się do ataku. Choć żyli w nieustannym chłdzie, właściwie nie chorowali, choć w zasadzie się nie ubierali. W końcu jaki to miało sens, skoro byli nieustannie narażeni na wpadnięcie do wody. Z zimnem walczyli dzięki szybszemu niż u innych ludów

metabolizmowi, bo wyewoluował u nich taki w ciągu kilku tysięcy lat. Poza tym smarowali się zwierzęcym tłuszczem, na schronienia wybierali miejsca osłonięte od wiatru, no i odpoczywali w kucki, ograniczając powierzchnię, przez którą mogliby tracić ciepło. I jak zwykle wszystko było dobrze, póki ich nie znaleźli misjonarze, na co miał wpływ sam Karol Darwin: kilkoro z nich „zebrał”, niczym przyrodnicze okazy, i zawiózł do Anglii.

Część tej historii rozegrała się wedle scenariusza znanego z całego świata: przybywają przeświadczeni o swej racji obcy i próbują narzucić miejscowym własne przekonania. Okazuje się, że miejscowe zasady etyczne – Jaganie nie znali na przykład poczucia własności, więc brali sobie, na co mieli ochotę – nie są kompatybilne z narzucanymi, że nomadyczny tryb życia niezbyt licuje ze stałymi misjami, dochodzi do nieporozumień, a w końcu gdzieś do agresywnych konfrontacji, konflikty narastają, są pierwsze ofiary śmiertelne, a w końcu „porządek” zaprowadza wezwane na pomoc wojsko. Niewykluczone, że wielu misjonarzy miało dobre intencje, z całą pewnością wielu z nich było skłonnych do ogromnych poświęceń, ale silne przekonanie, że się wie, jak zbawić innych, połączone z mocnym postanowieniem, by to zrobić, jest inherentnie złe i jako takie do niczego dobrego na ogół nie prowadzi. Historia o tym, jak filantropia przyczyniła się do wymarcia Jaganów, jest najlepszym tego przykładem.

Gdy w XIX wieku misjonarze zaczęli opowiadać w Wielkiej Brytanii o półnagich indiańskich dzieciach żyjących w patagońskim chłdzie, mnóstwo dobrych ludzi było wstrząśniętych. Damy zrzeszone przy anglikańskich parafiach, w tamtejszych odpowiednikach kółek różańcowych, zorganizowały zbiórkę dla biednych marznących dzikusów. Brytyjskie społeczeństwo hojnie wspomogło zbożny cel, ale nikt oczywiście nie kupował nowych ubrań: wszyscy pozbywali się rzeczy używanych i niepotrzebnych. Kiedy te dary serca dotarły do Patagonii, Indianie, zafascynowani dziwnymi przybyszami, szybko zaczęli nosić dostarczone ubrania. Wielu z nich natychmiast zaraziło się czarną ospą i umarło, ci zaś, którzy nie umarli od razu, w ciągu jednego pokolenia rozhartowali się i stracili wypracowaną przez wieki odporność. Zagłada całego narodu Jaganów trwała mniej niż sto pięćdziesiąt lat. W odróżnieniu od zagłady wielu innych plemion Patagonii nie była efektem świadomej polityki eksterminacyjnej, tylko przede wszystkim przywleczonych przez „cywilizację” chorób, z alkoholizmem włącznie.

Henry David Thoreau, słynny dziewiętnastowieczny pisarz amerykański, którego *Walden* inspirował wielu ludzi, od Gandhiego, przez Martina Luthera Kinga po całe pokolenie hipisów, napisał kiedyś coś, co spokojnie mógłbym uznać za swoje życiowe motto. Mój ulubiony cytat brzmi tak:

Nie ma gorszego zapachu niż woń zepsutej dobroci. Jest ludzka, jest boska, jest padliną. Gdybym był przekonany, że jakiś człowiek zmierza do mnie w świadomym celu czynienia mi dobrze, uciekłbym co sił w nogach, jak przed owym suchym, piekącym wiatrem afrykańskich pustyń, zwanym samumem, który zatyka piachem usta, nos, uszy i oczy, aż człowiek się dusi; uciekłbym ze strachu, że dostałoby mi się trochę tej dobroci, że trochę jej zjadliwości zmieszałoby się z moją krwią.

Historia Jaganów to chyba najbardziej jaskrawy przykład nietrafionej uprzejmości.

Mój pierwszy turystyczny rejs zakończył się w Ushuaia. Każdy kolejny się tam zaczynał.

Od początku pracy na stacji wciąż słyszałem, że Ushuaia jest fajna, że są tam świetne knajpy i portowe życie. Dla Arctowskiego Ushuaia było i jest najbliższym kawałkiem cywilizacji. To tam ma siedzibę nasz agent, stamtąd statki dowożą nam zapasy paliwa albo alkoholu i brakujące części. Ale dla mnie miasteczko długo miało status mitycznego portu, ponieważ za każdym razem w drodze na Antarktydę stawałem w Buenos Aires lub Mar del Plata, a na powrót po całorocznej wyprawie za pierwszym razem się nie załapałem, bo wróciłem chwilę wcześniej niż koledzy, przez Punta Arenas. Dlatego pierwszy raz odwiedziłem je na pokładzie „Nordnorge”. I polubiłem od razu.

W Ushuaia, a właściwie nad zatoką, nad którą teraz leży miasto, od dawna mieszkali Jaganie. Ich przodkowie dotarli tu około dziesięciu tysięcy lat temu. Nazwa też pochodzi z ich języka – pierwsi przybysze na stałe, anglikańscy misjonarze, na pytanie o zatokę, usłyszeli odpowiedź: *ooshooia*, co oznaczało „zatokę wychodzącą w kierunku zachodzącego słońca”. Miejsce to Europejczycy znali już od czasów wyprawy Darwina i Fitzroya na statku „Beagle”, który dotarł tu w styczniu 1833 roku. Pierwszy biały zamieszkał tu na kilka miesięcy w 1869 roku, a rok później osiedli pierwsi misjonarze i zaczęli chrzczyć miejscowych. Rząd Argentyny z pewnym opóźnieniem zareagował na to, że Brytyjczycy na południu kraju założyli osadę, niemniej w 1881 roku rozpoczął starania o nadanie jej praw miejskich i założenie więzienia. Gwałtowny rozwój miasteczka ściśle wiązał się właśnie z ośrodkiem penitencjarnym. Pomysł był prosty i jak się okazało słuszny: więźniów nie trzeba za bardzo pilnować, świetnie ich przypilnuje geografia. Ushuaia znajdowała się tak daleko od innych ośrodków cywilizacji, a klimat był tak brutalny, że nawet jeśli komuś udało się uciec, często, o ile przeżył, sam wracał. Władze Argentyny do tego stopnia ufały przyrodzie Patagonii, że pierwsi więźniowie, którzy dotarli tu w 1896 roku, musieli najpierw... zbudować sobie więzienie.

Trafiali tu recydywiści z całej Argentyny, zarówno kryminalni, jak i polityczni, choć w szczytowym momencie, w 1935 roku, więźniów było pięciuset trzydziestu. Wielu z nich znalazło się za kratkami po raz pierwszy. Aż do zamknięcia więzienia w 1947 roku to ono było głównym pracodawcą i gwarantem istnienia miasteczka. Później rolę tę przejęła baza marynarki wojennej, a obecnie – turystyka.

Ze wszystkich więźniów, którzy tu przebywali, niewątpliwie najsłynniejszym był Simón Radowsky. Jako anarchista zrobił błyskawiczną karierę. Urodził się 10 marca 1891 roku pod Kijowem, a już 14 kwietnia 1909 w Buenos Aires podrzucił bombę pod powóz wyjeżdżający z cmentarza Recoleta – podczas eksplozji zginął znany z represji szef argentyńskiej policji, pułkownik Ramón L. Falcón, oraz jego sekretarz, Albert Lartigau. Radowsky spędził dwadzieścia jeden lat w więzieniu, z czego dziewiętnaście w Ushuaia. Anarchiści z całego świata, a zwłaszcza z Buenos Aires, uważali go za ikonę oporu, a nawet – w 1918 roku – zorganizowali mu ucieczkę. Początkowo się udawało. Radowsky wsiadł na specjalnie podstawiony kuter „Ooky”, ale ponieważ nie mogli się dogadać, dokąd płynąć, no i po rufie zaczął im deptać pościg, po dwudziestu trzech dniach wolności więzień znalazł się z powrotem w Ushuaia, skąd wypuszczono go dwanaście lat później. Potem znowu siedział – w Urugwaju. Walczył podczas hiszpańskiej wojny domowej, żył we Francji i w końcu umarł w 1956 roku w Meksyku.

Oprócz awanturniczej historii Ushuaia ma też niezwykle malownicze położenie. Właściwie są to cechy niemal każdego miejsca w tej części świata. Ushuaia to takie Zakopane, oto-

czone strzelistymi górami w stylu alpejskim, tyle że w dodatku położone nad atrakcyjną zatoką. Nie znam miasta usytuowanego lepiej. Kordyliera Darwin, czyli miejscowy kawałek Andów Patagońskich, wyrasta właściwie już na wybrzeżu, dzięki czemu cała Ushuaia leży na zboczu, co sprawia, że powrót z Dublina, najlepszego pubu w mieście, to często niezwykle dramatyczna wspinaczka. Ulice równoległe do brzegu są jeszcze dość płaskie, ale te, które je łączą, biegną pod bardzo dużym kątem. Część miejscami po prostu zamienia się w strome schody.

W ciągu kilku lat Ushuaia stała się jedynym miejscem na świecie, gdzie jest knajpa, do której wchodzić i nie muszę nic zamawiać: sami przynoszą mi moje ulubione piwo (Beagle, lokalne, niepasteryzowane i niefiltrowane, jeśli będziecie mieć okazję, polecam!) i danie, choć nigdy nie mieszkałem tam dłużej niż trzy dni. Ushuaia to głównie port, miejsce, gdzie wszystko się kończy i zaczyna.

Kiedy ruszam stąd w rejs, rano muszę się zameldować na statku, bo zawsze jest sporo do omówienia i przygotowania. Potem mam kilka godzin wolnego i zwłaszcza między rejsami większość tego czasu spędzam w sieci i w ulubionej knajpie, ale nie mogę za bardzo zabalować, bo o wpół do czwartej muszę być z powrotem, zwarty i gotowy na przyjęcie nowych pasażerów.

Wyływamy zwykle koło siedemnastej i zawsze zaczynamy od ćwiczebnego alarmu: wszyscy muszą się zebrać w wyznaczonych miejscach, opanować zakładanie kapoków i dowiedzieć się, jak trafić do wyznaczonej szalupy. To obowiązkowe. Sprawdzana jest obecność i mieszkańcy wszystkich kajut dostają ściśle określone zadania. A potem można już swobodnie podziwiać Kanał Beagle i trójkątny czubek górującej nad Ushuaią strzelistej Monte Olivia. Kiedy wyływamy w stronę oceanu, po lewej mamy Argentynę, a po prawej Chile.

Dla mnie Kanał Beagle ma mistyczne znaczenie i nieodmiennie kojarzy mi się z... kanałem rodzym. To tędy wyruszamy w świat ku przygodom, tędy też prowadzi droga do domu. To te drzewa widziałem jako pierwsze po miesiącach spędzonych na stacji i widzę po tygodniach na statku. Może nie są zbyt wysokie, ale gęste. Po obu stronach kanału widać porośnięte nimi góry. Co ciekawe, wszystkie wyglądają jak choinki, choć drzew iglastych tu nie ma. Po prostu w procesie konwergencji ewolucyjnej tutejsze bukany, czyli buki południowe z rodzaju *Nothofagus*, przybrały formę bardzo podobną do naszych iglaków, które w górach mają podobne warunki klimatyczne. Drzewa z tego rodzaju porastały kiedyś Antarktydę i wciąż można tam znaleźć ich skamieniałe pozostałości.



Thomas Bridges w otoczeniu rdzennych mieszkańców Patagonii

W nieco ponad godzinę od chwili, kiedy wypłynęliśmy z Ushuaia, po prawej widać Puerto Williams. Zwykle wysyłam wtedy ostatnie esemesy, bo później aż do powrotu nie będzie okazji. Kiedy chilijski port znika za wzgórzami, po lewej pojawiają się charakterystyczne klify Gable Island, zza której po chwili wynurzają się na moment budynki Estancii Harberton. Kilka lat temu miałem szczęście spędzić tam parę dni na zaproszenie rodziny, od której zaczęła się współczesna historia całego rejonu Ziemi Ognistej.

Historię tę opisał w kapitalnej książce *Uttermost Part of the Earth* [Krańcowa część Ziemi] Lucas Bridges. Jego ojca, Thomasa Bridgesa, znaleziono zupełnie samego na jakimś angielskim moście. Adoptował go anglikański misjonarz G.P. Despard. W 1856 roku, kiedy chłopak miał trzynaście lat, przybrany ojciec przywiózł go na Falklandy, gdzie założył misję – farmę, na której zatrudniał Jaganów z Ziemi Ognistej. Thomas szybko nauczył się ich języka, dzięki czemu kiedy w 1863 roku odwiedził po raz pierwszy rejon Kanału Beagle, mógł z łatwością wyjaśnić miejscowym, na czym polega działalność misji. To on siedem lat później założył pierwszą anglikańską misję w Ushuaia.

Thomas trzydzieści lat pracował na misjach na Keppel na Falklandach i w Ushuaia, a jednocześnie badał życie i język Jaganów. W odróżnieniu od wielu innych misjonarzy zawsze wykazywał ogromny szacunek dla kulturowej odrębności swoich parafian i troszczył się nie tylko o ich dusze (choć nie narzucał im niczego na siłę), ale także o ogólny dobrostan w obliczu nieuchronnie nadciągającej europejskiej cywilizacji. W 1886 roku za zasługi dla rdzennych mieszkańców otrzymał od argentyńskich władz obywatelstwo oraz spory kawałek ziemi, na którym założył Harberton. Wtedy zrezygnował z pracy na misji i poświęcił się pracy na roli i trosce o przetrwanie miejscowych plemion i ich kultury. Dziełem jego życia stał się

słownik języka Jaganów: *English-Yamana Dictionary*. Książka ta nie tylko ocaliła od zapomnienia język narodu, którego już nie ma, ale również sama stała się bohaterką niezwyklej historii.



Jaganie

Syn Thomasa, Lucas, urodził się w 1874 roku jako „trzeci biały tubylec z Ushuaia” (pierwsi dwoje to jego starszy brat i siostra). Od początku wychowywał się z pracującymi w Harberton Indianami – początkowo tylko z plemienia Jaganów, później również z mieszkającymi w głębi Ziemi Ognistej Ona, żyjącymi głównie z polowań na guanako i uznawanymi czasem za najlepszych tropicieli i łuczników na świecie. Nazwa Ona, czyli ta, która się przyjęła, pochodzi z języka Jaganów i oznacza Ludzi Północy – sami nazywali się Selknam, co oczywiście oznacza po prostu ludzi. Ona zawładnęli wyobraźnią i życiem Lucasa do tego stopnia, że nie tylko poznał ich język, ale też uznano go w końcu za honorowego członka plemienia. Jako jedyny biały w historii został dopuszczony do będących rytuałem przejścia świętych ceremonii Hain. Zarówno Thomas, jak i Lucas potrafili się odwdziżyć za zaufanie. Obaj zdawali sobie sprawę, że biali będą się przenosić coraz dalej na południe i że życie w zgodzie z tradycją prędzej czy później stanie się dla miejscowych niemożliwe. I robili wszystko, żeby uchronić Indian przed zgubnymi skutkami kontaktu z żądnymi zysku zdobywcami.



Ona

Lucas Bridges został odkrywcą i reformatorem. Wytyczał w lasach nowe szlaki, rozwijał hodowlę owiec i bydła, a jednocześnie asymilował Ona do nowych warunków i włączał ich w swoją gospodarkę. Tym, co sprawia, że tak bardzo szanuję wspomnienie o tych pierwszych osadnikach, jest to, że i ojciec, i syn, jako pierwsi w historii obu Ameryk, zatrudniając na swoich farmach Indian, płacili im dokładnie tyle samo co białym pracownikom, wywołując, rzecz jasna, oburzenie innych hodowców. Co więcej, kiedy Lucas wraz z braćmi Despardem i Willem w 1902 roku założyli ogromną Estancia Viamonte na północy Ziemi Ognistej, w tym samym duchu wspierali i chronili coraz częściej wchodzących w konflikty z białymi okolicznych Indian. Kilka lat po założeniu Viamonte pojawił się tam katolicki misjonarz z zamiarem nawracania miejscowych. O tym, jakim człowiekiem był Lucas Bridges, najlepiej świadczy to, że zaprosił go na farmę, dał mały domek, trochę krów i kóz, po czym oznajmił, że może rozmawiać z Indianami, jeśli będą chcieli go słuchać, ale jeśli się dowie, że próbował ingerować w ich tradycyjne obrzędy, będzie miał dwadzieścia cztery godziny na spakowanie manatków. Oczywiście przepelniony poczuciem misji gość umowy nie dotrzymał, za to Lucas owszem: zgodnie z obietnicą go przepędził. Wysiłki Thomasa i Lucasa, choć czynili je z poświęceniem, nie uratowały ani Jaganów, ani Ona, ale zapewne złagodziły i opóźniły ich zniknięcie. To dzięki Bridgesom wiemy sporo o kulturze i języku tych fascynujących ludów.

Historia Bridgesów i Harberton łączy się w pewnym punkcie z dziejami eksploracji Antarktyki. Wyprawa Adriena de Gerlache'a na statku „Belgica” po opuszczeniu Punta Arenas 23 grudnia 1897 roku dotarła do zatoki Lapataia, leżącej dwadzieścia kilometrów na południe od Ushuaia. Thomas Bridges, który wracał właśnie z Punta Arenas, gdzie jak zwykle apelował o uznanie praw rdzennej ludności, był na pokładzie. Trudności organizacyjne związane z załadunkiem czterdziestu pięciu ton węgla i zaszlachtowanych krów opóźniły ich po-

dróż (już i tak mieli ponad pięć tygodni opóźnienia, antarktyczne lato było w pełni) do Harberton. W końcu wyruszyli tam dopiero w noc sylwestrową. Planowali wraz z pasażerem zostawić ostatnie listy i uzupełnić zapasy świeżej wody. Niestety zignorowali ostrzeżenia Bridgesów i postanowili dotrzeć do estancji w nocy – żeglując w ciemnościach po nieznanymi wodach, utknęli na mieliźnie i w sztormie, który się rozpętał, o mało nie zatopili statku. Po wielu godzinach bezskutecznej walki w końcu dopisało im szczęście: ogromna fala niespodzianie zmyła „Belgicę” z płycizny i uwolniła lekkomyślnych podróżników. Przyszli polarnicy schronili się w Puerto Toro, po drugiej stronie Kanału Beagle, i do Harberton wrócili dopiero trzeciego stycznia. W ciągu kolejnych trzech dni nie udało im się wprawdzie wziąć tyle wody, ile planowali, ale za to przekonali się, że Lucas ma ogromne doświadczenie i niezwykle umiejętności. I natychmiast zaproponowali, żeby wziął udział w wyprawie. Ten jednak odmówił, bo to, co się działo w ciągu ostatnich kilku dni, utwierdziło go w przekonaniu, że cała ekipa to beznadziejni żeglarze i szanse, że wrócą, są znikome. Frederick Cook, lekarz wyprawy, który później zdobył niechlubną sławę dzięki fałszywemu meldunkowi o zdobyciu McKinleya, a także dzięki niedającym się już zweryfikować roszczeniom do tytułu pierwszego zdobywcy bieguna północnego, zachwycił się opracowanym przez Thomasa słownikiem i usilnie namawiał autora, żeby mu przekazał rękopis. Obiecywał, że go wyda po powrocie z wyprawy, ale Thomas, podobnie jak jego syn, nie ufał umiejętnościom załogi „Belgiki” – i odmówił. Obiecał jednak, że odda rękopis, gdy zawiną do portu w drodze powrotnej. Zanim statek odpłynął, Bridgesowie zaopatrzyli podróżników w skóry guanako, dzięki którym myśliwi Ona komfortowo przeżywali patagońskie zimy, choć nic pod nimi nie nosili. Jak się później okazało, skóry te uratowały uczestników wyprawy podczas pierwszego antarktycznego zimowania w historii. Statek w końcu opuścił okolice Harberton i skierował się na Wyspę Stanów (Isla de los Estados), gdzie wreszcie udało im się zabrać wystarczający zapas wody, po czym ruszył na południe.

Thomas Bridges zmarł w tym samym roku. Kiedy w marcu 1899 roku „Belgica” jednak wróciła do Patagonii, Cook, który postanowił przez jakiś czas badać tamtejsze plemiona, przekonał Lucasa, żeby mu przekazał rękopis słownika. Długo nie spełniał obietnicy, aż w końcu, dwanaście lat później, przystąpił do wydania książki w Belgii – pod własnym nazwiskiem! Oszustwo zostało odkryte, ale wydanie dzieła znowu się opóźniło. W trakcie pierwszej wojny światowej i później rękopis kilkakrotnie ginął na wiele lat i odnajdował się w różnych miejscach w całej Europie. W końcu, w 1933 roku, został opublikowany w Austrii, w limitowanej serii trzystu egzemplarzy, które trafiły do bibliotek uniwersyteckich całego świata. Sam rękopis ginął i znowu się pojawiał w przeróżnych miejscach, łącznie z szufladą kuchennego kredensu w małej austriackiej wiosce. Ostatecznie w 1946 roku trafił do Muzeum Brytyjskiego. W 1987 roku ukazało się wznowienie słownika w liczbie dwóch i pół tysiąca egzemplarzy, wciąż opatrzonej notką „wyłącznie do obiegu prywatnego”. Jeden z nich szczęśliwie mam w swoich zbiorach. Kiedy słownik został opublikowany, na świecie żyły już tylko czterdzieści trzy osoby, w których żyłach płynęła krew Jaganów. Niemal cudem zachował dla nas język niezującego już ludu. Jest pewnie jedną z nielicznych książek, które same miały więcej przygód, niż ich mają w treści.

Harberton do niedawna zarządzali wnuk Thomasa Bridgesa, Tommy Goodall, i jego żona Natalie. Gospodyni była biologką morza i założyła na miejscu bardzo ciekawe muzeum. To u nich miałem przyjemność gościć. Oboje jednak już nie żyją, a ich potomkowie mieszkają



w Ushuaia. Harberton zostawili pod opieką wynajętych pracowników, którzy dbają o to, by to miejsce, miejsce o arcyciekawej historii, mogło trwać i pełnić edukacyjną rolę.

Płynąc na wschód Kanałem Beagle, mijamy Harberton dość szybko. Jeszcze jakieś cztery godziny i docieramy do ujścia kanału. Tu żegnamy się z pilotem. Zgodnie z argentyńskim prawem musi nam na kanale towarzyszyć, bo całość tej drogi wodnej jest traktowana jak podejście do portu. Tutejsi piloci może nie przeżywają najciekawszych rejsów na świecie, przez całe życie pływają tam i z powrotem, ale nieźle zarabiają. W każdym razie kapitanowie narzekają, bo mogliby sobie bez nich poradzić, ale zasady to zasady.

Na Atlantyku na ogół kierujemy się w prawo, w stronę Antarktyki. Tym razem jednak popłyniemy na północny wschód, ku Falklandom, zgodnie z trasą wycieczek, które trwają dwadzieścia dni i pozwalają dotrzeć nie tylko na samą Antarktydę, ale też do innych miejsc przez wielu uznawanych za najpiękniejsze na świecie.

Od Falklandów dzieli nas doba rejsu. Nie jest to wprawdzie Cieśnina Drake'a, ale właśnie na tym odcinku przeżyłem kiedyś jeden z najlepszych sztormów. Płynąłem wtedy swoim ulubionym statkiem, który wówczas nazywał się „Clipper Adventurer” (w roku 2012 został przemianowany na „Sea Adventurer”). Miał sto metrów długości i zabierał tylko trochę więcej niż stu pasażerów. Pływałem na nim w 2008 roku, gdy zakończyłem ostatnią z wypraw na Arctowskiego. Z pewnością darzę go sentymentem, ale prawdą jest też, że „Sea Adventurer” w idealny sposób łączy komfort z solidnością. Zdarzało mi się pracować na bardziej luksusowych statkach, bywałem też na równie mocnych, ale na nim wszystko idealnie się łączy. „Sea Adventurer” ma lodową klasę A-1. No i ma dźwigi na obu burtach i obszerne wrota na trzecim pokładzie, do których można opuszczać zodiaki, dzięki czemu kiedy do nich wsiadamy, dźwig opuszcza nas tylko o mniej więcej trzy metry i można opuszczać łodzie po obu stronach jednocześnie. Zwodowanie jedenastu pontonów trwa piętnaście minut i na żadnym innym znanym mi statku nie przebiega sprawniej.

Oprócz mnóstwa innych zalet „Sea Adventurer” ma również stabilizatory, czyli wysuwane z boków kadłuba skrzydła, które przecinają toń wodną na głębokości dwóch metrów i pomagają utrzymać statek w pionie. Takie stabilizatory świetnie się sprawdzają na otwartym, w miarę spokojnym morzu. Gdy statek płynie przez lód, są wciągane, a kiedy sztorm naprawdę szaleje, żadne stabilizatory nie pomogą i w sumie zaczynają trochę przeszkadzać.

Istnieją trzy nakładające się na siebie rodzaje bujania. Statek kolebie się oczywiście z burty na burtę, i to ten ruch stabilizatory tłumią najskuteczniej. Prócz tego dziób unosi się na falach i z nich spada. Jest jeszcze ulubiony ruch cierpiących na chorobę morską – korkociąg: kadłub wkręca się w morze, jakby je chciał odszypuntować. Statek bez stabilizatorów rusza się gwałtowniej, ale bardziej regularnie i łatwiej jego ruchy przewidzieć. Wielu woli taką dynamikę, bo przy większych falach stabilizatory co jakiś czas wysuwają się z wody. Wtedy opór nagle znika i cały statek gwałtownie się wzdryga, co oprócz mdłości wywołuje u wrażliwych atak przerażenia. Porządny sztorm zapewnia wszystkie te atrakcje w kombinacjach zmieniających się z każdą sekundą.

Podczas sztormu najlepsze miejsce to mniej więcej środek statku i jak najniżej – tam statek rusza się najmniej. Ja jednak najbardziej lubię stać wtedy na mostku i patrzeć, jak białe szczyty ogromnych fal przewalają nam się nad dziobem, sięgają po bokach naszej wysokości albo po prostu walą w okna, choć jesteśmy dobrych kilkanaście metrów nad powierzchnią wody (czy raczej bylibyśmy, gdyby ta powierzchnia zechciała tkwić w jednym miejscu).

Porządny sztorm uczy cierpliwości. Niewiele się wtedy dzieje, poza tym, że powoli płyniemy do przodu i rzuca nami we wszystkie strony. Kiedy mocno buja, odwołujemy wykłady (i tak nikt by nie przyszedł). Na ogół jest też zakaz wychodzenia na pokłady zewnętrzne, bo w takich warunkach łatwo wylecieć za burtę. Ci, którzy nie zalegają chorzy w kajutach, drzeмиą lub czytają w sali wykładowej, w bibliotece i w innych miejscach wspólnych. Wieczorami w barze siedzi grupka niedobitków. Wymieniają cwaniackie spojrzenia, pokazują sobie, jakimi to są twardzielami, choć przecież nie ma w tym żadnej ich zasługi. To idealny klimat do morskich opowieści. Z barmanami, zarządcą hotelu i innymi doświadczonymi żeglarzami można się powymieniać historiami o sztormach. Opowiadam o poharatanych drzwiach i fortepianie, który latał po całym barze na „Sea Explorerze”, ktoś inny wspomina o fali, która rozbiła okna na mostku na siódmym pokładzie, posyłając poszatkowanych rozbitym szkłem marynarzy i oficerów (jednym z nich był znany mi z wielu wizyt na Arctowskim polski kapitan) na wiele miesięcy do szpitala. Przypomina mi się, jak w restauracji przewrócił się za przyjaźniony kelner Geomar z Hondurasu. Wybił sobie łokieć i rozciął powiekę, tak że wymagała natychmiastowego założenia szwów. Sztorm nie ustawał, pacjenta położyliśmy na podłodze i próbowaliśmy go utrzymać w jednym miejscu (na każdej kończynie siedział jakiś człowiek). Gloria, wiecznie zmarznięta i przerażona lekarka z Panamy, która wsiadając na statek, nie wiedziała nawet, że płyniemy na Antarktydę – pośrednik zapomniał jej powiedzieć – klęczała z jego głową na kolanach i szyła. Jako jeden z cięższych w okolicy siedziałem za nią i ciasno obejmowałem ją w pasie, żeby się bujała jak najmniej. A statek szalał. Ale Gloria ani nie wydlubała mu oka, ani nie rozdarła igłą powieki. Założyła szew tak równy i delikatny, że w zasadzie nie ma po nim śladu.

Sztorm w drodze na Falklandy też przyniósł nam przygody. Siedziałem akurat w recepcji, w jednej z bardziej otwartych przestrzeni na pokładzie. We wszystkich innych miejscach są barierki, ściany, słupki albo przytwierdzone do podłogi fotele – coś, czego można się złapać. Statek właśnie wychylił się mocno na bakburtę. Przy takich przechyłach czasem na sekundę lub dwie kładziemy się na falach i następuje moment wytchnienia, choć podłoga sterczy w górę pod kątem ponad trzydziestu stopni. Zauważyłem, że wiele osób, które mało w życiu pływały, korzysta z tej chwilowej ulgi i wyraźnie się odpręża, zapominając, że jak coś się wychyla w jedną stronę, to za chwilę musi wrócić. I faktycznie – starszy pan, który w tej właśnie chwili biegiem dopadł lewej ściany, z uśmiechem rozluźnił palce, którymi ścisnął barierkę, nie zwracając uwagi na to, że jedną nogą stoi na ścianie. Nie zdążyłem krzyknąć, żeby się złapał, gdy statek gwałtownie wychylił się w drugą stronę, a nieszczęsny pasażer dosłownie przefrunął kilka metrów i wpadł w drzwi prowadzące do przedsionka przed zewnętrznym pokładem po prawej stronie statku, czyli na sterburcie. Rozległ się potężny trzask, a ja przypomniałem sobie o trzydziestocentymetrowym żelaznym progu na drugim końcu owego przedsionka, a zatem tam, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa powinna trafić jego głowa. Poczułem, że mam żołądek w gardle – byłem pewien, że za drzwiami znajdę bezgłowy drgający korpus i rozbryzgany wokół mózg. Na szczęście okazało się, że solidne drewniane drzwi wyhamowały impet lecącego ciała. Pan leżał na podłodze – były na niej ślady krwi – ale zatrzymał się kilka centymetrów przed zabójczym progiem. Jak się później okazało, miał pękniętą czaszkę i złamane biodro, ale poza tym nic ważnego mu się nie zepsuło. Przeżył. Następnego dnia dopłynęliśmy na Falklandy, do Stanley, i pacjent wyładował bezpiecznie w szpitalu. Brałem udział w mniej więcej stu wycieczkach i przeżyłem

kilkanaście dobrych sztormach, i ten wypadek wyglądał najgroźniej, choć rozbite głowy i nogi zdarzają się regularnie, bo zawsze ktoś wypada z koi.

Kilka dni później historia starszego pana nabrała dodatkowych barw. Jego stan był stabilny, lecz na tyle poważny, że konieczna okazała się operacja. Zarówno poszkodowany, jak i jego żona, która zsiadła ze statku razem z nim, uznali, że lepiej będzie przeprowadzić ją w ich rodzinnym Izraelu. W Stanley znaleźliśmy się w piątek i na szczęście udało nam się zorganizować transport na sobotę, ale pacjent, niestety, odmówił: religia zabraniała mu podróżyć w szabas. Na następny lot musiałby czekać prawie tydzień. Jego życie zawisło na włosku, ale na szczęście jego żona wykazała się rozsądkiem i determinacją i zdołała go przekonać, że jeśli w grę wchodzi kwestia życia i śmierci, podróż jest usprawiedliwiona.

Na statku stykamy się z różnymi religiami i na ogół dla każdej idziemy na takie ustępstwa, na jakie bez zaburzania planu wycieczki możemy. Kiedy są święta Bożego Narodzenia, sala wykładowa zostaje udekorowana i czasem odbywa się tam śpiewanie kolęd (o ile pasażerowie sami wszystko zorganizują), ale pozostałe części statku określa się jako strefę wolną od świąt, żeby nie narzucać jednej tradycji tym, których ona albo nie dotyczy, albo przed którą wręcz próbują uciec. Dla niektórych taka wycieczka to nadzwyczajny sposób przeżycia tego ważnego dla nich okresu, inni chcą całe to zamieszanie ominąć szerokim łukiem. Grupa, do której należeli oboje ewakuowani pasażerowie, poprosiła o zorganizowanie miejsca na tradycyjną szabasową kolację, i oczywiście to zrobiliśmy. Mieli też własnego kucharza, który dbał o koszerność potraw. Poza ścisłym przywiązaniem do tradycji nie było w nich nic osobliwego ani kłopotliwego. Zapraszali nawet na szabas, jeśli ktoś chciał lepiej poznać żydowską kulturę. Przeżyłem dzięki nim tylko jedno dziwne doświadczenie – pewnego sobotniego wieczoru odnalazła mnie młoda pasażerka z Izraela i zażenowana spytała, czy mogę jej oddać nietypową przysługę. Otóż dwoje ortodoksyjnych pasażerów kładło się spać i poprosili ją, żeby znalazła jakiegoś goja, który by wyłączył światło w ich kajucie. Sami nie mogli tego zrobić i jej też nie mogli o to poprosić, bo choć nie była religijna, to jednak była Żydówką. Zmuszaliby ją do popełnienia grzechu. Prośbę spełniłem, a mili starsi państwo uprzejmie i w dobrym nastroju mi za to podziękowali. Ja też się uśmiechnąłem i życzyłem im dobrej nocy.

Po dniu podróży przez Atlantycką Oceanicę dociera się na Falklandy. Archipelag tworzą dwie duże wyspy (Falkland Wschodni i Zachodni) i siedemset siedemdziesiąt sześć mniejszych wysepek o łącznej powierzchni około dwunastu tysięcy kilometrów kwadratowych. Mieszka na nich nieco mniej niż trzy tysiące ludzi, z czego zdecydowana większość w Port Stanley, stolicy terytorium i jedynym miasteczku na wyspach. A to znaczy, że jest tam bardzo pusto, a zatem jest bardzo dużo miejsca dla przyrody, o ile tylko się zmieści między owcami.

Falklandy leżą na północ od konwergencji antarktycznej, są więc określane jako wyspy subantarktyczne. Od wybrzeży Ameryki Południowej dzieli je niecałe pięćset kilometrów. Dlatego żyjące tu organizmy stanowią mieszaninę gatunków południowoamerykańskich, antarktycznych, kosmopolitycznych (występujących na całym świecie) i endemicznych, czyli spotykanych tylko tutaj.

Tutejszy krajobraz to łagodne wzgórza pokryte trawą i torfem, czasem ze strzelistymi kłami na brzegach. Jest też dużo piaszczystych plaż i skalnych osypisk, ale nie ma drzew, chyba że ktoś sobie zasadził w pobliżu domu. Praktycznie każda z wysp, poza dwoma największymi, jest czyjąś własnością, często od dwustu lat. Niektóre co jakiś czas są wystawiane na

sprzedaż i gdybym kiedyś wygrał na loterii, na pewno poważnie bym to rozważył. Klimat jest fantastyczny – wieje, ale nigdy nie jest ani za zimno, ani za gorąco. Nic dziwnego, że brytyjscy osadnicy poczuli się tu jak w domu.



Walentynka od albatrosów czarnobrewych

Kiedy dopływamy do Falklandów, zwykle pierwszego dnia odwiedzamy dwie spośród kilku wysp na północno-zachodnim krańcu archipelagu. Najczęściej są to Saunders Island i Westpoint Island, ale czasem przybijamy też do New Island albo Carcass, na której przyroda jest najdziksza. W każdym z tych miejsc mieszka bardzo gościnna i serdeczna rodzina. Wyjątkiem jest New Island, na której są dwie serdeczne rodziny. Ich domy stoją jakieś sto metrów od siebie, ale stosunki dyplomatyczne zostały zerwane kilkadziesiąt lat temu. Chodzą plotki o jakichś romantyczno-pozamałżeńskich dramatach. Z gościnności szczególnie znana jest West Point Island: tam na odwiedzających zawsze czeka wystawne przyjęcie z kilkunastoma rodzajami pysznych domowych wypieków. Właścicielka wyspy jest już w podeszłym wieku i mieszka teraz w Stanley, a wyspą zarządzają Theas i Kiki, para żeglarzy, którzy wpadli tu na chwilę trzy lata temu i jakoś nie mogą odpłynąć. Kiki mówiła, że gdyby od razu zaproponowano im trzyletni kontrakt, odpłynęliby następnego dnia. Właścicielka poprosiła jednak sprytnie tylko o rok. Wiedziała, że trudno to miejsce opuścić. Poza ogólną samodzielnością i smykałką do zarządzania farmą owiec, turystami, pięknym stuletnim domem i sławnym ogrodem umiejętność pieczenia ciast była jednym z podstawowych kryteriów.



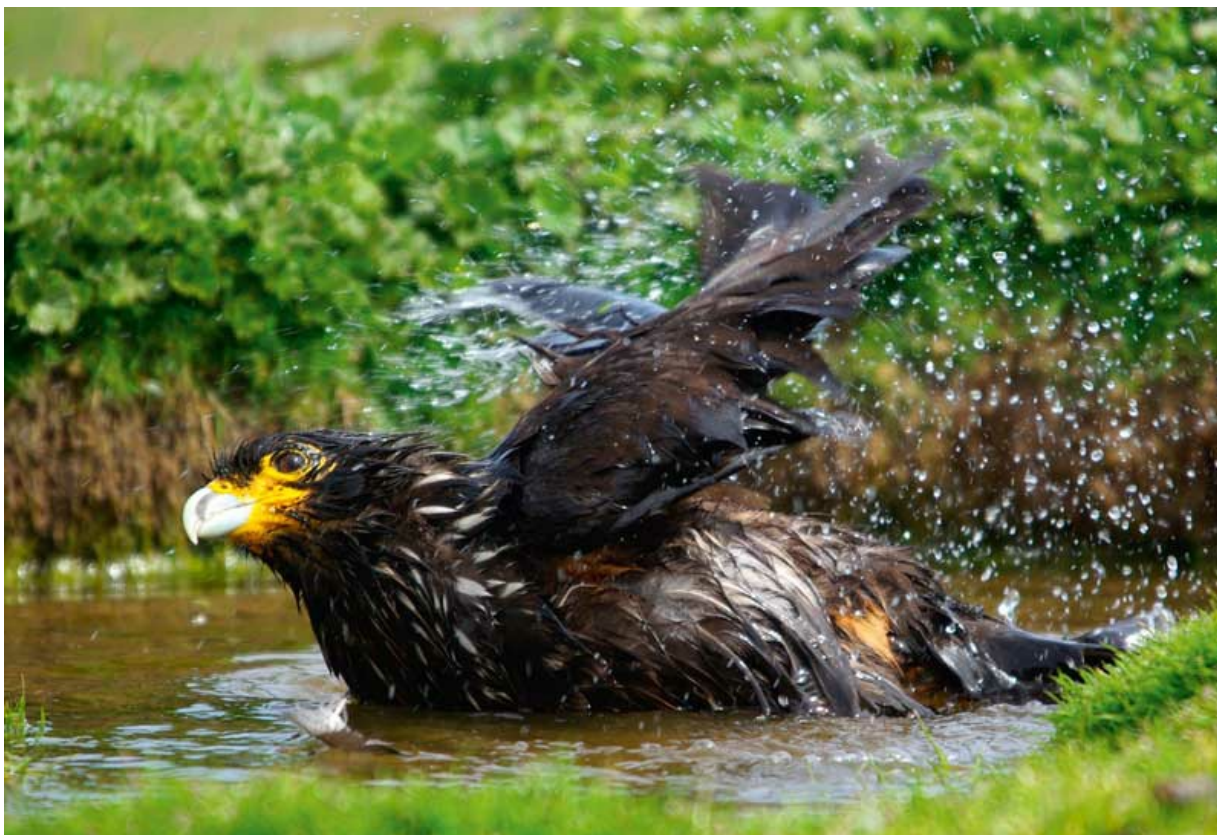
Kłótnia sąsiedzka – jeden z albatrosów czarnobrewych nadepnął na skocza skalnego

Ale choć rozmowy z wyspiarzami, zwłaszcza kiedy się ich zna od lat, należą do niewątpliwych atrakcji, nie po to tam przyjeżdżamy. Na każdej z tych wysp znajdują się kolonie pingwinów i albatrosów czarnobrewych, niezwykle pięknych i dostojnych ptaków (chyba że akurat łążą po okolicy – wtedy ich dostojność bywa dyskusyjna). Rozpiętość ich skrzydeł przekracza dwa metry. W kilku miejscach (na przykład na West Point) można podejść całkiem blisko ich gniazd. Albatrosy składają jaja na wysokich kopcach z gliny, między którymi gnieźdzą się z kolei chyba najśmieszniejsze ze wszystkich pingwinów – skocze skalne. Skocze są małe i mają na skroniach filuterne żółte piórka. Wyglądają jak para bardzo krzaczystych brwi. W dodatku bez przerwy się miziają, a jeśli nie, to nawołują się rozkosznym rrrrkkku, rrrkkkuu, rrrrkkkuuu. Na ogół żyją z albatrosami w zgodzie, poza chwilami, gdy jakiś dużo większy sąsiad, schodząc z gniazda, nieuważnie na któregoś nadepnie – wtedy wybucha awantura. Albatrosy czarnobrewe wyglądają z kolei tak, jakby nosiły elegancki makijaż z ciemnymi kreskami nad oczami, ładnie kontrastującymi z delikatnym różem ich dziobów. One też spędzają dużo czasu na pieszcotach. A to w połączeniu ze świadomością, że żyją pięćdziesiąt lat i cały czas z tym samym partnerem, dodaje im godnego pozazdroszczenia uroku. Inna sprawa, że ptaki te widują swoich partnerów tylko przez kilka miesięcy w roku, a nawet wtedy nie spędzają za dużo czasu razem: mijają się, gdy jedno wraca najeźdzone do gniazda, a drugie wyrusza na żer.



Sępnik, czyli urubu różowogłowe

Kiedy przyplwamy, oba gatunki mają już pisklęta, co z jednej strony zapewnia zwiedzającym dodatkową dawkę słodyczy, a z drugiej przyciąga mnóstwo głodnych drapieżników. Dlatego nad koloniami niemal ciągle widać krążące sępniki, czyli urubu różowogłowe, jedne z najbardziej typowych łowców i padlinożerców obu Ameryk. Ale na Falklandach to nie one są najbardziej znanymi rabusiami. Latają tu falklandzkie karakary, duże i bezczelne ptaki z rodziny sokołowatych. Należą do najrzadszych ptaków drapieżnych świata, bo występują prawie wyłącznie na Falklandach – tutaj jest ich około pięciuset par i widać je wszędzie. Nie zwracają uwagi na ludzi i zawsze są gotowe do działania, wciąż szukają okazji do rabunku. Mówi się, że są najodważniejsze ze wszystkich ptaków drapieżnych, bo to właśnie karakara jako jedyna została kiedyś przyłapana na próbie urwania ogona żywej krowie. Nie wiem, jak ta historia się skończyła, ale samo podjęcie próby zasługuje na szacunek.



Karakara falklandzka zupełnie nie przejmuje się moją obecnością

Na Saunders Island ukształtowanie terenu nie pozwala podejść do kolonii aż tak blisko, ale za to jeśli się siądzie parę metrów od gniazd, zarówno skocze, jak i albatrosy podchodzą same. W drodze do kolonii mija się trzy inne gatunki pingwinów: białobrewy, królewskie i magellańskie. Zwłaszcza te ostatnie są tu wyjątkowe, choć występują w całej Patagonii. Ale dalej na południe ich nie spotkamy. W odróżnieniu od większości innych pingwinów magellańskie żyją w norach. Tradycyjnie tłumaczy się to potrzebą obrony przed drapieżnikami, takimi jak nibylis argentyński (ha! Udało mi się użyć w zdaniu tej nazwy, rodem z *Alicji w krainie czarów*), czyli mały szary lisek zamieszkujący Amerykę Południową i w latach dwudziestych XX wieku zawleczony na niektóre z tutejszych wysp. Nowsze badania sugerują jednak, że chodzi o termoregulację. Wszystkie pingwiny dobrze znoszą chłód, a gatunki, które kopią nory, żyją w najcieplejszych miejscach zamieszkiwanych przez te ptaki. Pingwiny chronią się pod ziemią podczas największych upałów.

Na Falklandach rzeczywiście bywa ciepło, zwłaszcza kiedy przybywa się tam w pełnym rynsztunku kierowcy zodiaka. Saunders Island jest przedzielona dość wąskim przesmykiem zwanym The Neck (czyli szyja). To tam się ląduje – w zależności od kierunku wiatru po jednej lub drugiej stronie. Po obu są duże piaszczyste plaże i płytka woda, w związku z czym jeśli wieje od morza, tworzą się ogromne fale przyboju. Chyba jedne z największych, jakie znam. Kiedy w grudniu 2008 roku wylądowałem tam po raz pierwszy, było strasznie gorąco – siedemnaście stopni Celsjusza, słońce i zero wiatru. (Dzieliłem wtedy kajutę z fajnym Szwedem o imieniu Niklas, który od lat żyje na Spitsbergenie i pracuje jako maszer, czyli poganiacz psów). Właśnie skończyliśmy pływać na zodiakach, wszyscy pasażerowie znaleźli

się na brzegu, a my mieliśmy trochę wolnego. Staliśmy na wzgórzu i patrzyliśmy na długą piaszczystą plażę wychodzącą w błękitny ocean, i nawet nie pamiętam, który z nas powiedział, że fajnie by było się wykąpać. Nie mieliśmy oczywiście kąpielówek, stwierdziliśmy więc, że pójdziemy na najdalszy koniec plaży i wykapiemy się na golasa. Napotkanych po drodze turystów skwapliwie kierowaliśmy w drugą stronę („Widzieliście już pingwiny królewskie? Nieeee? Taaaaam są!”). Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie poza pingwinami i karakarami nie było już nikogo. Najbliżsi ludzie łazili kilkaset metrów dalej. Stwierdziliśmy, że jeden z nas musi zostać na brzegu i pilnować sterty ciuchów i sprzętu, bo karakary okazywały spore zainteresowanie, podobnie jak dwie towarzyszące nam od kilku minut skuy. Niklas pobiegł pierwszy – muszę przyznać, że goły błądy facet pływający w wysokiej fali pełnej wracających na brzeg pingwinów to niezapomniany widok. Ja musiałem wyglądać równie pociesznie, bo gdy wróciłem, żeby się ubrać, mój kolega pękał ze śmiechu.

Poza okazjonalnymi golasami wody wokół Falklandów obfitują w fascynujące stworzenia o przedziwnych nazwach. Regularnie spotykamy toniny czarnogłowe i delfinowce południowe. Nie mam pojęcia, kto wymyśla te nazwy, ale na szczęście te ciekawskie i atrakcyjne zwierzęta mają również bardziej zrozumiałe imiona: delfin czarnogłowy (lub Commersona) i delfin południowy. Oba gatunki są czarno-białe, nieduże i wzbudzają ogromną sympatię, zwłaszcza te pierwsze. Są naprawdę małe (mierzą jakiś metr), mają okrągłe pyski i płetwy grzbietowe i często podpływają do zodiaków. Czasem nazywamy je piśszczotliwie dziećkami orek, bo rzeczywiście przypominają miniaturki tych wspaniałych władców oceanu, ale mnie najbardziej podoba się ich miejscowa ksywa: morskie prosiaki. Spotkanie z liczącym około sześćdziesięciu osobników stadem tych delfinów – chciały się z nami pobawić – to jedno z moich najlepszych wspomnień. Nie tylko z Falklandów. Choć trochę się cieszę, że nie podpłynęły do mnie, kiedy się kąpałem...

Cały następny dzień zwykle spędzamy w Stanley. I tak musimy tam popłynąć, żeby formalnie znaleźć się na terytorium brytyjskiej dependencji. Pierwszy taki stempel nastreczył mi kiedyś sporych kłopotów.

Było to po XXX Polskiej Wyprawie Antarktycznej. Spędziłem właśnie pół roku na stacji, ale z powodu badań musiałem zostać możliwie najdłużej. Kłopot w tym, że „Polar Pioneer” wracał do nas jakoś na początku marca albo nawet w lutym. Z rozkładu jazdy wynikało jednak, że w połowie marca zawinie do nas „Nordnorge” z Tomaszem Holikiem jako szefem. Te ponad dwa tygodnie pozwalały mi pobrać potrzebne próbki, więc upewniłem się, że będę mógł z nimi wrócić aż do Buenos Aires. W zamian chcieli tylko, żebym wygłosił wykład, coś o mojej pracy – przygotowałem wtedy prezentację o słońcach morskich, pod tytułem *Sex on the Beach*. To była rewelacyjna wycieczka, a prezentacja musiała się spodobać, bo w następnym sezonie Tomasz zaproponował mi pracę. Z Arctowskiego najpierw popłynęliśmy na Georgię Południową, potem na Falklandy, aż w końcu do Buenos, skąd miałem wyruszyć w pięciodniową wólczącę po Ameryce Południowej.

No i niestety – do Argentyny wpuścili wszystkich poza mną. Tomasz, Argentyńczyk polskiego pochodzenia, oznajmił mi o tym z wyraźnym zażenowaniem. Kiedy zapytałem, o co chodzi, pogranicznik wskazał na mój paszport:

– Tutaj jest stempel, że wjechałeś do Argentyny pół roku temu. Później byłeś na Antarktydzie, ale okej, to też część Argentyny. Potem jednak byłeś na Georgii Południowej, czyli w obcym kraju, ale nie masz stempla, że opuściłeś Argentynę. Najgorzej, że potem byłeś na



naszych Malwinach i tam powinni ci wbić stempel, że wjeżdżasz, ale chwilowo nie mamy tam urzędu. Więc nie możemy cię teraz wpuścić do Argentyny, bo cały czas tu byłeś, a jak nie, to wpuścili cię na Malwinach. Jak mamy cię wpuścić, skoro nie wyjechałeś?

Między innymi dzięki temu w Argentynie czuję się jak w domu. Cała ta sytuacja przypominała film Barei. Impas trwał ponad cztery godziny, a ja miałem w głowie piosenkę *Don't cry for me, Argentina, the truth is I NEVER LEFT YOU...* Tomas użył całego swojego uroku i niebagatelnych znajomości, bo w końcu oficer wrócił rozpromieniony:

– No dobrze, to jednak cię wpuścimy, ale na tymczasowej wizie. W ciągu doby musisz wyjechać!

Tomas zasugerował, żebym skoczył na jednodniową wycieczkę na drugą stronę La Platy, do Urugwaju. Sęk w tym, że prom kosztował blisko sto dolarów w jedną stronę, a ja i tak za parę tygodni planowałem przez Urugwaj wracać i nie miałem zamiaru tracić tylu pieniędzy. Po kolejnej półgodzinie zaproponowali: „no dobra, nie musisz wyjeżdżać, miłej podróży po Argentynie, tylko nie przekraczaj już żadnych granic!”. Niestety, zaplanowałem, że po dwóch tygodniach wjadę do Brazylii i odwiedzę tam przyjaciół w różnych miejscach, a potem wrócę przez Urugwaj. Plan był taki dlatego, że na granicy brazylijsko-urugwajskiej jest miasto, przez które po prostu musiałem przejechać. Po stronie urugwajskiej nazywa się Chuy, a po brazylijskiej – Chui, więc sami rozumiecie. Polecam, zwłaszcza że na szyldach nazwa ta pojawia się często i na przykład sklep elektryczny nazywa się Electrochui, w trosce zaś o stan ulic wszędzie rozwieszono plakaty z napisem *Mantenha o seu Chui limpo*: utrzymuj swoje Chui w czystości. No cóż, staram się.

Te radości miały mnie spotkać dopiero za kilka tygodni. Na razie już piątą godzinę tkwiłem na granicy z coraz bardziej sfrustrowanymi oficerami i bardzo już zirytowanym Tomaszem. W końcu jednak oznajmili, że mogą podróżować i przekraczać granice, ale nie wbiją mi pieczętki w paszporcie, tylko na osobnej kartce, którą będę musiał oddać na granicy. Jeśli tę karteczkę zgubię, to będą mnie musieli zastrzelić. Oczywiście kiedy w końcu wyjeżdżałem z Argentyny i cenną karteczkę przekazywałem oficerowi na granicy, spodziewając się, że będę musiał mu udzielić długich wyjaśnień, ten ledwo na nią zerknął i puścił mnie bez słowa.

Właśnie, Stanley. Gdyby ktokolwiek miał wątpliwości, jak to jest z tymi Malwinami i Falklandami, czyje to jest, a czyje powinno być, powinien tu przyjechać. Stanley jest bardziej brytyjskie niż jakiegokolwiek znane mi brytyjskie miasteczko. Stoją tu czerwone budki telefoniczne i czerwone skrzynki na listy, a jeszcze kilka lat temu jedynymi samochodami na ulicach były land-rovery. Są też trzy kapitalne puby (oraz restauracje i kluby, ale widziałem tylko szyldy), każdy o nieco innym charakterze. Chyba najpopularniejszy i oferujący zdecydowanie największy wybór piwa to Victory Bar. Dbają tu o wystrój: na przykład w męskim klubie od lat wisi na ścianie deska klozetowa. Jeszcze w zeszłym roku po jej podniesieniu ukazywał się portret Leopolda Galtieriego, argentyńskiego prezydenta z wojskowej junty, który w kwietniu 1982 roku napadł na wyspy, zaczynając wojnę falklandzką z Wielką Brytanią. Dbają także o prząsną atmosferę – przed wejściem duży napis informuje, że bar jest przechowalnią mężów, że należy ich tam odstawić i odebrać po spokojnie zrobionych zakupach, a w menu są opisy typu: „żeberka – czyli kawałki świnek podawane z ziemniakami wyhodowanymi na tym, co ze świnek wylatywało, kiedy jeszcze żyły”. Poza tym atmosfera jest fajna i zawsze tam zaglądam. W sumie zawsze kiedy jestem w Stanley, zaglądam i piję we wszyst-

kich trzech pubach. Gdy tam płyniemy, zgłaszam się do wożenia ludzi zodiakami na brzeg i proszę, żebym po kilku godzinach nie musiał ich odwozić.



Prywatne muzeum wielorybnictwa w Stanley na Falklandach

Drugi pub to The Globe Tavern, położony tuż przy pirsie, więc odwiedzany zwykle w ostatniej chwili. Prosty bar z fajną muzyką, stołem bilardowym i tanią whisky. Ale mój ulubiony to Deano's Bar. Stoi przy jednej z bocznych ulic. Jest najobskurniejszy i najtańszy, ale to zdecydowanie mój klimat. To tu spędzają czas miejscowi pijacy, których znam całkiem nieźle. Bywam tam w końcu od paru lat. Przynajmniej część z tych barwnych typków, kompletnie narąbanych jeszcze przed południem, to miejscowi milionerzy, właściciele licznych nieruchomości. Nie pracują, bo nie muszą. Specjalnością Deano's, poza niskimi cenami i bezpretensjonalnym wystrojem, są napisy w stylu: „Prosimy nie pytać o lanie na kreskę, ponieważ strzał w pysk często uznawany jest za obraźliwy”.



Za barem w Deano's Bar, najlepszej knajpie w mieście

W Stanley mieszka nieco ponad dwa tysiące ludzi, czyli około trzech czwartych wszystkich Falklandczyków. Kolorowe domy i nadbrzeżne instalacje ciągną się wzdłuż niemal zamkniętej zatoki Stanley Harbour. Jest tu niezłe muzeum i kilka ciekawych domów, na przykład ten, którego ogród wypełniony jest całą armią gipsowych krasnali, albo ten, którego właściciel jest zagorzałym obrońcą wielorybów i w swoim obejściu zrobił na ten temat wystawę, z czaszkami, szkieletami i harpunami. Poza tym jest oczywiście kilka dużych sklepów z pamiątkami i ciekawe centrum informacji turystycznej.

Zakuplowałem się z facetem, który mieszka tu całe życie. Pochodzi z jednej z najstarszych miejscowych rodzin i prowadzi sklep z częściami samochodowymi. Zna wszystkich i wszyscy znają jego. I chyba na tym polega problem. Wyobrażam sobie, że trudno znaleźć kogoś w miasteczku, w którym jest się spokrewnionym z połową mieszkańców, a połowa spośród pozostałych nie jest odpowiedniej płci, a spośród reszty tylko niewielka część jest w odpowiednim wieku, a poza tym z większością już się kiedyś chodziło, ale coś nie wyszło. Kilka lat temu wraz ze mną dotarła do Stanley turystka z Australii – i bardzo jej się spodobało. Ponieważ z zawodu jest elektryczką, powiedziałem jej, że znam gościa, który z pewnością będzie wiedział, czy nie znalazłaby się dla niej praca. Przypadli sobie do gustu na tyle, że ona była na Falklandach już parę razy, a i on odwiedzał ją w Australii, pierwszy raz w życiu opuszczając wyspy, choć ma już czterdzieści pięć lat. W tym roku po raz pierwszy spotkałem ich tam razem (dotąd jakoś niefortunnie się z nią mijałem) i czułem się jak ojciec chrzestny.

Po przeciwnej stronie zatoki znajduje się jedna z miejscowych atrakcji – malownicza za-

toczka Gypsy Cove. Są tu fajne klify, na których można spotkać miejscowe ślepowrony i myszołowy, a nawet bekasy magellańskie, kropka w kropkę jak nasze. Jeśli się ma dużo szczęścia, można spotkać płomykówkę, uszatkę błotną lub sokoła wędrownego. Wszystkie należą do tych samych gatunków (tylko innych podgatunków) jak ptaki występujące w Polsce.

Raz postanowiłem wrócić z Gypsy Cove do Stanley na piechotę. Miły spacer wzdłuż brzegu, spotyka się sporo przyrody i trochę historii (dwa wraki i działo z początku XX wieku), ale droga przez przemysłową część miasteczka już mi się dłużyła. Pewnie bym żałował – to prawie dwie godziny, dziesięć kilometrów – gdyby nie pewien incydent, który utwierdził mnie w przekonaniu, że to jednak świetne miejsce do życia. Szedłem poboczem i nagle zobaczyłem dom: szeroko otwarta brama wiodła do równie szeroko otwartych drzwi. Na stole stała damska torebka – w pobliżu nikogo. I kiedy już miałem ten dom minąć, podjechali wracający z zakupów gospodarze. Roześmiana pani powiedziała do męża:

– Popatrz, znowu zapomnieliśmy zamknąć drzwi. Mam nadzieję, że wiatr niczego nie przewrócił.

Nawet nie wspomniała o tym, że ktoś mógł ich okraść. Myślę, że w Stanley żyje się całkiem nieźle.

Zwykle koło czternastej odpływamy w stronę Georgii Południowej, obkupieni w pamiętki po uszy i często trochę pijani. Dlatego na ogół tego popołudnia nic się nie dzieje, aż do wieczornego podsumowania. A jest o czym opowiadać. Zawsze w tym momencie myślę o historii gatunku, który chyba najlepiej ilustruje podejście ludzkości do przyrody: o wilczaku czy też wilku falklandzkim.

Kiedy Karol Darwin w 1833 roku zobaczył to zwierzę po raz pierwszy, ze zdziwieniem zapisał w swoim naukowym dzienniku: „O ile mi wiadomo, nie ma drugiego przykładu na świecie, gdzie by tak mała przestrzeń lądu, porozrywanego w wielu miejscach i odległego od kontynentu, posiadała tak wielkie, jej tylko właściwe i pierwotne tuziemne zwierzę ssące”. Słynny naukowiec może trochę przesadził, nazywając wilka falklandzkiego wielkim, bo było to zwierzę raczej średniej wielkości, w połowie drogi między wilkiem a lisem. Do niedawna za jego najbliższego krewnego uważano południowoamerykańskiego wilka grzywiastego. Niestety szacowane dzięki analizom DNA obu gatunków daty ich rozejścia się nijak nie pozwalały wyjaśnić, skąd te ssaki się wzięły na Falklandach. Tajemnica jego pochodzenia wyjaśniła się całkiem niedawno, w roku 2013. Wilk grzywiasty faktycznie jest jego najbliższym żyjącym krewnym, okazało się jednak, że znacznie bliżej wilki falklandzkie spokrewnione były z jednym z wymarłych psowatych Ameryki Południowej, gatunkiem *Dusicyon avus*. Różnice w DNA wskazywały, że te dwa gatunki rozeszły się dopiero jakieś szesnaście tysięcy lat temu, czyli znacznie później niż wilk falklandzki z grzywiastym. W tym samym czasie odkryto podwodne tarasy u wybrzeży Argentyny i ustalono, że w trakcie ostatniego zlodowacenia poziom oceanu był znacznie niższy, zaś między kontynentem a wyspami istniał dwudziestokilometrowej szerokości przesmyk, który zapewne w zimie zamarzał, więc wilki z łatwością mogły po nim przejść.

Darwin zauważył również niezwykłą ufność tego zwierzęcia, którą zresztą odzwierciedla jego łacińska nazwa: *Dusicyon australis*, niemądry pies z południa. Opisywał, jak pasterze zabijali je dla przyjemności (właśnie ten obraz tkwi w mojej głowie jako ilustracja naszego

podejścia do przyrody): jedną ręką podawali im kawałek mięsa, a gdy ufnie za niego chwytaly, dźgali je nożem, który trzymali w drugiej. Darwin przewidział, że wilki falklandzkie znikną z powierzchni ziemi, „nim zgnije papier, na którym je opisano”. I rzeczywiście – choć na początku XIX wieku były jeszcze dość liczne na obu głównych wyspach archipelagu, na Falklandzie Wschodnim zostały przez żeglarzy i łowców futer wybite już w 1840 roku, na Zachodnim zaś, w wyniku trucia i palenia żywcem przez pasterzy, trzydzieści sześć lat później. Na całym świecie jest tylko jedenaście wyleniałych, wypchanych okazów wilka, który za bardzo zaufał ludziom, by przeżyć.

Z Falklandów na Georgię Południową płynie się co najmniej dwa dni. Nasza prędkość wynosi około dwunastu węzłów (dwunastu mil morskich na godzinę). Ze wszystkich imperialnych miar mila morska jako jedyna ma sens, bo w uproszczeniu odpowiada długości katowej jednej minuty szerokości geograficznej (każdy stopień ma ich sześćdziesiąt, zaś stopni między równikiem a biegunem jest oczywiście dziewięćdziesiąt), czyli około 1852 metrom. W takim tempie w ciągu doby pokonujemy więc nieco ponad pięćset trzydzieści kilometrów. Georgia jest naprawdę daleko.

Drugiego dnia robi się chłodniej, a wokół statku lata coraz więcej ptaków. Widzimy dużo albatrosów czarnobrewych, nieco mniej szarogłowych i kilka wędrownych. Zwłaszcza te ostatnie – z rozpiętością skrzydeł dochodzącą do trzech i pół metra (to największe ptaki latające świata) – wyglądają jak nieduże samoloty. Tyle że latają dużo lepiej. Wszystkie albatrosy mają w skrzydłach mechanizm blokujący, który usztywnia ich skrzydła i sprawia, że podczas lotu zużywają dokładnie tyle samo energii co wtedy, gdy siedzą na wodzie. Ale tylko wtedy, gdy wieje wiatr. Ptaki morskie wykorzystują do lotu jego odbijające się od fal podmuchy i kiedy nic nie dmucha, unoszą się na powierzchni jak kaczki i czekają na lepsze czasy. Jeśli się ma szczęście, można dostrzec chyba najpiękniejszego oceanicznego lotnika – albatrosa ciemnogłowego. Nie wiem, skąd się wzięła jego polska nazwa, bo owszem, głowę ma ciemną, ale całą resztę smukłego ciała również. Albatrosy ciemnogłowe są mniej więcej tej samej wielkości co czarnobrewe i szarogłowe, czyli ich skrzydła mają rozpiętość około dwóch i pół metra, ale dzięki ciemnopopielatemu ubarwieniu sprawiają wrażenie jeszcze bardziej eleganckich. A para w synchronicznym locie godowym to jeden z najpiękniejszych widoków, jakie ta część świata może nam zaoferować. Amerykański ornitolog Robert Cushman Murphy tak się w 1912 roku podekscytował, że stwierdził: „Należę teraz do wyższej sekty śmiertelników, zobaczyłem bowiem albatrosa!”. I trudno mu się dziwić.

W porównaniu z nimi cała reszta ptasiego tłumu, który nas teraz śledzi, wygląda jak drobiazg. Może z wyjątkiem petreli olbrzymich, dorównujących wielkością mniejszym albatrosom. Najwięcej widzimy kontrastowo ubarwionych warcabników. Po hiszpańsku nazywają się *petrel pintado*, czyli petrel malowany, bo wyglądają, jakby ktoś ciemnego ptaka pochłapał białą farbą. Oprócz nich latają wokół nas petrele, petrelki, burzyki, nawałniki i cała chmara innego skrzydlatego tałatajstwa zwabionego pokusą łatwego posiłku. W odróżnieniu od statków rybackich nie wyrzucamy wprawdzie do wody większości złowionych stworzeń, ale nasze śruby mielą wodę, wynosząc na powierzchnię to, co miało pecha znaleźć się na kursie. Prócz tego burta statku to taki ruchomy klif, od którego odbija się wiatr, więc koło nas łatwiej jest latać. A poza tym myślę, że na pustym oceanie każdy ruchomy obiekt po prostu wzbudza zainteresowanie, dlatego ptaki nas lubią.

Jest ich tak dużo, bo właśnie dotarliśmy do konwergencji antarktycznej. Choć jesteśmy na otwartym oceanie, przekraczamy wyraźną, mierzącą raptem kilkaset metrów szerokości granicę, za którą zaczyna się Antarktyka. To tu zimne wody z południa spotykają się z cieplejszymi, z bardziej umiarkowanych stref – ale się nie mieszają. Chłodniejsze, gęstsze i cięższe masy wody toną pod lżejszymi, ale na powierzchni styku pociągają je ze sobą w głąb. Te lżejsze z kolei, kiedy już zostaną zawleczone w pobliże dna, zaczynają się unosić ku powierzchni, zabierając przy okazji wszelkiego rodzaju osady z głębin. W strefie konwergencji antarktycznej trwa więc nieustanny ruch, ciągłe krążenie mas wody i ustawiczne dostarczanie minerału na powierzchnię. To oczywiście prowadzi do bujnego rozwoju fitoplanktonu, który jest zjadany przez zooplankton, w tym także przez kryla. Kryl antarktyczny nie jest zbyt wielki (te krewetkopodobne stworzenia dorastają do siedmiu centymetrów) i rozmnaża się tak, że właściwie wszystko to, co w Antarktyce mieszka, albo się nim żywi bezpośrednio, albo zjada kogoś, kto to robi. Dlatego kryl jest prawdziwym superbohaterem regionu. Kiedy kilka lat temu linia konwergencji, która zwykle przesuwa się nieco z miesiąca na miesiąc i z roku na rok, przesunęła się tak, że przestała obejmować Georgię Południową, kryl znikł z jej okolic i ani uchatki, ani pingwiny nie zdołały wyżywić młodych.

Ale to nie wszystko. Płyniemy teraz wzdłuż grzbietu Scotia. Ocean jest płytszy i do ruchu wody generowanego konwergencją dochodzi upwelling związany ze zmianą głębokości, podobnie jak wokół Svalbardu. Dlatego wody, na których się teraz znajdujemy, to najżyźniejsze wody na świecie. Nawet często towarzysząca konwergencji mgła nie jest w stanie przesłonić tego, że zarówno woda, jak i powietrze nad nią dosłownie kipią od życia.

Nagle z mostka dobiega komunikat, że dopływamy do Shag Rocks. To niezwykle miejsce. Ni stąd, ni zowąd, na środku pustego oceanu, wyrasta kilka strzelistych skał – szczyty podwodnych gór, które podobnie jak cały grzbiet Scotia są właściwie przedłużeniem Andów. Wystają kilkadziesiąt metrów ponad poziom morza. Są czarne, pionowe i dosłownie oblepione ptakami, głównie kormoranami niebieskokookimi, znanymi też z Patagonii, Falklandów i Antarktyki. Jest to dla nich nie tylko jedyne w promieniu kilkuset kilometrów, ale również doskonałe miejsce do gniazdowania. Dzięki wypłyce i bliskości konwergencji antarktycznej to także doskonałe miejsce do żerowania. Dlatego obserwujemy tu nie tylko tysiące ptaków, ale również humbaki i finwale, a czasem również wale południowe albo delfinowce krzyżowe, czyli delfiny krzyżowate, z charakterystycznym krzyżem na boku, najbardziej oceaniczne z typowych południowych delfinów.



Kormoran błękitnooki

Kiedy jednak byłem tam ostatnio (23 grudnia 2015 roku), czekała nas wyjątkowa gratka. Shag Rocks zostały już w tyle, nastał wieczór, gdy nagle usłyszeliśmy, że oficer stojący na mostku wypatrzył orki. Biegając z lornetką na górę, zderzyłem się na schodach z Liz, australijską biologką z naszego teamu. Wymieniliśmy spojrzenia, bo myśleliśmy o tym samym: jesteście tak daleko od lądu... czyżby to był typ D?

Orki to jedyne prawdziwie szczytowe drapieżniki na świecie. Lwy muszą uważać na bawoły, niedźwiedzia polarnego może zabić mors, a orka, kiedy ma ochotę na kawałek rybiej wątróbki, poluje sobie na żarłacza białego. Orki są nie tylko silne i szybkie. Są to też zwierzęta wybitnie inteligentne, dysponujące niezwykle precyzyjnymi zmysłami, potrafią się komunikować, uczyć i ściśle ze sobą współpracują. W oceanach nie ma nikogo, kto mógłby się z nimi równać. Gdybym wierzył w reinkarnację, chciałbym się narodzić ponownie właśnie jako orka. Nie dość że młoda orka dorasta w atmosferze miłości (stado przewodzą stare, nawet ponadstuletnie samice, a trzon grupy stanowią jej córki, wnuczki i prawnuczki) i inteligentnych konwersacji, wśród nieustannych podróży, ekscytujących przygód i bez troskich zabaw, to jeszcze w jej życiu przychodzi taki moment, kiedy sobie uświadamia, że nikt, absolutnie nikt na świecie nie podskoczy jej matce. Te największe z delfinowatych żywią się w zasadzie wszystkim, co żyje w oceanach. Od ryb, dużych i małych, przez morskie ptaki, po ssaki takie jak morświny, delfiny, otarie, weddelki, słonie morskie i wieloryby. Zamieszkują też praktycznie wszystkie morza świata, od rejonów polarnych po tropiki.

Ale orka orce nierówna. W różnych miejscach na świecie, a nawet w tym samym rejonie, populacje czy poszczególne klany różni nie tylko dieta, ale również ubarwienie i wielkość.

Badania nad ich wokalizacją wykazały też, że w różnych częściach naszej planety posługują się różnymi językami. Gdyby orkę z Antarktydy przewieźć na przykład do Kolumbii Brytyjskiej (gdzie są najintensywniej badane, to stamtąd mamy większość wiedzy), zapewne potrafiłaby się na podstawowym poziomie z miejscowymi porozumieć, tak jak ja wiedziałbym powiedzmy w Tanzanii, czy miejscowi się do mnie uśmiechają, czy mi grożą. Ale by sobie nie pogadała.

Część naukowców twierdzi, że populacje orki różnią się między sobą na tyle, że należy je uznawać nie za jeden gatunek, ale za zbiór kilku gatunków blisko spokrewnionych. Inni mówią, że to podgatunki, odmiany, rasy i tym podobne, ale najpowszechniej używa się słowa ekotyp. W różnych częściach świata występują różne, łatwe do odróżnienia ekotypy. Orki z Kolumbii Brytyjskiej, żywiące się rybami, określane są jako *resident* (lokalne), *transient* (dosłownie: przejezdne) polują na ssaki morskie, a *offshore* (dalekomorskie) żywią się najprawdopodobniej rekinami. U wybrzeży Atlantyku mamy Typ 1 i Typ 2, z kolei na półkuli południowej podobnie kreatywnie ponazywano je: Typ A, B (małe i duże), C i D. A polują na wieloryby, duże B – na foki i małe wieloryby, małe B – głównie na pingwiny, C na ryby, a D żyją daleko od lądów. Ich istnienie potwierdzono dopiero w drugiej połowie XX wieku i właściwie nie wiadomo, na co polują, bo do tej pory zdarzyło się zaledwie kilkanaście potwierdzonych obserwacji tego ekotypu. Nic więc dziwnego, że byliśmy podnieceni.

Ściemniało się. Przykleiłem się do lornetki i już po chwili dostrzegłem niezbyt daleko przecinające powierzchnię wody ogromne płetwy. Płetwa grzbietowa dużego samca orki może mieć nawet dwa metry wysokości! Jest wąska i ostra i wygląda złowrogo, choć nie jest znany ani jeden przypadek ataku orki na człowieka. Oczywiście statystyki te dotyczą natury – w rozrywkowych więzieniach, takich jak SeaWorld na Florydzie czy Loro Parque na Kanarach, gdzie te przywykłe do nieograniczonych przestrzeni oceanu zwierzęta trzymają się po kilkadziesiąt lat w małych zbiornikach, ataki się zdarzają. Trudno za nie winić orki. Łączą je bardzo silne więzi rodzinne i kiedy są wyrwane ze swoich stad albo oddzielane od rodziców, jeśli miały nieszczęście urodzić się w niewoli, najzwyczajniej tęsknią, tak jak my byśmy tęsknili. Poza tym do orientacji w przestrzeni używają echolokacji, więc zamknięcie ich wśród ścian można porównać do trzymania człowieka przez lata w absolutnej ciemności albo w nieustannym jaskrawym świetle. Nic dziwnego, że dosłownie tracą zmysły. Proszę: nigdy nie chodźcie tam, gdzie się więzi i pokazuje jakiegokolwiek walenie. Przyłożylibyście w ten sposób rękę do zbrodni.

Orek było około trzydziestu, pływały w niewielkich grupkach. Kilka samców, nieco więcej samic – niektóre z młodymi. Wszystkie wydawały się bardzo ciemne, ale nie widziałem żadnej na tyle dobrze, żeby mieć pewność. W końcu jeden z samców się wynurzył, a ja o mało się nie zakrztusiłem z wrażenia. Na okrągłej czarnej głowie miał tylko maleńką białą plamkę, nad okiem, a wokół ogromnej płetwy jego grzbiet okazał się jednolicie czarny, z odrobinę tylko jaśniejszą plamą. Nie było już wątpliwości: typ D! Po chwili także inne osobniki pokazały te same charakterystyczne cechy. Nie miałem aparatu, ale i tak byłem zbyt podekscytowany, żeby pstrykać. Wiedziałem jednak, że mają je moi koledzy i koleżanki i cała armia turystów. Mogłem się w pełni rozkoszować widokiem. To nie są słodkie morskie pandy, które wszyscy tak kochają. Typ D, wielki i spod ciemnej gwiazdy, robi zupełnie inne wrażenie. Widać, kto rządzi: to bezdyskusyjni władcy oceanu.

Zdjęcia z tego spotkania wyszły nieszczęśliwie. Orki były trochę za daleko i było już zbyt



ciemno. Ale wysłałem kilka Robertowi Pitmanowi, chyba najlepszemu znawcy typu D na świecie. Nasze spotkanie zostało oficjalnie zarejestrowane jako szesnasta potwierdzona obserwacja w historii!

Oczywiście dzień później nasi koledzy z firmy, pracujący na innym statku, też spotkali orki typu D, przy wodzie gładkiej jak stół, w doskonałym świetle i bardzo blisko statku. Ich zdjęcia przyprawiają o zgrzytanie zębów. Ale przynajmniej byliśmy pierwsi.

Następnego dnia nie mogliśmy jednak narzekać. Gdy się rano obudziliśmy, nieopodal z morza wystawała najpiękniejsza wyspa świata: Georgia Południowa.

Jako pierwszy zobaczył ją w 1675 roku Antoine de la Roché, londyński kupiec, choć legenda głosi, że tak naprawdę ubiegł go pewien marynarz, który o poranku poszedł się załawić w sieci zawieszonych pod bukszprytem, czyli belką, która wystaje przed dziobem żaglowca. To prawdopodobne, ale nie udało mi się tego potwierdzić. Sto lat później nie było takich kontrowersji – pierwszym członkiem załogi, który zobaczył ląd, był Thomas Willis, „dziki i pijący kadet” z załogi słynnego kapitana Cooka. Kapitan nazwał wyspy, które dostrzegli, wyspami Willisów. (Nie wiem, co Willis wtedy robił).

Ktokolwiek zobaczył Georgię Południową jako pierwszy, na pewno się zdumiał. Nagle na środku oceanu, prawie tysiąc czterysta kilometrów od najbliższego lądu (czyli od Falklandów), wyrastają z morza góry. Wznoszą się niemal na trzy tysiące metrów. Właściwie cała wyspa to stuścisiedziesięciokilometrowe pasmo górskie, ze szczytami pokrytymi śniegiem i poprzedzielanymi lodowcami. W głąb wcinają się liczne fiordy, a u podnóży gór w wielu miejscach rozciągają się rozległe zielone równiny. Tak jest przynajmniej po północno-wschodniej stronie. Z drugiej strony (Georgia jest długa i wąska, ma niewiele ponad trzydzieści kilometrów szerokości), od południowego zachodu, wyspa jest dużo bardziej niedostępna. Tej strony nigdy nie odwiedzamy.

Ale oszałamiające krajobrazy to tylko jedna z trzech równie atrakcyjnych cech tej wyspy. Drugą jest historia. Od pierwszego lądowania na niej, kiedy w 1775 roku postawili tu stopy słynny kapitan James Cook i jego załoga, była odwiedzana i zasiedlana przez różnego rodzaju odkrywców, łowców fok, wielorybów i przygód. Wiąże się z nią wiele spośród najważniejszych nazwisk w dziejach antarktycznej eksploracji i mnóstwo fascynujących opowieści.



Późnym latem plaże wyglądają jak po wielkiej imprezie

Jest wreszcie trzeci powód, żeby uważać to miejsce za niezwykle: przyroda. Na wyspie zaobserwowano łącznie osiemdziesiąt jeden gatunków ptaków, choć gniazduje ich tu tylko trzydzieści jeden. Ale te trzydzieści jeden gatunków ptaków to łącznie około trzydziestu milionów osobników! Nigdzie na świecie nie ma drugiego miejsca z tak wielką liczbą morskich ptaków. A to tylko ptaki. Żyje tu ponad dziewięćdziesiąt pięć procent światowej populacji uchaterek antarktycznych. Najnowsze szacunki mówią, że żyje ich wokół wyspy powyżej czterech milionów. Georgia Południowa jest również domem ponad połowy z około sześciuset tysięcy słoni morskich południowych, które żyją na świecie. Oprócz nich rozmnażają się tu jeszcze foki Weddella (choć niewiele i tylko na południowym koniuszku wyspy, stanowiącym północny skraj ich zasięgu) i lamparty morskie. A dookoła pływają z roku na rok liczniejsze wieloryby. To prawdziwe królestwo zwierząt, absolutny raj na końcu świata i klejnot Antarktyki. Mówi się, że gdyby Bóg chciał pojechać na wakacje, wybrałby się na Georgię Południową. Do mnie bardziej przemawia inne powiedzonko: weź kredyt i zastaw dom, sprzedaj dzieci (albo odwrotnie, nigdy nie pamiętam), zrób, co konieczne, ale choć raz w życiu pojedź na Georgię Południową. Moim zdaniem trzeba. Choć to tak niezwykle miejsce, mało kto o nim słyszał. Kiedy jakieś piętnaście lat temu mój kolega Tomek Janecki zaproponował polskiej redakcji „National Geographic” tekst o tej wyspie, usłyszał: nie, dziękujemy, niedawno coś o Gruzji mieliśmy. Owszem, Gruzja to po angielsku Georgia, ale na tym podobieństwa się kończą.

Odwiedziny na wyspie zaczynamy zwykle na jej północnym czubku, a potem spływamy na południe wzdłuż wschodniego wybrzeża. Pierwszym przystankiem najczęściej jest Else-

hul, niewielka zatoka, która oferuje w pigułce w zasadzie wszystko, co Georgia Południowa ma do zaoferowania: kapitalny krajobraz, pingwiny królewskie i złotoczube, albatrosy szaro- i ciemnogłowe, dorosłe i młode uchatki, i słonie morskie. Zwracamy uwagę pasażerów zwłaszcza na pingwiny złotoczube, zwane również macaroni, z grubymi czerwonymi dziobami i z piórkami na głowach fikuśnymi jeszcze bardziej niż te, które zdobią głowy skoczki skalnych, zresztą niezwykle do nich podobnych. Choć na Georgii Południowej mieszka połowa ich światowej populacji i są tu ponad dwa miliony par, ptaki te mają wredny zwyczaj gnieźdzenia się w takich miejscach, że trudno je zobaczyć. W Elsehul raczej się nie lądzuje, więc dwie godziny pływamy po otoczonej górami malowniczej zatoczce. Poza różnymi zwierzętami, których jest tu pełno, ważną atrakcją są gęste lasy wodorostów. Trzeba na nie uważać, bo lubią się oplatać wokół śrub zodiaków mniej doświadczonych kierowców. Wiem, bo Elsehul było jednym z miejsc, które odwiedziłem podczas swojego pierwszego sezonu. Poza tym jednak, że ogromne wielkomorszcze gruszkonośne (naprawdę się tak nazywają – jak się komuś nie podoba, to jest jeszcze druga nazwa: morzypławiec gruszkonośny), lesonie i glony z gatunku *Durvillea antarctica* stwarzają problemy przy pływaniu, są też jedną z najdziwniej pięknych rzeczy, jakie znam. Zwłaszcza ich grube trzonki przyrosnięte do skał w strefie pływów wiją się w przyboju synchronicznie jak kłębowiska ogromnych, brunatnych i lśniących węży. Glony te mają nawet ponad dziesięć metrów długości, a ruch fal napełnia je gotycką grozą: przywodzą na myśl biomechaniczne dzieła Hansa Rudolfa Gigera. Mógłbym się na nie gapić godzinami, ale na ogół nie mogę, bo pasażerowie z jakichś powodów wolą uchatki i pingwiny.



W bardzo niewielu miejscach można zobaczyć z bliska pingwiny złotoczube

Jednak ostatnim razem (dzień po orkach: podczas tamtego rejsu mieliśmy naprawdę dużo szczęścia) dostaliśmy od Georgii niespodziany prezent wigilijny i ani glony, ani małe uchatki nie zdołały mu dorównać. Na wodzie byliśmy na razie tylko my, przewodnicy, każdy w swoim zodiaku. Czekaliśmy na rozpoczęcie operacji z pasażerami. I nagle do zatoki wpłynęły dwa wieloryby. To zawsze jest atrakcja, a my dopiero zaczynaliśmy podróż po rejonach, gdzie jest ich dużo, więc podpłynęliśmy sprawdzić, kto zacz. Jeden z nich wypuścił fontannę, a my wymieniliśmy spojrzenia: nie wyglądały na humbaki. Po chwili oba zwierzęta odetchnęły znowu, a chmury nad ich głowami ułożyły się w bardzo wyraźne V. Zaraz potem jeden z nich się zanurzył, żeby nam pokazać, że nie ma płetwy grzbietowej, a drugi położył się na boku i pomachał do nas szeroką, łopaciastą płetwą piersiową. Wale południowe! Po raz pierwszy widziałem je z zodiaka. Znacznie się różniły wielkością, więc szybko ustaliliśmy, że to matka z cielakiem. Okazali się na tyle uprzejmi, że zabawili w okolicy, więc wycieczki z turystami mogliśmy zaczynać od złożenia hołdu tym niesamowitym zwierzętom. Zodiaki kolejno odbierały ludzi ze statku i płynęły na spotkanie. Łodzi było jedenaście, a ja prowadziłem jedną z ostatnich, więc trochę się niepokoiłem, czy zdążymy. Miałem szczęście: młody wieloryb zainteresował się nami i w pewnym momencie oboje podpłynęli na odległość jakichś pięciu metrów. Mogłem im zajrzeć w oczy i wyraźnie widziałem białe narośle na ich twarzach. Bliskie spotkanie z takim kolosem robi ogromne wrażenie. Pomyślałem, że jak dla mnie ten rejs mógłby się już właściwie skończyć. Ale to był dopiero początek.

Zdecydowana większość miejsc, które odwiedzamy na Georgii i w okolicach, leży nad otwartym oceanem, przez co wyspa słynie z ogromnych fal, które bardzo często uniemożliwiają nam lądowanie. Zwykle jeśli uda nam się zrealizować połowę naszych planów, jesteśmy zadowoleni.

Jednym z takich notorycznie niedostępnych miejsc jest Salisbury Plain w zatoce o tyleż romantycznej, co opisowej nazwie Bay of Isles. Zatoka jest szeroka, a wyspy małe i daleko od brzegu, więc nie zapewniają plaży żadnej ochrony przed falami. Jedną z nich jest Prion Island, na której na początku sezonu można wylądować. Po specjalnym pomoście można się wdrapać na jej szczyt i obserwować pisklaki albatrosów wędrownych. W listopadzie mają osiem miesięcy i wielkość indyka, a rodzice odwiedzają je co kilka tygodni. Niedługo potem młode albatrosy opuszczają gniazdo, a gdy już odlecą, nie siadą na lądzie przez kilka lat. Wrócą, by się rozmnażać, po około dziesięciu latach, i co dwa lata, jak dobrze pójdzie, będą znosić po jednym jajku, z którego po osiemdziesięciu dniach (później niż u jakiegokolwiek innego ptaka) wykluje się pisklę. I tak przez kilkadziesiąt lat – najstarszy ze znanych albatrosów, samica o imieniu Grandma (czyli Babcia) żyła co najmniej sześćdziesiąt dwa lata i do końca się rozmnażała. W 2015 roku jej rekord został wyrównany przez inną samicę, albatrosa szarogłowego o imieniu Wisdom (Mądrość).

W grudniu Prion Island jest już jednak niedostępna ze względu na ciasno wypełniające niewielką plażę uchatki. Wizyty na równinie Salisbury można składać przez cały sezon, o ile pogoda na to zezwala. Po odwiedzeniu Elsehul właśnie tu się wybieramy. Przybój nie jest zbyt wielki, więc mamy szczęście. Plaża ma tu kilka kilometrów długości i pierwsze wyzwanie polega na tym, żeby znaleźć punkt, w którym zagęszczenie uchatki jest nieco mniejsze. Na początku trzeba z nimi ustalić reguły. Wielkie samce zajmują terytoria o średnicy jakichś pięciu metrów. Pośrodku siedzi dumny i groźny ojciec rodziny, razem z nim kilka jego żon i młode. Niestety terytoria te na ogół do siebie przylegają, a my musimy między nimi przejść

i jeszcze przeprowadzić setkę niedoświadczonych turystów.

Jakoś tak się składa, że często to mnie wysyłają na negocjacje. Zapewne dlatego, że pracowałem z fokami. Muszę przekonać uchatki, że jestem od nich silniejszy i – no cóż – korzystam z tego, że jestem na ogół jedynym Polakiem w okolicy. Używam wtedy języka, którego zazwyczaj nie używam w miejscach publicznych, a już na pewno nie w towarzystwie tylu dostojnych emerytów. I zauważyłem coś ciekawego: kiedy proszę wielkie samce, żeby się odsunęły i nie wchodziły nam w drogę, posłusznie spierdalają! To zdumiewające: uchatki z Georgii Południowej rozumieją po polsku...



Przed zrobieniem tego zdjęcia musiałem zaczekać, aż uchatka zejdzie z mojego buta

Kiedy można już bezpiecznie przejść przez plażę, przychodzi pora na zachwywanie się szczeniakami. Mają po kilka tygodni (rodzą się na początku grudnia), a w głowach to, co psi szczeniak w tym wieku, czyli niewiele. Kiedy nas widzą, natychmiast przychodzą się przywitać. Porośnięte gęstym ciemnoczekoladowym futerkiem wyglądają jak słodkie przerośnięte krety z gigantycznymi i niezbyt rozgarniętymi ślepkami. Mierzą trzydzieści centymetrów i wciąż się potykają o swoje małe płetewki. Zgroza. Dawno temu tłumaczyłem jakiś tekst o wydrach morskich i było w nim napisane, że „nawet najbardziej zatwardziali naukowcy muszą przyznać, że mają one «niezwykle wysoki współczynnik przytulności» (*cuddle factor*)”. Te słowa spokojnie mogłyby się odnosić do małych uchatek. Gdybyśmy tu dotarli za miesiąc czy dwa, biegałyby już sprawnie i podpuszczałyby się nawzajem: kto bliżej nas podejrze. Takie podrostki są dość bezczelne i próbują gryźć, choć jeszcze nie bardzo mają czym. Też są zabawne, ale te grudniowe, zupełnie małe, wywołują więcej czułych westchnień. Podpełzają, mecząc jak małe owieczki, i kładą nam się na butach albo na przywie-

zionym na brzeg sprzęcie. A jest się na czym kłaść. Pierwszy zodiak, którym na plażę docierają przewodnicy, zawsze przywozi kilka beczek ekspedycyjnych ze sprzętem ratowniczym, schronieniami, racjami żywności i ekwipunkiem rozgrzewającym – dzięki niemu udałoby się nam przeżyć, gdybyśmy utknęli na plaży. Prócz tego mamy ze sobą torbę lekarską z defibrylatorem, długą tubę pełną flag do wyznaczania trasy, kijki trekkingowe dla potrzebujących i trzy ogromne brezentowe torby, do których turyści wrzucają kapoki. Poza tym każde z nas ma swoją zodiakową torbę z awaryjnym wyposażeniem oraz prywatny plecak z zapasowymi ubraniami i sprzętem fotograficznym.



Leucystyczna uchotka

Mniej więcej jedna na osiemset uchatek rodzi się w wersji blond. To mutacja, trochę podobna do albinizmu, zwana leucyzmem, również związana z niedoborem melaniny. Ponieważ dotknięte nią bladożółto, jasnobrązowe osobniki są łatwe do wypatrzenia, można dzięki nim oszacować liczebność wszystkich uchatek na plaży. Leucyzm ma też inną, mniej naukową nazwę – o takich zwierzętach mówi się, że są izabelowate. Izabelowate mogą być konie, psy, kotiki albo pingwiny – mutacje tego typu stwierdzono u wielu zwierząt. A dlaczego tak? Wieść niesie, że to na cześć hiszpańskiej królowej Izabelli, która ruszając kiedyś na wojnę, uroczyście przysięgła, że nie będzie zmieniać bielizny aż do zwycięstwa. Niestety Hiszpania wojnę przegrała i od tej pory wszystkie żółtawo-brązowe zwierzęta tak się określa...

Niezależnie od tego, skąd się wzięła ich nazwa, leucystyczne uchaciatka też są potwornie słodkie. Kiedy w końcu nam się uda od nich oderwać, zaczynamy zauważać inne zwierzęta. Na ogół gdzieś w pobliżu leży młody słoń morski, ale to nie one są tu typowymi plażowiczami. Wszędzie wędrują grupki pingwinów królewskich i obok uchatek to one nadają ton (oraz

woń) równinie. Żeby się zbliżyć do ich kolonii, trzeba minąć uchatki, które im dalej od plaży, tym są rozlokowane luźniej. Tyle że w głębi lądu natykamy się na młodocianych delikwentów, którzy jeszcze nie mają własnych terytoriów i są nieprzewidywalni. Trzeba na nich uważać.

A nie jest łatwo, bo z tego miejsca widać już kolonię pingwinów królewskich. Na Salisbury Plain jest ich sześćdziesiąt tysięcy par z piskletami, a jeśli doliczyć do tego osobniki, które się nie rozmnażają, mamy przed sobą dwieście tysięcy stojących obok siebie ptaków. Wrażenie jest oszałamiające – nie wspominając o hałasie i smrodzie. Muszę jednak przyznać, że tak naprawdę lubię ten zapach. Ja wiem, że śmierdzi, widzę, jak naszym pasażerom łzawią oczy, słyszę też ich pełne obrzydzenia komentarze. Z drugiej strony zapach pingwiniego gówna to chyba najbardziej charakterystyczny zapach Antarktyki. Jest jeszcze kilka innych – uchatki pachną jak pokryte piżmem mokre psy, słonie walą jak smoki i tego smrodu z niczym się nie da porównać, choć przychodzą do głowy stare mokre skarpety wypełnione odchodami i zostawione na tydzień na słońcu. Ale pingwinów jest więcej, więc obezwładniają bardziej. I wszystkie te fetory przypominają mi, gdzie jestem. Myślę, że lubię je dzięki sile skojarzeń.



Morze pingwinów królewskich

Pingwiny królewskie mają dziwny, półtoraroczny cykl rozrodczy, więc w ich koloniach zawsze widać ptaki w różnym wieku. Niektóre ogrzewają przenoszone na stopach jaja, inne zajmują się pisklakami, a jeszcze inne opędzają się od całkiem już wyrosniętych. Dorosłe są piękne. Mają niezwykle eleganckie pomarańczowożółte szyje i boki dziobów, przechadzają się dostojnie i grzecznie się wszystkim kłaniają. Ich kolonia to morze pomarańczowych głów

i szarych ciał, nieregularnie poprzątkane skupiskami brudnego brązowego puchu porastającego młodzież. Poza tymi zupełnie małymi młode pingwiny lubią przebywać razem, zwłaszcza nad strumieniami, więc gdy się na nie patrzy z okolicznych wzgórz, kolonia wygląda jak dywan, na którym ktoś rozlał smugi kawy. Co ciekawe, kiedy James Cook jako pierwszy je opisał, stwierdził, że to niemożliwe, by tak eleganckie ptaki miały tak niechlujne dzieciaki – umazane błotem i pokraczne. Dlatego ich młode nazwał pingwinami wełnistymi i jeszcze w dziewiętnastowiecznych książkach tak o nich pisano. Bo rzeczywiście – przy dostojnych rodzicach piskłeta pingwinów królewskich wyglądają jak niepoważne gamonie.

Po Salisbury Plain następnym przystankiem jest zwykle Fortuna Bay. W sumie atrakcje są podobne – przybój, dużo uchatek, trochę słoń i sporo pingwinów, tyle że na nieco mniejszej równinie, otoczonej górami i zamkniętej największym na wyspie lodowcem, Fortuna Glacier. Jeszcze kilka lat temu żyło tu sporo reniferów, ale w latach 2013–2014 przeprowadzono ogromną operację mającą na celu usunięcie tego gatunku. Renifery przywieziono na Georgię Południową na początku XX wieku jako źródło pożywienia i rozrywki dla łowców wielorybów. Nie tylko przetrwały na wyspie, ale zaczęły sobie na niej całkiem nieźle radzić. Z kilkudziesięciu wypuszczonych zwierząt w ciągu stu lat zrobiło się kilka tysięcy. Przy okazji renifery nieco się skurczyły i dostosowały swój cykl rozrodczy do pór roku półkuli południowej. Były dobrym przykładem działania ewolucji. Ich usunięcie stało się tematem ożywionej debaty, ponieważ wrosły już w tutejszy krajobraz i nikogo nie zjadały, niszczyły tylko roślinność. Niestety deptały podziemne gniazda ptaków, takich jak petrelki antarktyczne. Obawiano się także, że ich obecność zmniejszy skuteczność znacznie ambitniejszego przedsięwzięcia, jakim była planowana eradykacja szczurów i myszy. Koniec końców renifery dostały wyrok śmierci i choć mi ich żal, uważam, że słusznie. W ciągu dwóch lat zabito około sześciu tysięcy sześciuset zwierząt. Większość została zastrzelona przez norweskie służby leśne, a część zagoniona do zagród i zarżnięta przez specjalnie sprowadzonych hodowców reniferów z ludu Saami. Byłoby oczywiście najfajniej, gdyby się je dało gdzieś wywieźć, ale w górzystym terenie ani finansowo, ani organizacyjnie nie było to możliwe. I tak oto zginęło, ponoć humanitarnie (o ile to nie oksymoron), kilka tysięcy niewinnych zwierząt, które człowiek najpierw tu przywiózł, a później postanowił usunąć. Mięso części z nich zostało sprzedane, ale sporo zostawiono dla skua i petreli olbrzymich – według relacji ludzi związanych z projektem w ciągu tygodnia ogałacały ich zwłoki do kości, o ile tylko ktoś uprzednio rozciął im brzuchy.





Pingwin welnisty z pingwinem królewskim

Zatem reniferów już na Georgii nie ma, choć w listopadzie 2015 roku dostrzeżono pojedynczego byka. Zapewne dokona żywota na wolności, ale samotnie.

Z reniferami z Fortuna Bay wiąże się pewna historia z mojej pierwszej wizyty na wyspie, w 2006 roku. Na Georgii Południowej, podobnie jak w całej Antarktyce, obowiązuje ścisły zakaz zbierania pamiątek. Wtedy jednak mieliśmy na pokładzie ówczesnego gubernatora Falklandów, który jest również władcą Georgii Południowej. Odwiedzał wyspę wraz z żoną i kilkumiesięcznym dzieckiem, a my mieliśmy go zawieźć swoim statkiem z powrotem na Falklandy. Kiedy pasażerowie lądowali w Fortuna Bay, byłem w kolonii pingwinów i kiedy wróciłem na plażę, zauważyłem, że Ian, mój dobry kumpel i ówczesny szef, jest wyraźnie poruszony. Nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Oznajmił tylko, że musi natychmiast wracać na statek. Tam się okazało, że żona gubernatora postanowiła wziąć na pamiątkę potężne poroże renifera, które znalazła na brzegu. Nasza koleżanka próbowała ją powstrzymać, ale usłyszała, że małżonek pani jest najważniejszą osobą na wyspie, więc ona może sobie brać, co zechce, bo to on stanowi tu prawo. Uparta dama odmawiała oddania pamiątki, więc Ian powiedział, że nie odpłyniemy, dopóki tego nie zrobi. Impas trwał ponad pół godziny. W końcu gubernatorowi udało się przekonać małżonkę i miałem zaszczyt odwieźć poroże na brzeg. Gubernatorowa przez kilka następnych dni nie wychodziła z kajuty. Wszyscy mogli się przekonać, że reguły ochrony przyrody naprawdę traktujemy poważnie i że nikt nie stoi ponad prawem.

Na ogół odwiedza się Fortuna Bay nie tylko dla niej samej. Zaczynamy od wysadzenia na brzeg kilkudziesięciu osób, które wyruszą na „spacer Shackletona”, około sześciokilometro-

wy trekking przez góry do dawnej stacji wielorybniczej w Stromness. Ten miły spacer przez niezbyt wysokie wzgórza to ostatni odcinek jednej z najsłynniejszych wędrówek w antarktycznej historii – przejścia przez nieznane rejony Georgii Południowej, którego w maju 1916 roku dokonali Ernest Shackleton, Frank Worsley i Tom Crean.

Niecałe dwa lata wcześniej Shackleton wyruszył z Georgii statkiem „Endurance”. Chciał przejść przez całą Antarktydę. Podróżnicy nigdy jednak nie dotarli do kontynentu. 10 stycznia 1915 roku „Endurance” utknął w lodach na Morzu Weddella i tkwił uwięziony aż do 21 listopada tego samego roku, kiedy w końcu zatonął, zmiądzony przez morski lód. W tym czasie niesiony dryfującym zgodnie z ruchem wskazówek zegara lodem statek wraz z załogą pokonał nieco ponad tysiąc kilometrów. Niecały miesiąc przed tym, jak „Endurance” poszedł na dno, Shackleton wraz ze swoimi ludźmi przeniósł się na lód. Ciągąc trzy szalupy ratunkowe, pokonali kolejne kilkaset kilometrów, aż wreszcie 9 kwietnia 1916 roku mogli spuścić łódzie na wodę. Udało im się dotrzeć do Wyspy Słoniowej, najdalej na wschód wysuniętej części Szetlandów Południowych. Oczywiście nikt nie wiedział, że dotarli aż tam, więc 24 kwietnia The Boss, jak nazywali słynnego podróżnika podwładni, wyruszył wraz z piątką ludzi na największej z szalup, o nazwie „James Caird”, dodatkowo wzmocnionej przez okrętowego cieślę, McNeisha – on także wsiadł na pokład, więc we własnym interesie dał z siebie wszystko. Rozpoczęli wtedy jedną z najsławniejszych i najtrudniejszych przepraw w historii żeglarstwa. W ciągu szesnastu dni pokonali prawie tysiąc pięćset kilometrów wzburzonego oceanu i dotarli do Georgii Południowej. Kapitan Frank Worsley, uznawany za jednego z najlepszych nawigatorów w historii, mógł wykonać tylko dwa pomiary sekstansem, bo słońce praktycznie cały czas kryło się za chmurami. Gdyby choć trochę się pomylił, nie trafiliby w wyspę i zginęliby na południowym Atlantyku. Udało się. Wylądowali jednak na południowo-zachodnim brzegu wyspy, a wszystkie stacje wielorybnicze były po drugiej stronie. Dlatego 19 maja przed świtem trzech ludzi znowu wyruszyło w drogę, zostawiając trójkę towarzyszy, zbyt wyczerpanych, by iść, pod odwróconą szalupą w Peggotty Camp w Zatoce Króla Haakona. Po trzydziestu sześciu godzinach niemal nieustannego marszu przez góry doszli do miejsca, które od tego, z którego wyruszyli, w prostej linii dzieliło dwadzieścia siedem kilometrów. Szli przez nieznaną teren, pełen górskich szczytów i lodowców, i dużo kłuczyli. Ostatni odcinek wiódł właśnie z Fortuna Bay do Stromness Bay, gdzie w końcu trafili na ludzi. Wreszcie mogli najpierw uratować trzech kompanów, którzy zostali po drugiej stronie wyspy, a potem zorganizować ratunek dla dwudziestu dwóch, którzy zostali na Wyspie Słoniowej. W tej historii najbardziej zdumiewające jest to, że żaden z ludzi będących pod bezpośrednią komendą Shackletona nie zginął. Boss uratował wszystkich i do tej pory jest uważany za wzór szefa.

Kiedy spacerowicze wyruszają w góry, reszta pasażerów odwiedza Fortuna Bay. Po kilku godzinach dopływamy z nimi do Stromness, żeby podjąć grupę trekkingową.

Samego Stromness nie można zwiedzać. Resztki budowli grożą zawaleniem, a kawałki blachy latają na wietrze jak ruchome gilotyny. Łądujemy więc w bezpiecznej odległości od stacji i jeśli pogoda dopisuje, wychodzimy naprzeciw naszym wędrówcom, jak zwykle negocjując każdy krok z pełnymi temperamentu uchatkami. Można przejść po równinie, wzdłuż potoku, aż do Wodospadu Shackletona, po którym sławny podróżnik spuszczał się z towarzyszami na linie. To raptem piętnaście metrów, ale i tu bywa niebezpiecznie. Kilka lat temu zginęła tu turystka – zoczyła ze szlaku i straciła równowagę nad urwiskiem.

Kolejnym przystankiem jest zwykle Grytviken. Tę stację można obejrzeć dokładnie. Aż do lat sześćdziesiątych żyli tu wielorybnicy. Byli tak skuteczni, że w XX wieku w okolicach Georgii schwyтали łącznie około miliona wielorybów. Teraz na szczęście statki wielorybnicze wrastają powoli w krajobraz, a wśród wraków bawią się uchutki i młode słonie morskie. Z roku na rok wielorybów jest coraz więcej, ale minie jeszcze dużo czasu, nim odbudują populację do poziomu sprzed czasów rzezi, którą im urządziliśmy.

Kiedy pod koniec XIX wieku na półkuli północnej stada wielorybów zostały mocno przezebione, łowcy ruszyli na południe, skąd liczni podróżnicy, a także działający tu już łowcy fok przywozili wieści o nieprzebranych ilościach wielkich ssaków. Technologia była już na tyle zaawansowana, że opłacało się pływać tak daleko.



Pozostałości stacji wielorybniczej w Grytviken

Pomysłodawcą założenia stacji wielorybniczych na Georgii Południowej był sławny norweski odkrywca i podróżnik Carl Anton Larsen. Miał ogromne polarne doświadczenie. Jako pierwszy człowiek w historii podróżował po Antarktyce na nartach: w 1893 roku wędrował po lodowcu szelfowym nazwanym później na jego cześć. To była pierwsza norweska wyprawa antarktyczna. Później został kapitanem statku „Antarctic” i brał udział w Szwedzkiej Wyprawie Antarktycznej w latach 1901–1904. Po jej zakończeniu, w grudniu 1904 roku, założył tutejszą stację wielorybniczą, zapoczątkowując nową epokę w historii wielorybnictwa. Co ciekawe, nie była to stacja ani norweska, ani brytyjska, choć oba kraje zainwestowały w zarejestrowaną w Argentynie firmę o nazwie Compañía Argentina de Pesca. W Wigilię 1904 roku wyprodukowano tu pierwszą baryłkę wielorybiego oleju. W sumie powstało na wyspie sześć stałych stacji, z których ostatnia, Leith Harbour, została zamknięta w 1965 roku. Szyb-

kie statki wyposażone w wybuchające harpuny mogły operować na dużym obszarze i ścigać największe z wielorybów. A tych pływało tu tyle, że przez pierwszy rok statki nie musiały nawet opuszczać zatoki Cumberland, gdzie znajduje się Grytviken.

W latach trzydziestych zmienił się styl łowienia wielorybów i większe sukcesy zaczęły odnosić pływające przetwornice, przez co stacje wielorybnicze straciły na znaczeniu. Ocenia się, że w XX wieku zabito na świecie niemal trzy miliony wielorybów, z czego nieco ponad dwa miliony zginęły na półkuli południowej. W czasach największego rozkwitu morderczego przemysłu, w sezonie 1929/1930, stacje na Georgii Południowej pozyskały łącznie cztery tysiące sto osiemdziesiąt pięć wielorybów. To tutaj w 1912 roku zabito największą samicę płetwala błękitnego, o której wspominałem – mierzyła trzydzieści trzy metry i sześćdziesiąt centymetrów.

Trudno ocenić, jak wielki wpływ wywarliśmy na ekosystem Antarktyki, usuwając szczytowych konsumentów. Możemy jednak być pewni, że dopuściliśmy się dewastacji. Wieloryby nie tylko zjadają ogromne ilości kryla i rybiej drobnicy. Od kilku lat naukowcy wiedzą coraz więcej o pozytywnym wpływie wielorybów na ocean. W 2010 roku w czasopiśmie „Plos One” ukazała się rewolucyjna praca *The Whale Pump*. Jej autorami byli Joe Roman i James J. McCarthy. Pozwólcie, że wyjaśnię działanie owej tajemniczej wielorybiej pompy. Jak wiemy, oceaniczny plankton żyje i rozmnaża się przede wszystkim w wierzchniej warstwie oceanu, czyli w strefie fotycznej, do której docierają promienie słońca. Kiedy zwierzęta i rośliny morskie umierają, opadają na dno, tworząc coś, co nazywamy oceanicznym śniegiem. Dzięki temu może przeżyć wiele organizmów głębinowych, ale jednocześnie wraz z ich szczątkami znikają z powierzchni nutrieny niezbędne do rozwoju kolejnych pokoleń planktonu. Wieloryby, podobnie jak wiele innych morskich zwierząt, przemieszczając się w górę i w dół, mieszają wodę i przynoszą część minerałów z powrotem na powierzchnię. Ocenia się, że nawet teraz – choć populacja tych wielkich ssaków została drastycznie zmniejszona – mieszają tak bardzo, że odpowiada to w przybliżeniu działaniu fal i pływów oceanicznych na całym świecie. Nie jest to więc zjawisko nieistotne. Ale to nie wszystko. Wieloryby zjadają plankton i ryby, często w głębinach, po czym defekują na powierzchni. Kupa płetwala błękitnego jest niemal tak długa jak sam wieloryb! Naukowcy oficjalnie określają te rzadkie, lecz obfite eksplozje jako *fecal plumes*, czyli fekalne pióropusze. Aby podkreślić wielkość takiego strzału, czasem używa się też bardziej obrazowego, lecz trudniejszego do przetłumaczenia terminu *poonami*, gdzie *poo-* oznacza kupę, a *-nami* nawiązuje do tsunami. Te ogromne strumienie ekskrementów, a także moczu, przynoszą z powrotem na powierzchnię gigantyczne ilości azotu i mnóstwo innych pyszności, użyźniając wodę i umożliwiając rozwój mikroorganizmów: wieloryby są jak ogrodnicy, bo choć jedzą plankton, również go hodują. Choć może brzmi to zabawnie, skala tego zjawiska jest ogromna. Wyliczenia przedstawione w artykule dotyczą zatoki Maine. Ocenia się, że przed epoką przemysłowego wielorybnictwa ta biologiczna pompa przynosiła ponad trzykrotnie więcej azotu niż dostarcza go wodzie atmosfera. Nawet teraz daje więcej niż wpływające do zatoki rzeki i strumienie.

W Antarktyce nie ma rzek, strumieni też jest niewiele. Tym bardziej jest to ważne. Ta historia ma też drugie dno. Plankton, przede wszystkim roślinny, wiąże ogromne ilości dwutlenku węgla z atmosfery i opadając, deponuje go jako węgiel w osadach. Zwiększając ilość planktonu, wieloryby przyczyniają się zatem do wiązania dwutlenku węgla z atmosfery. Są więc nie tylko ogrodnikami, ale i wpływającymi na klimat geoinżynierami. Australijscy na-

ukowcy ustalili, że w ten sposób same tylko kaszaloty (które żerują bardzo głęboko, po czym załatwiają się na powierzchni) co roku przyczyniają się do związania czterystu tysięcy ton dwutlenku węgla, co odpowiada ilości wyprodukowanej przez jedną sporą elektrownię węglową. Choć inne zwierzęta, takie jak foki i ptaki morskie, też biorą w tym udział, ich wpływ nawet nie zbliża się do roli wielorybów sprzed komercyjnych połowów. Ratując wieloryby, ratujemy siebie.

Kiedy dziesięć lat temu pierwszy raz dotarłem do Grytviken, czułem się, jakbym zwiedzał Auschwitz. Nie chcę się wdawać w dyskusję na temat wartości życia ludzkiego w porównaniu z życiem zwierząt, ani na temat tego, czym się różni zbrodnia czystej nienawiści od przemysłowego mordowania w celu pozyskania konkretnych produktów, na czym na początku XX wieku w dużej mierze opierała się światowa gospodarka. Jednak skala i efektywność przemysłu śmierci zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Gigantyczne zbiorniki na olej, wielkie przetwornice i monstrualne piły do cięcia kości głęboko zapadły mi w pamięć.

Na szczęście ten etap historii Georgii Południowej mamy już za sobą. W pobliżu Grytviken, na King Edward Point, znajduje się prężnie działająca stacja naukowa British Antarctic Survey (BAS), w której realizuje się wiele projektów bezpośrednio związanych z ochroną morskich ekosystemów, zapobieganiem przełowieniu ryb czy przeciwdziałaniem tonięciu albatrosów, dla których głównym zagrożeniem jest rybołówstwo z wykorzystaniem długich na setki kilometrów sznurów haczykowych. W wielu łowiskach morskie ptaki wciąż łapią się na haki, ale opracowuje się i wdraża coraz więcej metod, które umożliwiają zapobieganie temu. Rybołówstwo w okolicach Georgii Południowej, główne obok turystyki źródło dochodów mieszkańców, jest zorganizowane najlepiej i najbardziej odpowiedzialnie na świecie. Zwłaszcza jeden z koordynowanych tu projektów, podjętych przez BAS we współpracy z władzami Falklandów i Georgii oraz South Georgia Heritage Trust, wzbudza mój podziw. To tu w latach 2011–2015 przeprowadzono największą na świecie operację eradykacji gryzoni (głównie szczurów, ale też myszy). Gryzonie pojawiły się tu wraz z pierwszymi podróżnikami prawie dwieście pięćdziesiąt lat temu – zeszyły ze statków. Ich wpływ na faunę okazał się katastrofalny: zjadały jaja i pisklęta. Nawet ogromne pisklęta albatrosów nie umiały się przed nimi bronić, bo nigdy wcześniej nie były narażone na ataki drapieżników. Kilka gatunków, jak choćby endemiczny świergotek antarktyczny, jedyny ptak śpiewający żyjący tak daleko na południu, czy w mniejszym stopniu miejscowy podgatunek rożeńca żółtodziobego, czyli jedyna kaczka na świecie żywiąca się padliną, zostały przez szczury doprowadzone na skraj wyginięcia. Populacje innych ptaków zostały mocno zredukowane. Wieloosobowy zespół, przy ogromnym nakładzie wysiłku i środków finansowych, z wykorzystaniem helikopterów i statków, przeprowadził największą tego typu udaną operację w dziejach. Był na to dosłownie ostatni dzwonek – szczury i myszy zasiedlały wiele rejonów wyspy, poroździelanych lodowcami. Istniało ryzyko, że wraz z ociepleniem się klimatu i cofnięciem się tych naturalnych barier skolonizują nowe obszary. Poza tym nie udałooby się przeprowadzić tej operacji na całej wyspie jednocześnie, więc nawet gdyby gryzonie udało się wytepić w jakimś miejscu, mogłyby wrócić. Ale udało się. W grudniu 2015 roku znaleziono pierwsze gniazdo świergotka – właśnie w okolicach Grytviken, gdzie szczurów było wyjątkowo dużo.

Lubię szczury. Ale choć co do reniferów miałem wątpliwości, co do gryzoni nie mam żadnych. W tym roku widziałem więcej świergotków niż przez wszystkie ubiegłe lata. Ptasi raj na Georgii Południowej powoli się odradza. To miejsce i tak kipiało życiem, ale teraz będzie

jeszcze lepiej. Za parę lat zobaczymy Georgię taką, jaką ją widzieli pierwsi odkrywcy, jeśli nie liczyć zasięgu cofających się lodowców.

W Grytviken jest też świetnie urządzone muzeum wielorybnictwa i dziejów eksploracji Antarktyki. Jest tu też dobrze zaopatrzony sklepik turystyczny, w którym w tym roku pracuje moja koleżanka ze statku sprzed paru lat, Australijka Danielle. Kilka lat temu trafiła na Antarktydę jako turystka, później zaczęła pracować jako przewodniczka, a teraz przez kilka miesięcy w roku mieszka na Georgii. Antarktyczne uzależnienie to nie przelewki.

Jakiś czas temu miałem przyjemność i zaszczyt pracować z Timem i Pauline Carrami. To dzięki nim wyspa jest jedynym terytorium na świecie, które ma więcej wyrazów w nazwie (oficjalnie to Georgia Południowa i Sandwich Południowy – bo do tej jednostki administracyjnej należą również położone dalej na południe bezludne wyspy archipelagu Sandwich) niż obywateli. Tim i Pauline poznali się, kiedy ona miała dwadzieścia jeden lat, a on dwadzieścia sześć. W 1967 roku ruszyli w rejs na dziewięciometrowym otwartym jachcie bez silnika „Curlew”, już wtedy liczącym sto lat. Po dwudziestu pięciu latach wspólnego żeglowania po całym świecie, z Antarktyką włącznie, dotarli na Georgię Południową i na niej osiedli. Przez wiele lat byli jedynymi mieszkańcami wyspy, nie licząc naukowców z bazy BAS. To oni zaczęli konserwować dawną stację, odbudowali kościół i założyli muzeum. Za zasługi przyznano im honorowe obywatelstwo wyspy. Spotkanie z takimi ludźmi, którzy wciąż są szczęśliwi i nierozłączni (nawet adres mejlowy mają wspólny), wywołuje zazdrość, ale i daje nadzieję: szczęśliwa miłość jest możliwa.



Młode samce słoni morskich trenują zapasy w Gold Harbour

Tim i Pauline już tu nie mieszkają, osiedli na farmie na Nowej Zelandii, ale wciąż podróżują. Sporo ludzi zostało tu jednak na zawsze. Leżą na pobliskim cmentarzu, na którym spośród grobów wielorybników wyróżnia się duży cokół – grób Ernesta Shackletona. Umarł tutaj w trakcie swojej ostatniej wyprawy w 1922 roku. Tradycyjnie wizytę w Grytviken rozpoczyna się od spełnienia toastu za Szefa i innych dawnych odkrywców. Od kilku lat obok niego spoczywają szczątki Franka Wilda, jego zastępcy, który na początku XX wieku był najbardziej doświadczonym polarnikiem na świecie. To właśnie pod jego pieczęcią na Wyspie Słoniowej zostało dwudziestu dwóch ludzi, gdy Shackleton ruszył po pomoc.

Po odwiedzeniu Grytviken ruszamy dalej na południe. Na Georgii Południowej jest wiele spektakularnych miejsc, ale największe wrażenie robią dwa: zatoka Saint Andrews i Gold Harbour. W tym roku udało mi się wylądować w obu.

Saint Andrews jest podobne do Salisbury Plain, tylko wszystko tu jest większe. Kolonia pingwinów królewskich nie liczy sześćdziesięciu tysięcy par, tylko trzy razy więcej. Równi-  
na też jest większa, a przybój groźniejszy – ale udało się. Wizyta w największej na świecie kolonii tych ptaków wynagrodziła nam wszystkie trudy, z przemoczeniem włącznie.

Z kolei Gold Harbour to miejsce jak z pocztówki. Góry, lodowiec i zielone wzgórza – jest wręcz absurdalnie malowniczo. Są tu też pingwiny, jest trochę uchatek, ale to słonie morskie nadają temu miejscu charakter. Oprócz liniejących młodocianych samców zawsze napotykamy trochę szczeniaków, które podobnie jak uchutki chcą się do nas przytulać. Tyle że w odróżnieniu od uchatek słoniki ważą prawie dwieście kilogramów, choć mają zaledwie kilka miesięcy. Jeśli ktoś ma szczęście, dwieście kilo szcenięcej miłości umeści mu się na kolanach i przyjaźnie obwącha. Ze swoimi gigantycznymi czarnymi oczami i tłustymi ciałkami słoniki przypuszczają prawdziwie zmasowany atak słodkości.

Żeby od nadmiaru słodocy nie zrobiło nam się niedobrze, mamy tu też na ogół okazję podziwiać petrele olbrzymie przy pracy: widzimy, jak zanurzają się w trzewiach padłych zwierząt i parują umazane krwią.

Na południowym krańcu Georgii Południowej znajduje się Fiord Drygalskiego, nazwany tak na cześć sławnego niemieckiego odkrywcy. Na ogół mocno tu wieje, poza tym fiord jest długi na około siedem kilometrów, więc zazwyczaj oglądamy go z pokładu statku. Ale u wejścia do niego znajduje się odnoga zwana Larsen Harbour. Tu też nie można lądować i właściwie nie bardzo jest po co, ale jeśli pogoda pozwala, jest to świetne miejsce na wycieczkę zodiakiem. Nie ma tu już tak obfitej zieleni, są za to strzeliste skały i lodowce. Nawet fauna jest inna – widać wprawdzie kilka uchatek, ale są też foki Weddella, dla których to najdalej na północ wysunięte miejsce rozrodu. Dlatego pływając tutaj, mam wrażenie, że Georgia Południowa mówi nam do widzenia, a wita się z nami Antarktyka. Bo tam po wypłynięciu z fiordu ruszamy.



W Gold Harbour zwierzęta są wszędzie

Po drodze odwiedzamy jednak jeszcze jedno niesamowite miejsce – Wyspę Słoniową. Dopływamy do niej po kolejnych dwóch dniach spędzonych na morzu. Wyspa jest niedostępna, otoczona mieliznami i ostrymi jak sztylety skałami. Na brzegach same skały i lodowce – niemal w każdym miejscu wznoszą się pionowo w górę. W dodatku wyspa leży na otwartym oceanie, więc fale są na ogół zbyt duże, żeby się dało robić cokolwiek poza oglądaniem Point Wild ze statku. Tutaj właśnie ludzie Shackletona czekali na Szefa – od końca kwietnia aż do trzydziestego sierpnia. To nie było pierwsze miejsce, w którym wylądowały ich trzy szalupy. W poprzednim nie daliby rady, dlatego się przenieśli. Rozglądając się, trudno uwierzyć, że to jest to lepsze miejsce. Cypelek, na którym spędzili antarktyczną zimę pod dwiema odwróconymi łodziami, ma długość około stu metrów i szerokość może trzydziestu. Przy większych sztormach musiały się nad nim przetaczać fale, bo jest niski. Od strony morza ogranicza go pionowa skała z kolonią pingwinów maskowych, dzięki którym udało im się przeżyć. Z drugiej strony wznosi się kolejna ściana.

Trudno sobie wyobrazić, co się działo w głowach pozostawionych tu ludzi. Nie mieli pojęcia, czy Szef nie zginął na morzu ani czy wróci. Codziennie wyglądali statku – i tak przez ponad cztery zimowe miesiące. To, że przeżyli, zawdzięczają niezłomnej woli Franka Wilda i wierze w Shackletona, którego wielu z nich uważało za nadczłowieka. Szef podjął cztery próby dotarcia do swoich ludzi, za każdym razem grzęznąc w lodach wiele mil od wyspy. W końcu, za czwartym razem, dotarł tu na chilijskim kutrze „Yelcho” pod dowództwem kapitana Luisa Pardy. Dziób „Yelcho” można oglądać w Puerto Williams. Ma niewiele ponad trzy metry wysokości i patrząc na ten niezwykle pomnik, trudno sobie wyobrazić, że ten



mały stateczek dokonał tego, co wcześniej nie udało się innym. Kiedy Shackleton tu dopłynął, nie zszedł nawet na ląd. Upewnił się, że wszyscy są cali (tylko jeden stracił palce stóp w wyniku odmrożenia), po czym natychmiast zarządził powrót.

Dziś na Point Wild nie ma pozostałości po łodziach. Zmyły je sztormy, a resztki usunęli Chilijczycy, którzy w trakcie wyprawy w latach 1987–1988 wzniesli tu popiersie kapitana Pardy. Udało mi się kilka razy stanąć w tym miejscu i zawsze mnie ono zdumiewa.

W 2008 roku dotarłem na Wyspę Słoniową na zaproszenie Brazylijczyków, którzy zabrali mnie helikopterem do swojego refugium w głębi lądu. Tu krajobraz jest zupełnie inny, łagodne wzgórza schodzą delikatnie do wody, tyle że kryje się w niej kilkusetmetrowy pas ostrych uniemożliwiający bezpieczną nawigację skał. Gdyby rozbitkom udało się tu dostać, żyłoby im się znacznie wygodniej. A z drugiej strony – trudniej by ich było znaleźć.

Wody wokół wyspy są bardzo żyzne i regularnie natykamy się na stada wielorybów; ostatnio pływało nam wokół statku co najmniej pięćdziesiąt finwali i kilka humbaków. To tutaj nasi koledzy dzień po nas widzieli orki typu D. Ale sama wyspa jest niezwykle surowa.

Wyspa Słoniowa zostaje za nami i wszyscy się szykują na kulminację. Przed nami Antarktyka! Georgia Południowa też niby do niej należy, Wyspa Słoniowa tym bardziej, ale wszyscy czują, że prawdziwa Antarktyka jeszcze przed nami. Pasażerowie są podekscytowani, i słusznie, a i ja coraz bardziej się cieszę. Uwielbiam Georgię Południową, ale przeładowanie sensoryczne jest tam takie, że myślę o niej trochę jak o wykwintnym, pysznym deserze. Nie mógłbym tego jeść cały czas. Spędziłem w Antarktyce tyle czasu, że to ona jest moim chlebem powszednim. Nie w Arktyce, nie na subantarktycznych czy antarktycznych wyspach, ale właśnie tutaj czuję się najswobodniej i najbardziej u siebie.

Kiedy płyniemy od północnego wschodu, po drodze mamy wschodnią stronę Półwyspu Antarktycznego. Czyli znajdujemy się na obrzeżu Morza Weddella. Klimat jest znacznie surowszy niż zaledwie kilkaset kilometrów dalej, po stronie zachodniej. Morze Weddella wystawione jest na wpływ warunków panujących na Płaskowyżu Antarktycznym. Wieje i jest zimno, o czym najlepiej świadczą warunki panujące na Orkadach Południowych. Kilka razy udało mi się tam dotrzeć i pamiętam, że na początku trochę lekceważyłem tamtejszych polarników. Ich wyspy leżą dużo dalej na północ niż Szetlandy Południowe, na których stoi nasza stacja. A jednak to u nich morze regularnie zamarza i temperatury są niższe niż u nas. Orkady leżą właśnie na północnym krańcu Morza Weddella.

Wpływamy przez Cieśninę Antarctic, nazwaną tak na cześć statku Carla Antona Larsena. To w tej okolicy rozgrywał się nieprawdopodobny dramat Szwedzkiej Wyprawy Antarktycznej z początków naszego wieku.

Spotkanie Nansena z Jacksonem na Ziemi Franciszka Józefa było niesamowitym zbiegiem okoliczności. Jedyne, co przebija tamto spotkanie, to dzieje tej wyprawy. Jej kierownikiem został Otto Nordenskjöld, szwedzki geolog i siostrzeniec barona Adolfa Erika Nordenskiölda, słynnego badacza rejonów polarnych, który jako pierwszy przepłynął Przejściem Północnowschodnim. Podtrzymując rodzinną tradycję, Otto wybrał się na wschodnią stronę Półwyspu Antarktycznego, przewodząc jednej z kilku wypraw zainspirowanych przez Szósty Międzynarodowy Kongres Geograficzny, który odbył się w 1895 roku w Londynie. Podczas tego spotkania uznano, że Antarktyka pozostanie ostatnim wielkim wyzwaniem światowej geografii. Jedno z pytań pilnie wymagających odpowiedzi brzmiało: czy Półwysep Antarktyczny

nie jest przypadkiem archipelagiem i czy istnieje kanał łączący jego wschodnią i zachodnią stronę? Jako pierwszy – aby znaleźć przejście od zachodu – wyruszył statek „Belgica”. Szwedzka Wyprawa Antarktyczna – z Nordenskjöldem i Larsenem – na „Antarcticu” chciała go szukać od strony przeciwnej.

Plan był taki, że znajdą odpowiednią wyspę i zbudują na niej stację z tego, co przywieźli. Statek odpłynie i wróci po roku, a w tym czasie Nordenskjöld i jego ludzie będą eksplorować okolicę. Nie wszystko poszło zgodnie z planem.

Wyprawa od początku borykała się z trudnościami finansowymi. By uzyskać wsparcie argentyńskiego rządu, w drodze na Antarktydę zawinęli do Buenos Aires. Argentyńczycy, owszem, pomoc obiecali, ale pod warunkiem, że do wyprawy dołączy porucznik José Sobral – a potem zostanie członkiem grupy zimującej. Zbudowana z prefabrykatów stacja była wprawdzie przewidziana na sześciu ludzi, ale Nordenskjöld na własne szczęście dał się przekonać.

Od początku były również kłopoty z psami. Spośród czternastu grenlandzkich psów pociągowych, które kupili w Europie, dziesięć zmarło po drodze w wyniku walk i upału. Jeśli marzyła im się jakakolwiek eksploracja lądu, musieli ich mieć więcej, więc po opuszczeniu Buenos Aires udali się na Falklandy z zamiarem kupienia tamtejszych psów pasterskich. Zdobyli tylko cztery. Kiedy wreszcie – w grudniu 1901 roku – ruszyli na Antarktydę, lato trwało w najlepsze. Byli o kilka tygodni spóźnieni.

Styczeń upłynął im na walkach ze sztormami, osiadaniu na mieliźnie i utykaniu w lodzie, gdy próbowali dotrzeć dalej na południe – czyli na tym, co zwykle spotykało statki w tym rejonie. Ale udało im się lepiej poznać trochę wybrzeża, które wcześniej widział tylko Larsen. Nordenskjöld prowadził w tym czasie badania geologiczne i paleontologiczne na wyspie Paulet. Znalazł dobrą lokalizację na magazyn jedzenia lub schronienie w Hope Bay. Oba te miejsca miały wkrótce odegrać ważną rolę w losach ekspedycji.

Widząc, że nie uda im się założyć bazy tak daleko na południu, jak planowali, towarzyszący im artysta ze Stanów Zjednoczonych, Frederick Stokes, zrezygnował z zimowania. Uznał, że nie może liczyć na zorze polarne i inne atrakcyjne zjawiska optyczne, które zamierzał malować. Zważywszy, że po tej stronie Antarktydy, tak daleko od położonego dokładnie z drugiej strony bieguna magnetycznego, zorzy raczej by nie zobaczył, trzeba przyznać, że wybrał dobrze. A przy okazji zrobił w sześciuosobowej chacie miejsce dla Sobrala.

W końcu 12 lutego 1902 roku wybrali miejsce na bazę i zaczęli ją budować. Wyspę, na której postanowili osiąść na zimę, nazwali Snow Hill Island. Larsen na „Antarcticu” odpłynął na północ, by podjąć zimowe badania oceanograficzne w okolicach Georgii Południowej. W marcu trafił jednak w okolicach Wyspy Króla Jerzego na sztorm tak silny, że musiał popłynąć do Ushuaia, żeby zrobić gruntowny remont.

Grupa Nordenskjölda przez całą zimę podejmowała bliższe i dalsze wyprawy badawcze, choć psów mieli coraz mniej. Trzy owczarki zostały zagryzione przez swoich kolegów z Grenlandii, ponieważ Ole Jonassen, celowo sprowadzony specjalista od psów, zapomniał je uwiązać. Kiedy we wrześniu wyruszyli w najambitniejszą z tras, już pierwszej nocy znowu zapomniał uwiązać psy, więc dwa spośród najsilniejszych postanowiły wrócić do znacznie wygodniejszej stacji.

Ostatecznie 1 października Nordenskjöld wraz z Sobralem i Jonassenem wyruszyli

w dłuższą podróż. Udało im się wspiąć na lód szelfowy przylegający do brzegu i oddzielający go od morza. Zmierzali w stronę widocznego w oddali Półwyspu Antarktycznego. Kilkakrotnie uniknęli tragedii, gdy Jonassen (na tym etapie chyba nabierali już podejrzeń, że ich poganiacz psów nie jest w swoim fachu najlepszy) wywrócił sanie, a Nordenskjöld wpadł do szczeliny. W końcu jednak dotarli do ogromnego nunataku i dokładniej zobaczyli góry wznoszące się na zachodzie: byli więc pierwszymi ludźmi, którzy stanęli na lądzie od wschodniej strony półwyspu. Pewnej nocy psy, znowu źle uwiązane, włamały się do torby z pemikanem i zjadły całe swoje zapasy. Musieli więc skrócić wędrówkę. Niedługo potem lodowy kanion odciął im drogę od przylądka, na który zamierzali dotrzeć i który w związku z tym nazwali Cape Disappointment – Przylądek Rozczarowania. Na Snow Hill Island wrócili 4 listopada. Nordenskjöld i tak był dość usatysfakcjonowany, bo myślał, że wypatrzył wschodni koniec Cieśniny Bismarcka, która miała przecinać półwysep. Dopiero parę miesięcy później Francuska Wyprawa Antarktyczna pod wodzą Jeana Baptiste’a Charcota, badając znów półwysep od zachodu, udowodniła, że żadnej cieśniny tam nie ma.

Nordenskjöld z coraz większą niecierpliwością wyglądał powrotu „Antarctica”. W grudniu, jak zwykle wypatrując statku, dotarł na sąsiednią Seymour Island, na której znalazł skamieniałe kości pingwinów sprzed sześćdziesięciu pięciu milionów lat, a także skamieliny roślinne świadczące o tym, że kiedyś klimat Antarktydy był inny.

W styczniu uznał, że statek może nie wrócić i będą musieli spędzić w Antarktyce kolejną zimę. Zaczęli więc przygotowywać zapasy mięsa i tłuszczu do palenia. Zabili czterysta pingwinów i trzydzieści trzy foki.

Nordenskjöld nie miał pojęcia, że 11 stycznia Larsen znajdował się raptem dwanaście mil od nich – „Antarctic” utknął w paku, a lód wyrwał w nim gigantyczną dziurę, niszcząc ster. Płynęli po grupę zimującą. Po miesiącu dryfowania, 12 lutego 1903 roku, „Antarctic” zatonał, a dwudziestu ludzi pod wodzą Larsena zostało na lodzie. Mieli do dyspozycji dwie łodzie i siedem ton zapasów. Postanowili dotrzeć do Paulet Island.

Wcześniej, w drodze na południe, statek Larsena napotkał niespodziewanie dużo lodu, więc 29 grudnia 1902 roku wysiedli z niego zastępca Larsena, Andersson, i dwóch innych ludzi w Hope Bay. Mieli spróbować sprowadzić grupę Nordenskjölda lądem. W styczniu były już trzy osobne grupy. Andersson wiedział, gdzie są ci ze Snow Hill Island i że statek płynie, ale nie wiedział, że „Antarctic” utknął. Larsen znał położenie obu grup, ale stracił statek i walczył o życie na zamrożonym morzu. Grupa zimująca nie wiedziała nic, ale za to miała w miarę wygodną chatę.

Grupie z Hope Bay nie udało się dotrzeć do Snow Hill Island. Musieli zawrócić, ponieważ trafili na otwartą wodę. 11 lutego (dzień przed zatonięciem statku) uznali, że „Antarctic” raczej po nich nie wróci, więc zaczęli się przygotowywać do zimy. Zbudowali chatę z płaskich kamieni i rozstawili w niej namiot. Na pocieszenie jeszcze w styczniu, gdy wrócili z nieudanej wyprawy na południe, Andersson odkrył na pobliskim wzgórzu (nazwanym później Mt. Flora) doskonale zachowane skamieliny paproci *Sphenopteris nauckhoffiana* – dowód na to, że w kredzie panował tam tropikalny klimat.

28 lutego, po wyczerpującym marszu przez zwały morskiego lodu, Larsen i jego ludzie dotarli na Paulet Island. Zbudowali chatę z płaskich kamieni – pozlepiali je pingwinim guanem. Na szczęście na Paulet takich kamieni jest pełno. Gdyby trafili w takie miejsce jak Zatoką Admiralicji, byłoby im trudniej. W pobliskiej kolonii pingwinów Adeli zabili tysiąc sto

ptaków i osiem fok. W końcu nadeszła zima. Każda z grup przeżyła ją najlepiej, jak potrafiła. Jedynie w grupie Larsena ktoś umarł – młody marynarz Ole Wenersgaard, który już wcześniej miał problemy z sercem.

Wraz z nadejściem wiosny Andersson uznał, że statek musiał przepaść, więc 29 września 1903 roku wraz z dwoma towarzyszami wyruszył w stronę Snow Hill Island.

12 października przed południem dotarli na wyspę i nazwali ją Vega Island. Nagle zauważyli coś dziwnego – zbliżały się do nich dwie foki, obie w pozycji wyprostowanej. Dopiero po chwili okazało się, że to Nordenskjöld i Jonassen, którzy wybrali się na rekonesans akurat tego dnia i akurat w tę stronę (jak się później okazało, wyruszyli dokładnie tego samego dnia co grupa z Hope Bay, ale zapomnieli o chlebie, więc musieli wrócić i wyruszyli ponownie kilka dni później). Zimownicy ze Snow Hill sądzili z kolei, że trafili na miejscowych – trójka z Hope Bay była kompletnie zarośnięta i całkowicie czarna od sadzy. Kiedy się wyjaśniło, kto jest kto, nie mogli uwierzyć w swoje szczęście, a przylądek, na którym się spotkali, nazwali Cape Well Met, czyli Przylądek Dobrego Spotkania. Wyobraźcie sobie tę scenę: antarktyczne pustkowia, z nikim nie można się skomunikować, i nagle dwie grupy, oddalone od siebie o ponad sto kilometrów, przypadkiem się spotykają.

Razem wrócili na Snow Hill Island i czekali na statek. Andersson wiedział tylko, że „Antarctic” odpłynął po tym, jak ich wysadził. Wreszcie 8 listopada zauważyli czterech ludzi nadchodzących z północy. Byli przekonani, że to Larsen, ale zmierzał ku nim Julian Irizar, kapitan statku „Uruguay”, który władze Argentyny wysłały im na pomoc. Wtedy po raz pierwszy usłyszeli, że po naprawach w Ushuaia słuch po „Antarcticu” zaginął. Argentyńczycy wrócili na statek, a pozostali zaczęli się pakować.

Tego samego dnia koło dwudziestej drugiej trzydziści zaczęły szczekać psy. Polarnicy znowu zobaczyli na północy ludzi: tym razem myśleli, że to Irizar wysłał swoich, ale okazało się, że to Larsen z piątką towarzyszy! Z Paulet popłynęli łodzią do Hope Bay. Nikogo tam nie spotkali, więc skierowali się na południe, ale trafili na gęsty lód i resztę drogi pokonali piechotą. Gdyby dotarli tam dwa dni później, „Uruguay” już by odpłynął i nikt na świecie nie dowiedziałby się, jakie były losy grupy z Paulet Island.

Argentyńczycy zabrali wszystkich ze Snow Hill Island, zgarnęli resztę ludzi z Paulet i cenne skamieliny Anderssona z Hope Bay. Wracając do Buenos Aires, trafili na sztorm, który im połamał oba maszty. Byli w fatalnym stanie, a przed sobą wciąż mieli Cieśninę Drake’a, ale udało im się dotrzeć na miejsce na silniku. W Buenos Aires zgotowano im przywitanie godne bohaterów. I tak się skończyła ta niesamowita wyprawa. „Uruguay” można zwiedzać w Puerto Madero w Buenos Aires. Na Paulet Island wciąż widać dobrze zachowane resztki chaty Larsena, które teraz zajęły pingwiny, i resztki krzyża wzniesionego dla młodego żeglarsza. W Hope Bay powstała największa argentyńska stacja, Esperanza. W 1978 roku urodził się tam ktoś, kto został pierwszym człowiekiem urodzonym na Antarktydzie. Pozostałości chaty Anderssona są otoczone opieką i dobrze widoczne. Vega Island uderza niedostępnością brzegów i spływającymi z klifów wodospadami, które regularnie płyną w górę, pchane porywami antarktycznego wichru. Nie udało mi się dotrzeć tylko na Snow Hill Island, ale widziałem przez lornetkę, że chata ciągle tam stoi.



Petrel śnieżny na gnieździe, Brown Bluff

Niedaleko Esperanzy leży jedno z moich ulubionych miejsc w Antarktyce – Brown Bluff. Plaża rozciąga się u stóp otoczonego lodowcami ogromnego brązowego klifu. To wulkan, który kiedyś wybuchł pod lodowcem, więc ma zupełnie płaski wierzchołek. Wulkaniczne skały tworzą tu księżycowy krajobraz: pełno tu bomb i głazów o dziwacznych kształtach. Mieści się tu też bardzo duża kolonia Adelek. Sporo jest też pingwinów białobrewych. Poza tym to nie wyspa, tylko sam czubek półwyspu. Podczas każdej wycieczki staramy się pokazać turystom wszystkie trzy gatunki żyjących tu pingwinów i przynajmniej raz postawić stopę na kontynencie, więc bywamy tu, jak tylko jest okazja. Nieco powyżej pingwinów, wśród skalnego rumowiska, można zobaczyć gniazdujące petrele śnieżne. Ten zwykle lśniący biały i piękny ptak jest jedynym ptakiem latającym gnieźdzącym się w głębi kontynentu. Zwykle wygląda jak zachwycający duch unoszący się wśród lodowych gór. Dzięki swojej pozornej delikatności wygląda jak gość z innego świata – pojawia się niespodzianie i równie niespodzianie znika. A tu można go zobaczyć w głębi skalnej jamy, wysiadującego jaja. W niektórych miejscach zbadano warstwy zgromadzonego guana i okazało się, że petrele śnieżne wykorzystują te same gniazda od tysięcy lat.

Z Brown Bluff trzeba popłynąć trochę na północ i skrócić na zachód, przez cieśninę Antarctic Sound. Po polsku nazywa się ją czasem Cieśniną Antarktyczną, ale to wynik nieporozumienia, bo chodzi o statek Larsena „Antarctic”. Miejsce to określane jest też często jako Aleja Gór Lodowych – można tu napotkać ogromne stołowe góry lodowe wypływające na ocean z Morza Weddella. Część z nich ma po kilka kilometrów długości, niektóre po kilkadziesiąt, nic więc dziwnego, że dawni podróżnicy brali je za pokryte lodem wyspy.

Po ominięciu czubka półwyspu spływamy znowu na południe. Zachodnia strona określana jest czasem jako Banana Belt lub Antarktyczna Riwiera. Nie są to określenia pełne podziwu – tak polarnicy ze stacji w głębi kontynentu pogardliwie określają luksusowe środowisko, w którym zimują ludzie z położonych tutaj stacji. To prawda, klimat jest tu dużo łagodniejszy. Jest ciepło, nawet coraz cieplej, bo właśnie ta część wraz ze zmianami klimatu kontynentu zmienia się najbardziej. Stwierdzono też niepokojące oznaki zmian w ekosystemie: od kilku lat trwa inwazja krabów królewskich, do tej pory trzymających się z dala dzięki chłodnym wodom, w nich bowiem nie umieją sobie radzić z magnezem, który mają we krwi, a który zaburza funkcjonowanie ich układu nerwowego. Można powiedzieć, że w zimnej wodzie kraby są ciągle pijane. A teraz wkraczają do Antarktyki i nikt nie wie, jak te duże drapieżniki wpłyną na świat pełen zwierząt doskonale dostosowanych do chłodu, które jednak nigdy nie musiały się bronić przed wrogami kruszącymi skorupy. Pancerze podwodnych mieszkańców Antarktyki są delikatniejsze niż żyjących gdzie indziej. To może oznaczać katastrofę.

Ponieważ dookoła jest dużo wysp i lodu, wody wokół półwyspu bardzo często są gładkie jak lustro. Nawet jeśli dalej na północy – w cieśninach Drake’a i Bransfielda – szaleje sztorm, tu docierają na ogół tylko jego ślady. Często za to zrywają się zniecka wiatry katabatyczne: powietrze ochłodzone nad lodowcem, gęste i ciężkie, nagle spływa pod cieplejsze masy powietrza rozgrzanego ładną pogodą. Dlatego pewne miejsca można odwiedzić tylko rano. Po południu, gdy jest cieplej, wiatr na to nie pozwala.

Półwysep Antarktyczny to wysokie nawet na tysiąc metrów skały wyrastające prosto z morza. Widoki są tak piękne, że niektóre miejsca określa się jako *Kodak traps*, czyli pułapki na Kodaka. W czasach fotografii analogowej turyści zużywali tu całe filmy, a Kodak był jednym z największych ich producentów. Teraz też pstryka się bez opamiętania, zwłaszcza że to, co określamy jako *magic time*, niesamowite światło popołudnia, trwa tu godzinami i delikatnie przechodzi w oszałamiające zachody słońca. Do tego okolice półwyspu dosłownie kipią życiem. W miejscach takich jak Cieśnina Gerlache’a co chwila widzimy wieloryby. Są też orki. Z racji tego, że upodobały sobie to miejsce, nazywane są typem Gerlache. U tujejszych orki charakterystyczne dla tych drapieżników białe plamy, które nadają im ujmującą urodę pandy, często są żółte od żyjących na ich skórze okrzemków. W tej okolicy przeżyłem najbardziej niesamowite spotkania z orkami: matki podpływały do nas bardzo blisko, żeby pokazać statek swoim dzieciom. Tu też zdarzyło mi się, że kiedy odstawiłem pasażerów na brzeg i zostałem na zodiaku sam, podpłynęło do mnie sześć waleni. Dwa wystawiły głowy wysoko nad wodę, tuż przy obu moich burtach. Choć wiedziałem, że orki nie atakują ludzi, przemknęło mi przez myśl, że zawsze może być ten pierwszy raz. Oczywiście nic mi nie zrobiły. Tutejsze orki polują na foki i opracowały niesamowitą strategię skoordynowanego ataku: kilka zwierząt płynie tuż obok siebie, nurkuje tuż przed krą, tworząc falę, która zmywa fokę prosto w paszczę kolejnej orki czekającej po drugiej stronie. O ile wiadomo, strategię tę stosuje tylko jedna rodzina. Uczy młode osobniki, jak to się robi.



Płetwal karłowaty sprawdza, czy dobrze się zachowujemy w zodiaku

Ale orki to nie jedyne walenie, których tu dużo. Co chwila widzimy też humbaki i regularnie walenie karłowate, czyli Minke. Zwłaszcza te pierwsze bywają nami zainteresowane, podpływają i do statku, i do zodiaków, zapewniając nam niesamowite przeżycia.

Kiedy byłem tu po raz pierwszy, nie miałem ze sobą aparatu, bo mi się zepsuł. Najpierw byłem rozczarowany, ale potem zauważyłem, że dzięki temu widzę dużo więcej niż inni. Kulminacja nastąpiła w Cieśninie Gerlache'a, kiedy humbaki pływały tuż przy statku. Jeden z nich, zanurzając się, pokazał ogon. Każdy chce zrobić zdjęcie wielorybiego ogona, więc słychać było nieustanną kanonadę migawek. Gdy wieloryb zniknął, zobaczyłem czterech pasażerów z gigantycznymi obiektywami, które nazywam freudowskimi – stali w ciasnym kręgu i porównywali swoje ogony. W tym samym momencie humbak całym ciałem wyskoczył z wody, dziesięć metrów od nas – i żaden z nich tego nie zauważył, tak byli zajęci. Zawsze mówię gościom, żeby opuścili aparaty i chłonili te chwile. Świat jest znacznie większy niż najlepsze nawet zdjęcie. Nie zmieści się w ramce.

Dużo miejsc w tej okolicy nazwali ci, którzy płynęli „Belgicą” i spędzili nieopodal zimą. Mamy tu więc Półwysep Arctowski, wyspy Danco i Wiencke (nazwane na cześć zmarłych towarzyszy) i wiele szczytów, wysp i kanałów upamiętniających pierwszych antarktycznych zimowników, którzy badali ten rejon.

Wiele z tych miejsc można odwiedzać. Każde jest inne, ale są też podobieństwa: oślepiająca biel lodowców, strzeliste skały, góry lodowe i tysiące pingwinów. Niektóre, jak na przykład Mikkelsen Harbour, otoczone są lodowcami jak gigantycznym amfiteatrem. Regularnie cieli się tutaj lodowiec, a oprócz pingwinów i innych ptaków lubią się tu wylegiwać foki Weddella, często koncertujące przez sen. Miejsce ma kapitalną akustykę i zawsze mam wrażenie, że przed moimi oczyma rozgrywa się *Antarktyczna symfonia*, w dodatku oddziałująca nie tylko na słuch. Do niesamowitych odgłosów dołącza się oszałamiający widok i... zapach. Pingwinów jest tam naprawdę dużo.

Innym zapadającym w pamięć miejscem jest Neko Harbour, jedno z najpopularniejszych lądowisk na półwyspie. Można się tu wdrapać na wzgórze prowadzące do aktywnego lodowca. To idealne miejsce na cichą kontemplację – pingwiny wokół i widok z góry na cały an-

tarktyczny krajobraz: lodowce, strzeliste góry i morze pełne lodowych gór. Miło się tu spaceruje, ale jeszcze bardziej lubię tu pływać zodiakiem. Łodzi nie możemy zostawiać na plaży, bo regularnie cielący się lodowiec wywołuje prawdziwe tsunami. Zdarzało się, że fale docierające do brzegu przewracały je i zgarniały ludzi wraz ze sprzętem do morza.



Samiec lamparta morskiego ze słynnym uśmiechem

Dlatego musimy czekać na gości na wodzie. Przeżyłem tu kilka fajnych przygód. Kilka lat temu pracowałem z Colinem Bairdem z Kanady. To jeden z tych ludzi, których mam za szczyt uważać za swoich przyjaciół. Za młodu pracował w parkach wodnych jako trener orka. Potem przejrzał na oczy i zorientował się, jak zbrodniczy jest przemysł trzymający walenie w niewoli. Kiedy w kinach pojawił się film *Uwolnić orkę*, na świecie rozpoczęła się kampania na rzecz uwolnienia Keiko, samca, który w nim grał. Po latach wysiłków udało się do tego doprowadzić i to właśnie Colin został jego osobistym trenerem, człowiekiem, który go uczył, jak wrócić do dzikiego świata. Wyobrażacie sobie, jakie to uczucie, gdy się pływa w oceanie z zaprzyjaźnioną orką i przedstawia ją dzikim pobratymcom? Ja też nie, ale trudno mi wymyślić coś bardziej ekscytującego. Keiko nie pożył na wolności długo. Umarł w wieku zaledwie dwudziestu siedmiu lat, lecz jego ostatnie lata były szczęśliwe. Żył na obrzeżach rodzinnych stad dzikich orka. Nie przeganiały go. I zawsze gdy widział Colina, który co kilka tygodni wracał na Islandię, gdzie wszystko to się działo, płynął do niego z daleka, żeby się przywitać.

Któregoś dnia w Neko Harbour skończyliśmy dowozić pasażerów na brzeg i szykowaliśmy łodzie, żeby je zostawić na kotwicach na wodzie. Nagle tuż przy łodzi Colina wynurzył się ogromny samiec orki. Stojących blisko siebie łodzi było sześć, w tym moja. Oczywiście



to przypadek, ale mieliśmy poczucie, że to tak, jakby orka wiedziała, kim jest. Colin natychmiast podniósł kotwicę i ruszył na spacer. Wielki samiec poprowadził go niemal do wyjścia z zatoki, po czym odpłynął. Kiedy Colin pół godziny później wrócił, miał łzy w oczach.

Dla mnie najlepszym doświadczeniem z Neko Harbour było spotkanie z lampartem morskim. Te wielkie foki są ekologicznym odpowiednikiem niedźwiedzi polarnych – są podobnej wielkości i też polują na foki i ptaki. Na ogół, kiedy je spotykamy, leżą na krze z bezczelnym szerokim uśmiechem na zębatej gębie – wiedzą, że nikt im nie podskoczy. Czasem wiadać, jak potężnymi uderzeniami o wodę wywracają pingwina na lewą stronę. Można sobie tylko wyobrazić, jaką siłę mają ich muskularne szyje. Bywa, że podpływają do zodiaków – to jedyne zwierzę, które wywołuje mój niepokój. Nie są znane wypadki wskakiwania do łodzi, ale zdarza się, że przegryzają nam pontony. Nauczyły się, że choć sam ponton jest zbyt szeroki nawet dla ich ogromnej paszczy, to jeśli się podpłynie z tyłu i ugryzie któryś z ostro zakończonych końców, rozlega się wielce satysfakcjonujący syk i pasażerowie zaczynają wydawać bardzo zabawne odgłosy. Zodiak nie tonie nawet jeśli dwa z jego zbiorników są dziurawe, ale trzeba szybko wracać na statek. Parę lat temu pewien lampart w jedno popołudnie załatwił w ten sposób cztery zodiaki z zaprzyjaźnionego statku. Dlatego gdy któryś znacznie się interesować moją łodzią, zawsze jestem czujny.

Ale moje spotkanie w Neko było inne. Nasza koleżanka, Krystle, zauważyła, że lampart walczy z krabojadem. Kiedy podpłynąłem, woda kipiała czerwienią. Mniejsza foka właśnie konała, a lampart zaczynał ją zjadać. Jego umazaną krwią gębę wciąż mam przed oczami.

Tamtego popołudnia kolejnym miejscem na naszej trasie był leżący w sąsiedniej zatoce, piętnaście mil dalej, Paradise Harbour. Zakończyliśmy pracę z pasażerami i czekaliśmy, aż dźwig podniesie nas na pokład, żebyśmy mogli tam popłynąć. Pogoda była piękna, my w świetnych nastrojach. Westchnąłem i powiedziałem, że byłoby super, gdyby nasz dźwig znowu się popsuł. Na „Sea Spirit” zdarzało się to regularnie. Wtedy moglibyśmy ruszyć do Paradise Harbour na zodiakach. Nie minęły trzy minuty i stał się cud. Z mostka przyszła przez radio wiadomość, że dźwig niestety szlag trafił i pięć wciąż będących na wodzie zodiaków musi dopłynąć do Paradise. Co za pech...



Lampart morski z upolowanym krabojadem

Coś wspaniałego. Z pełną prędkością, w słońcu i bez cienia wiatru mijaliśmy góry lodowe. Po drodze zatrzymaliśmy się dwa razy, bo spotkaliśmy wieloryby i spędziliśmy z nimi trochę czasu. W połowie trasy, ponieważ byłem najbliżej, podpłynąłem do statku i dostałem pięć toreb z lunchem. Zjedliśmy go, otoczeni monumentalnym lodem. Gdy dopłynęliśmy na miejsce, zaczynała się kolejna operacja, więc nawet nie wszedłem na statek. Tego dnia byłem na wodzie nieco ponad dziesięć godzin bez przerwy, ale to jedno z moich najlepszych antarktycznych wspomnień.

W Paradise Harbour na ogół rozdzielamy gości. Połowa ma kolejne kontynentalne lądowanie przy pozostałościach argentyńskiej stacji Almirante Brown, a połowa płynie na wycieczki zodiakami.

W 1984 roku lekarz stacji, który był również jej komendantem, właśnie kończył roczny pobyt. Bardzo chciał wracać do domu, ale kiedy na miejsce przyplłynął argentyński lodołamacz „Julian Irizar”, obsługujący stację logistycznie, przywiózł ze sobą nowe rozkazy: miał zostać na kolejny rok. Tyle że on naprawdę chciał wrócić, więc... podpalił stację! Oczywiście wszystkich ewakuowano i pomysłowy komendant wrócił do Argentyny, a już jakieś dziesięć lat później wyszedł z więzienia. Ta historia jest doskonałą ilustracją faktu, że choć to niebezpieczne środowisko, w Antarktyce czasem znacznie groźniejsze rzeczy dzieją się w ludzkich głowach niż poza nimi.

To idealne miejsce do pływania zodiakiem. Jest tu kilka atrakcji całkowicie niezależnych od pogody czy szczęścia. Tuż obok stacji znajduje się kolonia kormoranów błękitnookich, do której można podpłynąć całkiem blisko, żeby pooglądać ich niewiarygodnie pokraczne pu-

chate pisklaki. Kawalek dalej na skalnej ścianie widać jasnozielone smugi – to jedna z największych tak odsłoniętych żył malachitu w Antarktyce. A za rogiem otwiera się nagle widok na mój ulubiony lodowiec. Dzięki ukształtowaniu zbocza jest on mocno popękany – lód łamie się tu w regularne gigantyczne prostopadłości. Lodowiec wygląda jak ruiny gigantycznego, starszego niż ludzkość miasta, ze strzelistymi wieżami i imponującymi bramami. Jak z powieści H.P. Lovecrafta. Przed lodowcem zawsze wpływam w lodowy rumosz i wyłączam silnik. Proszę pasażerów, żeby się przez minutę nie odzywali, nie ruszali i nie robili zdjęć, tylko wsłuchiwali w odgłosy Antarktyki. Słychać głosy ptaków, czasem powiew wiatru, daleką lawinę lub cilenie się lodowca. A wszystko podszyte jednym z moich ulubionych dźwięków – szeptem lodu. Woda wokół pełna jest małych odłamków, które co chwila pękają i bez przerwy uwalniają uwiecznione bąbelki powietrza. Towarzyszy temu nieustanny szelest. Antarktyka przemawia do nas bardzo głośną ciszą.

Niedaleko, w pobliżu Enterprise Island, są kolejne pozostałości ludzkich działań. Na małym cypelku leżą dwie łodzie wodne: drewniane i zamknięte od góry. Sto lat temu wielorybnicy używali ich do przechowywania słodkiej wody. Te pływające beczki cumowano blisko śnieżnego zbocza. Wycinano w nim kanały podobne do tych, które się wycina w drzewach, żeby zebrać żywicę. Topiący się śnieg szybko napełniał łożyska wodą.

Ale to nie łodzie są najbardziej charakterystyczne. Nieopodal znajduje się wrak norweskiego statku „Governoren”. W styczniu 1915 roku wypełniony wielorybim olejem stanął w płomieniach i aby ratować załogę, kapitan wpłynął na mieliznę. Wszyscy ocalili, a statek jest tu do tej pory. Można go opłynąć, a nawet wpłynąć nad zanurzony pod wodą pokład i obejrzeć zatopione urządzenia. Kiedy go budowano, nie stosowano jeszcze spawów, więc widać równe rzędy potężnych ćwieków łączących tworzące go stalowe płyty. Teraz wykorzystują go głównie gnieźdzące się tu rybitwy antarktyczne i żeglarze, dla których jest dogodnym cumowiskiem. Najciekawsze w całej tej historii jest to, że kiedy doszło do pożaru, kilkaset kilometrów dalej, po drugiej stronie półwyspu, Shackleton przeżywał swoją antarktyczną epopeję. Tutaj prętnie działał przemysł wielorybniczy, w okolicy pływało jakieś trzydzieści statków (tyle, ile teraz pływa po Antarktyce z turystami). Warunki po obu stronach tego skrawka lądu są skrajnie różne.

Co nie znaczy, że na zachodzie pogoda zawsze sprzyja. W tym roku rozpoczęliśmy lądowanie na wyspie Danco. Była mgła, a przy tym wiatr i śnieg. Pierwsza grupa popłynęła na brzeg, żeby przygotować lądowisko. Mój zodiak – już z pasażerami – był drugi. Widoczność była ograniczona i cały czas zastanawiałem się, jak znajdę wyspę, bo nie mogłem utrzymać kierunku, meandrując w labiryncie pływającego lodu. Nagle przez radio wywołał nas Alex, nasz szef. Powiedział, że przyszedł sygnał *mayday*, przerywamy operację, trzeba ratować jacht wyrzucony przez sztorm na skały. Udało mi się odnaleźć statek, ale moi koledzy i koleżanki wracający po chwili z wyspy musieli dostać współrzędne geograficzne, żeby z GPS-em trafić z powrotem. Warunki robiły się coraz gorsze. Pewnie i tak musielibyśmy wszystko odwołać.

Popłynęliśmy w stronę jachtu. Był w pobliżu, niedaleko wyspy Cuverville. Spuściliśmy na wodę trzy zodiaki. Francuski jacht „Tarka”, bardzo przekrzywiony, kręcił się na kilu przy samym brzegu. Nikt nie ucierpiał, ale nie mogli się uwolnić. Wiatr się wzmacniał i w każdej chwili mógł ich wyrzucić na skały. Kapitan naszego statku, doświadczony Rosjanin, popłynął z nami, ubrany w mundur i zupełnie niewrażliwy na coraz gorsze warunki. Udało nam się

dopłynąć do jachtu. Kapitan wdrapał się po trapie, żeby ocenić sytuację, a my po chwili zabraliśmy się do roboty. Przywiązaliśmy do jachtu trzy liny i na pełnych obrotach naszych sześćdziesięciokonnych silników próbowaliśmy „Tarkę” ściągnąć na głębszą wodę. Z mostka dostawaliśmy ostrzeżenia o nadchodzących podmuchach wiatru, który osiągał już prędkość stu kilometrów na godzinę. Wtedy musieliśmy przestać ciągnąć i ustawić się rufą do wiatru, żeby nas nie przewrócił. Po dwóch godzinach byliśmy przemarznięci. Za każdym razem gdy nam się udało jacht odwrócić, wiatr przekręcał go z powrotem jak papierową zabawkę. Ponieważ odpływ z każdą chwilą zmniejszał nasze szanse, uzgodniliśmy z załogą, że przerwiemy i wrócimy o dwudziestą trzecią, kiedy woda znowu się podniesie. Zabraliśmy kapitana i wróciliśmy na statek, żeby się przebrać, wysuszyć i odpocząć.

W nocy znowu zesliśmy na wodę i tym razem jedną z lin przywiązaliśmy do masztu żaglóWKi. Sztorm nadal szalał, ale po dwóch godzinach w końcu udało się ściągnąć rozbitków na wodę. Było ciężko, ale nasz radosny okrzyk, gdy zobaczyliśmy, że są wolni, słyszano na statku – ponad kilometr dalej.

Płynąc dalej na południe, docieramy do słynnego Kanału Lemaire’a. U jego północnego wejścia znajduje się moja ulubiona góra w Antarktyce. Jej podwójny szczyt jeszcze w latach osiemdziesiątych nazywano Una’s Tits, czego nie da się przetłumaczyć inaczej niż cycki Uny. Una, młoda i ponoć hojnie ukształtowana, w latach pięćdziesiątych pracowała jako sekretarka gubernatora Falklandów. Z całą pewnością była jedną z ostatnich kobiet, które widzieli brytyjscy polarnicy, płynąc na dwuletnie kontrakty w Antarktyce. Łatwo można sobie wyobrazić smętnego badacza stojącego na plaży i patrzącego na strzeliste bliźniacze szczyty jednej z gór. Nagle coś mu zaczynają przypominać. Nazwa ta oficjalnie widniała na mapach i w przewodnikach, aż w końcu na fali poprawności politycznej została usunięta. Una, wówczas mieszkająca w Nowej Zelandii, wystosowała oficjalny protest do Brytyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Łatwo to zrozumieć. Każdy by się wkurzył, gdyby ktoś usunął z mapy nazwę upamiętniającą dni jego chwały. Nikt oczywiście nie używa oficjalnej nazwy, Una Peaks. Dla podróżników dumne szczyty pozostają cyckami Uny.



Duma Uny

Kawałek dalej krajobraz robi się już groteskowo malowniczy. Strome, wysokie na setki metrów szczyty rozsunęły się, tworząc wąski przesmyk. W pogodne dni mamy więc bardzo niebieską wodę, w której odbijają się lśniące lodowce i czarne skały, a wszystko przykryte bardzo niebieskim niebem. W wodzie, rzecz jasna, pływają białe i niebieskie góry lodowe, na krach wylegają się lamparty morskie, krabojady i weddelki, a dookoła regularnie widzimy wieloryby. Jedenastokilometrowy rejs przez bajkę.

A dalej wcale nie jest gorzej. Na południe od Kanału Lemaire'a wpływamy coraz głębiej w domenę lodu. Cała okolica wiąże się z dziejami francuskich wypraw antarktycznych pod wodzą jednego z moich ulubionych podróżników, Jeana-Baptiste'a Charcota. Jego ojciec był sławnym i bogatym lekarzem, więc Jean-Baptiste w znacznej mierze sam finansował swoje podróże. Był doświadczonym żeglarzem i gdy podniesiono kwestię sprawdzenia, czy półwysp jest rzeczywiście półwyspem, kupił statek „François” i w 1903 roku wyruszył na pierwszą ekspedycję. Udało im się ustalić, że jeśli kanał istnieje, jest jeszcze dalej na południe. Zimowali w pobliskim Port Charcot, gdzie prowadzili pomiary geomagnetyczne i mapowali ogromne obszary wybrzeża. To była jedna z najlepiej wyposażonych i najbardziej komfortowych wypraw w historii. Jednym z nielicznych sponsorów został słynny producent szampana G.H. Mumm, więc mieli pod dostatkiem szlachetnego trunku i codziennie rano wypiekali croissanty. Niestety wyprawa trochę się przeciągnęła i kiedy wrócili w 1905 roku, żona Charcota postanowiła odejść. Rozwód okazał się kosztowny i podróżnik musiał przyrzec rodzinie, że pozostanie kawalerem. Ale niedługo później się zakochał, po czym złamał przyrzeczenie i ożenił się, podpisując jeden z pierwszych kontraktów małżeńskich w historii. Je-

den z punktów gwarantował, że małżonka nie będzie miała pretensji, jeśli mąż znów popły- nie na wyprawę antarktyczną. A potem kupił kolejny statek, nazwał go „Pourquoi Pas?” („Dlaczego nie?”) i wrócił na południe. Spędził tam lata 1908–1910. Tym razem zimowali na pobliskiej Petermann Island, którą regularnie odwiedzamy. Lądujemy w ich zatoczce, Port Circumcision, czyli w Porcie Obrzezania. Nazwaną ją tak dlatego, że dotarli tu 1 stycznia, kiedy obchodzono święto Obrzezania Pańskiego. Przy odpływie na skalnej ścianie wciąż wi- dać litery PP, upamiętniające statek i wyprawę.



Podwójne góry wokół Pleneau Bay

Na północny wschód od Wyspy Petermanna rozciąga się Pleneau Bay, zwane cmentarzy- skiem gór lodowych. Jest dosyć płytko, więc lodowe kolosy utykają tu na długo, dzięki cze- mu w trakcie wycieczek zodiakami mamy fantastyczne widoki. To tu miałem chyba najlep- szą z takich jazd. Udało nam się dotrzeć na miejsce wieczorem, a następnego dnia planowali- śmy zabrać tam pasażerów. Rozpoczął się właśnie fenomenalny zachód słońca. Tuż po za- kotwiczeniu statku niespodziewanie wezwał nas Alex, nasz szef. Powiedział, że trzeba wyru- szyć na rekonesans i że mamy spuścić trzy łodzie i wsiąść do nich dwójkami. Znalazłem się wśród szóstki szczęśliwców i już po chwili ruszyliśmy w coraz bardziej złotoczerwony kra- jobraz. Oczywiście żaden rekonesans nie był potrzebny, Alex chciał nam po prostu zrobić przyjemność i udało mu się to doskonale. Słońce odbijało się w lodzie, pomarańczowe góry odbijały się w wodzie, nad wszystkim wzeszedł księżyc w pełni, a do tego znaleźliśmy wiel- gachny lodowy łuk. Ogromna góra lodowa miała pośrodku wielką dziurę, przez którą księ- życ wyglądał jak na superkiczowatej pocztówce. Tyle że to my byliśmy w tej pocztówce. Wróciliśmy na statek w doskonałych nastrojach.



Wielki łuk lodowy w Pleneau Bay

Następnego dnia, w dziennym świetle, wycieczka też się udała.

Kiedy kończę jazdę na zodiaku i wracam na statek, często śpiewam sobie pod nosem starą żeglarską piosenkę o statku „Venus”. Zwłaszcza ostatnią zwrotkę. Niestety przy gościach muszę ją śpiewać niewyraźnie, a przetłumaczyć jej na polski nie zamierzam. Słowa, które mimo woli cisną mi się w takich sytuacjach na język, brzmią tak:

*And when we reached our station,  
through skilful navigation,  
the ship was sunk in a wave of spunk  
from too much fornication.*

Cała piosenka jest utrzymana w podobnym duchu.

Jeszcze dalej na południe stoi ukraińska stacja Wiernadski. Obok Arctowskiego to najprzytulniejsza znana mi stacja. Ukraińcy zawsze są zadowoleni, że ktoś ich odwiedza, a kiedy mówię, że też żyłem na stacji i w dodatku zimowałem z Ruslanem, traktują mnie jak swego. To jedno z takich miejsc, w których staram się prowadzić zodiaka tylko w tamtą stronę. Ich legendarny bimber jest pyszny i skuteczny.

Mają tam dość ciekawą tradycję. Kobiety dostają darmowe lufy bimbrowe, o ile zostawią tu stanik. Nie trzeba pokazywać piersi, ale należy go zdjąć na miejscu. Ponieważ tradycja jest znana, turystki (ale też koleżanki z teamu) specjalnie przywożą starą bieliznę i zakładają na

tę okazję. Później wykonują tylko trochę tej zdumiewającej kobiecej gimnastyki, która pozwala zdjąć coś spod kilku warstw ubrania, oddają stanik i cieszą się miejscową specjalnością. Na barze na Wiernadskim wisi gigantyczny kłab staników.

To zwykle najdalsze miejsce, w jakie docieramy. Czasem wycieczki przekraczają jeszcze południowy krąg polarny. Odbywa się wtedy ceremonia z Neptunem, diabłami i tak dalej. Ale stąd raczej się już wraca. Płyniemy wzdłuż półwyspu i odwiedzamy inne miejsca. Często jest to Port Lockroy, dawna baza BAS, obecnie muzeum, sklepik i słynne Penguin Post Office. W sklepiku jest masa fajnych ubrań, dobrych książek i interesujących pamiątek, ale dla nas najciekawsze jest spotkanie z ludźmi, którzy tam pracują. W ciągu sezonu zdążyliśmy się już z nimi zaprzyjaźnić. To tu wymienia się najnowsze plotki i informacje wiadomości. Jest nawet tablica, na której ludzie z różnych statków zostawiają wiadomości dla znajomych pracujących na innych jednostkach. Prędej czy później wszyscy tu dopływają.

Kawałek dalej na północ leży kolejny idealny cel wycieczek – Spert Island. Mówi się o Spert, że to Kanał Lemaire’a dla zodiakowców. Ekscentryczna geologia ukształtowała tu wyspę, która wygląda, jakby najpierw ktoś ją tu położył, a później pociął ostrym nożem i lekko porozsuwał. Można tu pływać przez sieć kilkunastu przecinających się, wąskich na parę metrów i wysokich skalnych kanionów. Dla kierowców to prawdziwy plac zabaw, zwłaszcza kiedy fale wznoszą się w wąskich przejściach i opadają. Można na nich wtedy surfować. Na deser są dwa tunele: można wpłynąć na jednym końcu, przepłynąć przez strzelistą skałę i wynurzyć się z drugiej strony.

Po kilku dniach eksploracji rejonu półwyspu zbliża się czas powrotu do Ameryki Południowej. Zwykle spędzamy jeszcze dzień na Szetlandach. Jako pierwszą odwiedzamy na ogół Deception Island. To kolejne sławne miejsce.

Wyspa jest kalderą wulkanu, który kiedyś eksplodował, zapadł się i wypełnił wodą, ponieważ część skalnego pierścienia osunęła się i stworzyła wąski przesmyk zwany Neptune’s Bellows. W efekcie powstał drugi co do wielkości naturalny port na świecie – z trzykilometrowej średnicy kawałkiem morza otoczonym górami. Wulkan jest aktywny i można by się sparzyć, gdyby się zbyt długo trzymało palce w przybrzeżnym piasku.

W samej kalderze ani fok, ani wielorybów raczej nie ma, ale od XIX wieku port chętnie wykorzystywali łowcy tych zwierząt. Przemysł wielorybiczny osiągnął takie rozmiary, że w 1910 roku liczbę dryfujących tu i zatopionych, gnijących ciał wielorybów oceniano na trzy tysiące. Jeśli pomyśleć o siarkowodorze nieustannie wydobywanym się z wulkanu, można sobie wyobrazić ten odór. W 1912 roku zbudowano tu stację wielorybniczą. Kiedy w roku 1927 wynaleziono slipy rufowe umożliwiające wciąganie upolowanych zwierząt na pokład, wielorybnictwo zmieniło charakter. Nastąpił rozwój przemysłu pelagicznego i statków przetwórczych, obrabiających wieloryby na pełnym morzu. Wtedy prowadzenie stacji lądowych przestało być opłacalne. Tutejszą zamknięto w 1931 roku.

W 1940 roku Chile uznało tę część Antarktyki za swoje terytorium i dwa lata później ich okręt, „Primer de Mayo”, zostawił na Deception Island mosiężny cylinder z oficjalnym rozszczeniem oraz flagę. W styczniu 1943 roku przyplłynął tu brytyjski okręt „Carnarvon Castle”, usunął znaki chilijskie i umieścił brytyjskie. Później wrócili Chilijczycy, usunęli znaki brytyjskie i ponownie zostawili swoje. W 1943 roku do zabawy włączyła się jeszcze Argentyna. Przez wiele lat zmieniano flagi podczas każdej wizyty. 3 lutego 1944 roku w ramach tajnej brytyjskiej operacji „Tabarin” założono tu bazę o kreatywnej nazwie Baza B (ta w Port



Lockroy, gdzie trwały podobne przepychanki z flagami, otrzymała nazwę Baza A).

Swoje stacje założyli tu również Argentyńczycy (w roku 1948) i Chilijczycy (w 1955), a w 1989 roku również Hiszpanie. W 1967 roku wulkan się obudził i eksplodował, niszcząc bazę chilijską i zmuszając ich i Brytyjczyków do pospiesznej ewakuacji. Wedle relacji Chilijczycy pobiegli przez wzgórza do brytyjskich sąsiadów, osłaniając głowy płachtami blachy przed spadającymi z nieba kamieniami. Rok później kolejne eksplozje sprawiły, że obie stacje po tej stronie kaldery (Argentyńczycy i Hiszpanie wciąż są po drugiej, niezniszczonej) ostatecznie porzucono. Do następnej eksplozji doszło w roku 1970. I to była na razie ostatnia, ale za każdym razem gdy tam wpływamy, zastanawiamy się, czy kolejna nie nastąpi właśnie dziś.

Na brzegu, w Whalers' Bay (czyli Zatoce Wielorybników), wciąż można oglądać pozostałości stacji wielorybniczej i Bazy B. Jest kilka gigantycznych cylindrów podobnych do tych w Grytviken, stare łodzie i walące się budynki, zagrzebany w piachu traktor, stary hangar lotniczy i cmentarz. A wszystko przykryte wulkanicznym żwirem. W sąsiedniej zatoce, Telephone Bay (stała tu baza chilijska, lecz nie ma po niej śladu), można się wdrapać na zbocze jednego z bocznych kraterów. Nieziemski krajobraz. Poza kilkoma ptakami i fokami na brzegu życia tu nie ma. Na plaży można znaleźć ugotowane w wulkanicznej wodzie węzowidła i krył, ale kawałek dalej nie ma nic, szara pustynia. Delikatny śnieg na czarnych górach przypomina szkic węglem. W samym kraterze widać odsłoniętą ścianę martwego lodu, który w wyniku eksplozji oddzielił się od lodowca i został przysypany żwirem. Teraz ani nie rośnie, ani się nie topi, za to linie lodu w czarnej ścianie wulkanu układają się w fantastyczne wzory. Wypełnione osadem szczeliny przypominają mroczny obraz z gotyckiej powieści. Kolejne z moich ulubionych miejsc.



Księżycowy krajobraz Telephone Bay

Na Deception przeżyłem własną katastrofę. U wejścia do kaldery jest skała, Raven's Rock, nazwana tak na cześć statku, który ją odkrył. Mniej więcej w jednej trzeciej przesmyku prawie dochodzi do powierzchni wody, przy odpływie widać fale kłębiące się na jej czubku, a na brzegu leży wrak kolejnego statku, który na nią wpadł. Pokazujemy ją pasażerom, tłumacząc, dlaczego nie możemy płynąć środkiem kanału, tylko bliżej jego północnej strony. Wszyscy wiedzą o tej skale i o tym, że z kaldery wypływa się prosto, a dopiero potem skręca. A mimo to w lutym 2007 roku udało się nam statkiem „Nordkapp” na nią wpaść.

Moi koledzy stali wtedy na mostku i dziwili się, czemu płyniemy akurat tędy. Ale to nie my kierujemy statkiem, a młody norweski oficer był bardzo pewny siebie, gdy ścinał feralny zakręt. Ja siedziałem w swojej kajucie blisko dziobu. Nagle rozległ się potężny huk, książki pospadały mi z półek, a po chwili usłyszałem zgrzyt rozdieranego metalu. To dźwięk, który zapewne słyszą sardynki, kiedy otwieramy puszkę. Statek przechylił się na prawo, a my szybko zebraliśmy się na naradę. Jak się później okazało, skała rozcięła zewnętrzne poszycie „Nordkappa”. Mieliśmy osiem dziur, z których największa miała sześć metrów długości. Na szczęście wewnętrzne poszycie nie ucierpiało, więc wiadomo było, że nie tonimy. Prędko wróciliśmy, żeby się schronić w wulkanie (hm... dopiero teraz widzę, jak dziwnie to brzmi). Czekaliśmy, aż nas uratuje siostrzany „Nordnorge”, a kapitan szukał na mostku w internecie nowej pracy. Wina leżała po jego stronie, Podczas trudniejszych manewrów powinien mieć wszystko na oku.

Po dwunastu godzinach „Nordnorge” zabrał naszych turystów, a po kolejnej dobie po załogę i team ekspedycyjny przypłynął brytyjski okręt HMS „Endurance”. Przewiół nas na

chilijską stację na Wyspie Króla Jerzego. Spędziliśmy tam kilka fantastycznych dni, odwiedzając Rosjan na Bellingshausenie i Chilijczyków na Freyu, aż w końcu okazało się, że do Ushuaia zabierze nas „Golden Princess”, jeden z gigantycznych liniowców z trzema i pół tysiącami pasażerów na pokładzie.

To koszarne miejsce, świątynia hipokryzji i cynizmu. To oni rok wcześniej podrzucili na Arctowskiego umierającą pasażerkę, żeby nie zmarła na pokładzie. Skonała w helikopterze w drodze do szpitala na Freyu. Tym razem zabronili nam opuszczać kabiny, żebyśmy nie stresowali pasażerów. Trochę się zdziwiłem, bo właśnie uratowali grupę zawodowych lektorów, którzy przeżyli ciekawą przygodę i chętnie by o niej opowiedzieli. Oczywiście zignorowaliśmy zakaz, bo przy takiej liczbie pasażerów nikt nie mógł nas zauważyć. Wędrując po statku, znalazłem się w jednej z sal konferencyjnych, wielkiej jak Sala Kongresowa w Warszawie. Akurat trwało jakieś religijne kazanie. Kaznodzieja, podobny do amerykańskich ewangelistów telewizyjnych, mówił właśnie: „tak jak my wyciągnęliśmy dłoń do tych biednych rozbitków z Maxwell Island (Maxwell Bay, idioto, pomyślałem), tak Chrystus wyciąga do nas rękę i prowadzi na łono Kościoła”. Wyszedłem zniesmaczony. Najpierw każą nam się chować, żebyśmy nie urażali uczuć pasażerów, a potem mają czelność wycierać sobie nami swoje cyniczne gęby.

Tego dnia wieczorem trafiłem do baru dla załogi. Atmosfera była dużo swobodniejsza i bardziej przyjazna. Wraz z moim kolegą i szefem, Ianem, rozmawialiśmy chwilę z jakąś dziewczyną. Króciutko, może pięć minut, ale to wystarczyło, żeby się dowiedzieć, że jest mądra, że ma wiedzę i wyrobione poglądy, że właśnie kończy doktorat o morskich ssakach w szkockim Saint Andrew's, najlepszym do tego miejscu w Europie, i następnego dnia ma wykład o ochronie środowiska i turystyce w Antarktyce. Mimo zakazu poszliśmy na wykład. Już po kilku minutach opadła mi szczeka. Ta inteligentna i wygadana osoba wygłosiła najpłytszy wykład, jaki w życiu słyszałem. W słowach nie dłuższych niż pięć liter i zdaniach nie dłuższych niż pięć wyrazów, w czterdziestu pięciu minutach zmieściła historię odkrycia Ameryki Południowej, patagońskich Indian, dzieje odkrycia Antarktydy, najsłynniejsze wyprawy, Traktat antarktyczny, turystykę i ochronę środowiska. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, aż w końcu Ian wyjaśnił mi, że to się nazywa *dumbing down*, czyli świadome zgłupianie treści wykładu, bo gdyby ktoś czegoś nie zrozumiał, mógłby pozwać operatora wycieczki do sądu. W życiu nie chciałbym pracować w miejscu, w którym należy zakładać, że wszyscy są idiotami. Kiedy mówię do słuchaczy, nie spodziewam się, że każdy z nich jest biologiem i nie wchodzę w techniczne szczegóły. Ale nie przyszłoby mi do głowy traktować ich jak głupszych od siebie. W sumie cała ta przygoda wyszła mi na dobre, bo tylko dzięki temu, że wcześniej wróciłem z Antarktyki, mogłem w lutym 2007 roku wziąć udział w obozie obrońców Rospudy.

Po Deception Island zwykle odwiedzamy jeszcze jedno miejsce na Szetlandach, widzimy kolejne pingwiny, kolejne lodowce i kolejne góry. Potem ruszamy na północ, w Cieśninę Drake'a, by po dwóch dniach dotrzeć do Ushuaia. Niby podróż wciąż trwa, ale wszystkim smutno, że będą się musieli rozstać z Antarktyką.

Dni na morzu to zwykle okazja do odpoczynku, a także do imprez. Pod tym względem życie na statku podobne jest do pobytu na stacji. Poznaje się ludzi z całego świata. Dzięki temu mam kolegów i koleżanki z całej Ameryki Południowej, z Rosji, Ukrainy, Rumunii, Indii, Chin i Filipin. Zwłaszcza ci ostatni tworzą tu dużą grupę, bo z Filipin pochodzi niemal naj-

więcej marynarzy na świecie, lepsza jest tylko Indonezja. Oni zwykle mają dłuższe kontrakty od naszych. Znam Filipinki, które spędzają na statku po dziewięć miesięcy. Niby dzięki pracy na statku mogą zapewnić utrzymanie rodzinie i dzieciom, ale koszty osobiste są bardzo wysokie. Ja za swoją córką tęsknię już po jednym dniu i nie wyobrażam sobie tak długiego rozstania. Opowiadała mi kiedyś Johanna, stojąca za barem na jednym ze statków, że kiedy wróciła do domu, jej córka zapytała ze zdziwieniem: „Mamusiu, jak wyszłaś z laptopa?”. Zna ją głównie z rozmów przez internet. I dlatego kiedy jest okazja, żeby się odprężyć, imprezy w mesie dla załogi zwykle są huczne. Filipińczycy uwielbiają karaoke i muzyka najczęściej jest tu inna niż ta, którą ja bym sobie puszczał, ale uważam, że te imprezy to nie tylko wyróżnienie (zostałem zaproszony!), ale też rodzaj obowiązku. Ci ludzie pracują z nami, często dużo ciężiej i dłużej, więc nasza obecność świadczy o szacunku i przyjaźni. Co roku kompromituję się, śpiewając *My Way* albo *What a Wonderful World*, ale zawsze jest przy tym dużo radości. Zresztą nie ma się co porównywać – z tego co mi mówili znajomi, na Filipinach dużą wagę przywiązuje się do różnorodnych występów, niemniej wielu z moich statkowych znajomych śpiewa tak, że z powodzeniem mogliby występować na scenach. Czasem przygotowują *crew show*, czyli występ załogi, podczas którego każdy prezentuje pasażerom swoje talenty. Są tradycyjne tańce, ale też hip-hop, czasem pokazy drag queens, śpiewy i ogólne wygłupy. Widać, że sprawia im to radość. Żałuję, że nie potrafię nic, co mógłbym im pokazać.

Statkowe środowisko nie jest oczywiście wolne od konfliktów, ale większość ludzi pracujących na statkach jest otwarta na różnorodność. Bardzo często mamy na statku wyautowanych gejów i nikomu nie przychodzi do głowy źle ich traktować. Życie na statku, z przyjaźnią ponad narodowościami, preferencjami seksualnymi i różnicami wieku to kolejny przykład, że tak można. Dobrze by było, gdyby cały świat tak potrafił.

Ostatniego dnia, gdy widać już pogięte wiatrem drzewa w Kanale Beagle, przychodzi czas, żeby włożyć białą koszulę i pójść pożegnalny koktajl z kapitanem. Następnego dnia wrócimy do domów.

I tak się kończy ta podróż. Ale czy na pewno? Mówią, że to nie my wybieramy się w drogę, tylko droga zabiera nas. Antarktyka ma do tego szczególny talent. Jej nigdy się całkiem nie opuszcza.

Świat się zmienia. Lodowce się topią, wzrasta zakwaszenie oceanów, codziennie giną nowe gatunki. Ale wciąż też kolejne odkrywamy i coraz więcej ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że musimy ratować życie na naszej planecie. Mam to szczęście, że często widuję przyrodę taką, jaka była tysiące lat temu, zanim zaczęliśmy jej szkodzić. I mam nadzieję, że moja córka, a potem jej dzieci i następne pokolenia też będą mogły się tym cieszyć. Damy radę.



Antarktyka w pigułce



## Epilog

Wciąż podróżuję do opisanych tu miejsc i ich historia w moim życiu ciągle się rozwija. 1 stycznia 2015 roku za południowym kręgiem polarnym w końcu skoczyłem do wody, więc ten wstydlivy brak już uzupełniłem. Było zimno i słono jak cholera, ale nie żałuję. Nie znam zresztą nikogo, kto by tego żałował. Nie chcę tu pisać o tym, jak to człowiek czuje, że żyje, jaka euforia temu towarzyszy, ale rzeczywiście tak jest i polecam to każdemu.

Pracując w tym sezonie w Antarktyce, spotkałem Nikitę Ovsyanikowa, jednego z najlepszych na świecie znawców niedźwiedzi polarnych. Dużo się od niego dowiedziałem o tych zwierzętach i niektóre fragmenty książki napisałbym pewnie teraz inaczej. Niedźwiedzie polarne nie podchodzą do nas z myślą o morderstwie. To ciekawskie i ostrożne zwierzęta. Jako drapieżniki muszą się interesować wszystkimi nowościami, ale też nie mogą się narażać na obrażenia. Podchodzą, bo chcą nas lepiej poznać. A jednocześnie, jako zwierzęta społeczne, doskonale potrafią odczytywać mowę naszych ciał.

W 2015 roku, długo po tym, jak oddałem fragment książki poświęcony Grenlandii, dotarłem tam znowu. W Ilulissat poszedłem na koncert miejscowego zespołu rockowego. Muzyka była mroczna, język grenlandzki doskonale do niej pasował, a młody gitarzysta był żywą ilustracją tego, że noc polarna jest długa i czasu na ćwiczenia sporo. Nie widziałem jeszcze takiej wirtuozerii, a byłem na wielu koncertach.

W tym samym roku w tanim barze w Sisimiut spotkałem Sulu, który – gdyby się urodził dwieście lat temu – byłby wielkim szamanem. Ale jest rybakiem i ledwo wiąże koniec z końcem, bo nie może polować – kiedyś siedział w Danii w więzieniu za posiadanie marihuany i nikt mu nie da pozwolenia na broń. Jak tylko mnie zobaczył, natychmiast podszedł i spytał, co tam robię. Gdy wyjaśniłem, że lubię miejsca, w których mogę spotkać miejscowych, natychmiast zaciągnął mnie do swojego domu, usadził na skórach reniferów i fok i przez ponad godzinę opowiadał o tym, jak Grenlandczycy są uciskani przez Duńczyków, a także o swoich wędrownych podróżach po świecie duchów. Był bardzo głęboko wierzącym chrześcijaninem, choć nie uznawał żadnego Kościoła. Podróżował w modlitwach, spotykając różne demony. Największym był Money Monster, który pociągał za rządzące naszym światem sznurki. Słuchałem zafascynowany, choć nie jestem religijny. Ale Sulu przemawiał z taką pasją, że była to jedna z najciekawszych rozmów mojego życia. Był bardzo serdeczny, ale nie śmiałem spytać, czy mogę mu zrobić zdjęcie. Nie sądzę jednak, żebym kiedyś zapomniał jego pooraną zmarszczkami, piękną twarz.

Nie tylko zdarzają mi się nowe przygody, nie tylko wiem o polarnych rejonach coraz więcej. Antarktyka jest wspaniałą nauczycielką i każdy dzień tu spędzony zasługiwałby na opisanie go w książce. Niesamowitych miejsc, które można tu odwiedzać, też jest dużo więcej, niż mogłem tu opisać. Podobnie jest z historią – dzieje odkrywania i zdobywania białego kontynentu obfitują w mniej znanych gigantów, na których ramionach teraz możemy tam podróżować. Człowiekiem, który mi imponuje najbardziej, był Douglas Mawson, australijski geolog. On jednak działał po drugiej stronie kontynentu, w miejscach, do których jeszcze nie

dotarłem, i dlatego go w tej książce nie ma. Jego historia to najlepsza opowieść o ludzkiej woli przetrwania. Powiem tylko, że w trakcie wędrówki po nieznanym lodowcach stracił jednego towarzysza w szczelinie, a z drugim, ponieważ nie mieli zapasów i musieli zjadać psy, nabawił się ostrego zatrucia witaminą A. Ich ciała zaczęły się dosłownie rozpadać. Jego kompan zmarł w trakcie powrotu do bazy, a on dał radę tam dotrzeć, choć codziennie przed marszem musiał przywiązywać podeszwy własnych stóp, żeby nie stawać na lodzie gołym mięsem, bo skóra odpadła.

Nie opisałem też wyścigu o zdobycie bieguna południowego, choć to właśnie podczas wyprawy na statku „Nimrod” w latach 1908–1909 Shackleton wykazał się największą odwagą i odpowiedzialnością, gdy przeliczywszy racje żywnościowe, stwierdził, że pewnie dojdą jako pierwsi w historii na biegun, ale wrócić już nie zdołają. Zawrócił ze swoimi ludźmi, będąc sto pięćdziesiąt sześć kilometrów od celu. Ustanowił wtedy nowy rekord – znalazł się najdalej na południe. Jak wyjaśnił później żonie: „Uznałem, że wolałabys mieć żywego osła niż martwego lwa”. Te słowa powinny być mottem wszystkich podróżników.

Trudno kończyć opowieść, która ciągle się rozwija. Pisząc te słowa, siedzę w kajucie, na statku. Właśnie przekroczyliśmy linię konwergencji antarktycznej, więc już jesteśmy w mojej ulubionej krainie. W ciągu następnego miesiąca poznam ją znowu trochę lepiej. Każde napotkane zwierzę, każda niesamowita góra lodowa i każdy majestatyczny lodowiec zasługują na miejsce w tej historii. Ale kończę.



Pływanie wśród gór lodowych jest jak pływanie w największej galerii świata

## Podziękowania

Wygląda na to, że wszystkim, którym chcę tu podziękować, muszę dziękować przede wszystkim za cierpliwość.

Asia i Hania musiały znosić nie tylko moje nieobecności, ale też to, że gdy byłem w domu, ciągle czytałem o polarnej historii, pisałem albo denerwowałem się, że powinienem pisać. Bardzo wam dziękuję.

Mój redaktor, Adam Pluszka, zdaje się mieć niewyczerpane zasoby cierpliwości, choć skandalicznie spóźniałem się ze wszystkimi terminami. To on z wyrozumiałością godną lepszej sprawy poprawiał ten tekst i z podziwu godnym spokojem znosił moje żalosne wykręty. Adam, bardzo ci dziękuję.

Dziękuję też Dorocie Kozińskiej za wiarę w tę opowieść i pierwszy impuls do pisania.

Starałem się, aby wszystkie zawarte tu informacje były prawdziwe. To, co sam przeżyłem, zapisałem tak, jak pamiętam. To, czego musiałem się dowiedzieć, sprawdzałem, jak mogłem najlepiej. Jeśli mimo to są tu jakieś nieścisłości, jest to wyłącznie moja wina.



## Źródła ilustracji

(numery stron odnoszą się do wydania papierowego)

- s. [16](#) – fot. Matthias Kabel
- s. [26](#) – fot. Katarzyna Marcinkiewicz
- s. [50](#) – fot. Alpsdake
- s. [59](#) – fot. Mariomassone
- s. [97](#), [135](#), [164](#) – za: Alfred Edmund Brehm, *Brehms Tierleben. Allgemeine Kunde des Tierreichs*, t. 12, Leipzig–Wien 1915
- s. [102](#) – ilustracja z tygodnika „Die Gartenlaube”, 1875
- s. [125](#) – dzięki uprzejmości Biblioteki Norweskiej
- s. [347](#) – fot. NOAA

Pozostałe zdjęcia pochodzą z archiwum Mikołaja Golachowskiego.

## Bibliografia

- Valerian Albanov, *In the Land of White Death. An Epic Story of Survival in the Siberian Arctic*, Modern Library 2001
- Arystoteles, *Meteorologika. O świcie*, przeł. Antoni Paciorek, Warszawa 1982
- Lennard Bickel, *Edmund Hillary, Mawson's Will: The Greatest Polar Survival Story Ever Written*, Steerforth 2000
- Joan N. Boothe, *The Storied Ice. Exploration, Discovery, and Adventure in Antarctica's Peninsula Region*, Regent Press 2011
- Anthony Brandt, *The Man Who Ate His Boots. The Tragic History of the Search for the Northwest Passage*, Knopf 1994
- Lucas Bridges, *Uttermost Part of the Earth*, Overlook Press 2007
- Evelyn Briggs Baldwin, P.J. Capelotti, *The Franz Josef Land Archipelago: E.B. Baldwin's Journal of the Wellman Polar Expedition, 1898–1899*, McFarland & Company 2004
- Martin Conway, *No Man's Land. A History of Spitsbergen 1596–c.1900*, Cambridge University Press 2011
- Karol Darwin, *Podróż naturalisty. Dziennik spostrzeżeń dotyczących historii naturalnej i geologii okolic, zwiedzonych podczas podróży naokoło świata na okręcie J.K.M. „Beagle” pod dowództwem kapitana Fitz Roy*, przeł. z najnowszego wyd. (1884) Józef Nusbaum, Warszawa 1887
- Stephen Dibbern, *Fur Seals, Traders and Tourists. Commercial History of Deception Island, Antarctica*, Antarctic Society 2012
- Antoni Bolesław Dobrowolski, *Życie w krainach lodu*, Poznań 1932
- Umberto Eco, *Historia krain i miejsc legendarnych*, przeł. Tomasz Kwiecień, Warszawa 2013
- Alan Gurney, *Below the Convergence: Voyages toward Antarctica, 1699–1839*, W.W. Norton & Company 2007
- Robert Headland, Rex Hunt, *The Island of South Georgia*, Cambridge University Press 1992
- Amyr Klink, *The Endless Sea*, Zara Alam 2014
- Krzysztof Kluk, *Zwierząt domowych i dzikich, osobliwie krajowych, potrzebnych i pożytecznych, domowych, chowanie, rozmnożenie, chorób leczenie, dzikich łowienie, oswojenie, zażycie, szkodliwych zaś wygubienie*, Warszawa 1779–1780
- James Lamont, *Seasons with Sea Horses, or Sporting Adventures in the Northern Seas*, Biblio-Bazaar 2009
- Barry Lopez, *Arctic Dreams*, Vintage 2001
- Louis MacNeice, W.H. Auden, *Letters from Iceland*, Faber & Faber 2002
- Frederic Marten, *Observations Made in Greenland and Other Northern Countries. The 1671 Whaling Expedition of the Jonas in the Whale*, Winograd 2008
- James McClintock, *Lost Antarctica. Adventures in a Disappearing Land*, St. Martin's Press 2012
- Robert McGhee, *The Last Imaginary Place. A Human History of the Arctic World*, University Of Chicago Press 2007

- Ken McGoogan, *Fatal Passage. The Story of John Rae, the Arctic Hero Time Forgot*, Carroll & Graf 2002
- Melanie McGrath, *The Long Exile. A Tale of Inuit Betrayal and Survival in the High Arctic*, Vintage 2008
- Jeanette Mirsky, *To the Arctic! The Story of Northern Exploration from Earliest Times*, University Of Chicago Press 1998
- Sarah Moss, *The Frozen Ship. The Histories and Tales of Polar Exploration*, BlueBridge 2006
- Farley Mowat, *People of the Deer*, Little, Brown 1952
- Farley Mowat, *The Desperate People*, Little, Brown 1959
- Farley Mowat, *Ginące plemię*, przeł. Kazimierz Dziewanowski, Lech Jęczynek, Warszawa 1972
- Cesare Pavese, *Dialogi z Leukoteą*, przeł. Stanisław Kasprzysiak, Warszawa 1975
- Julius von Payer, *New Lands within the Arctic Circle*, Cambridge University Press 2011
- Antonio Pigafetta, *Relacja z wyprawy Magellana dookoła świata*, przeł. Joanna Szymanowska, Łódź 1992
- Thomas Pynchon, *V.*, Bantam Books 1968
- Kim Stanley Robinson, *Antarctica*, Bantam Books 1999
- Joe Roman, James J. McCarthy, *The Whale Pump: Marine Mammals Enhance Primary Productivity in a Coastal Basin*, „PLoS ONE”, October 2010, vol. 5, issue 10
- Carl Safina, *Eye of the Albatross*, Holt 2003
- Saga o Eryku Rudym*, przeł. Jarosław Kowalski
- Dava Sobel, *W poszukiwaniu długości geograficznej*, przeł. Jacek Bieroń, Poznań 1998
- Mary Shelley, *Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz*, przeł. Maciej Płaza, Poznań 2013
- Magdalena Skopek, *Dobra krew. W krainie reniferów, bogów i ludzi*, Warszawa 2012
- Henry David Thoreau, *Walden*, przeł. Halina Ciepłińska, Warszawa 1991
- Marek Tomalik (red.), *Pojechane podróże. Szalone wyprawy Trzech Żywiółów*, Bielsko-Biała 2012
- David Yelverton, *Quest for a Phantom Strait. The Saga of the Pioneer Antarctic Expeditions 1897–1905*, Polar Publishing 2004
- Ilona Wiśniewska, *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen*, Warszawa 2014